3 1761 08822287 2

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/poezyeludwikakon03kond

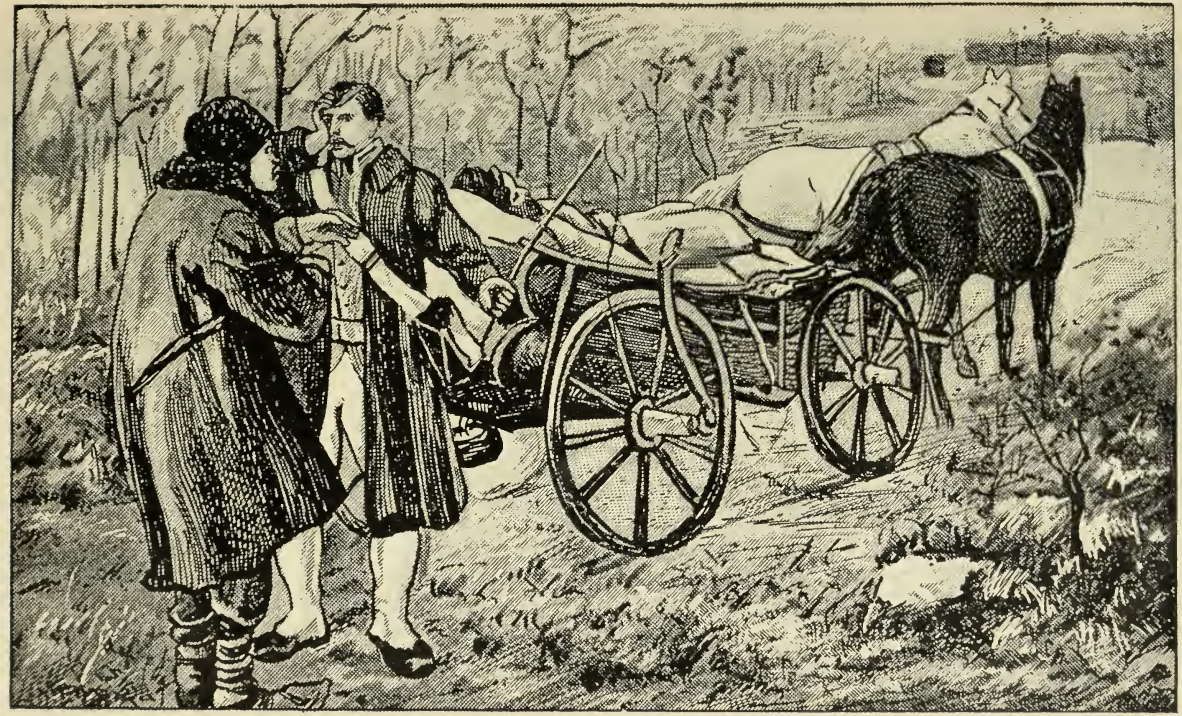

„Tylko zawołał: „Boże mój, Boże, Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie!“

(Illustr. do poematu: „Janko cmentarnik“ Tom III str. 25).

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XV.

LP
K 8266
Kondratowicz, Ludwik

POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA
(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

(Z PORTRETEM AUTORA.)

TOM III.—IV

2v. in 1.

486186

17.2.49

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.

UTWORY EPICKIE.

JANKO CMENTARNIK.

GAWĘDA LUDOWA.

PRZYGRYWKA.

W naszej wiosce za mych latek
Inszy bywał ruch:
I wesele, i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarlały kłosy żytnie,
Zbladła ludziom twarz!

Czy w jesieni, czy to w wiośnie,
Były piękne dni;
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki, i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!...

Pójdę do nich: na mogile
Będę płakał rad;

Do nich miodu dzban wychylę,
I pogwarzę słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat.

JANKO CMENTARNIK.

I.

Jak ponad grobem wśród nocnej pory
Błądzą ogniki i meteory,
Tak dni ubiegłe, dawne dni nasze,
Zawsze uroczy promień opasze.
Choć one były zwykłemi dniami,
Ludzie ci sami i tacy sami,
I świat, i człowiek jedną miał dolę,
Chmury na Niebie, troski na czole;
Niekiedy jutrzni promień szeroki
Rozjaśnił serce, przebił obłoki,
I znów się ukrył za gęste mgliska;
Z Niebios deszcz pada, z oczu łza tryska,
I tak się ciągle miesza na ziemi,
Chwilka pogody z dniami tęsknemi;
A jednak promień przeszłości złoty
Każe zapomnieć chmur i tęsknoty;
Gdy w tamtą stronę myśli pobiegą,
Rzewniej na sercu — Bóg wie dla czego!
Rok dawno zbiegły dziwne ma wdzięki!
Bo to rówieśnik naszej jutrzenki;
A tamci ludzie dlatego mili,
Że w naszem życiu świadkami byli
Pierwszej pielgrzymki, kiedyśmy śmieli
Ku niewidomym celom lecieli,
Za motylami, to za kwiatkami,
Za wszystkiem pięknem, co oko mami,
Za wszystkiem miłem, co serce pieści;
Nie tak jak dzisiaj, gdy syn boleści,
Zaznawszy świata, głowę schyliwszy,

Co chwila mędrszy i nieszczęśliwszy,
Obarczon ciężką sakwą podróży,
Gdy mu dawniejsza siła nie służy,
Krwawiąc się cierniem i ostrem zielem,
Idzie do celu — a grób tym celem.

II.

Święta jutrzenko mojego rana!
Tyś była chmurna i opłakana,
Ot taka sama i w każdym względzie,
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie.
A jednak, nie wiem i skąd, i poco,
Nad twem wspomnieniem światła migocą?
A przy tych światłach, gdy się rozmarzę,
Lubię oglądać dawniejsze twarze,
Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie,
Gdzie dzisiaj noga już nie postanie.
I patrzę czasem, i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,
Za temi dachy, gdzie życie biegło,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi niegdyś żyło się ściślej,
Łamiąc chleb bratni, mieniając myśli...
Gdy spracowane ramię zaboli,
Gdy pulsa życia tętnią powoli,
Człek ciężko westchnie: Boże mój, Boże!
Tam świeżość dawną zyskałbym może,
Widok stron tamtych i tamtych twarzy
Zastygłe serce pewnie rozżarzy...
Śmieszne rojenia! puste gawędy!
Wszak czas i życie szły i tamtędy;
A tamte miłe dachy ze słomy
Pokrył mech siwy, mnie nieznajomy.
Drzewka, com niegdyś kochał, jak bracci,
Musiały wzrosnąć w nowej postaci —

A cóż mi po nich? myśl ma pochmurna
Chciała w nich widzieć dawne konturna,
A one wzrosły, jak wszystkie drzewa,
A wiatr tam dzisiaj inny powiewa,
Inaczej huczą kościelne dzwony,
Jeden rozbity, drugi zmieniony...
A twarze ludzkie? jak karta biała:
Tam każda chwila coś zapisała.
Nowe kolebki ściele niewiasta,
Co było dzieckiem — w męża urasta,
Co było mężem — dzisiaj skroń siwa,
Co było starcem — w grobie spoczywa.
To jacyś obcy... nie chcę tych ludzi:
Ich widok tylko boleść mi wzbudzi!
Coś znajomego, coś mi się roi...
Lecz to nie tamci, lecz to nie moi!
Na twarzach zmarszczek głębokie żłoby,
Ślad wieku, smutków albo choroby;
Już głos dziewiczy, co ucho pieści,
Ostro dziś płynie z piersi niewieściej;
Głos męża silny, pełny słodyczy,
Dziś w starczych ustach szepleni, syczy.
Człek przypomina, wsłucha się, wsłucha:
To obce dźwięki dla mego ucha!...
A sercaż ludzkie! jaka tam zmiana!
Widziałeś piękny zapał młodziana —
Dzisiaj tę duszę czyż poznać można?
Tak samolubna, taka ostrożna!
Widziałeś w Niebo wzniesione oko,
Czytałeś w sercu wiarę głęboką,
A jakąż miłość kryło to łono,
Niewyczerpaną, niewyziębioną!
Lecz czego lodem zakuć nie w stanie
Grzech, doświadczenie, odczarowanie?
I już w tych piersiach, i już w tej głowie
Chłodna. niewiara, straszne pustkowie!
Posłuchaj tylko: szydzi bluźnierca

Z dawniejszej wiary, z własnego serca...
Precz mi z tym człekiem! ja go nie znałem!
A jam chciał wskrzesnąć jego zapałem!
A jego postać, ileż to razy,
Gdym w myślach kreślił przeszłe obrazy,
Tak promieniście i tak różowo
Przelatywała nad moją głową!...
Szatan nie człowiek!... za jakież winy
Skalał mój obraz, obraz jedyny
Młodej przeszłości, szczęśliwszej chwili,
Źródła, com sądził, że mię posili,
Że zwątpiałemu wróci nadzieje,
Że mię dawniejszym ogniem zagrzeje?!...
Och! jak boleśnie, och! jak boleśnie,
Że dzień wczorajszy nigdy nie wskrześnie!
Wczorajsi ludzie już dziś umarli,
A wiek się zmienia, przyszłość się karli...
Chcesz zdłużyć chwilę, która ucieka?
Rozważaj przeszłość, ale z daleka.

III.

Jeśli ochota, słuchacze mili,
Dajcie mi ucho choć na pół chwili:
Starym zwyczajem, w kółku słuchaczy,
Powiem powiastkę, przygodę raczej,
Którąm zasłyszał z ludzkiej pogłoski,
Prostą i rzewną — wiadomo z wioski.
Czyńcie co wola: śmiejcie się, płaczcie,
Dobre przyjmijcie, a złe przebaczcie.

IV.

Przed pięćdziesięciu czy więcej laty,
Żył w jednej wiosce młodzian bogaty,
Hoży, wesoły — jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,
Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha, to szczerze kocha,

Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula, to z całej duszy,
Którego serce wszystko poruszy,
Co gotów stawić we dnie i w nocy
Pierś do uścisku, dłoń do pomocy.
Więc wszyscy brata widzieli w Janku:
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakąś gromadzką sprawą wioskową.
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczułkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.
I z tą miłością rodzonej ziemi
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawżdy na sercu gracko,
Dolę, niedolę dzieląc gromadzką,
Żyć ze wszystkiemi, czuć bratnią spójnię,
To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogoś bierze —
Janek jak dziecko spłacze się szczerze,
W obcym człowieku, co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata.
On dół wykopie, trumnę wyciosa,
Żałobną pieśnią grzmi pod Niebiosa,
A jeśli krewni niedość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.
Za to, gdy we wsi jakaś hulanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy,
Gromadzka radość tak mu do duszy.
On na weselach za drużbę stanie,

On pierwszy oracz na dworskim łanie,
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.
No! a na świecie różnie się plecie:
Czasem do bitwy przychodzi w lecie,
Zwłaszcza, że wioska ustronna, mała,
Na spornych gruntach jakoś leżała,
Więc cudzopaniec w dogodnej porze
Łąkę przekosi, grunta przeorze,
Wpuści dobytek w niwę wioskową;
Groźba za groźbę, słowo za słowo,
Krzywda widoczna, a sprawa prędka,
To się i pobić przychodzi chętka.
No! różnie bywa: którejś Niedzieli,
Ten się podchmieli, drugi podchmieli,
Słówko za słówko, krew silniej bije,
Jakoś przychodzi grzmotnia na kije.
A drugi siedząc, niedługo duma,
Żal mu sąsiada, żal pana kuma,
Więc do pomocy! I z drugiej strony
Znowu się zjawi gość nieproszony,
I dwie gromadki starym zwyczajem
Gdzieś przy gospodzie grzmocą się wzajem.
Na taką grzmotnię, w lichej godzinie,
Niech-no się tylko Janek nawinie,
I rzutem oka niech-no wybada,
Że tam chcą skrzywdzić jego sąsiada;
To własne życie już mu nie w cenie,
Choć na dziesięciu wpada szalenie,
A słabej stronie dając pomoce,
Potężną ręką, jak cepem grzmoce.
I póty grzmoce dalej, a dalej,
Aż przeciwników na ziemię zwali,
Piersi do piersi, a ramię w ramię,
Aż nim ich kije w trzaski połamie.
Słowem, czy w zgodzie, czy to we zwadzie,
Janek był pierwszy w całej gromadzie.

V.

Takie pierwszeństwo nie idzie z rodu,
Ani go zjednać za kufel miodu;
Lecz trzeba kochać a sercem całem,
Trzeba być silnym duszą i ciałem, —
A czy to w wiosce, czy w wielkiem mieście,
Taką przewagę uznają wreszcie.
Przewaga serca w imię przyjaźni
Najdumniejszego dumy nie drażni;
Wszyscy się chylą przed taką władzą,
Ochocze serca zawżdy poddadzą;
A gdy już pierwsza przebyta proba,
Prowadź gromadkę gdzie się podoba.

VI.

I świetna była dola Jankowa,
Póki się we wsi rodzinnej chowa;
Lecz inszą dolę dały mu Nieba:
Panu hajduka było potrzeba,
Spodobał Janka, zabrał go z chaty
W obce województwo, aż pod Karpaty.
Żal rodzinnego było mu płota,
I wioska po nim będzie sierota;
Ojciec przeżegnał dobrego syna,
Gorzko płakała matka jedyna,
Chłopaki ucztę dali mu w domu,
Dziewczętom zucha żal pokryjomu;
Jedna, jak widać, smutniejsza nieco,
U drugiej łezki na oczach świecą.
Wszyscy żałują — on głowę traci,
Dumny tym żalem swoich współbraci.
Z sercem rozdartem i bolejącem,
Z tysiącem wspomnień, z marzeń tysiącem,
Zakończył z braćmi uczty ostatki,
Rzucił się do nóg ojca i matki,
Uściskał chłopców i dziewy młode,
Pożegnał kościół, cmentarz, gospodę,

Wsiadł na konika dworsko a raźnie,
Jeszcze się wszystkim skłonił przyjaźnie
I ruszył, świszcząc piosnkę kozaczą,
Pewien, że jego łez nie zobaczą,
I snuć marzenia zaczął powoli
O nowem życiu, o inszej doli.

VII.

Dobrze mu było na dworze pana:
Barwa złocista i posrebrzana,
Spięty popręgą, w sutej bekieszy,
Z kity u czapki wielce się cieszy,
Strzelba przez plecy, konik cisawy, —
O! taka służba jak dla zabawy!
Prędko się zuczył celnego strzału,
I przyjaźń ludzka nie szła pomału;
Pan go od razu polubił wielce,
Kazał policzyć pomiędzy strzelce;
Dworscy przyjęli braterską dłonią,
No, i dziewczęta nie bardzo stronią.
Wesołe życie! jedyna bieda,
Że Bóg przeszłości zapomnieć nie da,
Że w dzień i w nocy tak sercem miota
Ta do rodzinnej skiby tęsknota!
Te ciągłe myśli o swojej strzesie,
Ptaszek pod skrzydłem chyba je niesie!
Słodkie powietrze ze swego świata
Chyba zdradziecko z wiatrem przylata,
Aby do reszty odurzyć głowę,
Ażeby serce drzeć na połowę...
Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi,
Posyła najprzód do tamtych ludzi:
Co oni robią? żywi? czy zdrowi?
Ojciec i matka, nasi domowi?
Nasze chłopaki, nasze dziewczęta?...
I kto tam jeszcze o mnie pamięta?
Czy tam wczorajsza doszła ulewa?

Czy wiatr któregoś nie złamał drzewa?
Tak była wątła, tak pochylona
Grusza przy chacie starca Szymona...
Co się tam stało z kościelną wieżą?
Kto tam rej wiedzie między młodzieżą?
Czy zawsze psisko u Pawła bramy?
Czy stary dzwonnik jeszcze ten samy?
Och! coś mi serce niedobrze tuszy!
Musiał kto umrzeć, bo tęskno w duszy...
Gdy się w Niedzielę świetnie ustroi,
Och! — myśli sobie — gdyby tu moi,
Gdyby widzieli rodzice starzy,
Jak mi strzelecka barwa do twarzy!
Tożby zazdrościł, aż głową kiwa,
Wioskowy strojniś, Marcin Pokrzywa!
A dziewkiż nasze! nasze jagodki,
Tożby to uśmiech stroiły słodki!
Niby to z cicha, niby to skromnie,
Zawszeby jednak przylgnęły do mnie...
O! gdzie tam, gdzie tam!... lepiej we świcie!
Proste jej sukno, proste uszycie...
Ja w stroju dworskim pomiędzy chłopcy
W rodzonej wiosce byłbym jak obcy;
Gdybym zawitał w takim ubiorze,
Piesby domowy rzucił się może...
Nie chcę tej barwy złotej, zielonej!
Puśćcie mię, puśćcie w domowe strony!...

VIII.

Tak często patrzał w stronę swej ziemi,
Stojąc z rękami załamanemi;
A chcąc zagłuszyć tęskność zdradziecką,
Myśli bywało: Jakież ja dziecko!
Młodemu człeku, ot wielka bieda,
Że pan mi doma zagnuśnieć nie da!
Cóż robić? tęskno po swej rodzinie,
Lecz to przeminie... Ej, nie przeminie!

Biednyś ty, Janku! wioskowej głuszy
Nie trzeba było wrastać do duszy;
Kiedy raz wrosła, nic nie pomożem,
Już tej miłości nie wyciąć nożem!
Z taką tęsknotą, jak z karą Bożą,
Już i do trumny ciebie położą!...
Są jedne dusze, które umieją
Ciągle żyć światem, ciągle nadzieją,
A których serce wszędzie przyrasta:
Dzisiaj do wioski, jutro do miasta,
Dziś leć w powietrze, jutro płyń wodą,
Gdziekolwiek losy ciebie powiodą,
Wiosna im w maju, wiosna w oktobrze,
Wszędy ojczyzna, gdzie jeno dobrze.
Są insze dusze, niby to święte,
Co, burzą życia w obczyznę pchnięte,
Tęsknią do swoich, tęsknią i marzą;
Potem powoli, z zimniejszą twarzą,
Z gorzkim uśmiechem, już winią Nieba:
Cóż mamy począć? tak już potrzeba!
A zresztą, mówiąc prawdą a Bogiem,
Konieczność musi stać się nałogiem,
Nałóg naturą: radzi nieradzi,
Los, jak ogrodnik, gdy nas przesadzi,
W Indye Wschodnie, do Neapolu,
Pomimo cierpień, pomimo bolu,
Musim się zrosnąć z nowym klimatem.
Litwa — Neapol... nie idzie za tem:
Litwę u piersi jak dziecko niańczę;
Lecz w Neapolu są pomarańcze,
Tam cień oliwny osłania głowę,
A w Litwie tylko szyszki borowe.
Człowiek, rad nierad, jakoś przywyka
Do pomarańczy od słonecznika.
Nałóg — natura: więc co za dziwa,
Że mi smakuje bardziej oliwa?

Są insze dusze, głupcy, waryaty,
Co wolą słomę domowej chaty,
Co wśród palm pragną sosnowych lasów,
Co wśród pomarańcz i ananasów
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź tu z grubą duszą Litwina,
Co swej dzikości nie zapomina,
Co swe lepianki, swych borów liście
Kocha ogniście, kocha wieczyście,
Który, rwąc z drzewa pomarańcz złoty,
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty,
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką, goni kochanek! —
Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.
Widząc na murach blaszane szczyty,
On wolał domek słomą pokryty;
Nieuleczony, dziwny szaleniec,
On w kraju pszennym śnił żyta wieniec!
Szkoda cię, Janku w złoto przybrany,
Że do wioskowej tęsknisz sukmany,
Że gdy cię szczyci łaska bogacza,
Kiedy cię dworski przepych otacza,
Ku nędzy ojców strzelasz oczyma.
Zgubionyś, Janku! rady już niema!
Gdy raz gangrena wpadnie do łona,
To już choroba nieuleczona;
Znane lekarzom takie zjawisko,
Nawet łacińskie nosi nazwisko.
Jedyną na to leczebną siłą
Oddech z powietrza, gdzie się rodziło,
Szklanica wody z domowej rzeki, —
Albo ze szczęściem rozbrat na wieki.

IX.

Rozbrat ze szczęściem! — taka twa dola;
Nieprędko wrócisz na swoje pola.

Mocuj się duchem, póki duch służy,
Bo długą kolej twojej podróży.
W rok coś niespełna, po wszystkich stronach
Poczęto gadać o legionach,
Coraz to głośniej, coraz to szerzej;
Poczęła szlachta zbierać żołnierzy,
I kto sam jeden, i kto gromadką,
Marsz za granicę umykać gładko!
I pan Jankowy, żywej natury,
Kazał swym strzelcom uszyć mundury,
Dał nowe konie, szable i lance,
I powiódł zastęp w dalekie krańce.
Janek wesoły poszedł w żołnierze;
A chociaż chętka zapłakać bierze,
Lecz myśli sobie: Niech płaczą dzieci!
Łza żołnierzowi mundur oszpeci!
Skoczyłby teraz do swojej wioski
Wziąć pożegnanie z ręki ojcowskiej,
Przyjąć od matki medal święcony,
Pożegnać braci i swoje strony,
Uścisnąć szczerze dziewczęta z sioła;
Ale już czasu nie było zgoła.
Zagrano w trąbkę — pan już na przedzie,
I pal z kopyta, gdzie oko wiedzie.

X.

Krwawo, ruchawo, jakby w zachwycie,
Płynęło wtedy żołnierskie życie.
Dyktator Gallów grzmiącemi słowy
Zagrał poemat wielki, dziejowy.
Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata.
A każda fraza i każda głoska
Wrzała tak silnie, jak myśl mistrzowska,
Kipiała ogniem piersi człowieczej, —

Nie dziw, że wielkie popisał rzeczy.
Krwawym zygzakiem przekreślił Romę,
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid głazy,
Ziemię germańską przeszedł dwa razy,
Przerznął skalisty grzbiet Pirenei!
A ludzkość, pełna nowych nadziei,
Patrząc na krwawy zygzak, co pała,
Charakter Boży na nim czytała!
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy Tytan szedł na półboga.
Wielki poemat krwi, ognia, czynu,
Myślą nie wyszedł za obrąb gminu,
Tylko, że większy dał rozmiar pysze, —
A pycha Boskich dzieł nie napisze,
Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze.

XI.

Ludzkość w półboga swego wierzyła:
Zbrojnych milionów olbrzymia siła
Stawała przy nim w jednej godzinie,
Leciała pędem, gdzie jeno skinie,
Porywa wirem, gdzie się zaczepi,
Co chwila wzrasta, coraz się krzepi.
Pod sklepieniami obcego nieba
Janek przy panu walczył, jak trzeba:
Wespół z drugimi wstąpił z zaszczytem
Na groźne pasmo skał pod Madrytem;
Wespół z drugimi zasługą czystą
Został mianowan starym gwardzistą;
Gdy jego męstwo wodzowie chwalą,
Dostał wojenny krzyż pod Alhalą;
W ziemi Rakuskiej, gdzie Wagram pole,
Wziął chrzest żołnierski — ranę na czole.
Lecz się wyleczył — w szeregi staje,
I znowu poszedł w hiszpańskie kraje,

Gdzie niebo świetnym promieniem pała,
Gdzie pełno złota, gdzie trud i chwała,
Gdzie do zasługi niwa tak żyzna,
Gdzie najpiękniejszych dziewic ojczyzna.
Lecz tęsknych myśli z chrobrego czoła
Gwar obozowy wygnać nie zdoła.
W chwilach spoczynku śpią towarzysze,
A ich marzenia bitwa kołysze,
Śni się bój, zdobycz albo hulanka;
Insze marzenia na sercu Janka:
Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swej wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania.
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy, jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Śpi na biwaku, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!
Powiecie może: To rzecz wiadoma,
Janek zostawił kochankę doma.
Nie! jeszcze serce biło swobodą,
Opuścił wioskę za nadto młodo;
A w cudzych wioskach — pożal się Boże,
Czyż piękne dziewczę zrodzić się może?
On lubił na wsi orszak dziewczęcy,
Ale nie kochał żadnej gorącej.
Kochanka jego — to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swem powietrzem, ze swoją wodą,
Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospodą,
Z wieczornicami i z doświtkami,
Ze swojem niebem, swemi chmurami.

XII.

Przez pięć lat służąc w gwarnej żołnierce,
Janek zachował dawniejsze serce.

Zawsze w niem pieścił obraz swej wioski
Zawsze śnił stary domek ojcowski:
Czy go zobaczy? i w jakiej doli?
Ot może Pan Bóg kiedyś pozwoli,
Miłe dla serca zaświta rano.
Wojskom w te strony ruszyć kazano,
Bo właśnie zapał najwyżej wzrastał,
Rok osiemsetny dwunasty nastał.
Cezarów orzeł skrzydła rozpina
Nad sztandarami Korsykanina;
Skinął na północ i na wschód słońca —
Dwadzieścia plemion, jak lawa wrząca,
Płonąc, i sycząc, i zionąc parę,
Szło zburzyć Kremlu wieżyce stare.
— Pędem piorunu potok się leje —
Tak o tej chwili pisały dzieje.
— Żółw nas prześcignie w takim pochodzie! —
Powiadał Janek — ostrogą bodzie
I trzęzlą swego wierzchowca spina:
Ot już i Niemen, ot i rodzina,
Ot i powietrze stamtąd powiało,
Ot i zobaczę mą wioskę całą!
Toż mię otoczą roje gromadne!
Toż ojcu, matce do nóg upadnę!
Powiem im, powiem z całym zapałem,
A gdzie ja byłem, a co widziałem,
Otóż się każdy ze mnie nadziwi!
Bóg-że wie tylko, czy oni żywi?
Czy oni zawsze zdrowi, weseli?
Czy może o mnie już zapomnieli?!

XIII.

Niemen przebyli, przyszli do Kowna.
Już miota Jankiem radość gwałtowna,
Zdaje się serce w piersiach nie mieści:
— Już mi do domu mil ze dwadzieści...
Dwadzieścia tylko, och! jak to mało!

Toż mię tysiącem mil przedzielało
Od moich miłych... gdybyż być w przodzie!
I znowu konia ostrogą bodzie;
Ale hamuje chętkę swawolną,
Bo się z szeregu wymknąć nie wolno:
Wezmą za zbiega, zastrzelą może...
Umrzeć w tej chwili!... Boże mój, Boże,
Kiedy już czuję rodzinną ścianę!
O nie! w szeregu lepiej zostanę:
Tak każe dola, poddam się doli...
Tylko że oni idą powoli,
Noga za nogą za przednią strażą...
Czemu im prędzej ruszyć nie każą?...

XIV.

Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
Nad głową Janka tęskność mogilna
Chmurno zawisła — szepce kryjomu:
— Tylko mil osiem do mego domu...
Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
Kędy obróci wojenne marsze?
W prawo? czy w lewo?... Ależ broń Boże!
Pułk naszej wioski minąć nie może:
Wioska na lewo — tamtędy droga...

Ale myśl władców, to jak myśl Boga,
Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
Słowo ich prawem, wola ich święta.
Więc drżący Janek ileż to razy
Pytał u pana: jakie rozkazy
Z głównej kwatery? — lecz pan nie zgadnie,
Którędy pułkom ruszyć wypadnie.
Przyszła nakoniec karta złowroga:
Dla konnych pułków na prawo droga;
Za dwie godziny wojsko wyruszy.
Co się tam działo w Jankowej duszy,
Trudno wysłowić...

Od swojej niwy
Znów los odpycha nielitościwy!
Onaż tak blizko być się zdawała!
I znowu lata lub wieczność cała
Przedzieli może nieszczęśliwego
Od miejsc, do których wciąż dumki biegą!...
Chciał już uciekać — lecz honor drogi,
Wojskowa karność ma swe nałogi;
Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,
Już go pokusy zachwiać nie mogą:
Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
Lecz nie postąpi jako nikczemni.
Janko, niezdolny postąpić podle,
Spuścił jak martwy ręce na siodle.
Spojrzał na lewo, gdzie jego niwa, —
Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
Pobiegła z wiatrem aż ku domowi:
Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!

XV.

Niech ci powiedzą dziejowe karty,
Niech powie starzec na kiju wsparty,
Te straszne hufce jaką szły drogą,
Budząc po kraju nadzieję z trwogą?
Gdzie ich zwycięstwo, gdzie była klęska?
Spytaj Możajska, spytaj Smoleńska,
Spytaj u ognia, śniegu i wody,
Gdzie się podziały owe narody?
Na bojowiskach spytaj się kości,
Spytaj u Chwały, co w Niebie gości
Z tęsknotą w sercu, z raną na czole,
Janek podzielał z panem niedole;
Chrobrze, cnotliwie i nieszczęśliwie
Wiodło się obu na własnej niwie.
Panu pod Moskwą, gdy bitwa pała,
Kula armatnia ręce urwała;
Uniósł go Janek z pobojowiska,
Czuwał, aż ślady życia odzyska,

A potem, niosąc służby ochocze,
Czuwał w szpitalu całe półrocze.
Gdy nieco zdrowia dano kalece,
Janek w troskliwej miał go opiece.
Na lichym wózku, w chłopskiej odzieży,
I pan i sługa, nędzarze szczerzy,
Jeden i drugi, jak grób ponury,
Jechali kryć się w Karpackie góry,
A silna pogoń gnała ich w tyle...
Od wsi Jankowej tylko dwie mile;
Ale zmykając co bliższą drogą,
Ani na chwilę zboczyć nie mogą.
Tylko gdzieś w karczmie na pół spalonej
Spotkali człeka z tamtejszej strony;
Ten opowiedział wiernie Jankowi:
Że wszyscy żywi, że wszyscy zdrowi,
Tylko że ojciec jego już w grobie,
Tylko że matka jęczy w chorobie,
Tylko że w wiosce niedawnej chwili
Wrogowie kilka domów spalili,
Tylko się jakaś pobrała para,
Tylko runęła dzwonnica stara;
A co do reszty — łaskawe Nieba,
W Jankowej wiosce wszystko jak trzeba.
Janko na wojnie miał widok mnogi
Codziennych śmierci albo pożogi;
A serce jego, które niemało
Ciężkich zawodów w życiu doznało,
Stało się twarde, płakać nie może.
Tylko zawołał: Boże mój, Boże
Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie!
A ja mówiłem, że już tak będzie!
Ojciec nie żyje, a matka kona —
Już wioska dla mnie jakby stracona!...
Och! gdyby do niej choć na godzinę,
Błogosławieństwo przyjąć matczyne,
Widzieć grób ojca, znajome lice

I rumowisko starej dzwonnice!
Lecz niema czasu! Ruszyli dalej;
Pan słabnie w drodze; już pogoń wali.
Bohaterowie z Wagram, z Madrytu,
Dzisiaj strąceni ze sławy szczytu,
Zranieni w ciele, zwątpiali duszą,
Z dworku do dworku tułać się muszą,
Gdzie tyle ofiar bolesnych ginie,
Wędrować muszą po żebraninie.
Przywędrowali w Karpackie góry:
Świetny dwór pański, dzisiaj ponury,
Swego dziedzica żałośnie wita:
Droga zarosła, brama rozbita,
A na dziedzińcu głuche milczenie,
W komnatach śmierci wilgotne tchnienie,
A hufiec pański zbrojny i strojny
Legł w różnych stronach dalekiej wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami,
Z pogadankami, ze wspomnieniami;
Tylko w ich duszy zostały bole,
Rany na ciele, chwała na czole.

XVI.

Janek, jak zawsze, do swej ustroni
Tęskni kryjomo i łezki roni;
Ale powracać?? — pożal się Boże,
Wbijać do serca kolce i noże
Zresztą i tutaj taka odmiana:
Grzechby odstąpić chorego pana;
I on do Janka przywyknął szczerze,
Z niczyjej ręki jadła nie bierze
Jeno z Jankowej — szkoda go, szkoda!
Któż go nakarmi? kto napój poda?
Kto mu obetrze pot z jego twarzy?
Kto mu o sławnych bitwach pogwarzy?
Leżąc jak Łazarz w łożu boleści,
Pan długo konał — bo lat trzydzieści

Przez lat trzydzieścić aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyśliwał ulgi sposoby.
Karmił jak dziecię, bawił jak dziecię,
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę — wioskę rodzoną!
Bo tam na wiosce nie ma już domu,
Tam niepotrzebny na nic nikomu;
A tu, gdzie cierpiał wódz jego stary,
Przykuł go święty łańcuch ofiary.
Z razu — z łańcuchem przykro mu było,
Potem przyrosnął, a z taką siłą,
Że się ofiara stała nałogiem,
Stała miłości zachceniem drogiem.

Tak się zjednoczył duchem najściślej,
Że umiał zgadnąć, co pan pomyśli;
Sercem zgadywał, choć bez lekarza,
Czy się ból zmniejsza albo pomnaża.
Czy pan zasypia lub się ocyka.
Och! to niezwykły hołd niewolnika!
Bo ci niewolnik na twarz upadnie,
Każdy kapryśny grymas odgadnie,
Przezna nałogi w latach niewoli,
Ale nie zgadnie, co ciebie boli,
Ani przepowie w długiej chorobie,
Czy będzie lepiej, czy gorzej tobie?
Co ból uśmierzy albo rozdraźni?
Och! dla miłości i dla przyjaźni
Nie korca soli, nie beczki chleba,
Ale cierpienia na próbę trzeba!

Kto bolał z tobą, albo nad tobą,
Jużbyś go krzywdził przyjaźni probą;
Zawierz mu śmiało życie i zdrowie,
On twój na wieki — bewarunkowie!

XVII.

Tak Janek przeżył i stał się stary,
Z jednem uczuciem — z duchem ofiary;
Lecz w przeznaczeniach jego żywota
Samo sieroctwo, sama tęsknota.
Biedny pan jego spoczął w mogile;
Janko, co nad nim czuwał lat tyle,
Co własne życie wlewał mu w łono,
Z którym go zda się duchem spojono,
Ciężko zaniemógł. — Już się zdawało,
Że duch opuści znękane ciało;
Bo już na pana swego pogrzebie
Janko pochował połowę siebie,
Połowę myśli i całą wolę,
Jak niedołężne stał się pacholę,
Tak zielsko chmielne, wyciekłe, chore,
Gdy mu odejmą jego podporę,
Chwieje się, pada, blednieje, ginie,
Jak zatęsknione po swej tyczynie!
Tyka wspierała gałązkę chorą,
Janek dla pana sam był podporą:
Więdnieje dręczon boleścią srogą,
Że nieść ofiary nie ma dla kogo,
Że już nikogo nie ma na świecie
Karmić i niańczyć, jak małe dziecię!
Po osłupiałej Janka postaci
Możnaby sądzić, że rozum traci.
Wybladły, nakształt nocnego stracha,
Sam z sobą gwarzy, rękami macha,
Udaje bitwę, szykuje roty,
Śpiewa piosenkę dawnej ochoty,
Niby wystrzela... i marzy Janek
O czarnych oczach młodych Hiszpanek,
O pięknem niebie tamtejszej strony;
I znowu inną myślą wiedziony,
Idzie na atak, prowadzi więźnie,
Woła o pomoc, że w śniegach grzęźnie,

Niby to wiezie pana w podróży,
Niby to panu w chorobie służy,
Albo prowadzi orszak grobowy...
Wtedy się skarży na boleść głowy,
Że tam szum jakiś, coś jęczy, brzęczy...
I już nastawał moment szaleńczy.
Gdzie nić rozumu w prężonym nerwie
Już się na zawsze starga i przerwie.
Ale w tym szumie, jęku i brzęku,
Inszy nerw życia drgnął pomaleńku:
Coś jakby szelest daleki drzewa,
Coś jakby piosnka, co słowik śpiewa,
Ale ten szelest, czy piosnki nuta,
To coś dawniejsza, coś niepopsuta,
Coś taka sama, jak to bywało
Echo w powietrzu rodzinnem grało.
— Tak... to powietrze rodzinnej niwy,
A to skowronek, zwiastun życzliwy,
Tam szelest sosny, tam polnej gruszy,
A tam od łąki rożek pastuszy,
A tam ze zbożem skrzypią woziska,
A tam szczekają znajome psiska,
Tam wóz plebana turkoce drogą...
Boże, mój Boże! jakże mi błogo!
Jakiś Ty dobry, Ojcze i Panie,
Za to rodzinnych dźwięków przysłanie!
Uklęknął Janek, łzami się zalał, —
Już jego biedny rozum ocalał:
Miłość swej wioski i swojej strony
Wróciła wskrzesić duch przygnębiony,
Zagrała w piersiach na dawną nutę,
Pokutnik skończył swoją pokutę.
Już pan nie żyje — któż mu zabroni
Wrócić na starość do swej ustroni?
Ludzie się dziwią, skąd taka zmiana?
Skąd ta przytomność niespodziewana?
Skąd taki spokój na Janka twarzy?

Czemu sam z sobą teraz nie gwarzy?
Wkońcu się czując zdrowszy i żwawszy,
Zniknął, nikogo nie pożegnawszy;
Myślą, że poszedł po żebraninie,
I pamięć o nim we dworze ginie.

XVIII.

A on z tłomokiem, z wyniosłą głową,
Wybrał się w podróż ze stumilową.
Miał zapas grosza; lecz się nie lęka,
Że go obedrze zbójecka ręka, —
Bo w Słowiańszczyźnie cześć siwej brodzie.
Zajdzie gdzieś na noc, spocznie w gospodzie,
I gdzie przed świtem, w porannej głuszy,
Dalej w pospieszną podróż wyruszy.

XIX.

W miesiąc od wyjścia, Janek szczęśliwy
Już był na wzgórku rodzinnej niwy;
I jako pielgrzym, kiedy postrzeże
Jerozolimskie najświętsze wieże,
Upada na twarz — jakowaś siła
Janka na ziemię jakby rzuciła.
Zaśmiał się, krzyknął, łzy słodkie roni:
Otóż i wioska! otóż i oni!
Otóż ja przy nich! otom u celu!
O dobry Boże! o Zbawicielu!...
Podniósł się, spojrzał z twarzą żałosną:
Gdzie nasza chata? tam drzewa rosną!
Ojciec już umarł, umarła matka...
Ależ brat starszy! ależ gromadka!...
A gdzież kaplica? gdzie chatka stróża?...
Gospoda nowa... a jaka duża!...
Konie się pasą — niedzielna pora,
A gdzież jest biały konik Hrehora?
Musiał go przedać — źle zrobił... szkoda!
Żwawy był konik... a krew nie woda...
Skąd się tu wzięły te nowe grusze?

Dawniej nie było — pamiętać muszę:
Tam stała dawniej ponad mogiłą, —
Cóż się tam zawsze ptastwa gnieździło!...
Biedny ja człowiek!... Boże kochany!
Jakież tu zmiany! jakież tu zmiany!
Gdzie stary olszniak! pod samym wjazdem
Kto zrąbał olchę z bocianiem gniazdem?...
A jakie zboża! patrzeć żałośnie;
Toż to bywało w człowieka rośnie!...
Strumień powężał — błoto na drodze...
O nieszczęśliwy! co ja znachodzę!
Gdzież moja wioska, drzewka i strugi?...
Janek się zachwiał — i po raz drugi
Upadł na ziemię, płacząc boleśnie:
Och! dusza moja tutaj nie wskrześnie!

XX.

Wszedł do gospody. Tam, jak w Niedzielę,
Już się zebrało narodu wiele.
— Dziewczęta, chłopcy... czy mi się marzy?
Tu ani jednej znajomej twarzy!...
Dobrzy wy ludzie! — spyta nieśmiało: —
Czy wy tutejsi? czy mi się zdało?
Czy jestem we śnie?
— A waść kto taki?
Poczęły pytać wiejskie chłopaki.
— Jam Janko Skiba — czyż mię nie znacie?
Mieszkałem niegdyś w końcowej chacie...
Gdzież moja chata?
— Pijanyś chyba:
W tej wiosce żaden nie mieszkał Skiba.
— Jakto nie mieszkał? — drugi odpowie —
Słyszę, tu żyli dawniej Skibowie,
Ale wymarli, — pewnie ich niwa,
Co Skibowszczyzna dziś się nazywa;
Tam pustosz dworska.
— Gdzież Szymon Żłoba?
— Ten dawno umarł; synowie oba

Żyją przy studni, tam, w nowej chacie.
Otóż i oni, jeżeli znacie.
— Nie znam tych twarzy!... A Piotr Siekiera?
— Ten jeszcze żyje, ale umiera:
Starość nie radość, a śmierć na dziady!
— On był najmłodszy z naszej gromady,
Lubił tańcować! —
Tu śmiech bez miary:
— Co się wam święci, żołnierzu stary?
Toż on, już pewno dziesięć lat minie,
Chodzi na szczudłach po żebraninie!
Janek umilknął, — z pochmurnem czołem,
Kazał dać kwartę, zasiadł za stołem,
I jak swych braci dobrze pamięta,
Pytał o chłopców i o dziewczęta.
Za każdym razem śmiech bez ustanku:
Bo tamci ludzie, rówieśni Janku,
Jedni pomarli, drudzy stąd wyszli,
Nowej gromadzie już ani w myśli;
A z tamtych dziewcząt gromady całej
Dwie stare babki ledwie zostały.
Janek już nie śmie pytać o więcej;
Krew w jego piersiach bije goręcej,
Wychyli czarkę i gorzko duma:
Tu każdy brata, każdy ma kuma,
A on nikogo znaleźć nie może!
— Oj życie, życie! pożal się Boże!
Wtem jeden wieśniak, człek już niemłody
Przyszedł ku niemu z końca gospody:
— Panie żołnierzu! tutaj przy kwarcie,
Muszę pomówić z wami otwarcie.
Czy wy doprawdy tę wioskę znacie?
Czy, jak to mówią, drogi pytacie?
Lecz, jak uważam, znana wam strona,
Znacie nazwiska, znacie imiona.
Czy wy ze Skibów który jesteście?
Czy dawno z wioski?

— Już lat czterdzieście.
Tu młodzież znowu śmiechem wybucha:
— A w Imię Ojca, Syna i Ducha!
Szalony człowiek! jemu się zdało,
Że znajdzie swoją gromadę całą!
Piotr żebrak skacze ze starą Martą!
A dalipanże, popatrzeć warto!
Marta jedyna dzisiaj do pląsa!
Tu stary Janek pokręcił wąsa,
Pogłaskał brodę, stuknął w stół lichy,
Że aż skoczyły na nim kielichy,
I krzyknął męskim z Austerlitz głosem:
— Wara mi bluźnić! jam nie młokosem!
Na gorzkie jabłko pogrzmotam plecy,
Kto szydzi z Piotra — to wy kalecy!
On (jeśli wierzyć) na nogę chromie;
U was kalectwo znaczno widomie;
Kalectwo w głowach!... Kto zbluźni Marcie,
To go na rękę wyzwę otwarcie!
To było dziewczę cnotliwe, piękne!
Kto mi zaprzeczy, nic się nie zlęknę,
Zbiję dziesięciu!...
Młodzież pobladła.
— To jakaś sztuka srodze zajadła! —
Pomruknął jeden, a drugi doda:
— Uważasz, kumie! to krew nie woda!
On tak dowodzi — i prawda może,
Że stara Marta to dziewczę hoże...
Niech i tak będzie, jeśli wypada.
Kiedy tak z cicha szepce gromada,
Janek łzę otarł, co w oczach świeci,
Wychylił czarkę:
Dzieci wy, dzieci!
Nie znam was wcale, bo wy nie moi.
Ta wioska dzisiaj inaczej stoi.
Z waszymi dziady dobrze się znałem,
Z waszymi ojcy piłem, hulałem —

Ja do nich pójdę... Hej! kto chce złota?
Komu na cmentarz służy ochota,
Niech mi pokaże z odwiecznych śladów,
Gdzie kości waszych ojców i dziadów!
Do nich mi trzeba, do nich i kwita;
Stary znajomy niech ich powita,
Niechaj w ich uszach głos mój zadzwoni —
A Janka Skibę poznają oni!
Do nich mi jeszcze przepić potrzeba.
Hej, gospodarzu! Daj miodu, chleba...
Chleba i soli, tak zwyczaj każe,
Że wszyscy nowych chat gospodarze
Z chleba i soli podarek biorą...
Jam tu do wioski przyszedł dopiero...
A jeśli wszyscy życzliwi ku mnie,
Nowe mieszkania obrali w trumnie,
Pójdę z podarkiem — będą mi radzi...
Hej! kto na cmentarz mnie zaprowadzi?
I dwa dukaty ze trzosa miota.
Żaden z gromady nie tknął się złota,
Lecz jeden z włości rzekł, chyląc czarę:
Ja ci pokażę grobowce stare.
Janek, kipiący i odmłodniały,
Wziął kufel miodu, kufel gorzały,
I z przewodnikiem, w znane rozdroże,
Na stary cmentarz spieszy jak może.

EPILOG.

Nocował na cmentarzu, — a kiedy się zbudzi,
Rozpytywał po wiosce o dawniejszych ludzi;
Znalazł chorych dwóch starców, których zapamięta
I dwie stare niewiasty — dawniejsze dziewczęta.
Przy nich szukał wytchnienia upragnionej chwili,
Lecz i oni, jak wioska, strasznie się zmienili:
Życie wionęło chłodem do ich starej duszy;

Jeszcze radzi pogwarzyć — lecz ich nic nie wzruszy;
Czas wyciska swe piętno i zarówno plami
Ich serce samolubstwem, jak czoło zmarszczkami.
Janko, co znał ich dusze w dawniejszym rozkwicie,
Co się cieszył z początku, że tleje w nich życie,
Gdy widział, jak ich postać zmienia się i karli,
Pożałował, że jeszcze i ci nie umarli.
I na zawsze zaniechał wdawać się z żywemi:
Jego świat, jego wioska, leżą w głębi ziemi!
Najął chatkę — i codzień, ledwie jutrznia świta,
On się zrywa z pościeli, o jadło nie pyta,
Zachodzi do gospody, bierze flaszkę miodu,
Aby z ludźmi, z którymi żyło się za młodu,
Przepić na ich grobowcach. — Tak codzień a codzień
Zawsze go na cmentarzu spotykał przechodzień;
A płocha kupa dziatwy, co przed starcem znika,
Nadała mu przezwisko Janka Cmentarnika.
Znano jego sukmanę i barki pochyłe;
Codzień Janek Cmentarnik idzie na mogiłę,
Klęka przed jakim krzyżem i miód z kufla chyli:
W ręce twoje, Hrehory! Pij wesół, Wasili!
Czy pamiętasz, Hrehory? tyś był zuch do spółki!
Służąc do Mszy, jak wino piliśmy z ampułki?
O! ja ciebie lubiłem, nazywałem swoim.
Nieraz my z tobą, bracie, całą wioskę poim;
Tyś ostatkiem z bliźnimi podzielić się gotów,
Ale masz jedną wadę: skoryś do zalotów.
A kochać, mój Hrehory, powiem rzecz otwartą,
Mężczyznę, czy niewiastę — to niebardzo warto.
Na dwoje babka wróży — w miłości, mój bracie,
Albo zawód dla serca, lub żal po utracie.
Ja przynajmniej nie myślę pokochać na nowo!
Tu Janko machnął ręką i pokiwał głową,
Odszedł i do drugiego grobowca się chyli:
Wasili! Czy ty słyszysz? Czy ty śpisz, Wasili?
Ty chciałeś być żołnierzem — zapalonyś nieco;
Ty chciałeś widzieć wojnę, jak to kule lecą!

Wiesz, Wasili? Ja byłem w hiszpańskiej krainie,
Byłem w Niemczech, w Smoleńsku, wszędy, gdzie krew płynie!

Czy ty wiesz? To niestraszno! Leci pułk zuchwalczy,
Wierząc w Boga i wierząc w to, za co się walczy,
Kule zwyczajnie... lecą... no... może zabiją;
Ale tego, kto wrócił z niezłamaną szyją,
Jaką witają cześcią, jakiemi krzyżami!
Szkoda!... szkoda, Wasili, żeś ty nie był z nami!
Przyniosłem miód dla ciebie, — w ręce, mój Wasili!
Lecz prawda, tyś umarły — Janek sam wychyli.
Nowe czasy nastały! Gdzie skryć się przed zgrają?
Tutaj mię Cmentarnikiem ludzie nazywają!
Bo cóż poradzisz sercu? Ja tu z wami gwarzę;
Mój dom, kościół, gospoda — to wasze cmentarze.
I u mnie w sercu cmentarz, my pokrewne trupy.
Cóż za dziw, że wolimy schodzić się do kupy
Niźli rękę żywego ściskać w bratniej dłoni?
My nie dla nich, Wasili, i nie dla nas oni!
Tak od grobu do grobu, pijąc, plotąc baśnie,
Janek spłacze się — spłacze — i nakoniec zaśnie;
Na noc wraca do chaty — nazajutrz to samo.
Lecz w rok po śmierci pana, pod cmentarną bramą
Znaleźli z kuflem w ręku już nieżywe ciało,
A miodu ani kropli w kuflu nie zostało;
Nic tedy po szaleńcu młody świat nie wskóra...
Ej ten Janek Cmentarnik — pocieszna figura!

1856. Borejkowszczyzna.

ILLUMINACYA.

WSPOMNIENIE Z DESZCZU.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Nastały nieskończone jesienne wieczory,
Natura drzemie!

Pochmurniały Niebiosa, i deszcz lunął spory
Na suchą ziemię.
Po wilgotnej przestrzeni grzechotka pocztowa
Jęczała płaczem.
Mnie z dumkami obległa tęsknota grobowa,
Pan Bóg wie za czem!
Jak ten wietrzyk jesienny, co szumi na drzewie,
To w polu krąży,
Tak i myśl rozrzewniona sama siebie nie wie,
Skąd? dokąd dąży?
O minionej przeszłości marzy się coś — marzy
Dumka głęboka;
I czy to kropla deszczu bryzgnęła po twarzy?
Czy to łza z oka?
Zawstydziłem się płaczu, zamknąłem powieki —
Było mi ciemno;
I obraz zapomniany, miniony, daleki
Stanął przede mną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było jak w tej chwili,
Noc, jesień, deszcze;
Tylko wtedy na sercu było jeszcze milej
I raźniej jeszcze.
U moich towarzyszów zamiar się ułożył
Jechać na łowy;
A choć zgoła na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
Szedłem gotowy.
Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
Wszystko co trzeba:
Wziąłem książkę i lulkę, papier i ołówek,
I kawał chleba.
I wesoło z chychotem puściwszy się w drogę,
Skracamy chwile.
A do lasu, gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,
Dwie czy trzy mile.
Przemokliśmy do nitki, bo deszcz lał jak z kadzi;
Broń nasza moknie...

A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi
Ze światła w oknie!
W chatce gościnny strzelec osuszał nam suknie,
Sprawił wieczerzę;
A gdy z myśliwskiej flaszy raz i drugi stuknie,
Gawędził szczerze.
Matka jego, pomimo starości i bolu,
Postać nielada,
O nieświeskim przepychu, o księciu Karolu,
Cuda nam gada.
Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
Jeszcze z dziecięcia,
Kiedy Stanisław August, król pan miłościwy,
Odwiedzał księcia.
Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
Tamtemi pała, —
Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
I łzę wylała.
Powiastka skromna, prosta z wątku i osnowy,
Z łez i goryczy;
Powtórzę ją przed wami jej własnemi słowy:
Słuchaj, kto życzy.

III.

— Ot, co to! Książę Karol, można mówić śmiało,
Morze miał groszy!
I oko nie widziało, ucho nie słyszało
Takich rozkoszy.
Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
Bukowski szatny:
Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
Jak był człek płatny.
Co szło ptastwa na kuchnię, co miodu, co wina,
A co kapeli!
Jakie bywało książę dziwy rozpoczyna,
Gdy się podchmieli!

Ot wiadomo, z rozkoszy szaleją bogacze,
Szumią magnaci;
A za to biedny człowiek bolesno zapłacze,
Gorzko przypłaci.

IV.

Bywało to w drugim roku po mojem zamęściu
(Jak dzisiaj pomnę),
A człowiek zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu
Wiódł życie skromne.
Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
Płacze kryjomu...
Mój mąż służył za stróża tuż przy Słuckiej bramie,
W Arona domu.
W Nieświeżu, święty Karol to feta nielada,
Gości najwięcej;
Trzeciego czy czwartego jakoś listopada,
Patron książęcy.
Mąż pojechał... (nie pomnę), do Słucka, do Naczy...
Aha!... do Klecka;
A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy
Pociechy z dziecka.
Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,
Jak z Nieba spada;
Ksiądz lektor bernardyński ochrzcił go Antonim,
Imieniem dziada.
Złoto — mówię — nie Antoś te późniejsze dzieci,
Schowaj się z niemi!
Dziś spróchniał — może nawet szkieletem nie świeci
W surowej ziemi.
A żyłby może dotąd... Dzień imienin księcia
Wszystko odmieni.
Przyszła ospa — zwyczajna choroba dziecięcia,
Jak raz w jesieni.
No, uważasz jegomość, ospęby nareszcie
Przebył swobodnie;
Ale na święty Karol nakazano w mieście
Palić pochodnie.

Zamek od świec jarzących jak latarnia gore,
Tam bieży tłuszcza;
A rektor jezuicki pod wieczorną porę
Fajerwerk puszcza.
Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóstwie
Znalazłbyś pono;
A w mieście, jak mówiłam, przy każdem domowstwie
Pochodnie płoną.
Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi,
Lampa na słupie,
I wszyscy stróże domów siłami wspólnemi
Pracują w kupie.
O biednaż moja głowa! mój słupek nie gore,
Spóźniłam trocha;
Musiałam zakołysać moje dziecko chore,
Mego pieszczocha.
A pamiętam, że była z ulicy na dole
Nasza siedziba.
Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,
Aż pękła szyba.
— Hejże stróżu! pal światło, jak raczył zalecić
Pan burmistrz miasta!
Nie wiem, czy tulić dziecię, albo ogień świecić —
Biedna niewiasta!
Tam ogniów i tak dosyć, tu chora dziecina —
Boli mię dusza!
Wtem przypada do izby, w plecy mię zacina
Sługa z ratusza.
Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,
Wiatr ją zadyma.
Patrzę w okno — tam dziecię drętwieje i chłodnie
Tuż przed oczyma.
I krzyczy w niebogłosy, czernieje jak sadza,
Serce się kroi:
Chcesz pobiedz — ale tutaj ratuszowa władza
Nad karkiem stoi.

Rozdmuchywam pochodnię, a wicher ją gasi,
Mój słupek w ciemnie!
Pachołek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi
Śmieją się ze mnie!
Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie!...
Ze łzą goryczy
Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie
Najmocniej krzyczy.
Wiatr przez rozbitą szybę zawiał do kołyski
Mojego zucha —
Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski
A matka słucha!...
Ale nie może spieszyć bo tu ogień gaśnie,
Pachołek strzeże...
O dwunastej godzinie dały z armat właśnie
Zamkowe wieże.
Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgrzyna
Gości gromadka;
A tu ogień rozpala, opłakując syna,
Zbolała matka.
Z zamku przywożą beczki trojniaku starego
I wina stare,
I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biegą
Wychylić czarę.
A kiedy wszyscy krzyczą: V i v a t m o ś c i k s i ą ż ę,
W s u k c e s ó w d r o d z e!
Ja do mojej dzieciny, do kolebki dążę...
Trupa znachodzę!
A nazajutrz, gdy każdy imieniny księcia
Wspominał szczerze,
Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,
Mówiąc pacierze.
I długo, długo jeszcze dusza zapamięta
Te huki całe:
Żółtą jak wosk twarzyczkę i żółte rączęta,
W krzyku skostniałe.

Umarł... tak już sądzono — nie zaś z czyjej winy,
Broń Panie Boże!
Ale huczne przed laty były imieniny
W nieświeskim dworze.

1856. Borejkowszczyzna.

KRÓLEWSCY LUTNIŚCI.

OBRAZEK Z PRZESZŁOŚCI.

Interdum speciosa locis morataque recte
Fabula... valdius oblectat... meliusque moratur
Quam versus inopes rerum nugaeque canorae.
Horacyusz.

Zygmunt August, monarcha wsławiony,
Mąż Barbary, co Litwa dlań miła,
Chcąc odetchnąć po trudach korony,
Jechał w Litwę do księcia Radźwiłła.
Dumą polskich Biskupów i panów,
Gwarem szlachty znękany zbyt srodze,
Miłem okiem powitał Kojdanów,
Słodko wytchnął po trudach i drodze.
Tu bez służb, bez poddańczej obłudy,
Przyjął króla pokrewny — druh stary,
Starszy brat ubóstwionej Barbary,
Kniaź Radziwiłł — co zwany był Rudy,
Chociaż brodę miał jasną jak złoto, —
Wzrok spuszczony, ściśnięte miał usta,
Był dla króla z litewską szczerotą,
Czcił i kochał Zygmunta Augusta;
Czuł Radziwiłł, że dzięki królowi,
Na swej Litwie, jak zechce, tak zagra;
A że i głos rodzinny coś mówi,
Kochał w królu monarchę i szwagra.
Kornie spotkał na progach i w sali,
Kornie spełniał królewskie wiwaty;
Lecz gdy dwór się na stronę oddali,
Kiedy poszli w wewnętrzne komnaty,

Toż to rzewnie ścisnęły się ręce!
Zapłakali monarcha i książę;
Za nic godła królewskie, książęce,
Jedno rzewne uczucie ich wiąże.

Przed upływem miesiąca nie dalej
Ich łączyły braterskie ogniwa;
Na książęcia z zazdrością patrzali,
Dusza króla tak była szczęśliwa!

Zygmunt widział w królewskim zaszczycie,
I już wolną od wrzasków potwarzy,
Cud-niewiastę, o której wciąż marzy,
Ubóstwioną, kochaną nad życie.
Już przed ludźmi pieszczona jej ręka
Szyję króla oplotła, jak męża;
Przed Barbarą sejm polski uklęka,
Święta miłość już wrogów zwycięża.
W gwarnej szlachcie, w senatu obradzie,
W cześć Barbary podają się wnioski.
Wielki prymas koronny, Dzierzgowski,
Na jej głowę koronę już kładzie.
Lube szczęście, jak motyl skrzydlaty,
Przed oczyma Zygmunta migoce...
I znów, królu, twe życie sieroce!
Ponad trumną obliczaj twe straty.
Lubych oczu już zgasły zapały,
Już tam goszczą robacy zuchwali;
Słodkie usta, co k'tobie się śmiały,
Których jeszcze całunek cię pali,
Słowa k o c h a m już więcej nie rzeką;
Już twe szczęście daleko, daleko!
Nie przytulisz do piersi tej głowy,
Co jedynie o tobie marzyła;
Twoja luba z mogiły surowej
Pożegnanie ostatnie przysyła.

Wnet zrozumiał Radziwiłł żal króla,
Przypomnienie bolesne, jak ostrze,

Jego serce przeszywa, rozczula,
I zapłakał Mikołaj po siostrze.
— Strata — jęknął król Zygmunt — och, strata
I mnie książę, i ciebie tak boli!
Łza małżonka i szczera łza brata
Niech przynajmniej się w jedno zespoli!
I odeszli obadwaj w głąb sali,
Zasmuceni w jednakiej żałobie;
Długo, długo wzdychali, szeptali,
Król coś mówił o zmarłej, o sobie...
I nieprędki już byłby przestanek,
Lecz kniaź znudził królewskie rozpacze:
Bo inaczej mąż wierny, kochanek,
A inaczej po siostrze brat płacze.
— Królu — rzecze — miłościw nasz panie!
Dajmy folgę boleści, płaczowi;
Wszak umarły z mogiły nie wstanie,
Boleść sama się w sercu odnowi.
Wszakże, królu, Opatrzność niebieska
Po zmartwieniach nam ulgę przysyła.
Wiem, że Wasza Dostojność Królewska
Dźwięk muzyki dawniej lubiła:
Dworskie Włochy, królewskie śpiewaki
Wespół z dworem przybyły w te strony;
Niechże dadzą swej sztuki oznaki,
Niech pocieszą duch króla strapiony.
— Dobrze mówisz, mój książę! — król rzecze
Niech muzyka zagrzmi wspaniale;
Ona serce ucisza człowiecze,
Jak Aryon uciszał wód fale.
Niech tu przyjdą nadworni lutniści,
Ich głos miły był niegdyś Barbarze...
Gędźba może w uroczym rozgwarze,
Naszą duszę od zwątpień oczyści!
Wiem, że ona tęsknotę odgania,
Mam nielada lutnistów na dworze,
Kędy jadę za sobą ich wożę;

Alem dawno nie słyszał ich grania.
Popróbujmy — a może się uda
O nieszczęściu zapomnieć minionem.
Przywołajcie Bekwarka z Klabonem!
Niech muzyka pokaże swe cuda!
I na krześle obitem bogato
Zasiadł Zygmunt dać ucho piosence,
I na stole zasłanym makatą
Oparł rękę, a czoło na ręce.
Weszli tedy dwaj mistrze kapeli,
Na królewskie skinienie gotowi,
I oddali pokłony królowi,
I opodal z lutniami stanęli.
Taktem męskim, bojowym a skorym,
Pierwszy w struny Klabonus uderzy,
Który później pod chrobrym Batorym
Wyśpiewywał potyczki rycerzy,
Co w muzykę ubierał i stroił
Kochanowskich łacińskie kameny,
Pieśnią twardą, jak chrzęst karaceny,
Nieraz chrobrych rozkosznie upoił.
Energiczne a męskie wyrazy,
Jak grad z piersi sypnęły śpiewaczej,
Załoskotał po strunach trzy razy,
Zmieniał takty... inaczej... inaczej,
I przygrywka do pieśni gotowa,
I przy lutni zaśpiewał w te słowa:

* * *

PIEŚŃ KLABONA.

Na Niebiosach we dwie chmury
Zahrukotał grzmot ponury,
A na ziemi huf podwójny
Porozwijał godła wojny.
I dwie groźne mężów siły
Czołem na się uderzyły,

Ramię w ramię — broń dobyta,
Po pancerzach pałasz zgrzyta;
Już się ściele trupem niwa,
Bardysz piersi rozkoływa,
Setnym jękiem ryczą usta,
Krew jak deszczem ziemię chlusta,
Trąba zgrzyta, działo grzmoce,
Mars zdobywa swe owoce.
Znów się hufce rozdzieliły,
Znów się zbiegły z całej siły,
I odżyła walka krwawa,
Dym się kłębi i kurzawa,
A z kurzawy bojowiska
Tysiąc stalnych żądeł błyska,
Tysiąc wrzasków kipi gwarnie,
Że i ucho nie ogarnie.
Lecz gwar ciszej, ciszej gada,
I powoli kurz osiada,
Dym ku Niebu pobiegł śmiało,
Bojowisko rozwidniało.
Zwyciężeni trupem leżą
Lub w niewolę wzięci świeżo,
A zwycięzca, rad ze żniwa,
Imię wodza wykrzykiwa.
Na rumaku, jak śnieg białym,
Z okiem jasnem i wspaniałem,
Z głową w wieńcach, w złotej zbroi,
Tryumfator szyki stroi,
I przemawia do swej rzeszy,
I w rodzinne miasto spieszy,
By wawrzyny, co wziął w polu,
Nieść na ołtarz Kapitolu.

. . . . . .

* * *

Zygmunt skinął, uciszył Klabona:
Dosyć — rzecze — dziękuję za pieśnie!

Pieśnia rzymska, bogata, uczona,
Lecz mi zawsze na sercu boleśnie.
Nie trafiłeś do celu, Klabonie,
Choć się bitwę opiewać udało!
Bo kto walkę odprawia w swem łonie,
Walk rycerskich dla niego za mało.
Wojną trafiać do serca, co boli,
Złe, śpiewaku, wybrałeś narzędzie!
W państwach naszych, gdy Niebo pozwoli,
Jeszcze wojny tak prędko nie będzie!
My pragniemy braterskich sojuszy,
Dla spokoju tych krajów, dla wzrostu.
Ja chcę pieśni rzewniejszej, co z duszy,
Co do duszy przemawia po prostu!
Ej, Bekwarku, lutnisto nasz miły!
Ty, jak tuszę, ugodzisz w to snadno,
By się dźwięki o serce odbiły,
Aż nam chmury z nad czoła opadną!
Więc Klabonus zawstydzon umilka,
Bekwark zasię swe struny kołycha.
Trącił w struny... wywołał brzemień kilka...
Piosnka drżała rozkosznie a z cicha.
Takt za taktem, a słowo po słowie,
Czułeś ciepło i życie w tem tętnie,
Niby wietrzyk zaszumiał w dąbrowie,
Albo serce westchnęło namiętnie, —
I przygrywka do pieśni gotowa,
I przy lutni zaśpiewał w te słowa:

* *
*

PIEŚŃ BEKWARKA.

Nad mirtowe wonne gaje
Pozłocisty księżyc wstaje
I ułudne światła fale
Porozrzucał okazale.

Rzewny słowik w gęstej knieje
Szczebiotliwe tony leje,
Śpiewa pieśnię miłowania
I tęskliwą myśl odgania.
Ciepły wietrzyk piersi wzdyma, —
Pierś człowiecza nie wytrzyma,
Musi westchnąć z całą siłą,
Tam, gdzie sercu jego miło.
Gdy zarzuci noc oponę,
Jego serce rozmarzone
Z wiatrem lecieć chce od ziemi,
Puka takty słowiczemi,
Rzewną pojąc się tęsknotką,
W lubym dreszczu mdleje słodko.
Z cieniów mirtu i oliwy
Dolatuje odgłos tkliwy:
Arkadyjskich dziecko dolin,
Młodzian piękny, jak Apollin,
Dłoń dziewczęcą dzierżąc w dłoni,
Pieszczotliwie szepce do niej.

. . . . . .

Ona rada i nierada,
Słodkim głosem odpowiada,
To ze szczęścia westchnie z cicha,
To młodzieńczą dłoń odpycha,
To trwożliwie, to znów czulej
Ku ramieniu głowę tuli.
Jej opona lśni się biała,
A źrenica iskrą pała,
A jej oddech ciepłem wionie,
A jej serce kipi w łonie.
I dwa serca, słychać zdala,
Niby jedna zdroju fala,
Biją prędko, jednakowo...
Kocham!... kocham!... jedno słowo
Z ust obojga wyleciało.
A Kupido ze swą strzałą,

Ze swym łukiem i kołczany,
Z poza mirtów niewidziany,
Z lubym śmiechem, w liści gwarze,
Przyklaskiwa młodej parze.

* * *

— Dość! — zawołał król Zygmunt niechętno —
Źle wybrałeś twój przedmiot, niebożę:
Twojej pieśni, co życia gra tętno,
Anakreon zazdrościłby może;
Ale mnie, co na sercu żal noszę,
Taka pieśnia — to tylko łzy wzmaga.
Piać przede mną miłości rozkosze,
To zniewaga, Bekwarku!... zniewaga!
Znieważyłeś majestat monarszy,
Boś się z jego urągał boleści.
Czy myślałeś, że serce rozdarłszy,
Balsam pieśni mą duszę rozpieści?...
Idźcie sobie! gdy wasza pieśń taka,
Nie chcę słuchać miłości i wojny!
Czyż na dworze już niema śpiewaka,
Który w sposób życzliwy, przystojny,
Da mi ulgę w tęsknocie, jak z Nieba,
Ciężki kamień z mej piersi pokruszy,
Wyrozumie, co sercu potrzeba
I zadosyć uczyni mej duszy?
— Królu! — rzecze z ukłonem Radziwiłł —
Próżno żądać rzewności od Włocha!
Oni pragną, by słuchacz się dziwił,
Serc litewskich nie znają ni trocha,
Na domowe cierpienia i bole
Pieśń domowa najlepiej przystoi.
Jest tu u mnie na dworze pacholę,
W ukraińskiej zrodzone wsi mojej;
Gra na starym słowiańskim torbanie;
Różne pieśni wywodzi kozacze,
Że mi nieraz łza w oczach postanie

A wiesz, królu — ja snadno nie płaczę!
Pieśń niżowa, czy dumka litewska
W jego uściech odżywa inaczej.
Może Wasza Dostojność Królewska
Prostakowi swój posłuch dać raczy?
— Niechaj przyjdzie — rzekł Zygmunt — niech przyjdzie!
Przywołano pachołę do sali;
Zapłonione, w nieśmiałym zawstydzie,
Skłoniło się — stanęło w oddali.
Na skinienie książęcia i króla,
Torban zabrzmiał początek rozgłośny —
Zda się w polu stepowy wiatr hula,
Szumią jodły litewskie i sosny,
Wyją w Tatrach pioruny i burze, —
I przygrywka do pieśni gotowa,
Młody wieśniak wzniósł oczy ku górze,
Przy torbanie zaśpiewał w te słowa:

* * *

PIEŚŃ TORBANISTY.

— Czy ty orle jasnapióry
Siedzisz na kurhanie?
Zasępiłeś wzrok ponury,
Jak słonko w tumanie?
Twoje piersi, twoje silne,
Jakbyś skuł niewolą,
Jakieś dumki zamogilne
W twojej głowie bolą.
Hej, młodzieńcze, hej, ochoczy!
Czego tęsknisz z cicha?
Zasępiłeś jasne oczy,
Że łza nie wysycha.
Twoje dumki, twe sieroce,
Dumasz w każdą chwilę,
Na mogile spędzasz noce
I dni na mogile!

Orzeł mówi: Bym się cieszył,
Czyż wy tego chcecie?
Mnie orlicę strzelec przeszył,
A ja sam na świecie!
Młodzian mówi: Co ja roję,
Ani'm wyznać w sile;
Moja luba, dziewczę moje
W ciemnej śpi mogile!
— Och, nie dumaj tak głęboko,
Orle jasnopióry!
Och, młodzieńcze, otrzyj oko,
Spędź z nad czoła chmury!
Kto wywyższon nad drugiemi,
Kto ma orlą postać,
Choć mu tęskno na tej ziemi,
Musi orłem zostać.
Bo któż wzleci tak wysoko
Dla powietrznych straży?
Któż ze słońcem oko w oko
Spotkać się odważy?
Kto skrzydłami mgłę rozwieje?
Kto się w chmurę wgłębi?
Kto obroni ptactwo z knieje
Od szponów jastrzębi?
Hej, młodzianie! nie płacz dłużej,
Choć ci żyć mozolno!
Póki młodość święta służy,
Marnieć ci niewolno!
Bo od kogoż matka stara
Weźmie dług synowski?
Kto obroni od Tatara
Chaty naszej wioski?
Kto napasie twoje woły?
Kto ci zeżnie zboże?
Zwiezie snopki do stodoły?
Kto ci grunt zaorze?

Twoja luba nie w mogile,
Lecz wysoko w Niebie:
Ona będzie tam co chwilę
Modlić się za ciebie.
Gdy się znużysz w dzień upalny
Lub na mroźnym wietrze,
Ona, jak duch niewidzialny,
Z czoła pot obetrze.
Orle, sprawiaj ptasze stada!
Wiosce służ, młodzianie!
Na tęsknotę jedna rada:
Trud i bojowanie!
Orzeł z piórek kurz otrzepie,
Młodzian pancerz bierze;
Orzeł w chmurach, młodzian w stepie
Bojowali szczerze.
Trud niemały, plon niemały,
Odżyli na nowo;
Teraz świeci słońce chwały
Nad obudwu głową.

* *
*

— Dzięki tobie, chłopaku, o dzięki!
Dzięki tobie, piosenko rodzona! —
Mówił Zygmunt, twarz tuląc do ręki,
Drugą rękę przycisnął do łona —
Ty mi ulgę przyniosłeś, jak z Nieba,
Ciężki kamień na sercu się kruszy;
Tyś zrozumiał co sercu potrzeba,
Tyś uczynił zadosyć mej duszy.
Takiej pieśni, jak świętej modlitwy
Dobre słowa, skutkować powinny;
Bo zaprawdę! król Polski, kniaź Litwy,
Nie ma prawa rozpaczać bezczynny.
Jedźmy słodzić tęsknotę mogilną,
Ciężkiej pracy dźwigając brzemiona;
Jedźmy, książę! tam Kraków, tam Wilno,

Wielka ziemia monarchy stęskniona.
A gdy trudy i prace bez miary
Znużą siły na niwie ojczystej,
Może z Niebios dłoń lubej Barbary
Z mego czoła pot otrze kroplisty.

* *
*

I odgarnął włos jasny na czole,
Tam już było pogodnie i jasno;
Zadziwione pogląda pacholę,
Nad piosenką zdumiewa się własną;
Nie pojmuje skąd taka odmiana
Królewskiego pięknego oblicza?
A król hojnie nagrodził młodziana,
Kiesę złota za piosnkę wylicza.
Kniaź Radziwiłł weselej, ogniściej,
Tryumfalniej poglądał po sali.
Tylko Bekwark z Klabonem, lutniści,
Coś szyderczo do siebie szeptali.

10 października 1856. Borejkowszczyzna.

NOCLEG HETMAŃSKI.

GAWĘDA NA TLE HISTORYCZNEM.

„Wszakoż czasu wojny siła zależy na onej rozumnej śmiałości, która z wielkiego serca pochodząc a wykorzeniając z człowieka przyrodzone doległości i myśli stroskane, tak go umocnić może, iż nie tylko się nie lękać niebezpieczeństwa, ale go sobie ani kęs ważyć nie będzie.“
Górnicki — Dworzanin.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Było to dawno — lat temu ze trzysta,
Za świetnych czasów Zygmunta Augusta,

Gdy pięknie kwitła ziemia macierzysta,
A w niej nauka, cnota i rozpusta,
I brzydki zbytek, i nędza, jej dziecię,
Słabość, co sile służy za narzędzie:
Słowem, to wszystko, co na całym świecie
Po wszystkie wieki bywało i będzie.

II.

Zimowych wichrów niedobra swawola
Ciężkiem śnieżyskiem osypała pola;
W lasach ucichła ptaszęca pogłoska,
Ciążą w ich gniazdach lodowate bryły;
Zielona jodła, leszczyna i brzozka
Każdą gałązkę śniegiem ubieliły;
Opadły z liśćmi rozkoszne ich cienie,
A srogi wicher urąga się jeszcze,
W zlodowaciałe gałęzie szeleszcze
I wywoływa płaczliwe jęczenie.
Lecz nikt nie słyszy, gdzie się skarga miota,
Bo w okolicy pustka i głuchota;
A choć dym z wioski zwija się po lesie,
Tam wiatr żałosnych jęków nie doniesie.

III.

Na pustem polu, gdzie kończy się ścianka,
Samotna chata stała, jak wygnanka.
Dach jej podparty, śniegiem przygnieciony,
Ściany pochyłe, pobite okienka;
A przy ogródku dwa zamarłe klony
I stara grusza boleściwie stęka;
Stara stodoła, obora, dwa śpichrze,
Z dachem ze starej i podartej słomy;
A wszystko nędza, jak duch niewidomy,
Pookrywała w łachmany najlichsze.
Smutnie coś sterczy przy pochyłej ścianie
Żóraw od studni i gniazdo bocianie.
Pochyły krzyżyk z łacińskiemi słowy

Oszkliła lodem, zaśnieżyła zima.
W tej starej chacie żył szlachcic Sulima,
Nad pańskim lasem odwieczny gajowy.
I wewnątrz chatki niewielkie dostatki:
Na czarnej ścianie gromnica się bieli,
Kraśnieje obraz Przenajświętszej Matki
I sucha palma od Kwietniej Niedzieli;
Srebrzy się kilka cynowych talerzy,
Topór i oszczep połyska się rdzawy,
Przy ścianie ławy i stół wedle ławy,
Na stole obrus bieluchny i świeży,
Na nim, folgując zwyczajowi gwoli,
Bochenek chleba i naczynie soli.
Przez wązkie okna chmurny dzień zimowy
Szarą źrenicą patrzy do chałupy;
Po kątach cienie, jak grobowe słupy,
Coraz to śmielej wyciągają głowy,
Coraz to skrzydła rozpuszczają szerzej,
Jak czarne błony nocnych nietoperzy.
W chatce ruchawo: z szerokiej łuczywy
Strużą szabelki dwaj chłopacy młodzi;
Przy oknie starzec, pochyły a siwy,
Pobożne pieśni z psałterza wywodzi;
Przy drugiem oknie jego piosnkę dzieli
Młoda niewiasta, siędząc przy kądzieli.

IV.

Zmrok coraz gęstszy po komnacie pada,
Już się skończyło śpiewanie i praca,
Młoda niewiasta trwożliwie powiada:
Co to jest, dzieci, że ojciec nie wraca?
Wyszedł na chwilę zapolować w borze,
A tu już mija niejedna godzina,
Zachodzi słońce i ciemnieć poczyna,
I brzydka zamieć wszczyna się na dworze.
Nie bój się córko — starzec jej odpowie, —
To nie pierwszyna dla takiego człeka;

Gdzieś może sarnę obsadził w parowie,
Albo na lisa przy zapadni czeka.
Hej, hej, za młodu i ja to umiałem
Nocować w lesie nad ostępu smugą,
Albo, łowieckim uniesiony szałem,
Odsadzić z domu za milę, za drugą.
I syn mój nieraz, choć dziecina młoda,
Placu dotrzymał wśród najtęższej zimy;
Bo w naszym rodzie płynie krew nie woda,
Z pustemi torby wracać nie lubimy.
Jak świat pamięta, w odwiecznej kolei,
My tu niejedną deptaliśmy ścieżką:
Syn mój Żegota, a twój mąż, Agnieszko,
To szósty z rodu gajowy w tej kniei.
Lat już ze dwieście, chwalić Pana Boga,
Domowi Kiszków niesiemy usługi,
Szlachtaśmy z wieków, choć nędzna, uboga,
Lecz herb Sulima nie gorszy niż drugi.
I o tem wiedzieć powinnaś zawczasu,
Jaka jest nasza ustawa rodzinna:
Że kiedy głodni powracamy z lasu,
Misa na stole dymić się powinna,
I flasza z winem, miodem i gorzałą,
Wedle ochoty, albo na co stało.

V.

Tak z uroczystem pokiwaniem głowy,
Składając psałterz na sczerniałej balce,
Stary Sulima mówił do synowej,
Z czego się śmieli serdecznie dwaj malce.
Jeden z nich mówił, pocieszając szczerze:

Ej, matko, matko! nie frasuj się, proszę,
A ja wam drzewa i wodę nanoszę,
Rozpalim ogień, zgotujem wieczerzę;
Gdy ojciec wróci i opończę zdejmie,
I łuk, i oszczep powiesi na ścianie,

Toż będzie wesół i wdzięczen uprzejmie,
Kiedy wieczerzę gotową zastanie!
Matka chłopczynę pogłaskała rada:
— Przynieś mi, chłopcze, wodę i polanka.
Nie prawdaż, ojcze, że zuch będzie z Janka?
Że będzie z niego gospodarz nielada?
Drugi chłopczyna, który dotąd milczy,
Rzekł: Ja wam ojca przyprowadzić muszę,
Tam za rzeczułką, gdzie wioskowe grusze,
Wiem jedno miejsce, kędy przesmyk wilczy.
Pewnie tam ojciec, za drzewem schowany,
Ze swym oszczepem czeka na bestyę.
Dajcie mi, dziadku, maczugę ze ściany,
Jak spotkam wilka to mu łeb rozbiję!
Dziad się uśmiechnął twarzą i oczyma,
Małego zucha całuje i głaska:
Hoduj się, chłopcze! jeśli Boża łaska,
Ty będziesz dzielny Hrehory Sulima!
Może zostaniesz, jak twoi przodkowie,
Może twój oszczep na prawdę dobodzie
Tatara w stepie, a dzika w parowie,
A Niemca w jego murowanym grodzie;
Gdy my lat tyle gnuśniejemy w lesie,
Ty może pójdziesz na kraju usługę.
Bóg cię błogosław! gdy ci pilno chce się,
Biegaj do lasu, bierz moją maczugę,
Wyszukaj ojca w ostępowej głuszy
I wilka tutaj przyprowadź za uszy.
— Ach! — przerwie matka — a bójcie się Boga!
Gdzież to mu latać, po śniegu, po nocy?
Ale Hrohory nie słyszał u proga,
Porwał maczugę i ruszył, jak z procy.
Tylko przed okny zatętniwszy żywo,
Zakolędował piosenkę myśliwą.

VI.

Tymczasem matka, przy pomocy Janka,
Przystawia wodę i ognisko nieci;

Dziad zasiadł stare naprawować sieci,
Bo szedł na rybę jutrzejszego ranka.
Tylko coś płomień leniwie się bierze,
Wiatr go zadyma od chwili do chwili,
Huczy w kominie żałośnie i kwili,
Jak dusza z czyśca prosząc o pacierze;
A wieczór ciemniej i ciemniej koleją
Zakrywa szyby swoją szarą dłonią,
A płachty śniegu po szybach się kleją,
A bryły lodu po okienkach dzwonią.

VII.

Wtem słychać z dala — zaskrzypiały wrotka,
I psów myśliwych zrywa się gromada,
To szczerym piskiem domowego spotka,
To gniewnym głosem na obcych ujada;
I na podwórku słychać tuż przy ścianie
Tętnienie koni i ludzi gadanie.

VIII.

Stuknięto w rygle — i drzwi pochylone
Skrzypnęły z trzaskiem, jakby od wyłomu,
Chatni mieszkańce cofnęli się w stronę:
Gość niebywały zjawił się do domu.
Zawiany śniegiem, w bogatej niedźwiedni,
W sobolej czapce, zjawił się pan stary:
Złociste klamry u jego czamary,
Jakich wieśniacy nie widzieli biedni;
A w jego ręku pozłocista spisa,
A biała broda na piersi mu zwisa.

IX.

Za starym panem dwaj młodzi panowie,
O ile ciemność rozeznać pozwoli,
W krótszych czamarach z kosztownych soboli
I z blaszanemi czapkami na głowie.
Wszedł i Sulima, tutejszy gajowy,
Z trąbką przez plecy, z oszczepem we dłoni;

Zaprasza panów uprzejmemi słowy,
I uniżenie każdemu się skłoni:
Ot moja chata, miłościwe pany!
Choć ciasna, ciemna i ubóstwem świeci,
Lecz zawżdy lepsze jakiekolwiek ściany
Niż kryta puszcza wśród śnieżnej zamieci.
Pan zdjął swój kołpak i rękę mu poda,
I sute klamry swej szuby odpina:
Miła mi — rzecze — takowa przygoda,
I wielce wdzięczna uprzejmość waścina.
Co do wygody... ho! jam żołnierz stary,
Wiem, co są w polu zamiecie zimowe.
Gdy zasnąć pilno, nie trzeba kotary,
Burka za pościel, a siodło pod głowę.
U mnie w obozie — a broń Panie Boże! —
Miększy spoczynek nie ujdzie na sucho:
Sarmacki żołnierz tylko zasnąć może
Na jedno oko i na jedno ucho.
Oczu i uszu nie zakrywać dłonią.
Bo trzeba słyszeć, jak w trąbę zadzwonią.
Czy prawdę mówię, mnie wielce łaskawy
Regimentarzu koronnej buławy?
Drugi pan nizko skłonił się i powie:
Za to śpią smaczno i miasta, i wioski;
Wiedzą, że czuwa, pilnując ich zdrowie,
Hetman koronny, waleczny Tarnowski.
Czuwaj nam wieki, a nikogo z ludzi
Tatar swym wrzaskiem ze snu nie obudzi!

X.

Na głośne imię wielkiego hetmana
Wstecz się cofnęła domowa gromadka,
Starzec Sulima przypadł na kolana
I z siwej rzęsy łzę otarł z ukradka.
Młody syn jego, tutejszy gajowy,
Cofnął się k'ścianie i stanął z daleka,
Jako na straży żołnierz szeregowy,

Gdy hetmańskiego rozkazania czeka.
W kąt się cofnęła strwożona małżonka,
A mały Janek uciekł do komory;
Tylko do pana zbliżył się Hrehory
I w jego szablę poufale brząka.

XI.

Lecz już panowie zrzucili swe szuby,
Błyszczą w zbroicach, z bohaterską twarzą.
Gospodarz, pełen obawy i chluby,
Pyta się gości, czem służyć rozkażą?
— Krom twego serca a uprzejmej woli,
Już nam inakszej służby nie potrzeba;
Daj nam bochenek razowego chleba
I szarą szczyptę potłuczonej soli.
Żołnierskie dzieci, ja i ci ichmoście,
Tośmy na takie specyały mistrze;
A flasza wina, co na Węgrzech roście,
Jeszcze się znajdzie w żołnierskim tornistrze.
Na wiązce siana albo na wiszarze
Odprawim sobie wypoczynek krótki.
Niechaj trębaczom pan rotmistrz rozkaże
O pierwszych kurach zagrać do pobudki.
Niech towarzysze i żołdacy luźni
Opatrzą konie, czyli wszystkie zdrowe?
A który zgubił lub stępił podkowę,
Niech go opatrzą w chorągiewnej kuźni;
Niechaj żołnierstwo od wioskowych ludzi
Nic nie wymaga, ni prośbą, ni siłą.
Zamknąć gospodę, nim się dzień rozbudzi,
By tam hulanki i waśni nie było.

XII.

Takie pan hetman dawszy rozkazania,
Trzy razy ręką uderzył po stole.
Wódz chorągiewny pokornie się kłania
I wyszedł na wieś spełnić jego wolę.
Tarnowski został wraz z regimentarzem;

Słudzy przynieśli posiłek i wina.
Jeszcze niespełna upływa godzina,
Hetman brat za brat zna się z gospodarzem;
Każdemu słówko serdeczne powiedział,
I kubek wina posilnego nalał.
Zatarł się pana i nędzarza przedział,
Tarnowski wszystkich z sobą spoufalał,
Wszystkich ośmielał, tejże samej pory;
Kocha go cała gajowego chatka:
I dziad sędziwy, i ojciec, i matka,
Trwożliwy Janek i dzielny Hrehory.

XIII.

Na skromną pościel dla dostojnych gości
Wiązkę murogu posłano na ziemi;
Służba hetmańska wezgłowia namości,
Zaścieła siano skóry lamparciemi;
A gospodarstwo — w pobocznej komorze
Do snu błogiego mieści się, jak może.
A gdy sen wszystkie ukołysał głowy
Miłem znużeniem pracy i podróży,
Hetman śnił wojnę i rozgwar sejmowy,
Miłą ojczyznę, której wiernie służy;
Pan regimentarz hetmańską buławę,
Lub może taniec tatarskiego harca;
A wszyscy chatni, od dziecka do starca,
Śnili hetmana przyjęcie łaskawe.

XIV.

Czy to w pokoju, czy to podczas bitwy,
O pierwszych kurach na pobudkę grano.
Hetman z pościeli ocykał się rano
I rozpoczynał żołnierskie modlitwy.
Wiedział: skąd siła bojowania czerstwa?
Jak mocna wiara zastępy rozbija?
Znał, że jest wodzem polskiego rycerstwa,
Którego hasłem Jezus i Marya.
A że najsilniej sprawiedliwość święta

Wojsko od gniewu Bożego zasłania,
Więc baczny hetman codziennie pamięta
Czynić swe sądy, dawać posłuchania.
Czy to w namiocie, czy w spokojnej chwili,
Każdego ranka ma tłumny zbiór gości;
A kto hetmańskie podwoje uchyli,
Już nie odejdzie bez sprawiedliwości.
Jak dobry ojciec, nie lęka się pracy,
Każdego wpuszczać po kolei każe:
I pułkownicy, i regimentarze,
I chorążowie, i prości żołdacy,
Każdy, kto przyszedł, nie będzie poślednim,
Może swą sprawę wyspowiadać przed nim.
Ale najpierwej, najuprzejmiej spotka,
Kto mu się widzi najbiedniejszym z rzeszy,
Płaczącą wdowę, skrzywdzonego kmiotka
Sprawiedliwemi wyroki pocieszy.

XV.

Biada, kto skrzywdził, kto zasiał niesnaski!
Zaraz najsroższe ukaranie bierze:
Serce hetmana w jednostajnej mierze
Skłonne wymierzać łaski i niełaski.
Kiedy był srogi, to skry sypie z oka,
Kark się napręża, krew na twarz wypływa,
Gromem wybucha jego pierś szeroka,
Włos mu się jeży, jak gdyby lwia grzywa.
Lecz gdy przybierze oblicze łaskawe,
Tak miłe oczy, tak wdzięczne ma słowa,
Że rzekłbyś, patrząc na jego postawę:
To Anioł z Nieba, a nie pan z Tarnowa!
Kiedy był wesół, to celował w żarcie
Między najpierwsze żartowniki dworu;
A kiedy, wedle pańskiego humoru,
Używał gestów na swych słów poparcie,
Ręką i głosem udawał tak składnie
Postać, i ruchy, i mowę swych osób,

Że kto usłyszy, od śmiechu się kładnie; —
Że podziwieniu odjąć się nie sposób,
Jak w jednym człeku Bóg tyle rozdmucha
Rozumu, serca i swobody ducha?

XVI.

Znowu na hasło surmy uderzyły
Po wszystkich wioskach, gdzie wojskowe leże;
Snem i modlitwą pokrzepiwszy siły,
Znów się rycerstwo do pochodu bierze.
Już świt szarzeje, już widno na drodze,
I las zamglony czernieje z oddali.
Wołają: „Na koń!“ chorągiewni wodze,
Surmacze pieśnię pochodu zagrali.
Na czele wojska idą przednie straże,
W każdym szeregu po sześć i po cztery;
Każda chorągiew, jak powinność każe,
Wedle hetmańskiej przeciąga kwatery.

XVII.

Pod namiestników i chorążych wodzą,
Stoją husarze, pancerni, łucznicy,
Surmacze grają takt Bogarodzicy,
Rycerze słowa piosenki wywodzą.
Pieśń płynie w Niebo z pobożnemi słowy
Błogosławieństwo wybłagać dla broni.
Łoskot oręża i końskiej podkowy
Po śniegu tętni, i chrzęści, i dzwoni.
Tam rumak parska, tam skrzypi kołasa,
Tam wódz z rozkazy wstecz i naprzód hasa,
A trąba zbiera te wszystkie rozgwary
Pod jedne takty i do jednej miary.

XVIII.

Na czele pierwszej wyborowej straży,
Na źrebcach bielszych niż zimowe śniegi,
Idzie chorągiew hetmańska husarzy,
Sam regimentarz wiedzie jej szeregi;

A na chorągwiach nad ich głową pływa
Znamię Tarnowskich, herbowna Leliwa.
Na długiem drzewcu u każdego człeka
Mały proporczyk z wiatrami się chysta;
Świetne pancerze błyszczą się z daleka,
U ramion skrzydła, lub blacha srebrzysta;
Na jasnym hełmie, albo złota pręga,
Lub końska kita, albo strusie pióro,
Głowa Meduzy patrząca ponuro,
Albo gadzina skręcona jak wstęga;
Przez ramię męża bohatersko zwisa
Skóra lamparta, lwa albo tygrysa.
Poza chorągwią wielkiego hetmana,
Pod różnych panów znakomitą wodzą,
Insze husarskie chorągwie przechodzą.
Owdzie w rumakach, tam w hełmach odmiana,
Albo twarz ludzka odmianę wydaje,
Tam barwą włosów, tam oczu wyrazem;
Bo się pod sztandar zgromadziły razem
Szerokie rzeczypospolitej kraje.
Barczysty Rusin z ukraińskiej strony,
Co w czarnem oku błyskawicą pała;
Kudłaty Litwin, na siodle schylony,
Cichy, jak skała, i twardy, jak skała;
Dalej koronne, pełne ognia dzieci,
Wielkopolanin i góral tatrzański;
On pierwszy sygnał zrozumie hetmański
I w pierwszy ogień na oślep poleci,
Lecz kiedy skrzydła w podlocie nadłamie,
Radby się oprzeć o litewskie ramię.
Bo gdzie szerokie w dzierżeniu są kraje,
Tam wedle plemion różne dary Boże;
A czego jednej ziemicy nie staje,
To druga ziemia wynagrodzić może:
I na skinienie wszechmogącej myśli
Z rozlicznych cząstek powstaje rodzina,
W jedyną całość zrasta się najściślej,

I jednem sercem oddychać poczyna,
I spólną dolę, niedolę, nałogi,
Spólnych przyjaciół i spólne ma wrogi.
Gdy hetman z okna szykowne husarze
Przejrzał i sprawił wedle swojej chęci,
Idą poślednie Petyhorców straże,
Z drzewcami włóczeń, tarczmi osłonięci.
Dalej pancerni — jak duchy z pod ziemi,
Ich piersi, głowa i twarz cała w blasze;
Rękami, w łuski żelazne kutemi,
Dzierżą stalowe noże i pałasze.
I na ich koniach zbroica ze stali,
Że patrząc zdala przy promieniach wschodnich,
Takie promienie i blask bije od nich,
Że niby jeździec i rumak się pali.
Dalej piechota — teutońscy męże,
Co służą wojsku polskiemu za najem,
Zbrojni w oszczepy, miecze i pawęże,
Tarczę do tarczy gdy przycisną wzajem,
Żadnego człeka nie widzisz na oczy,
Lecz mur żelazny, co za wojskiem kroczy.

XIX.

Z okien strzeleckiej zadymionej chaty,
Gdzie świec jarzących paliły się szczęty,
Patrzał na wojsko wódz siwy, brodaty,
Cieszył się orzeł swojemi orlęty:
Szykowna była piechota i jazda...
Rumieniec wyszedł na twarz jego bladą,
Zdawał się mówić: Już leć, młode stado,
Bronić od sępów matczynego gniazda!
Któż cię nauczy bojowych podlotów?
Kto zahartuje ostrze twego dziobu?
Krew moją z wami przelewaćbym gotów,
Alem ja stary — czas kościom do grobu.
Tak zda się hetman w głębi ducha marzy,
Jeżeli sądzić po spojrzeniu łzawem.

Odgarnął łezkę sobolim rękawem,
Łaskawy uśmiech zagrał mu na twarzy.

XX.

Pańskie spojrzenia miłościwie biegą
Wokoło skromnej chaty gajowego;
Lecz nie czekając, aż je pan ośmieli,
Tam wszystkie kąty już weselem brzmiały,
Wszyscy do okien, do drzwi się cisnęli
Zobaczyć wojska pochód okazały.
Starzec Sulima, patryarcha rodu,
Patrzał oparty na okiennej ramie,
Przypomniał swoją żołnierkę za młodu
I wylał łezkę, co uczuć nie kłamie;
Łezka po zmarszczkach toczy się nieśmiało
Na siwe wąsy i twarz ogorzałą.
Gajowy, mając u nóg swoich psiarnię,
Patrzał z boleścią na te lasy cudze,
Jakby się wstydził, że dni tera marnie,
Mogąc ich użyć w ojczystej posłudze.
Błagał spojrzeniem husarskie skrzydłacze:
Weźcie mnie, bracia, pod wasze proporce,
A ja się jeszcze poczciwie odznaczę
Wpośród pancernych, między petyhorce!
Uśmiech na twarzy młodej gospodyni,
Nawpół zdziwiony, a nawpół wesoły;
A młody Janek, nie wiedząc, co czyni,
Czepiał się trwożnie macierzyńskiej poły.
Mały Hrehory, stojący na dworze,
Nic okrom wojska nie widzi, nie słyszy,
Oczu od hufców oderwać nie może,
Wyciosał kijek w kształcie ich bardyszy;
A gdy obaczył, jak u wrót zagrody
Rumak hetmański kopytami bije,
Żywo skraśniały dziecinne jagody,
I klaskał w ręce, ściskał go za szyję,
To snopkiem owsa, to garsteczką siana
Pieścił, przynęcał wiernego kasztana.

XXI.

Takie się chłopię hetmanom spodoba.
— Umiesz ty jeździć? — zapytuje zucha.
— Czy umiem jeździć? najłatwiejsza próba!
Koń Bóg wie jaki zaraz mię posłucha.
Czy umiem jeździć? obaczyłbyś wasze,
Jak ja na polu zająca dogonię!
Któż naszą klaczkę prowadzi na paszę?
Któż tu objeżdża ostępy i błonie?
Kiedy ja świsnę, to aż iskry lecą!
Tylko, że klaczka chromieje nam nieco...
Więc hetman wesół skinął na luzaka:
Dajcie mu konia, niechaj nas przekona.
Hrehory spojrzał, jakby lotem ptaka
Wskoczył na siodło, poprawił strzemiona,
I naprzód stępo a zwolna przeznawszy,
Z jakim rumakiem przychodzi robota,
Coraz puszczając w pęd żwawszy a żwawszy,
Mistrzowskim kręgiem zawinął u płota.
Choć stracił czapkę, porozwiewał suknie,
Krew polska w sercu zakipiała młodem;
Chciał lecieć dalej — lecz hetman ofuknie:
Waszmość mi konia zmęczysz przed pochodem!
Wieśniak pokraśniał, zeskoczył ze siodła,
Chciał się napieścić z olstrami, z czaprakiem;
Ale go matka przywołała znakiem
I z pogróżkami na stronę odwiodła.

XXII.

— Przebaczcie, matko, nie strofujcie dziecka! —
Powiedział hetman z łagodnym uśmiechem —
W młodej dziecinie zapał nie jest grzechem,
Znać, że się burzy bujna krew szlachecka!
Rycerskich dzieci to zwyczajna kolej.
Co miało gnuśnieć, niech burzy się wolej.
Tu w lasach waszych nie szukać mu chleba;
Niechby się okrył dostojniejszą chwałą:

Rzeczpospolitej silnych rąk potrzeba,
I serc gorących potrzeba niemało.
Wiecie co, matko? ja lubię to chłopię:
Silną ma rękę i serce gorące.
Ja go powiodę po piękniejszym tropie,
Niżby po knicjach miał tropić zające.
Czy chciałbyś, chłopcze, kiedy król rozkaże,
Dosiąść rumaka, ot jak ten bułany,
Odpierać Turka od koronnej ściany,
Tropić Tatara na podolskim jarze?
Czy chciałbyś, pytam?

Hrehory z ukradka
Spojrzał na konie, na ojca, na dziada,
A choć mu zdala pogroziła matka,
Do nóg hetmańskich z dziękczynieniem pada.
Dziad rozczulony klękł u drugiej nogi:
Czołem ci, panie, czołem niech uderzę!
Żeś, nawiedzając nasz domek ubogi,
Raczył nam wskazać, że i my rycerze.
My stara szlachta, w łowieckiej zabawie
Nędzą przykuta do leśnej trzebieży,
Od dwóch pokoleń zapomniała prawie,
Co święcie od nas krajowi należy.
Weź mego wnuka, koronny hetmanie,
Dzielić z rycerstwem mrozy i upały!
Niech się krajowi pożytecznym stanie
I krwią oczyści nasz herb zaśniedziały!

XXIII.

Tarnowski starca uściskał za szyję,
W pogodne czoło ucałował wnuka.
Matce choć serce boleściwie puka,
Ojcu na oczach chociaż łza się wije,
Daremna rada i krótkie wybory:
Przywiedli konia z wojskowych bagaży,
Wskazano miejsce — i młody Hrehory
Wziął posterunek przy pośledniej straży.

Hetman mu przyrzekł rynsztunek i zbroję;
Tymczasem w prostej i lichej czamarce,
Spiesząc wojenne dokazywać harce,
Mimo łzy matki, ojca niepokoje,
Całował ojca, i matkę, i brata,
I brodę dziada bieluchną, jak mleko, —
I jużby dusza młodzieńca skrzydlata
Chciała ulecieć daleko, daleko!...

XXIV.

Zagrano sygnał: w pokoju czy w wojnie,
Hetman na hasło wojenne nie drzemie;
Chatę Sulimów udarował hojnie,
I chrobrą nogę stawiając we strzemię,
Święcie przyrzekał na godność rycerza
Być Hrehoremu pomocą i radą...
Ale już trąbka powtórnie uderza,
Czas się połączyć z wojskową gromadą.
Każdy rumaka ostrogami spina,
I dziarskim kłusem ruszyli za wrota;
A nad Hrehorym leci łza matczyna
Z błogosławieństwem na drogę żywota.
Niewdzięczne dziecię! nie schyliło głowy
Przyjąć swej doli niebieski zadatek;
Tak go zapalił ów zawód wojskowy,
Że się do wiejskich nie ogląda chatek,
I rumakowi popuściwszy wodze,
Wyprawia harce w rozmaite strony,
A bieżąc w przyszłość po nieznanej drodze,
Nie dba o przeszłość, jak o sen prześniony.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Wkrótce mu dano hełm, pancerz i zbroję,
Proporczyk, pałasz, rusznicę do strzału,

Hrehory zrzucił skromne suknie swoje,
Czamarę wilczą i płaszcz z samodziału.
Spojrzał ze wstydem na stare odzieże,
Jakby je chować za brzydki miał zakał,
Rzucił na drodze — niech kto chce zabierze, —
I ani westchnął, i ani zapłakał.
Pysznił się, w nowe przystrojony wdzięki,
Jak wyłuzane z poczwarki motyle;
Nie uszanował wieśniaczej sukienki,
W której u ojca przechodził lat tyle.
Patrzała na to drużyna wojacka,
Lecz nikt nie ostrzegł w hetmańskim taborze,
Że taka wzgarda — to rzecz świętokradzka,
Za którą Pan Bóg rozgniewać się może.

II.

Hetman, nim wojsko przyszło do stolicy,
Już Hrehoremu opieki udziela.
Stary pancerny, Derszniak z Rokietnicy,
Był mu dodany za nauczyciela:
Człek to bywały w bojowem rzemiośle,
Towarzysz broni Tarnowskiego Jana,
I wiedział hetman, że wszędy wygrana,
Kędy Derszniaka z Rokietnicy pośle.
On, na hetmańskiej starzejąc posłudze,
Nie miał ni domu, ni żony, ni syna;
Nie chciał spoczynku, kędy domy cudze,
Obóz — to jego i dom, i rodzina.
Z nawisłem czołem, z pochyloną głową,
Z długiemi wąsy aż do pół pancerza,
Nie lubił z długą rozszerzać się mową;
A kiedy wzrokiem do kogo wymierza,
Tobyś powiedział: błyskawica z chmury,
Albo rozbójnik, albo wilk ponury.
Nie był on wszakże ni wilkiem, ni zbojem,
Lecz tylko ostrym żołnierzem z natury.
Duch jego błogim cieszył się spokojem,
Choć czoło w groźne nafałdował chmury.

Wpatrzył się, wsłuchał w Tarnowskiego postać,
Był niby drugim hetmana obrazem,
Nietylko myślał jakby mężnym zostać,
Był to koronny obywatel razem.
Nieraz się śmiała żołnierzów gromada,
Gdy zamiast dzielić ich z czarką zabawy,
Przy smolnym szczepie wieczorem zasiada,
Czyta jak prawnik sejmowe ustawy,
Lub, gdy zabraknie słuchaczów hussarzy,
O rzeczach państwa sam ze sobą gwarzy.
Koń jego tuczny, czysty, pełen cnoty,
Bo sam go czyści, i karmi, i poi.
Jakby w zwierciadle przejrzysz mu się w zbroi,
Choć stary Derszniak nie jeździł w zaloty.
Najgłośniej śpiewał modlitwy i marsze,
I różnych piosnek posiadał niemało, —
A wszystkie piosnki raźniejsze i starsze,
Niż te, co dzisiaj rycerstwo śpiewało.
Derszniak był pierwszym — gdy się w szable grzmocą,
I bił się dobrze, i rozumiał o co.

III.

Takiego człeka niezachwianej wierze
Hetman poruczył Sulimę Hrehora;
Przyszli na nocleg — i tegoż wieczora
Wespół z Derszniakiem stanął na kwaterze.
Gdy wytchły konie unużone drogą,
Kiedy się służba krząta do wieczerzy,
Piersi wyzute z żelaznych pancerzy,
Kiedy swobodniej oddychać już mogą,
Siedli przy smolnem ognisku łuczywy
Młody Sulima i pan Derszniak siwy.
Starzec z początku coś dumał w milczeniu;
Potem z ukosa spojrzał na pacholę,
Uderzył z wolna po jego ramieniu
I szorstką ręką pogłaskał po czole.
— Aha młodzieńcze! wczora o tej porze

Ani myślałeś być chwycon z nienacka;
Byłeś przy matce w rodzinnej komorze,
Strugałeś sobie do zabawki cacka.
Przez noc zmężniałeś i urosłeś zda się,
I małe dziecko wyszło na hussarza.
Chciałbyś powrócić — ale już po czasie,
Musisz rad nierad iść, gdzie dola zdarza...
A szkoda matki, ciepłego zapiecka,
Szkoda braciszka, szkoda swojej strony!
Tutaj nikt miodem nie nakarmi dziecka,
Nikt nie ulula, kiedyś snem zmorzony!

IV.

Tak stary husarz z uśmiechem przyjaźni
Gwarzył, w nadziei, że chłopię rozdraźni;
Bo chciał się pośmiać z łez małego zucha
I pochamować niewczesne płakanie.
Ale Hrehory niecierpliwie słucha...
— Wstydźcie się bredzić, miłościwy panie!
Czego żałować matki albo brata,
Żałować nędzy, która nas tak gniecie?
Co mi tam chata! u mnie wszędzie chata,
Piękniejsze chaty zobaczę na świecie.
A nasze strony niewesołe, leśne,
Wilk tylko zajrzy do naszej ustroni;
Ja tutaj w gwarze obozowym wskrzesnę,
Zwyknę do konia, zuczę się do broni.
Pójdę na wojnę, na rycerskie harce,
Zdobędę sławę i pieniędzy dosyć;
Głupiecby chyba, mogąc złoto nosić,
Tęsknił po swojej siermiężnej czamarce!...

V.

Przykro ta mowa ubodła Derszniaka,
Więc brwi namarszczył i wąsy najeża:
Waść, jako widzę, stworzon na żołdaka,
Nie na chrobrego polskiego rycerza!

Powiedz mi, proszę, jak się waści zdawa,
Na co się przyda wojenna wyprawa?
— Na co się przyda?!... to śmiesznie pytacie!
Bronić ojczyzny od obcej napaści!
Derszniak odfuknął: Gdzież ojczyzna waści,
Jeśli nie tęsknisz ku rodzinnej chacie?
Jeżeli walczysz dla marnych pieniędzy?
Jeśli ci wstydno twego ojca nędzy?...
Bronić ojczyzny!! — A wieszże, młokosie,
Co jest ojczyzna? — Oto ja ci powiem:
Starzy ją zwali swem życiem, swem zdrowiem,
Służąc jej wiernie w złym i w dobrym losie.
Co jest ojczyzna? — To twej chaty ściany,
To dach twój stary, słomą poszywany,
To zagon żyta, co cię karmi w głodzie,
Z rzeczki twej woda, co cię rzeźwi w lecie,
To piękność dziewcząt, co ci serce bodzie,
To twoje niebo najpiękniejsze w świecie,
Smak twego jabłka, cień twojej jabłoni,
To dzwon kościelny, co ci na Mszę dzwoni,
To twoich sejmów trwałość i swoboda,
To twego ojca osiwiała broda...
Oto ojczyzna — za jednym wyrazem;
Wszędzie cząstkami i pospołu razem.
Takiej ojczyzny od Tatarów bronim,
Taką kochamy, jesteśmy z niej hardzi;
Lecz kto ojcowską zagrodą pogardzi,
Już się rycerza nie spodziewaj po nim;
Pójdzie na wojnę — nawet krew przeleje,
Lecz mu na czole wyryta sromota;
Godzina próby łacno go zachwieje
Marnym postrachem albo garścią złota.
Och! nim złą dolę przyniesie rodzinie,
Niechaj go pierwsza kula nie ominie!

VI.

Tu stary Derszniak potarł się po czole,
Pokraśniał cały, jak makiem zakwitnął,

Wziął konew miodu stojącą na stole,
Wypił z pospiechem i zębami zgrzytnął.
Rzucił na ławę swój kaftan z kolczugi,
Na wiązkę słomy rzucił się jak długi,
I słychać było, że boleśnie płacze.
Po chwili zasnął, przytulon do kąta.
A gdy pobudkę zagrali surmacze,
Najrańszy ptaszek w chorągwi się krząta.
On pierwszy dojrzy, czy dobrze rozdano
Dla koni wodę, i owies, i siano.

VII.

Na jego słowa czuł biedny Hrehory,
Że go przebiegły niespokojne dreszcze.
Lecz insi w śmiechy: At, zważałbyś jeszcze!
On zawsze taki, na śledzionę chory.
Dajcie mu pokój, niech sobie gawędzi,
Niech sobie płacze, niech się we śnie miota:
Czy to deszcz pada, czy to Derszniak zrzędzi,
Przy takim szmerze spać większa ochota.
Więc nie zważajmy na jego pacierze,
Bo jego z dawna natura już taka.
Waści pan hetman na opiekę bierze,
To więcej znaczy, niż łaska Derszniaka.
Chociaś młodziuchny, lecz dobra otucha,
Konia dosiędziesz, nie kwilisz po domu.
Pan hetman ciebie uściskał bez sromu;
Znaczno, żeś pełen rycerskiego ducha;
My cię wyuczym, jak się wroga bije!...
Tak go cieszyli bracia chorągiewni;
Młody Hrehory płaczem się rozrzewni,
Wszystkim husarzom rzucał się na szyje.
I miód przynieśli, i kolej wypili,
Szedł jeden puhar, potem drugi spory;
Z całą chorągwią już młody Hrehory,
Jak gdyby z bracią, zżył się w jednej chwili.
Niktby nie zgadnął, że ten chłopak żywy

Był jeszcze wczoraj wioskowym niezdarą,
Strugał dla siebie szabelkę z łuczywy,
Nosił opończę siermiężną a starą.
Dziwna w dniu jednym stała się odmiana:
Całej przeszłości już i pamięć traci.
On w nich pokochał kolegów i braci,
Oni w Hrehorym pieszczoty hetmana.

VIII.

Zagrano sygnał, jak porządek każe.
Gdy kogut północ zaśpiewał nad głową,
Jedni pobiegli odprawować straże,
Drudzy opatrzyć czeladź obozową,
Insi do wioski na płoche zaloty,
Insi obejrzeć obozowe stajnie,
Tylko Hrehory coś śni nadzwyczajnie
O chwale bitew, o przyszłości złotej!
A stary Derszniak rzuca się na słomie,
Coś rozespany niedorzecznie prawi,
Za jakiemś widmem goni niewidomie,
Komuś złorzeczy, komuś błogosławi,
Jakieś układa plany i zamiary,
Dziwaczy we śnie — zwyczajnie jak stary.

IX.

Od pierwszej chwili, od pierwszej rozmowy
Już mu Hrehory nie przypadł do duszy,
I przed hetmanem wydał sąd takowy,
Że o swym uczniu nieszczególnie tuszy,
Że z takich ludzi nie będą rycerze,
Jeno żołdacy, nieróżni od innych.
Hetman go sfukał, że ze słów dziecinnych
Już zaraz miarę o człowieku bierze.
I oddał uczyć młodzieży ochoczej:
Jak się broń dzierży, jak kopia toczy,
Jako się rumak utrzymuje syto,
Jak trzeba umieć niedospać w potrzebie,
Jak się obywać o wodzie i chlebie,

Jak trzeba kochać sprawę pospolitą.
Hrehory z wszystkiem obeznał się snadnie,
Co przyzwoite dla mężnego człeka.
W kościele Bożym modli się przykładnie,
Bierze naukę, od ksiąg nie ucieka.
Nieco od braci łaciny zaznawszy,
Często z bratniego wymykał się grona,
Czytywał rozdział z Tacyta ciekawszy,
Lub jaką grzmiącą mowę Cycerona.
Derszniak go mając na życzliwej pieczy,
W swobodną chwilę często przed nim gwarzy
Dzieje domowej Pospolitej rzeczy,
Dawa mu czytać swoich kronikarzy,
Wzorem dostojnych mężów w Europie
Ku wielkim celom jego serce budzi.
Z Dziejów Długosza wyczytuje chłopię
O czynach królów i rycerskich ludzi.
Tam Chrobry wielkim podziwem uderza,
Tam Krzywousty doznany w żołnierce,
Tam dobroczynna ręka Kazimierza,
Tam Oleśnickich płomieniste serce,
A resztę Derszniak na ostatek chowa
Z żywej pamięci co mu było znanem.
Na samym końcu wielki Jan z Tarnowa
Jak posąg bóstwa stawa przed młodzianem.
Hańba, kto serca rycerskiego nie ma,
Kto, będąc dziejów macierzystych świadom
I wielkich ludzi mając przed oczyma,
Nie dał się zacnym zhołdować przykładom.

X.

Lecz nim zbawienne rozrosło się ziarno,
Umarł sędziwy Derszniak z Rokietnicy.
Młodsi, weselsi, lepsi rówiennicy
Do Hrehorego uprzejmie się garną.
Przy nich zapomniał starca przez półrocze.
Mawiał: Pracujmy dla sławy i chleba!

Dwóch tylko rzeczy człowiekowi trzeba:
Mieć dobrą szablę i serce ochocze.
A przy hetmana życzliwej opiece,
Pełniąc na wojnie, co powinność każe,
Można już sobie nie dbać tak dalece,
Co tam napiszą o nas kronikarze.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Było przysłowie: „Kiedy Jan Tarnowski,
Hetman koronny, kasztelan krakowski,
Da komu słowo, to pewnie dotrzyma.“
Więc się ziściło i tu po kolei.
Syn gajowego, Hrehory Sulima,
Nie zawiódł dobrych o sobie nadziei.
Wsparty wielkiego hetmana pomocą,
Wzrósł na rycerza we znaczeniu całem:
Gdzie zagrzmi trąba, włócznie zamigocą,
On z młodocianym pospiesza zapałem;
W pierwszych szeregach ugania Tatary,
Pierwszy przy szturmach wdziera się na wieże;
Z radością hetman uśmiecha się stary
Za każdym laurem, co młodzian odbierze.
Ręce hetmańskie, zgrzybiałe już prawie,
Wielkiej buławy utrzymać nie mogą;
Częściej zasiada w senatorskiej ławie,
Niźli rumaka zacina ostrogą.
Przecięż po każdej dokonanej wojnie,
Gdy ich obrotom oddawał się cały,
O Hrehorego pyta niespokojnie:
Czy zdrów powrócił i czy godzien chwały?

II.

I zdrów, i godzien powracał Hrehory,
Sławy i bogactw już syty zawczasu;
Cieszył się hetman zgrzybiały i chory,

Że to pacholę wyprowadził z lasu,
I nieraz rzewnie, ręce rozpostarłszy,
Ściskał młodzieńca, jak własnego syna,
I przed majestat wodził go monarszy,
Kędy zasługi jego przypomina.
Król mu powiadał przy całej obradzie:
Dzielne masz serce, chociaż lata młode!
To święty na mnie obowiązek kładzie
Dać ci stosowną do zasług nagrodę.
Da Bóg po wojnie, jak śmiało tuszymy,
Gdy trudne środki ułatwią się snadnie,
Piękna zasługa Hrehora Sulimy
Z myśli i z serca u nas nie wypadnie.
A hetman szeptał: To oznacza prosto:
Chce cię mianować grodowym starostą.

III.

Dziesięć lat przeszło, — a chłopczyna mały,
Z wdziękiem młodości i z promieniem chwały,
Z ubóstwianego hetmana opieką
I z dobrą łaską króla jegomości,
Mógł stać daleko i bardzo daleko,
Posiadać skarby, i zamki, i włości,
I chleb zasługi, co z dawnego prawa
Rzeczpospolita rycerstwu nadawa.

IV.

Ale nie skarbów, nie zamków, nie chleba,
Nie głośnej sławy, co wszystkich poruszy, —
Młodemu sercu toć serca potrzeba,
Trzeba kochania wedle swojej duszy.
A któraż z dziewic oblicza uchyli,
Wzgardzi takiego fortuny pieszczocha?
Szczęśliwy młodzian już znalazł po chwili,
Którą ukochał i która go kocha.
Mieszkał w Krakowie starosta Owada,
Pan mnogich skarbów i włości ogromu;

Ale nad ziemię i skarby nielada
Skarb większy — córkę posiadał w swym domu.

V.

Bóg czasem, pragnąc uszlachetniać ludzi
I dać im próbkę nieziemskiego świata,
Zsyła cheruba, co w ludziach cześć budzi.
Takim cherubem zdała się Beata.
Piękną od Boga obdarzona duszą,
Piękno swej duszy nosiła na twarzy.
Jasne jej oko złudzeń nie rozmarzy,
Lecz wszystkie serca hołdować jej muszą.
Na czem ta władza? a któż to wypowie,
Co uspokaja? a co zmysły mroczy?
Lecz tylko czujesz, że patrząc w te oczy,
Święciej coś w sercu i spokojniej w głowie.
Wiotkie jej ciało — to subtelna tkanka,
W którą Bóg zasnuł myśl swojego czoła.
Każdy uczuwa, że ona niebianka,
Co ziemskich trudów podźwigać nie zdoła;
Że tu na ziemi stoi tak leciuchno,
Iż pierwsze burze jak kwiatek ją zdmuchną;
Lecz kiedy losu bolesne koleje
Przyjdą doświadczyć, czy ma silne ramię,
Pieszczone serce w dyament stwardnieje,
Którego ludzka siła nie przełamie.
Te oczy, mdławą przykryte powłoką,
Co się mniemanem zawstydzeniem płonią,
Gdy przyjdzie losom zajrzeć oko w oko,
Nie obemdleją i łzy nie uronią.
Serce hartowne męstwem, jak kolczugą,
Nie wie, co znaczy gra uczucia płocha;
Lecz gdy pokocha, to już raz pokocha,
Szczerze, głęboko i jak wieczność długo.

VI.

Taką to miłość od niedawnej pory
W sercu dziewiczem obudził Hrehory.

Nie mogło marzyć wysokie jej serce
O pospolitym zalotnym młodzianie;
Lecz dobre imię, nabyte w żołnierce,
Jego z ubóstwem mężne bojowanie,
Ten urok czynów i ta piękna chwała,
Która młodzieńca od gminu odróżnia,
Zawsze na serce kobiety podziała,
Jeśli w tem sercu nie panuje próżnia.
Poczęła lubić kiedy o nim słyszy,
Gdy jego chwale zazdroszczą zawistni,
I marzyć o nim w wieczornej zaciszy,
I było błogo, gdy go we śnie przyśni.
Niekiedy jedno słowo lub pół słowa
Takim ją lubym nabawi kłopotem,
Że pokraśnieje, jak wstęga różowa,
I dumać będzie po dni kilka o tem.
Taki obyczaj w dawniejszej był chwili,
Że nim kochanków zaprzęgną do stadła,
Młodzi od siebie zdaje się stronili,
Oczami chyba miłość się zakradła.
Lecz gdy się wkradła, kiedy bożek ślepy
W serce ugodził zatrutem żelazem,
Na wieki w sercu utkwiły oszczepy,
Już ich nie wyrwać, chyba z życiem razem.

VII.

A cóż Hrehory? Jemu miłość taka
Nigdy nie przyszła do serca lub głowy.
On kochał sławę, kochał plac bojowy,
Kochał swą włócznię, swojego rumaka.
On wszystko kochał — bo serce motyle
Mogło na wszystkie rozpraszać się strony;
Nie mógł, jak rycerz, kochać tylko tyle:
Boga, kochankę i swój kraj rodzony.
Cóż więc dziwnego, że w takim rozrzucie
Słabsze w nim było kochania uczucie?
Kochał Beatę, bo piękne ma oko,

Bo smukłą kibić przy bogatem wianie;
I kochał Polskę, nie myśląc głęboko,
Na czem zależy synowskie kochanie.
On po żołniersku widział swoją wiarę,
On swoją miłość chciałby wieńczyć w kwiaty;
I jedną tylko rozumiał ofiarę:
Walczyć za honor kraju lub Beaty.
Dziewice dawne inaczej kochały
Bitnych rycerzów Orła i Pogoni:
Snadź nie dla tego, że chrobry i śmiały,
Ale że ziemi macierzystej broni.
Męskiemu sercu ani się zamarzą
Takie subtelne różnice kochania:
On kiedy z wrogiem w twarz spotka się twarzą,
Kiedy na groty chrobrą pierś odsłania,
Gdy jak mur stoi, gdy celnie wystrzela,
Krwią zleje ziemię, jako jej obrońca,
Już mu się zdaje, że spełnił do końca
Powinność syna i obywatela.
Och takich czynów za mało, za mało!
Męstwo za słabe, a miłość za blada:
Żołdak — potrafi zahartować ciało,
Bohater tylko — hart duchowi nada.

VIII.

Hrehory, śmiały w wojowniczym względzie,
Nie mógł się chlubić śmiałym hartem duszy.
Wtedy był piękny, gdy konia dosiędzie,
Kiedy na harce z Tatarem wyruszy;
Lecz doma — byle okoliczność błaha,
Prędko się zlęknie, prędko się zawaha.
Jako wyjechał przed dziesięciu laty,
Jak mu na świecie widok się odsłania,
Nigdy nie zwiedził rodzicielskiej chaty,
Nigdy do ojca nie posłał pisania.
Wstydził się nędznie śmiechów i obmowy
Swojej czeladzi i rówiesnej młodzi,

Że jego ojciec tylko stróż gajowy,
Że jego matka w lnianej sukni chodzi.
Kochał Beatę najświęciej, najgodniej,
I dla miłości dać życieby gotów;
Lecz gdy na chwilę oddali się od niej,
Nie mógł się płochych powstrzymać zalotów.
Prawie nieświadom, co wyższa ofiara,
Nie mógł się ostać przed najlżejszą próbą;
Umiał bardyszem pokonać Tatara,
Ale nie umiał walczyć z samym sobą.

IX.

Sam wielki hetman pojechał we swaty,
Prosząc dla niego o rękę Beaty.
Owada wdzięcznie przyjął pośrednika,
I rękę córki przyrzekł dla młodziana:
Któż bo z Polaków swe serce zamyka
Dla próśb dostojnych Tarnowskiego Jana?
Nawet wesela już dzień umówili,
Na wszystko przystał chętliwie Owada;
Lecz uradzono zaczekać do chwili,
Gdy Hrehoremu król starostwo nada.
A nadto wojna do hetmańskich znaków
Wezwała całą drużynę rycerską,
Fürstenberg, głowa inflanckich Krzyżaków,
Przeszedłszy w Niemczech na wiarę luterską,
Swemu żołdactwu, co bezkarnie hula,
Kazał kościoły burzyć na wyścigi;
Więc przysłał prosić o opiekę króla
Dostojny Wilhelm, arcybiskup Rygi.
Więc król do mistrza poselstwo wyprawia,
Pan Łęcki jechał z królewskiemi listy;
Lecz rozpasana tłuszcza na bezprawia,
Mimo charakter posła uroczysty,
Zamordowała jadącego w drodze,
Jeszcze się pastwiąc nad bezbronną głową:
Więc należało powetować srodze
Za krew przelaną i cześć narodową.

X.

Polski i Litwy sejmujące stany
Król na obradę zebrał do Warszawy.
Wszyscy radzili w jeden głos zebrany
Nie zaniedbywać inflanckiej wyprawy.
Zapał, by hańby nie przepuścić darem,
Dał mnogie siły zgromadzić bez trudu:
Stanęło tedy pod pańskim sztandarem
Z Polski i z Litwy sto tysięcy ludu.
Któż tu nie pójdzie walczyć obok braci?
Kogo tu sprawa domowa zatrzyma?
Tedy, choć nierad, że swe gody traci,
Jechał na wojnę Hrehory Sulima.

XI.

— Piękna dziewico! — mówił do Beaty —
Bywaj mi stałą i sercem, i słowem.
Wrócę sławniejszy i bardziej bogaty,
Król mię obdarzy starostwem grodowem.
A wszystko winien wojowniczej sztuce,
Drogę do szczęścia sam sobie uścielę,
Sam o twą rękę dopomnę się śmiele.
Nie płacz, Beato, powrócę, powrócę!
Po dniu godowym gdy zostanę mężem,
Dam folgę sercu, niechaj bije rade;
Rozbrat na wieki uczynię z orężem,
I nigdy, nigdy ciebie nie odjadę.
Czy tu zostaniem, czy pójdziemy może
W ustronnym zamku pracować na roli,
Mój miecz na zawsze u stóp twoich złożę.
Nie płacz, Beato, bo mię serce boli!

XII.

— O mój Hrehory! nie mów tego proszę! —
Rzekła Beata w błagalnej postaci: —
Że zniewieściałe przenosisz rozkosze
Nad pole chwały na obronie braci!
Czybyś doprawdy, nie zważając na nic,

Dla pieszczot serca nie stanął do bitwy,
Chociażby kraje Korony i Litwy
Wzywały ciebie do obrony granic?
Czyż dla starostwa lub dla marnej sławy
Stawiłeś piersi na włócznie i noże?
Czyż to już wszystkie odbyte wyprawy?
Czy nic krajowi zagrażać nie może?
Wkoło Wołosza, Turcy i Tatarzy,
A Polska piękna bogata, szeroka;
Czyż nikt już na nią targnąć się nie waży?
Czy nikt nie rzuci zawistnego oka?
Och! nieraz, nieraz nasze piękne łany
I krew zaleje, i ogień przebieży,
I nieraz hetman przywoła rycerzy
Na śmierć szlachetną lub na ciężkie rany.
Nie, mój Hrehory! folgować niewolno
Ni zdrowiu swemu, ani sercu swemu:
Na każdą wojnę ruszysz po staremu
Zdobywać chwałę fatygą mozolną.
Ja pozostanę, drżąc o twoje zdrowie,
Płacząc z tęsknoty, modląc się do Nieba...
Jednak, Hrehory, idź gdzie trąba zowie!
Narażaj życie i umrzyj gdy trzeba!
Tak rzekło dziewczę, a potem w milczeniu
Spojrzało oczu błagającym rzutem,
I wątłą rękę wsparło na ramieniu,
We twardy pancerz stalowy zakutem:
Już jedź, Hrehory... nie... pozostań jeszcze;
Niech się napatrzę, niech z tobą pogwarzę...
Jakieś mnie mówi przeczucie złowieszcze,
Że los nam może rozłączyć się każe...
— Przestań, Beato! przestraszasz mię srodze! —
Mówił Hrehory, spojrzawszy nieśmiało:
Tyle jest śmierci na żołnierskiej drodze —
Czyżby mnie teraz umrzeć należało?
— O! nie, Hrehory! nie! żadna przygoda
W mojem przeczuciu nie zagraża tobie!

Może, gdy wrócisz, to ja będę w grobie,
I już mi ręki Hrehory nie poda!
Czuję, że ślub nasz rozchwiewa się w górze,
I mózg, i serce pali, jak żarzewiem...
Przeczuwam jakieś niebezpieczne burze...
Może mój ojciec... czy hetman — ja nie wiem...
Może ty wrócisz obojętnym, chłodnym...
Albo już — serca mojego niegodnym...

XIII.

A nad podartą gajowego chatą
Dziesięć lat ciężkie przytłoczyło brzemię.
Nadgniły domek osunął się w ziemię.
Mech go nastrzępił powłoką kudłatą.
Krzyż się osunął, który stał przy wjeździe,
I uschła grusza, i zrąbano klony;
Błyszczy się mostek nowo postawiony,
I nowy bocian klekoce na gnieździe.
Gdyby w tej chwili przyjechał Hrehory,
Gorzkąby łezkę sam nad sobą wylał:
Stary dziad jego od roku był chory,
Już się do grobu widocznie pochylał;
Tylko się modli i rozmowy szuka
O znakomitych powodzeniach wnuka.
Jemu o wnuka szło może nie tyle,
Ile miał świetność rodową na względzie;
Modlił się: Panie! nie spocznę w mogile,
Aż mój potomek kasztelanem będzie.
Jemu nie trudno — gdy hetman z nim trzyma.
Niechby pracował na to całe życie,
Ażby klejnot herbowny Sulima
Na niebywałym postawił zaszczycie!
Tak stary marzył, i z miasta, i z wioski
Różne o wnuku zbierając pogłoski.
Ojciec postarzał, przebiegając knieje,
Straciwszy zdrowie w pracy bez ustanka;
Strażniczy oszczep i chatnie nadzieje

Złożył na ręce gospodarne Janka.
Na twarzy Janka wyrósł wąs młodzieńczy,
Janek częściutko zmykał do sąsiada;
A jak podhula, to matce powiada:
Wkrótce was w pracy synowa wyręczy.
A matka? Matka, niegdyś krasnolica,
Dzisiaj zgarbiona, z pomarszczoną twarzą,
Jęczała długo, jak synogarlica,
Że jej z Hrehorym rozłączyć się każą.
Pójdzie bywało w ustronne zacisze,
Gorzko się spłacze — to na duszy słodziej;
Płakała potem, że syn nic nie pisze,
Czy zdrów? czy wesół? jak mu się powodzi?
Bolała ciężko, zwyczajnie kobieta,
Że syn zapomniał... przywykła nareszcie;
A teraz tylko o jedno się pyta:
Czy zdrów Hrehory czy w boju? czy w mieście?
A gdy tam czasem wpośród bojowiska
Ruszniczna kula przy Hrehorym padnie,
To serce matki o sto mil odgadnie,
Drgnie z całej siły i bolem się ściska.

XIV.

Tak było w chacie. Aż jednej Niedzieli
Bóg wie dlaczego wszyscy posmutnieli.
Dziadek zaniemógł, — zapragnął spowiedzi,
Pobożnie przyjął Ciało i Krew Bożą;
A gdy nad łóżko zeszli się sąsiedzi,
Spojrzawszy na twarz, wszyscy się zatrwożą.
Wpadły mu oczy, twarz blada, jak płótno,
Oddech to słabnie, to znowu się wzdyma.
— Źle słychać, bracia — tak wyszeptał smutno —
Dzisiaj się zaćmił dom i herb Sulima.
Ktoś mi dziś w nocy opowiadał we śnie,
Że herb się zhańbił, że więcej nie wskrześnie.
Może to bajka... często śni się chorym...
Powiedzcie ludzie: skąd te sny złowieszcze?

Czy nie słyszano czego o Hrehorym?
Czy on nie został kasztelanem jeszcze?
Czemu nie spieszy?... trzeba w zaszczyt nowy
Przystroić herb nasz i nasze nazwanie...
Gdy on nie został, to nikt nie zostanie...
Ni ja... ni syn mój... ni mój wnuk gajowy...
Powiedzcie ludzie, wy to pewno znacie,
Dlaczego w sercu pali mię tak srogo?
Może Hrehory, zasiadłszy w senacie...
Doszedł zaszczytów... nieszlachetną drogą?
O Boże! Boże! lepsza tutaj praca...
Spieszcie go ostrzedz; pogodźcie ze stanem...
Jeżeli jeszcze nie jest kasztelanem,
To mu powiedzcie, niech do domu wraca...
Tam na pagórku dwa dęby się świecą,
Na jednym dębie dwaj orłowie w parze,
Jeden z nich wyżej, drugi niżej nieco,
Jak herb Sulimę rysują malarze...
Dwa orły mówię... patrzajcie, w tej stronie...
Jeden na tarczy, drugi na koronie...
Niech się Hrehory nie szasta po lesie,
Gotów je spłoszyć przebiegając w pędzie:
Bo jak polecą, biada naszej strzesie!
Herbu Sulima na świecie nie będzie!...
Tak starzec szeptał w nieprzytomnej bredni;
Powłoka w oczach rozciąga się mgława;
Wnieśli gromnicę z komnaty sąsiedniej;
Wziął ją, popatrzał... — Hetmańska buława!
I jak strudzone, rozespane dziecię
Szepce nieskładnie, gdy się oczy kleją,
Dziadek zasypiał... zasypiał koleją...
Nakoniec usnął — już go nie zbudzicie.

XV.

Minęło lato — a wojsko koronne
Z inflanckiej wojny do Krakowa wraca.
Pole do chwały było mu przestronne,

Chlubnym się skutkiem uwieńczyła praca,
I krwi potoki nie długo się lały,
Żaden się przestrach nie ziścił złowrogi:
Bo mistrz inflancki, Fürstenberg zuchwały,
Klęczał przed królem, całował mu nogi.
Taka pokora, co przebija mury,
Trafiła w serce królewskie, co z wosku;
Nie odarł mistrza z książęcej purpury,
Lecz mu przebaczył winę po ojcowsku;
Tylko swe prawa umocniwszy szczerze,
Puścił w pokoju inflanckie rycerze.

XVI.

Hrehory wrócił i żywy, i zdrowy,
Tylko przecierpiał krzyżacką niewolę.
Kiedy się wojsko zeszło pod Poswole,
Radziwiłł hufiec prowadził przodowy.
Sulima zasię, upragniony chwały,
Zebrawszy dwieście gorętszej młodzieży,
Pospieszył naprzód i dwoma oddziały,
Mniemał, że drogę mistrzowi zabieży;
Że kiedy cała Inflantczyków rzesza
Z jednym oddziałem potykać się zacznie,
On na nich z boku uderzy nieznacznie
I w jednym pędzie szyki ich pomiesza.
Nie tak się stało: bo gdy nocną porą
Sam jeden konno wyruszył na wzwiady,
Wpadł na sam środek niemieckiej gromady,
Gdzie go chwytają i w niewolę biorą.
Tymczasem wpadły niemieckie rajtary
Na polski oddział, co się zabezpiecza:
Rzeź była krwawa — i mężne ofiary
Legły pod ciosem krzyżackiego miecza.
Dwa doły trupów pogrzebiono rano,
Dwa kopce ziemi na nich usypano.
Przyszedł Radziwiłł — zbił inflanckie siły;
Przyszedł król polski — i stanęła zgoda.
Tylko nikt ręki do grobów nie poda,

Nikt młodzi polskiej nie wskrzesi z mogiły.
Niejeden pałac i niejedna chatka
Smutną się wtedy pokryły żałobą:
Ojciec i siostra, kochanka i matka
Już nie obaczą swych miłych przed sobą.
Taki los wojny — i radość, i jęki;
Przywykła do nich wojownicza rzesza.
Do tryumfalnej zwycięstwa piosenki
Zawsze się nuta rozpaczy przymiesza.

XVII.

Wyzwolon prędko z niewoli krzyżackiej,
Młody Hrehory wrócił do Krakowa;
Ale twarz jego, jak mara grobowa,
Blada, poryta zmarszczkami rozpaczy.
Targa swe włosy, stroni od człowieka,
Zwiesza na piersi nieprzytomną głowę,
A gdy o wojnie posłyszy rozmowę,
Zasłania oczy i w pole ucieka.
Wciąż mu się zdało, że ma szyszak krwawy,
Że chodzi we krwią ubryzganej szacie;
A choć już tydzień jak wrócił z wyprawy,
Nie śmiał się stawić na oczy Beacie.
Taką odmianę każdy w nim dostrzega,
Ale nikt nie śmiał badać nieprzystojnie;
Sam tylko hetman, choć nie był na wojnie,
Wiedział o wszystkiem od swojego szpiega.
Wtedy się straszne rozbiegły pogłoski,
Co wszystkie serca do gruntu przebodły,
Gdy Hrehoremu rzekł hetman Tarnowski:
„Precz z mego domu, boś zdrajca i podły!“
Chciał swoje służby przypomnieć królowi,
Wszedł na pokoje z innemi dworzany;
Król umknął rękę, chociaż nic nie mówi,
I wzrok pogardy odwrócił do ściany.
Jeden drugiemu po cichu powtarza:
Że król jegomość rozkazał był skrycie

Sądzić na gardło Sulimę zbrodniarza,
Ale Tarnowski uprosił mu życie.
Straszny dar życie! gdy dadzą człowieka
Własnego serca zgryzotom namiętnym,
Gdy jak robaka odrzucą z daleka,
Skalawszy wzgardy niepoczciwem piętnem!
Trzeba żyć jeszcze — po to, aby nosić
Ohydne brzemię swej własnej istoty...
Czyliż tam w piekle męczarni nie dosyć,
Że tu skazują na piekło sromoty?
O! słusznie, słusznie pokalane imię:
Bo straszna zbrodnia ciąży na Sulimie.

XVIII.

A cóż Beata, obłąkana, chora?
Ona pogardza, lecz kocha Hrehora.
Jej biedne serce kolejno się zmienia,
Sama nie zgadnie, gdzie bicie gorętsze;
Uczucia wstrętu albo ubóstwienia
W dwie różne strony targają jej wnętrze.
Jej wątłe ciało w bolesnej katuszy
Dłużej na ziemi już wytrwać nie może;
Czas już do Nieba jej anielskiej duszy,
Czas ciało złożyć na śmiertelne łoże.
Raz go ujrzała — wszedł w okropnej chwili.
— O Boże! — rzekła — Ty zjść moje modły!
Luby Hrehory! ciebie oczernili,
Żeś braci zdradził — żeś słaby... żeś podły...
Powiedz Hrehory, niech z ust twych posłyszę;
Ty daj mi światło, bym przejrzała w ciemnie!...
— Prawda, Beato!... moi towarzysze
Polegli w rzezi, wydani przeze mnie.
Gdy mnie pojmali Krzyżacy pancerni,
Skuli mi ręce zawściekleni kaci,
Wisiał nad głową topór wściekłej czerni,
Jeśli nie powiem, gdzie więcej współbraci.
Noc była ciemna, a topór nad szyją,

Na słabej duszy upadłem bezwładnie,
Musiałem wyznać, gdzie hufce się kryją,
I w jaki sposób rozproszyć je snadnie.
Więc w tejże chwili w taborze krzyżackim
Tysiąc rajtarów wnet na konie wsiadło,
Na śpiący oddział napadli omackiem,
Wymordowali z wściekłością zajadłą.
Jam został jeden okuty w kajdany.
Nad samym rankiem wróciły rajtary;
Hufiec siepaczów, krwią naszą zbryzgany,
Śpiewał piosenki i wznosił puhary.
I znów z toporem stojąc nad mem gardłem,
Kazali wypić zgubę naszej ziemi:
Jam spełnił puhar ustami drżącemi...
Podły! gdy wtedy z hańby nie umarłem!
— Krew... krew na tobie! — krzyknęła Beata;
Twarz jej zsiniała, pokraśniała, zbladła;
Rozpacz jej serce konwulsyjnie splata,
I z głuchym jękiem na ziemię upadła.
Przybiegli słudzy — ale próżna rada:
Już się Beata Aniołom spowiada.

XIX.

Hrehory wybiegł i w pole ucieka,
Nie pomnąc siebie, ni miejsca, ni strony;
A ludzie za nim wołali z daleka:
Łapajcie zbiega! szalony! szalony!
Nikt nie dogonił, bo on szybko zmyka.
Wybiegł z Krakowa na polne rozłogi,
Przebrnął przez wodę szybkiego strumyka,
Pobiegł do lasu bez myśli, bez drogi,
Z lasu na pole, i dalej, i dalej,
Skrył się w gęstwinie kędyś na uboczu.
Gdzieniegdzie ludzie na niego wołali,
Ale nie słuchał i zniknął z ich oczu.

XX.

Czy długo błądził? czy miał sen? posiłek?
Któż wam odpowie? daremno pytacie.

W końcu jesieni — około mogiłek,
Przy rodzicielskiej gajowego chacie,
Zjawił się człowiek, jak upiór cmentarny,
Brodą zarosły, wynędzniały, czarny.
Miał szmaty sukien zdartych po połowie,
Pancerz na piersiach i kirys na głowie.
Pod okna chaty jak złodziej się skrada;
Tam grały skrzypce — było gwaru wiele,
Brząkała w czarki wesoła gromada:
Trafił Hrehory na Janka wesele.

XXI.

— Nie wejdę w chatę, bo tylko potrwożę,
Zlęknie się ojciec i matka nieboga.
Dalej Hrehory! dalej w Imię Boże!
Na Ukrainę to nieblizka droga!
Napił się wody z rodzinnej krynicy,
Chwycił garść piasku, zawiązał do szmatka,
A dobywając słabych sił ostatka,
Zniknął w manowcach znanej okolicy.
Nieprędko potem, nieprędko mówiono,
Że się Hrehory wałęsał tą stroną.

EPILOG.

Znowu lat dziesięć przebiegło, jak chwila.
Otośmy w stepie bujnej Ukrainy:
Słońce się letnie na zachód nachyla,
Wiatrek kołysze kwiaty i krzewiny,
I bujne żyta, i pszeniczne łany,
Gęsto porosłe, ciągnące się długo;
We wsi dalekiej dzwon rozkołysany
Echo posyła za milę, za drugą.
Pięknaż to ziemia! ma wszystko dowoli,
O co się tylko modli w Imię Boże:
Mleka, i miodu, i chleba i soli, —
Tylko spokoju wymodlić nie może.

Od Wołoszczyzny do tureckich granic,
Od Tatarszczyzny, co nigdy nie syta,
Wróg codzień prawie, nieoględny na nic,
Puszcza pożary w pszenice i żyta.
A gdzie bogatszy kościołek, cerkiewka,
I gdzie kraśniejsza niewiasta, czy dziewka,
Gdzie skarbiec pański za żelazną kratą
Strzegą hajduki okute we stali, —
Oni to wiedzą: co wiosna, co lato,
Tabór tatarski w Ukrainę wali.
A że kraj równy, obfity, przestronny,
Wszędy im droga uwijać się żywo;
Nie lubią walczyć, lecz gdzie lud bezbronny,
Najlepszy oręż, to nóż i krzesiwo, —
Wpadnie, zrabuje, pozakrwawia miecze,
Zapali wioskę i dalej uciecze.
By takich zbójców niszczyć i odpierać,
Dziwnem się młodzież opisała bractwem:
Przysięgła razem i żyć, i umierać,
I Zaporoskiem zwała się Kozactwem.
Nie mieli wiosek, lecz tabór wojskowy,
W którym żołnierskie prowadzili życie;
Nie sieli zboża, bo ich same łowy
Stepowym zwierzem karmiły obficie.
Przemierzyć łąkę, gdzie trawa do pasa,
Nie przyszło na myśl nie jednemu z ludzi;
Tam stado źrebców Kozaczyzny hasa,
Kiedy się harcem z wrogami utrudzi.
W polu niewiasta piosnek nie wywodzi,
Kwilenia dzieci tam nikt nie usłyszy;
Bo Kozaczyzna nie z plemion się rodzi,
Jeno z dorosłych dalekich przybyszy.
Im żadna księga statutów nie znana,
Całym statutem ich obyczaj stary:
Słuchać swojego pana atamana
I gonić w stepie Turki i Tatary.
Kto do nich przystał na Sicz Zaporoża,

Czy Lach, czy Rusin, Węgier, czy Germaniec,
Czy zły, czy dobry, czy chłop, czy wielmoża,
Byleby umiał iść w tatarski taniec,
Byleby spełniał, co starsi radzili,
Przyjmą go chętnie do swojej drużyny.
Ale się słońce do zachodu chyli;
Wiatrek kołysze trawy i krzewiny,
I bujne żyta, i pszeniczne łany,
Gęsto porosłe, ciągnące się długo;
We wsi dalekiej dzwon rozkołysany
Echo posyła za milę, za drugą...
Na płaskiem polu widać pył z daleka,
I chmura jeźdźców po niem się ugania.
Tu była bitwa jeszcze od świtania:
Kozactwo goni, Tatarzyn ucieka;
Tętent podkowy już głuchnie koleją,
Krzyki ustają, a jeźdźcy maleją.
Nareszcie widzisz, jak dwie małe bryłki
Na końcu świata toczą się w zieleni;
A tu pod krzyżyk stepowej mogiłki
Ciągną się starsi bitwą unużeni.
Za nimi wozy tatarskich zdobyczy, —
Któż je przemierzy i któż je policzy?
Tam pełne skrzynie cerkiewnego sprzętu,
Złote szlacheckie pasy i żupany,
Tam stos odzieży skrwawionej do szczętu,
W biednej wieśniaka chacie zrabowany;
A za wozami, na noszach z oręża,
Niosą Kozaki swych pobitych braci;
Za nimi idą obozowi księża,
I pieją psałterz chórzyści brodaci.
Ataman zasiadł na wzgórku przy krzyżu,
Rozdzielać łupy drużynie kozaczej;
Idzie z rydlami dwunastu kopaczy,
Aby sześć mogił usypać w pobliżu, —
Po dwóch do każdej. Z brzegu na ustroni,
Dwóch robotników tak do siebie gwarzy:

— Lekka tu ziemia, dobrze kopać po niej,
Na pierś mołojca niecięższko zaważy! —
— Ba — rzecze drugi, nad pracą schylony —
Na wszystko bacznie uważać potrzeba:
On kędyś z polskiej przywędrował strony,
Ciężka mu będzie ukraińska gleba.
Mówcie co chcecie, a umrzeć ochoczej,
Gdy swojej ziemi nasypią na oczy.
— Nie zawsze, widzisz — pierwszy mu odpowie —
Rodzona ziemia i przyjmie człowieka.
Ten, co od miecza folgując swej głowie,
Z koronnych hufców aż do nas ucieka,
Między swoimi nabroił coś pono
Przed Panem Bogiem i ziemią rodzoną.
Hrehory, słyszę, rej Lachom prowadził,
Miał zachowanie w swojem wojsku całem;
Lecz towarzyszów zaprzedał, czy zdradził,
I przystał do nas.
— I ja coś słyszałem.
Bóg raczy wiedzieć, ale łacno wierzę,
Że mógł coś w życiu popełnić ladaco.
Bywało w nocy to sen go nie bierze,
Choćby się zmęczył Bóg wie jaką pracą;
Jak potępieniec całe noce wzdycha,
Wejdzie na kurhan i ku Polsce patrzy,
I nieraz płakał, na ziemię upadłszy,
I coś do siebie wyszeptywał z cicha.
Mało z kim gadał, prócz chyba sam z sobą;
Bywał najpierwszy, gdy się bitwa pocznie;
A szukał śmierci zdaje się widocznie,
Jakąś tajemną dręczony żałobą.
— Spokój dla duszy! — rzecze Kozak drugi —
I dobrze zrobił, że do Siczy przystał;
Bo i nam oddał niemałe usługi,
I kraj rodzony coś z niego skorzystał.
Z piersi uczynił więcej jedną cegłą
Do muru, który wznosimy u granic:

Ze sto Tatarów z jego ręki legło, —
Czyż tego Pan Bóg nie poczyta za nic?
Chrobra i prosta kozacka drużyna
Tak Hrehorego życie przypomina.
No! już gotowo, już braterskie ręce
W żółtym piaseczku pościel mu posłały.
Z bronią i w grubej kozackiej sukience,
Z piersią przebitą od tatarskiej strzały,
Bez żadnej trumny, legł syn gajowego;
Piasek stepowy przysypał mu łono,
I mały kurhan na piersiach wzniesiono,
I ksiądz go wodą pokropił święconą,
I zapłakali bracia nad kolegą.
Każdy odchodzi i znak krzyża czyni, —
Hrehory jeden pozostał w pustyni.
Nieszczęsny! marzył o innej mogile,
Że wiek wiekowi jego imię poda;
Ale potomność szepce tylko tyle:
Chrobry był żołnierz! a szkoda go, szkoda!
Miał serce młode, prawicę wytrwałą,
Znał bojowania rozliczne sposoby,
Jednego tylko Niebo mu nie dało:
Żelaznej duszy na godzinę próby!
W jego mogile straszne sny być muszą,
Straszny wąż z jego wylęga się kości,
I straszny wyrzut chwilowej słabości
Pastwi się kędyś nad nieszczęsną duszą.
Bolesny robak snadź mu serce toczy,
Gdy przyśni w grobie, co było przed laty,
Nocleg Hetmański gdy stanie przed oczy,
Postać Derszniaka i miłość Beaty.
Z taką potężną nad sobą opieką,
Z taką miłością i poradą zdrową,
Wszedłszy bohater na świetność dziejową,
Wsławiłby imię w potomność daleką.
Dzisiaj, gdy wieko grobowe odsłonim,
Przykre się widmo zarazem odsłania;

A serce mówi: Zapomnijmy o nim!
To najżyczliwszy znak pożałowania.
1857. Borejkowszczyzna.

STAROSTA KOPANICKI.

WIĘZIEŃ W SONNENBURGU.
USTĘP Z PIERWSZYCH LAT PANOWANIA AUGUSTA III.

WSTĘP.

I.

Stara i święta mych ojców ziemico!
Kwitniesz, jak dawniej, żytem i pszenicą,
W lasach, na łąkach znaczna łaska Pańska,
I statki twoje pływają do Gdańska,
I miasta twoje wspanialej się bielą,
I wioski twoje nawet się weselą,
I dwór szlachecki już nie z bierwion drzewa,
Lecz z pięknej cegły wspaniale piętrzony,
Już nie na jednym, chorągiew powiewa
Jak w stare czasy miewały barony,
I stan twój dzisiaj kwitnący, bogaty,
Że nawet zazdrość u sąsiadów budzi:
Nic nie straciłaś od dawniejszej daty,
Nic nie straciłaś — tylko wielkich ludzi.

II.

Na nasze czasy może ich nie trzeba:
Dziś wiek jest wielkim, nie zaś jeden człowiek.
A jednak czasem łza płynie do powiek,
I z głębi piersi modlitwa do Nieba:
„Przywróć nam, Panie, staroświeckich ludzi,
Z krzemienną piersią i z duszą stalową!
Niechaj ich z trumny Twój rozkaz obudzi,
Niech w oczy spojrzą, niech przemówią słowo,
Abyśmy mogli choć raz, choć z daleka,
Zobaczyć w życiu wielkiego człowieka!“

III.

Na każdej karcie starych dziejów księgi
Spotkasz olbrzyma duchowej potęgi;
Pod każdą strzechą były wielkie głowy,
Jakiś bohater, jakiś bóg domowy.
O nim w wieczornych gawędach gadano,
Jego był obraz w kościele, w klasztorze,
Jego imieniem dzieci nazywano
W piątem, dziesiątem pokoleniu może.
Bo w każdym czynie było ziarno ducha,
Ducha Bożego miłości i wiary,
I każdy wiedział, że potomność słucha,
Że dzieje patrzą na jego zamiary.

IV.

Mnich siwobrody w pocie swego czoła
Słowa świadectwa na pergamin leje;
W mowie łacińskiej, w języku Kościoła,
Kreśli poważne rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tem święciej uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasów i osób.
Takiem wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Człowiek na zawsze stawał na widoku, —
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekli potomni.

V.

Lecz historyczna karta, choć szeroka,
Nie wszystkie zacne objęła imiona:
Część ich w domowej ciszy utajona,
A reszta całkiem ukryta dla oka;
Lecz dziejopisów urodzajna niwa
Wciąż nowe imię, nowy czyn odkrywa.
W wirze wypadków, sejmu albo wojny,
Z jakich się przędła nić ojców żywota,

Wypływa na wierzch jakiś mąż dostojny,
Wybłyska jakaś bohaterska cnota.
Pytamy, musząc czołem im uderzyć:
Przecz wielkich ludzi nie ma w naszej chwili?
Ach! bo nam trudno w cokolwiek uwierzyć,
A oni święcie w swą sprawę wierzyli;
Trudno cokolwiek pokochać nam szczerze,
Gdy dawne serca wciąż miłość podsyca.
W czystej miłości i w gorącej wierze
Potężnych czynów była tajemnica.
Ci wielcy ludzie, nie tak, jak my mali,
W Boga wierzyli i swój kraj kochali;
Z wiarą, z miłością szli w ogień bojowy,
Głos podnosili na sejmowej ławie,
Chętnie schylali do męczeństwa głowy,
Gdy było trzeba męczenników sprawie.
Gorąco czując czem ich kraj obdarza,
Krew i grosz nieśli, jako wypłat marny;
Był świętokradcą, kto sięgnął ołtarza,
Aby pożywać z niego chleb ofiarny...

VI.

Nurtów przeszłości rozważając zamęt
I prochy ojców rozgrzebując w trumnie,
Miło nam znaleźć kosztowny dyament
I młodym wiekom pokazać go dumnie:
Oto jest wielki zabytek z przed wieka,
Znalezion w sercu dawnego człowieka!

VII.

Badacze skorup, starożytnikowie,
Spojrzą przez szkiełko, i każdy z nich powie:
— To hypoteza to kłamstwo dla Boga!
Wierzcie, wszak jestem badaczem z rzemiosła;
U mnie jest męża wielkiego ostroga,
Rdzą starożytną najpiękniej obrosła;
A ta ostroga — niedarmo człek bada —
Do dyamentu wcale nie przypada!

— Tak, macie słuszność! — mineralog rzecze —
Chroń się od złudzeń półmędrków, człowiecze!
Niby nauka czegokolwiek nie wie?
Dobrze to gadać nieświadomej młodzi!
Starego wróbla nie złowisz na plewie:
Dyament z węgla, nie z serca się rodzi.
To jest dyament... tak, w samej istocie...
Chyba ze spinki, co u trupa tleje!
A przecięż takich dyamentów krocie
Z serc wielkich ludzi wydobyły dzieje.
Twardy, że nic go pokonać nie zdoła,
Czysty, jak czyste sumienie Anioła,
Swemi promieńmi tak oczy przenika,
Jak aureola z twarzy męczennika;
Blask ma ze słońca bez światła pomocy,
On starą przeszłość rozwidni choć w nocy.
Dyament z wiary, miłości i czynu
Promienniej świeci niż dyament z węgli.
Och! gdybyś z ojca brał twe wzory, synu,
Gdyby wnukowie swych dziadów dosięgli,
Wtedyby Ojciec, i Syn, i Duch święty
I wasze serca skuli w dyamenty.
Och! jeśli łaski błagacie od Nieba,
Gdy chcecie wstąpić do praojców śladu,
To wam miłości do serca potrzeba
I starych ludzi dobrego przykładu.
Wiele przykładów przytoczą wam dzieje,
I stary ojciec w gawędzie przytoczy;
Jednego człeka choć drobne koleje
Ja moim braciom postawię przed oczy.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

POLE ELEKCYJNE.

I.

Już to od dawna mędrcowie ważyli
I dotąd ważą na rozsądku szali:

Czy dobrze było za dawniejszej chwili,
Żeśmy swych królów sami obierali?
Rozstrzygnąć sprawę rzecz nie mojej głowy,
Już ją rozstrzygły sądy tajemnicze;
Ja tylko jeden wypadek dziejowy,
Jednego męża odsłonię oblicze,
A świętą prawdą kierując się ściśle,
Ze starych czasów obrazek nakreślę.
Piękny był widok, gdy naród pod Wolą
Obierał króla! — zwłaszcza kiedy zgodnie.
Choć nieraz obce i domowe zbrodnie
Święty obrządek hańbiły swawolą;
Nieraz Sarmaci i nieraz Litwini
Zerwali zgodę, co się już przybliża;
Nieraz gmin ciemny, nie bacząc co czyni,
Matkę rodzoną przybijał do krzyża:
Lecz nieraz znowu miłość i ład stary
Przyszły zamieszkać w starym Piastów domie;
Duch Przenajświętszy ze swojemi dary
Na sejmujących zstępował widomie,—
A wtenczas widok elekcyjnej rzeszy
I oko bawi, i serce pocieszy.

II.

Poza Warszawą, na zielonej błoni,
Rowem się znaczą szerokie okopy.
Jak kwiaty w wianku widnieją z ustroni,
Pańskie namioty i szlacheckie szopy.
A całe pole rydel i siekiera
Pooczyszczały od chwastów i zielska.
Największy namiot — gdzie senat się zbiera,
Największa szopa — gdzie izba poselska.
A małe bróżdy pod łańcuch mierniczy
Pole na mnóstwo podzieliły szmatów,
Na tyle części, ile ziem, powiatów,
Ile województw piękna Polska liczy.
Gdy województwa, powiaty i ziemie

Prymas swojemi poobsyła listy,
Całe lechickie gdy dowie się plemię,
Na kiedy wskazan ów dzień uroczysty, —
Ojce senatu i rycerstwa posły
Cisną się w mury stołecznego miasta;
Wisła na wiosnę nie tak szybko wzrasta,
Jak tutaj tłumy rycerstwa urosły.
Siedmiu bramami, ze czterdziestu szlaków
Spływa się naród, jak w ocean rzeki;
Aż się zdumiewa przychodzień daleki,
Jakie to dzisiaj święto u Polaków?
Och! wielkie święto, bo wybrać przychodzi
Ojca ojczyźnie, a prawom ich stróża;
A tu z daleka Niebo się zachmurza, —
Sternika trzeba dla sierocej łodzi;
Potrzeba wybrać, pod czyj znak się zbierać?
Komu nieść służby? za kogo umierać?

III.

Pole wyborcze, jak olbrzymie mrowie,
Kipi ruchomą, niespokojną rzeszą.
Posłowie ziemscy i senatorowie,
Konno, w kolebkach, przed okopy spieszą.
Wieją proporce województw, powiatów,
Z których się składa ta Rzeczpospolita,
Jak ogród pełny różnobarwnych kwiatów,
Kiedy w czerwcowej pogodzie rozkwita.
Tam senatorskie złociste kolebki
Długim szeregiem pod okopy walą,
Dzielne rumaki ujęte w lejc krzepki
W złotym ubiorze jak w ogniu się palą,
I pył szeroki, po gościńcu wzbity,
Srebrem kutemi wzniecają kopyty.
Czoło senatu książę Prymas wiedzie,
Z krzyżem krucyfer harcuje na przedzie.
Dalej przez drogę bitą a przestronną
Przeciąga hufiec wspaniałych rycerzy;

Po dwóch w szeregach, powiatami konno,
Czoło ze stanu szlacheckiego bieży.
Szlachta z nad Wisły, z nad Niemna, z nad Dźwiny,
Od płaskich stepów, od Karpat, od morza,
Jako rodzone jednej matki syny,
Przyszli bratersko zająć te przestworza.
I oni sami, i dzielne rumaki
Odmienne mają postaci i twarze, —
I strój ich suty niezawsze jednaki,
Lecz jak obyczaj swojej strony każe.
Tam rysi kołpak, delia szeroka,
Tam złoty żupan, tam widzisz kiereje,
Owdzie powaga przebija się z oka,
Tam rzeźwy uśmiech z czoła promienieje,
Tam długa broda, tam wąsik ze szwedzka,
Owdzie jaskrawe, tam ciemne kolory, —
Któżby cię zliczył, o braci szlachecka?
Któżby opisał twój kształt różnowzory?
Dalecy miejscem, lecz bracia najszczersi,
Różni zwyczajem i odcieniem mowy,
Choć nie jednako ubraliście piersi,
Lecz w sercach waszych jest takt jednakowy,
Który różnemi wypowiada tony:
„Bóg nasze prawo i nasz kraj rodzony!“

IV.

Gwarem, tętnieniem i szczękiem zbroicy
Z końca do końca rozlega się niwa.
Ów tłum ozdobny, ów tłum różnolicy
Pod elekcyjne okopy przybywa.
Zsiadają wszyscy, jako prawo każe,
Panowie z kolas, a rycerstwo z koni;
Przy województwa każdego sztandarze
Trąbka sygnały przepisane dzwoni;
Województwami idzie każde grono,
Kędy mu prawem miejsce wyznaczono.

V.

Pod szkarłatnego namiotu osłoną,
Na pierwszem miejscu sam Prymas zasiada.
Przy nim dokoła senatorska rada,
Której Biskupie przewodniczy grono:
Lwowski, krakowski, kujawski, poznański,
I dalej rzędem siadają pasterze,
Polak, w miłości wychowany Pańskiej,
Książąt Kościoła rad szanuje szczerze.
Pięknyż to orszak, święty i dostojny,
Obrońców prawa, Kościoła i kraju,
Fioletami i purpurą strojny,
Strzeże starego przodków obyczaju;
Za kraj, za Kościół, na pociski grotów
Pierś nawet własną nastawićby gotów.

Dalej siadają ojczyzny ojcowie,
Wojewodowie i kasztelanowie.
Serce krainy, ów Kraków Piastowy,
I chrobre Wilno, jak żelazne ramię,
I Lwów, i Kijów o złocistej bramie,
Wszystko przysłało najpierwsze swe głowy,
Aby w najświętszej krajowej obradzie
Wybrać monarchę po sercu i woli.
Bo każda ziemia w doli i niedoli
Do wspólnej urny swoje losy kładzie;
Bo każda skiba chlebodajnej ziemi,
Każda krwi kropla i czynszu grosz wdowi,
Mając się wspólnie poświęcić królowi,
Chce wybrać króla głosami wspólnemi.
Przy każdym władza obieralna była,
Ale swe prawa zawierza brat bratu;
Więc oprócz świętej obrady senatu,
Z każdej ziemicy, z każdego powiatu,
Uboższa bracia dwóch posłów przysyła,
Aby ich życie i własność ich święta
Nie szły frymarkiem przez pacta conventa.

VI.

Senat już zasiadł — i długiemi pary
Posłowie ziemscy do namiotu wchodzą;
Pod obranego przewodnika wodzą,
Witają senat, kreślą swe zamiary;
Prymas ich wita, odpowiada szczerze,
I każdy z posłów swoje miejsce bierze.

VII.

Oto rodzina cała zgromadzona
Ma wybrać ojca za wspólnym oklaskiem;
Piastów, Jagiełłów dostojna korona
Już czeka skroni, by otoczyć blaskiem.
Nie braknie obcych książąt, co dostojnie
Polskę okryją powagą i władzą,
Którzy w pokoju albo w krwawej wojnie
Dobry ład przodków u nas poprowadzą;
Nie brak i między swojemi rodaki
Męża, co świętość obowiązków pojmie;
Lecz za kim mówią najlepsze poznaki?
Kto najgodniejszą przedstawi rękojmię?
I kogo wybrać?

VIII

Ościenni posłowie
Wchodzą do izby... cisza tajemnicza...
Każdy w szerokiej a ognistej mowie
Swojego pana przymioty wylicza.
— Bierzcie go, bierzcie na króla, Sarmaci!
On uszczęśliwi, on was ubogaci!
Różne są myśli w radzie narodowej,
Jedni pogodzą, drudzy marszczą czoła;
A Prymas posłów temi żegna słowy,
Że się do woli narodu odwoła.
Posłowie kładą wierzytelne listy
Do Najjaśniejszej Rzeczypospolitej;
Wreszcie odchodzą — i szmer uroczysty,
Szmer nienawiści lub miłości skrytej,

Rozległ się w kole. Marszałek sejmowy
Uderzył laską, zakrzyczeli woźni,
Szlachta umilka i uchyla głowy,
Zmilkły stronnictwa, co szumiały, groźniej —
I znów koronne i litewskie syny
Sierota matka w bratni węzeł splata,
Stają się dziećmi tej samej rodziny,
Znowu im serce w jeden takt kołata,
I jedna żądza wszystkie serca pali,
Ażeby ojca ojczyźnie wybrali.

IX.

Prymas, i senat i rycerstwo klęka,
Oto nastaje uroczysta chwila:
Jak gdyby jakaś niewidzialna ręka
Wszystkie te głowy ku ziemi pochyla;
Jak gdy wiatr zadmie, pochyla się zboże,
Drżą polne kwiatki, jęczą leśne drzewa, —
Polska, Ruś, Litwa, Mazowsze, Pomorze,
„Przyjdź, Duchu święty!“ jednogłośnie śpiewa.
Z tysiąca piersi pobożnej gromady
Błagalnym hymnem rozlega się niwa;
Ducha świętego mądrości i rady
Rzeczpospolita na pomoc przyzywa.

X.

Skończono pieśnię do pana Syonu, —
Prymas powstaje z powagą oblicza,
I kandydaty do polskiego tronu
Ze swoich ziomków lub z obcych wylicza;
Zaklina wszystkich, aby była zgoda,
I nie bogactwo na względzie, lecz cnota:
A kogo Pan Bóg do serca wam poda,
Na tego rzućcie elekcyjne wota;
Niech zstąpi na was łaskawa otucha
Ojca, i Syna, i świętego Ducha!
Więc wszyscy kornie uchylają głowy,
Żebrząc nad krajem opieki niebieskiej;

Powstaje z miejsca marszałek sejmowy,
Poczyna zbierać senatorów kreski.
I zawrzał senat: zdania podzielone,
Każdy swojego chciałby kandydata,
Wota padają nie na jedną stronę,
I brat się nieraz oddziela od brata,
Tak popęd serca lub moc przekonania
Na różne strony chwieje się i skłania.
Konia przed namiot senatorski wiodą,
Siada nań Prymas w dostojnej postaci,
By każdy powiat świętą natchnąć zgodą
I zebrać wota od szlacheckiej braci.
Tu jeszcze gwarniej, bo szlachty umysły
Na jedno zdanie zgodzić się nie mogą;
Gdzieniegdzie nawet szablice zabłysły,
Choć broń dobywać zakazano srogo.
Ale na widok książęcia senatu
Płonie rumieńcem gromada swawolna;
Brat rozjątrzony ustępuje bratu,
Wszyscy na króla zgadzają się zwolna,
I szumią tłumy jakby fale wrzące,
Kipią w powietrzu odgłosów tysiące.

XI.

Ale Duch święty widocznie, widocznie,
Serce narodu ku jednemu skłania.
Wśród niesfornego wrzasku i wołania,
Wciąż jedno imię odzywać się pocznie.
Prymas niechętnych godzi i rozczula,
Ucicha stronnictw wołanie ponure,
Brzmi jedno imię obranego króla
I tysiąc czapek ulatuje w górę:
Vivat electus! tron nabył zasługą,
Niech nam panuje szczęśliwie i długo!
Jeszcze gdzieniegdzie, jak w muzyki chórze,
Ozwie się nuta fałszywa, niezgodna,
Jako na morzu, gdy przechodzą burze,

Ostatni piorun chce je wstrząsnąć do dna;
Lecz próżno ryczy i nadstawia czoła,
Cichym wietrzykom oprzeć się nie zdoła.
Bo już Duch święty na te fale ludu
Wionął swem skrzydłem, wionął w jednej chwili;
Uczuli w sercach tajemnicę cudu
I ku jednemu swą myśl nakłonili.
Tak w święte imię miłości i zgody
Zbiera ich wota Prymas siwobrody.
Pod senatorskim tak samo namiotem,
Wśród niezgód, żartów i hardych przechwałek,
Szumiała burza, lecz ucichła potem,
I zgodne głosy pozbierał marszałek.
I biedny szlachcic, i pan wojewoda
Przed sądem Bożym schylają kolana.
Prymas po trzykroć zapytał: Czy zgoda?
I już mianuje wybranego pana.
„Niech żyje!“ echem brzmi pole najdalej;
Wietrzyk wieczorny pochwycił to echo,
I do stolicy niesie wieść z pociechą,
Że już Polacy monarchę wybrali,
Wybrali tego, pod czyj znak się zbierać,
Komu nieść służby, za kogo umierać.

XII.

Kipi w stolicy naród poruszony,
Rzewne uczucie oświeża mu łono,
I jakby cudem ozwały się dzwony,
I jakby cudem światła rozpalono,
Z twierdzy armatnie zahuczały grzmoty,
Już mamy ojca, już my nie sieroty!

XIII.

I gwar urasta, urasta powoli,
Wciąż go przybywa z przestrzeni gdzieś dalnej.
Senat i szlachta powraca z pod Woli,
Światłem zapłonął kościół Katedralny.

Leci przed kościół kolaska Prymasa,
Lecą kolaski państwa dygnitarzy,
Szlachta na koniach harcuje i hasa,
A radość z każdej uśmiecha się twarzy.
Wszystko co żyje spieszy do kościoła,
Kościół zaledwie pomieścić ich może;
Każdy co żyje z głębi piersi woła:
„Ciebie chwalimy, miłosierny Boże!“
„Ciebie chwalimy!“ powtarzają dzwony,
A głos ich płynie nad powietrzną falą,
I w całym kraju już serc miliony
Za wybór króla Pana Boga chwalą.
A Bóg już księgę wyroków odsłania
I pisze do niej losy panowania.

CZĘŚĆ DRUGA.

STAROSTA KOPANICKI.

I.

Tak, kiedy w Polsce umarł August Drugi,
Kraj objął swoje elekcyjne prawa;
A przypomniawszy cnoty i zasługi,
Znów Leszczyńskiego obrał Stanisława.
On był wygnańcem na francuskiej ziemi,
Gdy go ubiegli sascy zapaśnicy,
Zadziwiał obcych cnoty sarmackiemi,
Na lotaryńskiej panując dzielnicy;
A dobrodziejstwa sypiąc wkoło siebie,
Cierpiącym bliźnim rad zasklepiać rany,
Sercem na ziemi, myślą goszcząc w Niebie,
Był f i l o z o f e m d o b r o c z y n n y m zwany.
A córka jego, co w ojca szła tropy,
Sarmatka sercem i mową, i głową,
Na najświetniejszym tronie Europy
Zdała się światu królowych królową.
Ojcu się lepsza uśmiechnęła dola,

Był wybran królem jako Piast nad Piasty,
Choć już utracił szwedzkiego Karola,
O jego sprawę stał Ludwik Piętnasty.

II.

Świetne te związki i świetniejsza cnota
W myślach Polaków gdy obecnie stawa,
Gdy przyszło dawać elekcyjne wota,
Znowu obrali królem Stanisława;
Z ręką na sercu i wielcy, i mali,
Jak go kochali, tak go i obrali.
Co ich obchodzi jakaś tam niełaska,
Albo intryga rakuska i saska?
Gdy się zbierają pod okopy Woli,
Z sumiennem trzeba występować zdaniem:
Któż tu własnemu sercu nie pozwoli,
By wypowiedzieć, co tam leży na niem?
Sejm elekcyjny gdy o zdanie pyta,
Senat i szlachta głąb piersi odkryje;
Więc wykrzyknęła wnet Rzeczpospolita:
„Vivat electus! niech Stanisław żyje!"
I wiatr wieczorny pochwycił to echo,
I do stolicy niesie je z pociechą,
I już wiadomo, pod czyj znak się zbierać,
Komu nieść służby, za kogo umierać;
I dzwony głoszą, i armatnie grzmoty:
Już mamy ojca, już my nie sieroty!

III.

Gdy umocniony narodu powagą,
Prymas ogłosił królem Stanisława,
We wsi Kamionnej, za przedmieściem Pragą,
Zbiegła się kupa wyborców nieprawa.
Tam jednym przestrach saskiego pałasza,
A drugim złoto zawiązało usta:
Cząstka Polaków za króla ogłasza
Potomka Sasów, Trzeciego Augusta.

Wsparty potężną trzech dworów pomocą,
Koroną Piastów uwieńczył swe skronie.
Szlachta się waśniąc, choć nie wiedząc o co,
Gwałtem go chciała utrzymać na tronie.
Więc się utrzymał — i do tronu biegą
Po garstkę nagród, jak po cacko dzieci,
I mimo wybór narodu wszystkiego,
Monarchą polskim został August Trzeci.
Tak było w wiecznej zapisano księdze,
By na wspak poszła narodowa sprawa.
Mało kto wiernym pozostał przysiędze,
Chociaż ją złożył na rzecz Stanisława;
Nowemu słońcu już każdy się modli,
Nie dba, niełaska czy łaska w tem Pańska.
Gdy Stanisława odstąpili podli,
Z kilku wiernymi schronił się do Gdańska;
Stamtąd na lichym kupieckim okręcie
Spieszy się schronić na Zachodu kraniec,
Dwakroć na króla mianowany święcie,
Dziś znowu tułacz i znowu wygnaniec.
Szlachta, zjednana przez grosz i oręże,
Przed nowem słońcem w cześć upada twarzą...
Lecz w starej Polsce, och! są jeszcze męże,
Którzy przysięgi swej lekce nie ważą.
Gdy każdy uznał wobec nieprzyjaciół,
Że siłą serca żelazu nie sprosta,
Jeden z niewiela Poniński się zaciął,
Pan kopanicki grodowy starosta.

IV.

Kiedy za obcej potęgi podnietą
Kładli koronę na Augusta czole,
Stary Poniński: Veto! — krzyknął — veto!
Jam go nie wybrał, ja nań nie pozwolę! —
I zadrżał August, a z nim dygnitarze,
Nie w smak im poszła wśród ludu przechwałka;
A więc posłano marszałkowskie straże,

Aby zatrzymać i uwięzić śmiałka.
Śmiałek napaści przed kościołem czekał,
Czekał, aż przyjdzie kohorta zajadła;
Straż marszałkowską rozproszył, posiekał,
I już w stolicy wieść o nim przepadła.

V.

Król August Trzeci, za poradą Brühla,
Wciąż swoją siłę Sasami zasila.
I niemasz wioski, i niemasz miasteczka,
Gdzieby się schronić przed niemiecką wartą,
Gdzieby z Niemcami nie wynikła sprzeczka,
Gdzieby narodu serca nie rozdarto.
Tam zbito kmiotka, że niby pijany,
Owdzie szlachcica zakuto w kajdany;
Tam przy gościńcu kapłan z organistą,
Gdy do chorego z Sakramentem spieszył,
Sas mu odebrał patenę złocistą,
Pokrzywdził starca, albo szablą przeszył.
Senat i szlachta choć do króla woła,
Zanosić skargi — daremna mozoła,
Bo August Trzeci głuchy na bezprawia, —
Chyba ktoś z braci Saksonów wychłosta;
Takim mścicielem Poniński się zjawia,
Pan kopanicki grodowy starosta.

VI.

Pięknaż to postać! Stary, siwy, chudy,
Na całem ciele choć policzyć kości;
Oko błękitne, pełne uprzejmości,
Nie świeci blaskiem zdrady lub obłudy, —
Ale z miłością kiedy spojrzy na cię,
To zda się mówić: Chodź do serca, bracie!
A z nienawiścią kiedy spojrzy czarną,
To: Niech cię wszystkie szatany ogarną!
Miał częstochowski medalik na szyi,
Stary pas słucki podtrzymywał zbroję, —

W Imię Jezusa i świętej Maryi
Już stary żołnierz gotów iść na boje.
A gdy prawicą po czuprynie muśnie,
Lewicą dotknie rzemiennego pasa,
To było ślubem, że póty nie uśnie,
Póki nie zwalczy choć jednego Sasa.
A Bóg mu szczęścił: bo gdy Sas napada
Wdowę, sierotę lub starego dziada, —
Jemu się w wiosce jakaś sprawa zdarza,
I zajrzy w okno, i podsłucha w sieni;
A kiedy w domu niemasz gospodarza,
I do chałupy zajrzeć się nie leni.
A tam broń Boże jaki żołdak saski
Pokrzywdzi chatnich, lub wszczyna niesnaski, —
Och! wtenczas biada, o! biada Sasowi,
Gdy go Poniński w swoje kleszcze złowi!

CZĘŚĆ TRZECIA.

NAPAD NOCNY.

I.

Przy dworze Dłuskim, pod miastem Skwierzyną,
Kędy starosta kopanicki bawi,
Mniej od Saksonów kraj cierpiał bezprawi,
Bo tam starosta był tarczą jedyną.
Bezpieczniej kmiotek przejeżdżał do miasta,
Bezpieczniej grunta orano i siano,
Bezpieczniej dziecię lub słaba niewiasta
Mogli wypocząć pod strzechą słomianą.
Kopanickiego starosty nazwisko
Błogosławiła każda wiejska chata...
Lecz i nad jego głową cios już blizko, —
Jakaś złowroga przepowiednia lata...
Ciemno na dworze, noc się rozpoczyna,
Bucha w komnacie światło od komina
Od blasków ognia, zda się, gore ściana,

W świetny rynsztunek i oręż przybrana.
Stary Poniński smutnemi oczyma
Patrzy na fale i skręty ogniska,
Wolumen prawa w jednej ręce trzyma
A drugą syna do piersi przyciska.
Dwuletnie dziecię w niewinnej swawoli
Oburącz targa za suty wąs dziada;
Dziad zadumany nie zważa, że boli,
Bo cięższa boleść serce mu przejada.

II.

Młoda niewiasta, siedząca w półcieniu,
Zda się aniołem stróżem bohatera;
Drobną mu rączkę zwiesza na ramieniu
I piękną główkę na piersi opiera;
I sama smutna — bo jej dusza tkliwa
Przyczynę smutku u starca zgadywa.
— Żono ty moja, i ty synu mały,
Drodzy wy moi... wy żywi i zdrowi...
Jak smutno myśleć, że Nieba nie dały
Bezpiecznej doli naszemu krajowi!
Jak smutno umrzeć z tą palącą myślą,
Że pod nieprawem berłem panowania,
Już naszych swobód prawa nie określą,
I nic waszego życia nie osłania!
Nieprawny ubiór i Sasa uciski,
Domowe wojny i bratnie niezgody,
Pewno mi wróżą, że już koniec blizki
Naszych praojców najświętszej swobody.
Pod starem prawem ujrzałem świat Boży,
Żyłem pod królem i pod sejmów władzą, —
I nim się kości do trumny położy,
Starego prawa jeszcze nie zagładzą;
Lecz po mnie... po nas... ty i nasze dziecię
Jakże w tej Polsce bezpieczni będziecie?
Elektor saski, co się królem zowie,
Puścił po kraju zastęp rabowniczy;

Twój chleb, twój pieniądz, nawet twoje zdrowie
I wszystko twoje — twojem się nie liczy.
Mała otucha, że naszej ustroni
Jeszcze mój pałasz od ucisku broni.
Na mojej głowie już słabe nadzieje:
Choćbym was pragnął bronić najgoręcej,
Ręka się chwieje, żelazo tępieje,
A oni mocni, a coraz ich więcej.

III.

— Rzuć czarne myśli — odpowie niewiasta —
Przestań się dręczyć urojoną trwogą,
Bo jeszcze długo nasze wsi i miasta
Pod twym orężem bezpiecznie spać mogą;
I jeszcze w kraju mężów jest niemało
Z odważnem sercem i z odważną dłonią,
Którzy za prawa zastawią się śmiało
I bezpieczeństwo swych dachów zasłonią.
Starzec się zaśmiał: Och, ci stróże prawa!
Ty nie uwierzysz, jacy oni mali:
Umieli królem wybrać Stanisława,
Ale wyboru poprzeć nie zdołali.
Czyż nie wiem codzień przez listy i gońce
O moich ziomków słabości zbrodniczej?
I że to saskie fortunniejsze słońce
Coraz to nowych zwolenników liczy?
To za starostwo, to za trochę groszy,
Codzień elektor stronniki swe mnoży:
Stanisław w nędzy, a Sas ich panoszy,
Więc niosą serce, gdzie przedać je drożej.
W Polsce, na Litwie, na Rusi i wszędzie,
Codzień zdrad nowych odkrywa się zaród.

IV.

— Przebacz mi, mężu... możeś ty sam w błędzie,
Może gdzie większość, tam cały jest naród.
Kiedyśmy Sasom oprzeć się niezdolni,

Tak widać w losów zapisano księdze.
Znam, co winieneś poddańczej przysiędze,
Lecz od przysięgi sam Bóg cię uwolni, —
Bóg, co Augusta umacnia na tronie,
Co mu pomyślnych wypadków udziela...
August cię liczy za nieprzyjaciela,
August ku tobie nienawiścią płonie;
Swoje rajtary i swoje husarze
Przysłał na ciebie, jak chmurę szarańczy.
Jedź do Warszawy, złóż mu hołd poddańczy,
A on twe wioski poszanować każe;
A wtedy, mężu — tak mi serce szepce —
Syn twój spokojniej spać będzie w kolebce.

V.

— Niech umrze raczej! — rzekł starzec z zapałem.
— Gdy życie jego mam kupić niesławą.
Stanisławowi przysięgę składałem,
Któż od mych przysiąg rozgrzeszyć ma prawo?
Zgwałcono nasze odwieczne statuta,
Złamano wybór najlepszego z króli,
Ziemia sarmacka okowami skuta, —
Jaż mam się łączyć z tymi, co ją skuli?
Jaż mam raz drugi poprzysięgać zdradnie?
Niech ten dom raczej na głowę mi spadnie!

VI.

Rzekł i dziecinę ze swych kolan spycha,
I odszedł w ciemnej komnaty ustronie.
Jakaś wątpliwość, czy narada cicha,
Snadź w jego męskiem odbywa się łonie.
Żona nieśmiało przyjęła pacholę,
Ukołysała, w płaczu utuliła,
I przeżegnała, i za jego dolę
Cichą modlitwę do Niebios posyła.
Starosta spojrzał na żonę, na syna,
Jak chcąc przebłagać jednym oka rzutem;
Potem się znowu zbliżył do komina

I znowu pilnie zasiadł nad statutem,
I po raz setny źrenicą ciekawą
Zgłębia narodu kardynalne prawo.
Jedna i druga chwila tak upłynie;
Nastała cisza, tylko przerywana
Szelestem karty, lub wiatrem w kominie,
Lub silnym pryskiem smolnego polana.

VII.

Szanując dumkę tęsknego rycerza,
Młoda małżonka odeszła z komnaty.
On przejrzał broń swą, bo jutro zamierza
Znowu wyruszyć na zwyczajne czaty,
Przyjść przeciw Sasom na pomoc kmiotkowi,
Zbawić sierotę, ocalić grosz wdowi.
Na swoim dworze starosta posiadał
Mężnych i bitnych Kozaków półsotek,
A w jego wiosce każdy młody kmiotek
I strzelał celno, i szabliskiem władał.
Znali ich Sasi po hardej postawie,
Czuli ich przyjście po pyłu kurzawie.

VIII.

Ale starosta swój huf niezwalczony
Wyprawił kędyś w odleglejsze strony.
Czeka powrotu z obawą widoczną;
Powrócą w nocy, — a jutro do ranka,
Ludzie wypoczną i konie wypoczną,
I znowu będzie Sasom niespodzianka.
U pruskich granic stojąc na załodze,
Słychać kaplicę spalili przy drodze;
Więc niechaj polskie nauczą pałasze,
Jak to świętości poszanować nasze.
Iskra po iskrze ognisko przygasa,
Godzina jedna i druga wybija, —
Starosta, marząc o pobiciu Sasa,
Szepce Ojcze nasz i Zdrowaś Maryo.

Myśl jego lata w przeszłości dalekiej.
Wśród lepszych czasów i dzielniejszych ludzi;
Aż sen łagodny zamknął mu powieki,
Choć czujne ucho każdy szmer przebudzi.

IX.

Tak, gdy w milczeniu nocy uroczystem
Dusza starosty lepsze światy marzy,
Kozak, u bramy stojący na straży,
Hasło baczności dał przeciągłym świstem.
W sto kopyt końskich zatętniła droga,
Leci huf jezdny, dwaj starsi po przedzie;
Musi to swoja powracać załoga.
Kozak u bramy zapytał: Kto jedzie?
Gdy w tejże chwili krzyknięto surowo,
I strzał ruszniczny palnął mu nad głową.

X.

— Otwieraj wrota! — ktoś huknął z niemiecka,
Aż zlękły Kozak cofnął się ku bramie, —
I sto rajtarów, jak kupa zbójecka,
Hurmem się kupi i wrzeciądze łamie.
Głucho stęknęła brama już otwarta,
Rozległ się łoskot aż po całym dworze.
— Kto jedzie? — krzyczy starościńska warta,
Lecz gwałtu gwałtem odeprzeć nie może;
Grzmotnęła z rusznic — po małym przestanku
Drugi raz, trzeci — i skryła się w ciemnie.
Ale już opór stawić nadaremnie,
Wodzowie sascy już stoją przy ganku;
A ich rajtary w tejże samej chwili
Pałac starosty wkoło otoczyli;
Snadź tutaj przyszli z mordem i łupieżą,
Bo w każde okno ze dwóch rusznic mierzą.
Starosta, z marzeń zbudzon wystrzałami,
Skoczył do okna, ujrzał hufiec Sasa, —
I już się próżną nadzieją nie mami,

Szablę na prędce przywiązał do pasa,
Zatlił w kominie żelazny kaganek,
I przy wybuchu rzęsistych płomieni,
Wyszedł do gości, co obległszy ganek,
Już drzwi zamczyste łamali do sieni.

XI.

— Kto tam i poco?
— Otwórz w imię prawa! —
Głos jakiś dziki krzyknął z tamtej strony.
Drzwi się otwarły — przed starostą stawa
Starościc Unrug, w pancerz uzbrojony.
Dawny przyjaciel i syn przyjaciela,
Dzisiaj go saska zhołdowała władza,
On o staroście wiadomość udziela,
On w jego dworzec gości naprowadza.
A za nim Hesler, znajomy wódz saski,
Co, za rabunki swojego orszaku,
I dotąd jeszcze ze starosty łaski
Zranioną rękę nosił na temblaku.

XII.

— Zdaj się, bo zginiesz! — tak Hesler zawoła —
Czas porachunku! twe żniwo ustało.
Starościc Unrug, spojrzawszy z pod czoła:
— Zdaj się, starosto... — wymówił nieśmiało —
Widzisz tu we mnie brata, nie siepacza;
Chcę cię wyzwolić w tej ciężkiej potrzebie.
Król August Trzeci winę ci przebacza;
Tylko przysięgi wymaga od ciebie.
Zdaj się, starosto! a na znak pokory
Oddaj twą szablę, bo jesteś w areszcie.

XIII.

— Zdać się... król August... a któż wy jesteście,
Co śmiecie w nocy najeżdżać na dwory?
I któż mi prawo obrony odejmie?
Oddać wam pałasz? ani mi się ruszcie!

Ja byłem posłem w elekcyjnym sejmie,
Lecz nie słyszałem o królu Auguście.
Elektor saski, gdy ma jakie prawa
Do berła Piastów — niesprzecznym w tej mierze:
Jest na to Wola, jest na to Warszawa,
Jest na to naród — niechaj go wybierze.
Wtedy, panowie, tak mi pomóż Boże,
Ja sam najpierwszy przysięgę mu złożę,
Ja sam mu będę poddany najszczerszy;
Lecz teraz: vivat król Stanisław pierwszy!

XIV.

— Vivat Stanisław! — krzyknął z drugiej strony
Głos chrapowaty, jak surma bojowa.
Pan Piotr Olędzki, rębacz doświadczony,
Co go starosta na swym dworze chowa,
Co był staroście jakby prawa ręka,
Co się ni Sasa, ni czarta nie lęka, —
Przybieżał k'panu jako wierny sługa,
Kiedy posłyszał strzały i hałasy,
I nie zważając, że tuż stoją Sasy,
Płatnął szabliskiem po głowie Unruga.
Szabla, puszczona omackiem i w ciemnie
Zgrzytnęła tylko po hełmie wzdłuż skroni,
Sypnęły iskry... Unrug się posłoni, —
Cios spaść miał znowu, ale nadaremnie;
Bo nim zaświstał znowu nad przyłbicą,
Dziesięciu Sasów porwało się skoro,
Już pana Piotra rajtary pochwycą,
Na smycz rzemienną jego ręce biorą.
Płatnął pałaszem, poprzecinał węzły, —
Płatnął raz jeszcze, lecz trudne staranie,
Bo się zatrzymał jego miecz, zagrzęzły
W miękkim, łosiowym rajtara kaftanie.
Raniony rajtar chwieje się, uklęka,
I krzyczy z bólu, i zębami zgrzyta, —
I wkrótce jedna, potem druga ręka

Znowu za barki pana Piotra chwyta.
Pan Piotr zrozumiał nierówne obroty,
Trącił żołdaka, co jęczał od bolu,
Z rąk się wywinął, umknął między płoty, —
Rajtary za nim — szukaj wiatra w polu!
Strzelono w pogoń raz, drugi i trzeci;
Lecz pan Piotr umknął, dobrze świadom drogi.
Tylko gdy wystrzał dziedziniec oświeci,
Starosta widzi, że Sasów huf mnogi,
Że jego hufiec nie wrócił z podróży,
Że nocna walka na nic nie posłuży.

XV.

Więc cisnął pałasz i wyrzekł z zapałem:
— Bierzcie mię w więzy, gdy wam siła dana;
Lecz elektora nie uznam za pana,
Bo już innego monarchę wybrałem!
— Jak wola wasza, miłościwy panie!
Mamy królewski mandat oczywisty,
Więc musim wasze obejrzeć mieszkanie,
Zabrać oręże i przeczytać listy;
A tego u was musi być zbiór duży, —
Mnie pan starościc tłómaczem posłuży.
Wzięto kaganiec, i Sasów gromada
Hurmem do komnat starościńskich wpada.
Jeden za drugim żołdak podżegany
Błyszczące zbroje odziera ze ściany,
Ze starych szablic gorzko się najgrawa,
Co były świętem dziedzictwem rodziny,
Chociaż tam plama zardzewiała, krwawa,
Jeszcze z pod Wiednia, jeszcze z pod Byczyny,
Mogła zaświadczyć, że w imieniu Bożem
I bronić drugich, i bronić się możem.
I pism szacownych starożytne pliki,
I pamiętników rodu foliały,
I świeższe listy, co w półkach leżały,
Wszystko to żołdak porabował dziki.

Gdy jaki świstek lub pergamin rzadszy
Starosta chciałby ocalić z grabieży,
Hesler powiada, że to sąd rozpatrzy,
A rozpatrzywszy, zwróci jak należy;
Tymczasem wszystko w jeden zwitek kręci,
Łamie pergamin i kruszy pieczęci.
Jak lew starosta w swych więzach się targa,
Lecz walczyć z tłumem daremne nadzieje,
Daremny protest, wołanie i skarga,
Że się krajowym swobodom gwałt dzieje.

XVI.

Młoda małżonka, strwożona, wybladła,
Ocalić męża do komnaty wpadła.
Daremne jęki słabej białogłowy, —
Chciała przed Sasem uklęknąć nieśmiało,
Ale ją wstrzymał wzrok męża surowy,
Zamknął w jej piersiach rozpacz oniemiałą.
— Słuchajcie waszmość! — rzecze do Heslera —
Waszej przemocy oprzeć się nie mogę,
Macie mnie więzić! gdzież wodza kwatera?
Już świt — co prędzej puszczajmy się w drogę.
Czemuż mi dotąd kajdan nie kładziecie?
Już mię prowadzić rozkażcie swej straży.
Oszczędźcie, proszę, zbolałej kobiecie
Widoku waszych rozbójniczych twarzy.
— Wszystko, starosto, pójdzie w swoją kolej! —
Odpowie Hesler z szyderstwem na twarzy. —
Ty, piękna pani, namawiaj go wolej,
Niech doma siedzi, niechaj gospodarzy,
Niechaj królowi hołd poddaństwa składa,
Niechaj na jego wojska nie napada.
Tak... po rycersku... niech rękę mi poda,
A ja rozkażę rozwiązać mu plecy.
Trochę za przeszłość posiedzi w fortecy,
I znów nastąpi pożądana zgoda!

XVII.

Gniew groźny osiadł na starosty czole,
Wzgarda zmarszczyła jego brwi sokole.
— Żołdaku! — rzecze z postawą wyniosłą —
Po coś przysłany, czyń twoje rzemiosło.
Musisz dopełnić, co ci rozkazali,
Choć prawo więzić szlachcica zabrania;
Lecz wara tobie zapuszczać się dalej,
W obywatelskie wchodzić przekonania!
— Jak się podoba, — jeśliś tak uparty,
Muszę cię stawić przed zwierzchności władzą! —
Odpowie Hesler — i krzyknął do warty:
Niech go wywiodą i na konia wsadzą!
Spełnił się rozkaz — wyszła ciżba cała
Z hałasem, brzękiem i urągowiskiem.
Małżonka nawet męża nie żegnała;
Bo pod przestrachu i żalu naciskiem,
Taki ból w sercu, tak w głowie się mroczy,
Że skamieniała, jak posąg rozpaczy;
Błądzą dokoła nieprzytomne oczy,
Lecz nie pojmuje co to wszystko znaczy.
Wreszcie do okna podbiega jak we śnie,
Słucha... już hufiec wyjechał za wrota...
— O dziecię moje! — krzyknęła boleśnie —
Tyś już sierota!...

XVIII.

Jesienne słońce z pod deszczowej chmury
Wyjrzało rankiem i w chmurach się chowa.
Lecz Dłuski dworzec smutny i ponury,
Jakby tu przeszła zaraza morowa.
Służba ze strachu gdzieś pierzcha na stronę,
Przy bramie leżą dwa trupy ze straży,
Przy nich psy wyją; przez okna stłuczone
Wpadłszy do komnat, wicher gospodarzy;
Sprzęty popsute i ściany odarte,
Gdzieniegdzie pochwa staroświeckiej broni,

Wiatr po podłodze rozwiewa gdzieś kartę...
A pani, blada, oparta na dłoni,
Nie wie, co począć; — przestrach tajemniczy,
Odjął jej siłę, odrętwił ją samą.
A małe dziecię z kolebki jej krzyczy:
— Daj wody, mamo! weź na ręce, mamo!
Ręce zdrętwiały — a tu w całym domu
I kubka wody niemasz przynieść komu.
Nieprędko słudzy zeszli się do pani,
Aby ją złożyć na niemocy łoże;
Nieprędko przyszli strwożeni poddani
Zobaczyć, co tam działo się we dworze.
Aż zapłakali — bo wszędzie ruina,
Jaka po Sasach bywała zwyczajnie;
Zginęły z piwnic stare stągwie wina,
Konie najlepsze zginęły ze stajnie,
Tylko myśl jedna utwierdza ich w wierze:
Kozactwo wróci — i pana odbierze.

XIX.

Wróciła zresztą i kozacka jazda,
Straż opiekuńcza okolicy całej,
Jako sieroce orlęta do gniazda,
Skąd już ich wodza sokoły porwały.
Pan Piotr Olędzki wielce boleściwy
Z gorzkiemi łzami przemówił do sotni:
— Bracia mołojcy! patrzcie, przez Bóg żywy!
Co tu zdziałali Saksonowie psotni!
Oj! gorzkiej, gorzkiej zadali nam soli,
Pan Bóg na ciężką przeznaczył nas chłostę!
Pani w chorobie, a pan nasz w niewoli.
Hej! może odbić uda się starostę!
— Jedźmy! — krzyknęli — Sakson nie ucieczе!
W pień wyrąbiemy Heslera załogę!
Popaśli konie, wyostrzyli miecze,
Wzięli kul, prochu i chleba na drogę,
Krzyżyk na piersi — i po twardej błoni

Huf starościński w kopyta już dzwoni.
Trzy dni, trzy noce, od chwili do chwili,
Pani się wszystkich niespokojnie pyta:
Czy już Kozacy z wyprawy wrócili?
Czy z dala końskie nie tętnią kopyta?
Lecz słudzy wierni, ale obojętni,
Zawsze odpowiedź dają jednej treści:
Że o Kozakach ni słychu, ni wieści,
Że nic nie widać, i droga nie tętni.

XX.

Powrócił wreszcie oddział podjazdowy,
I rozdarł smutkiem biednej pani łono:
Że zdołał dotrzeć do miasta Kargowy,
Lecz tam w koszarach pana osadzono;
Więc się i kusić nie było już po co,
Wykraść fortelem lub odbić przemocą.
Stamtąd go w nocy wywieźli do Drezna,
Otoczonego niezliczoną strażą;
Tam na Augusta przysięgać mu każą,
A on odmówi, on przymusu nie zna.
— Och, dobra pani! z tą niemiecką zgrają
Jeszcze nas długie cierpienia czekają,
Dni pełne trwogi, niespokojne noce.
Jedną pociechę i jedną mam radę:
Wezmę Kozaków, na drogę wyjadę,
I choć jednego Saksona wygrzmocę!
Tak pan Olędzki pociesza się w smutku.
W to graj Kozactwu! ruchawka nie trudzi.
Co zapowiedział, to dotrzymał w skutku,
Wybrał pięćdziesiąt najdzielniejszych ludzi,
I ruszył na świat; — a kędy napotka,
Że Sakson skrzywdził szlachcica lub kmiotka,
Że się dopuścił rabunku w kwaterze,
Albo niesłuszne prowianty bierze, —
Pan Piotr jak piorun wpada na bezprawia,
I wedle sądu, jako czego warci,

Jednych Saksonów do grodu odstawia,
A drugich płazem albo ostrzem karci.
To gościł w wioskach, to się skrywał w lasy,
Jak za warowną bezpieczeństwa ścianę:
A jego imię często w tamte czasy
Po wioskach polskich było wspominane.

CZĘŚĆ CZWARTA.

WIĘZIENIE W SONNENBURGU.

I.

Piękne są Elby germańskiej wybrzeża:
Na łąkach trawka kołysze się świeża,
Piękne pagórki uweselą oko,
Zielony gaik odbija się w wodzie,
Pod pięknem niebem, wysoko, wysoko,
Szczęśliwy ptaszek śpiewa na swobodzie,
Szczęśliwa rybka pod wodą swawoli,
Wszystko rozkoszą oddycha w naturze...
Tylko na pięknej Sonnenburga górze
Człowiek zbudował straszny dom niewoli.
Wokoło groźną, niedostępną ścianą
I słońcu nawet wchód zamurowano.
Od baszt i strzelnic wieje zimna trwoga,
Z okien sklepionych patrzy noc złowroga;
A głos żołdaka i szczękot pałasza
Puszczyki nawet od murów odstrasza.
Żelazne kraty świadczą w każdem piętrze,
Że uciec niema żadnego sposobu;
A jakież straszne musi być wewnętrze
Tego dla żywych ceglanego grobu!

II.

Noc... głucha cisza... W izdebce więziennej
Pali się lampka blaszana ukryta;
Za drzwiami szyldwach na tafli kamiennej

Brzęknie pałaszem aż w sercu zazgrzyta.
Knot lampy parsknie, ćma nocna zaskwierczy,
Gdy wpadnie w płomień z niebacznych igraszek,
I znowu cisza... chyba nocny ptaszek
Przyśle swą piosnkę, jak na śmiech szyderczy,
Lub mucha, wpadła do sieci pajęczej,
W szybce więziennej o ratunek jęczy.

III.

Tam na słomianym zwitku materaca
Śpi ktoś, a serce uderza mu skoro;
Podeszły więzień targa się, przewraca:
Znaczno, że z senną pasuje się zmorą;
Znaczno, że robak morderczy dla ducha
W najboleśniejszą wbił się serca stronę;
Znaczno, że szatan szepce mu do ucha:
Życie stracone, czyny niespełnione!
Zerwał się więzień z twardego posłania
I senną ręką uczynił znak krzyża,
I znowu głowę na materac skłania, —
Znaczno, że szatan już się nie przybliża,
Znaczno, że więzień sny lepsze już marzy,
Bo spokój Pański odbił się na twarzy.
Młodość i spokój przed więźniem i starcem
Płoną, migocą barwy tęczowemi:
Śni, że po swojej rodowitej ziemi
Pierwszym wojennym występuje harcem.
Przez niezmierzone stepy Ukrainy,
Przez Wołoszczyznę i podolskie skały,
Kędy się snuły jego młode czyny,
Lata myśl jego i duch rozbujały.
Na wiernym siwku, z wiernym mieczem w dłoni,
W trop króla Jana hasa pod Kamieńcem;
Biją mu pulsa na gorącej skroni,
Jakby laurowym opasane wieńcem;
Śni, że był z królem, że pokonał wrogi,
I że ich sztandar składa mu pod nogi...

Szyldwach zabrzęczał — bo więzień w tej porze
Okrzyk tryumfu wydał jakiś może...
Ocknął się więzień — ale nie na długo,
Bo sen tęczowy nowe kształty bierze:
Grzmoce kapela, wino tryska strugą,
A on na uczcie prowadzi tancerze;
A w jego ręku drży niewieścia ręka,
Biała jak mleko, a droga jak życie;
Jak taniec każe, on przed nią uklęka,
I pieści oczy w nadziemskim zachwycie.
Znów poszli w taniec — wesołość wybucha,
Na jego ręku wspiera się dziewoja,
I w wirze tańca szepce mu do ucha:
Jam twoja, luby! jam na wieki twoja!
On przez sen nuci i w dłoń klasnął dłonią,
Kiedy mu serce zakipiało żwawo...
Szyldwach powtóre zaszczękotał bronią:
Tu pieśń wesela wzbroniona ustawą!

IV.

Zbudził się — usnął — i słyszy organy, —
Snuje się orszak zebrany na gody;
A on, w złocistą delię przybrany,
Idzie przed ołtarz — szczęśliwy pan młody!
Piękna jak jutrznia, wesoła jak wiosna,
Daje mu rękę i staje z nim razem...
Pieśń na organach głośna, bardziej głośna,
Dobrze znajomym przepływa wyrazem.
To hymn do Ducha, co swe łaski zlewa,
Którego darów dla duszy wzywamy...
I ton ten samy, i wyraz ten samy,
Prymas na polu elekcyjnem śpiewa.
W muzyce hymnu, w sennej wyobraźni,
Sejm elekcyjny zmieszał się z weselem,
I serce więźnia uderzyło raźniej,
Że jest małżonkiem i obywatelem.
Dziwne się w piersiach kołysze uczucie,

Sny promieniste latają nad głową ...
Lecz cóż to znaczy, że nuta po nucie,
Hymn się przemienia na pieśń pogrzebową?

HYMN.

Dzień, on dzień straszny, zbliża się gniew Boży,
Świat na proch zetrze i w gruzy położy;
A Dawidowi tylko i Sybilli,
Dano być świadkiem tej okropnej chwili.
Cóż poczną grzeszni? gdzie schronić się mogą,
Gdy i cnotliwy zalęknie się trwogą?
Królu straszliwy ...

* * *

Wtem na zmianę warty
W trąbkę i bęben uderzyły straże;
Ocknął się więzień, z marzenia wydarty,
Gdzie jest przypomniał — pierzchły miłe twarze,
I znane miejsca, i młodzieńcze dzieła,
I cała przeszłość w grób się osunęła.
Lecz co za dziwy, że w nocnej zaciszy,
Pieśń pogrzebową i na jawie słyszy?
Słyszy wyraźnie, gdy ucho natęży,
Słowa łacińskie i śpiewanie księży:

* * *

Królu straszliwy, co zbawiasz wybrane,
Niech i ja grzeszny w ich liczbie zostanę.
Ty jawnogrzesznej, błędnej Magdalenie,
Łotrowi z krzyża dałeś przebaczenie;
Tyś sam i na mnie spojrzał po kolei,
I spuścił w serce iskierkę nadziei.
Usz twych niegodne wołanie nędzarza;
Lecz przebacz, Panie! piekło mię przeraża,
Gdzie potępieni wołają w rozpaczy ...

. . . . . .

V.

Więzień wstał z łóżka i we drzwi zapuka:
— Hola, żołnierzu, co ten odgłos znaczy?
Kto tutaj śpiewa?
— To nienowa sztuka,
To umarł Polak, czy Litwin do licha,
Stronnik Leszczyńskich, podobny do ciebie;
Więc pan komendant sprowadził tu mnicha,
Co go w kaplicy ze śpiewaniem grzebie.
Ta sama kolej i nad twoją głową,
Bo w Sonnenburgu Polakom niezdrowo.
Cicho siedź w celi.

VI.

— Mój Boże! mój Boże! —
Zawołał więzień, siadając na łoże:
Żem wybrał króla, jak prawo kazało,
Żem mu przysięgnął, jak chce zwyczaj stary,
I żem w swem sercu postanowił śmiało
Krzywoprzysięstwem nie złamać mej wiary, —
To już mi za to odetchnąć nie wolno
Powietrzem kraju, co śnił się tak błogo,
To mam umierać śmiercią tak powolną,
Nie zobaczywszy ze swoich nikogo!...
Kraj... żona... dziecię... rodzicielska niwa...
Do nich, och! do nich serce się wyrywa,
Myśl do nich spieszy, sen do nich ulata, —
A tutaj rygiel i żelazna krata!...
Panie Zastępów! umocnij me ramię,
Rygle rozbiję i kraty połamię!

VII.

Chwycił za sztabę żelazną okienka,
Lecz była mocno zasklepiona w ścianę;
Tylko zuchwała skrwawiła się ręka,
Uderzył głową w sklepienie ceglane,
Zachwiał się, upadł... i po małej chwili
Począł modlitwę szeptać już swobodniej, —

Snadź Aniołowie na pomoc przybyli:
Boże! to rozpacz — zachowaj mię od niej!
I długo, długo modlitwa strzelista
Leciała z piersi, jak ptaszek do Nieba;
Musiała trafić wprost na serce Chrysta,
Bo Chrystus przysłał, co duszy potrzeba,
Co w każdej walce zapewnia zwycięstwo, —
Wiarę, cierpliwość i żelazne męstwo.

VIII.

Nazajutrz przybył komendant zamkowy,
Wziął go za rękę i z dobrocią mówi:
— Panie starosto! żal mi twojej głowy;
Zostaniesz wolnym — przysięgnij królowi.
Król August Trzeci k'Polakom ochoczy,
Winę przebaczy, łaską cię otoczy.

IX.

Rzecze starosta: Wedle praw narodu,
Anim go wybrał, ani mu przysiągłem.
Że trzyma Polskę w niepokoju ciągłym,
Miastom i wioskom każe umrzeć z głodu,
Zalał nam ziemię swoich wojsk nawałem,
Nie dziw, że miecza z pochew wydostałem.
Jeśli jest królem, jako wam się zdawa,
To dlań przysięga powinna być święta:
A łamie statut i pacta conventa,
I mnie... szlachcica więzi, mimo prawa.
Gdy Stanisława obrano pod Wolą,
A August siebie podtrzymać był gotów, —
To, zamiast Polskę napełnić niedolą,
Dlaczego prawnych nie użył obrotów?
Dlaczego żaden ze stronników Sasa
Nie rzekł: Ja zdania przeciwnego jestem! —
I wobec sejmu i wobec Prymasa
Nie chciał z publicznym przyjść k'nam manifestem?
Czyście zwołali rokoszowe koło,
Jako zwyczaje staropolskie chciały?

Czy wasz marszałek stawił komu czoło,
Słał do powiatów swe uniwersały?
Te wszystkie stare statutu koleje
Lekceważono na drezdeńskim dworze;
Lecz kraj świętemi formami istnieje,
Których bezkarnie pogwałcać nie może.
Czyż kiedy łamią przysięgę swawolni,
To już ich przykład prawo nam stanowi?
— A jeśli Papież od przysięgi zwolni,
Czy przysiężecie wiarę Augustowi?
— Nie, generale — rzekł więzień uprzejmie. —
Rzym niczyjego sumienia nie zmusza!
Będąc na przeszłym elekcyjnym sejmie,
Dobrzem wybadał zdanie Nuncyusza.
Próżno na wasze namowy liczycie,
Próżne zabiegi, próżne wasze prace:
Straciłem wolność, utracę i życie,
Ale sumienia i czci nie utracę.
Obrałem jedną przekonania drogę,
Elektorowi poprzysiądz nie mogę.

X.

Odszedł komendant. I znowu staroście
Długie tygodnie męczeństwa nastały.
Czyli noc czarna, czy dzień nadszedł biały,
On zawsze jeden — a tylko dwie goście
Przyszły do niego, dwie żmije morderce:
Jedna mózg kąsa, druga szarpie serce.
— Tam za górami, och! tam za rzekami,
Twój kraj sinieje, twój domek bieleje,
Tam wszyscy twoi pozostali sami,
Pierzchły z ich serca najdroższe nadzieje.
Ten, który tutaj nad tobą się znęca,
Pewno i dom twój bezbronny uciska;
I żałość wdowia, i boleść dziecięca
Pewnie mu służy do urągowiska...
Wczoraj mówiono, że jest list od żony,

Lecz go posłali, by złożyć przed władzą;
Stary mój sługa od bram odpędzony,
Pewno mu do mnie przystępu nie dadzą.
Napróżno chciałbym wybadywać straże,
Żołdak coś mruknie i milczeć mi każe.
Gdyby mi papier, gdyby dano pióro,
Ująłbym w karby moją myśl ponurą:
Gwarzyłbym z tymi, co mię krata dzieli,
Moje boleści w słowaby się zlały;
List długi, długi pisałbym dzień cały,
Do żony, dziecka, spółobywateli.
Lecz mi zabrano papier nienawistnie,
A tu dni moje tak okropnie płyną!
Sen jest dla więźnia osłodą jedyną,
Lecz kiedy zasnę, to znowu ich przyśnię;
Wciąż w jedną stronę myśli mi się garną,
Zawsze ich widzę krwawo albo czarno.
Nie chcę ich widzieć, myślą nie pogonię;
Ot czemś ubocznem chcę rozerwać siebie.
W oknie tak ciemno, z murów wilgoć zionie,
Deszczowe chmury muszą być na Niebie.
Jesień... mój Boże, jak to życie leci!
Gdzie się podziała nasza wiosna młoda?
W tym kraju słońce posępniej coś świeci,
U nas daleko piękniejsza pogoda.
Pan Bóg dał wszystko naszemu krajowi,
Ale niezawsze fortunną dał dolę:
Poczciwe serce, urodzajne pole,
Cóż kiedy duchem niezawsześmy zdrowi?
Gdy starsi bracia, nęcąc nas swobodą,
Niebaczną szlachtę do niewoli wiodą,
Niezgodni w kraju najświętszych obradach,
Rodzim zatargi i wojny domowe,
Chodząc po krwawych doświadczenia śladach,
Codzień to klęski spotykamy nowe.
A Pan Bóg karze, och! karze nas za to,
Wkrótce do końca może obezsili...

O! dym pożarny widzę nad mą chatą!
Pewnie Saksoni ogień podłożyli.
I ręce łamie nieszczęśliwa żona,
Bo na jej głowę cierpieć już za wiele!
Dziecię w kolebce zachodzi się, kona...
Musiało skonać — słyszę dzwon w kościele...
Zgiń, czarna maro! Skąd taka myśl płynie?
Przecięż nie miałem myśleć o rodzinie!...
Chcę zapomnienia rozkoszy niebieskiej...
Odwróćmy myśli — przejrzyjmy te ściany.
Tu jakiś więzień polski zapisany:
Jakób Sobieski... Konstanty Sobieski...
Jakto? więc oni — więc w tej samej celi
Króla mojego synowie cierpieli!
Ich własne ręce na sczerniałym murze
Wyryły swoje męczeńskie nazwiska!
Może duch ojca unosi się w górze,
Więzienie synów rozpatruje z blizka,
A serce jego, boleścią zatrute,
Tutaj odbywa za Wiedeń pokutę.
Monarchy mego bohaterska duszo!
Och! gdybyś w lepsze nie odeszła światy,
Ci, którzy Sasów dziś lękać się muszą,
Mieliby spokój pod cieniem swej chaty.
Przy twoim boku walczyłem tak śmiele,
Tyś mię pochwalał, tyś mi przyszłość wróżył;
Teraz patrz, królu, czegom się dosłużył:
Jam tu w ciemnicy, a mój dom w popiele.
Mój dom... rodzina... poddani... ziomkowie...
Tam moja ręka, tam potrzebna rada...
Ratujcie, ludzie! kręci mi się w głowie...

XI.

Więzień na ziemię bezprzytomny pada,
Znękanem czołem o mury uderza,
I tak spoczywa w omdleniu czy we śnie, —
Aż kiedy przyjdzie obiad, czy wieczerza,

I dwóch dozorców pojawi się wcześnie,
Ocucą więźnia, usadzą przy stole,
Z oblicza jego uchodzi pomroka...
Czy go na prawdę opuszczają bole?
Czy je ukrywa od ludzkiego oka?

XII.

A obiad skromny: jedyna potrawa,
Puharek wina, czarny chleba kawał.
Dozorca przyszedł, mięso porozkrawał,
Bo noża więźniom zaprzecza ustawa.
Próżno starosta swoją czarką wina
Chciałby się dzielić z swym więziennym stróżem,
Próżno rozmowę jakąś rozpoczyna:
— Ani jeść z wami, ni rozmawiać możem.
Lecz w jednym razie, w jednym tylko razie,
Rozwiążesz nasze i serca, i usta:
Jeśli zezwolisz, jak pisze w rozkazie,
Złożyć przysięgę na króla Augusta;
Wtedy, gdy zechcesz, kazano nam prosto
Drzwi twojej celi otworzyć, starosto.

XIII.

— Więc jabym wolność, ja wolnościbym zyskał! —
Rzecze starosta, do głębi wzruszony —
Więcbym zobaczył kraj ziemi rodzonej!
Jabym małżonkę i dziecię uściskał!
Jabym powitał me obywatele!
Jabym się modlił w mych ojców kościele!
To być nie może!... nie... to być nie może.
A cóż Bóg powie? cóż kraj na to powie?
Swojej starszyźnie powiedzcie, panowie,
Że na Augusta przysięgi nie złożę.
Tylko poproście, niechaj mi pozwoli
Zażyć okruchę Anielskiego Chleba:
Znękane serce tak mię srodze boli,
Z Bogiem koniecznie rozmówić się trzeba,
Trzeba Chrystusa, co serca przenika,

A uleczony na duszy zostanę.
Proście, niech przyślą do mnie spowiednika,
Coby mi balsam przyłożył na ranę.
Dozorca odszedł — powie, czy nie powie.
A dusza zawsze spragniona pociechy.
Starosta upadł na twarde wezgłowie,
W myślach oblicza swojej duszy grzechy.
A myśl zbłąkana... O! niech prędzej spieszy,
Kto go w Imieniu Chrystusa rozgrzeszy!

XIV.

Więzień zaniemógł — to krasny, to blady,
O dziwnych rzeczach gorączkowie gwarzy;
Przysłano k'niemu najpierwszych lekarzy,
Ale starosta odrzucił ich rady;
Tylko o Polsce nieprzytomnie bredzi,
Tylko kapłana prosi do spowiedzi.

XV.

Wkońcu, coś we dwa czy we trzy tygodnie,
Nadjechał kapłan, przysłany ze Drezna.
Więzień, co zda się nikogo już nie zna,
Na jego widok odetchnął swobodnie,
Przytomniej spojrzał — jego oczy płoną,
Gdy Przenajświętszy Sakrament wniesiono.
I długo, długo zakonnik go badał,
I długo, długo więzień się spowiadał.
Dziwne uczucia czytał w jego twarzy
Szyldwach z daleka stojący na straży:
Była tam święta uległość pokory,
Było promienne podniesienie ducha,
Był gniew na twarzy, do wybuchu skory,
Znów chrześcijańska uległość i skrucha;
Kilkakroć głośniej powtórzył z zapałem:
Ja nie przysięgnę, bo go nie wybrałem!
— Synu! — rzekł kapłan — czyń, jak ci się zdawa,
Ja dopełniłem, co mi polecono.
Losy monarchów i narodów prawa

Nie nam tu grzesznym rozwiązywać pono.
On niechaj weźmie w przenajświętszą pieczę
Twoje uczucia, jak obywatela.
Teraz przeze mnie za grzechy człowiecze
Kościół ci swoich rozgrzeszeń udziela:
Odejdź w pokoju!
Starosta uklęka,
Bije się w piersi, pokutuje w myśli.
Kapłan się modli, — namaszczona ręka
Nad siwą głową krzyż łaski nakreśli,
I uroczyście klęczącemu w skrusze,
Chlebem żywota posila mu duszę.

XVI.

Lżejszy na sercu po wytrwaniu próby,
Więzień nie wrócił na łoże choroby.
Twarz pokraśniała — oczy po iskierce
Nabrały blasku powoli, powoli;
Pan Bóg wytrwaniem namaścił mu serce,
Umocnił hartem niezachwianej woli.
Nad jego głową już trzy gwiazdy świecą:
Dobrej Nadziei, Miłości i Wiary; —
Tylko że myśli nieprzytomnie lecą
Gdzieś na dalekie ojczyste obszary;
Tylko z daleka w snach doń się uśmiecha
Koło sejmowe i napaść zbójecka,
Wioska rodzinna i domowa strzecha,
I młoda żona, i pieszczoty dziecka, —
I tyle, tyle znajomych mu osób,
Na sejmie, w wiosce, w kościele, we dworze...
O! takich marzeń odpędzić nie sposób,
Lub je odpędzać to ciężki grzech może!
Może tym kształtem ziemia ojców miła
Swe pozdrowienie więźniowi przysyła.
Lecz spokojniejszy więzień po spowiedzi,
Już wewnątrz serca zasklepił swe rany,
O swoim kraju już przez sen nie bredzi,

Rycerskiej głowy nie tłucze o ściany;
Tylko gdy oknem spojrzy na poddasze,
Słabość ogarnia jego duszę wzniosłą:
— Och! gdyby motyl, gdyby małe ptaszę
Pod skrzydełkami wieść stamtąd przyniosło!

XVII.

Może myślicie, że hańba dla męża,
Kiedy się czasem zamarzy, rozszlocha?
Ale nie wiecie, że ducha natęża,
Kto silnie wierzy i serdecznie kocha;
Ale nie wiecie, że Niebo zabrania
Wiary bez marzeń, a bez łez kochania.

XVIII.

Gdyby choć papier... O znikoma karto!
Ty jesteś wszystkiem po szczęścia utracie.
Kiedy nam serce boleśnie wydarto,
Miła krwi kropla, co wytryska na cię.
Gdy biedną głowę, co najświęciej marzy,
Nadzieja zdradzi, a wiara omami,
Jakaż pociecha dla biednych nędzarzy
Myśl we łzach skupić i kartę zlać łzami!
Tu każda kropla, czy łzawa, czy krwawa,
Boleść umniejsza, nadziei dodawa.

XIX.

W bitwach, na sejmach, puhar wychylany
Orzeźwiał myśli i krew biła raźniej;
Lecz tu w więzieniu, między czterma ściany,
Straszno rozogniać chorej wyobraźni.
Raz chciał starosta użyć Bacha darów,
Smutek utopić w rzeźwiącym nektarze:
Zażądał wina — i kilka puharów
Za jednym razem przyniosły mu straże.
Łapczywie chwycił i pił ciągiem długim,
Chylił puhary w ślad jeden za drugim,
I sam nie wiedział, z pragnienia, czy z chęci,

Aby się na dnie dopić niepamięci.
Lecz niepamięci próżno żąda człowiek,
Kiedy wspomnienia mózg i serce palą: —
Nawet sen słodki nie obciążył powiek,
Tylko krwi potok rozigrał się falą,
Latają w oczach obrazy złowieszcze,
Lecz krwawsze jeszcze i czarniejsze jeszcze.
A kiedy chora paliła się głowa,
Gdy twarz skraśniała, gdy mu drżały usta, —
Rozkaz mu służba przyniosła zamkowa,
Aby przysięgał na króla Augusta.
Odtrącił rozkaz i puhar odtrącił,
Dłońmi zacisnął głowę, co go boli,
I jasnej myśli już winem nie mącił —
Poznał, że wino trucizną w niedoli;
Tylko się w drzemce niespokojnej miota,
Tylko mu cięższa do swoich tęsknota.
— Wy moi drodzy! wy moi dalecy!
Choć wiatr niech o was wiadomość udzieli!...
Wtem zapukano do więziennej celi,
I wszedł ponury dowódca fortecy.

XX.

— Jak się miewacie? czy żywi? czy zdrowi?
Jak wam smakują niewolnicze pęta?
Nie chcecie wiary przysięgnąć królowi,
A król jegomość zawsze was pamięta;
O ile pańska pozwala mu władza,
Więzy rozwalnia i los wasz osładza.
Oto i teraz naszych wojsk kolumny
Pojmały ptaszka — och! kolej z nim długa!
Jak wy, zuchwały, niespokojny, dumny,
Pan Piotr Olędzki, dawniejszy wasz sługa,
Rozbijał w Polsce naszych wojsk oddziały,
Krył się po lasach, wypadał jak zbójca;
Lecz potrafiono pochwycić mołojca
I porozpędzać jego hufiec cały.

Więc go sądzono do tej samej celi, —
Wasz sługa z wami niewolę podzieli.

XXI.

Drzwi się otwarły — i w podartej szacie
Wpadł Piotr Olędzki z bliznami na czole.
— Pan Piotr!
— To pan mój!
— Ha! jak się miewacie?
Dlaczegoś, głupcze, dał się wziąć w niewolę?
— Kozak nas zdradził — to i mówić szkoda.
Ale ja pana nie poznałbym z dali...
Ta długa broda...
— Ho! ta długa broda —
Jużbym ogolił, lecz brzytwy nie dali.
Lecz co tam słychać?... Moja biedna żona?...
— O! biedna pani! nie wytrwać jej sile:
Może skonała — może teraz kona.
— A moje dziecię?
— Dawno śpi w mogile;
Umarło biedne... Przyczyna zbyt prosta:
Wiadomo — słabe niemowlątek zdrowie;
Wiatr zawiał w szybę... widzi pan starosta,
Szyby potłukli w domu Saksonowie.
— A wioska moja?
— Wioska na Stawiszczu
Już po pożarze buduje się nieco:
Szlachta osiadła na spalonem zgliszczu,
Lecz poddanego nie znajdziesz ze świecą, —
Wszyscy uciekli... niechaj Pan Bóg broni,
Co tam po wioskach broili Saksoni!
Dzielniem ich plażył — to aż śmiech porywa,
Co im na plecach popisałem znaków!
Jak ze stu ludzi gromada pierzchliwa
Od kilku naszych zmykała Kozaków!
Lecz przebacz, panie! zdradą a nie siłą
Dałem się ująć, dałem się i kwita:

Sprzedał nas Kozak, Brzozowiec Kiryłło;
Gdy cała sotnia spała jak zabita,
Z jednej i z drugiej, z trzeciej, z czwartej strony
Na śpiący obóz napadły Saksony.
Jedna rzecz tylko dręczy mię, niestety,
Że zapomniałem postawić pikiety!
Gdyby pikieta! tożbym kapitalnie
Pogrzmotał groźnych saksońskich wąsali!
Dopóki Niemiec z pistoletu palnie,
Harap kozacki z siodła go obali.
Lecz co się stało, to już nie odstanie.
Dam hartu Niemcom — ich niedoczekanie!
— Cóż na sejmiku szlachta i panowie?
— Stanisław w mowie, a August im w głowie.
Nasza obrada... wiadomo obrada;
Ten będzie królem, który wojskiem włada.

XXII.

— Boże mój, Boże! czyż to prawda szczera? —
Jęknął starosta z głębi swego łona:
Dziecię umarło, a żona umiera,
Wioska w popiele, a bracia spodlona!...
Och! gdyby wrócić! odżyłbym na nowo,
Żonębym wskrzesił z śmiertelnej pościeli,
A braci szlachcie takie rzekłbym słowo,
Że zdradzić króla nigdyby nie śmieli.
Przeklęte mury, straszliwa pokuta,
Usta zamknięte, a dłoń moja skuta!
Puśćcie mię, puśćcie, choć na jedną chwilę, —
I sam się wzmogę, i mój kraj zasilę!

XXIII.

— Panie starosto! wyrzecz jedno słowo,
A twoje więzy w jednej chwili prysną:
Uznaj nad krajem władzę Augustową,
Zrzuć z twego serca zemstę nienawistną.
Wskrzesisz twą żonę, która dogorywa,

Zbadasz na sejmie twego kraju losy;
A twoja niwa, twoja piękna niwa,
W żytnie i pszenne odrodzi się kłosy.
A za cierpienia, a za twoje szkody,
Bóg cię obdarzy szczęściem niespodzianem:
Król tobie nada godność wojewody;
Jak hetman umrze, zostaniesz hetmanem;
A w Polsce starostw dużo, bardzo dużo —
Co zechcesz wybrać, do wyboru służą.
Wzdrygnął się starosta — spojrzał poza plecy:
— Precz, kusicielu! precz mi stąd, pochlebce!
To sonnenburskiej komendant fortecy
Słowa nadziei do ucha mu szepce.
Starosta skraśniał, chciał jąć się pałasza,
Pas z lewej strony potargał w zapędzie;
Lecz broń odjęta!... — Idź precz, miłość wasza!
Elektor saski mym królem nie będzie.
Niech co chcą czynią rodacy swawolni,
Od moich przysiąg nikt mię nie uwolni.

XXIV.

— Jak się podoba, jak się wam podoba;
Nikt wolnej woli nie przymusza przecię.
Będziecie w zamku pokutować oba,
Jeśli przysięgi wykonać nie chcecie.
Czyńcie już sobie, jako wasza łaska.
Tak rzekł komendant i drzwiami zatrzaska.

XXV.

Znów się poczęło między czterma ściany
Okropne życie — wieczność nieprzebyta,
Noce bezsenne, dzień nieprzeczekany,
Potem noc znowu, potem ranek świta.
Och! nim przez okno do więzienia wpadnie,
Wolałby w morzu utopić się na dnie.
On dzień zwiastuje — a dzień taki długi!
Co począć z życiem, gdy działać nie może?

W południe obiad przyniosą ci słudzy,
Wieczorem szyldwach przetrząśnie twe łoże.
Zda się szyderstwem, kiedy dźwięk zegaru
Jakiejś godziny przedstawia odbicie.
Dla trupa w grobie czas nie ma rozmiaru,
A życie więźnia — to umarłe życie.
Gdzie wszystkie czynu zerwane ogniwa,
Każda godzina wieczność się nazywa.
Ale towarzysz, w więzieniu towarzysz:
Z nim swoich ludzi, z nim wspomnisz swe strony.
Ho! bywa czasem, tak się z nim rozgwarzysz,
Że dzień upływa ani postrzeżony.
Lecz myśl, gdy leci w nadpowietrzne kraje,
Z Aniołem Stróżem gdy chcesz się rozgadać, —
On ci o śniegu przeszłorocznym baje,
I puste rzeczy będzie rozpowiadać.
Wtedy ci droższa twa samotna cisza,
Choć słuchasz brata, szanując w nim człeka;
Przykreć gadanie twego towarzysza,
Chciałbyś mieć celkę od niego z daleka,
Chciałbyś sam dźwigać jarzmo swej niewoli,
Chciałbyś sam cierpieć, kiedy serce boli...
Tak myślał więzień; ale trudna rada,
Wszak władza wieszczów nie każdemu dana:
Gdy trzeba milczeć — to pan Piotr zagada,
Gdy trzeba mówić — on milczy jak ściana;
Gdy myśl uleci ku domowej strzesie,
On cię obrazy powszedniemi mami;
Gdy cię modlitwa do Niebios uniesie,
On zimno rzecze: Zmiłuj się nad nami!
Chciałeś go podnieść i bujać z nim w Niebie,
A on myśl twoją zniżył aż do siebie.
Tysiąc jest w świecie moralnych niewoli,
Tysiącem bólów nasze serce boli.
Lecz kiedy cierpim, — miłosierny Boże,
Daj nam żyć myślą swoją a nie cudzą:
Przyjaciel, żona, domownik, pies może,

Złamią nam wiarę i miłość ostudzą;
Wtedyby, Panie, my ludzie zuchwali
I w Twoją miłość wierzyć zaprzestali.
Na co nam w życiu towarzysz powszedni?
Gdy mamy cierpieć — cierpmy sami jedni!

XXVI.

Wreszcie do swojej niewoli przywyka,
Bo go towarzysz broni od rozpaczy:
Dźwięk ojczystego w obczyźnie języka
I to coś znaczy — ach, to wiele znaczy!
Gdy w myśli chwila spokoju zaświta,
Uczucie serca tu nie czuje tamy,
Można się z ziomkiem nagadać do syta
O tych, co znamy, o tych, co kochamy,
I uobecnić znajome postacie,
Odświeżyć dawne radości i biedy,
Odżyć wspomnieniem: Czy pamiętasz, bracie,
Jak to bywało wtedy, albo wtedy?
Ten, kto zbyt ciężką niedotknięty próbą,
Ten marzy przyszłość — kto ma czyn przed sobą;
Ale dla więźnia, który nic nie czeka,
Dobrym jest skarbem i przeszłość człowieka.
Ze starym sługą pośród pogadanek
Nieraz schodziły całe dni i noce,
Nieraz noc przyszła i zaświtał ranek.
Szyldwach napróżno pałaszem stukoce,
Ciszę zaleca — ale gdzież tam cisza!
Kiedy zabłyśnie choć promyk wesela,
Więzień szczęśliwy, że ma towarzysza.
Nawet i śmiechem rozlega się cela,
Kiedy przypomną dawniejsze swe czasy,
Bitwy, pamiętne i wioskom i miastu,
Jak to przed nimi uciekały Sasy,
Jak jeden Kozak schłostał ich dwunastu,
Jak to po lasach kryła się piechota,
Jak to rajtarów wpędzono do błota...

XXVII.

Ale niewola toć zawsze niewolą,
Więzy, choć z kwiatów, ale niemniej bolą;
Zawsze bolesne łańcucha ogniwa,
Który nam ręce do czynu skowywa.
Kiedy nas w trumnę kładą za żywota,
A jeszcze w piersiach święty ogień gore,
Nie dziw, że człowiek boleśnie się miota,
Aby odwalić gniotącą zaporę.
Ale gdy nadto sklepiste są ściany,
Czy wieko trumny, czy wązkie drzwi celi,
Niepożyteczną walką zmordowany,
Gorzko złorzeczy tym, co go zamknęli.
Wiedział starosta, że przez jedno słowo
Mógłby potargać swych więzów ogniwa,
Mieć każdej chwili swobodę gotową,
I lecieć w stronę, gdzie duch się wyrywa,
Wskrzesić małżonkę, co kona w niedoli,
Podźwignąć dom swój, co w zgliszczach upada, —
Przez jedno słowo — lecz tem słowem: zdrada!
A on na zdradę nigdy nie zezwoli.
Lepiej, spełniając, co do czci należy,
Skonać z tęsknoty w sonnenburskiej wieży.
Mniemał dowódca, że kiedy dobodzie,
Łacniej starosta ugnie się przed próbą:
Siedzieli więźnie o chlebie i wodzie,
Nawet im mówić zakazano z sobą,
Wodzono na Mszę tylko w wielkie święto,
Nawet im książkę modlitew odjęto;
Lecz im się bardziej męczarnia wytęża,
Tem się duch silniej zahartował w obu.
Wreszcie król August uszanował męża,
Kazał rozszerzyć przestrzenie ich grobu:
Celę przy celi otworzono drugą,
Przyozdobiono ich pościel ubogą,
Dano im książki — i już pan ze sługą
Gwarzyć, czy pisać, czy modlić się mogą.

Wreszcie raz jeden dowódca zamkowy
Z temi do niego odezwał się słowy:

XXVIII.

— Powiedz, starosto, dlaczegoście gniewni?
Czemuście twardzi przy waszym obiorze?
Król, co cię skarał, pożałować może,
On wam stracone dostatki zapewni.
Już się kraj wszystek królowi poddawa,
Nowe przymierze król zawarł dokoła;
A wasz Stanisław do swojego prawa
Nigdy nie wróci i wrócić nie zdoła:
Więc mimo wszystkie waszych ustaw księgi,
Wolni jesteście od waszej przysięgi.
— Któż przekonanie moje zabezpieczy,
Że naszym królem jest saksońskie książę?
Dałem przysięgę Pospolitej Rzeczy,
Ona mię tylko od przysiąg rozwiąże.
Dopóty śluby moje nie ustały
W obliczu kraju, króla i Kościoła,
Aż wreszcie Prymas przez uniwersały
Szlachtę na pola elekcyjne zwoła,
Aż wszystkich społem niezmuszone usta,
Łaską i wolą kierując się Bożą,
Królem ogłoszą Trzeciego Augusta
I prawnie z tronu Stanisława złożą.
Gdy król przysięgnie na pacta conventa,
Wywiedzie z kraju saksońską załogę, —
Wtenczas przysięga to powinność święta,
Wtenczas się od niej wyłamać nie mogę,
I będę wierny Augustowej sprawie,
Krew zań wyleję i piersi nadstawię,
Niech będzie świadkiem mego domu zgliszcze,
Grób mego dziecka i ta siwa broda,
Że póty waszych żądań nie uiszczę,
Póki mi prawo rękojmi nie poda.
— Próżno, starosto, króla obrażacie
Tą upartością waszą niesłychaną.

A gdyby krzesło dostojne w senacie?
Gdyby wam godność wojewody dano?
Pan mój łaskawy — kto mu wiernie służy;
A jego serce zawziętości nie zna.
Dam ci pieniądze na koszta podróży:
Jedź go przebłagać, jedź, panie, do Drezna.
— Godności nasze — rzekł starosta dumnie —
Tylko dla zasług kraj na sejmie dawa;
A żadnych zasług jeszcze niemasz u mnie,
Ja w zasłużeńszych nie wdzieram się prawa.
Pieniędzy saskich dla mnie nie potrzeba:
Dajcie swobodę... swobodę jedynie;
Pójdę o kęsku żebranego chleba
Płakać na domu mojego ruinie.

XXIX.

— Ha! trudna rada — rzekł dowódca wreszcie —
Godna spraw lepszych takowa odwaga.
Słuchaj, starosto: swobodni jesteście!
Król żadnych przysiąg od was nie wymaga.
Jednego od was domaga się przecię,
Na co mi słowo zaraz dać należy:
Że wojska saskie szanować będziecie,
Co stoją w Polsce na zimowej leży.
Bo gdy trwać w dawnym będziecie zamiarze,
To was osądzić jak zabójcę każe.
Wolni jesteście — podwoje otwarte;
Znów macie prawo przypasać pałasza.
Od waszych komnat odprowadzam wartę,
I idźcie z Bogiem, dokąd wola wasza.
— Wolny?! swobodny?! więc ja wyjść stąd mogę?
Do mego kraju wnet puścić się w drogę?
Mogę ocalić małżonkę, co kona?
Na moich ziomków rzucić się ramiona?!... —
Krzyknął starosta z radosnym zapałem. —
Nie! być nie może!... ja nie dosłyszałem...
Lub wy słów moich nie pojęli może:
Bo ja Sasowi przysięgi nie złożę.

— Król miłościwy, pewien swéj potęgi —
Dowódca zamku obrażony powie —
Żadnej już od was nie pragnie przysięgi,
Wolność powraca wam bezwarunkowie.
Jesteście wolni, i wy, i wasz sługa,
Jedźcie do wioski, wracajcie do pługa.
Obaj mężowie padli na kolana,
Jak gdyby jedna popchnęła ich siła,
Modła dziękczynna, z ich duszy wylana,
Pierwszy swobodny oddech orzeźwiła.

EPILOG.

Pochmurnym dzionkiem, po jesiennej grudzie
Bije stuk kopyt o drogę przestronną.
W rysich opończach dwaj rycerscy ludzie
Pod wielką wioskę zbliżają się konno.
— Panie Olędzki — starszy z nich zapyta,
Co miał rumaka dzielniejszego nieco:
Czemu to żadna chata niepokryta,
A rzadko w której małe szybki świecą?
Wszystko tu widzę zniszczonem, obdartem,
Nawet gospoda nie świeci z daleka.
— Ej, panie, panie! umocnij się hartem:
Co krok to nowa niespodzianka czeka.
Ludzie z wsi poszli kędyś w strony insze,
Więc i pustkują dawniejsze ich chaty.
Tu kilku szlachty osiadło na czynsze,
A to — wiadomo — naród niebogaty.
Gdzież to po wojnie pilnować wygody?
Gdzież to naprawiać takie wielkie szkody?
Otóż... po polu bydło się wałęsa,
Chwast ogryzając na dwornym poparze...
W stodołach siana niemasz ani kęsa,
Wszystko Sasowie wzięli na furaże.
Ot dworzec pański... tam same ruiny...

Panie starosto, nie patrzaj w tę stronę:
Z kupy popiołów sterczą trzy kominy
I cztery brzozy ogniem opalone.
Konie dom czują — już ochoczej lecą:
Dzielnie parskają! oj, będąż nam radzi!
Dzielne koniska, poczekacie nieco,
Nim was do stajni służba odprowadzi...
Strzygą uszami — już marzą o sianie...
Ale po Sasach pewno go nie stanie...
Oj, za to wszystko warciż oni, warci...
Lecz pan dał słowo, że bić ich nie będzie!!...
Ot idą ludzie.. a jacy odarci!
Na taką nędzę aż strach spojrzeć wszędzie.
I po stodołach, i w domach, i w bydle,
Wszędzie brak cierpią szlachta i poddani...
Dzień dobry, człeku! gdzie niesiesz te rydle?
— Idziem na cmentarz grób kopać dla pani,
Tydzień jak zmarła, lecz nie było cieśli,
Wyciosać trumnę nie było tu komu.
Stała w ogrodzie w opuszczonym domu,
Dzisiaj ją z rana do kościoła wnieśli!...
Krzyknął starosta — zachwiał się i blednie,
Zesłupił oczy, jak gdyby umarły;
Lecz żadne żale ni jęki powszednie
Już się z rycerskiej piersi nie wydarły.
Gniew lekką chmurką zwisnął mu u czoła,
Tłumioną groźbą ścisnęły się pięście.
Jak wiatr poleciał ku stronie kościoła:
Tak mu tam pilno sprawdzić swe nieszczęście,
Tak mu tam pilno na zimnej podłodze
Gorące czoło zahartować mocą,
I swej żałości popuściwszy wodze,
Bogu powierzyć swą skargę sierocą,
Świecę pogrzebu ponieść przed innemi,
Na lube oczy nasypać garść ziemi...

* *
*

Już nie powrócił do swych ojców domu,
Nie zasiadł w gronie współobywateli;
Zniknął z ojczyzny — a ludzie widzieli,
Jak w kraje pruskie przeszedł po kryjomu.
Na ziemi obcej, w ponurej rozpaczy
Skończył starosta swój żywot tułaczy.

1857. Borejkowszczyzna.

SEJM LUBELSKI.

(POCZĄTEK POEMATU).

Dzwony zagrały po mieście długiem, szerokiem jęczeniem,
Błękit rannych Niebiosów huk uroczysty odbija,
Drży nad wieżami kościołów rozkołysane powietrze,
Że aż ptaszkom niebieskim coś uroczyściej na sercu.
Mury odwieczne Lublina poweselały, spiękniały,
Jakby słońce włożyło na nie świąteczną oponę.
Dzień w chrześcijaństwie dziś wielki — Ciała Pańskiego pamiątka,
Święto Chleba i Wina — ducha co karmi i poi.
W Polsce, przed wieki ochrzconej, w Polsce rozumnej, bogatej,
Zygmunt August panował; a choć w Koronie i Litwie
Pełno z Genewy i z Niemiec mistrzów, co po to przybyli,
Aby w starym kościele psować, przekształcać ład stary,
Przecięż niemała gromada dzierży się Piotra opoki,
Umie pacierz dawniejszy, umie uchylić kolano,
Umie pieśnią pobożną po staroświecku zanucić,
Upaść na twarz przed Bogiem, co w Sakramencie ukryty.
Przeto gdy dzwony jęknęły, lud się wysypał jak mrowie
Na ulice wytkane klonem i brzózką zieloną;
Tłum się jak fala przelewa z jednych kościołów do drugich,
Albo czeka na rynkach, czeka otwarcia obchodu.

Okna kwiatami ubrali, powywieszali proporce,
Słali drogie kobierce, kędy Sakrament nieść będą.
Ubiór narodu jaskrawy, świeci purpurą i złotem,
Twarze ludu wesołe — cichem, pobożnem weselem.
Dzwony umilkły na chwilę i znowu huczno zagrały,
Orszak procesyonalny ruszył od farnej świątyni:
Naprzód rycerstwo na koniach, z hełmów wyzuwszy swe głowy,
Dzierżąc ręce u boków, na wpół dobywszy pałasza,
(Z wieków obyczaj był taki, na znak, że bronią swej wiary);
U ich siodła, u boku krasny powiewa proporzec,
Gorą blaszane pancerze, w pręgi złociste zdobione,
Złotem gore rynsztunek, złotem czapraki migocą,
Iskry się sypią z kamieni, rumak gdy stuknie podkową,
Ziemia tętni i huczy, jakby wulkanem wstrząśnięta.
Raźny był żołnierz sarmacki, ale w tej ważnej godzinie
Zmienił postać junacką w postać Bożego rycerza,
Głosem przywykłym do wrzawy, szorstkim jak dusza bojowa,
Grzmiało polskie rycerstwo pieśnią o Chlebie żywota.
Prostą kruchcianą piosenkę, prostym żołnierskim sposobem,
Jeden huczy tak silnie, jakby w sto kotłów uderzył,
Drugi jak cienka piszczałka, trzeci jak trąbka węgierska;
Jeden śpiewa z łacińska, drugi polskiemi wyrazy.
Straszny to rozgwar dla ucha, jękami dzwonów zmieszany,
Z twardym chrzęstem zbroicy, z kopyt rumaczych łoskotem;
Przecięż jest ucho w Niebiesiech, co te rozgwary zrozumie,
Czyta w sercu śpiewaka, tony fałszywe przebacza,
A z łez pobożnie wylanych tworząc dyament prawdziwy,
Kładzie łezkę — dyament w swą nieśmiertelną koronę.

Tu za rycerską chorągwią idą po parze, po czterech,
Sygnifery kościelne i rzemieślnicy cechowi.
Każdy chorągiew ma w ręku: widzisz na każdej chorągwi
Obraz święty lub skromne prac rzemieślniczych oznaki:
Tam wyszyta siekiera — godło ciesielskiej roboty,
Pancerz — godło płatnerza, młot, co kowala oznacza,
Z wiatrem szeleści chorągiew — jedna błękitna jak niebo,
Druga jak krew czerwona, a trzecia czarna jak całun.
Długim się ciągną szeregiem te różnobarwne sztandary.
Jakby lasy ruchome, z kwiatów olbrzymie wyrosłe,
Dalej orszaki zakonne z hymnem łacińskim na uściech,
W płaszczach czarnych i białych, z obnażonemi głowami,
Starcy z brodami siwemi, młodzi z obliczem wychudłem,
Jednych oczy w niebiesiech, drugich spuszczone ku ziemi.
Dalej starszyzna Kościoła, strojna w ornaty i togi,
W krzyże, złote łańcuchy, znaki godności Prałata.
Dalej Biskupi koronni, którzy na sejm tu przybyli,
Idą zwolna parami, wedle starszeństwa kolei,
Z Wilna, z Krakowa, z Poznania, z Rusi halickiej, z Kijowa,
Idą święci pasterze, w jednym orszaku zebrani.
Pod baldachimem szkarłatnym, tłumem kapłanów otoczon,
Starzec, Prymas koronny, niósł Przenajświętszy Sakrament.
Naród się ciśnie ciekawie, aby oglądać oblicza
Ludzi nieznanych w ojczyźnie: Paców, Karnkowskich, Myszkowskich;
Jeden drugiemu wskazuje, gdy się przez tłumy przeciśnie,
Protasewicza twarz bladą lub Hozyusza włos siwy.

Rzeczy krajowych świadomy Polak szanował swe męże,
Dobrze umiał na pamięć wielkie ojczyste imiona.
Drżące starością i trudem ręce pasterza podparli
Z jednej strony król Zygmunt, z drugiej krakowski kasztelan.
Przeszły dni pięknej młodości w życiu Zygmunta Augusta,
Piękne jego oblicze coś posmutniało, nadwiędło,
Trudy, cierpienia i myśli czoło pokryły zmarszczkami,
Ogień w oku błękitnem łza przygasiła żałosna,
W brodzie wspaniałej i długiej już siwy włosek przegląda,
Pańskie wzniosłe ramiona już się schylają i garbią;
Kiedy Prymasa prawicę, święty niosącą Sakrament,
Dzierży w rękach synowskich — sam potrzebuje podpory.
Z oczu utkwionych w Sakrament znaczno, że polski monarcha
Wie, skąd płynie pociecha, skąd się podpory spodziewać.
Silnej mu trzeba podpory, bo rzecz przedsięwziął niełada:
Skończyć wieków rozterki, złączyć pokrewne dwa kraje,
Siła uprzedzeń przełamać, siła pokonać złej woli,
Mądrem prawem określić spokój obojga narodów.
Jeszcze obadwa narody wspólnej nie baczą korzyści,
W oczy sobie miatają dawno zebrane niechęci,
W jednej chacie zrodzeni, jakby dwaj bracia niezgodni,
Marne prawo starszeństwa każdy dla siebie waruje.
Patrzaj na panów, idących za majestatem monarszym,
Na te grona szlacheckie, kędy są ziemscy posłowie,
Jak się rozbiegli w dwie kupy, z dala od siebie idące,
Których nawet nie złączy wspólność świętego obrzędu:
Dwoma długiemi szeregi idą mężowie oddzielni,
Rzadko kiedy z gromady ktoś się do drugiej przybliży;

Jedno — dwa słówka zamieni ze przyjacielem lub krewnym,
Co ma w tamtej gromadzie, i znów do swoich powraca.
Tak z dwóch pagórków wypływające dwie rzeki
Obok siebie do morza płyną z ponurym pluchotem,
Tylko niekiedy strumyczek z rzeki przebieży do rzeki,
Jeśli złączyć nie może, wód pokrewieństwo przypomni.
Płyną dwie rzeki, już częściej... częściej strumieńmi spojone,
Aż się złączą piersiami, zleją się w jedno koryto,
Jednem korytem popłyną walczyć z jednemi skałami,
Jedną piersią pluchocąc, wpadną zarazem do morza.
Każdy, czy rzeka, czy strumień, mieni się barwą swej wody,
Inszym wirem się kręci, inne ma takty w swym szumie.
Długo, ach! długo dwie rzeki będą niesfornie igrały,
Aż swą barwę i takty w sposób jednaki ułożą!
Każdy, czy naród, czy plemię, inszy obyczaj ma z ojców,
Insze prawa dziejowe, serca odmienne pukanie.
Wiele, ach! wiele potrzeba w zlaniu dwóch plemion osobnych,
By się zrównał obyczaj, by się takt serca zespolił!
Wspólnie przebyte kamienie wirem połączą dwie rzeki,
Wspólna dola, niedola łączy dwa różne plemiona.
Jeszcze nie przyszła dla Polski, jeszcze nie przyszła dla Litwy
Wielka chwila braterstwa; żaden, prócz króla, nie czuje,
Ilu kwiatami zakwitnie, ile owoców wyrodzi
Wielkie drzewo sarmackie, jeśli z gałęzią wszczepioną
Soki żywotne podzieli, zrośnie się w jedno i spoi,
Cieniem jednym okryje ziemi szerokie obszary,
Że uszlachetni owoce, z soków obojga wyrosłe,
Drzewo będzie wytrwalsze, snadniej się oprze wichrowi.

Ale powietrze wciąż huczy, rozkołysane dzwonami,
Arcybiskup gnieźnieński niesie Najświętszy Sakrament,
Król go wiedzie pod rękę, a poza królem w dwa rzędy
Dwa senaty przechodzą — senat litewski i polski . . .

. . . . . .

1857. Wilno.

FOLWARK STARA NIWA.

(UŁAMEK).

I.

Jeśpan Mieczysław Miodowicz był to podobno ekonom,
Mówią przecięż, że sumkę miał na folwarku zastawną;
Szlachcic ab avis, atavis, a może zresztą i dziedzic
(Szczury zgryzły w papierach tytuł dziedzictwa onego),
Hulał z początku, jak piszą, i w Pana Boga nie wierzył,
Ale jak się ożenił, przyszedł mu rozum do głowy.
Pleban sąsiedniej wioseczki często go doma nawiedzał,
Żona uszu natarła!... szlachcic więc w Boga uwierzył,
Kilka kapliczek zbudował i włość przyuczył do wiary,
Syna dzielnie wychował, choć sam miękkiego był serca.
Reszty odgadnąć niełatwo: bo w dokumentach zbutwiałych
Szczury jedno wygryzły, w drugiem pobledniał atrament.
Musiał umierać spokojnie, paląc z glinianej fajeczki,
Albo mówiąc Różaniec, Amen ostatnie domówił.
Wiedzieć nie sposób — tem bardziej, że dokumenta dawniejsze
Ledwie mówią nawiasem, że był Mieczysław Miodowicz.

II.

Lecz syn jego — toż był syn!
Tam, co słowo, wielki czyn.
Sąsiad włość mu wziął przemocą,
On mu krzyknął: Tyś tu poco?
Dość z mych włości ciągnąć zysk!
I nie myśląc, palnął w pysk.
Sąsiad oddał cudzą rzecz
I do domu odszedł precz.

Drugi sąsiad, niby pan,
I dziedzicem jeszcze zwan,
Sam przyjechał w letniej porze
Do folwarku na jeziorze
I do Miodowicza rzekł:
— Widzę, żeś ty tęgi człek,
Więc te włości trzymaj sam,
Ja-ć dokument na to dam.
— Dasz dokument, czy nie dasz,
Włość jest nasza, folwark nasz;
Gdy nie wierzysz, to idź prawem
Z Miodowiczem Bolesławem;
Ale w sądzie znają rzecz,
Od cudzego ruszaj precz!
Żeś tu do mnie przyszedł wprzód,
Masz talara za twój trud!
Gość talara chętnie wziął,
Opuściwszy uszy w dół,
I dziedziczne uznał prawa
Miodowicza Bolesława,
I na pozór niby zmilkł;
Ale odtąd już jak wilk,
Choć barani włożył płaszcz,
Lecz żarłoczną rozwarł paszcz.
— Ruszaj wilku, ruszaj w las,
Zabić wilka zawsze czas! —
Pan Miodowicz tak powiada.

A drugiego miał sąsiada,
Co z nim wieczny toczył spór
O przyległą wieś i bór.
Sąsiad przeczył, — przecz, nie przecz,
Niech rozsądzi sprawę miecz.
Zebrał tedy szlachty dość,
Zebrał całą swoją włość,
I sąsiada ścisnął w okół,
Pogruchotał mu częstokół;
A przez bramę i przez łom
Wpadł zajazdem w jego dom,
A po bramie rąbnął tak,
Że aż dotąd został znak.
Sąsiad w prośby, żona w płacz, —
Zmiękczył serce dzielny gracz,
Bo już takiej był natury,
Że choć czasem zły, ponury,
Lecz na widok ludzkich trosk
Mięknął stary gdyby wosk;
Więc wypuścił z ręki łów
I do domu wrócił zdrów.
Jużby doma siedział snadź,
Lecz mu wkrótce dano znać,
Że tam z jego łąk korzysta
Jakiś Niemiec kolonista,
Że się wdziera aż do kniej, —
Więc na Niemca hejże, hej!
Spędził Niemca gdzie pieprz rósł,
I graniczne kopce wzniósł.
Był to dziedzic wielkich cnót,
Na sąsiada ciężki młot,
I swoimi rządził srogo,
Nie miał względu na nikogo,
Bronił biednych z całych sił,
Sprawiedliwość świętą czcił;
Więc gdy przyszedł śmierci kres,
Lud niemało wylał łez.

III.

Po jego śmierci folwark, Stara Niwa,
Miodem i mlekiem obficie opływa;
Pan Bóg mu przysłał urodzajne lata,
Bogaty kmiotek i niwa bogata.
I szłoby dobrze przy poczciwej pracy,
Ale już byli dziedzice nie tacy.
Syn Bolesława, dobra sobie dusza,
Tropi zające i kufle wysusza;
A jejmość, baba, jak to mówią, kuta,
Sama dla włości urządza statuta;
A że się chętka do nowości budzi,
Wzięła na służbę zagranicznych ludzi.
Żal było patrzeć, co się działo z domem:
Niemiec był skarbnym, Niemiec ekonomem;
Gdy jeden patrzy, co na groszu zyska,
Drugi niewinne poddane uciska.
Porosły chwasty w polu nieoranem,
A biedny kmiotek okrył się łachmanem;
Dworskie budynki spustoszały marnie,
A Niemiec złoto do kieszeni garnie.
Wkońcu jegomość położył się w grobie,
Jejmość, skąd przyszła, pojechała sobie;
I począł czynić nowy ład we dworze
Młodziuchny panicz, co mieszkał w klasztorze.
At sobie człowiek! nie wymyślił prochu,
I zły, i dobry — wszystkiego po trochu;
Stan włości zdziałał niby to szczęśliwszy,
Umarł, dwóch młodych synów zostawiwszy.
Oto i wszystko — folwark Stara Niwa
Jeszcze w dostatki i spokój opływa...

. . . . . .

1858. Wilno.

CZARNO I BIAŁO.

OBRAZEK.

Żyła sobie dewotka
Niedaleko od fary;
Miała pieska i kotka,
Obok sąsiad żył stary.
Była wielce z nich rada,
Bo i jakże inaczej?
Z kotka, z pieska, z sąsiada
Miała wiernych słuchaczy.
Czasem dojrzy jej oko
Wśród powieści i plotek,
Że usnęli głęboko
Sąsiad, piesek i kotek.
Lecz sąsiad, sztuka bita,
Zręcznie jej się wywinie,
Bo gdy czasem go spyta:
— Prawdaż, panie Marcinie?
To on, choć krzepko zaśnie,
Zawsze pokiwa głową
I mruknie w porę właśnie:
Tak... tak, pani Janowo!

* * *

— Uważałeś, jegomość?
Dziś asesor coś bladszy;
Musiał dostać wiadomość,
Że sąd ziemski źle patrzy...
Oj te ludzkie języki!
Gdyby zebrać je razem,
I za nałóg ich dziki
Wszystkie uciąć żelazem!
Jabym mówić gotowa,
Ale prawdę, a skromnie;
Na co mi ta obmowa?

Co to należy do mnie?
Jan o sobie pamięta,
Ekonom ludzi bije,
Pisarz klaska w karcięta,
Wójt z organistą pije...
Bóg tam z nimi!... Bóg z niemi!
Ja patrzę tylko siebie!
Każdy człowiek na ziemi,
Nie to, co święty w Niebie.
Myślmy o własnej winie,
Nie sądźmy zbyt surowo...
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowo!

* *
*

— U nas plotki, jak błoto,
Wszystkich mażą bezwzględnie;
Słuchaj tylko, co plotą,
To aż ucho ci więdnie!
Uważałeś?... na prawo...
Ktoś miał czepek w pół głowy...
Masz i plotkę ciekawą,
Bo już przedmiot gotowy!
Dobrzy sąsiedzi moi
Ogadali już może:
Że ta pani się stroi
Nie dla męża... broń Boże!
Że ma zalotny narów,
Że to na gachów siatka,
Że ktoś tam z za filarów
Patrzał na nią z ukradka;
Lecz to fałsze... potwarze!...
Ja widzę co Niedziela:
On zawsze bywa w farze,
Lecz nie tam okiem strzela.
Może sądzisz po minie,

Że ja podrwiłam głową?
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowo!

* * *

— Już co zgadnę, to zgadnę!
Wierzę w domyślność moją;
A te plotki bezładne
Kością mi w gardle stoją!
Jam dosyć ich słyszała,
Lecz prawdy ni kropelki.
Naprzykład... suknia biała...
Niby to symbol wielki!
Niewinność... skromność... cnota...
Och! żeby nos im taki!
Śledziłam ją z za płota, —
Chłopcom dawała znaki!
A oczy tak ogniste,
A kibić wymuszona:
O Panie Jezu Chryste!
Niby to święta ona!
Znamy się na świętości...
Dzisiaj i ja sensatka...
Och! powiem jegomości,
Wróćcie mi młodsze latka!
Każda, co się nawinie,
Przede mną w kąt się schowa.
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowa!

* * *

— Tylko się chwalić nie chcę,
Lecz miałam szczęścia trocha!
Kogo spojrzeniem złechcę,
To zaraz mię pokocha!
Rzuciłam płoche żarty,
Postrzegłam, jak te szpecą;

Rok... drugi... trzeci... czwarty...
Jam spoważniała nieco.
A młodzież?... gdzież ci młodzi?
Pierzchnął mój lud poddańczy!
Jeden dziś z kijkiem chodzi,
Drugi swe wnuki niańczy.
Zepsucie dziś na ziemi!
Dzisiejszy rój młodzieży
Za szesnastoletniemi,
Za wietrznicami bieży!
Pan Bóg wie czem zajęci,
Śmiechem pogardy płacą
Najlepsze nasze chęci:
Za cóż to? pytam, za co?
Bo młodość wkrótce minie,
Bo mi siwieje głowa...
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowa!

* * *

— Kłamstwo!... jesteś sam stary!
Przyjdą czasy odmienne!
Ja dam na Mszę do fary,
Pościć będę Nowennę,
I ołtarzyk ponoszę;
Ujrzysz waćpan dobrodziej,
Że wyposzczę, wyproszę
Więcej statku dla młodzi.
Mimo wszystkie zalety,
Nikt nie spojrzy na młodą,
A stateczne kobiety
Rej na świecie powiodą.
Chociaż się lata roni,
Choć mija wiek człowieczy;
Ale święty Antoni
Patron zgubionych rzeczy:
On mi młodość odszuka,

Wróci rumieniec licom!
Będzie sztuka!... ot sztuka!
Na złość młodym wietrznicom!
Nie ich... a mnie jedynie
Szarpać będą obmową!
Prawdaż, panie Marcinie?
— Tak... tak, pani Janowo!

1858. Wilno.

WIDZENIE PUSTELNIKA.

LEGENDA.

I.

Kiedyś przed laty pustelnik stary
Wrócił wieczorem do swej pieczary;
Wykrzesał ognia, zatlił pochodnię,
Klął na kamieniu mówić pacierze;
A płomień lampy z modlitwą zgodnie
Wprost ku Niebiosom kierunek bierze.
Gdy pergaminu wolumen szasta,
Gdy się przewraca karta Psałterza,
Płomień się chysta, zwęża, rozszerza,
I ludzka postać z knota wyrasta.
A wosk i smoła w knocie się skwarzą,
Że zda się słyszysz jęki czyścowe;
Knot wśród płomienia wziął kształty nowe,
Z ludzką postacią i z ludzką twarzą:
Łuk ma przez plecy, sokoła w dłoni,
Głowę schyloną, plecy barczyste,
A trąbka zda się na łowy dzwoni:
O miserere! o salve, Christe!

II.

Święty pustelnik zgadnął te dziwy,
Że jęczy w czyścu jakiś myśliwy.
Może nie bacząc klątwy kościelnej,

Ufny, że nic się złego nie stanie,
W dzień uroczysty, lub w dzień Niedzielny
Ruszył do lasu na polowanie;
A ceniąc rozkosz jednogodzinną,
Cały zajęty własną uciechą,
Rozbudził z drzemki borowe echo,
Coby w Niedzielę milczeć powinno.
Dla wybawienia biednej istoty
Pustelnik ślubów poczynił wiele:
O chlebie z wodą suszyć soboty
I leżeć krzyżem w każdą Niedzielę.
Lecz postać strzelca z knotu nie znika,
Wiją się przy niej kłęby ogniste,
Skwierczy i jęczy muzyka dzika:
O miserere! o salve, Christe!

III.

Może zabywszy myśliwskie prawa,
Sięgnął na własność cudzego mienia,
Gdy go zawzięta gnała obława,
W puszczy królewskiej zabił jelenia.
Może gdzie spotkał dziewicę młodą
Wśród gęstej puszczy i samą jedną;
Nieskromne oczy tak ją przebodą,
Że zarumienił wieśniaczkę biedną.
Może gdy w polu strzelec się błąka,
Pusta go chętka morderstwa bierze:
Puścił sokoła w lot na skowronka,
Kiedy ten Panu śpiewał pacierze.
Więc nowe śluby — goręcej, godniej,
Czyni pobożny duch pustelnika;
Ale nie trafił na rodzaj zbrodni,
Bo postać strzelca z knota nie znika.
Wciąż się w płomieniu widmo unosi,
Wiją się przy niem obłoczki mgliste,
A pisk bolesny ratunku prosi:
O miserere! o salve, Christe!

IV.

Czy w nierozmyślnym zapale może
Końmi i psiarnią — zwyczajnie młodzież —
Tratował biednych rolników zboże,
Lny, z których kmiotek miałby swą odzież?...
Knot się pochylił, — pustelnik rzecze:
— Dosyć ci, dosyć cierpieć tak srodze!
Przebacz, o Boże! winy człowiecze,
A szkodę, pozwól, ja wynagrodzę!
Z wioski do wioski, z młyna do młyna,
Pójdę żebrować po garstce żyta,
By co rok jedna wdowia rodzina
Czarnego chleba miała do syta.
Z chaty do chaty, kędy tką krosna,
Pójdę żebrować o płótna szmatek,
Ażeby ludzi ręka litosna
Okryła troje sierocych dziatek.
Bóg winowajcom Swą litość dawa,
Królowie winę przebaczyć mogą;
Ale przebaczyć nikt nie ma prawa
Temu, kto ludzkość skrzywdził ubogą.
Jedyna rada: o ile siły,
Nagrodzić krzywdę biednej chudobie!
Tak mówił starzec, — a knot pochyły
Padł na kolana w strzelca osobie.
I płomień parsknął z środka pochodni,
Wzniosły się k'Niebu światła gwiaździste;
Grzesznik rozgrzeszon ze swojej zbrodni.
Ojcze ubogich! chwała Ci, Chryste!

1858. Wilno.

TRZY CÓRKI LITWINA.

OPOWIEŚĆ.

I.

Ponad Niemnem na górze
Stało Litwy przedmurze,

Pograniczna osłona od wroga,
Stał zameczek drewniany,
Lecz warowne miał ściany,
Krzepka była litewska załoga.

Nieraz horda krzyżacka
Napadała znienacka,
Lecz nie wzięła warowni ni razu;
Bo dowodził załodze
Litwin waleczny srodze,
Stary, jary, wykowan jak z głazu.

Będąc wdowcem rok wtóry,
Sam piastował trzy córy,
Trzy urocze pociechy Litwina.
Aż trzech zięciów mieć będzie,
Więc szczęśliwy w tym względzie,
Choć bogowie nie dali mu syna.

— Jeden, z mieczem a w szłyku,
Pójdzie w stronę Baltyku,
Za rodzinne wysunie się knieje;
Przy malborskiej gdzieś wieży
W róg bawoli uderzy,
Że aż Niemca mdłe serce struchleje.

Drugi, w sutej niedźwiedni,
W kraje Rusi sąsiedniej
Na mierzynie powiedzie rębaczy, —
I w Kijowie, na Ławrze
Z kniaziem miru nie zawrze,
Aż ośminę czerwońców zahaczy.

Trzeci, cały w żelezie,
Miecz i ogień powiezie
Aż pod Kraków, na dar dla sąsiada;
Przy Floryańskiej gdzieś bramie
Chrobry oszczep załamie,
Na Wawelu z Lachami pogada.

Wy tymczasem, dziewoje,
Krasne córki wy moje,
Tczyjcie krosna i prządźcie kądziele,
Jak kaliny rośnijcie,
Jako róże kwitnijcie
Na sędziwych lat moich wesele.

Duma słodko wódz siwy,
Jaki będzie szczęśliwy,
Swoje przyszłe pociechy oblicza.
Nie zapędzaj się, stary:
Insze ludzkie zamiary,
Insze w niebie Perkuna i Znicza.

II.

Raz wieczorkiem na wieży
Trąbka sygnał uderzy;
Zapytano: Kto jedzie? i poco?
Zbrojny od stóp do głowy
Niemiec, rycerz krzyżowy,
W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Serca złością zadrgały,
Gdy ujrzano płaszcz biały,
Z czarnym krzyżem, zwieszony przez ramię;
Lecz domowa gościna,
Święta sercu Litwina:
— Niech i Niemiec chleb z nami przełamie.

Praw gościny wódz słucha,
Most zwiedziono z łańcucha,
Zaproszono na nocleg rycerza,
I przy piwie, przy miodzie,
Przy gościnnej swobodzie
Zastawiona litewska wieczerza.

Krzyżak zmęczon z podróży,
Wypił miodu róg turzy,

Otoczyła go Litwy gromada;
On słowami pięknemi
O niemieckiej swej ziemi
Troje dziwów Litwinom powiada.

Jaki tam lud wesoły,
Jakie piękne kościoły,
Jakie zamki, pałace i bramy,
Jakie świetne turnieje,
Jak tam rycerz krew leje,
Krusząc kopię za honor swej damy.

Stary Litwin się dąsa,
Kręci siwego wąsa,
Bo mu nie w smak niemieckie te brednie;
Lecz najstarszej dziewoi
Ten kraj w oczach już stoi,
Patrzy, słucha, kraśnieje, to blednie.

Zda się mówić oczami:
— Mnie to nęci i mami,
Nawet ojca-m porzucić gotowa!
Tak z krzyżackim siepaczem
A dziewczęciem prostaczem,
Poszła niema oczami rozmowa.

Nie wiem, co tam mówili,
Lecz o porannej chwili,
Kiedy słońce błysnęło nad rzeką,
Już jej w zamku nie było:
Wzięta wolą czy siłą,
Ujechała z Krzyżakiem daleko.

Dziad załamał swe dłonie,
Wysłał szybkie pogonie,
Lecz o zbiegach ni śladu, ni wieści.
— O! Perkunie, Perkunie!
Czemu grom twój nie runie,
Aby pomścić się mojej bezcześci?

Już mi na koń niesnadno,
Już mi ręce bezwładną,
Już mi pancerz dolega pod szyją;
Lecz mieć będę dwóch zięci,
Każdy z nich się poświęci,
Wyszukają psa Niemca — zabiją.

Wy tymczasem, dziewoje,
Krasne córki wy moje,
Tczyjcie krosna i przędźcie kądziele,
Jak kalina rośnijcie,
Jako róże kwitnijcie,
Z waszych mężów potrzebni mściciele.

III.

W rok — wieczorkiem na wieży
Trąbka sygnał uderzy.
Zapytano: — Kto jedzie i poco?
Młody, krasny a strojny
Ruski wojak szedł z wojny,
W lasach Litwy zabłądził przed nocą.

Rad, że gościem Bóg darzy,
Więc z uśmiechem na twarzy
Litwin Rusa przyjmuje najmilej,
I przed całą drużyną
Stawi hojnie miód, wino,
I zaprasza, by jedli i pili.

Gdy wypili a zjedli,
Na rozhowor zasiedli,
Długi wieczór upłynął w rozmowie.
Rusin, siadłszy na ławie,
Opowiada ciekawie,
Opowiada o swoim Kijowie:

Jaki tam lud zamożny,
Jaki tam Dniepr wielmożny,

Co to płynie i mlekiem i miodem,
Cerkwie z bańmi ze złota,
Co jak słońce migota,
Co jak gwiazda przyświeca nad grobem.

A jak idzie gród stary,
Tak pod ziemią pieczary,
Kędy święci spoczęli mężowie;
A niewiasta ma wolę,
Nosi szuby sobole
I sobole kołpaki na głowie.

Średnia córka go słucha,
Ani oka, ni ucha
Z nadobnego nie spuszcza Rusina;
A on rad, że mu radzi,
Złotą brodę pogładzi,
I piękniejsze powieści poczyna.

Starzec bacznie uważa
Kijowskiego bajarza,
I polubił, bo mówi do rzeczy...
Lecz nazajutrz po nocy
Jęk się rozległ sierocy:
Stary Litwin swej doli złorzeczy.

Średnia córka na Rusi
Już daleko być musi:
Do granicy nie więcej pół mili.
W trąbkę: na koń! uderzy,
Wysłał w pogoń rycerzy;
Lecz rycerze bez skutku wrócili.

Szkoda ojca nędzarza!
Piersią w prochu się tarza,
Siwe włosy i siwą rwie brodę:
— Ha! uciekłyście skrycie,
Cudzym bogom dać życie,
Wrogom niańczyć szczenięta ich młode.

Szczęściem — nawet w kurhanie
Mych popiołów nie stanie,
Gdy lat dziesięć, dwadzieścia przeminie,
Gdy dla krwawych łupieży
Syn Litwinki przybieży
Hańbić Litwę i bogów świątynie.

Lecz nim pójdę pod ziemię,
Będę wasze klął plemię,
By zmarniało nikczemnie a podle;
A gdy skończę to życie,
Tam w niebieskim błękicie,
Piorun na was u bogów wymodlę.

Córko! niech cię popieszczę,
Coś została mi jeszcze,
Tyś najmłodsza, tyś moja jedyna!
Prędkoż drużki nad młodą
Pieśń weselną zawiodą?
Mnie potrzeba mściciela i syna!

IV.

Rośnie dziewczę, ej rośnie,
Jako kwiatek w półwiośnie!
Gdy raz trąbka zagrała na moście.
Powstał Litwin brodaty,
Wyjrzał oknem z komnaty:
Nieznajomi zjawili się goście.

To sarmaccy husarze;
Hełmy kryły ich twarze,
Z ramion rysie staczały się burki;
Na ramionach i czole
Mieli skrzydła sokole,
A na piersiach pancerze w jaszczurki.

Już zgrzybiały wódz Litwy
Miał dać hasło do bitwy,

Już topory i miecze dobyto, —
Kiedy Lachów wódz młody,
W znak pokoju i zgody,
Hełm złocisty ze strusią zdjął kitą.

I posyła przed straże,
I powiedzieć tak każe:
— Mir i cześć ci, szlachetny Litwinie!
Idziem z Niemiec do Niemna,
A nastaje noc ciemna, —
Dajcie nocleg gościnny drużynie.

Na żądanie wnet wasze
Odpaszemy pałasze.
Wódz litewski ich przyjął najmilej;
Tylko spytać ich każe:
— Ej wy Lachy, husarze!
Czemu Niemców do szczętu nie zbili?

Choć zawiedzion zdradziecko,
Litwin ufny, jak dziecko,
Wita Lachów uprzejmie, ciekawie;
Każe dać miodu, piwa,
A ich wodza przyzywa
I sadowi przy sobie na ławie.

I rozkrawa pierś dzika,
I piwnice odmyka,
I wynosi czem chata bogata:
Miód od wielkiego święta,
Co Mendogów pamięta,
Co już setne przechował się lata.

A gdy miodu sowito
Raz i drugi wypito,
Litwin starej a prostej natury
Wyspowiadał przy miodzie,
Jaka żałość go bodzie,
Jak mu z domu zginęły dwie córy.

Dobrze w oczach u Lacha,
Więc się zdrady nie stracha, —
A że dusza podzielić się rada,
Więc, wypiwszy po trzecie,
Każe wołać swe dziecię
Do komnaty, gdzie była biesiada.

Młody Laszek wzrok wnęca,
Czarny wąsik pokręca,
Strzela słowy gładkiemi, jak może, —
Że Litwinka nieśmiała
Aż trzy razy skraśniała,
Ot! zwyczajnie, chowała się w borze.

Gadu... gadu... Lach rzecze:
— Zacny jesteś, człowiecze,
Smaczny miód i puhary masz duże.
Przyjedź tylko pod Kraków,
Ja w imieniu Polaków
Za gościnę gościną odsłużę.

Bo wam powiem otwarcie:
Dobre miodne tu barcie,
Ale nasze bogatsze są kraje;
Mamy pełno pszenicy,
A z węgierskiej granicy
Przywozimy stuletnie tokaje.

Dobrzy wasi książęta,
Ale wola ich święta,
Wy nie znacie sejmowej obrady;
U nas szlachta na sejmie
Kiedy okrzyk podejmie,
To i król nie potrafi dać rady.

Dobre wasze są bogi,
Ale Poklus za srogi,
Perkun grzmotem przeraża z daleka;
Nasz Bóg — dobroć to szczera,
Krwawą śmiercią umiera,
Byle tylko wybawić człowieka.

Matka Jego — Dziewica,
Jakże święte ma lica!
Jakże oczy miłością płonące!
Ile ludziom łask czyni
W Częstochowskiej świątyni,
Kędy idą pielgrzymów tysiące!

Patrzcie!... — odjął od szyi
Obraz świętej Maryi,
Wyrzezany misternie na blasze: —
Ona naszych prośb słucha,
Ona wzmacnia nam ducha,
Ona w boju hartuje pałasze.

Litwin spojrzał z niewiarą,
I najeżył brew starą,
I cichemi odezwał się słowy:
— Ha! uwierzyłbym może,
Niech mi tylko pomoże
Zwodzicielom mych córek zgiąć głowy!

Dziewczę z twarzą odmienną,
Jakby w tęczę promienną,
W święty obraz wlepiła swe oko;
Wsparła główkę o ścianę,
Marzy dumki nieznane,
Pokraśniała, westchnęła głęboko.

Gadu... gadu... koleją,
Drugie kury już pieją,
Zasłuchali się prości Litwini:
Jak tam Kraków ubrany,
Jakie dzwony, organy
Na wawelskiej zamkowej świątyni.

Litwin pyta a śledzi,
Czy tam wiele niedźwiedzi,
Czy tam dobrze hartują bardysze;
A ciekawa dziewczyna,
Gdy gość książki wspomina,
Rozpytuje, co w książkach tych pisze?

Tak rozmowa husarza
Głowę Litwy rozmarza,
Że gdy jutrznia błysnęła z za wzgórka,
A sen zmorzył powieki,
To w krainie dalekiej
Śnili Kraków i ojciec, i córka.

Ranek świecił przecudnie...
Lecz jak przyszło południe,
Z chmur rzęsiste polały się deszcze.
Więc gospodarz powiada:
— Gościu! chata wam rada,
A przebawcież tu z nami dzień jeszcze.

Pora zimna i dżdżysta,
Lach z ofiary korzysta.
Dano miód, naniecono kominek; —
Przegwarzyli dzień cały...
Lecz nim kury zapiały,
Zniknął Lach — i najmłodsza z Litwinek.

Litwin strzaskać chciał głowę
O kamienie zamkowe,
Ale rozpacz potłumił szaloną;
Nie zatrąbił do broni,
Nie posyłał pogoni:
— Niech już jedzie, gdzie jechać sądzono!

Obezsilniał w rozpaczy,
Znać, że głowa majaczy,
Snadź się dusza zachwiała gorąca;
Z obłąkanem obliczem
Pali ognie przed Żniczem,
To posągi Perkuna roztrąca.

Czasem jakby szalony,
Grozi pięścią w trzy strony
I orężem w powietrzu wywija.
Wreszcie — rzucił załogę,
Nic nie wziąwszy na drogę,
Oprócz torby żebraczej i kija.

Próżno Litwa go błaga:
— Ojcze! twoja odwaga,
Twoja mądrość broniła te ściany;
My nie damy tu rady
Przed zbrojnemi napady!
— Dzieci moje! — rzekł starzec znękany: —
Wodza kołpak niedźwiedzi,
Miecz kowany, tarcz z miedzi,
Niech piastuje kto z młodszych rycerzy;
Bo w te nasze warownie
Wkrótce może gwałtownie
Niespodziany grom z nieba uderzy.
Widzę — w niebios przestrzeni
Jak się jutrznia rumieni,
To się snują obłoki bezładne;
Huczy w chmurach pieśń nowa,
Dobrze słyszę jej słowa,
Ale słów tych znaczenia nie zgadnę.
A ja... z przeszłości starej
Umiem piosnek bez miary,
Tym ostatek dni moich poświęcę.
Pójdę w dzieci wioskowe
Wpajać piosnek osnowę,
Bo żyć tylko będziemy w piosence.
Litwa — w bredniach boleści
Nie domyśla się treści,
Rozśmieszyły ją starca widziadła.
Opętały go duchy,
Poszedł sobie w las głuchy,
I wieść o nim na długo przepadła.
Ktoś go spotkał... coś plecie,
Szuka córek po świecie,
Obłąkany, zmarzony, jak senny;
To rozeszła się mowa,
Że szedł w stronę Krakowa,
Ukazując obłoczek promienny.

W rok, czy we dwa — przy wieży,
W jakiejś dziwnej odzieży,
Znaleziono trup starca nareszcie;
Zamiast pasa sukmany,
Miał powrozek wełniany,
Przy powrozku — paciorki niewieście.
Lecz co dziwniej się zdało,
Że gdy wodza już ciało
Mieli spalić na stosie Litwini, —
Na jego piersi mężnej
Błyszczał krzyżyk mosiężny
I obraz świętej Lachów bogini.

Wilno. 1859.

KSIĘGARZ ULICZNY.

GAWĘDA.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie;
A księgarz, ceniąc towar, jako mu się zdawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiej polewki dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to, — a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jest znane,
Więc pytasz sam u siebie: Kto sprawił tę zmianę?

* * *

Patrzcie! ja go wam wskażę: Przyparty do ściany
Stoi Żyd siwobrody, okryty w łachmany,
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z tej postaci! Lat sześćdziesiąt blizko,

Jak zajął przy tej ścianie swoje stanowisko,
I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,
Za miedzianą monetę dał złoto oświaty.
Gdzie wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy
Górowała nad naszej mądrości atomy,
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nucie
Znajdowano Wielkości i Piękna poczucie,
On sprzedawał łacińską książeczkę in quarto,
Zabrudzoną z początku, a z końca odartą.
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:
— Niech pan czyta szczęśliwie, niech służy zdrow
Zdrowież było w tych książkach! słowo wrzące czy
Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,
Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz, co to sprzedał, patrz, jak błogo leci
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci!
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne Psalmy wyśpiewywa!

* *
*

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młoc
Westchnął, oparł na kiju osiwiałą brodę,
Otarł czerwone oczy:
— Panicze! panicze!
Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz profesorska figura zgarbiona
Płaciła po dukacie listy Cycerona?
Za Plautusa, choć prawda inkunabuł stary,
Pan Groddeck mi zapłacił aż cztery talary,
A ja tylko sprzedając ściskam ramionami,
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?
Rarytne były czasy! a książek ogromy;
Groddeck, Czacki, Śniadeccy popisali tomy,

Dzieła choć naukowe szły jak asygnata,
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją, czy pomarli, daj Boże im zdrowie!
Kupowali je hurmem akademikowie.
Niejeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata;
Niejeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ karetą i ubogich wspiera.
Toż wszystko moje dzieci! mogę mówić śmiało,
W moich to oczach rosło, w moich rozumniało.
A był to lud ubogi, obciążony pracą,
Niejeden chciałby kupić... a tu nie ma za co!
Niejeden — tych paniczów dobrze mam w pamięci, —
Targuje, zwraca książkę, a łza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: No! szkoda mi dzieci,
Dam na kredyt lub w zamian literackich śmieci,
Od Baki do Newton'a wszystko mi się przyda.
A poczciwi panicze pokochali Żyda,
Grosz powoli, lecz ciągle, do worka się sączy,
Aż przyszedłem nakoniec do nowej opończy.
W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Stryjkowskich zbiór cały,
Łazarzów, Piotrkowczyków wydania bogate,
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwaląc się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłki dopatrzę.
Niepopłatny był towar, mało znany komu,
To ja... z piętra na piętro... od domu do domu...
Obnoszę, pokazuję rarytność dowodzę,
Wypchną mię przez drzwi jedne, ja drugiemi wchodzę;
Bo z biedy cóż mam począć? dla kawałka chleba
Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
Jeszcze wyższej w mym handlu dochodziły ceny
Stuletnie Kalendarze i Nowe Ateny;
Najwyżej stał Paprocki — bo tam było ryte,

Jaki herb dla lokaja, jaki na karetę.
A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
Cóż robić? myślę sobie — to na chleb dla dzieci.

No!... pana Mickiewicza zabłysnęła chwała;
Ale już postarzałem... broda posiwiała,
Ręce, znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Wsparłem ot na tym kiju stary patryarcha;
I nieraz, gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzeć się nie chciało;
Bo do czego to warto? tom taki niespory!
Jam przywykł do in folio lub quarto majori.

Co w tem, to pobłądziłem, bo to dobre dzieła!
Wallenrodom i Dziadom Litwa przyklasnęła.
Czy pan wiesz? były cuda, co i sen nie marzy:
W pół godziny sprzedałem... dziesięć egzemplarzy
A wziąwszy dziesięć złotych raduje się dusza:
Ha! to musi być większy od Horacyusza!
Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnej podzięce
Autorowi Grażyny całowałem ręce...

Lecz począłem ubożeć: czas płaci, czas traci...
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdej pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,
Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
A ja, najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,
Stoję, zgarbiwszy plecy, i podpieram ścianę.

Co staremu do tego, czy wilgoć, czy słota?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota.
Egzemplarz niekompletny... cóż ja biedny zrobię?
Pan Joachim wyjechał, pan Mickiewicz w grobie...
Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów
Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów...
Skarlał czas, pokarleli nasi literaci,
Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci.
Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
Odzyskam na Kraszewskim, co na innych stracę.

Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą.

* *
*

Wtem kareta księgarza po bruku się toczy,
I błotem obryzgała ślepe starca oczy.
Otarł zbolałe oczy i podniósł je w górę:
— Och! na co ja stworzyłem tę literaturę?!

1859. Wilno.

MARCIN STUDZIEŃSKI.

KARTKA Z KRONIKI WILNA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Wieczór mieszczański.

I.

Stefan Kotwica, rajca wileński,
Sprawował ucztę w dzień swego święta.
Rej wodził w tańcu Marcin Studzieński.
Miłem nań okiem patrzą dziewczęta,
Siwi starcowie patrzą nań mile,
Jako na wnuka albo na syna;
Bo pan Studzieński zuch w całej sile,
Każdemu młode dni przypomina.
A nasi starcy, plemię junacze,
Postarzeć sercem prędko nie mogą —
Ze skaczącymi choć okiem skacze
I rzeźkie takty wybija nogą,
Z pod sutych skrętów siwego wąsa
Mruczy piosenkę — snadź dusza rada —
Głowę zarzuca, brodą potrząsa,
I ręce pysznie za pas zakłada.
W dzielnym narodzie, wiedzą to starzy,
Że być powinni wzorem młodzieży;
I znają dobrze, co im do twarzy,
Co dostojności ich przynależy.

Czy kord bojowy, czy puhar w dłoni,
Starzec ochoczo rej u nas wiedzie;
Czy biesiadnicza muzyka dzwoni,
U nas starcowie zawsze po przedzie.

II.

Muzyka dzwoni, a młodzież hasa,
I najserdeczniej szumi zabawa;
Zagrzana tańcem dziewicza krasa
Jeszcze się bardziej promienną zdawa,
I jeszcze teraźniejej do serca sięga
Grot pięknych oczek błyszczący jaśnie;
Furknie w powietrzu dziewczęcia wstęga,
Albo splot włosów po skroni głaśnie,
Taki dreszcz dziwny przejmie tancerza,
Że wrazby duszę oddał dziewczynie,
Krew mu do serca młotem uderza,
A głowa krąży jakby po winie.
Marcin Studzieński, tancerz ochoczy,
Do tańca córkę wiódł gospodarza:
Iskrą goreją młodzieńca oczy,
Iskra dziewczęce oczki rozżarza.
Gdyby nie hucznej muzyki gwary,
Gdyby w podkówki tak nie grzmocono,
Możnaby słyszeć u pierwszej pary,
Jak jednym taktem uderza łono;
Lecz choć nie słychać nic za łoskotem,
Łatwo odgadnąć, nie myśląc wiele, —
Stare matrony już szepcą o tem:
Będzie wesele.

III.

Będzie... nie będzie... na dwoje wróży
Babka wróżbiarka, śledząc z ukradka;
Bo coś pan ojciec oblicze chmurzy,
A niespokojna coś pani matka,
I pan wójt miejski nachmurzył lica,
Zwrócił ku ojcu wzrok zagniewany:

— Pocóż ci było wwodzić szlachcica
Między mieszczany?
— Żem go wprowadził — niewielka rzecz!
Jak sobie przyszedł, tak pójdzie precz,
Jeżeli szlachcic, stąpając z góry,
Zechce nam miejskie uwodzić córy!
Niechaj się każdy dzierży swych granic,
Nam ich wielmożność nie zda się na nic.
Ważność mi wielka! koń i szabelka,
Pustka w kieszeni i harda po[illegible]!
Sławetna miasta obywatelka
Żoną szlachcica nie może zostać!
Niech się tak bardzo z nami nie kuma,
My się na łasce szlacheckiej znamy;
U nas jest nasza mieszczańska duma,
Z łokcia i szali, z handlu i kramy.
Tak mówił z gniewem Stefan Kotwica,
Trafił mieszczanom w stronę pochlebczą,
I pan wójt miejski zachmurzył lica,
I na młodego zucha szlachcica
Już zmowę szepcą.

IV.

Marcin Studzieński nie wie o zmowie,
Nie zważa na nic i na nikogo;
A taniec idzie, grzmocą grajkowie,
A on zajęty Maryą drogą.
Na wypoczynek usiada przy niej,
I tysiąc grzecznych przymileń czyni,
Pieści jej rączkę, szepce do ucha,
A głos ma drżący — braknie mu słów...
A ona rada, śmieje się, słucha,
Ochłodzi oddech — i w taniec znów.

V.

Na półzegarzu już po północy,
Już słychać nocne wołanie stróży,
Już w muzykantach nie stało mocy,

Już i do tańca siła nie służy.
Ucichły huczne skrzypce i kotły,
Tłum się zamieszał po izbie całej:
Już się tancerzów ręce rozplotły,
Już się zmęczone nogi zachwiały;
I u pań mieszczek złociste czepce
Już po szklanicy na bakier głowa,
Jedna do drugiej po cichu szepce:
— Już czas do domu, pani majstrowa!
Beczułka wina jedna i druga
Już pustym dźwiękiem na finis dzwoni;
Niejeden mdławo oczami mruga
I srebrny puhar wypuszcza z dłoni.
— No, gospodarzu! żegnać cię trzeba!
Dałeś nam hojnie i pić, i jeść,
Dałeś nam soli, dałeś nam chleba,
Dałeś nam wina, dałeś nam cześć.

VI.

Goście żegnają pana Kotwicę
I opuszczają gościnne progi.
Tłum panów mieszczan poszedł w ulicę,
Choć nie każdemu posłuszne nogi.
Słychać w ulicy pochmielne gwary,
Lub głos piosenki ostry a twardy;
Niech sobie zrzędzi stróż miejski stary;
Niestraszne groźby ni halabardy!
— Czyż człek w ulicy krzyczeć nie może,
Gdy sobie podpił, kiedy go stanie?
Czy my włóczęgi jakie broń Boże?
Tutejsi kupcy, albo mieszczanie.
Pachołek miejski! żartuj zdrów, bracie!
Tak stroją śmieszki z nocnego stróża.
A w gospodarskiej pustej komnacie
Została gości garstka nieduża:
Został wójt miasta i dwaj ławnicy
Z siwemi brody, z siwemi głowy,

Czterech przyjaciół pana Kotwicy,
I magdeburski pisarz sądowy;
Sama starszyzna — same senaty —
Znaczno po wąsach, co jeżą srogo...
A w oddalonym końcu komnaty
Pozostał rycerz ze swą niebogą.
Czegoś tam w tańcu nie dogadali,
Nie dokończyli jakiejś chychotki,
Więc od starszyzny siedli w oddali
I wiodą z sobą rozhowor słodki, —
Rozhowor słodki, pusty, dziecinny,
Bez ładu, składu, jakby w podchmieli;
Gdyby go z boku słyszał kto inny,
Mógłby powiedzieć, że poszaleli.
Spytaj się u nich, gadali o czem?
To żadne z dwojga samo nie powie.
Ot my gwarzymy, ot my chychoczem,
Bo nam tak dobrze na tej rozmowie.
Dobrze wam społem?... strzeżcie się młodzi!
Starsi inaczej widzą te rzeczy.
Pan wójt coś groźnie oczami wodzi,
Pan ławnik szepce i ręką przeczy,
Pan pisarz miejski nie kończy kwarty,
A pan Kotwica czoło zachmurza.
To zły prognostyk, nie żadne żarty,
Ej, będzie burza!

VII.

— Panie szlachcicu! panie Marcinie! —
Zawołał burmistrz najpierwszy w radzie —
Czy znasz przysłowie: że zła nie minie,
Kto między szparę w drzwi rękę kładzie?
Czy znasz przysłowie sowy i kruka?
Proszę na bacznym chować je względzie.
Niech sobie równy równego szuka;
Czem czart nie orał, tem siać nie będzie,
A to się znaczy, że my, choć prości,

Choć naszych przodków szereg niedługi,
Mieszczanie Jego Królewskiej Mości,
Tacyśmy dobrzy, jak i kto drugi.
A może lepsi... Co to?... na świecie
Niema szlachcianek, wojewodzianek,
Że córki miejskie uwodzić chcecie?
Dość tych chychotek i pogadanek!
Ja wiem, szlachcicu, co tobie w głowie:
Że się odurzy biedna niewiasta.
Wara tych myśli! — ja ci to mówię,
Wójt wileńskiego sławnego miasta.

VIII.

Marcin Studzieński powstał zdumiony,
Krew mu do twarzy warem nabiegła.
Wtem pisarz miejski wpadł z drugiej strony,
Groźny, jak Jowisz, krasny, jak cegła.
Szeroko o tem gadano w mieście,
Że k'pięknej Maryi miał afekt rzewny;
Prawda, czy kłamstwo — kto to wie wreszci
Ale pan pisarz bardzo był gniewny.
Poprawia pasa, czuprynę muska,
A pogładziwszy ręką po głowie,
Stylem statuta, po polsku z ruska,
Tak się odzowie:
— Wszak król jegomość, Jagiełło stary,
Dał nam statuta i pergaminy;
Ktoby niedobre knował zamiary,
Ma być ukaran wedle swej winy.
A waść kto taki. Hej, panie bracie,
Co na nas wszystkich poglądasz z góry?
Na miejskim gruncie, przy magistracie,
Do córki miejskiej stroisz konkury.
Przecz się szlachcice tutaj panoszą
Pustą kieszenią i tarczą biedną?
Możesz tańcować, kiedy cię proszą,
Ale nie z jedną!...

Ale nie z jedną... bo to zniewaga.
Patrz, jak mu piękne smakują lica!...
To przyzwoitej kary wymaga!
Precz stąd szlachcica!
Precz stąd szlachcica! wszyscyśmy równi,
Nam nie potrzeba szlachty widoku!
Pan Marcin k'miecza porwał się główni;
Pan pisarz szukał czegoś u boku.
Przyszłaby walka słowo po słowie,
Lecz pan Kotwica huknął, jak z beczki:
— Co to się znaczy? Mości panowie!
Wara w mym domu kłótnie i sprzeczki!
Ja was prosiłem, panie Studzieński,
Podzielać z nami chleb i zabawy,
Bom siła liczył na wasz duch męski,
Bo byłem pewien, żeś rycerz prawy;
A waść się znęcasz nad moim progiem,
Czyhasz na cnotę mojego dziecka!
Jakeś tu przyszedł, idź z Panem Bogiem!
Nam niepotrzebna łaska szlachecka.
Idź i nie wracaj — albo bądź gotów,
Że cię niegrzecznie za drzwi wywiodę.
Ty, panno córko!... dość tych zalotów,
Bo cię zasadzę na chleb, na wodę.

IX.

Tak mówił stary groźnie i żwawo,
Aż mu źrenice iskrami gorą.
Marcin Studzieński z godną postawą
Poszedł ku niemu i rzekł z pokorą:
— Sławetny rajco! nie w złym zamiarze
Próg waszych komnat przestępowałem.
Moje sumienie wyznać mi każe,
Że waszą córkę kocham z zapałem.
Chciałem odłożyć moje wyznanie,
Aż przyjaźniejsza chwila posłuży;
Lecz mnie zmuszacie... niech się więc stanie!...

Żyć bez twej córki nie mogę dłużej.
Rad, że rozmowa ku temu zmierza,
A jej sprzyjania pewien po trosze,
Raczcie przebaczyć śmiałość żołnierza,
Że o jej rękę przy świadkach proszę.

X.

Podumał trochę Stefan Kotwica,
Spojrzał na wójta i resztę gości:
— Nie, panie bracie!... nie chcę szlachcica.
Nam nie potrzeba Waszej Zacności.
My się na zięcia takiego piszem,
Co go zrodziła matka mieszczańska,
Co byłby w handlu mym towarzyszem,
Coby po towar jeździł do Gdańska,
Coby miał grosza swego dostatek,
Nie patrząc na to, co mu zostawię,
A na ratuszu u sądu kratek
Obok mnie zasiadł na rajców ławie.
A waszmość szlachcic — herbu Gryf pono,
Cóż mi z waszego Gryfa czy Smoka?
Masz chudą szkapkę, szablę stępioną,
Ot i dostojność wasza wysoka!
Pójdziesz na wojnę, lub siądziesz w mieście
Na teściowego kawałku chleba;
Jeszczeby bracia rzekła nareszcie,
Że mi szlacheckich związków potrzeba!
A toż mi na co? — Nie, panie bracie!
Nie waż mi więcej wdzięczyć się do niej!
Lepszy cechowy przy swym warsztacie,
Niż lichy szlachcic, co wiatry goni.
— Dobrze powiedział!... czyta jak z księgi! —
Krzyknęli goście już podchmieleni. —
Wiwat Kotwica! mieszczanin tęgi,
Co tak dostojność mieszczańską ceni!
Podano gościom miodu antały,
I rozpoczęto huczne wiwaty.

Żalem i wstydem przejęty cały,
Rycerz Studzieński wyszedł z komnaty.
Zarzucił rysią delię na szyję,
Hełmem płonące czoło osłania,
I na spłakaną w kącie Maryę
Rzucił bolesny wzrok pożegnania.

CZĘŚĆ DRUGA.

Obmurowanie Wilna.

I.

Stara stolica Gedyminowa,
Wilno, pieszczota pięknej natury,
Pomiędzy gaje, pomiędzy góry,
To kwiat, co w dzikiem zielsku się chowa...
Gdy się na strome wdzierasz urwisko,
Albo brniesz piaskiem drogą pochyłą,
Nigdybyś nie zgadł, że Wilno blizko,
Gdyby twe serce silniej nie biło.
Gdy przed twojemi mignie oczyma
Szczyt pierwszej wieży, pierwszego krzyża,
Czujesz dreszcz święty, ów dreszcz pielgrzyma,
Co się ku miejscu świętemu zbliża.
Korne kolano samo się zgina,
Serce uderza tętnem żałoby;
Bo tu Litwina Mekka, Medyna,
Tu jej proroków kolebki, groby!
Tu przed wiekami Litwini starzy
Palili bogom ofiarne Znicze;
Tu Przenajświętszej Panny oblicze
U bramy miejskiej stoi na straży;
Tu Jagiellończyk, lilia dziewic,
Syn uświęcony litewskiej matki,
Patron — przyczyńca, książę, królewic,
Złożył w świątyni ziemskie ostatki;
Tu się męczeństwa pamiątka budzi,
Trzy krzyże wieńczą górę pochyłą,

Bo gdzież jest naród, gdzie miasto ludzi,
Coby proroków swych nie zabiło?
Niejednokrotnie nad miastem starem
Pan różdżkę pomsty wyciągnąć raczy:
Trapi je głodem, morem, pożarem,
Trapi przez krwawy najazd krzyżaczy.
To znów miłościw ku dzieciom swoim,
Daje po klęskach wytchnąć szczęśliwie;
Ludzi nawiedza zdrowiem, spokojem,
A urodzaje pleni na niwie,
Baszty ukrzepia, mury rozszerza,
Duchem mądrości nawiedza starsze,
Wlewa odwagę w piersi rycerza
I zbawcze myśli w serce monarsze.

II.

Tak wśród rozlicznych losów przemiany,
Wilno przetrwało drugie stulecie.
Gedymin pierwsze zasnował ściany,
Olgierd gród ojca kochał, jak dziecię;
Pod Jagiellonem w potęgę wzrasta,
Bo czuwą nad niem łaska książęca,
Pogańskie czoło starego miasta
Już Chrystusowym krzyżem uświęca.
I z wież kościelnych zagrały dzwony,
Kiedy pogaństwa pierzchła pomroka,
A Pan Zastępów żegna z wysoka
Litwę, i Wilno, i Jagiellony.
A choć krzyżackie czasem znamiona
Zawiały tutaj w bojowym szyku, —
Polski i Litwy dłoń zespolona
Odparła Niemca aż do Baltyku.
Zaprzestał ufać w zdrad swoich dzieło,
Że nas wypleni, że kraj nam wydrze,
Gdy pod Grunwaldem Witołd z Jagiełłą
Rogatą głowę strzaskali hydrze.
Tymczasem wzrastał, wzrastał gród stary

W sławę u ludzi, w łaskę u Boga;
Z Niemiec, od Rusi drużyna mnoga
Szła tu osiadać, kupczyć towary,
Sprawiać rzemiosła dłońmi biegłemi,
Odmierzać łokciem, ważyć na szali,
I żyć pod prawem litewskiej ziemi,
Co jej kniaziowie dobrzy nadali.

III.

Co ojciec począł, to syn dokona,
Uzacni Wilno nad insze grody:
Książę Kazimierz, syn Jagiellona,
Dał przywileje, nowe swobody.
A kiedy ludzie zewsząd się garną,
Kiedy ład w mieście rodzi się nowy,
Książę napisał ustawę karną,
Aby bezpieczne były ich głowy.
Dzieło ojcowskie umocnił jeszcze
Kniaź Aleksander prawy nowemi,
Tylko postrachy jakieś złowieszcze
Krążyć poczęły w litewskiej ziemi:
Że się odgraża kniaź Michał Gliński,
Na Illiniczów coś w sercu knowa,
Że ma ich bronić pan Zabrzeziński,
I buchnie w kraju wojna domowa.
A z drugiej strony, tam od Podola,
Tam z Tatarszczyzny strach wieje wszędzie;
Rycerz w zbroicy dostoi pola,
Ale z bezbronnem miastem co będzie?
Póki mieszkańców było w niem mało,
Za mur starczyły piersi waleczne;
Dziś już ceglane mury konieczne,
Baszty i bramy mieć już przystało.
By nieprzyjaciel nie wszedł tak łatwo,
Opasać murem konieczność zmusza:
Świątynie Pańskie, ściany ratusza,
Kapłanów, starców, niewiasty z dziatwą,

To, co najświętsze dla duszy człeka,
Gdzie z jego piersi modlitwa płynie,
Gdzie go otacza prawa opieka,
Gdzie ma wytchnienie przy swej rodzinie.
Może wróg przypaść niespodziewany,
Spali, zbezcześci i pozarzyna;
Więc rada w radę, pany, mieszczany:
Opasać murem gród Gedymina,
I z pięciu krańców, z pięciu stron świata,
Gdzie pięć dróg wielkich w mieście się schodzi,
Niech z baszty sterczy groźna armata,
By wstrzymać wylew wrogów powodzi.

IV.

U nas wiadomo z ojców przykładu,
Że gdzie potrzebny środek ochrończy,
Tam gadu, gadu, a niemasz ładu,
Do dnia sądnego rzecz się nie skończy,
Aż myśl ognista, jak promień słońca,
Ku celom Bożym powoła rzesze,
Aż dłoń potężna, wzruszeniem drżąca,
Z zimnego głazu iskrę wykrzesze,
Aż gorejące natchnieniem słowo
Wybuchnie ogniem, zapłoni twarze,
Wstrząśnie zmartwiałą deskę piersiową
I sercu czynem zakipieć każe.
Wtedy na Litwie żyć już nie szkoda,
Nowych w jej dziatwie dojrzysz przymiotów,
I ład się znajdzie, i święta zgoda,
I duch do ofiar gorących gotów.
Litwin zapomni uraz uprzejmie,
Pójdzie choć w ogień w najlepszej chęci,
Kęs chleba sobie od ust odejmie
I krwi ostatnią kroplę poświęci.

V.

Taką ognistość w myśli i słowie,
Taki we wzroku zapał zwycięski,

Taką potęgą, co k'czynom zowie,
Miał Wojciech Tabor, biskup wileński.
On, jako niegdyś Stanisław święty,
Królom i panom nadstawiał czoła;
Jak Oleśnicki równie był zdjęty
Miłością kraju i czcią Kościoła.
Wedle pasterzy dobrych zwyczaju,
Po Chrystusowemu do serca garnie
I wierne owce swojej owczarnie,
I wszystek naród swojego kraju.
On za ich sprawę stawił się śmiało,
Jak mu kapłańskie każe sumienie,
Chociażby za to spotkać go miało
Prześladowanie lub umęczenie.
On Aleksandra Jagiełły głowę
Uwieńczył książąt litewskich mitrą;
On wzmocnił z Polską przymierze nowe,
Przeniknął wrogów zasadzkę chytrą.
Za jego wpływem polska korona
Na Aleksandra błysnęła czele;
A jednak później nieprzyjaciele
Wyzuli starca z pańskiego łona.
Król się nań gniewem srogim obrusza,
Zamyka przed nim wejście senatu,
Że chrześcijańska Wojciecha dusza
Za lud się wstawia do majestatu,
Że ze swojego wręcz stanowiska
Śmiał mu przypomnieć kraju ustawy,
Śmiał głośno wołać, że lud uciska
Gliński — powiernik króla nieprawy.
Lecz się kapłańskie nie zlękło serce;
Wojciech przed sejmem stanął raz drugi,
I śmiało palcem wskazuje zdzierce,
Słabego pana zdradliwe sługi.
Stawi jak pasterz groźne oblicze,
Jako poddany przed tronem klęka,
Ażeby tylko królewska ręka

Ze szpon Glińskiego wydarła bicze.
Nic nie pomogła szlachetna praca,
Uwiedli króla chytrzy zbrodniarze;
Król od Wojciecha oczy odwraca,
I z przed oblicza odejść mu każe.
I gdyby wkrótce nie śmierci prawa,
Co Bóg na króla przedwcześnie zsyła,
Może drugiego krew Stanisława
Kartęby dziejów naszych splamiła.
O zacną głowę obrońcy swego
Litwini drżeli po całym kraju:
Król nie ma serca karcić Glińskiego,
Gliński przebaczać nie ma zwyczaju.

VI.

Jeszcze za czasów łaski królewskiej,
Błagał go ojciec z radnemi pany,
Aby gród święty, gród nasz litewski,
Był krzepką ścianą obmurowany.
Król podskarbiego przyzwał ku radzie,
A rozważywszy środki i cele,
Rzekł, że murować przeszkód nie kładzie,
Ale dziś w skarbie grosza niewiele,
Że to niepilna jeszcze robota,
Że co ma stać się, później się stanie.
— Nie, miłościwy królu i panie!
Do Litwy zewsząd otwarte wrota:
Tatarzyn goni wiatr w Ukrainie,
Wielki kniaź Moskwy z wami w rozterce;
Gdy niespodziana chmura napłynie,
Gdy piorun w Litwy uderzy serce,
Nie pora będzie murować bramy,
Gdy przyjdzie późno płakać nad stratą.
Jeżeli w skarbie grosza nie mamy,
Serca litewskie dał Bóg nam za to!
Serca ochocze, wierne krajowi,
Swojemu miastu i chwale Bożej;

Każdy z nas znajdzie drobny grosz wdowi,
Co na ofiarę ojczyzny złoży.
Dłonią ubogą, dłonią bogatą,
Jako kto może, niech się przyczyni.
Ja całe mienie poświęcam na to,
Mnie dopomogą wszyscy Litwini!
— Wszyscy Litwini! — zgoda, tak zgoda!
Niech każdy wzniesie muru kawałek! —
Mówił wileński pan wojewoda,
Mówił litewski wielki marszałek,
Zmudzki starosta, kanclerz litewski.
Wszyscy wołali jednym wyrazem,
Jak gdyby płomień z iskry Niebieskiej
We wszystkich sercach wybuchnął razem.

VII.

Wojewodowie, i kasztelany,
I wszystek senat litewskiej ziemi,
Rzucają pieniądz garśćmi pełnemi,
Warować miasto tworzą już plany.
Czy który więcej, czy mniej bogaty,
Jeden przed drugim pospiesza z darem,
I Jagiellońskie w zamku komnaty
Kipią zapału świętym rozgwarem.
Już Wojciech Tabor nie wyrzekł słowa,
Przeżegnał złoto z modlitwą tkliwą,
I łza gorąca, dyamentowa,
Spadła na jego brodę sędziwą.
Zebrawszy pieniądz porozrzucany,
Głosem natchnienia wyrzekł dostojnie:
— O! krzepkie będą baszty i ściany,
Bo miłość kraju nada im spójnię.

VIII.

I stał się rozgłos między mieszczany,
Co senatorstwo na zamku czyni:
— A my któż tacy? to nie Litwini,
Że lud do składki niepowołany?

Tu idzie sprawa o naszą głowę,
O bezpieczeństwo chat i ratusza,
Gdzie przywileje pergaminowe,
Gdzie naszych swobód złożona dusza!
Na nas by spadły krajowe klęski,
Starzec, niewiasta, dziecię przypłaci!
Tak na ratuszu wołał do braci
Pan Otoczeńko, burmistrz wileński.
Pan rajca miejski, Stefan Kotwica,
Między swoimi głowa nielada,
Obywatelski zapał podsyca,
I tak powiada:

IX.

— Dom mój ubogi, nawet drewniany,
Ale mam w sklepie wiele towarów;
Wolę coś stracić na miejskie ściany,
Niż stracić wszystko z łaski Tatarów.
Zbierałem grosze w ciężkim mozole,
Bo nie tak łatwo teraz o złoto;
Jednak na waszym radzieckim stole
Dwie kopy groszy składam z ochotą.
Pan pisarz miejski, człowiek z natury
Do dobrych czynów chętny i łatwy,
Dał kopę groszy na miejskie mury,
Dla bezpieczeństwa swej przyszłej dziatwy.
Bo choć był człekiem nie pierwszej wiosny,
Siwiał przy aktach miejskiej ławicy,
Jednak na córkę pana Kotwicy
Zawsze poglądał wielce miłośnie.
Tak jeden, drugi, wielcy i mali,
Skąpi i szczodrzy — z ochotą miłą
Złotem radziecki stół zasypali,
Bo o powszechną sprawę chodziło.
Bo gdzie zagraża krajowa bieda,
Tam są Litwini zawsze bogaci:
Panom się nędzarz wyprzedzić nie da,

Kto krwi nie leje — to groszem płaci;
Pomny, co zawżdy od kraju bierze,
Wszystko krajowi składa w ofierze.

X.

Stało się tedy — pieniądz już gotów,
Kupiono cegieł, kamieni, chleba;
Lecz nim do kielni, lecz nim do młotów,
Wprzód do modlitwy udać się trzeba.
Bóg, po ojcowsku patrzący z góry,
Ludzkim starunkom zsyła pomoce,
Ukrzepia w grodach bramy i mury,
Wiekową twardość daje opoce,
Daje natchnienie planów osnowie,
Obronnym basztom kształtuje czoło,
Robotnikowi umacnia zdrowie,
Nawiedza w pracy myślą wesołą.

XI.

Od Boga zbożne dzieło poczęto,
Król je od siebie jeszcze uświetnia,
I wielkie było na Litwie święto.
W dzień Wojciechowy, przy końcu kwietnia,
W rozkwitającej wiosny poranek,
Piękna na niebie była pogoda;
Przed katedralny w Wilnie krużganek
Lud się litewski cisnął, jak woda,
Kolebki panów i same pany,
Szlachta, mieszczanie, wszyscy w natłoku,
Każdy w świąteczny ubiór przybrany,
A z uroczystym wyrazem w oku.
Tłum różnobarwny, gwarny, wesoły,
Po katedralnym placu się błąka;
Rzekłbyś, słuchając, że huczą pszczoły,
Rzekłbyś, patrząc, że kwitnie łąka.
Rzuć tylko okiem, jak tłum się mnoży,
Jakiem wrą życiem starzy i młodzi,

A łacno zgadniesz, że to lud Boży
Jakieś krajowe święto obchodzi.

XII.

Drzwi się otwarły. Pod baldachimem
Dały się widzieć dwa jasne czoła:
Pasterz z monarchą, jak ojciec z synem,
Z katedralnego wyszli kościoła.
Tabor schylony i siwobrody
Niesie krzyż Pański dłońmi drżącemi;
Król Aleksander, choć jeszcze młody,
Coś bolejąco patrzy ku ziemi.
Wiedzie pod rękę starca pasterza
I jasną brodę lewicą głaska;
Lecz chorowita na twarzy kraska
Wszystkich boleśnie w oczy uderza.
— Gasną powoli Jagiellonowie,
Lach nas zagarnia więcej a więcej.
Kto wie! czy długo kołpak książęcy
Na tej schorzałej zostanie głowie!
Taki gdzieniegdzie szmer przytłumiony
Między wileńskim ludem się szerzy;
Ale tymczasem zagrzmiały dzwony
Ze starożytnej Krywejtów wieży,
Słychać śpiewanie, tłum coraz wzrasta,
Dzwony wstrząsają stolicą naszą,
A pochód idzie wokoło miasta
Tak, jak je murem wkrótce opaszą.

XIII.

Naprzód na czarnych koniach trębacze
Grają sygnały, wydąwszy twarze;
Potem nadworna chorągiew skacze,
A święty Krzysztof na jej sztandarze.
Dalej, ubrany w żupan bogaty,
Wielki marszałek, z laską swej cześci,
Wiedzie za sobą wszystkie powiaty,
Ile ich ziemia litewska mieści.

Szlachcic, jak Centaur wrosły do siodła,
Jakby żelazny, zakuty w zbroi,
Pod powiatowym sztandarem stoi.
A każdy sztandar insze ma godła:
Tam dziarska Pogoń nad szlachtą wieje,
Tam święty Michał wojuje smoka,
Ówdzie Anioła postać wysoka;
Tam Żubr barczysty z grodzieńskiej knieje,
Ówdzie Opatrzność, ówdzie pęk kluczy.
Dobrze te godła znają sąsiady!
Gdzie Pogoń skoczy, gdzie Żubr zamruczy,
Gdzie Anioł skinie mieczem zagłady,
Tam nieprzyjaciel uciekać musi,
Jakby powietrze spotkał morowe.
O pierś skalistą Litwy i Rusi
Niejedno plemię strzaskało głowę!

XIV.

Za powiatami, pamięć ich chwały,
Idzie Witolda działo armatnie,
I sztandar stary a wypłowiały,
Po bohaterze godło ostatnie.
Dwanaście koni, z strusiemi kity,
Obwozi działo na podziw miastu;
A stary sztandar, ledwo rozwity,
Niesie kolejno mężów dwunastu.
Na święte szczątki patrzą ciekawi
I proszą w duchu o łaskę Bożą:
Kiedyż się drugi Witold nam zjawi,
Gdy Tatarowie Wilnu zagrożą?!

XV.

Poza armatą, poza sztandarem,
Pergaminową księgę niesiono;
I szedł wójt miasta za prawem starem,
Za nim ławników i rajców grono.
Za radą miejską — wpośród kapeli,
Pogoń litewską niesiono w górze,

Poza Pogonią szykiem stanęli
Strzelcy nadworni, jej wierni stróże.
Potem kapłani — wszyscy po parze,
Śpiewając hymny i wznosząc modły,
Potem król, pasterz i dygnitarze,
A tłumy ludu zdala ich wiodły.

XVI.

Wietrze litewski! gdybyś te gwary
Zdołał pochwycić w jedną osnowę,
I świętym hymnem przeszłości starej
Zawiać nam w piersi, orzeźwić głowę!
Gdybyś te dzwony, śpiewy, okrzyki,
Rozniósł po Litwie na wszystkie strony,
A potem zawiał — gdzieś na step dziki,
By je usłyszał Tatar spłoszony:
Że nie struchleje przy krymskim hanie
Nasza stolica wielko-książęca,
Że mur obronny, co tutaj stanie,
Naród buduje, a król poświęca...
Że pasterz Pański, przodkując rzeszy,
Natchnione z Nieba słowa ogłasza,
A lud je słuchać skwapliwie spieszy.
Że tu jest niczem potęga wasza!
Pędź już na Litwę, hordo zbójecka,
Puszczaj zagony z blizka, z daleka!
Wkrótce dolecisz na pola Klecka,
Gdzie anioł pomsty z mieczem cię czeka!

XVII.

Fundament muru już okopany,
Okop na baszty już oznaczony;
Sędziwy Biskup poświęca ściany,
Błaga nad niemi Bożej obrony.
A chór kapłanów, w pięknej gromadzie,
Do każdej bramy z królem się zbliża,
Pod każdą basztę fundament kładzie
I żegna kamień znamieniem krzyża.

Pasterz kraj żegna życzliwą dłonią
Na cztery strony Bożego świata;
A lud się modli, a dzwony dzwonią,
A z wałów zamku grzmoce armata.

XVIII.

Tak kiedy przeszli kres obwodowy,
Cały się pochód pod ratusz zwraca;
I Wojciech Tabor śpiewa hymn nowy,
Aby szczęśliwie wiodła się praca.
Kiedy wezwano świętego Ducha,
Zadrżały ściany grodu Jagiełły,
I Witoldowskie działa ryknęły,
I w serce Litwy weszła otucha:
Że przez te murów święconych głazy
Nie przejdzie żadna do miasta klęska,
Ani morowej powiew zarazy,
Ani Tatarów stopa zwycięska.

XIX.

O! nieraz przeszły przez miejskie bramy
I krwawa wojna, i mór wybladły;
Bo w sercu Litwy duch nie ten samy,
Bo na kościołach krzyże opadły.
Ale nad jedną basztą obronną
Musiał się Tabor modlić najdłużej;
Bo jego modła była niepłonną,
Bo dziś ta baszta za twierdzę służy!
Twierdza to święta, twierdza potężna,
Której piekielna siła nie złamie:
Bo tam króluje litewska księżna —
Bogarodzica na Ostrej Bramie!
Tam codzień ucho łaskawe daje
Na swych poddanych korne pacierze,
I Palemona szerokie kraje
Od głodu, moru i wojny strzeże.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tatarowie pod Kleckiem.

I.

Wiatr ciągle wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie;
Z wiatrem zaraza wioski wyludnia,
Wiatr piorunowe obłoki niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwej,
Ponad miastami wicher się kręci,
Grady żną kłosy dojrzałej niwy
I szarpią kwiaty na sianożęci.

II.

To nie wiatr wieje od stron południa,
Przez Ukrainę i przez Polesie,
To nie zaraza wioski wyludnia:
To Tatar nóż swój morderczy niesie.
W piaskach i górach Litwy szczęśliwej
To nie huragan szalony hasa:
Tatar pustoszy złociste niwy,
Tatar kwieciste łąki wypasa.
Ludzka się praca w niwecz obraca,
Krew chrześcijańska płynie jak fala,
Codzień a codzień smolna pochodnia
Insze słomiane dachy zapala.
Dalej a dalej chmura się wali,
Wiatr ją zaledwie wyprzedzić zdoła:
Gwizdnie na dachy biednego sioła,
Aby się ludzie w lasy chowali;
Gwizdnie, uderzy o baszty wieży,
Ażeby strzelbę miano w odwodzie,
Sygnał baczności da dla rycerzy,
A serce niewiast strachem przebodzie.
Daremna, wietrze, twoja usługa!
Zaledwie kmiotek przestrogę zgadnie,
Zaledwie woły wyprzęgnął z pługa,

Już go tatarska horda opadnie.
Jaskółki skore niezawsze w porę
Zdołają zemknąć z strzechy rolnika;
Szczęka krzesiwo i strzecha gore,
I dym, i płomień odlot zamyka,
I ginie ptaszę.
Ledwie w poddasze
Zawionie, wietrze, twoja przestroga,
Zaledwie rycerz pałasz przypasze,
Już go krępują powrozy wroga.
Ledwie niewiasta, wieścią strwożona,
Zdoła wykrzyknąć, włożyć krzyż Pański
Na biedne czoło, piersi, ramiona,
A już ją wloką w jasyr pogański.
Próżno rycerstwo po stepie hasa,
Zbiera podsłuchy, śledzi oczyma,
Z gór się przygląda, tropi wśród lasa:
Wczoraj tu byli, a dzisiaj niema.
Tatar co chwila szlaki omyla,
Z każdej przystani albo noclega,
Albo rozsypką cwałuje szybko,
To w niezliczony hufiec się zbiega.
Lecą, jak leci szarańcza mnoga,
Z kraju do kraju, z niwy na niwę,
Za hordą ślady — krew i pożoga,
Przed hordą gońce — wieści trwożliwe.

III.

Król Aleksander, złożon niemocą,
Do snu wiecznego ma zamknąć oczy.
Wtem jeden goniec przyleciał nocą,
Że już Podole we krwi się broczy;
Przyleciał drugi od Ukrainy
Z wieścią o wojsku nieprzyjaciela,
Że Achmet Gerej ze swemi syny
Na cztery części hordę rozdziela:
Jedna część w środek litewskiej Rusi

Pod starą Mińska poszła warownię;
Druga w Polesiu plondrować musi,
Do twierdzy słuckiej drze się gwałtownie;
A trzecia, pewna dobrego skutku,
Poszła na Połock z tysiącem koni;
A czwarta horda już w Nowogródku,
Którego Gasztołd walecznie broni.
Przyleciał goniec trzeci i czwarty,
A wszyscy bladzi i przerażeni;
Bo pożar wszędzie już rozpostarty,
Bo Litwa gore w dziesięć płomieni.
Struchlało Wilno. Radni panowie
Do boku króla zbiegli się trwożnie.
Król konający odzyskał zdrowie,
Swoją powinność uczuł pobożnie.
Próżno królowa do stóp się ściele,
Próżno się senat odradzić stara:
Król chce sam stanąć na wojska czele,
Chrobre rycerstwo wieść na Tatara.
Rada senatu długo się wlecze,
Lecz od zamiaru go nie odwiodła.
Młodzież rycerska brząknęła w miecze,
Przywdziała zbroje i konie siodła.
Kniaź Gliński wodzem! a każdy z panów
Gotuje hufce swoich żołnierzy.
Skreślono kartę wojennych planów:
Kto dokąd pójdzie i jak uderzy?
Już nie pochmurne myślmi trwożnemi,
Ale zapałem błysnęły czoła:
Święte kochanie rodzinnej ziemi
Swych bohaterów do czynu woła,
I lecą z miasta oddziały hyże
Stawić wrogowi rękę odporną.
Szczęsny Illinicz, hrabia na Mirze,
Powiódł chorągiew pierwszą nadworną.
Spłonęły jego włości bogate,
Wróg nie przepuścił żadnemu siołu:

Hrabia pospiesza dać mu odpłatę
Jeszcze na świeżym stosie popiołu,
Odbić z niewoli niewiasty, dzieci,
Wzmocnić na duchu tych, co upadli,
I w ciepłej jeszcze krwi swoich kmieci
Miecz zahartować, by rąbał zjadlej.

IV.

Sprawa ojczysta, sprawa wiadoma:
Syn winien czuwać, gdy cierpi matka;
Gdy idą bracia, wstyd zostać doma,
Albo oszczędzać krwi swej ostatka!
Ze śmiałą głową, z duszą gotową,
Trzeba iść dla niej na śmierć i klęski;
Więc pod chorągiew Illiniczową
Stawił się rycerz, Marcin Studzieński.

V.

Jutro o świcie wojsko wyruszy,
Wygnać z pod Mira nieprzyjaciela.
Do bolejącej kochanka duszy
Zajrzał jaśniejszy promyk wesela:
Bo zawżdy serce zbywa kamienia,
Gdy powinności przed oczy staną;
Święty ich rozkaz wyrwał z uśpienia
Pana Marcina myśl rozkochaną.
Nie czas o pięknej myśleć Maryi,
Albo rozważać, że serce boli,
Gdy na schylonej braterskiej szyi
Ciąży haniebny powróz niewoli.
Więc rzekł do siebie: Miecza nie złożę,
Póki Tatarzyn w Litwie zostanie!
Mogliby miasto napaść, broń Boże!
Och! a w tem mieście moje kochanie.
Hej na Tatary, moja szabelko!
Mój siwy koniu, do mnie, co żywo!
Mamy przed sobą drogę tak wielką,
Szerokie pole i piękne żniwo!

Do mnie, stalowa przyłbico stara!
Do mnie, mój piękny rycerski pasie!
Kiedy powrócę, zbiwszy Tatara,
Może pan ojciec ubłagać da się...
W takich nadziejach serce skąpawszy,
Westchnął modlitwą, pomyślał o niej,
Uronił łezkę, — weselszy, żwawszy,
Już śni, jak w polu Tatary goni.

VI.

Piękny poranek na niebie świta,
Rzeźwo tchnie wietrzyk w cieniu gaika;
Młoda niewiasta, płaszczem okryta,
Z murów się miejskich zwolna wymyka,
Wokoło siebie patrzy nieśmiało,
I czegoś słucha, na kogoś czeka.
Wtem za gaikiem coś zatętniało,
I konny rycerz pędzi z daleka.
Przybiegł i dziarsko zeskoczył z siodła,
Podali sobie ręce oboje;
Niewiasta miłem okiem obwiodła
Jego sowito błyszczącą zbroję,
I białą rączką konia popieści,
Gęstą zasłonę z twarzy odwinie,
I rzecze głosem cichej boleści:
— Już nas odjeżdżasz, panie Marcinie!
To była Marya — pierwszy raz w życiu
Przyszła w ten piękny lasek przy drodze,
Z domu rodziców wyszła w ukryciu, —
Ach! bo też ciężko było niebodze!
Chciała zobaczyć swego młodziana,
Na pożegnanie rzec mu: Szczęść Boże!
Chciała powiedzieć, że żadna zmiana
Nigdy w jej sercu postać nie może...
A przecież milczy, jakby się sroma,
Jak gdyby sama z siebie nierada;
Stoi niepewna i nieruchoma,

Na oczach uśmiech, a twarz jej blada.
Tak, gdy się grzmiące chmurzysko sunie,
Płynie po przedzie obłoczek bladszy,
Nim łzawym deszczem na ziemię lunie,
Najprzód się w jasne słoneczko patrzy,
To się w cień schowa, to wymknie z cieni,
To pobledniеje, to zarumieni.
Rycerz przywiązał konia do brzozki,
Tarczę przewiesił na siodła łęku,
Wbił w ziemię ciężki oszczep dziadowski
I rysią skórę zwiesił na ręku.

VII.

Piękni w tej chwili byli oboje.
Ona do niego troskliwie rzekła:
— Panie Marcinie! och! ja się boję!
Chociaż całego stal cię oblekła.
Czyż twoja pawęż dosyć jest zwinna?
I czy twój pancerz dosyć jest gruby?
Przebacz, żem śmiała, żem tak dziecinna,
Ale się lękam twojej zaguby.
Twojej zaguby... nie, to nad siły,
Nie mogę myśleć o twoim grobie!
Ciebieby w boju wrogi zabiły,
Mnieby zabiła tęskność po tobie.
Panie Marcinie! wracaj niebożę,
A pierś sklepiście okrywaj zbroją.
Rodzice moi zgodzą się może,
Będę szczęśliwą — bo będę twoją.
— Maryo dobra! — rycerz odpowie —
Pancerz mój twardy, miecz mój niekruchy;
Niosę me życie, niosę me zdrowie,
Alem najlepszej pełen otuchy.
Gdy syn Kościoła walczy z pogany,
Nad głową jego Anioł Stróż lata,
A jego piersi strzeże od rany
Bogarodzicy promienna szata.

Czuję, że w ostrzu mego brzeszczota
Jest bezpieczeństwo i pomsta braci;
Z tą myślą ręka potężniej grzmota.
A brzeszczot hartu swego nie traci.
Nie zdoła przebić serca w mem łonie,
Niech się Tatarzyn jak chce rozhula,
Kiedy pomyślę, że ciebie bronię,
Naszych kościołów, ludu, i króla.
Zdrową mi zostań! ja wrócę zdrowo,
Może Bóg spełni nasze nadzieje:
Zamiast pancerza szatę godową,
Z łupów tatarskich szytą, przywdzieję;
Pereł, brylantów, sznurek bogaty
Twej pięknej twarzy blasku przyczyni;
Z łamy złocistej będą ornaty
Do katedralnej naszej świątyni.
Sam Wojciech Tabor, wielki mąż Boży,
Choć go nie bawią złota ponęty,
Będzie wyglądał, jak jaki Święty,
Kiedy je włoży.
Bywaj mi zdrowa! żywym zostanę,
A nie zawstydzę mego oręża!
I ucałował oczy spłakane,
I sam zapłakał... cichą łzą męża, —
I wskoczył na koń, i ręką skinął,
Och! bo się trudno rozstać z niebogą!
I koniem zręcznie w polu wywinął,
I pędem wiatru puścił się drogą.

VIII.

Ona została — z tłumionem łkaniem,
W cichej nadziei, w cichej obawie;
Krzyż na powietrzu skreśliła za nim
I do modlitwy klękła na trawie.
Nie było zaklęć, ani rozpaczy,
Jeno kochanie, jeno tęsknota;
Bo rycerz wiedział, co słowo znaczy,

A więc mu zazdrość sercem nie miota.
I dziewic u nas serce dostojne, —
Choć o kochanka truchleje trwogą,
Nigdy nie rzekła: Nie jedź na wojnę,
Bo tam na wojnie zabić cię mogą!
Harcuje w polu młodzież pancerna,
Dziewice po niej tęsknią kryjomu;
Została modła i pamięć wierna,
I tam w obozie, i tutaj w domu.

IX.

Na dzielnych koniach, w błyszczącej stali,
Z iskrzącą bronią, z odwagą w oku,
Lidzkim gościńcem rycerstwo wali,
Na wpół przyćmione w pyłów obłoku.
Kniaź Michał Gliński z Wilna je wiedzie,
By w różne strony puścić gonitwy.
Chorego króla wiozą po przedzie:
Walczyć, lub umrzeć chce wpośród Litwy.
Porozsyłano królewskie wici
Do wszystkiej szlachty litewskiej rzeszy:
Kto jeno poczciw, niech oręż chwyci,
I na obronę ojczyzny spieszy.
Rosną chorągwie obrońców wiary,
Litwa brzmi echem wojennej nuty;
Gliński rozesłał swoje rajtary,
Aby tatarskie zbadać obróty.

X.

Od Nowogródka wieść niezbyt trwożna:
Zbiega się szlachta, blizcy, dalecy,
Pan Marcin Gasztold czyni, co można,
Gromi Tatara z murów fortecy.
Pan Iwan Tryzna i pan Niemira
Biją ich w polu, poza murami;
Illinicz mści się za klęski Mira,
Gdzie wyginęli bezbronni sami.
Radziwiłłowi Nieśwież spalili,

Wioski spalili; lecz czynszownicy
Wnet siedli na koń, i w jednej chwili
Łeb im strzaskali w Dorohowicy.
Na zamku słuckim dzielna niewiasta,
Wdowa po mężnym kniaziu Siemionie,
Stała w obronie swojego miasta,
Jako orlica w piskląt obronie.
Tam głowa rodu, mały kniaź Jerzy,
Pod okiem matki dziarsko się chowa;
Cóż jeśli Tatar z nienacka wbieży
I lube dziecię w więzy zakowa!?...
Lecz król i Gliński spokojni o nią,
Bo księstwo słuckie wojska ma dużo,
A bojarowie kniahini bronią,
Zaścianki szlachty wiernie jej służą.
Sama kniahini sercem nietrwożna,
Na zamku armat, prochu dostatki;
Więc, co do Słucka, spuścić się można
Na wierność bojar i rozpacz matki.

XI.

Ale Glińskiego insze rajtary
Wpadły w sam środek tatarskiej dziczy,
I bój był krwawy, mnogich bez miary
Tatarów zbito. Zamiast zdobyczy,
Przynieśli wodzom straszne trofeja:
Dziesięć głów wroga wbitych na dzidy,
I wieść straszliwą, że dzicz Gereja
We sześć tysięcy spieszy do Lidy.

XII.

Padła jak piorun myśl bojaźliwa
O Jagiellońską latorośl drogą:
Na zamku lidzkim król dogorywa,
Na koń nie wsiądzie, porwać go mogą!
Więc rada w radę: kanclerz, Jan Łaski,
Jan Zabrzeziński i Jan Sobotka
Króla do miękkiej kładą kolaski,

A Wojciech Tabor siadł z nim do środka,
Królowa u nóg, i do stolicy
Wyruszył pochód. Wszyscy truchleli.
Senatorowie, jako woźnicy,
Siedli na kozieł, cugle ujęli.
A król co chwila w boleściach stęka,
Marzy Tatarów, do broni woła.
Drżąca, troskliwa, a wierna ręka
Pot mu śmiertelny ociera z czoła.
Dwie doby jadąc noga za nogą,
Ledwie stanęli w wileńskiej bramie;
Wszędzie wieśniactwo, przejęte trwogą,
Patrzy na pochód i ręce łamie.
Czapkę przed pańską schyla karocą
I do zamkniętych okien się kłania,
Uczuwa swoją dolę sierocą,
Bo pęknął puklerz, co ją osłania.
Stanęli wreszcie już w murach Wilna,
Lud się dowiedział, upadł w otusze,
Miasto zaległa cisza mogilna,
Mogilna trwoga zaległa dusze.
Każdy, kto może, umknąć się stara,
Każdy przedśmiertne mówi pacierze:
Wybaw nas, Boże, z mocy Tatara!
Brońcie głów naszych, dzielni rycerze!

XIII.

Już Tatar w Lidzie — o milę wkoło
Puszcza zagony na każdą stronę:
Czy dwór, czy kościół, czy ciche sioło,
Wszystko zniszczone, wszystko spalone;
Z lidzkiej warowni widać pożary,
Słychać ich wrzaski, słychać płacz ludu:
Boże zastępów! broń Twojej wiary!
Ześlij na hufce Anioła cudu!
Polski ochotnik zbliża się zwolna,
Kłóci się w twierdzy szlachta gwałtowna;

Jeśli tak dłużej, horda swawolna
Całą krainę z ziemią nam zrówna.

XIV.

Nakoniec jakoś zbiegło do Lidy
Rycerskiej szlachty dziesięć tysięcy.
— Hej! czas już zrzucić jarzmo ohydy!
Czas do roboty wziąć się goręcej! —
Krzyknął kniaź Gliński — i w jedną stronę
Wysłał pancernych zastęp niemały,
W drugą rajtary swe wyćwiczone,
W trzecią puszkarzów z dobremi działy.
I w Imię Boże począł się taniec.
Szlachta się bardziej, bardziej ośmiela,
Odetchnął nieco wiejski mieszkaniec,
Bo już obrońcę, bo ma mściciela.
Codzień przewagi nowe nad zgrają,
Polskiego męstwa nowe popisy,
Codziennie jeńców przyprowadzają,
Lub niosą głowy, wbite na spisy.
Nakoniec nocą, trzecią czy czwartą,
Chlubnym się plonem uwieńcza praca:
Mehmed Gereja z Lidy odparto,
Znów w nowogródzkie strony powraca.

XV.

Hejże ha za nim! — kręci się żmija
Nie prostą drogą, ale rozsypką, —
Niechaj nam sprzyja Jezus Marya!
Ścigać ich wszędzie, doganiać szybko!
Ale zbójectwo wichrem się błąka,
Błędnemi szlaki lecą jak wściekli,
Gdzie jest Ostaszyn, Cyryn, Połonka,
Byli — spalili i w lot uciekli.
Litwa ich tropi — horda zbójecka
Umie pogoni zmykać nielada;
Wreszcie przylata pod mury Klecka
I tam swój wielki tabor zakłada.

Tam krwawych łupów czyni podziały,
Z krwi myje ręce, umacnia siły,
Tam wszystkie hordy zebrać się miały,
Co w dziesięć szlaków Litwę niszczyły.

XVI.

Nad grzązkim stawem, dwoma obozy,
Synowie hana, dwóch mężnych braci,
Kując łańcuchy, wijąc powrozy,
Czekają Litwy w groźnej postaci;
Ostrzą na głazach krzywe szabliska,
Sprawiają w łukach cięciwy, groty,
Czynią przechwałki i pośmiewiska,
I rozbijają białe namioty.
Białe namioty w polu rozbili,
Konie puścili na grzązką paszę,
Gdy niespodzianie, o rannej chwili,
Nadbiegło chrobre rycerstwo nasze.
Najprzód Glińskiego rajtarya wpada,
Zabiera szatry w polu rzucone,
I, co się pasły, ich koni stada
Zgania tabunem na polską stronę.
Tatarzy szkodę odbijać lecą,
Wśrd rozpaczliwych krzyków i wrzawy,
I hufiec pieszy, i konnych nieco,
Przez wrzącą rzeczkę bronią przeprawy.
Gdzie był bród płytki w miejscu piasczystem,
Napięli łuki, puścili strzały;
Żelazne groty ze szczękiem, świstem,
W litewskie hufce, jak grad, leciały.
Tak, gdy niebaczny bartnik podrażni
Na rój lecące gromady pszczole,
Z brzękotem groźby i nieprzyjaźni
Tysiące żądał twarz jego kole.
Celnie strzelają z łuków Tatarzy!
Strzał wyleciały mnogie tysiące,
Że za ich cieniem, jak mówią starzy,

Jakby za chmurą, skryło się słońce.
Niejednym pocisk przestrzelił głowę,
I niejednego powalił z siodła,
Strzała przebiła blachy stalowe,
Albo rumaka ciężko dobodła.
Litwa się cofa, — ale po chwili
Śmielej się pocznie brać ku przeprawie;
Radziwiłłowscy z rusznic strzelili,
A broń to była nieznana prawie.
— Hej w Imię Boże! przebrnąć te brody!
A była gęsta zarośl u brzega;
Więc Litwa rąbie chrósty i kłody,
Rzuca do rzeki i po nich wbiega.
Gliński, jak orzeł, jak błyskawica,
Chróścianym mostem rzekę przebywa;
Na kark tatarski wpada konnica,
I rzeź nastaje krwawa, straszliwa:
Grzmot od wystrzałów, twardy zgrzyt blachy,
Tętnienie koni, rżenie, kurzawa,
Ciężkie w powietrzu mieczów zamachy.
Tam wódz rycerstwu ducha dodawa,
Tam konający: Dobij mię! błaga,
A sznurem płynąc, warczy posoka.
Z piersi hordyńców pierzchła odwaga,
Proszą o wsparcie swego proroka.

XVII.

Pod kniaziem Glińskim konia zabito,
Ale się rumak nadarzył świeży,
Wskoczył nań: Za mną! — grzmiące kopyto
Znów daje hasło, gdzie iść należy.
Wśród żądeł mieczów, strzał i bardyszy,
Kurz pokrył wojsku oczy i twarze;
A jednak widzi, a jednak słyszy,
Gdzie mu kniaź Gliński uderzyć każe.
Szlachta się waha, słabnie w natłoku,
Przed liczną hordą wytrwać nie zdoła.

Wtem nowogródzka chorągiew z boku
Idzie na pomoc, jak miecz anioła.
Wściekły pohaniec znów ruszył w taniec,
Wzmógł się na siłach, tabór zamyka;
Ale grodzieńskich puszcz wychowaniec
Wziął go na oszczep, jak bierze dzika.
Mostem padł Tatar, zbity zwycięsko,
Konie swych jeźdźców dławią i tłoczą;
Chorągiew mińska wespół z grodzieńską
Po stosach trupów krąży ochoczo.

XVIII.

Lecz nowy sygnał do boju dzwoni, —
Nowy posiłek pomocy Boskiej: —
Hufiec koronny we trzysta koni,
Lekko, z husarska, wiedzie Czarnkowski.
Zdala rozstawił hufce na górze,
Od trąb, od bębnów zagrzmiała niwa,
Aż wróg się zdumiał: wojsko tak duże
Skąd na obronę Litwie przybywa?
Znowu Tatarzyn szyki rozeprze,
Chce się orzeźwić, a tu już zmierzcha;
Lecz sparł go Gliński przy rzece Ceprze,
Położył trupem — a reszta pierzcha.
Wrogów dwadzieścia padło tysięcy,
A któż policzy konie poległe?
A trzy tysiące tatarskich jeńcy
Przy murach Wilna dźwigało cegłę.
Uszli tatarscy obaj książęta
Przez grzązkie błota, przez ciemne lasy;
A Litwa długo ten dzień pamięta,
Pamiętać będzie na wieczne czasy!

XIX.

Od krwi wylanej staw poza Kleckiem
Dziś Krasnym-Stawem naród nazywa;
Tarcze i hełmy z godłem zbójeckiem
Rolnik na polach dziś wyorywa;

A kurhan jeden, drugi i trzeci,
Kopcem tatarskim dotąd się zowie;
Idzie pamiątka z ojców na dzieci,
Że tu pobici są Tatarowie.
A choć od owej wielkiej zagłady
Cztery stulecia mija bez mała,
Dziś jeszcze mówią swym wnukom dziady
O wielkich czynach kniazia Michała.
Kniaź był wybawcą dla Litwy całej,
Był bohaterem pomiędzy braćmi;
Któżby odgadnął, że blask swej chwały
Podłem zabójstwem i zdradą zaćmi?

XX.

Modła serdeczna Niebo przebija,
Ale wyroków zmienić niezdoła.
Prosząc za lubym, tęskna Marya
Odwiedza święte progi kościoła.
Próżno bolesną dzieląc się troską,
Do krat pokuty uczęszcza rada;
Przed Zbawicielem i Matką Boską
Stan swojej duszy kornie spowiada.
Ale Niebiosa próżno zaklina:
Niebo nie chciało przyjąć ofiary,
Nie ocaliło zdrowia Marcina.
Podczas morderczej bitwy z Tatary
Oszczep mongolski strzaskał mu ramię;
Strzała, puszczona z twardej cięciwy,
Ostrym się grotem w piersiach załamie.
Rycerz się zachwiał, — padł jak nieżywy.
Wśród bojowiska nikt nań nie zważa;
Ledwie po bitwie, ciemną już nocą,
Jakieś życzliwe serce husarza
Towarzyszowi przyszło z pomocą.
Ocalił brata, co krwią oblany,
Już dogorywać w mdłości poczyna;
Omył, przewiązał, zasklepił rany,

Na tatarskiego wsadził mierzyna,
I zaprowadził na wieś poblizką,
I tam wypytał aż do ostatka:
— Jak herb waszmościn? jakie nazwisko?
W jakim powiecie ojciec i matka?
Jestem Studzieński, Marcin mi imię,
Gryf jest herbowym moim klejnotem.
Ród mój w Poznańskiem bywał w estymie,
Aleśmy jakoś zbiednieli potem.
Ojciec i matka dawno już w grobie,
A mnie tu nędza po świecie pędza;
Ale jak mogę przypomnieć sobie,
Że mam w Oszmianie krewnego księdza.
Tam chciałbym dobrnąć, gdy będą siły;
A jeśli umrę między obcemi,
Wszakże tu kopać będą mogiły, —
Będzie i dla mnie trzy łokcie ziemi!
Umrzeć dla kraju, dla Pana Boga,
Nie żal polskiemu bojownikowi!
A już tam droga moja nieboga
Zgadnie, żem umarł i pacierz zmówi.

XXI.

— Ej, bredziesz waszmość! — husarz odpowie —
Rany waszmości goją się prawie;
Za tydzień, drugi, da Pan Bóg zdrowie,
Ja do Oszmiany sam cię dostawię.
Moi rodzice żyją tam blizko;
I ja mam krasny cel mych zalotów,
A jak jej imię, a jak nazwisko,
Nie powiem waści, boś odbić gotów.
Dzięki staraniom bratniej opieki,
Od ran tatarskich boleść nie taka:
Marcin Studzieński, chory, kaleki,
Został pod Kleckiem w chacie wieśniaka.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Zgon Wojciecha Tabora.

I.

Król Aleksander już w Wilnie złożył
Na łonie śmierci znękaną głowę;
Nawet tej pięknej chwili nie dożył,
Aż mury miejskie były gotowe.
Postrach tatarski grzał do roboty,
By się zasłonić prędzej od klęski;
Ale najwięcej dawał ochoty
Wielki mąż Boży. Biskup wileński.
Grosz szczodrobliwy sypał w ofierze
Miłemu miastu w jego potrzebie,
Otworzył w wioskach mnogie śpichlerze
I robotników garnął do siebie.

II.

We dnie i w nocy zwożono cegły, —
Dźwigane ludu wielkiemi siły,
Już się w obronne ściany uległy,
Już się w wysokie baszty spiętrzyły.
A każda wieża głowę piętrzastą
Chlubnie podnosi na Litwę całą,
I Gedymina odwieczne miasto
Piękną a groźną postać przybrało.
Snać duch Jagiełłów czuł radość nową,
Z wysokich Niebios gdy spojrzał na nie;
Przez Gedymina pierś granitową
Przebiegło ciepło w zimnym kurhanie.
Do swej wzniesiona już wysokości,
Kiedy ostatnia baszta stanęła,
Sędziwy Biskup płakał z radości,
Widząc owoce swojego dzieła.
I drżące ręce wznosi ku ścianie,
I do modlitwy kolana chyli:
Teraz w pokoju puść mię już, Panie!
Bo upragnionej dożyłem chwili!

Zabezpieczenie w potomne wieki
Twojego ludu widzą me oczy;
Niechże mur drugi, mur Twej opieki,
To chrześcijańskie miasto otoczy.

III.

Zatem rozkazał uderzyć w dzwony,
A krzyż Chrystusa niosąc po przedzie,
Ze wsi i z miasta lud zgromadzony
Dokoła murów z obrzędem wiedzie.
Pokrapia ściany święconą wodą,
Przy każdej baszcie dłużej przystanie,
A zacne dłonie wznosząc nad trzodą,
Z Miednickiej bramy dał przeżegnanie.
Z uszanowaniem głowy uchyla,
Pada na klęczki orszak narodu,
Wielka to była a święta chwila
W życiu pasterza i w życiu grodu.

IV.

Och! bo chwil wielkich w życiu tak mało,
Radość bez ofiar stać się nie może:
Wkrótce stroskane Wilno płakało
Po swoim ojcu, po swym Taborze.
Złaman chorobą, pracą i laty,
Czuje, że stanął w wieczności progu.
Pójdźmy zobaczyć w jego komnaty,
Jak sprawiedliwy umiera w Bogu.

V.

Z białą, rzęsistą do pasa brodą,
Z obliczem pięknem, suchem, schorzałem,
Siadł starzec w krześle. Czoło pogodą,
Oczy się jego iskrzą zapałem.
Habit świętego Franciszka gruby
Na zwiędłych członkach fałdami leży,
Bo Wojciech Tabor uczynił śluby
Dać się pochować w mniszej odzieży.

Przy nim, oprawna w dębowe deski,
W mosiężne klamry, spoczywa księga:
To Pismo święte — pokarm niebieski,
Wierzącej duszy moc i potęga.
Na starcu znaczne cierpień ostatki,
Lecz się już dusza Niebem nasyca;
Wyswobodzona z kościanej klatki,
Chciałaby lecieć, jak gołębica,
W górę... wysoko!... i wnet uleci,
Lecz jeszcze miłość ku ziemi zowie:
Ojciec pożegnać musi swe dzieci,
Bo tu spłakani stoją synowie.

VI.

Najprzód król Zygmunt, wiedząc, że chory,
Chce uczcić starca ostatnie chwile:
Przysłał do niego swe senatory.
Pasterz ich przyjął, wysłuchał mile,
I głosem cichym, jako brzęk pszczoły,
Przemówił do nich w następne słowa:
— Nie płaczcie waszmość, gdym ja wesoły,
Nas nie rozdzieli deska grobowa;
Jeśli oglądam Pańskie Oblicze,
Jeśli wysokie Niebo posiędę,
Wiecie, jak ziemi ojczystej życzę,
Tam modlitwami służyć jej będę!
Za króla, za was i za rycerze,
Za stany miejskie, za stan poddańczy,
Będę się modlił. Niech Bóg was strzeże
Od głodu, moru, ognia, szarańczy:
Niechaj wam Niebo męstwa przyczyni,
Od pól oddala grady i susze!
Będę strzegł Litwy, a wy, Litwini!
Módlcie się tutaj za grzeszną duszę!

VII.

Przeżegnał panów skostniałą ręką;
Wyszli ze łzami senatorowie.

Wszedł burmistrz miasta, pan Otoczeńko,
Padł na kolana i tak doń powie:
— Panie! wy ojcem naszym jesteście!
Tyleście miastu dali opieki!
Raczcie zezwolić, by w naszem mieście
Stanął twój pomnik w potomne wieki!
Niech go wyrobią nasi rzeźbiarze,
Niech go wykują nasi kowale!
A my, magistrat, jak dług nam każe,
Sami ustawim na miejskim wale!
— Panie burmistrzu! praca za długa,
Mnie za ten pomnik nie kupisz Nieba.
Jakaż tu była moja zasługa?
Żem ja was kochał? bo tak potrzeba!
Te wasze baszty, te wasze ściany,
Ta łza, co u was w oczach się kręci,
To będzie pomnik mój wykowany!
On moją pamięć trwalej uświęci!
Czy nieprzyjaciel, czy czas go zburzy,
Wy się nie leńcie kielni i młota.
Niech waszej głowy strzeże najdłużej,
Aby nie poszła marnie robota.
W bramie Miednickiej postawcie straże,
A gdy zadzwonią, że już mnie niema,
Pierwszy, kto w niej się jutro ukaże,
Pięćset kop groszy niechaj otrzyma!
Grosz na to w mojej znajdziecie skrzyni,
Opieczętowan wielce starannie.
Niechże to łaska wasza uczyni,
Bom tak ślubował Najświętszej Pannie!
Bywajcie zdrowi, mój Otoczeńko!
Módlcie się za mnie, gdy w Panu zamrę...
Bywajcie zdrowi... — I drżącą ręką
Mosiężnej księgi otworzył klamrę,
I począł czytać, i święta rosa
Zwilżyła oczy, co jeszcze gorą.
Snadź świętej duszy tęskno w Niebiosa!

Burmistrz i radni wyszli z pokorą...
On się zadumał, w górę wzniósł oczy,
Przycisnął mały krzyżyk do łona...
Wtem jęknął kapłan, co stał z uboczy,
Że pasterz kona...

VIII.

O zmroku w mieście zagrzmiały dzwony,
I wieść żałosna wszystkich uderza:
Że już dobrego niemasz pasterza!
Płacz po nim, ludu osierocony!
Mnogi się naród tłoczy w ulicy,
Wszyscy żałośni, wszyscy ciekawi:
O! na pasterskiej naszej stolicy
Drugi się Tabor nieprędko zjawi.

IX.

Pan burmistrz spełnił to, co mu każe
Święty nieboszczyk: nazajutrz do dnia
W Miednickiej bramie postawił straże,
By najpierwszego spotkać przychodnia.
O piątej z rana bramę otwarto.
Ktoś idzie pieszo z Miednickiej drogi...
I w miejskiej bramie stanął przed wartą
Pokaleczony żołnierz ubogi.
Twarz ma i postać jeszcze młodzieńczą,
Stąpa szykownie, zbudowan składnie,
Lecz głuchym kaszlem piersi mu brzęczą,
I skaleczoną ręką nie władnie.
Skłonił się warcie, wstrzymał się w bramie,
Spojrzał na nowe żelazne wrota,
I rzekł z boleścią, co łez nie kłamie:
— Gdzież się ja udam biedny sierota?
— O! ja waszmości drogę pokażę!
Pójdziesz na ratusz, sąd cię opisze. —
Rzecze mu żołdak, co pełnił straże,
Ze śmiechem patrząc na towarzysze.

— Na ratusz! — krzykną. — Kto waszmość taki?
I skąd przychodzisz w tak rannej chwili?
Rozswawolone miejskie żołdaki
Halabardami go otoczyli.
— Poco na ratusz? Hej, hola! hola!
Albom ja zbrodzień? — rzekł żołnierz śmiele. —
Ja wracam z boju, z kleckiego pola,
Tatarskie rany noszę w mem ciele!
Szanujcie rany! bo, jak Bóg miły,
Jeszcze choć szczudłem bronić się mogę!
Ale żołdaki go ostąpiły,
Wejścia do miasta przecięły drogę.
— Wasz ratusz żadną nie jest mi władzą!
Ja jestem szlachcic! — wołał kaleka;
Lecz go żołdaki gwałtem prowadzą,
Gdzie na ratuszu obrada czeka.

X.

Poustrajani w szuby sobole,
W bogate pasy, w błyskotek wiele,
Panowie radni siedzą przy stole:
Pan burmistrz miasta siedzi na czele,
A obok niego radni, ławnicy,
Z krętemi wąsy, z butnemi głowy,
A obok pana Piotra Kotwicy
Siedzi poważny pisarz sądowy.
Kunsztownie tkaną perską makatą
Pozaścielano stoły i ławy;
Pan burmistrz trzyma księgę bogatą; —
To magdeburskie miasta ustawy.
Jeden ma w czapce kitę pierzastą,
Drugi ma spinkę z drogich kamieni.
Świetnież być musi wileńskie miasto,
Gdy jego rajcy tak przystrojeni!

XI.

Straż do ratusza wiedzie żołnierza,
Kędy zasiada rajców drużyna.

Każdy ciekawem okiem go zmierza,
Oblicze jego coś przypomina.
Ten, co miał zwierzchność nad miejską wartą
Tak przed urzędem rzecz swoją czyni:
— Ledwie Miednicką bramę otwarto,
Ten pierwszy człowiek zjawił się przy niej.
Kto on? ja pytać nie miałem prawa;
A resztę czyńcie, jak się wam zdawa.
— Marcin Studzieński! znamy go! znamy!
Wykrzyknął burmistrz i rajców grono.
I wnet za przejście Miednickiej bramy
Pięćset kop groszy mu wypłacono.
Biedny kaleka patrzy się, dziwi
Swemu bogactwu, i sam nie wierzy;
Lecz go oblegli rajcy życzliwi,
Jak przyjaciele, jak bracia szczerzy:
— Boska nad tobą czuwa opieka!
Co było, nie jest — w regestr nie piszem,
Boś ty wybrańcem świętego człeka,
Bądź naszym bratem i towarzyszem.
Powiedz nam, z jakiej przybywasz strony?
Czemu z twych oczu łza bujna płynie?
Czemu powracasz pokaleczony?
Wszystko nam powiedz, panie Marcinie!

XII.

— Krótkie me dzieje, sławetne pany! —
Odpowie żołnierz — powieść niemiła:
W bitwie pod Kleckiem byłem zrąbany,
Strzała tatarska pierś mi przebiła.
Dobry towarzysz przybył z pomocą,
Ratował, leczył, jak brat jedyny,
A tuląc moją dolę sierocą,
Zawiódł w Oszmiańskie, do swej rodziny.
I ja tam miałem krewnego księdza
U Franciszkanów na Mieście Starem;
Ale w klasztorze zwyczajnie nędza, —

Czułem, że jestem księdzu ciężarem.
Ramię mam chore, szablą nie władnę,
Żołdem rycerskim żyć już nie mogę,
Nie umiem wdać się w rzemiosło żadne...
Więc kij żebraczy... i dalej w drogę.
Tedy z Oszmiany pieszo wychodzę,
Ale zaledwiem uszedł pół mili,
Jacyś mię zbójcy napadli w drodze
I towarzysza mego zabili.
Pokaleczony, z grosza odarty,
Inaczej radzić gdy było próżno,
Wlokłem się tutaj, ot dzień już czwarty,
Z wioski do wioski żyjąc jałmużną.
Szedłem, nie wiedząc, gdzie głowę złożę;
Ujął mię żołdak przy bramnej warcie...
Gdy miłosierdzie cudowne Boże
Przez wasze ręce dało mi wsparcie.

XIII.

— Snadź ci nadeszła nagrody pora,
Żeś mężnie walczył w kleckiej potrzebie;
Błogosławiona dusza Tabora,
W ostatniej chwili przeczuła ciebie.
Ciebie wybrały Boże wyroki,
Narzędzie cudu widzimy w tobie.
Pójdźże nawiedzić pasterza zwłoki,
Na dobroczyńcy pomódl się grobie.
Tak doń mówili miejscy rajcowie,
A pan Kotwica grzecznie i skromnie
Wziął go na stronę i cicho powie:
— A na wieczorek przyjdź, waszmość, do mnie!

XIV.

W dworcu Biskupim smutne dziś rano:
Litwa straciła swego pasterza,
Dzwon katedralny głucho uderza,
Niosąc po kraju wieść opłakaną.
Na prostej ławie, prostym kobiercu,

W izbie, gdzie świateł iskrzy się siła,
Leży mąż Boży — z ręką na sercu;
Już dusza jego... tam, gdzie tęskniła;
Już z wysokości krainy górnej
Może się patrzy na Litwę drogą.
Księża żałobne pieją nokturny,
Tłumy się ludu cisną, jak mogą.
Żałość rozlana w modlitwie, w śpiewie,
Po wszystkich twarzach łzy bujne biegą;
Każdy się modli, ale sam nie wie:
Modlić się za nim, albo do niego?

XV.

Marcin Studzieński, wespół z drugiemi,
Gdy się docisnął wsparty na kuli,
U nóg pasterskich klęknął na ziemi,
Wdzięczną modlitwę lejąc najczulej.
A między ludźmi już rozgłos lata,
Że to jest rycerz, że to ten samy,
Co do Miednickiej pierwszy wszedł bramy,
Że mu sądzona kwota bogata.
Marcin się modli... Czy dusza wrząca
Dawne mu w sercu wspomnienia budzi?
Czy od zbytniego natłoku ludzi,
Czy z niezliczonych świateł gorąca,
Głowa się mroczy?... Chwieje się, bladnie,
Ledwie przez ciżbę wyszedł do sieni,
I na podłogę pada bezwładnie,
Jak upadają gromem rażeni.
Długą czy krótką przeleżał chwilę,
On nie pamiętał, a nikt nie zważa.
Ciało obwite w łachman nędzarza,
A dusza, strojna w skrzydła motyle,
Przez wspomnień kwiaty, przez wspomnień cierni
Leci... o kwiatek, o cierń zahaczy...
To — uśmiech lubej, co kocha wiernie,
To — krwawa bitwa, to — strój żebraczy,

To — napad zbójców, to — rzewna modła
Przy zacnych zwłokach ojca Tabora.
Wtem go chrapliwa mowa ubodła:
— A powstań, waszmość! spać tu nie pora!
Spać tu nie miejsce — wynoś się skoro!
Żołdak, co w sieniach odprawiał straże,
Szarpnął go silnie za rękę chorą,
I z progów Pańskich wynieść się każe.

XVI.

Powstał Studzieński — ale o dziwa!
Strzaskana ręka już go nie boli,
Rana, co w piersiach, już nie narywa;
Odrzucił szczudła — przeszedł powoli,
I sam nie wierzy, sam siebie bada,
Czy jest w istocie zdrowym i hożym?
A więc ludowi cud opowiada,
Co mu się trafił przy mężu Bożym.
Tłoczy się naród blizki, daleki,
Słucha powieści, cudom zawierza;
Bo sam oglądał rany kaleki,
I wierzył w świętość ojca pasterza...
Dzisiaj powiecie: Bajka to stara!
Anachroniczna ta powieść cała;
Ojczyzna cudu, kruchciana wiara,
Dziś z chrześcijańskich serc uleciała. —
A czyż ja mówię, że ona żyje,
Lub że dziś nasze czyny okrasza?
Ze starych kronik powtarzam chryję, —
Wierzcie, nie wierzcie, jak łaska wasza.
Dzisiaj nie nęcą Anioły Boże,
Dzisiaj nie straszni piekielni czarci.
Czy cud być może, albo nie może?
Czyśmy go warci? albo niewarci?
Czyśmy już w naszej rozumnej pysze
Wydarli Panu berło z koroną?
Ja w to nie wchodzę, lecz powieść piszę

Z czasów, gdy jeszcze w cuda wierzono.
Marcin Studzieński zeznanie cudu
Do katedralnej zaniósł świątyni:
Stało się jawnem w obliczu ludu,
Jak Pan maluczkim Swe łaski czyni.

EPILOG.

Dał pan Kotwica wieczór wspaniały,
Powrót obchodzić chciał Marcinowy,
Pięćset kop groszy — to grosz niemały,
Więc go do spółki ciągnął handlowej.
Marcin zezwolił, bo z jego chatą
Spółkę s e r d e c z n ą miał z dawnych czasów;
Więc uradzono na przyszłe lato
Spólnie nakupić pereł, atłasów,
Po drogie wina posłać do Gdańska,
Kupić złotogłów, futra sobole:
A co do reszty... w tem łaska Pańska,
Spuśćmy się całkiem na Jego wolę!
Odwiódł na stronę pana pisarza:
— Stary kolego! — rzekł mu do ucha —
Czy widzisz waszmość, co mi Bóg zdarza?
Miłoż mieć zięciem takiego zucha!
Pan pisarz miejski pojął te słowa,
Że się z nierównym spotkał szermierzem;
Ale co wyrzekł — milczenie chowa
Kronika stara, z której to bierzem.
Musiał pomyśleć: Niech kat naruszy!
Trzeba odkosza zgryźć pokryjomu!
Potem wziął czapkę, przytulił uszy,
I powędrował cicho do domu.
A tam na uczcie czy pito wiele?
Wiele zjedzono soli i chleba?
I czy na końcu było wesele?
O tem i mówić zda się nie trzeba.

1859. Wilno.

DZIEWICZY WIECZÓR.

Z CZĘŚCI I.

Jak na wiosnę rój,
Szli pancerni w bój;
Błyszczą miecze i dziryty,
Ziemia stęka pod kopyty,
Grzmi żelazny strój!

Każdy żołnierz zuch,
Zwalczy najmniej dwóch;
Choć wąsacze i brodacze,
Młode serce w piersiach skacze,
Młody kipi duch!

Dalej młodszy huf,
Każdy piękny, zdrów,
Na osłodę w tęsknej drodze
Śpiewa piosnkę o niebodze
Z kordyalnych słów.

Aż się kurzy pył,
Wiatr w chorągiew bił;
Pod proporcem naprzód dąży
Siwobrody pan chorąży,
Jeszcze pełen sił.

Pod słoneczny skwar
Przyjechali w jar:
Tu przystanek dla żołnierza,
Dla koników woda świeża —
I zakipiał gwar.

Hetman krzyknął: Stój!
Orzeźwijmy znój!
I z rumaka skoczył żwawo,
I pod brzozą kędzierzawą
Płaszcz rozesłał swój.

Na hetmański ład
Szlachta poszła w ślad;
Zsiedli z koni w jednej chwili,
I do ziemi kopie wbili,
Prychnął konik rad.

Nim zeń zejdzie pot,
Nim owieje chłód,
Pancernicy, siadłszy w wianek,
Wychylają z swych blaszanek
Smakowity miód.

U polowych miedz,
By wróg nie mógł zbiedz,
Na pagórkach i przy jarze
Postawiono gęste straże
Bezpieczności strzedz.

Jeden podał wzór,
Drugi zapiał wtór,
I płaczliwie, i boleśnie
Zaśpiewali starą pieśnię
W stogłosowy chór.

Co będzie jadł, co będzie pił
Mój koń chudzina?
Gdy przyjdzie mnie legnąć bez sił
Z rąk Tatarzyna?

Mnie wpośród pól wykopią grób
Rycerze mili;
A smutny koń nad pusty żłób
Głowę pochyli!

Gdy wszystek duch wysączę z ran
Pod mieczem wroga,
Co będzie śnić, z kim pójdzie w tan
Moja nieboga?

Znajdzie się pan, jeśli jest koń,
Weźmie ochotnie;
Dziewczyna mknie innemu dłoń,
Gdy skrzypca grzmotnie.

Gorzej, gdy wir rzucony w dół
Zasypie oczy, —
Że przez mój grób do naszych siół
Pohaniec wkroczy.

— Cicho z tą pieśnią! — hetman zakrzyczy —
Niech idą wróżby na suchy las;
Gdy zajrzym w ślepie tatarskiej dziczy,
Taniec z dziewczęty znajdzie swój czas.

Człek się rycerski laurów spodziewa,
Orzeł pod chmurą żartuje z burz;
Kto sam po sobie requiem śpiewa,
Idąc na bitwę, to pewno tchórz.

Wstyd wam, pancerni, takowych treli,
Bo w nich pieszczoty mieści się jad;
Niech białogłowa przy swej kądzieli,
Niechaj przy kruchcie śpiewa ją dziad.

Inaksza była piosenka nasza,
Której w obozie uczono mnie:
Ton jej był ostry, jak zgrzyt pałasza,
Gdy po pancerzu żelaznym tnie.

Krew rozgrzewała, krzepiła zdrowie,
I hartowała na ciężki trud:
Nie dziw, że święci nasi ojcowie
Niejeden chrobry zdziałali cud.

Dziś insi ludzie, insze koleje:
W słowach piosenki krzewi się chwast;
Nie dziw, że oręż w rękach tępieje,
Pieśń wasza szturmem nie weźmie miast!

Więc rycerstwo już nie śpiewa, —
Stary hetman dziś się gniewa.
Niech się gniewa, niechaj zrzędzi,
On na wrogach złości spędzi.

Nic nie nada refleksya,
Bo przed bitwą zły, jak żmija,
I nie ujrzysz w nim dobroci,
Póki wroga nie wygrzmoci.

Ot, ze złości siadł na stronie,
Że popasać trzeba konie,
Że pancernym dać potrzeba
Choć przekąsić kawał chleba.

Onby w boje leciał strzałą,
Onby nie spał przez noc całą,
Onby samem żył powietrzem,
Póki węża nie rozetrzem.

Lecz po boju, — choć do rany:
Gotów pierwszy ruszyć w tany,
I przypomnieć z czarką miodu,
Jak to śpiewał sam za młodu.

Bo to, słyszę, w dawnej porze
I dziewczęta lubił hoże,
Krotochwilę przy obiedzie,
I kielicha nie zawiedzie.

Dziś w hetmaństwie częściej bywa
Pańska głowa frasobliwa,
Aby nasza dziatwa mała
W bezpieczeństwie usypiała;

By odpędził pałasz krzepki
Sny trwożliwe z nad kolebki,
Aby śpiących swemi krzyki
Nie rozbudził zbójca dziki;

Aby król nasz na swym tronie,
W senatorskiem zacnem gronie,
Mógł swobodnie radę radzić,
Jak do szczęścia nas prowadzić;

By w kościołach Boża chwała
Pohańbienia nie doznała, —
Ostry brzeszczot w jego dłoni
I ołtarzów naszych broni.

Bez wielkiego serca ludzie
Omdlewają w takim trudzie,
Choć buławę mają godłem,
Choć im rumak rży pod siodłem.

Fraszka — mądrość wojownika,
Co obozy sam wytyka,
Fraszka nawet duch ochoczy,
Co na dziesięć jeden skoczy.

Prawy hetman zwraca oko
Na dostojność swą wysoką;
Bo w hetmanie, jak w kapłanie,
Grunt jest — święte powołanie.

Trzeba w sercu ul mieć pszczelny,
I rój pszczółek stworzyć dzielny,
Coby żądłem pełnem jadu
Bronił kwiatów swego sadu.

Trzeba w sercu, jak plastr miodu,
Mieć kochanie dla narodu:
I dla panów, i dla kmieci,
I dla starych, i dla dzieci,

I dla żytniej ziemi swojej,
I dla wody, co nas poi,
I dla lasów pełnych zwierza,
I dla wiatru, co odświeża.

Bo kochanie tylko w stanie
Zahartować duch w hetmanie,
I umocnić jego ramię,
Że go piekło nie przełamie.

Patrz na ptaszka lub na zwierzę,
Kiedy piskląt swoich strzeże:
Skąd ta mądrość w ich obronie?
Skąd to męstwo w jego łonie?

Tu mistrzyni jest wyborna —
Jedna miłość cudotworna:
Nierozumnym rozum wleje,
Od niej słaby spotężnieje.

Taka miłość, gdy przenika
I hetmana walecznika,
Już walecznik, jak duch z Nieba,
Bohaterem zwać go trzeba.

Już możecie zostać śmiele
I kapłani w swym kościele,
I królowie na swym tronie,
I rolnicy na zagonie.

Zieleniejcie, lasy, świetnie:
Wróg siekierą was nie zetnie;
Płyńcie, rzeki, w kraj daleki:
Nie jesteście bez opieki.

Już was żaden ze złych ludzi
Swemi usty nie zabrudzi;
A hetmańskiej wierzcie stali,
Bo kto kocha, ten ocali.

Taki hetman — nasze zdrowie,
Do zwycięstwa on nas zowie;
Do zwycięstwa i do chwały,
By nas wieki pamiętały.

Z CZĘŚCI II.

Po prostu była litewskich dzieci
Chata wzniesiona;
Prosty d a j l i d e, jak umie, kleci
Z dębów bierwiona.

Między bierwiona mech ściele sporo,
Otula ściany,
Krokwie obija dębową korą,
Pod dach słomiany.

Długa, szeroka chata Litwina
Z dwóch stron się składa:
Po jednej żyje chatnia drużyna,
Po drugiej stada.

Koniki silne, czy do roboty,
Czy to do boju,
I karmicielki — krówki pieszczoty,
Pełne udoju.

I wielkorogich wolików para,
Co skibę kraje,
I kędzierzawa owieczka szara,
Co odzież daje.

Tam, gdzie się w chacie ludzie gromadzą,
Okienko świta,
A czarna ściana dymem i sadzą
Wiecznie pokryta.

Zamiast podłogi, tok z gliny bity
Mularze dali.
Na środku izby ogień sowity
W jamie się pali.

Pali się zawsze — bo tu jest Znicza
Główna ofiarna;
Przy nim tcze krosna ręka dziewicza
Lub kręci żarna.

Przy nim starcowie swą staroświecką
Gawędę plotą;
Słucha jej młodzian, słucha jej dziecko
Z pilną ochotą.

Gdy, piękną młodzież widząc przed sobą,
Staruszek baje,
On dawnym latom z jutrzejszą dobą
Święty ślub daje.

Przy tych gawędach bogowie stoją
Na pilnej straży;
Nie umrze dziadek, aż przeszłość swoją
Wnukom wygwarzy.

Przy huku żaren, przy stuku w krosna,
Przy grzmocie cewki,
Płynie po chacie piosnka żałosna
Młodej Litewki.

Młodziuchna Erma jest narzeczoną
Do blizkiej wioski;
Wkrótce porzuci domowe grono
I dom ojcowski.

Wkrótce złocisty splot jej warkoczy
Czepiec okryje,
A czarodziejskie błękitne oczy
Łezka omyje.

Biedna Litwinka! O szczęściu nie śni
W marzeniu lubem;
Obyczaj każe żałosne pieśni
Śpiewać przed ślubem.

Więc rówiennice schodzą się do niej
Z przyjaźnią tkliwą;
A każda jęki bolesne roni,
Jak nad nieżywą!

Stare przysłowie dobrze powiada:
Ślub jest żałobą;
A jednak każda co prędzej rada
Płakać nad sobą.

Zaszczebiotały, jakby jaskółki
Na niepogodę;
Podobierały głosy do wspólki
Dziewczęta młode.

Obsiadły wkoło, z pustej swawoli,
Ermy krosienka,
I zaśpiewały, aż serce boli,
Aż ściana stęka:

* * *

Do siostry naszej ruta się wdzięczy,
Dla niej lilia wytryska z pęczy,
A przecięż siostrę tęsknota dręczy.

Czego się, siostro, twa dusza trwoży?
Wszak twoja młodość to ranek Boży,
Wszak narzeczony piękny i hoży!

— Prawda, że wiosna jak ranek świeży,
Mój narzeczony pierwszy z młodzieży,
A przecięż kamień na sercu leży!

Muszę się żegnać z domową stroną,
Muszę się żegnać z matką rodzoną,
Z moim ogródkiem, z rutą zieloną.

Wy, czarne kury, nie piejcie rano,
Przedłużcie moją nockę niespaną,
Niech się nagadam z matką kochaną!

Kury nie pieją, śpi wioska cała,
I ciemna nocka godzin przybrała,
A jam się z matką nie nagadała!

* * *

— Słuchajcie — rzekła jedna dziewoja —
Czy nie piękniejsza piosenka moja?
Był sobie chłopak, sierota szczera,
Co u stóp dębu serce otwiera:

Tam przy morzu u przystani,
Wyszła góra z ziemi,
Dąb szeroki wyrósł na niej
Z gałęźmi krętemi.

Wypłynąłem wraz z jutrzenką
Zwiać myśli sieroce,
I przybiłem me czółenko
W przygórnej zatoce.

I objąłem dąb chropawy,
Ile mogłem dostać:
Zmień się, dębie, bądź łaskawy,
W mego ojca postać!

Wznieś gałęzie uroczyście,
Jak ręka ojcowa;
Zmień szumiące twoje liście
Na serdeczne słowa!

Lecz sierota w poniewierce,
Próżno łzy me biegą:
Nie zabiło w dębie serce
Ojca rodzonego.

Nie wzniósł ramion uroczyście,
Jak ręka ojcowa;
Nie szumiały jego liście
Serdecznego słowa!

* *
*

Druga dziewica rzekła koleją:
Czyż tylko chłopcy boleć umieją?
Ich łza jak ogień rozpala oko,
Nasza do ziemi idzie głęboko;

Ich jęk do Nieba trafić ma siłę,
A nasz się głębiej wbija w mogiłę;
Oni śpiewają szczęśliwą chwilką,
A my i myślim pieśniami tylko.
Ja takąż pieśnię umiem inaczej,
Jak to po matce córka w rozpaczy:

Posyłali mię niebożę,
Szukać jagód w ciemnym borze;
Lecz ja w borze nic nie robię,
Bo na matki byłam grobie.

Poszłam w góry ścieżką znaną,
Gdzie jej kopiec usypano;
Gdym płakała, drzewa jękły,
Aż w mogiłę łzy zasiękły.

Matka pyta w swojej trumnie:
Kto tam z płaczem przyszedł ku mnie,
Że aż jęczy piasek z gliną,
Łzy gorące w pierś mi płyną?

— To ja, córka... matko miła!
Coś sierotą zostawiła.
Kto rozczesze włos mój złoty?
Kto omyje twarz sieroty?
Kto strzedz będzie moje zdrowie?
Dobre słówko kto mi powie?

— Idź do domu, córko miła,
Jam ci dolę wymodliła;
Już w tej chwili przysłał swaty
Rycerz zacny i bogaty.

On rozczesze warkocz złoty,
On omyje twarz sieroty,
On strzedz będzie twoje zdrowie,
Dobre słowo on ci powie.

* * *

— Ej wy, dziewczęta! to nie wypada,
Łzy wywoływać na oczy dziada! —
Tak mówił Warpas, starzec brodaty,
Zakuty Litwin dawniejszej daty,
Starych obrzędów postrzegacz ścisły,
Siwy, jak jawór szronem nawisły.
Ale dla niego była pokutą
Pieśnia weselna z grobową nutą.
Stary był wesół, jak rzadko starzy,
Lubił śmiech widzieć na każdej twarzy,
Zwłaszcza, gdy miodek lub chmielne piwo
Na twarzy kraskę wywoła żywą.
Aż się od śmiechu kładą przytomni,
Dawną pustotę kiedy przypomni.
I teraz mówił: Będzie wesele...
A wy, choć piosnek umiecie wiele,
Nie znacie jednej. Za mej młodości,
W chacie litewskiej, gdy pełno gości,
Chórem śpiewali, chórem się śmieli;
Dzisiaj i śmiać się już zapomnieli,
I żaden nie wie, co wtedy było,
Gdy się wilczysko w lesie żeniło?
Dajcie mi żarna — niech je pokręcę,
Niech odprostuję zgrzybiałe ręce,
I puszczę myśli w weselszą drogę,
Bo bez roboty śpiewać nie mogę.
Więc do kamienia nasypał ziarna,
Odrzucił głowę, zahuczał w żarna,
Jak dobry gęślarz, co w pierwszej probie
Najprzód przygrywkę dobiera sobie,
I głosem takim, jakby ze studni,
Jak wóz skrzypiący po moście dudni,
Zaśpiewał pieśnię z dawniejszej chwili,
Kiedy wilczycę z wilkiem żenili:

Przywędrował niedźwiedź kudłaty, kudłaty,
Do wilczycy z piwem we swaty, we swaty;

Tej jesieni wilk się żeni,
Idą goście zaproszeni
Do lasu, do lasu!

U jeża pod kluczem gorzałka, gorzałka,
Lis sprawuje urząd marszałka, marszałka,
Zając zda się, w trudnym czasie,
Państwa młodych wieźć w kolasie
Do ślubu, do ślubu!

Tchórz szumiące piwo wypienia, wypienia,
Wróbel robi słody z jęczmienia, z jęczmienia,
A kukułki im do spółki
Spieszą chmielne nieść szypułki
Z ogrodu, z ogrodu!

Drwa piłuje rydlem byk łysy, byk łysy,
Pies wymywa garnki i misy, i misy,
Warchlak gładki dla gromadki
Nakupował mięsa z jatki
Po groszu, po groszu!

Niedźwiedź, spoczywając po trudzie, po trudzie,
Gra niemieckie marsze na dudzie, na dudzie,
Wilk ssał czarę, przebrał miarę,
Prosi kozę w pierwszą parę
Do tańca, do tańca!

Jestem dzisiaj w dobrym humorze, humorze,
Niech mi kuma w tańcu pomoże, pomoże!
Wróg widocznie, kto dziś spocznie;
Hej, niedźwiedziu, zagraj skocznie
Walczyka, Niemczyka!

Jak odmówi kuma w zabawie, w zabawie,
To ja panią kumę zadławię, zadławię,
A ze skóry dla wilczury
Będzie kołpak jasno-pióry,
Od święta, od święta!

* * *

Zachychotały dziewki chychotki,
Jaki to z wilka tanecznik słodki,
I jak mu kozi kołpak do twarzy,
Jak na weselu lis gospodarzy,
Jak tam pod wozem zajączek stęka, —
Aż do rozpuku śmieszna piosenka!
— A co? czy śmieszna? powiedzcie szczerz
Staruszek sam się za boki bierze;
Rad, że zabawił garstkę domową,
Zahuczał w żarna, pokiwał głową,
I chciał ich śmieszyć i śpiewać dalej,
Gdy trwożny okrzyk wszyscy wydali!
Wśród nocy, z okna tam od podwórza
Dwoje się z ciemna oczu wynurza,
Przez szybę błyszczy twarz jakaś dzika
I ryża broda, jak rozbójnika,
Rząd białych zębów świeci z pod wąsa,
A straszne widmo głową potrząsa.
— Kto tam?! — krzyknęli wszyscy strwożen
I wyleciała młodzież do sieni.
Jeden pochwycił bardysz ze ściany,
Drugi swój topór grubo kowany,
Dziewki za starca tulą się z trwogą;
Lecz już na dworze niema nikogo,
Tylko posłyszał jeden z młodzieży,
Że ziemia tętni, jak gdy kto bieży;
Tylko zobaczył drugi z za drzewa,
Że widmo białym płaszczem powiewa,
Że się coś iskrzy nad jego głową,
Jakby nosiło czapkę stalową.
Starzec żartował z trwogi dziecięcej,
Ale już pieśni nie śpiewał więcej.
Na twarzy jego z dziwnym wyrazem
Strach i szyderstwo zbiegły się razem.
Lecz przerażenia nie dając znaku:
To wilk — powiadał — w kozim kołpaku!

. . . . . .

1860. Wilno.

DOKUMENTA.

GAWĘDA BABY LULKI.

I.

Na wiosce, w chacie rolnika,
Żyje staruszka sędziwa;
Że czasem luleczkę pyka,
Baba się Lulką nazywa.

Prześliczny obraz, choć w ramy,
Nasz z nią wieczorek w gawędzie;
My przy kominku słuchamy,
A baba gwarzy i przędzie.

Stare podania pamięta.
Raz nam mówiła te słowa:
Że dawniej wszystkie zwierzęta
To była szlachta herbowa.

Lew już z przed wieków miał sobie
Prawa królewskie uznane:
W konstytucyjnym sposobie
Pożerał swoje poddane.

Niedźwiedź był baron, wilk hrabia,
A lis to szambelan stary;
A co tam który wyrabia,
Lew na to patrzał przez szpary.

I zwierząt inszych niemało
Stan szlachty rycerskiej składa,
I jak na szlachtę przystało,
Próżnuje, pije, zajada.

Głowy nosili do góry
Wolni panowie swych domów;
Z osiełków zdzierano skóry
Na pergaminy dyplomów.

Tylko się biedna mysz w norze
Lub zasklepiona w stodole,
Legitymować nie może —
Zwyczajnie chude pacholę.

Lecz nie zna podatku z duszy
I na pańszczyznę nie idzie;
Więc głowy wielce nie suszy,
Że w chłopskiej musi żyć biedzie.

A rządząc się gospodarnie,
Ma pokarm smaczny i zdrowy,
Ma śpichrz, stodołę, śpiżarnię,
Jak jaki szlachcic czynszowy.

II.

Raz niedźwiedź tak się rozgada
W swoich przyjaciół drużynie:
— Piękna to rzecz, kto posiada
Dyplomat na pergaminie!

Lecz zimą, jak będę we śnie,
Choć go pod głowę położę,
Z wilgoci wkradną się pleśnie,
Jeszcze dyplomat zgnić może!

Wilku! przyjacielu szczery,
Przyjaźń usłużnym być każe:
Wszak ty masz własne papiery,
Weź dyplom pod swoją strażę.

— Nie mogę — wilk mu odpowie —
Ja zawsze jestem za domem,
Sam rady nie znajdę w głowie,
Co zrobić z własnym dyplomem.

Muszę pilnować baranów,
Co się tam pastwią nad zbożem;
Więc sam się, mon cher, zastanów,
Że nie mam czasu być stróżem.

Ot lis, co siedzi na stronie,
Niechaj tem zajmie się szczerze:
Daj mu swój dyplom, baronie,
A ja mój własny powierzę.

— Dajcie mi pokój! — lis wrzaśnie —
Mnie myśleć o pergaminach!
Wszak do mnie należy właśnie
Sąd sporów w kokoszych gminach.

Muszę od wioski do wioski
Biegać i słuchać ich gwarów.
Och, urząd... urząd sędziowski
Ileż ma w sobie ciężarów!

— Ha! jeśli tak — wilk mu rzecze —
W psiej budzie złożym archiwa:
Pies weźmie dyplomy w pieczę,
On się stróż wierny nazywa!

Więc oddał psu swoich braci
Rodowitości dyplomy.
Pies przyrzekł, że ich nie straci,
A już psi honor wiadomy.

Ale po krótkiej rozwadze
Zadrżał o papiery w budzie:
— A cóż ja biedny poradzę,
Jeśli ukradną je ludzie!

Bo takie rzeczy ich wabią:
Niebardzo wierzę w ich cnotę,
Zostać baronem lub hrabią
Każdy z nich miałby ochotę.

Psie nawet szlachectwo moje
Skusiłoby niejednego:
Sam się o własny skarb boję,
Jakże się inne ustrzegą?

Ot, pójdę do kota lepiej:
Jego troskliwa opieka
Niech gdzieś w zapiecku zasklepi,
Zdala od oka człowieka.

Szedł i powiada rzecz całą:
Składam w twe ręce skarb wielki.
Przodków pamiątkę wspaniałą,
Żeśmy nie h e t k i - p ę t e l k i.

Pamiętaj czuwać przykładnie,
By ten skarb nie był zepsuty;
Bo jak szlachectwo przepadnie,
Wszyscy pójdziemy w rekruty.

Kot, pełniąc sercem gotowem,
Co każe bracia życzliwa,
Złożył pod strychem domowym
Rodowitości archiwa.

Lecz gdzież pieszczonemu dziecku
Ślęczeć jako archiwista?
Trzeba się wygrzać w zapiecku,
Trzeba się umyć do czysta.

Trzeba wskoczyć na ramiona
Panienki, co go tak kocha;
Ówdzie go rybka smażona,
Tam słońce nęci pieszczocha.

Tam trzeba poigrać skocznie.
Tam przyszła pora obiadu...
Czasu — brak czasu widocznie,
Że ani zajrzał do składu.

Tak przeszło lato, tak zima;
Mysz, co siedziała po cichu,
Gdy zboża w śpichrzu już niema,
Poczęła wietrzyć po strychu.

I aż z radości podrosła,
Do heraldyki dopadłszy:
Choć twarda skóra w niej osła,
Ale głód smaku nie patrzy.

Zwołała braci i siostry
Na te przysmaki jedyne,
I wzięły na ząbek ostry
Średniowiekową łacinę.

Nigdy tak krytyk w gazecie
Nie pastwi się w żywe oczy,
Gdy autor nieznany w świecie
Tom poezyjek wytłoczy,

Jak one wszystkie pospołu
Strzygły, gryzły, darły w szmaty...
Stały się kupą popiołu
Hrabiowstwa i baronaty,

I psie szlachectwo zginęło,
Figurujące tak dumnie.
Na takie wandalstwa dzieło
Paprocki aż stęknął w trumnie.

Lecz można w obronie myszy
Użyć retoryki całej:
Skąd one w swojej zaciszy
O dyplomatach wiedziały?

Do takiej rozmyślnej psoty
Syn tylko zdolen człowieczy:
To dzieło chłopskiej roboty,
Co nie zna wartości rzeczy.

III.

Wtem Niebo cisnęło głazem:
Kazano na łeb, na szyję,
Wszystkim zwierzętom zarazem
Składać legitymacyę:

Kto jesteś znacz? kto cię rodzi? —
Kto pradziad świętej pamięci?
Skąd się twój klejnot wywodzi,
Co go używasz w pieczęci?

Gdy każą, to trudna rada,
Potrzeba słuchać w tej chwili:
Więc każdy do psa powiada:
— Oddaj mi, waszmość, przywilej!

Pies idzie i kota pyta
Swoich współbraci imieniem,
Co miękki, jak sybaryta
Bawił się własnym ich cieniem.

Pod strych pobiegli co żywo:
Obaj krzyknęli z rozpaczą,
Kiedy ruinę straszliwą
Zamiast dyplomów obaczą!

W żalu załamali pięście...
Kot już ze strachu na strzesie;
Pies poszedł wspólne nieszczęście
Zwiastować braciom, co w lesie.

Niedźwiedź rwał kudły, gryzł ziemię
Na wiadomości bolesne,
Ryczące przeklinał psie plemię,
Aż głusze zadrżały leśne.

Porwał psa w silne pazury,
Chcąc mu rozszarpać jelita;
Lecz pies, skoczywszy do góry,
Silnie za gardło go chwyta.

Krew obryzgała murawę.
Pies już w godzinie ostatniej
Na bok dwa susy dał żwawe
I umknął z niedźwiedziej matni.

Bieży — wtem wilk go napada,
Który plondrował po niwie:
Całą mu rzecz opowiada, —
Wilk tylko zawył straszliwie.

Głos tak okropne miał zmiany,
Rozpacz tak wielka rozdraźni,
Że w siódmej wiosce barany
Beczeć poczęły z bojaźni.

I przyjaciele najszczersi
Poczęli gryźć się jak wrogi,
Paszcz z paszczą, piersi do piersi,
Pies zdusił wilka i w nogi.

Co dalej, przewidzieć łatwo:
Spisano zwierzęce głowy,
Wszyscy z żonami i dziatwą
Poszli w okład podatkowy.

Poczęto ścigać zwierzęta,
Czy gdzie las gęsty, czy pole;
Pies z wolnego rezydenta
Poszedł do człeka w niewolę.

Został na łańcuch przykutym,
Gdy dawniej na taki przymus
Mógł się zastawić statutem:
„Neminem captivabimus."

Schłopiały zwierzęta z laty
Pod człeka władzą i strażą;
Wkrótce, dla większej intraty,
Jeszcze im wódkę pić każą.

Pies się na sforę utroczy
I idzie na polowania,
Z wilkiem, z niedźwiedziem bój toczy,
Lub się za lisem ugania.

A gdy się walka rozjada,
Każdy o krzywdzie pamięta
I każdy do psa powiada:
Oddaj moje dokumenta!

Pies czuje, że to sromota —
I szkoda mu leśnych dzieci;
Za to, gdy ujrzy gdzie kota,
Heżha za nim! aż pył leci.

Kot przed nim na dach ucieka,
Albo do drzewa gdzie dotrze.
Pies tylko gniewliwie szczeka:
Oddaj papiery nam, łotrze!

Kot czmycha, parska ze drżeniem,
Nudzi się taką zabawą;
Za to nad myszem plemieniem
Mści się codziennie i krwawo.

Odtąd w zwierzęcej zaciszy
Zmienił się porządek błogi:
Niedźwiedź, wilk, pies, kot i myszy
Są sobie śmiertelne wrogi.

Ktoś chciał ich jednać powoli,
Lecz to zaliczmy do baśni:
Niezgoda — cecha niewoli —
Na wieki wieków ich waśni.

1861. Borejkowszczyzna.

SZKOŁA WIEJSKA.

GAWĘDA.

I.

Na końcu naszej wioski stała się nowina:
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy?
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,

Jeszcze bierwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianą,
A już wniesiono ławki, — coś nakształt kościoła.
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano:
Tu będzie szkoła!

II.

A może to i dobra, może zła nowina:
Każą chłopców posyłać do tego tam czarta;
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni niewarta.

III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu, jak miotełka, żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie chłop, bo czyta;
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmiby od rana gwarzył do wieczora.
Najął chatę u chłopa, je co Pan Bóg zdarzy,
I pędza do roboty mularzy i szklarzy;
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

IV.

Pobudowano szkołę, — ksiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,
I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która niegdyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada;
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
Przyjdź, Duchu Przenajświętszy! A ty, ucz się, dziatwo!

V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto jak w miasteczk
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna.
Patrzym... co z tego będzie... Matko miłosiern
A co z miasta przyjechał, ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.
Czyste skończenie świata! szaleją panowie!
Ksiądz pleban z katechizmem, daj mu Boże zdrowi
A tamten różne rzeczy prawi na przemiany;
Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany.
Szkoła jak targowisko o wieczornej dobie,
Kiedy to naród Boży podchmiela się sobie.

VI.

Ot! od czego rozpoczął swe światu przysługi
Tysiączny osiemsetny sześćdziesiąty drugi.
Wielki Twórco wszechświata! w jakież dalsze pole
Pchniesz jego dolę?...

VII.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
Musiał się uczyć, bo jest wesoły,
Musiał za pilność pochwałę dostać,
Bo zuchowato najeżył postać,
I tak sam w sobie odwagę nieci:
— Mówił ksiądz pleban: Chłopskie wy dzieci,
Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę
Rozwielmożnicie waszą potęgę.
Jeśli to prawda!... mocny mój Boże,
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień, i w nocy, w wieczór i rano,
Aż zgłębię wszystko, co napisano;
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał, jak sztych litery.
Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze,
I być wielmożnym sam sobie każę.
Lecz czemże będę na Bożym świecie?

Pozostać chłopem nie można przecię;
Tylko nauka poszłaby marnie,
Te, co mój ojciec, znosząc męczarnie,
Wypasać woły nago i boso,
Chodzić z toporem, sochą i kosą,
Żyć łustą chleba czarną i twardą
I nierozumnych ludzi pogardą!
Tego niewarto...

VIII.

Ot tak na zmianę
Ja ekonomem sobie zostanę;
Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano;
Będę miał dla nich i miód, i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo:
Zapuszczę wąsy, jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I tabakierkę ze srebrnej cyny,
I cztery konie, tłuste mierzyny,
I kupię brykę, i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łajać męża przez cały dzionek.
Pan łaje sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednej osobie...
Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
Inne rzemiosło sobie obiorę.

IX.

Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy.
Tacy wąsacze! przy Pańskim grobie
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Mają kaftany robotą cudną,
Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno;
Lecz za to pióra, co zdobią głowę,

Jedno błękitne, drugie różowe.
Malarz im za to dał nogi krzywe,
Że mieli serca nielitościwe,
Pana Jezusa męczyli srodze,
Za to dziś stoją na jednej nodze.
Dobrze im za to... Będę malarzem,
I co umiemy, wtedy pokażem.
Nakupię pędzli i farb niemało:
Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą
Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą.
Będzie kościółek, będą mogiły,
I organisty domek pochyły,
Gołąbki latać będą nad wieżą,
A brzózka wonią oddychać świeżą.
Rzeczka szczebiotać swoje paciorki,
I szumieć będą jodłowe wzgórki,
I będzie brzmiała z mojego płótna
Starej żebraczki piosenka smutna;
Szczekają kundle, kłócą się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby.
A nad tem wszystkiem obłok poranny,
I widać postać Najświętszej Panny:
Pana Jezusa mając na łonie,
Ku naszej wiosce wyciąga dłonie,
I błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościołek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę kwiatem pokrytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który z blizka, albo z daleka.

X.

Bo tam z za góry ledwie widzianej
Z chorągiewkami jadą ułany.
Boże mój, Boże! co za koniska!
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska...

Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużej!
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w ułany!
Strój będzie złoty, — lecz mniejsza o to,
Tu mi nie idzie o jasne złoto;
Wąs będzie duży, — co mi wąsiska!
Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska;
Jak wróci z krzyżem ku swojej strzesie,
Toż to rodzicom radość przyniesie!
Ojciec się spłacze, a matka powie:
— Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!
Zbierze sąsiadki i gospodarzy,
I mnie uścisną dziadowie starzy.
Wartoż dać życie za taką chwilę!...
A jak się czasem w mustrze pomylę,
Albo mi szablą zgruchocą ramię,
Albo mi kula głowę odłamie,
Albo, co gorsza, nie dopuść Boże,
Na bojowisku strach mię przemoże,
I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,
A ludzie krzykną: Podłyż ty, podły!
Toż dla rodziców z piasku przykrycie,
A dla mnie hańba na całe życie!
Nie!... choć w ułanach dobrze się zdawa,
I piękny mundur, i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

XI.

Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem, —
A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
Człowiekiem trudno... trudno ułanem,
A więc... cóż robić? zostanę panem.
Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią;
Za to odpiszę wszystkie szarwarki

I dam każdemu wódki dwie czarki.
Potem przyjedzie architekt biegły,
Każe nazwozić czerwonej cegły,
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszył obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chłopi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Gdy matka pańskie młóciła zboże,
Niosąc jej obiad, byłem we dworze;
Jak dziś pamiętam, obiad był taki:
Wodna polewka i trzy ziemniaki.
Pan, co pilnował młocków w stodole,
Jakoś polubił biedne pachołę,
Wziął mię za rękę, popieścił, gładził,
I do pałacu swego prowadził.
Cóż tam za rozkosz! jak miękkie ławy!
Na każdej błyszczy tyftyk złotawy.
Jakie zwierciadła! coś jakby w Niebie!
Zdaje się człowiek drażni sam siebie.
A na obrazie, co aż mur łamie,
Panny w kąpieli w złocistej ramie,
A jakie okna!... jaka podłoga!
Co to za przepych, na miłość Boga!...
Tak samo wszystko u mnie urządzę:
Będą i sługi, będą pieniądze,
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy,
I będę gadał po europsku,
Ani po polsku, ani po chłopsku,
Będę pił wino, co strzela korkiem,
Jeść marcepany z kwaśnym ogórkiem.
A jak mi matka w starej siermiędze
Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
Daj mi, panoczku, daj zapomogę!
Mnie zarumienią ich smutne twarze,
To z tego domu wypchnąć ich każę.

XII.

Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
Oddal ode mnie myśli nieczyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy!
Myśl nieczłowiecza przyszła do głowy,
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada;
Jam grzech mój ciężki, pogardę z wami,
Gotów opłakać krwawemi łzami.
Niech rówiennicy a swawolnicy
Błotem obrzucą mnie na ulicy!
Na tę myśl ciężką licho mnie wniosło...
Ej, grzeszne, grzeszne, dumne rzemiosło!
Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu
Pieśń o Łazarzu i o bogaczu...
I przez nauki wzięte korzystnie,
Toż to się silnie bracię uściśnie!
Toż to nakupię elementarzy,
Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecze: Mój mały, widać, żeś człowiek!
Idź uczłowieczać rodzinną wioskę!
Idź gładko orać skibę ojcowską!
Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
Ze starą matką sadzić buraki,
A wśród buraków wrzuć jej nieznacznie
Nasienie słońca, co rodzić zacznie.
Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
Idź w Imię Ojca, Syna i Ducha!
Otóż polecę, toż będą radzi!
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siać je będę na naszej niwie,
Pan Bóg nie Rymsza, wzrosną szczęśliwie!
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosy aż pod niebiosy.
A Pan Bóg niwę tutejszej włości
Nakarmi chlebem aż do sytości!

Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Spłacze się ojciec, spłacze się matka;
Taka łza w sercu perłą powraca...
Toż moja książka!... toż moja praca!
Chciało mnie zrobić zachcenie wieszcze
Panem, ułanem i czemś tam jeszcze;
Ja, choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!

1862. Borejkowszczyzna.

TANDECIARZ.

W rogu ulicy, przy bramie,
Stoi z koszykiem Żyd stary;
Jak Icek w warszawskiej bramie
Zachwala swoje towary.
I nie przepuści nikogo,
Aż się nawrzeszczy do syta:
— Ja wszystko przedam niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Niech jasne państwo pozwoli
Obaczyć towar wszelaki:
Mydło, co bez brzytew goli,
Jak gdyby piśmiennik jaki;
Karty, co zmieniać się mogą,
To bardzo rzecz wyśmienita!
Och, ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta.

Ot cybuch! bursztyn, jak jaje,
Nie włożyć w usta, tak duży;
Wnet jasnym panem się zdaje,
Kto tylko z niego zakurzy.
Można na szlachtę ubogą
Dym puścić, gdy się z nią wita.

Och, ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Mam dzwonek — u tego dzwonka
Serduszko takie jest przednie:
Jak pan w salonie zabrząka,
Służba ze strachu poblednie.
Lecz trzeba trzymać ją srogo,
Bo z dzwonka może być kwita.
Och, ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Mam wodę na różne plamy:
Gdy nikną naprzykład wdzięki,
Lub gdy się czasem zbrukamy
Dotknięciem niegodnej ręki;
I takie wymyć się mogą,
Co się od wziątków nachwyta.
Och, ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta.

Co! przestarzałe towary?
Jegomość! czy mówisz szczerze?
Ej stary jestem! ja stary,
W gruszki na wierzbie nie wierzę!
Poczciwość z biczem, z ostrogą
Na krótki popas zawita!
Ja sprzedam towar niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta.

1862. Wilno.

BŁOGOSŁAWIONY SZEWC

ŚWIĘTOSŁAW.

1480 r.

Ledwie świta jutrznia dniowa
W mglistej niebios ustroni;
Dzwon Zygmunta wśród Krakowa
Na pacierze nie dzwoni.

Sennym taktem zegar stary
Ściele głos swój po ziemi;
Ulatują senne mary
Nad głowami ludzkiemi.

Tylko widać lampę skrytą
W oddalonej gdzieś chacie;
Bije młotem o kopyto
W lichym szewskim warsztacie.

Tam Świętosław, prostak Boży,
Całą noc się mozoli,
By sieroty albo chorzy
Mieli ulgę w swej doli.

Z jego pracy — biednych plony;
Żył wyrobnik jak święty:
Skarb miłości niezmierzony
W jego sercu zamknięty.

Zapracować, co się zdarzy,
To on wszystko, co zyska,
Zaraz niesie do nędzarzy
Gdzieś w podziemne sklepiska.

Na poddaszu — wiecznem kołem
Nędzy ciągnie się proba;
Starość jęczy pod kościołem,
A w podziemiu choroba.

Przed trybunał lichwiarz wlecze
Nieszczęsnego dłużnika;
Biedne syny wy człowiecze,
Ileż plag was dotyka!

Lecz Pan męże swoje budzi
Ku cierpiących ochronie;
Wszystkie bóle wszystkich ludzi
Czuł Świętosław w swem łonie.

Stary kubrak go obleka,
Pas rzemienny zwykł nosić,
Twardy kołacz, puhar mleka,
To dla niego i dosyć!

Ale inni? nieszczęśliwi!
Jakaż dni ich osnowa?
Czem ta matka dzieci żywi,
Kiedy chora i wdowa?

Skąd to zdrowie tak wyborne,
U odartych tragarzy?
Skąd rzemieślnik ma komorne,
Gdy się praca nie zdarzy?

Wszedł Świętosław w Imię. Boże,
Zaraz w chacie już lepiej;
Kopą groszy zapomoże,
Dobrem słówkiem pokrzepi.

Gdy dla bliźnich wszystko traci,
Z uległością powinną,
Kochał matkę, swoich braci,
Swoją ziemię rodzinną,

Króla, senat, mniejsze stany,
Pola, góry i drzewa;
Nieraz klęcząc, łzami zlany,
Modły za nie wylewa:

Za powagę majestatu,
Za hetmańską buławę,
Za szykowność rad senatu,
Za sejmową ustawę.

Takie czyny wielkiej duszy
Przebijają mur Nieba;
Taka modła skały kruszy,
Takiej krajom potrzeba.

Świętosława zapał szczery
Ma u Boga zapłatę:
Widzeniami z wyższej sfery
Opromienia mu chatę.

* *
*

Raz, jak zwykle, przy kaganku
Pukał młotkiem przed świtem,
Dusza jego bez ustanku
Wirowała zachwytem.

A modlitwa szła radośnie
Do podnoża Jehowy:
Każde słowo w obraz rośnie,
Promienisty, tęczowy.

Wtem przez okno widzi rzesze
W uroczystym pochodzie:
Hufce konne, pułki piesze,
Pierwszych mężów w narodzie.

Strój uroczy oko dziwi
W pięknem gronie kobiecem, —
Z koszturami starcy siwi,
Dzieci z palmą i kwieciem.

Mąż wspaniały, z długą brodą,
Wiedzie orszak ludowy, —
Dwaj kapłani starca wiodą,
Uchyliwszy swe głowy.

Strój Biskupi go obłoczy,
Od brylantów i złota;
Zachwyceniem płoną oczy,
W ustach święta szczerota.

Kler młodzieży niezliczony
Śpiewa pieśnię „Hosanna!“
Cały Kraków bije w dzwony,
Płonie jutrznia poranna.

Biskup w świata cztery strony
Przeżegnania udziela;
Klęka przed nim lud wzruszony,
Płacząc łzami wesela.

Ku Katedrze Zbawiciela
W górę Wawel lud płynie,
Tylko Biskup się oddziela
K'Świętosława mieścinie.

Skrył się w cieniu mąż pobożny —
Wtem głos słyszy za sobą:
— Przyjacielu! nie bądź trwożny
Przed tą świętą osobą!

To Stanisław Szczepanowski,
To Męczennik wsławiony,
Ulubiony sługa Boski,
Dawny Biskup tej strony.

On za lud swój walczył długo,
Przelał własnej krwi zdroje,
On te tłumy swą zasługą
Wiedzie w Niebios podwoje.

Kogo przemoc uciemięża,
W kim się duch już osłabił,
Do świętego módl się męża,
Co Bolesław go zabił.

Kiedy grozi wam ruina,
Bądźcie w modłach wytrwali;
Ten, co wskrzesił Piotrowina,
I wam życie ocali.

Jeszcze innych sześciu męży
Niebo z Polski posiada;
Tej potęgi nie zwycięży
Ziemskich hufców gromada.

To krew ze krwi, kości z kości,
W nich zastępców znajdziecie;
Poglądają z wysokości,
Czy wam dobrze na świecie.

Tam, w klasztorze Dominika,
Mieszka Ojciec Wincenty;
W celi wiecznie się zamyka,
Modlitwami zajęty.

Nad książkami wiecznie siedzi,
Ssąc z nich zdrowie dla ducha.
Idź do niego do spowiedzi —
On cię wdzięcznie wysłucha.

A zebrawszy lud z ulicy,
W Imię Pańskie pozdrowi,
I rozpowie z kazalnicy,
Jak Bóg sprzyja ludowi!...

Gdy Świętosław trwożne oczy
Wszędzie rzuca nieśmiało,
Zmilknął nad nim głos proroczy,
I widzenie ustało.

Szedł i czynił, co głos każe,
A sprzedawszy swe mienie,
Pieniądz oddał na nędzarze,
Włożył grube odzienie.

W pokutników idąc ślady,
Ślub ubóstwa uczyni,
I siadł w kruchcie między dziady
W Maryackiej świątyni.

Szła jałmużna dosyć sporo,
Lecz, co przyśle mu doba,
To wieczorem biedni biorą,
Albo świątyń ozdoba.

Wreszcie poszedł w świat nieznany,
A gdy w grób się położy,
Wołał naród i kapłany:
Błogosławion człek Boży!

* *
*

Wszystkie stany bez różnicy
Pan przytula do łona:
I wy, polscy wyrobnicy,
Macie w Niebie Patrona.

Wrzesień 1862. Wilno.

SPIS RZECZY.

UTWORY EPICKIE.

Str.

anko cmentarnik.
Przygrywka 7
Janko cmentarnik 8
Epilog 34
luminacya 36
rólewscy lutniści 42
Pieśń Klabona 45
Pieśń Bekwarka 47
Pieśń Torbanisty 50
ocleg hetmański.
Część pierwsza 53
Część druga 69
Część trzecia 77
Epilog 92
arosta Kopanicki.
Wstęp 97
Część pierwsza. — Pole elekcyjne 100
Część druga. — Starosta Kopanicki 109
Część trzecia. — Napad nocny 113
Część czwarta. — Więzienie w Sonnenburgu . . . 126
Hymn 129
Epilog 148
jm Lubelski 150
lwark Stara Niwa 155
arno i biało 159
idzenie pustelnika 163
zy córki Litwina 165
ięgarz uliczny 177

Str.

Marcin Studzieński.
Część pierwsza. — Wieczór mieszczański 181
Część druga. — Obmurowanie Wilna 189
Część trzecia. — Tatarowie pod Kleckiem 202
Część czwarta. — Zgon Wojciecha Tabora 218
Epilog 228
Dziewiczy wieczór. 229
Z części I 235
Z części II 243
Dokumenta 250
Szkoła wiejska 258
Tandeciarz 259
Błogosławiony szewc Świętosław 259

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XVI.

POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA
(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM IV.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.

UTWORY DRAMATYCZNE.

ROK W PIEŚNI.

KANTATA DO MUZYKI ST. MONIUSZKI.

INTRODUKCYA.

Kto lubi znój, gdy swojskie słońce parzy,
Kto lubi pieśń żniwiarek i żniwiarzy,
Kto w pieśni rad swojskie powietrze chwyta,
Kto lubi chleb ze słowiańskiego żyta,
I ptactwa gwar wśród pola i dąbrowy,
I prosty lud wioskowy zaściankowy, —
Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnej osnowy.

Przypomnim wam i święte kłosów żniwo,
I letni skwar, i jesień szczodrobliwą,
I sosen szum, gdy chłodny gwar kołysa,
I straszny grom, co bije w dzień Borysa,
I granie trąb, i nasze gwarne łowy,
I skrzypiec dźwięk, gdy wieczór dożynkowy.
Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnej osnowy.

Przypomnim wam zimowych wichrów świsty,
Wieczornic gwar, i kulig uroczysty,
Pamiątkę świąt — zakolędujem, spiejem
Na stary ład piosenkę o Betleem;

I rozlew rzek, i wiosny oddech nowy,
Skowronka hymn, i jasny dzień majowy.
Kto chciałby tam
Marzyć, jak we śnie,
Niech przyjdzie k'nam:
Śpiewamy pieśnię,
Pieśnię rodzinnej osnowy.

CZĘŚĆ I. LATO.

RECITATIVO.

Jutrznia na niebie świtać poczyna,
Nad rośną trawą błądzi mgła sina,
A ponad rzeczką ptactwo świergota —
Słowik w olszniaku, chróściel z nad błota.
Śpi wioska w mroku szarych półcieni,
Ludzie, wczorajszą pracą znużeni,
Błogim spokojem zdjęci chwilowo,
Wzmacniają siły na pracę nową.
Kto umie oczy podnieść ku górze,
Widzi, jak Pańscy Anieli Stróże
Latają chórem, śpiewają radzi,
Ponad chatami sielskiej czeladzi,
I błogosławiąc jej sny poranne,
Bogu za ludzi pieją Hosannę.

CHÓR ANIOŁÓW.

O święty, święty, święty,
Boże i Ojcze nasz!
Co lud ten snem ujęty
Zdałeś pod naszą straż!
Oto gromada ludzi,
Gromada Bożych sług,
Do pracy wnet się zbudzi,
A weźmie sierp i pług.
Błogosław prac ich znoje,
Plonem ich ziemię darz —

I święć się Imię Twoje,
Boże i Ojcze nasz!

RECITATIVO.

Lecz się różowa jutrznia rozszerza,
Zbudził się kogut, skrzydły uderza,
I zapiał silnie pobudki hasło,
Że aż nad rzeczką echo zawrzasło.
I czujne kury, jak gdyby czaty,
Podają hasło z chaty do chaty,
Że wstawać pora. Stary Wasili,
By zbudzić swoich, czekał tej chwili.
Już od godziny sen go nie bierze,
Chodząc po dworze, mówi pacierze.
Jużby się z rosą napasła trzoda,
Lecz budzić młodszych staremu szkoda:
Syn jego Janko pracował dosyć,
I wczora kosił, i dziś ma kosić;
Lecz to już taki zwyczaj młodzieńczy,
Że śpi jak kamień, kiedy się zmęczy.
Coś sobie marzy i przez sen gada
O krasnej Hannie, córce sąsiada;
Niech sobie marzy, sercu dogodzi,
I my starcowie byliśmy młodzi.
Sen w biedach serca jedną pociechą!
Lecz kiedy kogut zapiał nad strzechą,
Zapiał powtóre, zapiał raz trzeci,
Wstań do roboty, wstań, synu kmieci!
Słonko pogodne, korzystaj z chwili.
Tak sam do siebie mówi Wasili.
Choć mu żal budzić synów i wnuka,
W okno do chaty donośnie puka.

WASILI.

Wstawajcie dzieci! świta na dworze,
Już od godziny krzątam się sam,
Już z za pagórka słoneczko Boże
Brzask na dzień dobry przesyła wam.

Otwórzcie ze snu, otwórzcie oczy,
Leniwej drzemki już minął czas.
Z Bogiem pocznijcie wasz dzień roboczy,
Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.
Wstawajcie dzieci! do pracy czas!
Już od godziny krzątam się sam,
Słońce dzień dobry przesyła wam,
Krzyż Chrystusowy niech wzmocni was.

RECITATIVO.

Już na głos starca w chacie się szerzy
Gwar pogadanki i szmer pacierzy.
Jak na głos matki robocze pszczoły,
Sypie się z chaty naród wesoły,
A komu oczy orzeźwić trudniej,
Bieży je przemyć do chłodnej studni;
A komu chatnia przykrzy się ława,
Chłodnym wietrzykiem piersi napawa.
Tak pokąd światło ziemię ogarnie,
Chatnie podwórze odżyło gwarnie;
Odżyła wioska w rannej pomroce,
Starcowie gwarzą, młodzież chychoce.
Ów idzie z kosą, drugi do żniwa,
Wójt do roboty dwornej zwoływa,
I w końcu wioski naród się tłoczy,
Wyszedł na pole orszak roboczy.
Janek przy Hannie — lecz spuścił głowę,
Chciałby rozpocząć słodką rozmowę;
Lecz kędy miłość do serca wpadnie,
Tam pogadanka idzie niesnadnie.
Od czego począć? — niełacna rada,
Serce już sercu resztę dogada,
Dusza przed duszą jakoś się sprawi,
Ale wokoło ludzie ciekawi,
A więc ostrożnie, z cicha, nieznacznie,
Niby przypadkiem, tak mówić zacznie:

JANEK.

Dzień dobry, Hanno! droga w połowie,
A twego głosu nic nie rozbudzi.
Jakie ci chodzą dumki po głowie,
Że się odezwać nie chcesz do ludzi?

HANNA.

Dzień dobry, Janku! myśl gdzieś się błąka
I do gadania chętka nie bierze,
Ja sobie słucham pieśni skowronka
I po cichutku mówię pacierze.

JANEK.

Co ten skowronek? lata nad zbożem,
Czyniąc w powietrzu jakieś igraszki.
Ty nam zaśpiewaj, my ci pomożem,
Ty, Hanno, lepiej śpiewasz niż ptaszki.

HANNA.

Śpiewać nie będę, — twoja pochwała
Do mego serca nic się nie wkradła.
Wszystkich piosenek jam zapomniała,
Poranna rosa na piersi spadła.

JANEK.

O, wiem ja dobrze, co ci się święci,
Czemu ci rosa na piersi spada!
Nie brakło piosnek twojej pamięci...
Kto inny prosi, ty śpiewasz rada.

HANNA.

Bój się ty Boga, dziwny człowiecze!
Rad, kiedy zręczność do kłótni zyska.
Lada dla żartu coś się wyrzecze,
Już zaraz gniewy i przymówiska.

JANEK.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.

Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

HANNA.

Ktoby się gniewał? zgoda już, zgoda!
Przepędźmy z oczu drzemkę poranną.

CHÓR.

Jeden drugiemu ochoty doda,
My ci pomożem, zaśpiewaj Hanno!

PIEŚŃ.

HANNA.

Kłosku żytni, czyż nie szkoda,
Że cię zeżniem z pola?
Pókiś jeszcze trawka młoda,
Póty życie i swoboda,
Póty lepsza dola!
Wpośród listków i badyli
Rośnie kłos zielony,
To do kwiatka się przymili,
To wesołą głowę schyli
W rozmaite strony.

CHÓR.

Deszcz dla niego — to otucha,
Wicher — to swawola;
Zda się żyje wpośród pola
I skowronka słucha.

HANNA.

Przeszła wiosna, przeszła marno,
Nastał miesiąc nowy;
Kłos obciąża bujne ziarno,
Jako myśli, co się garną
Do poważnej głowy.
On zesmutniał w suche lato,
Zżółkniał w czas dojrzania,
Przeszła młodość, cóż mu za to?

Głowę, plonem choć bogatą,
Ku ziemi nakłania.

CHÓR.

Skwar i słota go przeraża,
Grad i wicher troska,
A wesoły śpiew żniwiarza
Śmierci dlań pogłoska.

HANNA.

Ej! lepiej być trawką w wiośnie,
Pieszczotą motyli,
Niśli kłoskiem, gdy wyrośnie,
Ociężeje i żałośnie
Ku ziemi się schyli.
Lepsza młodość i śmiech skory,
Choć niema w nim treści,
Niż późniejszej wieku pory
Mądre, suche rozhowory
Z westchnieniem boleści.

CHÓR.

Puśćmy ducha na swobodę,
Gońmy senne mary:
Lepiej nosić serce młode,
Niśli rozum stary.

PIEŚŃ.

WÓJT.

Hej, chłopcy! na łąkę i kosić!
Jesteśmy przy drożnej figurze.
A dosyć tych śpiewów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Kwiateczki i wiatrów igranie,
Dobre to w piosence pastuszej;
To u mnie gospodarz, mospanie,
Co kwiatki na sianko wysuszy.
Was, dziewki, do żniwa mam prosić,

A snopy związywać mi duże!
I dosyć tych pieśni, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Te kłosy, to wiatrów igranie,
Zabawka dziecinna i marna;
To kłosek najlepszy, mospanie,
Co wyda najwięcej mi ziarna.

HANNA.

O Janku! ruszajcie już kosić,
Daj radę wójtowskiej naturze.

WÓJT.

A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Ja będę przechadzał się blizko,
Do kośby, do żniwa się wtrącę;
Niech będzie gładziutkie ściernisko
I równe przekosy na łące.
Ja umiem upartych poprosić,
Zaradzić upartej naturze.
A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!

RECITATIVO.

Przez długie morgi w śmiechu i gwarze
Długim szeregiem stoją żniwiarze.
Wójt ich gromadę dzieli na części;
Zboże dojrzałe pod sierpem chrzęści,
A kędy ostre żelazo błyska,
Ciągną się długie pasma ścierniska.
Słońce, z niebieskiej patrząc oddali,
Głowę żniwiarek gorącem pali;
Ręce ich ostre kaleczą ciernie;
Wójt w pracy nagli niemiłosiernie.
Źródlanej wody w gorącej chwili
Ostatnią konew żeńcy wypili.
A przecięż poradź z ochotą młodą!

One się śmieją i piosnkę wiodą.
Bo młode piersi sielskiej dziewoi
Piosnka nakarmi, piosnka napoi,
Piosnka umocni ustałe ręce;
I śmiech, i boleść — wszystko w piosence.
Więc hoża Hanna, idąc po przedzie,
Ład na zagonach i w piosnkach wiedzie.

PIEŚŃ ŻNIWIARSKA.

Przepióreczka w zbożu kwili,
Żeśmy gniazdo jej zburzyli!
I ze złości nieszczęśliwa
Różne rzeczy wygadywa;
Wygadywa i przeklina...
Ej, złośliwa to ptaszyna!

— Piejcie żeńcy! żnijcie zboże!
Wszak bogaty pan we dworze;
Choć pragnienie głos wam trudni,
Teraz wyschła woda w studni,
Ale gdy się wszystko pożnie,
Pan uraczy was wielmożnie,
Da wam miodu, da wam wina!
Ej, złośliwa to ptaszyna!

Pijcie, żeńcy, pijcie do dna,
Bo daleko wioska głodna.
Gdy wiosenne słonko wstanie,
Ciągną zboże na przystanie,
Wicinami k'Niemcom gonią,
A po wioskach w dzwony dzwonią,
Śmierć swe żniwa rozpoczyna...
Ej, złośliwa to ptaszyna!

Przepióreczka kwili w życie,
Panie wójcie, czy słyszycie?
Bież do dworu, pański sługo,
I przynieście strzelbę długą,

I zastrzelcie nam na dziwo
Przepióreczkę szczebiotliwą,
Niech nie jęczy, nie przeklina.
Ej, złośliwa to ptaszyna!

WÓJT.

Hej żwawo! czyż długo mam prosić?
Pilnujcie porządku na sznurze!
A dosyć tych pieśni, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!
Czujecie, jak pali... jak parno...
Zachodnia zachmurza się strona;
Deszcz będzie... zamoknie mi ziarno...
Robota przy snopach stracona!
Hej, żwawo do kopy je znosić!
Zagrzmiało... zbiera się na burzę...
A dosyć tych szeptów, już dosyć,
Bo ja wam inaczej zawtórzę!

CHÓR.

Czujecie, jak pali... jak parno...
Zagrzmiało... to Pan Bóg się gniewa.
Wiatr chmurę napędza już czarną,
I grozi straszliwa ulewa!

HANNA.

Jakby krwią słoneczko po ziemi
Mignęło... i w chmurę się chowa;
A chmura kłębami czarnemi
Wije się, jak chusta grobowa,
Świat zmienia w pieczarę podziemną.
Wiatr ustał... to cisza złowroga...
I straszno... i głucho... i ciemno...
Módlmy się! módlmy do Boga!

CHÓR.

Deszcz bujny kroplami już spada,
Wiatr zerwał się w czarnej pomroce,

„Margier z wysokich wałów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska.“

Co spotka, uchyla, gruchoce...
Módlmy się, bo idzie zagłada!

RECITATIVO.

Wtem błyskawica, jak gdyby żmija,
Ognistem pasmem Niebo przebija;
Piorun uderzył w rozdartą chmurę,
Aż ziemia drgnęła raz i powtóre,
I grom zahuczał w strasznym rozgwarze,
Strwożeni ludzie padli na twarze.

CHÓR ŻNIWIAREK.

A Słowo jego... a Słowo...
A Słowo stało się Ciałem!
Nie racz nas, wielki Jehowo!
Karać piorunnym postrzałem.
Niech nas Twa łaska osłania
W miłosierdzie bogata!
W chwilę Twego zagniewania
Nie bierz pomsty ze świata.
Czy w dobry czas
Popieścisz nas,
Czy w gromie drgasz,
Tyś Ojciec nasz!
Tyś Ojciec nasz!

(Łoskot burzy przerywany szmerem modlitwy).

HANNA.

O! dzięki... dzięki Ci, Chryste!
Snadź już się Pan Bóg nie gniewa:
Przechodzą gromy ogniste,
Ucichła straszna ulewa.
Z pod chmury — dzięki Ci, Boże! —
Zachód rozwidnił się złoty;
Ale już wieczór na dworze,
Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

CHÓR.

Człowiek pracować nie może,
Przemoknął w polu od słoty;
Oto już wieczór na dworze,
Puśćcie nas, wójcie, z roboty!

WÓJT.

Jeszcze z daleka i z cicha
Dochodzi nas łoskot gromu;
Idźcie już, dzieci, do domu!
Jam głodny, zmokły do licha!
Czuję, że serce mi wskrześnie,
Kiedy się człowiek posili.

CHÓR.

Hanno! zaśpiewaj nam pieśnię,
To będzie wracać nam milej.

HANNA.

Po nocnej rosie
Płyń, dźwięczny głosie!
Niech się twe echo rozszerzy,
Gdzie nasza chatka,
Gdzie stara matka
Krząta się koło wieczerzy.

Jutro dzień święta,
Niwa niezżęta
Niechaj przez jutro dojrzewa;
Niech wiatr swawolny,
Niech konik polny,
Niech skowronek tu śpiewa!

Blizko już, blizko
Chatnie ognisko,
Znużone serce weseli;
Tam pracowita
Matka mię spyta:
— Ileście w polu nażęli?

— Matko, jam młoda,
Rąk moich szkoda,
Szkoda na skwarze oblicza!
Źle szła robota,
Przeszkadza słota,
I moja dumka dziewicza.

RECITATIVO.

Niemasz, jak w lecie święta Niedziela,
Dzień odpoczynku, chwila wesela!
Gdy dzwon kościelny jutrznię wydzwoni,
I wiatr swobodniej hula po błoni,
I trzoda rankiem weselej ryczy,
I człek zapomni przeszłych goryczy;
Bo porankowych marzeń u ludzi
Wójt kołataniem w okno nie budzi.
Wolno ci, chłopcze, podniósłszy głowę,
Nie dbać na groźne miny wójtowe,
Wolno-ć się lubej słodko zalecić,
Wolno ci dziewczę głowę zakwiecić,
W świątecznej bieli wyglądać hożo,
Idąc w gromadce na służbę Bożą.
A cóż w kościele? aż spojrzeć pięknie,
Gdy przed obrazem gromada klęknie
I uszanuje Twe rany, Chryste!
Spojrzy w oblicze Matki przeczyste;
Przy biciu dzwonów śpiewając pieśnie,
Dusza ożyje i serce wskrześnie,
I tak umocni modlitwa święta,
Że żadnych cierpień człek nie pamięta.
Tylko wieczorem idąc z kościoła,
Kiedy dźwięk skrzypiec w gospodę woła,
I miód niedzielny myśli rozmarzy,
Starzy biadają — zwyczajnie starzy,
Oto w gospodzie gwar, zalecanka,
Młodzież się raźno zwija wśród tanka;

A otoczeni poważnem gronem,
Stary Wasili z kumem Szymonem,
Trącając w czarki, kiwając głową,
Zrzędzą na ciężką biedę wioskową.

SZYMON.

Co to będzie? ciągłe deszcze,
Już zamokła niwa;
Jam połowy nie zżął jeszcze,
Żal się Boże żniwa!
A gdy zboże chybi zbioru,
Będzie głód i nędza.
Miej w zapasie czynsz dla dworu,
Kolędę dla księdza.
Żona głodna, dziatwa naga,
Spocząć ani chwili,
Za niedobór wójt wysmaga...
Źle, kumie Wasili!

WASILI.

Ej, pamiętam lepsze czasy:
Człowiek żył w rozkoszy,
Zboża rosły gdyby lasy,
Czynsz był kilka groszy.

SZYMON.

Ryba w koszu, a człek w biedzie
Napróżno się sili...
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Źle, kumie Wasili!

WASILI.

Ku gorszemu wciąż się wiedzie,
W pracy krzepną dłonie...
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Źle, kumie Szymonie!

Razem.

SZYMON.

Prawda... prawda... źle się wiedzie,
Lichaśmy dożyli;
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie!
Źle, kumie Wasili!

WASILI.

Prawda... prawda... źle się wiedzie,
W pracy krzepną dłonie;
Ciężkie czasy, mój sąsiedzie,
Źle, kumie Szymonie!

JANEK.

Dość jęczeć na biedę i pracę kląć mozolną!
Drzemiecie, grajkowie! a niech was Pan Bóg kocha!
W Niedzielę, w gospodzie, po pracy spocząć wolno.
I sercu dozwolić, niech sobie hula trocha.
Starcowie! ojcowie! rozkażcie miodu wnieść!
Dziewczęta! jagódki! ja będę taniec wieść!
Wyskoczym, aż w Niebie zazdrościć będą nam.
Graj, stary muzyku! na struny grzywnę dam!

WASILI.

Bies licho przebędzie! Chłopaki, kółko czyńcie!
Graj, stary muzyku! dostaniesz kufel miodu!
Pamiętasz? pamiętasz? jak to przy twojej kwincie,
W tej samej gospodzie, hasałem ja za młodu?
Starcowie! ojcowie! niezgorszy był to czas!
Dziewczęta! jagódki! nie było jeszcze was!
Z waszemi babkami gdym hasał, ziemia drga!
Graj, stary muzyku, bo mi się kręci łza!

CHÓR.

Bóg święty odgadnie, czy się zbierzemy skoro?
Za chwilę, za dzionek, jesienne dni niezdrowe!
Starcowie zmierają, chłopców do pracy biorą,
Dziewczęta, jagódki zesmutnieć nam gotowe.

Co przeszło, co przyjdzie, zapomnim póki czas.
Ojcowie! starcowie! pobłogosławcie nas!
My w tanku rzęsistym wzbijem gospodny pył,
Graj, stary muzyku, dopóki starczy sił!

1852. Wilno (dom Müllera).

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE
W PIĘCIU USTĘPACH.

OSOBY:

MARYA.
P. HENRYK, literat-pocta.
P. CZCIONKA, księgarz edytor.
P. Sędzia PŁODOZMIAN.

USTĘP PIERWSZY.
(Rzecz w ogrodzie publicznym).

HENRYK, CZCIONKA.

CZCIONKA.

Raduję się, że pana napotykam wreszcie.
Ho! ho! latasz, łaskawco! masz intryżki w mieście...
Czemu nie? młodzi ludzie... bardzo temu wierzę.
Ja byłem razy ze trzy na pańskiej kwaterze,
A zastać go nie mogłem.

HENRYK.

Co chcesz, panie Czcionka?
Człowiek, idąc bez myśli, łacno się zabłąka.
Chodziłem na brzeg rzeki, splondrowałem góry.
Śmieszna to rzecz doprawdy ta miłość natury:
Codzień patrząc na widok jeden i ten samy,
Nigdy się nie napatrzym, ani nasłuchamy.

Koleje dnia i nocy, wieczoru i ranka,
Zdaje się już zużyta, znana powtarzanka:
Wiosna jest córką kwietnia, jesień listopada,
Latem słońce dopieka, a zimą śnieg pada;
A jednak w tych kolejach niebieskiej budowy
Codziennie i corocznie upatrzym wdzięk nowy.
Słuchaj, jak szumią drzewa, jak pluchocą wały,
Codzień ci coś doszepcą, czego nie szeptały;
Patrzaj na stare słońce: od tylu stuleci
Jednostajnym sposobem ogrzewa i świeci,
A jednak ile razy z poza chmury błyśnie,
Zawsze ci słodki uśmiech na twarzy wyciśnie,
Codziennie zda się piękniej wschodzi i zachodzi.

CZCIONKA.

Najzupełniejszą słuszność mówi pan dobrodziej:
Natura, jasność słońca i bladość księżyca,
Nie spada ze swej ceny... to jest... nie przesyca.
Jej miłe, lubo zawsze jednostajne zmiany,
Porównałbym do książki dobrze napisanej,
Której co rok edycya dostarcza się nowa
I z Lipska, i z Poznania, z Warszawy, ze Lwowa,
Jednak wciąż ją kupują mędrcowie i prości,
Bo stała się potrzebą naszej publiczności;
Zawsze będzie dla ducha pożyteczną strawą,
Czy ją wydasz in quarto albo in octavo.
Otóż z powodu książek, zapytam nawiasem:
Co pisze pan dobrodziej?

HENRYK.

Próżnuję tymczasem.
Lubię pochmurną jesień, jej mgliste poranki,
Lubię z dobrymi ludźmi siąść do pogadanki.
Tak przechodząc kolejno od gwaru do ciszy,
Czasem się coś wymarzy, czasem coś posłyszy,
Niekiedy dobra książka do ręki mi wpadnie,
To wszystko w głębi duszy gromadzę bezładnie;
Bo z owych wrażeń życia — smutno czy radośnie,

Zawsze się treść wysączy i korzyść urośnie,
Albo sercu pociecha, lub głowie nauka.

CZCIONKA.

A! teraz zrozumiałem... to pan wrażeń szuka,
I z książki, i z natury, i z przyrody całej
Do przyszłego utworu zbiera materyały.
Niech mi się godzi spytać: czy ten utwór śliczny
Będzie w guście poważnym, czy humorystycznym?
Czy wierszem? czyli prozą?

HENRYK.

A broń Panie Boże!
Ja teraz nic nie piszę, nic w myślach nie tworzę;
Zbieram sobie bez celu wrażenia i fakta.

CZCIONKA.

Teraz pan nic nie pisze... chyba pod kontrakta.
Trzeba pańskiemu pióru z czemś wystąpić chlubnie,
Na kontraktach we Lwowie, Kijowie i Dubnie.
Co teraz mamy?... sierpień... aż mię strach ogarnia!
Wrzesień zajmie cenzura, październik drukarnia,
A tu jeszcze dla lepszej na oko odznaki,
Wypadnie dać rycinę, lub drzeworyt jaki...
Na wszystko trzeba czasu... Dalej, panie, dalej!
W zasłużony kałamarz atramentu nalej,
Spiesz, się, spiesz pan dobrodziej dobijać wawrzynu!
Od abstrakcyjnych marzeń czas wziąć się do czynu!
Co zaś do kosztów druku, pomówim w tym względzie.

HENRYK.

Ja nic nie będę pisał.

CZCIONKA.

Pan pisać nie będzie?

HENRYK.

Nie myślę.

CZCIONKA.

Pan nie myśli?

HENRYK.

Powtarzam raz trzeci.
Czytałeś pan o czajce, bajeczkę dla dzieci?
Ja nie chcę brać za pióro przymuszoną dłonią,
Ja nie chcę gonić natchnień...

CZCIONKA.

To niech pana gonią!
Zresztą... poco te żarty?... mnie oczy nie mylą:
Oto w pańskiem mieszkaniu, kiedym był przed chwilą,
Spojrzałem... broń mię Boże!... bez żadnej rachuby...
I widziałem na stole jakiś poszyt gruby.

HENRYK.

Nic tam z tego poszytu obcy nie skorzysta:
To prosty mój pamiętnik... to rzecz osobista,
To pismo nie dla druku, nieprzedażna praca.

CZCIONKA (na stronie).

Hm... autobiografia... to dobrze popłaca;
Można wydać z portretem...

(Głośno:)

Pan dobrodziej mówi,
Że swój teraz poświęca czas pamiętnikowi;
O czem to, proszę pana?

HENRYK.

O wszystkiem, mój panie.

CZCIONKA.

W rodzaju fantastycznym?...

HENRYK.

Mniejsza o nazwanie.
Skupiam wrażenia życia, rozkosze i ciernie.
Ręka drży mi, gdy piszę, a maluję wiernie;
Bo tu każdy obrazek, jak się w głowie kręci,
Rys po rysie przenosząc, maluję z pamięci.
Życie, to rzecz ciekawa, kto je pilno zbada:
W powszednich jego chwilach jest dramat nielada,

A cóż w dni uroczyste, lub w dni ciężkiej próby?
Oddaj je tylko wiernie, bez żadnej ozdoby,
Toć gotowi powiedzieć, że zmyślasz z przesadą —
Przy nim dramat Szekspira wyda się za blado.
Dni nasze, jak cień, giną, więdnieją jak trawa,
A doprawdy żal wspomnieć, bo to rzecz ciekawa!
Co tu różnych obrazów! co tu różnych ludzi!
Jedno rzewne westchnienie, drugie śmiech obudzi,
Albo dumkę wywoła, albo przeszłość cała,
Doświadczenie dawniejsze na przyszłość podziała.
Wierzaj mi, panie Czcionka, uchylmy zasłonę,
W pamięci znajdziem skarby nieukorzystnione.

CZCIONKA.

Skarby znajdziem? No proszę! któżby ich nie chwytał?
Dlaczegoż mają leżeć, jak martwy kapitał?
W obrót je, panie, w obrót! to za krótką chwilę
Dadzą alterum tantum, to jest drugie tyle.

HENRYK.

Wielką myśl powiedziałeś... Tak, wzorem handlarza
Podwaja własne życie, kto przeszłość rozważa.
Weźmy pamiątki życia, spiszmy je najściślej,
Wszystko, co się przecierpi, przekocha, przemyśli;
Wykreślmy wierny obraz, choćby w mniejszej skali,
Ludzi, co z nami żyli, miejsc, gdzieśmy bywali;
Wpuśćmy tu woń powietrza, promień słońca złoty, —
A potem w dzień zwątpienia, smutku czy nudoty,
Kiedy w życiu obecnem pocieszenia niema,
Weźmy kartkę po kartce przesnuć przed oczyma;
A rozważając życia minione koleje,
Gdy się nieraz zapłacze, lub szczerze zaśmieje,
Gdy się mignq przed nami młodociane lata,
Gdy serce po dawnemu w piersiach zakołata,
Gdy twarze niegdyś lube zabłysną radośnie —
Toć i wrażeń przybędzie, i życia przyrośnie.
Jak żeglarz nad dziennikiem ubiegłej żeglugi,
Podróż naszego życia odprawim raz drugi.

CZCIONKA.

Podróż... to bardzo pięknie... ja sternikiem służę...
Nasza publiczność lubi ciekawe podróże.
Ale przebacz, że prawdę wyświecę ci nagą:
„Turczyn wojażujący“ i Jakób Arago,
Toć oba podróżnicy, oba piszą dziwa;
Ale Turczyn w księgarni stosami spoczywa,
A za „Podróż Arago naokoło świata“
Mniej więcej... codzień prawie... oberwę dukata.
Bo dzisiaj wiek postępu.

HENRYK (zamyślony).

Tak.

CZCIONKA.

Wiek dziewiętnasty:
Dziś publiczność rozezna, co kwiat, a co chwasty,
Od rzeczy mdłych, bezbarwnych czytelnicy stronią;
Co jest kwiatem, niech będzie z narkotyczną wonią,
Co jest tylko pokrzywą... jest miejsce i dla niej,
Niech tylko pali, piecze i aż do krwi rani, —
Wszystko dobrze zapłacą, przyjmą jak najsłodziej,
Lecz trzeba mocnych wrażeń... słyszy pan dobrodziej?
Naprzykład, podróż pańska...

HENRYK (ocyka się z zamyślenia).

Jaka podróż, panie?

CZCIONKA.

Ach, przepraszam... pamiętnik... poufne wyznanie...
Coś w guście Lamartine'a...

HENRYK.

W moim własnym guście.

CZCIONKA.

Tworzycie nowy rodzaj... a i owszem! stwórzcie;
Niech tylko każda postać, którą nakreślicie,
Ma... jakby to powiedzieć?... ruch, wyraz i życie;

Niech się w każdej postaci dobitnie i rzeźwo
Jej własne charaktery, jej słowa odezwą...
Ja, widzi pan... w tych rzeczach nie jestem zbyt biegły,
Lecz takie wymagania jakoś się dostrzegły
W pismach krytyków naszych... pan rozumie przecię?
W Dzienniku i w Przeglądzie, a nawet w Gazecie;
A z Dzienników, z Przeglądów, jak to w handlu widno,
Dzisiaj się i publiczność uczy być wybredną.
Czy pan to uważałeś?...

HENRYK (machinalnie).

Widzę wyśmienicie.

CZCIONKA.

I według tych wymagań kreślisz własne życie?
To pięknie! bardzo pięknie! zgoda co do joty!
Daj mi pan w kilku słowach szkic swojej roboty.

HENRYK.

Chcę, widzisz, panie Czcionka, moją przeszłość całą
Owiać takiem powietrzem, jak się oddychało
W moje lata dziecinne. Niech z kart pamiętnika
Wieje aromat łąki, gdziem łapał konika;
Chciałbym wydać ten odgłos na rzecznej zatoce,
Jako fala pienista po żwirze pluchoce;
Niech olcha gwarzy z olchą swych liści szelestem;
Niech mi się zda samemu, że ja dzieckiem jestem,
Że na kiju ojcowskim harcuję ochoczo;
Niech mię lube dzieciństwa postacie otoczą,
Niech mię upominają, żem chłopak swawolny.
Chcę oddać dźwiękiem słowa pierwszy dzwonek szkolny;
Niechby moich dzisiejszych czytelników łono
Zadrgało razem ze mną radością szaloną,
Gdym pierwszy raz nauki skończył w Imię Boże,
Gdy pierwszy list pochwalny rodzicom przywożę;
Chcę, aby w pamiętniku ów moment ocalał,
Gdy ojciec list przeczytał i łzami się zalał.
Chcę utrwalić piskliwe organy u fary,
Gdym jeszcze służył do Mszy, a nasz pleban stary

Wyciągał „Święty Boże!“ całą siłą piersi;
A ludzie, w nabożeństwie gorliwsi i szczersi,
Uniesieni modlitwy władzą tajemniczą,
W sto głosów niedobranych na odpowiedź krzyczą.
Lecz Bóg nakłaniał ucha do prostego wrzasku...
Tak to chciałbym obrazek przenieść po obrazku, —
Choćby tu nie błyszczały kolorytu dziwy,
Lecz każdy byłby rzewny, bo każdy prawdziwy.

CZCIONKA (na stronie).

Hm! obrazek domowy, nakreślony z duszy,
Będzie bujnego druku na kilka arkuszy.
Czuję węchem wydawcy, że to nie zła próba,
Że prześwietna publiczność dziełko upodoba.
Cóż dalej? słucham pana.

HENRYK.

Dalej, panie Czcionka,
Kolejno moje oko w przeszłości się błąka,
I czuję niepojęte artysty rozkosze.
Kiedy wszystkie jej rysy na kartę przenoszę.
Drży ręka, gdy się biorę za podobną pracę,
Oko łzami zapływa, a serce kołace.
A jednak wśród tych wzruszeń odżywam najsłodziej,
A jednak obraz wierny z pod pióra wychodzi;
Bo obraz w mej pamięci wyżył się pomału,
Przystroił się w tęczowe barwy ideału.
Dziś dobitniej się może, niż wtenczas, odsłania
Kronika mojej wiary, mego wychowania,
Koleje pierwszych wrażeń: jak? kiedy? dlaczego?
Rozwój najdroższych uczuć, co mi serca strzegą,
Co mi nie dają zginąć w zwątpienia obłędzie.
Na przykład: pierwsza miłość...

CZCIONKA.

Ho! i miłość będzie!
A przyznam się — począłem był tracić otuchę,

Bo psychiczne badania zwykły bywać suche;
Filozof je oceni, lecz ogół nie kupi.

HENRYK.

Nie bój się!... mój pamiętnik, to nie cmentarz trupi:
Tam na tle młodych rojeń, we właściwej szacie,
Ruszają się i żyją prawdziwe postacie.
Tam postać mojej matki, tam siostry, tam krewni,
Tam jest niejedna scena, co serce rozrzewni:
Mój dyrektor, i pleban, i włościanie z wioski,
I arendarz brodaty, faworyt ojcowski,
I szlachta, co poluje, i dziewki, co przędą;
Jest nawet organista, co jeździ z kolędą.
Każdą postać maluję tak wiernie, tak święcie,
Że ją poznasz z oblicza, poznasz po akcencie,
Każdą łatwo odgadniesz po mowie i głowie,
Czego się nie domyślisz, serce ci dopowie.
Jedna tylko jest postać niedokładna nieco,
Bo serce nadto drżało...

CZCIONKA (ze śmiechem).

Tę postać... kobiecą
(Widzisz pan, żem się rzeczy domyślił w tej chwili)
Jużbyśmy w edytorskim przypisku skreślili.

HENRYK (z zapałem).

Ty skreślisz, panie Czcionka? ty!... harpagon blady?!

CZCIONKA.

Ja, com czytał romanse, powieści, ballady;
Wszak w poetach miło jednostajna miarka.

HENRYK (z zapałem).

Choćbyś serce znał Tassa, choćbyś znał Petrarka,
Choćbyś oczy wyślepił w łacińskim Nazonie,
Nie zdołasz oddać nieba, co w jej oczach płonie!
Słuchaj... ja byłem stary... byłem bardzo stary...
Wśród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,
Za życia kamień grobu już czułem nad głową, —
Ona tylko spojrzała... jam odżył na nowo!

I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,
I powagę lat moich, i marzenia moje;
A wtórując szczebiotom niewinnego dziecka,
Anim poczuł, jak mija godzina zdradziecka,
Jak mija cały dzionek... przyszedł zachód dzionka...
Jam przecię człek statysta — znasz mię, panie Czcionka,
I zadziwisz się pewno: skąd mi zapał służy?
Jam biegał na wyścigi pośród malw i róży,
Bo to było w ogrodzie — był wieczór majowy...
Wtem — Bóg wie skąd tęsknota obwiała nam głowy,
I usiedliśmy razem pod wierzbą pochyłą,
I bolesne westchnienie dwa serca przeszyło,
I nie mogliśmy zgadnąć, choć nam głowę utnij,
Dlaczegośmy weseli? dlaczegośmy smutni?
Dziwne serce człowieka!...

CZCIONKA.

To dalipan dziwno!
Ja sam, słysząc od pana tę powieść naiwną,
Czułem, jak dreszcz tajemny przebiegł po mej duszy...
Co pan chcesz za pamiętnik, licząc od arkuszy?
Proszę mieć na uwadze, że to wydać myślę
In octavo minori, nie drukując ściśle.

HENRYK.

Co pan chcesz? nie rozumiem.

CZCIONKA.

Chcę nabyć tę pracę.

HENRYK.

Ależ to nie na przedaż!

CZCIONKA.

Ja dobrze zapłacę:
Pięć talarów za arkusz... zresztą, mniejsza o to,
Sześć talarów zapłacę i wydam z ochotą;
Edycyjka przepyszna, okładka różowa.

HENRYK.

Źle widać, panie Czcionka, pojąłeś me słowa:
Toż moja osobistość, moja dusza przecię!
Chcesz, abym własne serce stawił na tandecie;
Ja tego nie przedaję!

CZCIONKA.

Widzisz pan, żem skory:
Za jeden arkusz druku octavo minori
Płacę siedem talarów — widzisz pan, że dużo.
Dzisiaj trudno o pieniądz, dziś czasy nie służą;
Drukujemy, sprzedajem, a straty ponosim.

HENRYK.

Lecz, panie...

CZCIONKA.

No... pół-ósma — niech już będzie osiem;
Dawaj prędzej rękopism!

HENRYK (powstając z urazą).

Co pana ośmiela
Grać tutaj jakąś rolę ducha-kusiciela?
To pismo ciekawości niczyjej nie wzbudzi:
Kreśliłem je dla siebie, nie dla obcych ludzi.
Pan myślisz, że dam spocząć dla marnego zysku
Świętokradzkiej źrenicy na cichem ognisku?
Że dla waszej zabawki, choć w karykaturze,
Najdroższe memu sercu postaci powtórzę?
Że dla was własne piersi i serce otworzę,
Byście anatomiczne zatapiali noże,
Abyście łzę bolesną, kiedy oczy gryzie,
Mogli poddać chemicznej ścisłej analizie?
Ja nie wyjdę na pokaz przed publiczne grono,
Niegodzienem zaszczytu, by się mną trudniono.
W serdeczny mój pamiętnik całą duszę włożę;
Lecz to rzecz nie dla druku, panie edytorze!
Ja siebie nie przedaję.

CZCIONKA.

I to mię nie dziwi:
Ilu znałem poetów, wszyscy są drażliwi.
Czyż ja panu krzywdzące przełożenia robię,
Byś wychodził na pokaz we własnej osobie?
Owszem... jeszcze rzecz sama na wartości zyska,
Gdy się odmienią miejsca i osób nazwiska;
A że tu pozwolona zupełna swoboda,
Toć pan dla niepoznaki coś ujmie, coś doda.
W przedmowie się zazwyczaj wiadomość udziela,
Że to niby pośmiertna praca przyjaciela,
Odszukana w papierach — zresztą moja bieda!
Jakoś się wydrukuje, jakoś się wyprzeda.
Trzeba tylko obmyślić jakiś tytuł gładki,
Naprzykład: „Podróż życia“, lub „Moje notatki;“
Jak pan chcesz, bo co do mnie, byłbym za „Podróżą.“
Widzę dobry punkt wyjścia, widzę ognia dużo;
Gdy autor o swej pracy rozprawia z zapałem,
Musi być rzecz niezgorsza i czarno na białem.
Prawdaż?!

HENRYK.

Gorsza czy lepsza, ale nie na przedaż.
Nie dam panu tej książki.

CZCIONKA.

Jakto! pan mi nie dasz?

HENRYK.

Bo to rzecz osobista, to rzecz dla mnie święta.

CZCIONKA.

Pan się, widzę, zbyteczną sumiennością pęta.
Potrzeba tylko dodać wstęp i zakończenie,
Zmienić nazwiska osób.

HENRYK.

Ja nic nie odmienię
I drukować nie myślę.

CZCIONKA.

Nie??

HENRYK.

Za nic na świecie!

CZCIONKA.

Dałbym panu zadatek w brzęczącej monecie.

HENRYK (z uśmiechem).

Schowaj twój pieniądz w worek, ja książkę w zacisze.

CZCIONKA (na stronie).

Nie przyjmuje pieniędzy... to pierwszy raz słyszę!
(Głośno).
Namyśl się pan nakoniec — pospieszmy z umową.

HENRYK.

To książka nie dla druku.

CZCIONKA.

To ostatnie słowo?

HENRYK.

Ostatnie i stanowcze.

CZCIONKA.

Niemasz z panem rady!
Bądź pan zdrów, kiedy moje odrzucasz układy.
Ja spieszę, nie mam czasu.
(Ściska mu rękę i odchodzi).

HENRYK.

Żegnam, panie Czcionka!
Ja sobie pójdę słuchać, jak wodospad brząka;
Pójdę...

CZCIONKA (wraca).

Za pozwoleniem — jeszcze jedno słówko:
Ja chcę kupić rękopism, ja płacę gotówką.
Odmawiasz pan?

HENRYK.

Odmawiam.

CZCIONKA.

Ha! to trudna rada!
Więc przynajmniej o jedno prosić mi wypada:
Byś tego pamiętnika, z którym tak się biedzę,
Nie odstąpił, broń Boże, mojemu koledze.
Ja, albo nikt nabywcą — daj pan słowo?...

HENRYK.

Zgoda!
Przyrzekam, że się nigdy do druku nie poda.

CZCIONKA.

A jeśliby przypadkiem, jeśli po namyśle,
Panbyś się zdecydował na projekt, co kreślę,
To wtenczas...

HENRYK.

Obaczymy — za rok, za dwa lata.

CZCIONKA (odchodząc, na stronie).

Jak mu grosza zabraknie, to sam zakołata.

USTĘP DRUGI.

MARYA, HENRYK.

MARYA.

Ty milczysz, jakbyś nierad, żem dzisiaj wesoła,
Wiesza się myśl pochmurna u twojego czoła.
Czy mię kochasz?

HENRYK.

Och, kocham całą duszy siłą!
A cóżby memu życiu radością świeciło?
Skądżebym czerpał siłę na ciernistą drogę?
Na świecie duszno... chłodno — ja tu żyć nie mogę...
Och! gdyby nie uczucie, którem żyję cały!
Tu niema dość powietrza na oddech zbolały!
Ja ciebie muszę kochać całą mą istotą.

MARYA.

Kochasz z musu — dziękuję! — ale mniejsza o to!
Czy wierzysz w moją miłość? — odpowiadaj szczerze.

HENRYK.

O! wierzę, moja luba, jak we świętość wierzę!
Tą wiarą tylko żyję, tą wiarą się pieszczę...

MARYA.

A przecię jesteś smutny.

HENRYK.

Och! bo smutniej jeszcze
Być szczęśliwym, jak w raju, i żegnać się z rajem,
I nie czuć się w możności dać szczęście nawzajem.

MARYA.

Jak to?

HENRYK.

Posłuchaj, luba! jam zawinił srodze,
Żem ciebie śmiał pokochać, że tutaj przychodzę,
Żem rozdmuchał w twem sercu uczucia żarzewie.
O twojem przywiązaniu ani ojciec nie wie,
Ani świat się domyśla.

MARYA.

To i cóż za bieda?
Alboż myślisz, że ojciec mej ręki ci nie da?
On, co ciebie tak ceni, szacuje i kocha!
Zresztą, jeżeli widzisz, że to zdrożność płocha,
Że się czasem widujem w tajemnym sposobie,
Mów mi... mów mi, mój luby, ja co zechcesz zrobię.
Pójdę zaraz do ojca, opowiem rzecz całą:
Jak to się pokochało, jak miłość wyznało;
Kto kocha pełnem sercem, całą duszy mocą,
Nie ma się czego wstydzić, ani lękać o co.
Ja ci chętnie powierzam przyszłość mojej doli;
Ojciec wszystko pochwali, — na wszystko zezwoli;
Czegoż tu więcej trzeba?

HENRYK.

O lube ty dziecię!
Tobie trzeba dostatku i szczęścia na świecie,
Twoja myśl taka czysta, dusza tak niewinna,
Samem szczęściem na ziemi oddychać powinna,
A ja cóż ci dać mogę?

MARYA.

Czegoż trzeba jeszcze?
Dasz mi serce wzajemne, dasz mi imię wieszcze,
Toż nam duszę zapełni, próżność zadowolni.
Będziemy sobie razem weseli, swawolni,
Poprzestaniem na chlebie i na nizkiej strzesie.

HENRYK.

Ja nie mam własnej strzechy.

MARYA.

To kup chatkę w lesie.
Małą, z nizkiemi okny, otoczoną sosną.
Wkoło skopiem ogródek... tam kwiatki wyrosną;
Zaprowadzim rój pszczółek w gospodarstwo nasze,
Potem parę gołębi wpuścim na poddasze;
Kupimy parę krówek — toć będzie mleko;
A w rzece, co za domem płynie niedaleko,
Pluchotać będą rybki, pływać ptactwo wodne.
Czyż jeszcze takie życie niedosyć wygodne?
Wszak my cichej natury wychowańcy prości;
Czy nam światu zazdrościć? — niech świat nam za-
[zdrości.

HENRYK.

Lecz dola twoja świetna — rodzina zamożna...

MARYA.

Czyż dostatków na szczęście zamienić nie można?
A czyż jest większe szczęście nad ustronną ścianę,
Gdzie płynie jedno życie w dwoje serc rozlane?
Wkoło piękna natura, co nam oko bawi,
Nad nami dobry Pan Bóg, co nas błogosławi.
Słuchaj mię... w takiem życiu myślami i duszą,

Mierność... nawet ubóstwo... koniecznie być muszą;
Będzie więcej uroku, popędu do pracy,
Serca nam nie potoczą lenistwa robacy,
Żwawo krzątać się będziem o wzajemnej doli,
Jedno będzie bolało, gdy drugie zaboli,
Jedno cieszyć się będzie drugiego weselem,
I wzajem sobie drogę kwiatami uścielem,
Tysiącznemi drobiazgi — wzajemną przysługą...
Obaczysz... będziem młodzi na długo, na długo!
Marzę: ze snu raniutko wstajemy oboje,
Ja ci kwiatki podleję i krówkę wydoję,
Nazbieram słodkich malin i poziomek w lesie,
Ty sobie będziesz pisał, co ci myśl przyniesie.

HENRYK.

Albo pójdę ze strzelbą w majową pogodę.

MARYA.

Przyniesiesz mi jarząbka, albo sarnię młode,
A ja cię wyjdę spotkać... gdzieś... aż na rozdroże.

HENRYK.

A ja ci za to ładną piosenkę ułożę.

MARYA.

I zjemy smaczny obiad.

HENRYK.

I siądziem pod brzozą.

MARYA.

A ty mi coś przeczytasz wierszami lub prozą.

HENRYK.

A ty weźmiesz rysunek lub ręczną robotę.

MARYA.

Czasem z polnych stokroci wianek ci uplotę.

HENRYK.

Czasem ja pójdę z sochą.

MARYA.

Ej, na cóż ta socha?!
Choć zresztą nic nie ciężko, gdy kto szczerze kocha.
Ja wezmę sierp żniwiarki — me ręce odważne,
I całą kopę żyta za godzinę nażnę;
I wrócimy do domu, spoceni, znużeni, —
Obaczysz, jak wesołość twarze opromieni!
I pobieżymy skocznie o wieczornej porze,
I łowić żwawe rybki będziem na jeziorze,
Jedną wędką — nie prawdaż? jam biegła w tej sztuce;
Wstyd ci będzie, gdy zręczniej mój haczyk zarzucę.
I wrócimy do domu z plonem i z chychotem,
A sen nasz będzie błogi.

HENRYK.

Ani wątpić o tem!

MARYA.

Czy złe życie?

HENRYK.

To Niebo!...

MARYA.

Głowa mi się pali!

HENRYK.

Stworzyć Niebo na ziemi... zuchwali! zuchwali!
Czy tu takiego szczęścia doczekać się możem?
Och, luba! z marzeniami ostrożnie, jak z nożem,
Bo ci serce zakrwawią, wyssą po kropelce.

MARYA.

A czyż nasze marzenia tak zuchwałe wielce?
Innych upaja chciwość, albo pycha zdrożna,
A nam o chatce w lesie pomarzyć nie można?
Czyż to Boga rozgniewa, że nam będzie błogo?
Kup tylko cząstkę lasu malutką, niedrogą,
Kup ogródek do kwiatków i chatkę poziomą,
Choćby nietynkowaną, choć pokrytą słomą,

Dwie krówki, wędkę z haczkiem i gołąbków dwoje, —
A już się ja o przyszłość nic a nic nie boję!
Znam ojca... on zezwoli... on pobłogosławi.
Otóż jak będą na nas patrzali ciekawi!
Jak nam zajrzą zawistni! — lecz nie nasza wina:
A poco świat dla złota serca zapomina?
Niechże teraz zazdrości, niechaj się nam dziwi!
Jak porzucą egoizm, to będą szczęśliwi:
Wszak tacy sami ludzie, jak my, tak i oni,
Wszak Pan Bóg szczęścia duszy nikomu nie broni.

HENRYK (klęka z zapałem).

O luba! dziecko Niebios szlachetne i piękne!
Z tobą się ciernistego życia nie przelęknę:
Tyś zamknęła w uczuciu wszystkie marzeń światy!
Nie straszy mię ubóstwo; bo mój duch bogaty!
Ja spełnię twoje szczęście, — o czuję, że spełnię!
Bo kochać tak serdecznie, kochać tak zupełnie,
Kochać potęgą duszy nikt silniej nie zdoła!

MARYA (powstając z uśmiechem).

Ty chciałbyś ze mnie stworzyć ziemskiego anioła,
A ja prosta ziemianka — proszę cię, mój luby,
Kupując chatkę w lesie, pilnuj się rachuby:
Nie przepłacaj, to pierwsze; a twem okiem wieszczem
Patrzaj, czy dach gruntowny, by nie płynąć z deszczem;
A ważniejszy od pierwszych, to warunek trzeci,
Aby w lesie dość było poziomek i kwieci.
A zresztą Bóg nad nami, dziej się Boża wola.

HENRYK.

Kupię ci piękną chatkę, żyzny zagon pola,
I rzeczkę o błękitnej, kryształowej fali.

MARYA.

A kiedy to nastąpi?

HENRYK.

Za miesiąc najdalej.

MARYA.

Miesiąc... jakież to szczęście wabi mię z daleka!
Bądź zdrów — bądź zdrów, mój luby! bo mię ojciec
[czeka.

USTĘP TRZECI.

(Mieszkanie Henryka).

HENRYK, PAN SĘDZIA PŁODOZMIAN.

P. SĘDZIA (wchodząc pogląda na Henryka, mówiąc do siebie).

Twarz ma pełną prostoty... lubię takie twarze.
(Do Henryka, kłaniając się:)
Czy tu mieszka pan Henryk?

HENRYK.

Co mi pan rozkaże?

SĘDZIA (zawsze z ukłonem).

Przepraszam... nie przeszkadzam... do nóżek się ścielę...
Jestem sędzia Płodozmian... słyszałem tak wiele,
Tak wiele chlubnych rzeczy o pańskiej osobie,
Że cieszę się serdecznie i winszuję sobie
Przyjemności poznania.

HENRYK.

A niechże pan siada.

SĘDZIA (siadając z ukłonami).

Spotyka mię w tej chwili przyjemność nielada:
Wyczytałem w gazecie, w numerku ze środy,
Że pan szukasz nabycia wioskowej zagrody,
Majątku w stronie leśnej.

HENRYK.

Majątku? broń Boże!
Po prostu chatki w lesie, — dwa morgi na zboże,
Parę ulów na pszczoły i kawał ogródka.

SĘDZIA.

Majątek... mająteczek... czy chatka malutka,
To prawie wszystko jedno... Otóż...
(Powstaje z ukłonem).
Co za radość,
Jego szanownym chęciom gdy uczynię zadość!
Mam właśnie mająteczek, bez gruntu, bez włości:
Mieszkali tam leśniczy, albo strzelcy prości,
Nie umieli korzystać, zwyczajnie prostacy;
Lecz tam troszeczkę gustu, a troszeczkę pracy,
Będzie złote jabłuszko, opasane lasem.
Lubisz pan polowańko?

HENRYK.

A poluję czasem.

SĘDZIA.

Tam, byle nie zbywało na dobrej ochocie,
Są kaczeczki w jeziorku, są bekasy w błocie;
Wprawdzie błotko z jeziorkiem na gruncie sąsiada,
Lecz to poczciwa dusza... będzie panu rada.
Zresztą, pan, jak słyszałem, i wierszyki pisze,
A niemasz dla poety, jak leśne zacisze!
Tam wspaniałe zarośla, niebotyczne drzewa,
Wiatcr huczy w sosenkach, a słowiczek śpiewa,
Aż dusza się rozpływa. Ale z ideału,
Przepraszam, że na ziemię powrócę pomału.
Pan tych rzeczy nie lubisz, ale trudna rada:
Bez korzyści poziomych ideał przepada!
Więc mówmy o korzystkach, jakie kupno niesie.
Będziesz pan miał i grzybki, i jagódki w lesie,
I ziółeczka lekarskie, bujne tak dalece,
Że niezgorsze pieniążki można wziąć w aptece.
Zresztą, dwa morgi gruntu, a łąki bez miary;
Wprawdzie w polu piaseczek — na łące... wiszary,
Zwyczajnie... postać lasu właściwa tym stronom.
Ale pan masz naukę!... pan tęgi agronom!
U nas kraj zaniedbany w prostocie wieśniaczej;

Niech nauka w pustynie zagłębić się raczy,
A znajdzie plon szeroki, niesłychany w mieście:
Fizyk, chemik, botanik, archeolog wreszcie,
Ktoś, jak pan, co wioseczkę rozpoznawszy trocha,
I rozumem oceni, i sercem pokocha,
Z cierniska stworzy róże — piękne, wonne róże.
Jakże będę szczęśliwy, gdy panu usłużę!

(Siada).

HENRYK (z uśmiechem).

Jakaż tego obszerność?

SĘDZIA.

Ze trzy morgi może.

HENRYK.

A czy dach nie zacieka?

SĘDZIA.

Chowaj Panie Boże!
Przed kilkunastu laty przeciekały deszcze,
Więc go pokryłem słomką — ta trzyma się jeszcze.
Ideał wiejskiej chatki! a zwłaszcza w jesieni,
Gdy się meszek na dachu bujnie zazieleni,
To widok malowniczy, domowy, ojczysty,
Co się gwałtem napiera pendzla pejzażysty.
Och! pocóż interesa ciążące na karku
Zmuszają mię zamieszkać w podmiejskim folwarku!
Tam, tam znalazłbym szczęście, odpoczynek, zdrowie,
Tam, w Czartowej Pustyni, — tak się chatka zowie.
Nie zmieniałem tej nazwy — rozumiesz mię, panie!
Bo ja kocham lud wiejski, szanuję podanie.
W nazwie miejsca jest zawsze przeszłości oznaka,
Musi być legendeczka, tradycyjka jaka;
Ktoś szczęśliwszy odszuka, wybada, wyszpera:
Długo Troja czekała na swego Homera.
Pan to lepiej rozumiesz, jako biegły w sztuce,
Ja tylko myśl nastręczam i projekcik rzucę,
Ziarneczko w bujnej roli, wiem, że nie przepadnie.

HENRYK.

Nazwa dość malownicza, ale brzmi nieładnie.

SĘDZIA (zakłopotany).

Jak... to można odmienić, tylko z innej temy:
Z Czartowej na Czarowną pustynię ochrzcimy,
Wszak to zmiana malutka... tylko dwie litery...

HENRYK.

A dalekoż stąd do niej?

SĘDZIA.

Będzie mil ze cztery.

HENRYK.

Musiałbym to obaczyć.

SĘDZIA (powstając).

A i owszem! proszę!
Już panu jej zalety skreśliłem po trosze...
Choć zresztą... jeśli, panie, lękasz się bezdroży,
To się i tu na miejscu kontrakcik ułoży,
Obustronną dogodność mając na uwadze.
Już pan tylko zaufaj — ja pana nie zdradzę!

HENRYK.

Cóż pan cenisz tę chatkę?

SĘDZIA.

Za ów mająteczek
Dawano mi przed rokiem, bez najmniejszych sprzeczek...
Dawano mi... tak... dobrze... coś się w głowie kręci!...
Licząc dwa morgi gruntu, ogrom sianożęci,
Licząc zabudowania (niech się pan nie lęka),
Bo przy chatce jest jeszcze obórka maleńka,
Licząc drzewka, zarośla, olszniak gęstoliści,
Kwiatki, grzybki, jagódki i dalsze korzyści,
Wszystko, co można użyć lub spieniężyć w mieście,
Dawano mi... talarków... trzy tysiące dwieście.

HENRYK.

To za drogo, mój panie.

SĘDZIA.

To wcale niedrogo:
Zapytaj pan sąsiadów, choćby Bóg wie kogo,
Co powiedzą o mojej Czarownej Pustyni?
Co dziś daje intratki? co kiedyś uczyni?
Za drogo!...

(Zamyśla się).

Co tu począć?... ale mniejsza o to:
Owe dwieście talarków odstąpię z ochotą;
Więc tylko trzy tysiączki.

(Kłania się).

To za bezcen, panie, —
I wszystkie koszta prawne, poszlina, przyznanie,
Przytem intromissyjka do ustroni w lesie,
To panu jedno z drugiem... niewiele wyniesie,
Bagatelka, drobnostka... Kończmyż o pustyni.
Mój szacunek dla pana natrętnym mię czyni;
W rzeczach serca jam miękki, u mnie krew nie woda;
Mająteczek za bezcen... lecz duszy osłoda;
Nie żałuję, żem zrobił ustępstwo tak duże:
Może tem jego przyjaźń szanowną zasłużę.
Co tam! cztery tysiączki każdy mi wyliczy;
Ale gdzie tyle szczęścia, gdzie doznam słodyczy?
Gdzie tyle przyjemności?

HENRYK.

Dzięki, panie, dzięki!

SĘDZIA.

Więc kończmy interesik drobniutki, maleńki.
Podaję warunieczki dla pana korzystne;
No! dobijajmy targu — niech dłoń pańską ścisnę —
Trzy tysiączki, bagatel!

HENRYK.

Ja myślę inaczej:
Bo dla mnie taka kwota bardzo wiele znaczy.
Muszę siebie obliczyć, porachować ściśle;
Daj mi pan nieco czasu, niech trochę pomyślę.

SĘDZIA.

A i owszem! i owszem! bardzo mi przyjemnie.
Wprawdzie inni stanowczo chcą słowa ode mnie,
Prędziutko chcą zapłacić ów leśny zakątek;
Lecz dla pana poczekam. Co dziś mamy?... piątek,
Więc w Niedzielę stanowczo... skończymy i dosyć.
Miałbym jeszcze prośbeczkę — jeśli wolno prosić —
Byłbym uszczęśliwiony nad wszelkie wyrazy:
W Niedzielę po Mszy świętej — na barszczyk i zrazy,
Na szlachecki obiadek zajdź, łaskawy panie.

HENRYK (z ukłonem).

Z największą przyjemnością przyjmuję wezwanie.

SĘDZIA.

Obiadek, obiadeczek — czem chata bogata!...

(Patrząc na zegarek).

Jak w miłem towarzystwie czas prędko ulata!
A tu pracy... co pracy! aż się w głowie kręci!
Żegnam... dobremu sercu... łaskawej pamięci
Polecam się, polecam!

(Podaje rękę).

HENRYK.

Żegnam pana szczerze.

SĘDZIA.

Więc w Niedzielę...

HENRYK.

Pan moją odpowiedź odbierze.

SĘDZIA.

Ułożym waruneczki, pogadamy z blizka.
Do miłego, prędkiego z panem obaczyska!

(Kłania się raz jeszcze i odchodzi).

HENRYK (sam).

Przeczuwam — choć to przeczuć nie tak trudna sztuka,
Że ten grzeczny jegomość gładko mię oszuka.
Trzy tysiące... dla niego taka mała kwota,

A ja za całą pracę nędznego żywota
Nie zdołam tyle zebrać... Dałbym mu z ochotą,
Niechby sądził, że ujął swą grzecznością złotą,
Że wykrętną wymową oszukał prostaka.
Mniejsza o to... niech sądzi... ale kwota taka,
Skąd ją wezmę?... A gdzie tam!... nie myśleć o chatce.
Mam półtora tysiąca po umarłej matce,
Mam srebro, co pamiątką po rodzicach służy,
Z ojcowskiego żupana mam dyament duży,
I to sprzedam... O, święte mych rodziców cienie!
Przebaczcie, że ja waszych pamiątek nie cenię...
Matko!... chciałaś mi szczęścia! pamiętam twą duszę:
W tej chatce szczęście moje... ja nabyć ją muszę...
Szczęście tej, którą kocham nad duszę, nad życie,
Co tak mi się powierza w dziecięcym zachwycie!...
Roję niebo w pustyni — och! kiedy przypomnę
Jej marzenia niewinne, pracowite, skromne!
I tężby się rojenia przeze mnie zawiodły?
Czyż tyle niedołężny — czyż tak jestem podły?
Nie! rodzice przebaczą, żem w tak ważnej chwili
Naruszył te pamiątki, co mi zostawili...
Ojcze, ty mię przeżegnaj na mój zawód nowy!
Matko, pomódl się za mną do tronu Jehowy!...

(Po chwili zamyślenia).

Tak... zbiorę dwa tysiące... ale skądże trzeci?
Iść do możnych przyjaciół, do szczęśliwych dzieci,
I żebrać o pożyczkę, czy może o wsparcie? —
Prędzej u drzwi kościelnych żebrałbym otwarcie!
Czy ująć topór cieśli, albo młot kowala?
W dzień i w nocbym pracował — co siła pozwala...
Lecz bezczynność szlachecka i pycha wyniosła
Rozmiękczyły mi ręce... nie umiem rzemiosła!...
Pióro moje! dla ciebie wyrzekłem się świata;
Czy ty mię wyratujesz, gdy nędza przygniata?
Złota mi dzisiaj trzeba, złoto niech zagarnę!
Ty mi dajesz ubóstwo i oklaski marne...

Och! dusza za oklaski szczęścia nie nabędzie...
Precz, niedołężnej myśli dziecinne narzędzie!

(Rzuca pióro z gniewem).

(Po chwili uspokojenia mówi zwolna i z uśmiechem):

Ot gdyby tu naprzykład, jak w starej balladzie:
Przychodzi do mnie szatan i wór złota kładzie,
A za kilka lat życia i talarów tysiąc
Cyrograf na mą duszę kazałby poprzysiądz...

(Zrywa się z rozpaczą).

Dziśbym przysiągł... och! przysiągł, nie zwlekając dłużej.

CZCIONKA (wchodząc).

Dzień dobry, drogi wieszczu! Jak zdrowieczko służy?

HENRYK, P. CZCIONKA.

HENRYK.

Przybywasz w samą porę.

CZCIONKA.

To mi bardzo miło.

HENRYK.

Pomnisz, co się niedawno w ogrodzie mówiło?
O moim pamiętniku?

CZCIONKA (do siebie).

Właśnie szedłem po to:
Lecz musi być poeta ściśniony biedotą,
Gdy pierwszy rzecz zagaja, co się tyle drożył.
Trzymajmy się odpornie.

HENRYK.

Jużem się ułożył...
Jużem się zdecydował.

CZCIONKA.

Co?

HENRYK.

O pamiętniku.

CZCIONKA.

Przepraszam... u mnie zawsze kłopotów bez liku,
Czasem się zapomina — jak to było? proszę...

HENRYK.

Jużem ci, panie Czcionka, wspominał po trosze:
Pamiętnik mego życia, młodych marzeń roje,
Com je kreślił, maczając we krwi pióro swoje.
O mego życia rannej i późniejszej dobie,
Spowiedź myśli i uczuć.

CZCIONKA.

Przypominam sobie.
Myślałem wtedy szczerze o tym manuskrypcie;
Ale pan się uparłeś: Choć złotem osypcie,
Nie dam, nie dam i nie dam! — Wola, to nie żarty;
Trudno znaleźć lekarstwo, kiedy kto uparty.

HENRYK.

Teraz się rozmyśliłem, bo mam potrzeb dużo.

CZCIONKA.

Widzi pan, że mi teraz finanse nie służą,
Drukarnia zatrudniona, a handel w tej porze
W stagnacyjnem uśpieniu — nie dopuszczaj Boże!

HENRYK.

Więc nie chcesz pamiętnika? odrzucasz mą pracę?

CZCIONKA.

Któż mówi, że ja nie chcę? — wezmę i zapłacę;
Lecz wtedy powiedziałem za drogo... za drogo!
Dzisiaj się rękopisma przepłacać nie mogą.
Druk, panie dobrodzieju, kosztuje niezmiernie.
Opłacaj robotników, opłacaj papiernie,
Ogłaszaj w katalogach, ustępuj rabata,
A książeczka na półce spoczywa trzy lata,
Publiczność ani spojrzy, choć jej wiernie służę —
Stagnacya niepojęta dziś w literaturze.

(Wzdycha).

HENRYK.

Bez przedmów, panie Czcionka, kończ twoje nabycie.
Ja przedaję krew moją, przedaję me życie,
Dziś frymarczę na srebro święte dla mnie karty,
Przedaję kawał serca z mej piersi wydarty;
A boleść mojej duszy trzymając na wodzy,
Poodmieniam nazwiska tych, co sercu drodzy,
Dam inszą nazwę miejscu, gdzie byłem w kolebce,
Gdziem się uczył, gdziem kochał, — miejsca, co wy-
Konającemi usty — wszystko to odmienię, [szepcę
Za lichą garstkę złota po księgarskiej cenie;
Zrobię z moich świętości zarobku narzędzie.
Masz pięć grubych sposzytów — z każdego tom będzie.
Co mi płacisz?

CZCIONKA.

Hm! płacę wedle słusznej miary,
Za każdy arkusz druku po cztery talary;
Jak pan chcesz... nie przymuszam... nie odbieram
[gwałtem.

HENRYK.

Cóż mi dasz za pięć tomów, kupując ryczałtem?

CZCIONKA (przeglądając jeden z zeszytów).

Pisano tak rozwlekle... cóż robić?... dam dwieście.

HENRYK.

O! zmiłuj się...

CZCIONKA.

Panowie drażliwi jesteście;
Dam więc dwieście pięćdziesiąt, a zadatek z góry.
Dzisiaj strasznie złe czasy dla literatury!
Dwieście... dwieście talarów, to nie tanio, sądzę.
Napisz mi pan cessyjkę, ja płacę pieniądze.

HENRYK (do siebie).

Do tysiąca daleko... lecz pan sędzia może
Zechce mi coś ustąpić... Co za radość! Boże!
Będę miał chatkę w lesie, ona dłoń mi poda!...

CZCIONKA.

Zgoda, łaskawy panie?

HENRYK (oddając mu rękopism).

O, zgoda już, zgoda!
Jesteś panem krwi mojej, łez moich i pracy...

CZCIONKA (do siebie z uśmiechem).

Finis coronat opus — powiedział Horacy.

USTĘP CZWARTY.

(Po roku).

MARYA (sama).

Rok czasu... co tych odmian i w sercu, i w świecie!
Mówią, żem wyładniała — to słuszna kobiecie;
Przybyło doświadczenia i rozumu trocha;
Dziś nibym stateczniejsza, niby bardziej płocha —
Nie zgadnę, czy to wada, czy może zaleta?
Ale mówi sumienie, żem dzisiaj już nie ta...
Przed rokiem — kiedy w myślach pocznę się unosić,
Czułam, że chatki w lesie byłoby mi dosyć;
Dziś widzę, że w tej chatce byłoby mi ciasno:
Tam życie spowszednieje — tam wdzięki zagasną,
Tam, nim się obejrzymy, nim przetrzemy oczy,
Toć i starość nadejdzie, to i śmierć zaskoczy.
A Henryk... jeszcze wierzy... gdzieś tam chatkę
O! mężczyźni lalkami bawią się, jak dzieci, [kleci...
Będą o życiu, sercu prawili bez granic,
Ale serca i życia nie znają nic a nic.
Biedny... teraz w pustyni leśnej gospodarzy;
Płodozmian go bezczelnie oszukał w przedaży;
A on, kupiwszy chatkę w bezludnej oddali,
Gdzie dach podziurawiony, gdzie się ściana wali,
Urządza się, przystraja, pracuje od roku,
I jeszcze pięknych marzeń nie stracił z widoku.
Nie... albo on dziecinny, albom ja zepsuta:
Dla mnie dzisiaj samotność to ciężka pokuta.

Nie chcę go dłużej zwodzić — próżno się kłopota...
Co ja poczną wśród sosen, pustyni i błota?...
A jednak gdy pomyślę... o Boże łaskawy!
Na co ten świat i ludzie? na co te zabawy?
Jeszcze dzisiaj instynktem czuję, jak to błogo
Żyć naturą i sercem, nie widzieć nikogo,
Na zawsze serce z sercem zjednoczyć się ściśle...
Boże! daj mi natchnienie... doprawdy pomyślę...
Tymczasem dzisiaj wieczór — a mnie coś się marzy,
Że strój biały z różowym będzie mi do twarzy;
Tam czeka tyle cukrów, tam młodzieży tyle,
Tańczę wszystkie mazury i wszystkie kadryle;
Czyż dla mnie leśna pustka?... ja, co gwar tak lubię?...
Śmiesznie o tem pomyśleć!

(Do służącego, który wchodzi):

Co tam chcesz, Jakóbie?

SŁUŻĄCY.

Pan Henryk w przedpokoju.

MARYA.

Pan Henryk... w tej porze!
Cóż mu biedna odpowiem? — o Boże mój, Boże!

HENRYK, MARYA.

MARYA (patrząc na wchodzącego).

Jaki blady, znękany, znużony przez drogę!
On wart szczęścia... wart szczęścia... ja go dać nie mogę...
Byłoby niesumiennie uwodzić go dłużej.

HENRYK (wchodząc z uniesieniem).

Maryo! jakżem szczęśliwy!

MARYA (zimno podając mu rękę).

Witamy z podróży!
Jakże się powodziło?

(Zakłopotana, patrząc w okno).

Ale jak dziś chłodno!

HENRYK.

Urządziłem w pustyni zaciszę wygodną,
Lecz nimem ją wystroił, urządził tak ładną,
Och! sądziłem, że ręce z rozpaczy opadną.
Przedawca mię oszukał — wziął cenę w trójnasób;
Wyczerpałem grosz wszystek — cały męstwa zasób.
Gdyby mię nie pokrzepił Bóg i silna wola,
Gdyby nie błoga przyszłość — nie dotrwałbym pola!

MARYA.

Na cóż było tak wiele utrudnień ponosić?

HENRYK.

Znalazłem chatę prostą i starą już dosyć,
Co się chwiała z podwalin z każdym wiatru świstem;
Znalazłem kilka sosen na polu piaszczystem,
Pełny chwastów ogródek — dokoła płot stary
I okiem nieprzejrzane bagniste obszary...

MARYA.

O jakaż to pustynia okropna i dzika!
Jak tam nudno być musi... aż mię dreszcz przenika!
Osobliwsza wytrwałość! i pytam, co skłania
Mieszkać coś blizko roku w tej ziemi wygnania?

HENRYK.

Możnaż się o to pytać?... Cały rok miniony
Tęsknota rwała piersi — duch leciał w te strony;
Lecz przyzwawszy twój obraz oczyma mej duszy,
Wezwawszy silną wolę, co skały poruszy,
A poruszywszy zapas ostatni ojcowski,
Wezwałem lud poczciwy z okolicznej wioski,
I czułem się w mej duszy najszczęśliwszym z ziemian,
Z siekierą i z ołówkiem pracując na przemian.
Ociosywałem kłody, rysowałem plany,
I stanął piękny domek, maleńki, drewniany.
Ganek, przyzby, ławeczki urządzone cudnie;
Czyste, jasne okienka patrzą na południe.
Pod oknem rosła grusza stara, rozsochata,
Co się z sąsiednią sosną konarami splata;
Skorzystałem z tej pięknej igraszki przyrody:

Te drzewa zdobią ogród nad wszystkie ogrody.
Bo sąsiedni szlachcice, serdeczni a prości,
Nieśli jeden przed drugim dowód uprzejmości:
Ów podarował wiśnie, drugi malin krzewy,
Inszy szczepy owoców, ów kwiatów zasiewy,
Trzeci przysłał ze włości cały rój kopaczy,
Inszy sam kopie ziemię i drożyny znaczy.
Dopomogli swą radą, pomocą krzepili.
Jeden z nich, dobra dusza... mieszka o pół mili;
Wiedząc, że pragnę strumień mieć kędyś poblizko,
Kazał na własnej łące zmienić wód łożysko,
I dzięki serdeczności poczciwego człeka,
Płynie od naszej chatki rzeczka niedaleka.
Udzielono mi drzewa, robotników, cieśli,
Przesypali stodołę, oborę przenieśli.
Jam zbudował altanę... zasadził powoje.

(Wydobywając papier).

Spojrzyj na ten rysunek — to dziedzictwo moje.

MARYA (patrząc na rysunek zamyślona).

Doprawdy piękna chatka... cudny widok z domu;
Trzeba wkleić tę chatkę do mego albomu.

(Do siebie).

Jeżeli będę panią możną i bogatą,
Każę takie ustronie zbudować na lato.

(Głośno).

Ależ to chatka w lesie idealna chyba?

HENRYK.

Nie, Maryo! wiernie zdjęta — to nasza siedziba.
A jak tam już wesoło! jak tam już zamożnie!
W stodole będzie chleba, gdy się wszystko pożnie,
W oborze kilka krówek — będzie mleka suto;
Tu buduję gołębnik — już zręby zasnuto;
A w tym lasku — czy wierzysz? co nie było z wieka,
Słowik do nas poczciwy przyleciał z daleka,
I już przez całą wiosnę sprawiał mi wesele,
I dodawał otuchy wywodząc swe trele.
Wszystko się nam przymila, uśmiecha słodyczą;

A poczciwi sąsiedzi jak cię poznać życzą!
Mieć będziesz wkoło siebie dobrych serc bez liku...
Cóż?... podajesz mi rękę?

MARYA.

Nie, panie Henryku!
Szczęśliwi są poeci, co umieją roić,
I biedną chatkę w lesie w ideał przystroić.
Ja cenię pańskie serce, pańskie poświęcenia;
Lecz rok w życiu kobiety... ach, wiele przemienia!
Nie pytaj pan przyczyny — bo cóż zgadnąć można?
Jam może doświadczeńsza, może bardziej próżna.
Marzenie swoje prawa, świat swoje ma prawa.
Ja nie znam drogi życia — a jam jej ciekawa.
Czyż mam kłamać dziecinne, przesadzone chęci?
Urocza chatka w lesie już mię dziś nie nęci;
Wyborna do sielanki lub do krajobrazu,
Lecz serce młodociane przesyci od razu.
Ja, łapając motyle przy szumiącej strudze,
I sama się zanudzę, i pana zanudzę.
Musimy czarę życia wypijać aż do dna:
Ja kocham pańską chatkę — alem jej niegodna.
(Zakrywa rękami twarz i odchodzi).

USTĘP PIĄTY.

HENRYK, CZCIONKA.

CZCIONKA.

A to ciekawe rzeczy!... Stracić się do grosza,
Zbudować chatkę w lesie — i dostać odkosza!
Widzi pan, jak to w życiu dziwniej się wydarza
Niż w najlepszych powieściach jakiego pisarza.
Opisz choćby najwierniej... powiedzą: przesada!
I nieznajomość serca recenzent ci zada.
Lecz ja wiem z doświadczenia, widzi pan dobrodziej,
Że krytyka sprzedaży książki nie zaszkodzi;
Owszem, im więcej krytyk na jakowe dzieło,
Tem się prędzej wydanie z handlu wyczerpnęło.

Już gorzej, kiedy milczą... Czego pan tak blady?...
Pogadamy spokojnie, skończymy układy:
Już pamiętnik pod prasą... a druk leci czwałem...

HENRYK.

Czy pan kiedy kochałeś?

CZCIONKA (zmieszany).

Czy ja się kochałem?
Uważa pan... że miłość, biorąc rzeczy ściślej,
Potrzebuje i czasu, i swobodnej myśli...
A jam zawsze w obrotach, w rachunkach, w pogoni...
Co tej pracy! co pracy!... to niech Pan Bóg broni!

HENRYK.

Szczęśliwy, kto nie kochał, czyje serce więdnie,
Lub kto kochał pół-sercem, a wierzył oględnie!
Lecz biedny, kto zaufał bez granic, bez miary
Słowom prostym, niewinnym a pełnym ofiary,
Kto, słysząc słowa święte, bo wylane z duszy,
Mniemał, że tych przekonań już nic nie poruszy!
Och! ale myśl kobiety ruchoma, jak fala,
Co się najlżejszym wiatrom kołysać dozwala:
Dziś odbija Niebiosa, jutro chmurę czarną,
Najsprzeczniejsze wrażenia jej serce ogarną.
Gdy ci obraz swych zasad, swej duszy otworzy,
Kiedy z ust jej natchnionych przemówi duch Boży,
Poczujesz, jak się dziwnie twa istota zmienia,
Zapłaczesz w zbytku szczęścia, klękniesz z uwielbienia,
I jak Dante, płomieniąc natchnione oblicze,
Odprawisz spowiedź ducha przed twą Beatrycze —
I cały człowiek ziemski w tej spowiedzi zginie,
Staniesz się wielkim w myślach a olbrzymim w czynie...
Ale chwila upływa — o biada ci, biada!
Patrzaj! oto twój Anioł z obłoków upada;
Nie ciesz się twojem szczęściem, najszczęśliwszy z ludzi:
Samolubstwem twe serce boleśnie ostudzi,
Płochością je zakrwawi, igrając wesoło, —
I będziesz martwym wzrokiem poglądał wokoło,

I pytał sam u siebie, patrząc w jej lica:
Gdzie się podziała święta Niebios posłannica?
A świątynia twej duszy rozpadnie się w zgliszcze,
Bo już przestaniesz wierzyć w twe cudne bożyszcze...
I ku zbolałym piersiom twoja głowa zwiśnie,
Jak bezsilny załamiesz ręce bezkorzystnie...
Przeszła twa chwila czynu, boś z wiary wyzuty;
Wśród żywych jesteś trupem, jak upiór pokuty...
Tylko jedno zostanie uczucie złowieszcze:
Przeklinasz twoją miłość, ale kochasz jeszcze!

CZCIONKA.

O jak pięknie, jak żywo malujesz pan duszę!
Tylko z jednym zarzutem odezwać się muszę:
Że z podobnym zapałem wylewając bole,
Trzeba zawsze mieć papier i pióro na stole,
I notować wrażenia w tak przyjaznej porze;
Na co ma się ulatniać, co w druku być może?

HENRYK (ocyka się z zapomnienia).

Jesteś tu, panie Czcionka? — Ach! przepraszam pana!
Radzisz mi zapisywać, gdy dusza znękana:
Piękna zaprawdę rada — i pytam, co znaczy?
Pocóż mam upamiętniać słowa mej rozpaczy?
By znienawidzieć ludzkość?... ja chcę kochać ludzi!
By żyć temi bluźnierstwy, co rozpacz obudzi?...
By, czytając, odnawiać dręczące tortury?...

CZCIONKA.

Ależ dla dobra świata... dla literatury...
Słyszałem od autorów, widzi pan dobrodziej,
Że myśl — to salamandra, co się w ogniu rodzi.

HENRYK (tamując oburzenie).

Przepraszam, panie Czcionka! ale powiem szczerze:
Już dzisiaj do klientów pańskich nie należę.
Ja nie byłem autorem gwoli marnej pysze,
Pisałem dla mych braci — cóż im dziś napiszę?
Czy z głowy? — biedna głowa marzy bezrozumnie;
Czy z serca? — dzisiaj serce odrętwiało u mnie;

Miotałbym złorzeczenia? wylewał żółć z pióra?
Och! dosyć takich żółci ma literatura.
Czy rozpaczliwe myśli rzucać w serca czyje?
To grzech, to ciężka zbrodnia! — świat złudzeniem żyje!
Niech żyje w swojej wiary zbawiennym zakresie.
Pójdę z mojem zwątpieniem do mej chatki w lesie:
Tam w obliczu przyrody, wśród serdecznych ludzi,
Może się lepsza wiara i we mnie obudzi.
A kiedy się spostrzegę, że na rozpacz zbiera,
Wyratuje mię praca, socha i siekiera,
Wyratuje modlitwa, albo myśl pobożna;
Bo w lesie ta pociecha — że się modlić można.
A zresztą kilka książek, co mam w mojej szafie,
Rozbije gorzkie myśli...

CZCIONKA (do siebie).

Do końca nie trafię!
Dzisiaj panicz w gorączce... ale to przeminie.
(Głośno).
Podam panu projekcik... projekcik jedynie:
Kiedy pański pamiętnik już dziś u mnie w prasie,
Może go uzupełnić autorowi zda się?
Trzeba zrobić ofiarę piśmienniczej muzie:
Powieść o chatce w lesie... o pańskiej rekuzie,
O tem, jak to kobiety do zmienności skore,
Skreśliwszy piórkiem pańskiem — ale con amore,
Pozmieniawszy nazwiska, ująwszy, dodawszy,
Stanie się koniec dziełka daleko ciekawszy,
Przyczyniłoby druku dwa arkusze blizko...

HENRYK (z urazą).

Chcesz podać moją boleść na urągowisko?
Kto pana upoważnił do podobnej mowy?...
Żem ci dał spowiedź duszy — pamiętnik domowy,
Że, jak kuglarz uliczny, za grosz i oklaski
Najdroższe sercu twarze postroiłem w maski,
Że, wywodząc na scenę twego targowiska,
Zmieniłem drogich osób, drogich miejsc nazwiska,
Żem kości mych rodziców oddał ci na przedaż;

To już przez całe życie spokoju mi nie dasz!...
I w każdej świeżej ranie każesz maczać pióro,
I każesz zapisywać każdą myśl ponurą,
Każde słowo rozpaczy!... Czyż mam znosić dłużej?...
Żegnam cię, panie Czcionka, bo mi krew się burzy!...

CZCIONKA (sam, patrząc za odchodzącym).

Irritabile genus... ale wiem, co zrobię:
Powieść o chatce w lesie zanotuję sobie,
I któremu z autorów jako plan przedstawię:
Niechaj mi to obrobi żywotnie, ciekawie...
Hm! oni to umieją, jak pokręcą głową...
Trochę humorystycznie, trochę uczuciowo,
Jak to lubi publiczność. No! w żwawym zapędzie
Piszę jutrzejszą pocztą... ot i książka będzie!

Maj, 1855. Borejkowszczyzna.

CHATKA W LESIE.

DZIWACTWO DRAMATYCZNE.
CZĘŚĆ DRUGA.

OSOBY:

HENRYK.
MARYA.
PAN MARSZAŁEK, ojciec Maryi.
PAN SĘDZIA Płodozmian.
TRZASKA, stary myśliwy, sąsiad Henryka.
MATEUSZ, stary służący tegoż.
WIEŚNIACY.

USTĘP PIERWSZY.

(Ciemny las — opodal schludna chatka).

HENRYK (zamyślony, siedząc na wywróconej kłodzie, mówi do siebie).

Tak tu miło, jak w Raju, choć ciemno, jak w grobie!
Jak tu rzeźwo mym piersiom, po ciężkiej chorobie!...

Serdecznie bądź pozdrowion ciemnych puszcz namiocie!
Tak dawno z całą żądzą garnąłem się do cię;
Lecz głuszon gwarem świata, kędy troski bodą,
Człek nie czuł się być godnym rozmawiać z przyrodą;
Duch niedosyć był święty, niedość uroczysty,
Rozważać szelest dębów, albo jodeł świsty,
Nie rozumiał strumyka, co wśród olszyn burczy,
Zapomniał pisku wilgi i mowy przepiórczej...
Część tutaj była mojej, część nie mojej winy...
Ot, jak ten trup zwalonej na ziemię sośniny,
Czemu się nie podniesie? czemu nie zieleni?
Bo ma próchno pod korą, a robactwo w rdzeni,
Bo sam środek jej piersi młodzieńczej, a wątłej
Porozbijały żółny, poraniły dziątły.
Rozsochate jej ręce zielenią się, kwitną,
Ale to mchem zielonym, trawą pasorzytną...
Tak i z sercem człowieka, tak i z głową jego:
Gdy niedole obarczą, gdy troski oblegą,
Życie niby to tleje, krew obrót swój kreśli,
Lecz karmi pasorzytne uczucia i myśli.
Kiedy ręce opadną, gdy zamroczy głowę
Wśród niemierzonych godzin lenistwo grobowe,
Nie znajdziesz dobrej woli, ani chwilki czasu
Na modlitwę pod krzyżyk, na dumkę do lasu.
I cóż wtedy natura obchodzić nas może?
Słowik śpiewa — tem lepiej, snadź w dobrym humorze;
Kraśnieje złota jutrznia — co mi tam do złota?
Wietrzyk łąkę kołysze — a i to robota!...
O! takie to bluźnierstwa i urągowiska
Człek z matowem spojrzeniem na przyrodę ciska;
Bo, przygnębion ku ziemi, sam o sobie nie wie,
Jak bujny zagon żyta po gęstej ulewie.
Lecz Bóg przesyła promyk pogodnego słonka,
Ten w ciemną otchłań duszy kiedy się zabłąka,
Kiedy z piersi upadnie gniotąca opoka,
Gdy łza rzewna opłucze kataraktę z oka,
Wtedy idzie myśl zbawcza i lepsza otucha...

MATEUSZ (wychodzi z gęstwiny z koszem grzybów).

W Imię Ojca, i Syna, i świętego Ducha!
Wszak to pana po lesie i chart nie dogoni!
A święty Mateuszu! a święty Antoni!
Ja latam, biegam, hukam — od chaty Jakóba
Tropię zgubę po lesie...

HENRYK.

A jakaż tam zguba?

MATEUSZ.

O święty Bonifacy! o święty Gerwazy!
Pan sam zginąłeś z domu!

HENRYK.

Jestem na rozkazy.
Czegoż tam chcesz ode mnie?

MATEUSZ.

At, nic... jedno słowo:
Chciałem panu przypomnieć gorączkę nerwową,
I co przepowiadała doktorska nauka:
Że kto się nie szanuje, recydywy szuka.

HENRYK.

Daj pokój, Mateuszu! mnie tutaj tak błogo!
Tutaj serce odetchnąć, myśli bujać mogą,
Tu skupiam dawnych wrażeń rozproszone szczęty,
Po tak długiej chorobie.

MATEUSZ.

A święty Wincenty!
Alboż pan nie rozumie, co to z tego bywa?
Z tych dumań, wrażeń, marzeń — będzie recydywa.

HENRYK.

Wszakem zdrów od tygodnia.

MATEUSZ.

O święty Gerwazy!
Nerwowa... i sercowa... gorączka dwa razy!
Pan myślisz, że ja nie wiem, jaka tu zawiłość?

Miłość rodzi gorączkę, a z gorączki — miłość;
I tak idem per idem, jak mówi wikary,
A do końca nie trafim.

HENRYK.

Nie bój się, mój stary!
Gorączka już minęła, a miłość ochłodła.
Chcieć Maryi zapomnieć — byłaby myśl podła,
Poprzysiągłem raz kochać i uczuć nie zmienię;
Ale nazbyt gwałtowne przygasły płomienie.
Nic mi obrazu Maryi z serca nie wyziębi...
Ty nie wiesz, jak to słodko w tych ostępów głębi
Marzyć o niej, przebaczyć jej płochej pustocie,
Odnawiać miłych wspomnień niezliczone krocie,
Wywołać cień jej ducha wyobraźni siłą,
Szczebiotać z nią i gwarzyć, jak to się gwarzyło
W szczęśliwsze chwile życia, jak tu czas upływa!
Nie uwierzysz, mój stary!

MATEUSZ.

Będzie recydywa!
Nerwowa, czy sercowa, albo razem obie.
Ej, panie! jak Bóg miły, strzeż się po chorobie!
Na dwoje babka wróży — ja tu niewidomy,
Byłem świadkiem niedobrej u pana symptomy:
Pan gadałeś sam z sobą — czy pan to pamięta?
O święty Mateuszu! Małgorzato święta!
Patrzę... to pan... podchodzę... i bliżej znów patrzę:
Gada... macha rękami, jak aktor w teatrze...
Może przez pięć Ojcze nasz — ja cały się trwożę;
Gorączka, myślę sobie, nie dopuszczaj Boże!
A po takich cierpieniach, o święty Sylwestrze!
Wszystkie momenta życia stoją na regestrze!
Gadać samemu z sobą — to, uczciwszy uszu,
Grozi coś mentus captus.

(Świdruje sobie po łbie).

HENRYK.

Nie, mój Mateuszu!
Ja nie z sobą gadałem.

MATEUSZ.

A z kimże?

HENRYK.

Z drzewami!
Gniewały się, że miasto za długo mię mami,
Że boleść mego serca, że męki i burze
Nie przyszedłem powierzyć zbawczyni naturze.
Gniewał się na mnie strumień, i ten las sosnowy,
I ptaszki, żem zapomniał ich serdecznej mowy.
Musiałem je powitać, musiałem przeprosić;
A ty, stary, sądziłeś...

MATEUSZ.

A dosyć już, dosyć!
Ja rozumiem — pan myślisz, że u Mateusza
To już drewniana głowa i kamienna dusza?
Mnie samemu, i nieraz, ot tak czasem chce się
Zamyślić się, pogadać z drzewami, co w lesie,
I z mych dumań Bożemu spowiadać się światu;
Lecz powoli przychodzę jakoś do ochwatu:
Wszak to martwe stworzenia, gadam czy nie gadam.
Ot lepiej się samemu Stwórcy wyspowiadam.

HENRYK.

Mój dobry Mateuszu, bądźmy z sobą szczerzy:
Jakże gadasz ze Stwórcą?

MATEUSZ.

Mówię pięć pacierzy,
Pięć razy Zdrowaś Maryo, jedno Wierzę w Boga —
Ot jakoś i pociecha znajduje się błoga,
I nie śmieją się ludzie, choć posłyszą czasem,
Bo ja gawędzę z Bogiem, a nie z ciemnym lasem.
To samo radzę panu.

HENRYK.

O mój dobry starcze!
Czyż Boga roztargnioną modlitwą obarczę?
Modlę się, a myśl ziemska wciąż do mnie powraca.

MATEUSZ.

I na to jest ratunek.

HENRYK.

A to jaki?

MATEUSZ.

Praca.
Weź pan strzelbę, czy książkę, albo kosz na rydze,
Pracuj, aż panu czoło spotnieje w fatydze.
To się grzędę pokopie, to drzewko zaszczepi,
To i myśl swobodniejsza, i modlić się lepiej.
Siądziesz pan do wieczerzy, stukniesz kielich winá,
To i sen, i apetyt powracać zaczyna,
A robak gorzkich myśli, co serce przejada,
Zatruje się od razu.

HENRYK.

O biada mi, biada!
Nie umiem znaleźć pracy, choć jej serce szuka.

MATEUSZ.

Ej, panie! wolne żarty! Gdyby mi nauka,
Gdybym, co pan, przeczytał książek choć w połowie,
Toż tobym ja pracował, i sobie na zdrowie,
I drugim na pożytek! Co to, panie, w lesie
Człek wyrwie się na chwilę, to i plon przyniesie.
Patrzaj pan: co tu ziółek! gdybym czytał księgi,
Doszedłbym ich własności, ich całej potęgi.
O święty Mateuszu! o święta Doroto!
Tu choroby po wioskach biednych ludzi gniotą,
To jabym ziółek leśnych miał zapas gotowy,
To od kaszlu, mospanie, to od bólu głowy.
Tu wilki robią szkodę — a dosyć wam, dosyć!
I starałbym się szlachtę i włościan uprosić,

Otoczyłbym obławą cały obszar lasa;
Człek się dobrze zabawi, uczciwie pohasa,
A w dodatku i naród wspominałby wszędzie,
Bo wilczysko ich trzody pustoszyć nie będzie.
Gdybym ja czytał książki... powoli, powoli,
Wyczytałbym, co piszą o uprawie roli,
Począłbym własne grunta wyorywać lepiej,
Jakiś się nowy koncept na gruncie zaszczepi...
O święty Mateuszu! intrata się sporzy,
Jeden, drugi zobaczy, że idzie niezgorzej,
Poczną próbować szlachta, a dalej wieśniacy,
Jedni oszczędzą kosztu, drudzy sobie pracy;
Ot będzie i zasługa: skorzysta lud Boży.
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
Daj mi, panie, naukę i książki, co w szafie,
A w lesie już ja sobie zaradzić potrafię,
I nie będę się skarżył, że mi w sercu bodzie,
I nie będę z drzewami gawędził na kłodzie,
I Bogu się zasłużę, i sobie wystarczę.
No, panie — czas na obiad.

HENRYK.

Dziękuję ci, starcze!
Nauczyłeś mię goić ciężką w sercu ranę:
Z poety słów ja czynu poetą zostanę.
Czynu!... na tej pustyni... tak! żaden pan świata,
Żaden rycerz, poeta, żaden dyplomata,
Niema tak pięknej drogi w swych działań zakresie,
Jak Litwin dobrej woli, w nędznej chatce w lesie!
Witaj mi, chatko leśna, ustronna, wieśniacza,
Którą tyle serc biednych a dobrych otacza!
Oni pracują krwawo — pracujmyż pospołu:
Piękna niwa do pracy!

MATEUSZ.

Dano już do stołu.
My o gruszkach na wierzbie pleciem, jak w malignie,
A tam pieczeń się spali i zupa ostygnie.

Zebrałem trochę rydzów na borowym mszarze,
Jak zmówić pięć pacierzy, zaraz je usmażę.
Idź pan powoli lasem, a ja skoczę dołem.

(Odchodzi spiesznie).

HENRYK.

Życie czynu!... Ty, Maryo, bądź moim aniołem!
Twym natchnieniom winienem tej chaty nabycie!
Pocznę myślą o tobie odrodzone życie,
Pocznę żyć w mojej chatce, jakby w ojcowiźnie,
Pocznę wspierać, pocieszać, nauczać me bliźnie,
A tak i dolę własną, i drugich osłodzę...
Święty duchu natchnienia, wspieraj mię na drodze!

USTĘP DRUGI.

(Rzecz w restauracyi).

MARSZAŁEK (przeglądając kartę potraw).

O dzisiejszym obiedzie dobrą mam otuchę.

(Do służącego):

Dasz nam chłodnik... potrawkę, jeśli mięso kruche,
A na trzecie...

(Zamyśla się).

Bekasa...

SĘDZIA.

Ale przed bekasem,
Pan marszałek staruszki wypije tymczasem.
Chłopcze, daj staruszeczki!

MARSZAŁEK.

Prędko przynoś jadło.

SĘDZIA.

A widzi pan marszałek, jak dobrze wypadło,
Że dzisiaj kropnął deszczyk — toć dróżka nie kurzy.

MARSZAŁEK (opinając serwetę).

Powiem ci, panie sędzio, ten projekt podróży
Wcale mi nie do smaku, choć ja lubię drogę.
Zamykam się w powozie — no! i chrapnąć mogę;
Ale rozpacz porywa w obiadowej porze:
Znasz, sędzio, nasze karczmy.

SĘDZIA.

Nie dopuszczaj Boże!
Znajdziesz tam kwaśne piwko i śledzia kawałek.

MARSZAŁEK.

Więc na licho ta podróż?!

SĘDZIA (z uśmiechem).

Widzi pan marszałek,
Trudno czasem odmówić prośbom pięknej buzi.
Chce kobieta — chce Pan Bóg, — tak mówią Francuzi.
(Biorąc od służącego kielich gorzałki):
W rączki pana marszałka!
(Wypija mały kielich, a nalewa marszałkowi większy).
Staruszeczka przednia!
Córka pana marszałka chce jechać do Wiednia,
Chce zwiedzić brzegi Renu, zabawić w Tryeście...

MARSZAŁEK.

A chłodnik czy podadzą?

SĘDZIA.

Chce do Rzymu wreszcie.
To pięknie, bardzo pięknie... Młodziutka się nudzi,
Chce poznać obce kraje, poznać obcych ludzi.
Co robić?... trzeba uledz przed niewieścią władzą...
Zresztą, panie marszałku...

MARSZAŁEK.

A chłodnik czy dadzą?

SĘDZIA.

Zresztą, panie marszałku...

MARSZAŁEK.

Z rakami i z lodem.

SĘDZIA.

Podróż do miłych wrażeń staje się powodem.
Pan marszałek zobaczy, jakie to słodycze:
Coraz nowy widoczek...

MARSZAŁEK (zajadając przyniesioną potrawę).

I ja na to liczę:
Wiedeńskie salcesony głośne w Europie,
W Johannisbergu dobrem winem się zakropię,
W górach szwajcarskich sery i smaczne, i tanie,
A we Włoszech makaron... historyczny, panie!
To słyszę piękna ziemia: oliwa dojrzewa,
Sardynki prosto z morza, pomarańcze z drzewa.
Podróż mi się uśmiecha; ale będziem w biedzie,
Póki człowiek ojczystych granic nie przejedzie:
Och, wiadomo, wiadomo, co u nas podróże!
(Wzdycha).

SĘDZIA (z ukłonem).

Ja panu marszałkowi do granicy służę;
A mam właśnie kucharza — talencik nielada:
Czy sosik, czy zraziki, czy wreszcie sztufada,
I prędziuchno, i smaczno sporządzi, jak z płatka;
A wyborny obiadek, życzliwa gromadka,
Jakoś podróż osłodzą...

MARSZAŁEK.

O! dziękuję tobie!

SĘDZIA (do siebie).

A w podróży maleńki interesik zrobię.
W mieście pełno młodzieży — tu ciągła przeszkoda,
A w drodze może jakoś zręcznostka się poda
Przysłużyć się grzeczniutko, coś przemówić słodziej.
Pół miliona posagu nie piechotą chodzi.
Dziewczę wcale nieszpetne.

MARSZAŁEK.

Chłodniki mi służą.

(Smakując resztki w talerzu):

Wprawdzie za mało octu, a soli za dużo,
A lód niedosyć zimny... ale mniejsza o to.

SĘDZIA.

Winka, panie marszałku.

MARSZAŁEK.

Wypiję z ochotą.

SĘDZIA.

Czy reńskie?

MARSZAŁEK.

Wszystko jedno... reńskie czy madera,
Po chłodniku od zimna żołądek zamiera.

(Dzwoni).

Gdzież służący?... to kara Boża z tą posługą!

SĘDZIA (do służącego, który wchodzi).

Buteleczkę madery.

MARSZAŁEK.

I potrawę drugą.

(Służący ustawia potrawy i nalewa wino).

MARSZAŁEK (zapijając).

Bieda!... bieda na świecie!

SĘDZIA (z westchnieniem).

Och! bieda na świecie!

MARSZAŁEK (jedząc).

Wiesz, sędzio!... moja Marya, to szalone dziecię:
Natura rozpieszczona, kapryśna, kobieca,
Dzisiaj chce szyby z okna, jutro kafli z pieca,
I dogódź tu dziewczynie!... a dogadzać muszę!
Widzę, jakieś cierpienie zatruwa jej duszę;
Muszę dzielić jej myśli, zachcenia i zdania:
Ja mam serce ojcowskie, pełne przywiązania...
Choć zresztą dobre dziecię... lecz nazbyt mię męczy,

Bo ja lubię wygodę... minął wiek młodzieńczy...
Pracowaliśmy długo... czas być swobodnemi...

SĘDZIA (z westchnieniem).

Wygódka i swobódka — dwa szczęścia na ziemi!
I ja do nich, marszałku, wzdycham pokryjomu.

MARSZAŁEK (zapija).

Widzisz, sędzio kochany... tyś przyjaciel domu,
Ty się ze mną podzielisz mym ciężkim kłopotem.

SĘDZIA.

Marszałku dobrodzieju! czy wątpiłeś o tem?
Niech się pańskie serduszko we mnie zabezpieczy.

MARSZAŁEK.

Słuchaj więc...

(Sędzia przysuwa się konfidencyonalnie).

MARSZAŁEK (smakując potrawę).

Mięso twarde, a sos nie do rzeczy.

(Do służącego).

Uważasz? same kości... same dajesz grzbiety.
Przynieś pieczeń huzarską, lub bite kotlety.

(Do sędziego).

Słuchaj więc... moje stare zbliżają się lata...

(Do służącego).

Do kotletów oliwa, ocet i sałata.

(Do sędziego).

Stare lata nadchodzą... przy innem zajęciu
Czas o córce pomyśleć.

SĘDZIA.

A raczej o zięciu...
Winka, panie marszałku!

(Nalewa mu kielich. Do siebie):

Jesteśmy ciekawi.

MARSZAŁEK.

Młodzieży bywa dosyć, lecz jej to nie bawi.
Lubiła dawniej taniec, śpiew, muzykę, stroje;

Dzisiaj tak posmutniała, że się suchot boję.
Na życia czcze i smutne skarży się koleje,
A co mię bardziej trwoży... że nic a nic nie je:
Na obiad szklankę mleka... niechże mi kto powie,
Skąd tu będzie wesołość? skąd się weźmie zdrowie?
Czyż nie wstyd ci — powiadam — być z tak bladą twarzą?
Niech ci zrobią rosołu, niech zrazów usmażą,
Posil się, potem zaśniesz; a w jednej godzinie
Obaczysz, że ci nuda i tęsknota minie.
Czy myślisz, że mię słucha? Gdzie tam! ani trocha!

SĘDZIA (półgłosem).

Może jaka miłostka... może kogo kocha...
Uważa pan marszałek... potrzeba znać ludzi...

MARSZAŁEK.

Gdzie tam! Zabawa męczy, a młodzież ją nudzi.
Młodzieży dosyć bywa, wszyscy nią zajęci;
Lecz ona dziwactwami każdego zniechęci.
Jeden dla niej zbyt pusty — trzpioce się, jak dziecię,
Drugi zbyt hałaśliwie o postępie plecie,
Trzeci zanadto strojny, urodą się puszy,
Tamten ma pustkę w głowie, tamten pustkę w duszy,
Do każdego coś znajdzie, wyszuka, dopatrzy...

SĘDZIA.

To znaczy dobrą główkę — rozsądek najrzadszy:
Bo tylko zastanów się marszałek dobrodziej,
A pewno swoje zdanie z mojem zdańkiem zgodzi.
Patrz na naszych młodzików, przeznaj ich nałogi:
Znajdziesz, wszystko wietrzniki, trzpioty, demagogi!
Córce pana marszałka z serduszkiem i głową
Słusznie, że się wydają ckliwie i jałowo!
Jej potrzeba mężulka wcale inszej treści,
Coby miał wiek dojrzały... tak... lat ze czterdzieści.

MARSZAŁEK.

To może już za wiele.

SĘDZIA.

Tak... trochę za wiele;
Zdanie pana marszałka z ochotą podzielę.
Więc... około czterdziestu... mniej więcej tych latek.
Trzeba, żeby posiadał powagę i statek,
Człowiek miły, grzeczniutki, choć przyłóż do rany,
I dobrze z interesów biegiem obeznany.
Bo pytam... dać fortunkę młodzikowi z miasta,
Nie tylko nie przymnoży, lecz jeszcze rozszasta.
Trzeba człeka ze sprytem, co da sobie rady,
Urządzi interesa...

MARSZAŁEK.

Urządzi obiady...
To rzecz ważna w pożyciu.

SĘDZIA.

Tak... tak, nie inaczej.
A może pan marszałek jeszcze winka raczy?

(Nalewa wina).

Potem szklaneczkę lodów... po obiadku zdrowo...
Powinien mieć fortunkę i kwotę gotową:
Bo też biorąc posagu pół miliona, słyszę,
Niech pan zięć ewikcyjkę na dobrach zapisze.

MARSZAŁEK.

Pół miliona posagu!! co ci, sędzio, w głowie?

SĘDZIA (obojętnie, pijąc wino).

A ileż?... tak... na przykład?...

MARSZAŁEK.

Coś dać postanowię;
Może jakich ze trzykroć... ze czterykroć może...

(Ziewa).

SĘDZIA (na stronie).

Trzeba go tylko w dobrym utrzymać humorze.
Obiadek jakoś trafia do serduszka sknery.
Hm.. licząc sześć procentów.. to dwadzieścia cztery..
Niezła roczna intratka... Śmiało, w Imię Boże!

(Głośno):

Marszałku dobrodzieju! niedyskretnie może,
Gdy się spytam... tak sobie... przez ciekawość marną:
Czy w gronie tych młodzików, co się zewsząd garną,
Upatrzyłeś już kogo... tak sobie... z daleka?...

MARSZAŁEK.

Uważałem przed rokiem młodego człowieka,
Który ją szczerze kochał — prawda, człek ubogi...

SĘDZIA.

A jakaż ewikcyjka?...

MARSZAŁEK.

Poczekaj, mój drogi!
Z dobrem sercem...

SĘDZIA (na stronie).

To mniejsza — ciekawość mię drażni...

MARSZAŁEK.

Nieboszczyk jego ojciec był ze mną w przyjaźni;
Biedak, wkońcu podupadł, to się wszystkim zdarza...
Ale jakie miał wina!... jakiego kucharza!
To, powiadam ci, rozkosz nad wszelkie wyrazy!...
Bywało, zrazy dają... a ja lubię zrazy...
Tylko, sędzio... uważasz, jam kapryśnik stary:
Sos powinien być wonny i pieprzny do miary, —
Nie dodawać doń octu — tego nienawidzę;
Lecz za to ujdą trufle, albo świeże rydze,
Dobrze podsmaż cebulkę... to choć zaproś króla!

SĘDZIA.

O! dla mnie to przysmaczek, smażona cebula!
Lecz ten pan, co o rączkę twej córki się stara?...

MARSZAŁEK.

Poczciwy, lecz ubogi...

SĘDZIA.

To nierówna para.

MARSZAŁEK.

Syn mego przyjaciela...

SĘDZIA.

I tego niedosyć.

MARSZAŁEK.

Umie swój niedostatek z godnością przenosić.

SĘDZIA.

I to jeszcze nie powód.

MARSZAŁEK.

Ma ciotkę bogatą,
A kocha moją córkę...

SĘDZIA.

A ona co na to?

MARSZAŁEK.

Wiedziałem, że go kocha — i byłem już gotów,
Dla jego pięknych zasad, dla dobrych przymiotów,
Powierzyć mu jej rękę. Skrycie się kochali;
Potem on gdzieś wyjechał, o sto mil, czy dalej,
Ona długo chodziła tęskna a wybladła,
Wzdychała co godzina, nic a nic nie jadła;
Aż mi był żal niebogi... Wtem nadszedł karnawał,
A pamiętam, jak dzisiaj, miałem sarny kawał;
Ruszam tedy konceptem, na jaki mię stanie,
I całą naszą młodzież spraszam na śniadanie;
Potem jakoś na obiad, potem wieczór dałem...
Uważam... moja Marya tańcuje z zapałem;
Już wzdycha coraz rzadziej, a częściej się śmieje...
Ten i ów, jak uważam, już powziął nadzieję.
Ja na takie odmiany zdala sobie patrzę.
Dziś chce być na wieczorze, a jutro w teatrze,
Pojutrze na szlichtadzie, i znów na wieczorze, —
Słowem, tak się roztrzpiota, że nie dopuść Boże!
Wtem — dawny jej kochanek, co rok tu nie postał,
Powrócił... wyznał miłość — i odkosza dostał.
Jeszcze ze dwa miesiące bawił ją wir ludzi;
Potem znów zesmutniała, znowu świat ją nudzi.
Poczęła się urągać z całej naszej młodzi,
I znowu często wzdycha — oko łzą zachodzi,

Nic nie je... znak widoczny, że zdrowie nie służy...
A teraz już się gwałtem napiera podróży, —
Rad nierad muszę jechać!...

SĘDZIA (na stronie).

To ciekawe rzeczy...
Więc to miłość... miłostka... czyż podróż uleczy?...
Lecz nie traćmy nadziei... posażek bogaty,
Do trzydziestu tysiączków dorocznej intraty...
Młode piwko wyszumi... jakoś się uchodzi...

(Głośno):

Otóż tedy, uważa marszałek dobrodziej,
Nic niemasz nad wojażyk — rozerwie się trocha,
Może kogo pokocha...

(Na stronie):

I pewno pokocha.
Ja będę jej wyrządzał grzecznostki nieznaczne,
Poczną na nią poglądać, potem wzdychać zaczną.
Z lekka poczernię włosy, które śnieżyk prószy,
I powoli... powoli... wkradnę się do duszy...
Interesik niezgorszy — popróbujmy doli...
Trzeba tylko grzeczniutko, słodziutko, powoli,
A może się powiedzie na drodze zalotów...

SŁUŻĄCY (wchodząc).

Pański powóz już gotów.

MARSZAŁEK (budząc się).

Co! powóz już gotów?
Weź tedy kosz madery i sera na drogę:
Czasem, widzisz, od nudów posilić się mogę.
W powóz włożyć poduszkę i dwa materace.

(Dzwoni).

A podajcie rachunek!

SĘDZIA (z ukłonem).

Oj! ja sam zapłacę:
Marszałku dobrodzieju, o! Pan Bóg mi świadek,
Chcę mieć szczęście, że dzisiaj mój zjadłeś obiadek —
Rozliczymy się w drodze.

MARSZAŁEK.

Niechże i tak będzie.

(Do służącego).

W powozie miękką pościel proszę mieć na względzie.
Włożyć mi jaką książkę — chociaż nie literat,
Muszę teraz książkami bawić się rad nierad,
Bo czytając, najlepiej zasypiać w dni słotne.

SĘDZIA.

Mam tu właśnie Gawędki i rymy ulotne.
Autor ich doświadczony, czy w wierszu, czy w prozie.
Ręczę, że pan marszałek wnet uśnie w powozie
Na najpierwszej karteczce — doświadczona próba!

MARSZAŁEK.

O! to... to! panie sędzio!... to mi się podoba!
Z tylu książek, co dzisiaj piszą dla pieniędzy,
To mi dzieło najlepsze, co uśpi najprędzej:
Jest przynajmniej cel pisma...

SĘDZIA.

A wierszyków zwłaszcza!

MARSZAŁEK (do służącego).

Dać mi ciepłe kalosze, nie zapomnieć płaszcza...
Szlafmycę i parasol, bo na deszcz się zbiera;
Flaszę gdańskiej gorzałki, sucharków i sera,
Lulkę, tytuń, krzesiwo... No, bywajcie zdrowi!
Ruszajmy, panie sędzio!

SĘDZIA.

Służę marszałkowi.

(Odchodzą).

USTĘP TRZECI.

Przed schludną chatką w lesie MATEUSZ na stole suszy ziółka i mówi zwolna do siebie.

O święty Mateuszu! chcę płakać, jak dziecię.
Jak to wszystko i dobrze, i mądrze na świecie!

Parę garsteczek zielska... ot suche badyle!
A tu zdrowia ludzkiego, tu Bożych łask tyle!
W każdem marnem ziółeczku jakiś dar ukryty:
Ot Absinthum vulgare, — piołun pospolity,
A od febry jedyny! — Ot garstka rumianku,
Jak od rozlicznych chorób leczy bez przestanku!
Żywokost na ból piersi cudownie pomaga;
Na wściekliznę wyborna Alisma plantaga;
Ślaz pomagał od kaszlu w najdawniejsze czasy.
Kmin wyborny do chleba, majran do kiełbasy,
Mięta na ból w żołądku, choćby Bóg wie jaki,
A tomba i bławatki pyszne do tabaki!...
O święty Mateuszu! o święty Ambroży!
Jak to w każdej roślince kryje się duch Boży!
Ja człowiek nieuczony — a w głowie się kręci,
Że te dary być muszą dla jakiejś pamięci.
Ot może dano ziółkom własność i nazwanie,
Gdy się Chrystus w Betleem urodził na sianie,
Więc każda marna trawka z owej garstki siana
Jakowemś dobrodziejstwem została nadana...
Och! wielkie dobrodziejstwo, zwłaszcza tutaj w lesie,
Gdzie lekarz wieśniakowi ratunku nie niesie,
Gdzie jednym prostym środkiem, jedną garstką ziela,
Niejednemu człekowi zdrowia się udziela...
Pan Henryk, daj mu Boże i życie, i zdrowie,
Wskazał mi każdą trawkę, uczył, jak się zowie,
Pokazał jak się zbiera, jak się wszystko suszy,
Skąd ludzkość ma pożytek, a on szczęście w duszy...
Cóż za dziw, że tu biegną, jak na odpust jaki,
Przygnębione chorobą i pracą biedaki?
Że tak go błogosławi okolica rada?
A tej pięknej zasługi i na mnie coś spada!
Bo się ziółeczka zbiera, układa i suszy,
A czasem coś zaradzę w prostocie mej duszy.
Medycyna nie tęga — ale chęć życzliwa:
Ja tylko poczną leki, a Bóg dokonywa.

(Wchodzi Trzaska ze strzelbą i torbą myśliwską).

MATEUSZ, TRZASKA.

TRZASKA.

Dobry dzień, Mateuszu!

MATEUSZ.

Kłaniam, panie Trzaska!
A pochwalić Chrystusa czemu to nie łaska?

TRZASKA.

Otóż widzisz, że z waścią wieczysty certamen.
Niechże będzie pochwalon...

MATEUSZ.

Na wieki i Amen.
Skąd to Pan Bóg prowadzi?

TRZASKA (z mocną gestykulacyą).

Otóż widzisz, z lasu.
O zwierzynie na święta myślałem zawczasu:
Wyszedłem gdzie przed świtem — a prześliczny ranek.
Myślę sobie, ot widzisz, u waszych polanek
Jest niezłe tokowisko... Zaczajam się w budzie:
Przyleciał jeden cietrzew... palnę w łeb marudzie,
Zatrzepotał skrzydłami i padł gdzieś w chróśniaki.
Powiadam... otóż widzisz... biorę stempel, kłaki,
Czyszczę strzelbę, nabijam, tulę się w zacisze,
Czekam całą godzinę — i znów szelest słyszę.
Siadł cietrzew zakochany z postacią wychudłą,
Zmierzyłem się... palnąłem... otóż widzisz, pudło...
Zbladł cietrzew i poleciał het gdzieś pod Stawiszcze!
Zakląłem do stu czartów — i znów strzelbę czyszczę,
Nabijam... Znów cieciorka zaszumiała w głuszy...
Palę... krzyknęła: Jezus! i padła bez duszy.
Czekam dalej... snem trochę zdrzemało się oko...
Cietrzewi więcej niema, a słońce wysoko...
Myślę sobie... ot widzisz... na dziś — doskonale!
Czach! wykrzesałem ognia i fajeczkę palę,
Nic nikomu nie mówiąc.. Wtem.. patrzę pod krzyże:
Sadzi szarak, mospanie, i uszami strzyże;

Zatrzymał się pod brzózką i wyprężył słuchy...
Ot widzisz... myślę sobie — fajkę do pazuchy,
Strzelbę na cel... pęc w piersi... zerwał się i zmyka!
Ja zrywam się... postrzegam, jest krew u kamyka,
Heżha za nim! on w pole — ja jak chart przez miedze;
Gdy go z oka utracę, to po tropie śledzę...
Krwi w tropie coraz więcej — postrzeliłem znaczy.
On na górę, ja za nim... mój szarak w rozpaczy,
Chromiąc stoczył się na dół — i ja sadzę dołem;
Chciał jegomość w zarośla — ja drogę przeciąłem...
Ot widzisz... myśli sobie: Tu nie służy rada!
Siadł pokornie i łapki, jak do prośby, składa;
A ja niedługo myśląc, kolbą w łeb i basta.
Padł szarak... a godzina pewnie jedenasta!
Głód ozwał się w żołądku — nie wytrzymam dłużej —
Patrzę wkoło... ot widzisz: u was dym się kurzy...
Myślę sobie: ot dobrze! teraz hulaj dusza!
Zajdę tedy odwiedzić pana Mateusza,
Stuknę kielich gorzały na dobry początek,
Da mi kawał wędzonki...

MATEUSZ.

Ależ dzisiaj piątek!

TRZASKA.

A... piątek... otóż widzisz...

MATEUSZ.

Dam waszmości mleka.

TRZASKA.

A że mi stąd do domu wędrówka daleka,
I ciężkoby się nosić z zającem, z cietrzewiem,
To niech u was zostaną.

MATEUSZ.

Dalibógże nie wiem!
Waść, jak zwykle, nie zechcesz wziąść pieniędzy za to...

TRZASKA.

Otóż widzisz, że zgadłeś — schowaj się z zapłatą.

MATEUSZ.

A brać darmo nie mogę... pan mi natrze uszu.

TRZASKA.

Otóż widzisz, że bredzisz, panie Mateuszu!
U nas z panem Henrykiem od dawna na pieńku:
Ja mu dług mój sowity spłacam po maleńku...
Długoby o tem gadać — a tu głód dokucza.
Brrum!...

MATEUSZ.

Zaraz podam mleko i poszukam klucza,
To może się tam w szafie znajdzie i gorzała.

(Odchodzi).

TRZASKA.

O! macie Szaciłówkę!... wiem, że doskonała!
Choć się u was zapasy nie trzymają doma:
Nasza szlachta — ot widzisz — na starkę łakoma,
A wy ludzie poczciwi i uprzejmi w chacie,
Co Bóg dał, przed drugimi pewno nie schowacie.
Taka wasza natura... ot widzisz — natura;
Kto do was zakołata, to zawsze coś wskóra:
Porada, dobre słówko, albo chleba kawał,
A niejeden i większej pomocy doznawał.
Kto, naprzykład, Maciejom dał grosza na woły?
Pan Henryk...

MATEUSZ (wchodząc ze śniadaniem i ustawiając je).

A kto zboże zwiózł nam do stodoły?
Maciej.

TRZASKA.

A kto przykarmił Płodozmiana wioski?

MATEUSZ.

A kto nam żąć pomagał? czy nie lud sędziowski?

TRZASKA.

Kto staremu Janowi dopomaga wszędzie?

MATEUSZ.

A kto nam pszczół dopatrzy, gdy Jana nie będzie?

TRZASKA.

Otóż widzisz... odpowiedź, jak z rękawa, sypie.
A kto wspiera cichaczem wdowę po Filipie?
Mów szczerze... bez kręcielstwa.

MATEUSZ.

At, Bóg wie, co plecie!
Niema co takich rzeczy roztrąbiać po świecie.
W Piśmie świętem kazano nieść pomoc dla braci,
Ten, co w skrytości widzi, w skrytości zapłaci;
Ot dajmy lepiej pokój drażliwej rozmowie...

(Przepijając gorzałkę):

W ręce jegomościne!

TRZASKA (z ukłonem).

Daj Boże na zdrowie!

(Przyjmując nalany kielich):

Setne lata waszmości!

(Pije).

Ot widzisz, że tęga!
Aż orzeźwia żołądek, aż serca dosięga!
A to co? Otóż widzisz, rzodkiewka i masło...

(Zajadając):

Lubię... lubię i chowam wdzięczność niewygasłą
Za gościnne przyjęcie — miła dla was praca...
Gdzież, panie Mateuszu, twój pan się obraca?

MATEUSZ (zajadając).

Zrana konno gdzieś czmychnął.

TRZASKA.

To nie bez kozery.
Przysiągłbym — otoż widzisz — jak dwa a dwa cztery,
Że się po to sam jeden wymyka z ukradka,
Iż dobrego uczynku nie chciałby mieć świadka;
On się dobrych uczynków tak wstydzi, jak grzechu...

MATEUSZ.

Co tam... dobrych uczynków — prosto dla pospiechu.
Bo to ważny i moment zyskany na czasie

TRZASKA.

A co jemu tak pilno?

MATEUSZ.

Podsędek źle ma się.
Pan Henryk po proboszcza ruszył do Źródliska.

TRZASKA.

Otóż widzisz, że przyszła kreska na Matyska!
Źle ma się... a toż jeszcze na przeszłej obławie,
Czy pamiętasz, jak stary dokazywał żwawie?
Staremu koncepciście język nie umilka:
Łgał za trzech, pił za sześciu i zastrzelił wilka!
Myślę sobie: ot widzisz — dziad stary a jary...

MATEUSZ.

Niezbadane Najwyższych wyroków zamiary.
Niedosyć, że do śmierci zwinął się w pospiechu,
Lecz omal że nie umarł we śmiertelnym grzechu
I nie poszedł do piekła...

TRZASKA.

A toż co nowego?

MATEUSZ.

Niech nas od zawziętości wszyscy Święci strzegą!...
Miał młodego synowca — ot zwyczajnie zucha:
Młodzik pije, gra w karty, starego nie słucha,
Sprawiał sobie hulanki w gromadzie spółbraci;
Zadłuży się po uszy, to stary zapłaci.
Tak było raz i drugi — o święty Ambroży!
Potem coraz to częściej, co dalej, to gorzej.
Podsędek się rozgniewał, a gdy opór spotka,
Powiedział: Wydziedziczę i przeklnę wyrodka!...
Tymczasem... Pan Bóg łaskaw, wola Jego święta:
Młodzik począł statkować, już się opamięta,
W przeprosiny do stryja, buch do nóg i kwita!
Ale stryj rozdąsany przeklęctwem go wita,
Wypędza ze swych progów — i tak się rozdąsa,
Że gniew, co jednej chwili namotał na wąsa,

Do śmierci w nim nie gasnął... A my tu sąsiedzi;
Czasem, widzisz, pan Henryk starego odwiedzi,
Ogra go w maryasika, zaprosi na wino,
Że stary tu znajdował przyjemność jedyną.
Tak się w nim rozmiłował, że teraz w chorobie
Chciał mu wszystko zapisać.

TRZASKA.

Widzisz, myślę sobie!
A cóż na to pan Henryk?

MATEUSZ.

A święty Gerwazy!
Czyż można było przyjąć bez Boskiej obrazy?
Nie przyjął...

TRZASKA.

Co ja słyszę!

MATEUSZ.

Stary ani słucha!
Pan Henryk do proboszcza, — i tu sprawa krucha!
Proboszcz moralizował, bo głowa nielada;
Lecz jak wspomnieć synowca, dziad w gorączkę wpada.
O święty Mateuszu! aż przechodzą dreszcze!
Na ostatniej spowiedzi przeklinał go jeszcze!
Pan Henryk był w kłopotach. Po chwili... po chwili...
Z proboszczem gniew podsędka jakoś złagodzili,
Synowiec się ukorzył — no! i dostał spadek;
A pan Henryk spokojny.

TRZASKA.

To dziwny wypadek!
Mów, co chcesz, Mateuszu... a ja powiem śmiało:
Gdy stary dawał zapis, to brać należało.
Majątek rzecz niegłupia... ot widzisz, niegłupia.

MATEUSZ.

A przez niego najpewniej piekła się dokupia.
Dobry on, kiedy pracą nabyty godziwą;

Lecz pan Henryk wie dobrze co prawo, co krzywo...
Lecz dotąd coś go niema...

TRZASKA.

Otóż widzisz, niema!

MATEUSZ.

Zapóźniać się na obiad, to jego systema.
A to źle: bo nic nie jadł od samego ranka.
Ale za to go czeka dobra niespodzianka:
Twój zając, panie Trzaska, spada jakby z Nieba, —
Tylko prędko z pieczystem zwinąć się potrzeba.
Poczekajcie tu nieco, bądźcie tak łaskawi.
Powiem starej kucharce, niech się szybko sprawi.

(Odchodzi).

TRZASKA (do siebie).

Majątek, to rzecz piękna! nie przyjąć majątku!
Że Mateusz żartuje, sądziłem z początku...
Nie przyjąć... krzywda ludzka... ot widzisz, sumienie!
Trzeba serca nielada... kłaniam uniżenie!...
A ja na jego miejscu? no! pomyśleć muszę!...
Ten człowiek ma doprawdy chrześcijańską duszę,
Duszę wielką i piękną — widać to z daleka...
Jabym Niebo przychylił do takiego człeka.
On wart mego zajęcia... i dobrze się stało,
Że ja mu niespodziankę uczyniłem małą;
Samemu lżej na sercu... Za tak piękne czyny
Warto ci, panie Trzaska, stuknąć gorzaliny.

(Wychyla kielich).

Brrr... aż chce się zaśpiewać, mimo własnej wiedzy,
Piosenkę o zającu, co siedzi na miedzy...

(Mruczy piosnkę).

(Wchodzi kilku wieśniaków, potem Mateusz wychodzi z chatki).

WIEŚNIACY.

Niech będzie pochwalony!

TRZASKA.

Na wieki, na wieki!

MATEUSZ.

Co chcecie, dobrzy ludzie?

JEDEN Z WIEŚNIAKÓW.

Ot, tam od pasieki,
Na waszmościów granicy nieskoszona łąka,
To czasem się bydełko i nasze zabłąka,
Może wam zrobić szkodę — to i grzech na duszy.
No! dzisiaj mamy piątek... słonko nieźle suszy...
Pańszczyzny dzisiaj niema... więc my rada w radę:
Wójt do karczmy na czarkę zaprosił gromadę,
A przy czarce już taka stanęła umowa,
By skosić waszą łąkę...

MATEUSZ.

Na to ani słowa.

WIEŚNIAK.

Dziś zetniem — przy pogodzie jutro kopki staną.

TRZASKA.

Ot widzisz, Mateuszu, to będzie i siano,
A ja przyślę do zwózki koniska i kary.

MATEUSZ.

Bóg wam zapłać za wasze dary i ofiary!...
Lecz pana niemasz w domu.

WIEŚNIAK.

To i cóż, że niema?

MATEUSZ.

Za robotę zapłata — to jego systema,
Prawda ewangeliczna, a ja nie mam groszy.

WIEŚNIAK (drapiąc się w głowę).

Ejże szlachta wy, szlachta! każdy się panoszy,
Każdy patrzy z wysoka na biednych nędzarzy;
Kiedy nie skrzywdzi czynem, to słowem znieważy.
Człowieka, co w siermiędze, żaden nie oceni:
Daj mu serce — on rękę zaraz do kieszeni,

Zaraz ludzką przysługę mieniać na miedziaki...
Ej, panie Mateuszu! to zły zwyczaj taki!

MATEUSZ (zakłopotany).

A święty Bonifacy! już Szymon i w złości!

WIEŚNIAK.

A bo to ciężka krzywda, proszę Jegomości!
Już drugi raz, jak przyjdę i o co poproszę,
Waszmości za fatygę przyniosę trzy grosze.

TRZASKA (śmiejąc się).

Masz byka za indyka! otoż widzisz! brawo!

WIEŚNIAK.

Bo kiedy wasz pan Henryk krzątał się tak żwawo
I wyleczył mi ojca...

DRUGI.

Kiedy w przeszłym roku
Karmił moją czeladkę zbożem swego toku...

TRZECI.

Gdy cały rok na rybę pożyczał mi siatek...

INNY.

Gdy mi garścią pieniądze dawał na podatek...

PIERWSZY.

To każdy z naszej włości przyjął wasze wsparcie,
I o żadnej zapłacie nie mówił otwarcie;
Zakarbował na sercu, co spłacić nie może,
I westchnął w głębi duszy: Wynagródź mu, Boże!...
A kiedy my w prostocie i biednej chudobie
Przysłużyć się waszmościom uradzimy sobie,
To wy zaraz liczycie na grosze, na złote.

MATEUSZ.

No, dosyć tego... dosyć.

WIEŚNIAK.

Idźmy na robotę.

(Odchodzą).

MATEUSZ i TRZASKA.

TRZASKA (biorąc strzelbę).

A ja pójdę się przespać, bo sen klei oczy.

(Patrzy z za parkanu na drogę).

Ot widzisz, Mateuszu, ktoś tu do was kroczy,
Jakiś pan... strój podróżny... ale gęsta mina.
Ot widzisz! ktoś znajomy! coś się przypomina!...
Dalipan to Płodozmian! czy go licho niesie!?
Ten samy, co wam przedał ot tę chatkę w lesie.
I którego włościanie odeszli w tej chwili.
Tego lisa, mospanie, zwietrzę o pół mili!
Bo dał się nam we znaki swoją pańską łaską...

(Przedrzeźnia):

A duszeczko... a rybko... a kochany Trzasko!
Wypuść mi na trzy lata włókę sianożęci...
Ot widzisz, myślę sobie — choć to mimo chęci,
Jakoś zrobię dogodność dla tego paniska:
On tak się nizko kłania — tak grzecznie uściska...
Wypuściłem... ot widzisz... rok drugi i trzeci
Na moje sianożęci mucha nie zaleci,
Taki rygor, mospanie!... Myślę sobie: b e n e!
Ale w ośmset czterdziestym łąki poszły w cenę,
W czterdziestym pierwszym wyżej, potem wyżej jeszcze,
W czterdziestym czwartym powódź — skrzywdziły mię
[deszcze...
Myślę sobie... ot widzisz — w tak krytyczną porę
Od pana Płodozmiana sianożęć odbiorę.
Więc przychodzę do niego o zwrot łąki prosić.
Jak mi pocznie graniczne dokumenta znosić,
Stare, mospanie, mapy, stare inwentarze,
Że moja łąka leży w jego łąk obszarze,
Że on mi jeszcze pola na połowę przetnie,
Że już używalności zyskał kilkoletnie!...
Bez kontraktu... bez śladu... myślę sobie: bieda!
Ot widzisz, do własności powrócić mi nie da,
A jeszcze mi procesem zakłopota głowę...

Więc tak, krakowskim targiem, łąkę na połowę.
Myślę sobie: bierz licho! z napaści nie zginę;
Tylko ekscypowałem na łące zwierzynę,
A łąka już została przy panu sąsiedzie.
Szczęściem teraz pan Henryk, siadłszy na tej schedzie,
Powrócił moją własność...

(Znowu patrząc za parkan).

Czego on tu szuka?
Strzeżcie się, Mateuszu, bo to kręta sztuka!

CIŻ i PŁODOZMIAN.

PŁODOZMIAN (wchodząc na dziedziniec, ogląda się wkoło).

Czy mnie oczy zawodzą?... Piękniśmy zbłądzili:
Toż Czartowa Pustynia — z drogi więcej mili.

(Patrzy na zegarek).

Godzina... wpół do pierwszej — przeklęty przypadek!
A jaż chciałem marszałka prosić na obiadek;
Już do mojego gruntu zbliżali się goście...
Lecz paliki popsute, powóz pękł na moście.
Nim się wynajdzie ludzi, nim powóz przywleką,
To będzie pół do drugiej — a dworek daleko,
A obiadek ostygnie — marszałek zły srodze —
Coś mój piękny projekcik na niedobrej drodze...
Tak — Czartowa Pustynia... moja chatka w lesie...
Aż słodziutko, gdy wspomnę o tym interesie:
Przedałem ją tak świetnie! w poczciwości ducha
Poeta sypnął groszem, niechże w rączki chucha!
To niewarto pięciuset — wziąłem dwa tysiące...
Patrzcie... patrzcie... i rowy pokopał na łące,
I domeczek zbudował, i klombik przy sośnie,
I żytko na piaseczku bardzo pięknie rośnie...
Piękna gospodareczka!... czarodziejska scheda!
Trzeba będzie pogadać: może mi odprzeda.
Lecz spieszmy, bo marszałek zły, że się marudzi.

(Podchodząc do Mateusza i Trzaski).

Kochany staruszeczku! — czy tu niema ludzi?

MATEUSZ.

Ludzi? Święty Gerwazy!

SĘDZIA.

Tak, ludzi, duszeczko.
Na mostku... na grobelce... tuż pod samą rzeczką
Załamał się mój powóz.

MATEUSZ (przestraszony).

A święty Antoni!
Zaraz... zaraz... są ludzie! kosarze na błoni!
Huknę... i wnet się pańska wydźwignie kolaska.
(Odchodzi).

SĘDZIA (spostrzegając Trzaskę).

A duszeczko! a rybko!... a kochany Trzaska!
Jakże mi odmłodniałeś! twarz, jak kwiatek róży!
A zawsze ze strzelbeczką — polowańko służy!
Utyłeś, dzięki Bogu, i to ci do twarzy, —
Zawsze tęgi myśliwy — zajączki w lot płaży...
A pieski zawsze trzymasz?... i jak ci się wiodą?

TRZASKA.

Ot widzisz pan, mam charta i wyżlicę młodą.

SĘDZIA.

To pięknie, to prześlicznie! a jakże ich zową?

TRZASKA.

Charta nazwałem Doskocz, wyżlicę Ponową:
Oba wyborne psiska.

SĘDZIA.

To bardzo przyjemnie.
Doskocza i Ponowę pogłaskaj ode mnie,
I powiedz im...

TRZASKA (do siebie).

Ot widzisz, dla psów ma ukłony!

SĘDZIA.

I powiedz im, że kiedyś przyjadę w te strony;
Toż to popolujemy po kniejach, po błocie!

MATEUSZ (wchodząc).

Miałem tu z pańskiej wioski ludzi na robocie;
Jakem tylko powiedział — a święty Antoni!
Jak się zerwą z przestrachu, jakby na sto koni,
Polecieli do mostku bez czapek i boso,
I pewnie pański powóz na rękach wyniosą.
Znam ten lud — u nich ręce do pracy olbrzymie...

SĘDZIA.

Dziękuję, staruszeczku! a jak ci na imię?

MATEUSZ.

Dzięki Bogu, Mateusz.

SĘDZIA.

A, to dzięki Bogu!
Co za szczęście, żem trafił do waszego progu!
Myślałem, że już w błotku zanocuję sobie.
A twój pan?

MATEUSZ.

Niema w domu.

SĘDZIA.

Słyszę, po chorobie?

MATEUSZ.

Miał nerwową gorączkę...

SĘDZIA.

Gorączka nerwowa!
Ale zdrów, dzięki Bogu? Niech go Bóg zachowa!
To wyborniutki człowiek, tylko smutny nieco.

TRZASKA (z przekąsem).

A jaki dobry sąsiad — to szukaj ze świecą!
Człowieka nie pokrzywdzi, jeszcze zapomoże;
Nie tak, jak u nas dawniej.

SĘDZIA.

A! to szczęść mu Boże!
A wyborny gospodarz, choć świeżutkiej daty.
Widzę... musi tu zbierać grosiwko z intraty,

Dokupił, słyszę schedkę, poosuszał łączki,
Krówki widziałem spore i tłuste, jak pączki,
W ogródku, są gruszeczki i gatunek rzadki.

(Do Mateusza):

A ileż tam mniejwięcej może mieć intratki?

MATEUSZ.

A święty Bonifacy! skąd ja wiedzieć mogę?

SĘDZIA.

Jednak dałbym uwagę, jedniutką przestrogę:
On ma talent rolniczy, służy mu ochota,
Szkoda, że się tak marnie zagrzebał do błota.
Mam większy mająteczek — obszaru nie pomnę,
Przedałbym go z ochotą... waruneczki skromne:
Kilkanaście tysiączków — to niewielka bieda;
A Czartową Pustynię może mnie odprzeda...
Jak myślisz, Mateuszu?

TRZASKA (z przestrachem).

Niech go Pan Bóg broni!

MATEUSZ.

Słychać turkot powozu i stąpanie koni.
To pewno pański pojazd...

SĘDZIA.

O, lecę już, lecę!
Czy tam nie szwankowały ubiorki kobiece?
Pozwolisz, Mateuszu! tu spoczniem potrosze.

(Wybiegając naprzeciw powozowi).

Marszałku dobrodzieju! tu zajechać proszę!

CIŻ, MARSZAŁEK i MARYA.

MARSZAŁEK.

Niech wam Bóg nie pamięta tej waszej podróży!
A kołysze, a trzęsie, a budzi, a nuży,
A cały ranek chłodno, na popasie głodno,
A na nocleg czy znajdziesz oberżę wygodną?

SĘDZIA.

Mój marszałku!...

MARSZAŁEK.

Mój sędzio! póki do granicy,
Powiedziałbyś, że żyją jacyś ludzie dzicy:
Nie wyporządzić mostu! — fi! aż słuchać zgroza!
Trzeba powóz dobywać z pomocą powroza.
Na groblach koło skrzypi, zarzyna się, śliźnie,
Sądziłby cudzoziemiec, że jest w Tatarszczyźnie...
Toż przecię nasza Litwa niby Europa!

TRZASKA (z ukłonem).

Ot widzisz, proszę pana — bo to ręce chłopa
Pan sędzia do pilniejszej roboty obraca:
Naprawiać groble, mosty, nieintratna praca.
To most pana sędziego — na bagnistej łące
Nieraz tam kark kręciłem, pędzając zające...
Koń leci... otóż widzisz — potknie się i pada,
A gdybym nie szanował pana i sąsiada,

(Kłania się sędziemu).

To mi tyle na grobli zemknęło zajęcy,
Że posłałbym dziedzica do kroć set tysięcy!
Ale jakoś mi Pan Bóg cierpliwość dodawa...
Ot widzisz, myślę sobie, to sąsiedzka sprawa.

(Kłania się znowu sędziemu).

Gdy nie skręciłem karku, jeszcze Boża łaska...
Co insza pan Płodozmian, co insza pan Trzaska.

MARSZAŁEK.

Jakto, sędzio! ten mostek czyż na twojej ziemi?

SĘDZIA.

Marszałku dobrodzieju! sprawami różnemi
Człek zawsze zatrudniony po uszy, po szyję,
Nie zajrzy do wioseczki — a tu mostek gnije,
A grobelka opada...

MARSZAŁEK.

No! mniejsza z tym mostem!
Lecz dziś nie Wielki Piątek, a ja jestem z postem.

Czy tu nie można kupić, albo czego dostać?
Tego dworku, jak widzę, przyzwoita postać.
(Do Mateusza):
Pan jesteś gospodarzem?

MATEUSZ.

A święty Wincenty!
Pan mój dzisiaj ważnemi sprawami zajęty;
Ja tylko jestem sługą.

MARSZAŁEK.

Sługą?

MATEUSZ.

To i owszem,
Bo pan Henryk napoił mię pojęciem zdrowszem:
Człowiek, nie w ciemię bity, z jego słów korzysta;
Wiem dobrze, że gość w domu, to zastępca Chrysta:
„Si hospes, Christus venit", — mówi ksiądz wikary.
Jest zając na pieczyste, do niego sos szary,
Do zająca sałata z octem i z oliwą.

MARSZAŁEK.

O! to, to, mój poczciwcze! tylko dawaj żywo!
Sałata... bardzo pięknie... ale przed sałatą...

MATEUSZ.

Nie mamy win zamorskich; lecz jest starka za to
Z osiemset dwunastego...

MARSZAŁEK.

Historyczna starka!
A czyjaż to, dla Boga, taka gospodarka?
Intrygujesz mię waszmość... twój pan jak się zowie?

MATEUSZ.

Pan Henryk.

MARSZAŁEK.

Co?

SĘDZIA.

Poeta!

MARSZAŁEK.

No! ani mi w głowie,
Żeby się zdały na co Apollina dzieci...
Zając — starka — mój sędzio! niech żyją poeci!
Takich ludzi poszukać choć z latarnią we dnie.
Poczciwy, dobry Henryk!

SĘDZIA (do Maryi).

Czego pani blednie?

MARYA.

Tak... znużenie podróży...

SĘDZIA.

Znużenie podróży...
Niechaj się pani przejdzie, to na zdrowie służy.
(Podaje rękę).
Unużenie w podróży, to jak ciężka praca.

MATEUSZ (patrząc na parkan).

O święty Mateuszu! pan Henryk powraca!
Prędzej stół nakrywajcie i potrawy znoście!...
Jakże będzie szczęśliwy, że ma w domu goście!

USTĘP CZWARTY.

(Wnętrze chatki, pokój stołowy).

MARSZAŁEK, PŁODOZMIAN, HENRYK, MARYA
i w progu MATEUSZ.

(Wstają od stołu).

MARSZAŁEK (ściskając Henryka).

Obiad, panie Henryku, to gody Gamasza!
Bogdajby tak się wiodła cała podróż nasza!
Pyszny kwasek z zająca, z cietrzewia pieczyste,
Świadectwo gościnności dają uroczyste...
(Do służącego):
I o tobie powziąłem wrażenie korzystne,
Kochany Mateuszu, niechże cię uścisnę!

MATEUSZ.

O święty Mateuszu! to już Pańska łaska...

MARSZAŁEK.

Niech mi zawsze tak trafnie powóz się roztrzaska,
To nie powiem i słowa.

(Ziewa).

SĘDZIA (ściskając Henryka).

Tak, drogi sąsiedzie,
Uraczyłeś obiadkiem!

MARSZAŁEK.

Ale po obiedzie
Każe stary obyczaj przedrzemać się chwilę...
Czy zaśniesz, panie sędzio?

SĘDZIA.

Ja zasnąłbym mile,
Lecz nie mam chwilki czasu, bo coś mi się marzy,
Że kochany mój sąsiad nieźle gospodarzy.
Przystroił chatkę w lesie, jak wianuszek wonny,
Toć użątek w stodółce musi być niepłonny.
Widziałem na dziedzińcu jakiegoś wyrostka:
Gospodarska ciekawość — prosta ciekawostka —
Każę się oprowadzić po śpichrzach, stodole...

HENRYK.

Ja sam panu sędziemu towarzyszyć wolę.

SĘDZIA.

A broń Boże! broń Boże! jesteśmy ciekawi,
Lecz tu kochany sąsiad niech gości zabawi;

(Wskazuje Maryę).

A ja wkrótce powrócę...

(Do siebie).

Bo to niezła scheda,
Trzeba wszystko obejrzeć — może mi odprzeda.

(Odchodzi).

HENRYK (do siebie, patrząc na Maryę).

Boże, jaka zmieniona! nie musi być płocha...

MARYA (do siebie, patrząc na Henryka).

Boże! jaki on blady!... on dotąd mię kocha...
Jabym chciała utrzymać odwagę kobiecą...

MARSZAŁEK.

No! pogawędźcie sobie, a ja chrapnę nieco.
(Odchodzi do drugiej izby).

HENRYK, MARYA.

(Długie milczenie).

MARYA (przerywając je).

Prześliczną mamy jesień.

HENRYK.

Tak... jest trochę słońca:
Nad skonaniem przyrody lampa konająca
Dopala się powoli...
(Znowu milczenie).

MARYA.

W tej leśnej ustroni,
Kiedy wicher jesienny po szybach zadzwoni,
Kiedy liście opadną, gdy nastaną słoty,
Musi być bardzo tęskno...

HENRYK.

Są chwile tęsknoty:
Myśl płynie w kraj daleki na jesiennym wietrze;
To nakreśli gmach szczęścia, to znowu go zetrze;
Leci czasem w gwar świata z pustelniczej chaty
Na widnokrąg ludzkości piękny i bogaty,
Kędy postacie ludzkie promienią się, złocą...

MARYA.

Szczęśliwy pan, gdy mniemasz, że jest wracać po co.
Świat taki monotonny!

HENRYK.

Jest inszy świat ducha.
W tamtym jest rozmaitość, kto się pilnie wsłucha.

W taktach ludzkiego serca tak różne są tony,
Jak w muzyce, pod jeden akkord niespojonej;
Lecz chwilkę się wsłuchawszy, odgadnąć nie trudno,
Że z tych niesfornych tonów Bóg składa pieśń cudną.

MARYA.

Ale trudno dosłyszeć, jak ludziom gra — dusza;
Bo każdy bicie serca umyślnie — zagłusza,
Aby go nie słyszeli.

HENRYK (z westchnieniem).

Jam z miasta tak dawno!
Zapomniałem, czy skrycie, czy serca drżą jawno;
Lecz tutaj... myślą głośno... marzą, jak na jawie...
Po prostu, a serdecznie...

MARYA (siląc się na ironię).

Za to nieciekawie.
Piękna sielska prostota... ale nieco dzika...

HENRYK.

Jest piękno i w dzikości, kto bacznie przenika.
Tu pod nieokrzesanym dębowym konarem,
Nieokrzesana ludzkość żyje ładem starym:
Modli się po kaplicach, albo u cmentarzy,
Lecz w jej prostych pacierzach skra wiary się żarzy;
Śpiewa prostych piosenek chropowate słowa,
Ale w starej piosence całą duszę chowa;
Praca czerni i marszczy ich czoła i ręce,
Ale w sercach hartuje uczucia dziecięce.
Tutaj nie zna przymusu ich mowa, ich oko:
Gdy śmieją się, to hucznie — płaczą, to szeroko;
A gdy podadzą rękę, to pewno już szczerze...

MARYA (z lekkim przekąsem).

Pan dobrze lud poznałeś, a więc panu wierzę...
I musi pan nic a nic nie żałować świata,
Kiedy się z nowem życiem tak serdecznie brata.

(Z ukrytym niepokojem targa wstążkę).

HENRYK.

Nie, pani!—tamto życie, jak wspomnienie w ciemnie,
Lecz piętno niezatarte wypaliło we mnie;
A jeżelim nie upadł pod cierpień nawałem,
To z tamtych tylko wspomnień potęgę czerpałem;
I dziś stamtąd ją czerpię, gdy, marzeń, pozbywszy,
Obrałem zawód życia czynniejszy i żywszy.
Budzę się z jedną myślą, a ta myśl zbawczyni
Błogosławi mą pracę, wytrwalszym mię czyni.
Ja, ofiara marzenia, wygnaniec niebieski,
Silnie jąłem się pracy, jak topielec deski;
Czynię tutaj ubóstwu, com uczynić w stanie,
Szczere bliźnich Bóg zapłać, to moje zadanie.
Tu mi jedni dziękują, drudzy o coś proszą,
I tak się próżnia życia wypełnia rozkoszą.
A gdy mi pot rzęsisty oblewa jagody,
Gdy sumienie powiada, żem dziś wart nagrody,
Jedyna się modlitwa z moich piersi ciśnie:
Boże! tamtej przeszłości choć chwilkę niech przyśnię!

MARYA.

Szczerze panu winszuję tej szlachetnej zmiany.
Pan tu jesteś dokoła chlubnie wspominany;
Tu mi mówił o panu strzelec siwobrody
I ludzie, co nasz powóz dobywali z wody,
I stary pański sługa — każdy swoje prawi,
A każdy po swojemu pana błogosławi.
Zwiedziłam pański dworek przed niedawną chwilą:
Budynki tak się wdzięczą, kwiatki tak się milą!
Byłam nawet w pszczelniku, chodziłam przy strudze...
Piękneż to takie życie w pracy i zasłudze!
Tak zapełniać swe chwile — to życiem się zowie!
Ale z pracą ostrożnie! bo wycieńcza zdrowie;
Pan jesteś nieco blady, jakby po chorobie...

HENRYK (zmieszany).

Lekkiego bólu głowy doświadczam w tej dobie;
Nic... to przejdzie. (Zmieniając rozmowę):
A pani na długo kraj rzuca?

MARYA.

Och! ja nie wiem... chcę jechać... bo tu bolą płuca,
Duszne u nas powietrze.. a ludzie... ohydni!...
Może pod jasnem niebem w oczach się rozwidni,
Może w górach szwajcarskich w naturę uwierzę,
Może w świątyni Piotra pomodlę się szczerze.
Tu modlić się nie mogę, chociaż dusza chora!
O cóż prosić w tem życiu, bez jutra, bez wczora?...
Może, stojąc na Etny ognistym wulkanie,
Serce silniej uderzy — albo bić przestanie!...
Ja nie wiem, — czuję tylko, że w sercu i w głowie
Taka okropna próżnia... tak straszne pustkowie!...
Tak mi wszyscy niemili, tak nic nie poruszy...
O panie! ty znasz życie, znasz tajniki duszy,
Sam uczułeś w swem sercu, co jest cierpień ostrze;
Dobry panie Henryku! poradź mi, jak siostrze?

HENRYK.

Ja tylko boleć mogę... ale cóż poradzę?
Gdyby mi dał Przedwieczny nad losami władzę,
Skazałbym się na męki w piekielnej otchłani,
Bylebym zdołał nieco ulżyć cierpień pani.
Lecz, słaby i zbolały, cóż poradzić mogę?
Wskazać własną, krzyżową, doświadczoną drogę,
Wskazać czynu i pracy mozolne koleje:
Te może zdolne wskrzesić duch, co kamienieje!
Jedź, pani, gdzie na wioskę — wszakże wioski macie,—
Bądź aniołem pociechy w wyrobniczej chacie,
Schorzałemu kalece gotuj plastr na rany,
Nagim dzieciom wioskowym sama szyj sukmany,
Naucz pisma pacholę, co ginie w ciemnocie,
Młode dziewczę utwierdzaj twym przykładem w cnocie,
Gwarz ze starym oraczem, śpiewaj pieśń ze żnieją,
Śmiej się, kiedy chychocą, zapłacz, gdy łzy leją;
I pracy, i zasługi znajdziesz tam bez liku,
To może ulży sercu...

MARYA (ze łzami).

Henryku! Henryku!
Już przeczuwam to szczęście, widzę je, znachodzę;
Lecz któż mi poda ramię, by utwierdzić w drodze?
Ty mi sam pokaż życie czynem i ofiarą.
Wiesz co, luby! odnówmy naszą chatkę starą,
Nasze stare marzenia! — Bóg wie, co się stanie?
Czy mi uda się zmówić pacierz w Watykanie?
Czy pokocham naturę z genewskich wybrzeży?
Czy na kraterach Etny serce mi uderzy?
A tutaj... pod drewnianym krzyżykiem u drogi,
Przypomnę stary pacierz, poznam lud ubogi,
Jego serce cieplejsze od wulkanów Etny,
A z okien twojej chatki taki widok świetny
Nauczy, jak się Litwę i naturę kocha...

(Klęka).

Przebaczenia, Henryku! ja byłam tak płocha!
Jam niewarta twej chatki!

HENRYK (podnosząc ją z zapałem).

Maryo! taka chwila
Całą boleść łagodzi, mój żal obezsila,
Podaj mi rękę! chodźmy przez ciernie i kwiaty.
Błogosławiona chatka!...

MARYA (podając mu rękę).

O jakżem szczęśliwa!

MATEUSZ (wchodząc przerażony).

O święty Mateuszu! ot i recydywa!

CIŻ, MATEUSZ i MARSZAŁEK (wchodzi, ziewając).

MARSZAŁEK (do Mateusza).

A cóż, dobry staruszku, czy powóz podali?

MARYA.

Powóz? Kochany ojcze! nie jedźmy już dalej!
Poco nam za granicę? i koszt i fatyga!

Czyż się w kraju prawego szczęścia nie dościga,
Wśród życia obowiązków, ofiary i pracy,
Gdzie tylu jest cierpiących, gdzie bliźni, rodacy,
Gdzie mię czekają serca i ducha rozkosze?...
Nie jedźmy, drogi ojcze, nie jedźmy stąd, proszę!

MARSZAŁEK.

Co to za dziwny wyskok rozmarzonej głowy!
Jechać, to wracać z drogi prawie od połowy,
Brak wygód po gospodach, niepokój morderczy...
Już mi ta wasza podróż kością w gardle sterczy!
Nie dojadaj w południe, nie dosypiaj z rana,
Wywracaj się na mostach pana Płodozmiana...
A teraz co? nie jechać? nazad się posuniem?
(Do Mateusza):
Proszę mi podać lulkę i kapciuch z tytuniem...
Cierpliwości nie staje!...

MARYA.

Nie gniewaj się, ojcze!
Już na zawsze minęły nudoty zabójcze,
Co mię pędziły z domu; jam odżyć gotowa,
Ja ci będę wesoła, ja ci będę zdrowa,
Ja ci będę szczęśliwa... będę tak szczęśliwa!
Nie jedźmy!

MARSZAŁEK (zdumiony).

Cóż to znaczy?

MATEUSZ (półgłosem, podając mu fajkę).

A cóż? recydywa!

MARSZAŁEK (domyślnie).

Aha! już jestem w domu... jestem w leśnej chacie.
Myśleliście, że nie wiem, iż wy się kochacie?
Oho! ho! ja wiem wszystko... wiedziałem już wprzódy.
Ależ potem... wasz rozdział... choroby i nudy!...
Sądziłem, żeś przestała kochać go na zawsze.

MARYA.

On mię dziś wskrzesił słowem, wskazał cele prawsze,
Wskazał czyny, jak wielkie życia ideały,

Rozbudził piękne żądze, co w mem sercu spały.
Mnie — abym je spełniła, potrzebna opieka;
Prosiłam go o ramię — i on mi przyrzeka
Prowadzić drogą życia przez kwiaty i ciernie...
Dochował mi swych uczuć szlachetnie i wiernie,
Przebaczył moją płochość, moją winę zmazał,
I na nowo, i wiecznie pokochać się kazał...
Mój ojcze, pobłogosław!

MARSZAŁEK (do Henryka).

Cóż pan na te dziwy?

HENRYK (składając ręce do prośby).

Panie! chcę uszczęśliwić i sam być szczęśliwy.
Tem śmielej błagam zgody dla przyszłości naszej,
Że znam zapał tej duszy: mierność jej nie straszy;
Ona chętnie zamieszka w tej leśnej pustyni,
A miłość mię na trudy silniejszym uczyni!
Przysięgam...

MARSZAŁEK.

Nie przysięgaj; wierzę waści, wierzę...
Widzę, żeś tu pracował gorliwie i szczerze;
Pięknie, że tu cię wszyscy wspominają radzi;
Syn mego przyjaciela... dobrze się prowadzi...
Dałeś nam smaczny obiad — no! kocham cię za to!
Majątek! a toż, słyszę, masz ciotkę bogatą;
Umrze kiedyś... to grosza wygrzebiesz z zapiecka...
Zresztą... ja dobry ojciec — ja chcę szczęścia dziecka
Gdyście się pokochali, zwyczajnie jak młodzi,
Staraj się o jej szczęście, Bóg ci wynagrodzi...
No! ja was błogosławię rodzicielską władzą!
Warto zapić tę sprawę — niech kielich podadzą!

(Ściska Maryę i Henryka).

CIŻ i PŁODOZMIAN.

PŁODOZMIAN (który słyszał ostatnie słowa, cofa się przerażony).

Marszałku dobrodzieju! poczekajcie trocha!
Niech marszałek dobrodziej, kiedy Boga kocha,
Słóweczko... interesik...

(Do siebie).

O biada mi, biada!
Otóż przepyszna gratka sama z rąk wypada!

(Głośno):

Marszałku! na sekrecik! coś powiem, coś powiem!

Porywa Marszałka pod rękę i odprowadzając na stronę, szepce):

On pana oczarował tem leśnem pustkowiem.
Któż to widział — tak nagle, a tak obcesowie!

MARSZAŁEK.

Od tego Maryi życie, od tego jej zdrowie,
Od tego i mój spokój, i wszystko zależy...

SĘDZIA (niecierpliwie).

A czyż niema już inszej na świecie młodzieży?

MARSZAŁEK.

Czy masz co przeciw niemu?

SĘDZIA.

Nie, nic, ale proszę...

MARSZAŁEK.

Chłopiec prawy...

SĘDZIA.

To mniejsza...

MARSZAŁEK.

I będzie miał grosze.
Marya dała mu serce...

SĘDZIA.

To niechaj odbierze...
Zresztą... panie marszałku! rozmówmy się szczerze.

(Klęka).

Ja kocham ją nad życie — aż serce się trzęsie,
Jakby mówiło do mnie: ożeń się! ożeń się!...
O posażku nie mówię: ja serca chcę więcej...
Wezmę tylko połowę: trzykroć sto tysięcy...
Choćby trzykroć, cóż robić?... resztę gdzie chcesz [podziej...
Tylko nazwij mię synem, marszałek dobrodziej!
Ja panu marszałkowi... ja panu... Bóg świadek,
Wydam przepyszny obiad... przepyszny obiadek!
Sto obiadków od razu... dam zajączka, wina!...

MARSZAŁEK (z głośnym śmiechem).

Zwaryował nasz sędzisko! coś bredzić poczyna!
Żenić się w twoim wieku! z tak młodą osobą!

SĘDZIA (zawsze klęcząc).

Marszałku dobrodzieju! mam metrykę z sobą!
(Szuka po kieszeniach).
Zapomniałem w kantorku.. nie więcej.. nie więcej..
Trzydziesty pierwszy roczek i kilka miesięcy...
Ojcze!...

MARSZAŁEK (podnosząc go).

Powstań już, sędzio! bo śmieją się dzieci!
Skąd ta miłość przypadła do serca waszeci?
Daj pokój! w naszym wieku! my ludzie nieświeży,
Nie przeszkadzajmy szczęściu niewinnej młodzieży...
Nie mogę... dałem słowo... to rzecz uroczysta...
No! wypijemy wina i zagramy w wista!

Grudzień 1855. Borejkowszczyzna.

HRABIA NA WĄTORACH.
KROTOCHWILA WIERSZEM Z XVI WIEKU.

„Comes de Wątory,
Jeden kmieć a trzy dwory."
Rysiński. Proverb. Cent. VI.

OSOBY:

WĄTORSKI, hrabia na Wątorach.
HANNA, jego córka.
STANISŁAW PACHOŁOWIECKI, młody rycerz nizkiego rodu.
BALTAZAR, dworzanin Wątorskiego.
NEFTAL, lichwiarz.

Rzecz w wieku XVI, w starym zamku Wątorach.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Izba uboga obwieszona starymi portretami, w głębi herb srebrny. Przy skromnym stoliku hrabia WĄTORSKI, ubrany w powszedni kubrak, pisze, odczytuje co napisał i mówi sam do siebie:

Skreśliłem nasze herby, dawnych dóbr ogromy
I nasze skojarzenia z najpierwszemi domy;
Przedmiot zaprawdę piękny, materya bogata.
Teraz piszmy o cnotach nieboszczyka brata.
(Zamyśla się).
O cnotach!... jego cnoty... on miał swoje cnoty;
Lecz to ciche, domowe, zbyt skromne z istoty,
Rozwodzić się nie można, bo śmiechy nie miną...
Na przykład lubił wino... ale dobre wino...
A że na drogie wina niezawsze stawało,
Raczył się cienkiem piwem i prostą gorzałą.
Ale taką moc duszy czyż ocenią prości
W człowieku wysokiego domu i zacności?
Powtóre: ród swój kochał i szanował święcie,
O zacności swych przodków czyste miał pojęcie:

Wiedział, skąd Wątorowie swój proceder wiodą,
Że jeden był hetmanem, drugi wojewodą,
Że czterej kasztelani, dwaj byli Biskupi,
Wiedział kim jest — i w motłoch nie mieszał się głupi...
Kiedyśmy podupadli, gdy dobra książęce
Koleją nędznych czasów przeszły w obce ręce, [dworze?
Czyż miał służyć krajowi? gdzie?? ... w królewskim
Lub w chorągwi husarskiej — porucznikiem może —
Kędy stanowią komput plebejusze sami
I gdzie jego przodkowie byli hetmanami? ...
O, nie! hrabia Wątorski, comes de Wątory,
Nie zdołał się poniżyć jeszcze do tej pory,
I na przyszłość poniżyć nie będzie nas łatwo ...

(Staje przed portretem. W ciągu następnego monologu wchodzi Baltazar w szarej lisowej kurtce i w rycerskim hełmie, a niepostrzeżony staje na stronie).

Bo wy przodkowie nasi! czuwacie nad dziatwą.
Hetmanie! tyś zastępy Bolesławów wodził;
Kasztelanie! tyś przecię z Tęczyńskiej się rodził;
Wojewodo! ty byłeś poufnym Jagiełły!
Czyżby wasze zaszczyty na zawsze zginęły,
A my, waszego szczepu szacowne gałązki,
Poszli na służebnictwo lub w nierówne związki?
O nie! ja będę wierny mych przodków gromadzie!
Śmierć brata nowe na mnie obowiązki kładzie.
O! ja z chlubą przyjmuję ten ciężar zaszczytny:
Podtrzymać na mych barkach nasz dom starożytny, —

(Udaje, jakby co dźwigał).

I herb sławny na świecie, co go nic nie plami,
I ten zamek, kwitnący...

(Postrzega Baltazara i cofa się).

SCENA DRUGA.

WĄTORSKI i BALTAZAR.

BALTAZAR.

Mchem i pokrzywami.
Przedawszy go na cegłę, choć dziś cegły tanie,

Może z dziesięć talarów dałby kupiec za nie.
Niechby te brzydkie gruzy oczyścili Żydzi,
Bo już tutaj i puszczyk zamieszkać się wstydzi.

WĄTORSKI (ze zgrozą).

Przedać zamek Wątory!... gdzie dziady... pradzia-
Tylko takie plebejusz może dawać rady! [dy!...
Toż najdroższa spuścizna po umarłym bracie!...
Jam dzisiaj głową rodu!

BALTAZAR.

A czapki nie macie
Do nakrycia tej głowy. Z wyprzedaży cegły
Toćby się zapłaciło jakiś dług zaległy,
Odnowiło opończę, z której barwa znika.
Zresztą... potrzeba odbyć pogrzeb nieboszczyka,
A tutaj niema grosza.

WĄTORSKI (groźnie).

Co??

BALTAZAR.

Pieniędzy niema.

WĄTORSKI.

Zuchwalcze! po to stoisz przed memi oczyma,
Abyś mi się urągał!

BALTAZAR (pokornie).

Broń mię Jezu Chryste!

WĄTORSKI.

Wyprzedawać Wątory, to gniazdo ojczyste,
Gdzie tyle starych orłów wylęgło się, wzrosło!...

BALTAZAR.

Ależ okna pobite!

WĄTORSKI.

Czyż moje rzemiosło
Naprawiać stare szyby?...

BALTAZAR.

Lecz ściana się wali,

WĄTORSKI.

Z pod tych ścian może nieraz wrogowie zuchwali
Pierzchli, gdy ich odparli ot ci dzielni wodze!

BALTAZAR.

A dzisiaj tu puszczyki stoją na załodze,
A trzyma w oblężeniu od przeszłej Niedzieli
Sroższy od nieprzyjaciół zastęp wierzycieli.

WĄTORSKI.

Rozkaż im niech się cofną, bo przywołam straże
I z groźnych bastyonów ognia dawać każę!

BALTAZAR.

A! jest stara armatka, chociaż dla popłochu
Możnaby z niej wystrzelić — ale niema prochu;
A straże... dwóch pachołków, — wszakże pan pamięta,
Pojechali do lasu po drzewo na święta.

WĄTORSKI (patrząc na strój Baltazara).

Co to jest, Baltazarze? niechaj mi kto powie:
Kurta lisia na grzbiecie, a kirys na głowie,
Jakby głowa olbrzyma na ramionach karła!

BALTAZAR.

Nic, miłościwy panie! czapka mi się zdarła:
Znalazłem hełm żelazny, zardzewiały srodze,
Włożyłem go na głowę i tak sobie chodzę;
To mocniejsze od sukna, i płowieć nie zacznie,
I ochroni od zimna.

WĄTORSKI.

Ależ to dziwacznie,
Mieszać ubiór cywilny z rycerską ozdobą!...
Słuchaj! chcę uroczyście rozmówić się z tobą.

(Siada).

Gdy brat mój wiekopomny już spoczywa w grobie,
Piastuję zaszczyt domu w mej jednej osobie;
A ten, który się hrabią na Wątorach zowie,
Niegorszy niż Ostrogscy lub Radziwiłłowie.
Koło nich świetny orszak zawsze się kojarzy:

Mają marszałków dworu, mają sekretarzy,
Dowódców chorągiewnych, łowczych i dworzany;
A chociaż los uboższy w podziale nam dany,
Czuję, co jestem winien mych przodków zacności,
Nie dam się sponiewierać, jak plebeje prości.
Chcę mieć dwór — a że nie mam utrzymać go za co,
Ty, wierny Baltazarze, za pomierną płacą,
Wszystkie dworskie urzędy, jak rozkażę tobie,
Będziesz pełnił kolejno przy mojej osobie.
Ucałuj moją rękę.

(Wyciąga rękę, którą Baltazar całuje).

Otoż do wyboru,
Jesteś giermek, koniuszy i marszałek dworu,
Tyś piwniczy, choć zwykle przestaję na wodzie,
Tyś dowódca sił zbrojnych w moich przodków grodzie.

BALTAZAR.

A gdzież te zbrojne siły?

WĄTORSKI.

Niemasz... mniejsza o to!

BALTAZAR.

Ależ nie mamy koni, pan chodzisz piechotą,
Jakże będę koniuszym?

WĄTORSKI.

Nie frasuj się srodze:
Będziesz pilnował kija, z którym zwykle chodzę.
Lecz proszę mieć w pamięci, bo to rzecz nielada,
Że do każdej posługi inszy strój wypada:
Kiedy zawołam giermka lub dowódcy straży,
Przywdziewaj hełm i pancerz — ten strój ci do twarzy.
Gdy krzyknę: Hej, pachołcy! albo: Jest tam który?
To zjawisz się przede mną w tej kurtce z lisiury.
Jeśli zaś w takich słowach dam rozkazy moje:
Pana marszałka dworu prosić na pokoje!
Przywdziejesz nowy żupan z futrem popieliczem
I staniesz z ukłonami przed mojem obliczem.

Gdy wołam piwniczego, miej kluczów pęk mnogi,
A gdy będziesz koniuszym, przypinaj ostrogi.

BALTAZAR.

Czyż, miłościwy panie, na każdym urzędzie
Płaca moja podwajać, potrajać się będzie?

WĄTORSKI.

Potem o tem pomówim; jeśli będzie za co,
Wątorscy hojną dłonią za zasługi płacą.
Pomnij być wiernym stróżem dostojnego progu.
Odejdź...

(Baltazar odchodzi).

No! urządziłem mój dwór, dzięki Bogu.
Zajmijmy się pogrzebem nieboszczyka brata.
Jednak nieco utrudza to życie magnata...

(Klaska w ręce).

Prosić rządcy dóbr moich!

BALTAZAR (za sceną).

Czy to mnie pan woła?

WĄTORSKI (z gniewem).

Kara Boża! ucz, gadaj — daremna mozoła!
Och! plebeje, plebeje! o głowo ty, głowo!
Mówiłem ci przed chwilą... powtarzam na nowo:
Idź, zawołaj sam siebie, włóż strój, jak do gości,
I przychodź, jako rządca moich posiadłości.

BALTAZAR (za sceną).

Panie rządco! pan hrabia wzywa na pokoje;
A proszę się ustroić.

(Innym głosem).

Jakże się ustroję,
Gdy mój kubrak świąteczny, choć lichy, dziurawy,
Musiałem jeszcze latem oddać do zastawy?
Pilno mi było grosza...

WĄTORSKI.

To skaranie Boże!

BALTAZAR (wychylając głowę).

Słyszałeś pan, że rządca stawić się nie może;
Tymczasem, jak pachołek, zwiastuję wam goście:
Jakiś rycerz przyjechał.

WĄTORSKI.

Uprzejmie go proście.
Każdy gość, co zawitał w te odwieczne ściany,
Na zamku moich przodków mile był widziany.
Słuchaj, mości marszałku! przynieś miód i wino!
Choćby ci przyszło stągiew wypróżnić jedyną,
Dla gościa, co jest w domu, wszystko, co jest w duszy...
Taki zwyczaj mych przodków...
Hej, panie koniuszy!
Widzę tam dwa rumaki — wziąć do stajni obu,
Ostatnią miarkę owsa wysypać do żłobu. —
Hola! giermek! pójść gościa wprowadzić w te progi.

BALTAZAR (biegając niespokojnie po komnacie).

Moja szuba! mój pancerz!... gdzie moje ostrogi?
Gdzie moja biedna głowa?... sam już nie wiem cał-
[kiem,
Czy jestem Baltazarem, giermkiem, czy marszałkiem?
Ot znalazłem ostrogę... jest hełm... ot i futro!...

(Ubiera się w szubę, helm i ostrogi i wylatuje z komnaty).

WĄTORSKI.

Gość... rycerz... niechaj u nas zabawi przez jutro,
Bo jutro pogrzeb brata; na smutnym obrzędzie
Niech uczci dom Wątorów, niechaj świadkiem będzie.
Prosić go!... nie!... czekajcie!... Hej, marszałku dworu!

(Baltazar wraca się).

To nie jest dom szpitalny lub mury klasztoru,
Ale zamek Wątory... Ów rycerz z podróży,
Nim panu tego zamku swe służby wynurzy,
Może zechce się przebrać, albo spocząć nieco.
Dać mu pokój gościnny — niech ogień naniecą;
Wszak podobno jest komin w izdebce na dole.
Czy on ma swoich ludzi?

BALTAZAR.

Jest przy nim pacholę.

WĄTORSKI.

Dobrze... toć mu usłuży... znać gościowi dacie,
Że czekam za godzinę na górnej komnacie.

SCENA TRZECIA.

WĄTORSKI, HANNA.

HANNA (wbiegając prędko).

Ojcze! nieco kłopotów Niebo nam ulżyło:
Przyjechał Stach z wyprawy...

WĄTORSKI.

To mi wielce miło.
Ale nim go powitam, muszę najprzód szczerze
Dzisiejsze moje myśli otworzyć w tej mierze.
Słuchaj!

(Siada z powagą).

Rzecz ci wiadoma, że sam Stwórca świata
Podzielił świat na kmiecia, szlachcica, magnata.
A pomiędzy magnaty rozliczne są stopnie:
Jeden łaską królewską swego szczebla dopnie,
Drugi zasługą wojny lub bogatem wianem
Wychodzi z prostej szlachty, a staje się panem.
To jeszcze rzecz niewielka, bo tą samą drogą
Zostać i proste kmiecie szlachcicami mogą.
A jużci... dla bogactwa i tamtych świat ceni...
Ale są jeszcze inni, wyżej urodzeni,
Wyżej... i jeszcze wyżej... słowem tak wysoko,
Że ich początków ludzkie nie dośledzi oko,
Nad których rodosłowem chociaż dniem i nocą
Heraldycy mozolnie swoje czoła pocą,
A jednak ich nie mogli zgłębić do tej pory...
Na przykład: Wątorowie — Comites Wątory...
Chcesz poznać ich odwieczność, czytaj foliały,
Co mi się dziś po bracie spuścizną dostały,
Spisane jego ręką do ksiąg starych szczętów,

Oparte na powadze starych dokumentów...
Patrz na ten herb, ze srebra czystego wykuty:
Na nim lwy, słońca, gwiazdy, orły i koguty,
Na głównej tarczy beczka, a nad nią dwa klucze.
Słuchaj, ja cię znaczenia tych herbów nauczę.

HANNA.

Lecz ojcze, Stach przyjechał...

WĄTORSKI.

Nie myśl tam o Stachu!
Córka hrabiów Wątorskich w swoich przodków gmachu
Ważniejszemi rzeczami niech zaprząta głowę,
Aby zdołała poznać swe dzieje rodowe.
(Wskazując tarczę).
Patrzaj na ten herb srebrny: oto beczka wina,
Nad nią na krzyż dwa klucze, berło je przecina;
Tym herbem, jak uczony Anzelmus dowodzi,
Pieczętował się Noe jeszcze w swojej łodzi.
Jafet, średni syn jego — patrz na lewą stronę —
Już nad beczką miał w herbie hrabiowską koronę;
A u beczki, rzeźbiarza ręką pracowitą,
Czy uważasz? Wątory wyraźnie wyryto:
Więc i ślepy odgadnie, że od tamtej pory
Już się pisał Wątorski — Comes de Wątory.
Na inny czas odkładam ciąg wywodzić prosty
Od Jafeta do Pawła rzymskiego starosty,
Który był prapradziadem mego prapradziada,
A po którym ów tytuł prosto na mnie spada...
Dość powiedzieć, żem krewny z najpierwszemi władce,
Z Romulusem po ojcu, z Cyrusem po matce.
Tutaj znajdziesz ich herby — na dziś o tem dosyć
Pocznijmy ród Wątorów do Polski przenosić:
Jeden z Wątorskich, Sławosz, rodził się z królewny,
Przydał do herbu ćwieczek, bo był Lecha krewny;
Drugi, jak świadczy powieść mgłą wieków pokryta,
Ten sam zamek Wątory wziął od Ziemowita,
Położył fundamenta rodowej kolebki,

Pieczętował się beczką — a w niej cztery klepki.
Odtąd na nas godności płynęły, jak z wodą:
Wątorski był hetmanem, drugi wojewodą,
Trzeci, najpierwsze krzesło zajmując w senacie,
Z Władysławem Jagiełłą był za panie bracie;
Był hetman, co zastępy Bolesławów wodził,
A miecznik, moja pani, z Tęczyńskiej się rodził;
Kilku było Biskupów, czterech kasztelanów...

HANNA.

Lecz, ojcze, mamy gościa...

WĄTORSKI.

Dobrze się zastanów,
A sama łacno uznasz...

HANNA.

Ależ tam gość czeka!...

WĄTORSKI.

Właśnie do tego punktu przyszedłszy z daleka,
Pomówimy otwarcie:
Świat zmienia się skoro,
I najpierwsze rodziny upadek swój biorą;
Jeden dom musi ginąć, drugi łaski chwyta,
Jak naprzykład w tych czasach Zamojszczyk Jelita,
Który został za jednem faworów ujęciem
Hetmanem, i kanclerzem, i królewskim zięciem;
Wtenczas gdy ja, potomek tak świetnego przodka,
Miałem ubogi dworek i jednego kmiotka.
Mój brat, a twój stryj, Hanno, po którym dziś płaczem,
Także musiał przestawać na chlebie żebraczym;
Przedane były włości i ziemne obszary,
Ale posiadał dworek i ten zamek stary,
Kolebkę swego rodu. Ja, młodszy syn domu,
Nie taję się, żem bratu zazdrościł kryjomu,
Iż on mieszka na zamku, ja w drewnianej budzie.
Wiedziałem, ktośmy tacy, że nie prości ludzie,
Że się żaden Wątorski służbami nie zmazał;
Lecz tej szacownej księgi brat mi nie pokazał:

Więc niejasne pojęcie mając o swym rodzie,
Marzyłem, jak plebejusz na skromnej zagrodzie.
I przyznam się, że wielce byłem ucieszony,
Gdy Stach Pachołowiecki zawitał w te strony,
Syty wojennej chwały, i młody, i hoży;
Rad byłem, kiedym widział, że starania łoży,
By pozyskać twą rękę. Ja marzyłem skromnie,
Kiedy zamek Wątory nie należał do mnie:
Bo choć miła dla serca dostojność rodzima,
Brat ma syna — myślałem — ten syn ją podtrzyma.
Lecz dzisiaj... dzisiaj, Hanno insza nasza sfera:
Umarł syn mego brata, dzisiaj brat umiera,
A ja na czele rodu; — póki jeszcze tlejem,
Nie dam ci się niesławnie połączyć z plebejem.
Patrz: zamek naszych przodków w gruzy rozsypany:
Ty musisz świetnym związkiem podeprzeć te ściany.
Nie dla ciebie na męża skromnej szlachty dziecię:
Są Górkowie, Tęczyńscy, Zborowscy na świecie;
Niejeden lew sarmacki, jak pokorne jagnię,
Z świetnym domem Wątorów złączyć się zapragnie;
A że się już na tobie nasze gniazdo kończy,
Niechaj z naszem nazwiskiem swe nazwisko złączy.
Zabłyśnie stara świetność na wątorskim dworze,
A wtedy...

SCENA CZWARTA.

CIŻ i BALTAZAR.

BALTAZAR (wchodząc).

Gość was pyta: czy się widzieć może?

WĄTORSKI.

Prosić go.

BALTAZAR.

Pleban przysłał dzwonnika od siebie,
Pomówić z Waszą Cześcią o przyszłym pogrzebie,
I rachunek wydatków... a rachunek suty...

WĄTORSKI.

Mój Boże! a ja jestem z szeląga wyzuty!
Chciałem pogrzeb uświetnić, sprosić wielu gości...
Co tu począć?...

(Chodzi niespokojnie po scenie).

Zastawię moje posiadłości,
Powinni dać pieniądze... to środek jedyny...

BALTAZAR.

Jeden kmieć, dwa folwarczki i zamku ruiny
To całe wasze hrabstwo — długów co niemiara,
Lichwiarze na to wszystko nie dadzą talara.

(Kłania się).

Niech to będzie, co powiem, bez pańskiej obrazy...

WĄTORSKI.

Dać cyrograf na summę większą o dwa razy,
Zapewnić wielką lichwę...

BALTAZAR.

Nie dadzą i kwita!
Wprawdzie tutaj z pieniędzmi jest Izraelita,
Ale jego warunki ciężkie, niespodziane.

WĄTORSKI.

Na wszystkie się podpiszę, na wszystkie przystanę!
Byle hrabia Wątorski, mój brat pierworodny,
Był pogrzebion z przepychem, którego jest godny;
Byleby jego trumnę suto ozdobiono
Szkarłatnym aksamitem z hrabiowską koroną,
Byleby czarne kiry obito w kościele,
Byleby świec jarzących było bardzo wiele;
Byleby kaznodzieja, z karty, co mu skreślę,
Starożytność Wątorskich wypowiedział ściśle;
Byleby...

BALTAZAR.

Ale trudno.

WĄTORSKI.

Cóż?

BALTAZAR.

Nadzieja krucha!
O żadnym cyrografie lichwiarz ani słucha,
Chce po prostu służalec szkaradnej mamony...

WĄTORSKI.

Cóż? zakupić w pół darmo przyszłoroczne plony?
Mniejsza o to... pomyślę, że mię okradł złodziej.
Już się zgadzam na wszystko.

BALTAZAR.

Nie... pan się nie zgodzi.

WĄTORSKI.

Czegoż chce??

BALTAZAR.

Nie śmiem mówić...

WĄTORSKI.

No! powiadaj śmiało!

BALTAZAR.

Chce po prostu wziąć w zastaw... ot tę tarczę białą.
(Wskazuje tarczę herbową).
Mówi, że to ze srebra... sto talarów warta...
Zabytek lepszych czasów...

WĄTORSKI (z gniewem).

A idźże do czarta!
Mości marszałku dworu! żart trochę za gruby!

BALTAZAR (nieśmiało).

On mówi, że to czyni... że w tem ma rachuby...
Że, pan, ceniąc ów klejnot, prędzej go wykupi...

WĄTORSKI (z gniewem chodząc po scenie).

Powiedz mu: że on głupi!... i sam jesteś głupi!
Ja... herby moich przodków... o hańba! ohyda!
Miałbym na jedną chwilę zastawić u Żyda?!
Stemmata Romulusa... Jafeta... Tankreda...
Choć za tysiąc talarów?!

BALTAZAR.

Nie, on tyle nie da:
Widział u nieboszczyka, co warta ta sztuka,
A jego, panie hrabio, już nikt nie oszuka.
Powiada, że tej tarczy każdą część pamięta,
Że ten kogut na hełmie... to blacha wydęta;
Powiada, że nieboszczyk, potrzebując grosza,
Srebrnego na żelazny zamienił kokosza;
Powiada...

WĄTORSKI (po namyśle).

Dosyć tego! Bóg wie o czem gwarzym.
Pójdę sam się rozmówić z niegodnym lichwiarzem,
Może zdołam wyjednać warunki łaskawsze...

(Do Hanny z cicha):

Ty, Hanno, przyjmiesz gościa, lecz zimniej niż zawsze;
Sama go nie ośmielaj i ja nie ośmielę:
Hrabianka na Wątorach dziś wyższe ma cele.
Wkrótce po twoją rękę — ot może jak z chmury —
Przyjedzie Wiśniowiecki lub Zborowski który...
Panie marszałku dworu! proś gościa do sali.
Hej, służba! Baltazarze, niechby wina dali.
Ja tu zaraz powrócę...

(Do Hanny):

Jeśli on nieznacznie
O dawniejszych uczuciach pomrukiwać zacznie,
Niech go spotka wzrok chłodny i taki ponury,
Aby już więcej nie śmiał powracać w te mury.
Tak chcą twoi przodkowie.

(Odchodzi z Baltazarem).

SCENA PIĄTA.

HANNA (sama, rzuca się na krzesło z boleścią).

Nie sposób!... nie sposób!...

(Po chwili):

Czekać tu na przybycie znakomitych osób?
Na co mi znakomitość?... co to wszystko znaczy?

Dlaczego się dziś ojciec z przodków tak junaczy?
Co znaczy herb ze srebra i ciąg rodu długi,
Wobec młodego czynu i świeżej zasługi?
Jak równać pleśń do kwiatu?... O Boże mój, Boże!
Ja kocham Stanisława — on wiedzieć to może;
Bo kiedy stąd odjeżdżał na pole swej chwały,
Musiał dostrzedz, żem blada, że mi ręce drżały;
Bo głosem takim ufnym, rzewnym mimo chęci:
Hanno — mówił — zechciejcie chować mię w pamięci.
Tam w boju tyle śmierci czyha na rycerze,
Niechaj wasza modlitwa mojej głowy strzeże!...
Łzy mi w oczach stanęły, jam rzekła Stachowi:
Dobrze, modlić będę się... wracajcie nam zdrowi!...
Modliłam się codziennie, serdecznie a skrycie,
I może mu na wojnie wymodliłam życie...
A dzisiaj, gdy powraca, gdym w sercu tak rada,
Czyż modłów, czyż radości zaprzeć się wypada?...
Mamże się samej siebie okazać niegodną?
Kłamać własnemu sercu i przyjąć go chłodno?...
Dobrze! jeśli chce ojciec, jeśli chcą przodkowie,
Usta skłamią nieczułość... lecz wzrok — prawdę
[powie...

SCENA SZÓSTA.

HANNA, STANISŁAW (w rycerskim stroju).

STANISŁAW.

Witajcie, krasna Hanno! czołem wasze progi!

HANNA (podając mu rękę, ze źle ukrytą obojętnością).

Panie Pachołowiecki! witajcie nam z drogi!...
Jakże się powodziło?

STANISŁAW.

Dobrze, jak widzicie:
Bóg wśród tysiącznych śmierci ocalił mi życie.
Czułem waszej modlitwy skuteczne wołanie,
I wam, Hanno, przychodzę podziękować za nie!
A jakże wasze zdrowie?... Tak jesteś wzruszoną!...

HANNA.

Płakałam... stryj mi umarł...

STANISŁAW.

A dziś pogrzeb pono.
Wierzcie mi, biorę udział w każdej waszej szkodzie,
A każda wasza boleść żywo serce bodzie.

HANNA.

Dziękuję wam za udział i zupełnie wierzę.

STANISŁAW.

A wasz ojciec?

HANNA.

Pogrzebem tak zajęty szczerze,
Tyle różnych kłopotów w kościele, we dworze,
Że ledwie za godzinę powitać was może...

(Milczenie).

STANISŁAW.

Jak to Hanno? słyszałem tu w poblizkiej chacie,
Że wasz dworek nad rzeką na zawsze rzucacie?
W tak cudnem położeniu, przy błoni, na górze,
Kędy lipy w ogrodzie rozrosły się duże,
Gdzie na chłodawym wietrze, nad rzeczną odnogą,
Błąkać się tak wesoło, oddychać tak błogo!
Czyż tamtego zacisza było wam niedosyć?
Że w te ciasne zwaliska chcecie się przenosić?
Tu wszystko wieje grobem, stęchlizną i pleśnią,
Jakieś więzienne myśli do głowy się cieśnią,
Tu wolnego oddechu dla piersi nie złowię...

HANNA.

Ten zamek spadł po stryju — tu nasi przodkowie
Mieszkali w dawne czasy. Murom, co dziś kwitną,
Mój ojciec chce przywrócić świetność starożytną...
Taka jest wola ojca...

(Milczenie).

STANISŁAW (do siebie).

Boże! co za zmiany!
Gdzie ten wyraz radości na twarzy rozlany,
Którym bywało wita, gdy ku niej przychodzę?...

HANNA (do siebie).

Och! jak ten ciężki przymus dolega mi srodze!
Lecz taka wola ojca...

(Po pauzie głośno):

Od tak dawnej chwili,
Gdzieżeście przebywali? i coście czynili?
Nie było o was słychać.

STANISŁAW.

Bo niegłośne sprawy.
Mielecki, wielki hetman, był na mnie łaskawy;
Przy nim z orężem w ręku, z przyłbicą na czole,
Uganiałem Tatary, co łupią Podole.
Jakież to piękne życie!... lecieć w bój otwarty,
Bezpieczen... bo modłami życzliwemi wsparty!
Pod wodzem doświadczonym, w ustawicznym trudzie,
Piersią zasłaniać wioski, gdzie bezbronni ludzie,
W pięknych jarach i stepach uwijać się żywo,
Puścić konia, jak wicher, za hordą błędliwą,
Wpaść na cały ich tabór, odebrać zdobycze,
I z jeńców rozwiązywać więzy niewolnicze!
Iluż błogosławieństwy nagradza się praca,
Gdy się matce stroskanej jej dziecię powraca!
Gdy starzec, co w niewoli miał już umrzeć pono,
Wyzwolony powita swą wioskę rodzoną,
A z płaczem przywoławszy swe wnuki i dzieci,
Za swojego wybawcę modlić się poleci,
I na chleb swój zaprosi!... Jakże miło potem
Spocząć na twardem siodle, pod prostym namiotem!
Jakie sny pełne nieba, bez skazy, bez plamy,
Tylko rzewne tęsknotą... po tem, co kochamy!...

HANNA (do siebie z rozrzewnieniem).

Dawni ludzie musieli żyć taką zasługą;
Cóż za dziw, że ich wnuki chlubią się tak długo
Swem pięknem pochodzeniem?... Lecz chluba daleka
Być prawnukiem z prawnuków wielkiego człowieka,
A piękniejszą i świętszą ten musi mieć postać, [zostać.
Kto, nie licząc swych przodków, sam wielkim mógł

STANISŁAW.

Potem hetman Mielecki jechał na Wołoszę,
Więc i ja się do niego pod chorągiew proszę;
I tam walcząc z Bohdanem na Iwona imię,
Ważneśmy otrzymali zwycięstwo w Chocimie.
Obok Ciołka, Herburta, Czuryły, Temruka,
Poznałem, co jest bojów regularnych sztuka.
Bóg dozwolił prowadzić mój zawód dostojnie,
Wzbogacił doświadczeniem i łupem na wojnie.
Zyskawszy nieco sławy, wróciliśmy zdrowi
Oddawać nowe służby Polsce i królowi.
Wielkie dla nich me serce obowiązki chowa:
Bo mię sam Zygmunt August i sama królowa,
Kiedy jeszcze zaledwie dzieckiem być przestaję,
Posłali dla nauki w zagraniczne kraje.
Tamem się pilno uczył rzeczy tu nieznanej:
Poznać budowę fortec, rysować ich plany,
Poznać sztukę mierniczą, jak się plany biorą,
I pisać różnem pismem kunsztownie a skoro.
Wdzięczność za tyle nauk mając przed oczyma,
Choć Zygmunta Augusta na świecie już niema,
Nie czułem się spokojny, aż mój dług wypłacę,
Dworowi królewskiemu poświęcając pracę.
Król Stefan był przychylny i przyjąć mię każe
Między Jego Królewskiej Mości sekretarze,
Gdzie przy boku kanclerza, na dostojnym dworze,
Pożyteczną zasługą odznaczę się może...

HANNA (na stronie).

Zawsze praca... zasługa... wciąż o jednem marzy...
O! jakże młodzieńcowi taka myśl do twarzy! —

A jednak, on w tych myślach zanadto ugrzęzły,
Zerwał inne ze światem łączące go węzły:
Na świetnym dworze króla, sławny i bogaty,
Może już nie pamięta, co kochał przed laty.

(Głośno):

A jakże tam w Krakowie wasz czas przepędzacie?

STANISŁAW.

Przy pracy, lub na służbie w królewskiej komnacie...
A kiedy się unużę pracą nieustanną,
Idę za miasto dumać... dumać o was, Hanno!
A wy, czy choć niekiedy o mnie przypomnicie?

HANNA.

O panie Stanisławie! u nas insze życie:
Tu niema świetnych zabaw, jak u dworu bywa,
Tutaj trąba bojowa dumań nie przerywa,
Wiejska cisza, modlitwa i piękna przyroda
Żadnej do roztargnienia zręczności nie poda;
Kółko jednych przedmiotów ciągle nas oplata,
Jednemi wspomnieniami żyjem długie lata,
A kiedy smutno sercu i łza w oczach stoi,
To wspomnienie przychodzi i smutek ukoi.
Miło nam noc bezsenną przemarzyć w ukryciu,
I długo śnić na jawie o dawniejszem życiu...

STANISŁAW.

Hanno! wy moje szczęście spełniacie w tej dobie...
Jednaka nas tęsknota ciągnęła ku sobie:
Kiedy byliśmy całym rozdzieleni krajem,
Myśli nasze ku sobie zbiegały się wzajem...
Więc Hanno!... jeśli wola, gdy serce bez zmiany,
Odnówmy naszych wspomnień ciąg niezapomniany!

(Z zapałem biorąc jej rękę):

Dajcie mi waszą rękę, i dzisiaj, w tej chwili,
Zamieńmy w rzeczywistość to, cośmy marzyli!...

HANNA (cofając się).

Stanisławie... ja nie wiem... na zawsze jam wasza;
Ale dziś... dać wam rękę... ojciec mię przestrasza..
Nie mogę... przyjaźniejszej poczekajmy pory...
Bo ojciec...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i WĄTORSKI.

WĄTORSKI (wpadając nagle, dumnie).

Jest Wątorski, comes de Wątory!
Pra-pra-pra-wnuk hrabiego Jafeta jedyny,
Pan zamku swoich przodków i głowa rodziny!
Choć jeden tylko zamek, mniej liczne mam wioski,
Równy mi Wiśniowiecki, Tęczyński, Zborowski,
A może wyższy od nich, miłościwy bracie!...
A wy kto, co po rękę mej córki sięgacie?

(Z przyciskiem).

Szlachcic Pachołowiecki... to coś, jak pacholę...
Herb Równia... wielkie święto!... już żadnego wolę!
Równia.. królewski pisarz!.. rycerz z pod Chocima!..
Umie rysować zamki, ale sam ich niema!...
Nie dla was połowica w naszem gnieździe starem:
Moja córka być musi tych murów filarem!

STANISŁAW (kładąc rękę na głowni pałasza).

Panie! tyle obelgi... takie urąganie,
Tylko od ojca Hanny przenieść jestem w stanie.
Nie bluźnię twoich przodków przedwiecznej rodzinie,
Bo ich krew droga dla mnie w sercu Hanny płynie;
Ale wara przymawiać, że mój herb za świeży:
Osobistej zasłudze także coś należy!
Jeśli wam herb mój skromny nazbyt w oczy kole,
Dziś dosłużyć się nowych wyborne mam pole:
Oto Stefan Batory dziś wojnę ogłasza,
Ze mną Bóg, moja miłość i ostrze pałasza!
Nieprędko, nieinaczej powrócę w tę stronę,

Jak wioząc nowe herby, krwią własną zbroczone.
A kiedy przyjdę do was w bohaterskiej sławie,
Moją Równię na równi z twym rodem postawię.
Zawstydzisz się przemawiać wobec całej ziemi,
Żem zdobył moją świetność piersiami własnemi.
Wtedy będę już godzien wejść w waszą rodzinę...
Hanno! pomódl się za mnie, gdy na wojnie zginę!...

SCENA ÓSMA.

CIŻ prócz STANISŁAWA.

WĄTORSKI.

Patrz, jaki hardy szlachcic!... przestraszył mię nieco...
A jak twarz jego pała! a jak oczy świecą!
Szkoda, że nie potomek wysokiego domu...

(Do Hanny):

Lecz nie dam twojej ręki nikomu... nikomu,
Kto świetnych antenatów nie otrzymał w darze,
Kto przynajmniej trzech herbów w tarczy nie okaże!
Wola moja niezłomna — tu płacz nic nie nada...
Lecz już dzwonią na pogrzeb — pospieszyć wypada,
Ubierz się w czarne krepy i osłony białe,
Przybierz postać wyniosłą, wejrzenie wspaniałe,
A nigdy nie zapomnieć proszę od tej pory,
Żeś potomek Wątorskich, hrabiów de Wątory.

(Hanna odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

WĄTORSKI (załamując ręce w rozpaczy).

Lecz mój herb... herb mój srebrny, odwieczny, bogaty,
Na którym wyrażono wszystkie antenaty,
Którym byli tak chlubni praojcowie starzy, —
Musi iść na zastawę, do brudnych lichwiarzy!
Sto talarów... dał przecię... o! łzami je broczę!
Trzydzieści trzy procenta... termin za półrocze...

A broń Boże urodzaj zawiedzie mię zdradnie,
Świetny klejnot domowy w zastawie przepadnie...
Szczęście, kogo Wątorskim urodziły Nieba!
Lecz dźwigać takie imię — silnych bark potrzeba...
Hola! służba! pachołcy!

SCENA DZIESIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

BALTAZAR.

Staję, jak pacholę.

WĄTORSKI.

Zdejmij ten herb i zanieś do komnat na dole;
Powiedz rządcy dóbr moich...

BALTAZAR (na stronie).

To znaczy sam sobie.

WĄTORSKI.

Że z lichwiarzem interes osobiście zrobię.
Niech przyniosą rachunek i pieniądze w worze,
I gotowy cyrograf — ja pieczęć przyłożę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

BALTAZAR, WĄTORSKI (w ruinach zamkowych z rydlami w prostej odzieży kopią ziemię; Wątorski przy pałaszu).

BALTAZAR.

No, miłościwy hrabio! mamy już południe,
Czas odpocząć po pracy, kopaliśmy cudnie;
A wasza miłość rydlem tak wybornie włada,
Jakby nigdy hetmanem nie miał pra-pra-dziada.

(Zdejmuje kapelusz, stawia rydel i siada na zwalisku muru).

WĄTORSKI (także kładąc rydel).

Wstyd mi, wstyd mi, zaprawdę, tak pracować w pocie;
Lecz ludzie z mego hrabstwa w polu na robocie,
A ten ogród zarastał chwastem do tej pory...
(Z bolesnym śmiechem):
Ha! cóż począć? Wątorski, comes de Wątory,
Gdy mu całkiem na środkach utrzymania zbywa,
Musi sam własnoręcznie uprawiać warzywa!
(Siada na drugiem zwalisku).
Baltazarze! ty jeden wiesz na całym dworze,
Że incognito czasem me ręce przyłożę
Do rydla lub siekiery — to przykład jedyny,
Domowa tajemnica Wątorskich rodziny:
Umiej ją poszanować! Nie tylko ktoś inny,
Lecz cienie moich przodków znać jej nie powinny!...
Wątorski kopie rydlem!... od takiej zakały
Romula i Cyrusa kości-by zadrżały;
A Biskupi, hetmani i wojewodowie
Mogliby ze swych trumien złorzęczyć mej głowie!...
Lecz cóż począć?... Posiadam jeden ziemi szmatek,
Jeden kmieć a trzy dwory! chleba niedostatek...
Choć z rodu miałbym prawo dygnitarzem zostać;
Muszę dźwigać ubóstwo, nikczemną mieć postać;
Bo ludzie świeżej daty, co dziś krajem władną,
O hrabi na Wątorach zapomnieli snadno...
Czekając dla tych murów szczęśliwszej jutrzenki,
Muszę dzisiaj, rad nierad, rydel brać do ręki.

BALTAZAR (z rezygnacyą).

Gdy służą jeszcze siły, jedzmy chleb w mozole.
Czy wierzysz Wasza Miłość? ja to lepiej wolę,
Niźli biegać na służbie w ustawnej pogoni,
Być marszałkiem bez dworu, koniuszym bez koni,
Piwniczym bez piwnicy, że aż boli dusza —
Volę poczciwy rydel!

WĄTORSKI (patrząc na stronę).

Jak znać plebejusza!
A jednakże, jeżeli oko mnie nie myli,

Naczelnikiem sił zbrojnych musisz być w tej chwili.
Jakiś powóz na drodze wymija rozdroże...
Czy też pojedzie dalej? czy do nas być może?...
Przywdziej zbroję i ruszaj na zamkową wieżę:
Niech twój sygnał na trąbie zawczasu ostrzeże,
Jeśliby do Wątorów zakierował drogą;
W tym stroju, z rydlem w ręku, przydybać mię mogą,
To byłby cios śmiertelny!

BALTAZAR.

Daremna mozoła!
Droga chwastem zarosła do naszego sioła:
Nikt pewno nie przyjedzie przeszkodzić nam w pracy.

WĄTORSKI.

Teraz, widzisz, z wyprawy wracają wojacy,
Mogą do nas zawitać; nic bym się nie dziwił,
Gdyby który Zborowski, lub książę Radziwiłł
Przyjechał do Wątorów prosić rękę Hanny...

BALTAZAR (do siebie).

Znów mu głowę przewrócił ten szał nieustanny!
Dziewczyna, nim się pańskich doczeka zalotów,
On ją do dnia sądnego doma więzić gotów;
A szkoda! wielce szkoda!

WĄTORSKI.

No, ruszaj na wieżę!
Pomnij uderzyć w trąbę...

BALTAZAR.

Pewno nie uderzę:
Bo choć codzień wychodzę i ślepię oczyma,
A żadnego książęcia jak niema, tak niema!

WĄTORSKI (niecierpliwie).

Będę czekał lat dziesięć, choćby lat dwadzieście,
Doczekam się książęcia... doczekam się wreszcie!
A waść dowódca straży, to czuwaj nad strażą,
Nie wdawaj się w rozprawy i czyń, co-ć rozkażą!

(Baltazar ruszając ramionami odchodzi).

SCENA DRUGA.

WĄTORSKI (sam).

Ja sam poczynam wątpić — lękam się zawodu...
Lecz wydać za plebeja córkę mego rodu
Niepodobna... Przodkowie... zmarszczą się ich twarze,
Kiedy z niepewnym herbem moją krew skojarzę...
Nie spieszmy — poczekajmy dostojniejszych osób:
Orlicy trzeba orła, inaczej nie sposób!...
Na skrzydłach tego orła — po trosze, po trosze
Wznosi się dom Wątorów... i ja sam się wznoszę.
Wsparty wziętością zięcia, dwa starostwa biorę,
(Dziś intratne starostwo dla mnie w samą porę,
Bo na gwałt trzeba grosza...) Gdy rosnę w honorze,
Kasztelaństwo krakowskie zawakować może;
Staram się... otrzymuję... zasiadam w senacie,
I oto w dostojności nowej mię poznacie...
Będę się podpisywał ogromnemi głoski:
Wątorski de Wątory, Kasztelan Krakowski,
To pięknie brzęczy w ucho!.. W tej fortunnej zmianie
Hetman wielki koronny umrze niespodzianie,
Ja zostaję hetmanem — i jakimże jeszcze!...
A wtedy obok przodków mój portret umieszczę:
W jednej ręce buława, co oznacza władzę,
Drugą za pas się trzymam, albo wąsy gładzę...

(Bierze rydel zamiast buławy i układa się w pozę).

A czoło wypogodzę... nie... nachmurzę wolej;
Będę miał strusie pióro u czapki sobolej,
Karmazynową delię, żupan złotolity,
A nad głową napiszą wszystkie me zaszczyty
I wymalują herby z całym rodowodem:
Korona z dwoma berły, a beczka pod spodem...
Tak będę wisiał w sali... w moich przodków sali...

(Słychać trąbę).

A to co?... dają sygnał?... goście przyjechali?
Książęta!... niezawodnie!... doczekałem wreszcie...
Hej służba! na spotkanie co prędzej wybieżcie!

Mój ubiór!... ale żupan świąteczny podarty...
Nie włożę... siądę tutaj, na murze oparty,
Przeproszę moich gości za lekkie ubranie,
Niby mię tu w ogrodzie zeszli niespodzianie.
(Siada majestatycznie na zwalisku).

SCENA TRZECIA.

WĄTORSKI, BALTAZAR (wpada przestraszony).

WĄTORSKI.

Marszałku! kogoż z gości zwiastujesz mi wasze?

BALTAZAR.

Och! panie! złe nowiny... może go przestraszę...
Przybył gość niespodziany... i tu prosto zmierza...
Ten... ten... ale...

WĄTORSKI.

Któż przecię?

BALTAZAR.

Lichwiarz z Sandomierza.
Dał na zastaw pieniądze z terminem we żniwa...

WĄTORSKI.

No, pamiętam... pamiętam...

BALTAZAR.

Dziś termin upływa.

WĄTORSKI.

Liczyłem na urodzaj, ten zawiódł mię zdradnie...
Nie oddam, bo nie mogę...

BALTAZAR.

Toć zastaw przepadnie.

WĄTORSKI.

Tarcza z herbem mych przodków ma zostać przy Żydzie!
To za ciężka zniewaga!...

BALTAZAR.

Otóż on sam idzie!
(Wątorski siada majestatycznie na gruzach, jak przed chwilą).

SCENA CZWARTA.

CIŻ i NEFTAL.

NEFTAL (wchodząc z lekkim ukłonem bez zdjęcia czapki).

No? a co z nami będzie?

WĄTORSKI (z powagą).

Sprawa swoją drogą;
Ale pomnij, gdzie jesteś i mówisz do kogo!
Mogłeś czapki uchylić.

. . . . . .

NEFTAL (z uśmiechem).

Aj! wielcy panowie!
Jestem w domu dłużnika i z dłużnikiem mówię:
Czy jeszcze za mój pieniądz mam kłaniać się może?
Tu czapka nie zawadzi — bo wietrzno na dworze.
(Poprawia czapkę).

WĄTORSKI.

Przyszedł, by mi ubliżać — na cześć nie pamięta!
(Do Baltazara):
Niech z przed mego oblicza usuną natręta!
Nie chcę go więcej widzieć!

NEFTAL.

Tylko zapłać wasze!
Ja się strachów nie lękam, groźby nie przestraszę.
Mam cyrograf waszmości i termin wypłaty.
Od czegoż woźny, pozew i sądowe kraty?...
No! czego tu się gniewać? wszak takie umowy.
(Patrząc na Wątorskiego, który ima się głowni pałasza):
Zresztą, jeśli potrzeba — zdejmę czapkę z głowy.
Czy waszmość dasz pieniądze?

WĄTORSKI.

Miej trochę pokory:
Jestem hrabia Wątorski — comes de Wątory!
Nie nazywam się waszmość, lecz trochę inaczej!

NEFTAL.

Czy waszmość, czy jegomość — wszystko jedno znaczy.
U mnie tylko wielmożni panowie bogaci,
A ten pan miłościwy, kto swe długi płaci.
Czy gotowe pieniądze?

WĄTORSKI.

Mój mości Neftali,
Patrz na wieże tych murów!

NEFTAL (patrzy na wieżę).

To cóż będzie dalej?
Cegła stara, pobita, mało z niej intraty.

WĄTORSKI.

Lecz tu bohaterowie mieszkali przed laty!

NEFTAL.

Musi być bardzo dawno.

WĄTORSKI (dumnie).

Lat pięćset, to mało?!

NEFTAL.

A gdzież tych bohaterów bogactwo zostało?

WĄTORSKI.

Zostało w księdze dziejów, których czas nie spożył,
I na tarczy herbowej, com w twe ręce złożył;
Na portretach, co jeszcze pleśni nie uległy,
I na cegłach tych murów!

NEFTAL (patrząc ciekawie).

Wszak to proste cegły,
Stare, pobite, kruche, nic niewarte sądzę.
Ja cegłą nie handluję — daj mi pan pieniądze;
A przez grzeczność... zobaczym... niech i pan co
Mogę nastręczyć kupca na te rumowiska. [zyska, —

WĄTORSKI.

Jakto! mniemasz, że ciężką obarczon biedotą,
Mury moich naddziadów mam przedać na złoto?

Nie! jeszcze mię tak ciężka nie przytłacza bieda;
Obejdę się bez złota.

NEFTAL.

Tu złota nikt nie da.
Możnaby gruz na cegłę wyprzedać ryczałtem;
Nie chcesz pan... mniejsza o to... nie odbieram [gwałtem;
Lecz co będzie z mym długiem? Czekam do tej pory.

WĄTORSKI.

Święty jest dług, oparty na zamku Wątory...
Ale słuchaj, Neftali! liczyłem na żniwa,
Lecz zima była ciężka... wiosna nieszczęśliwa...
Latem wypadły grady — miej proszę na względzie.
Ja dziś nie mam pieniędzy.

NEFTAL.

A cóż z tego będzie?

WĄTORSKI.

Musisz trochę poczekać.

NEFTAL.

Na co tu czekanie?
Mam zastaw, pańskie herby, i mam kupca na nie.
Będzie strata — cóż robić? liche nasze zyski!
Każę herby przetopić na srebrne półmiski.
A kiedy wielka strata, nie dopuszczaj Boże!

(Wpada w gniew).

To ja na pański zamek trzy pozwy położę!
Będę się procesował, pozna pan dobrodziej!
Co ten herb? Srebro liche! waga nie dochodzi!
A na wierzchu kogutek, i to z blachy jeszcze!
O! ja tego kogutka na karczmie umieszczę,
I pod znakiem koguta zrobię szynk na wino,
Aby wszyscy widzieli rzetelność waściną!...

(Uspakaja się nieco).

Zresztą, panie Wątorski... jeślibyście chcieli,
Dam waści trzy dni czasu — termin do Niedzieli;

Lecz w Niedzielę, broń Boże, pieniędzy nie będzie,
Areszt na te zwaliska kładę na urzędzie;
Srebrny herb dam przetopić, bo na to mam władzę,
A kogutka na dachu karczemnym posadzę...
A teraz życzę dobrem pocieszać się zdrowiem!

(Kłania się).

Waszmość wiesz, żem ja słowny — dotrzymam, co powiem.
Do Niedzieli!

(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

WĄTORSKI (załamując ręce).

Szatanie!

BALTAZAR.

Hej, panie Neftali!

NEFTAL (wychylając twarz z za muru).

Do Niedzieli poczekam... lecz nie mogę dalej;
Potem herby przetopię...

(Znika).

BALTAZAR.

Czekaj! jedno słowo!

NEFTAL (ukazując twarz znowu).

A koguta umieszczę na wiechę szynkową!

(Znika).

BALTAZAR.

Poczekaj! pogadajmy! czy się waść ośmieli!

NEFTAL (jeszcze raz wygląda z za muru).

A zamek zatraduję; termin do Niedzieli.

(Znika).

WĄTORSKI (z boleścią).

Więc w rękach u lichwiarza, pod młotem złotnika,
Ta najświętsza pamiątka mego domu znika!

Kruszą się, łamią, topią, jakby cyna podła,
Romulów i Cyrusów przedwiekowe godła!
I stanie się za chwilę jedną kruszcu bryłą
Cały ślad moich przodków, jakby ich nie było!...
Przyjdą płatni mularze, z sądową pomocą,
I młotem te odwieczne wieżyce zgruchocą;
A świetny dom Wątorskich, dom moich pradziadów,
Zniknie z oblicza ziemi, bez szczątków, bez śladów;
I uschną wiekuiste rodowe wawrzyny...
I to za moich czasów!... i to z mojej winy!...

(Z rozpaczą).

Ja miałem pielęgnować, i ja sam to niszczę!...
O nie! pierwej krew moja obleje to zgliszcze —
A kronika zapisze w potomność odległą:
Padł ostatni Wątorski pod ostatnią cegłą
Zamku swoich naddziadów... Tak! jeden krok śmiały!
Choć raz trzeba być mężnym — nie przeżyć zakały!

(Dobywa pałasza).

BALTAZAR (rzuca się ku niemu).

Panie! to być nie może!... wszak jest Bóg na Niebie!
Zapłacim... zapracujem o wodzie i chlebie...
Ja wymodlę, wyproszę... w odzieży żebraczej,
A umrzeć nie dopuszczę — mnie zabijcie raczej!...
Rzućcie pałasz... to zbrodnia! to piekieł pokusa!...

(Wyrywa mu pałasz i ogląda).

Szczęście, że zardzewiały od czasów Cyrusa!
Lecz zawsze niebezpieczny... za to Pan Bóg skarze!

(Odrzuca pałasz na stronę).

WĄTORSKI.

Przeżyć własną ohydę... nie, mój Baltazarze!
Na mnie patrzą przodkowie, patrzą dziejów karty —
Czyż mam być z posiadłości i ze czci odarty?...
Słyszysz, jak jęczą duchy z pod grobowych pleśni?
Patrz, jako, mnie wskazując, chychocą spółcześni!
Wątorski celem śmiechu! sromota! sromota!...
Daj pałasz, Baltazarze! szaleństwo mną miota!...

BALTAZAR (do siebie).

To mi ważny argument: trucizna w chorobie!
Szalonemu miecz w ręce! prawda, że to zrobię!

WĄTORSKI.

Za sto nędznych talarów — o, jak to okropnie!
Mój zamek się rozwali, tarcza herbu stopnie,
A kogut, jedno z godeł zyskanych od Lecha,
Ma służyć pośmiewiskiem, jak zwyczajna wiecha...
Ponad dachem gospody!... o moi przodkowie!
Znam od dawna lichwiarza: on spełni! co powie...
I przeżyć tyle hańby!

(Załamuje ręce i bezsilny usiada na gruzie).

BALTAZAR (klęka przed nim).

Ku takiej ohydzie
Przysięgam, że nie przyjdzie!...

SCENA SZÓSTA.

CIŻ i HANNA.

HANNA.

O! pewno nie przyjdzie!
Ojcze, byleś nie cierpiał... miłosierdzie Boże!
A ja ci zapracuję...

BALTAZAR.

I ja coś dołożę.

HANNA.

Wszak ja mam sznurek pereł z czasów lepszej doli...

BALTAZAR.

Wszak przy nowej opończy mam kołnierz soboli.

HANNA.

Mam pierścień z dyamentem, wszak to każdy kupi;
Lichwiarz weźmie w pieniądzach...

BALTAZAR.

A jakiż ja głupi!
Wszak mam dziesięć talarów, to dla mnie za dużo;
Chowałem je na pogrzeb, niech dziś panu służą...

HANNA.

Wszak jeszcze mi się został klejnot nad klejnoty,
Z błogosławieństwem matki pieniądz szczerozłoty;
Miał służyć mi do ślubu — dziś stosowniej zda się...

BALTAZAR.

Ja łańcuszek ze srebra mam przy kordelasie
I klamrę przy żupanie — chętnie to poświęcę...

HANNA.

Wszak mamy zdrowe ręce.

BALTAZAR.

Tak jest, zdrowe ręce:
Dorwę się do siekiery, do rydla, do młota...

HANNA.

Choć niepopłatna z igłą niewieścia robota,
Pracując w dzień i w nocy, poszczęści się może,
I ja, ojcze, choć małą kwotę ci przysporzę.
Potrzeba tylko zechcieć, aby się udało.

WĄTORSKI.

Szlachetne wasze serca, ale sił za mało!
Czy myślisz, słabe dziewczę, czy ty myślisz, starcze,
Że wydrę wam ostatki i pracą obarczę?
Na mnie leży ten ciężar: kto jest rodu głową,
Sam powinien obronić świątynię rodową,
Kiedy jej nieprzyjaciel orężem zagraża,
Albo czyhają szpony chciwego lichwiarza;
A jeśli nie obronił — to niechaj nie plami,
Niechaj umie przynajmniej legnąć pod gruzami!...

BALTAZAR (do siebie).

I płacz, i śmiech! te gruzy dały się we znaki!
Zaprawdę, lepszej sprawy godzien zapał taki!
Rzadko widzieć go można w tak pięknym zachwycie.
Aby go uratować, ja oddałbym życie;
Lecz biedny, cóż poradzę?

WĄTORSKI (z boleścią).

Głupota! głupota!
Ta pycha rodowita, co nam serca miota!
Umiemy się przechwalać naszemi pradziady,
A gdy bronić ich trzeba, to nie damy rady...
Bo pytam: jak rodzinnych zaszczytów dochowa
Rozleniwiała ręka, niedołężna głowa?
Któryż najlichszy ptaszek nie umie przez pracę
Naprawić swego gniazdka, gdy burza skołace?
Jestże najlichszy kmiotek z najlichszego sioła,
Co strzechy swego ojca podtrzymać nie zdoła?...
A syn wielkiego rodu, krajowe bożyszcze,
Umie tylko boleśnie poglądać na zgliszcze,
I byle jaki piorun, byle chmurka błaha,
Do swej niedołężności przyznać się nie waha...
Poco było mi czekać na losy łaskawsze?
Dlaczego zasług przodków nie odświeżać zawsze?...
Patrzcie! jak się orężem, i piórem, i głową
Wznosi pozioma szlachta na świetność dziejową!
Kiedy mnie ani oręż, ani praca czoła
Kilku nikczemnych groszy pozyskać nie zdoła!
Bo w mych leniwych piersiach rozmiękniał hart ducha,
Głowa odwykła myśleć, a pióro nie słucha.
Mnie od pieluch wmawiali, żem dostojne dziecię,
Że bez pracy, bez nauk, znajdę cześć na świecie...
Dzisiaj, gdym niedołężny, gdy mię hańba czeka...
Przeklęctwo, kto magnata odróżnił od człeka!...

HANNA.

Uspokój się, mój ojcze!...

BALTAZAR.

Uspokój się, panie!

HANNA.

Porzućmy to zamczysko — to brzydkie wygnanie;
Wrócim w nasz skromny dworek, jakże będziem radzi!

WĄTORSKI.

A tarcza herbów naszych młotem się zagładzi!
Ja tego nie przeżyję, bo to nazbyt podle...

BALTAZAR.

Pójdę błagać lichwiarza — wystraszę, wymodlę;
On herbów nie popsuje, da nam nieco zwłoki.

HANNA.

A tymczasem dojrzeją i dalsze widoki.

BALTAZAR.

Rzucimy się do pracy.

HANNA.

Spieniężym ostatki...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i STANISŁAW PACHOŁOWIECKI.

STANISŁAW.

Starego przyjaciela przyjmiecież do składki?

HANNA.

Stachu! ty nam przybywasz!...

WĄTORSKI (do siebie, z boleścią).

Właśnie! — sama pora!
Widzieć upokorzenie hrabiego Wątora!...
Lecz przyjmijmy uprzejmie, jak obyczaj każe.
(Do Baltazara):
Hej! rumaki do żłobu, mości Baltazarze!
(Baltazar odchodzi).

SCENA ÓSMA.

CIŻ prócz BALTAZARA.

WĄTORSKI (do Stanisława).

Witajcie nam, rycerzu! wracacie z wyprawy;
Cóż? jak nasze rycerstwo?

STANISŁAW.

Zawsze pełne sławy.

WĄTORSKI.

A król? a wielki kanclerz?

STANISŁAW.

Już w stołecznem mieście,
A wy, hrabio? a Hanna? czy zdrowi jesteście?

WĄTORSKI.

Zdrowiśmy z całym domem i z rodziną moją,
(Z ironicznym uśmiechem).
Ot, jak te baszty zamku, co pięćset lat stoją.
Dotąd mamy się dobrze, ale trudna rada:
Piorun uderza w basztę i zamek upada,
A cóż dopiero człowiek?...
(Zamyślony usiada znowu na gruzie).

STANISŁAW (do Hanny półgłosem).

Ja wszystko słyszałem.
Boleść waszego ojca dzielę sercem całem,
Chciałbym zawsze dopomódz, a teraz tembardziej.

HANNA.

Znacie mojego ojca... on pomocą wzgardzi...
On dumny... ani zechce w najsmutniejszej porze
Zaciągać obowiązków, co spłacić nie może.

STANISŁAW.

Och! byle zechciał — spłaci, a spłaci sowicie,
Skarbem nad wszystkie skarby, droższym mi nad [życie...
Ta ręka... czyż się jeszcze spodziewać wypada?...

HANNA.

Rycerzu! jam z was rada, jam serdecznie rada!
W tej głowie i w tem sercu — powiadam ci śmiało —
Ani jednej ubocznej myśli nie powstało:
Ale ubłagać ojca gdy nadziei niema,
Do czegóż to prowadzi i gdzie się zatrzyma?...
Nie! uzbrojmy się w męstwo — ja ofiarę zrobię:
Postaram się nie myśleć, zapomnieć o tobie,
Cierpieć będę w skrytości, aż śmierć dni me przetnie;
Ty, dalej swoją drogą postępując świetnie,
Zapomnisz biednej Hanny, której Niebo dało
Herbów jasnych za wiele, a doli za mało!...

STANISŁAW.

Czyż ta herbowa pycha i na ciebie wpływa?
O Hanno! Hanno moja!

HANNA (z uśmiechem).

O ja nieszczęśliwa!
Duch pychy rodowitej i we mnie coś zmienia:
Bo znając myśli ojca i jego marzenia,
Gdym błagała nad nami zlitowania w Niebie,
Czy wiesz? — żem się modliła — o herby dla ciebie?

STANISŁAW.

I niepłonna modlitwa...

WĄTORSKI (ocykając się z zamyślenia).

Znów herby na scenie?
Kto tu mówi o herbach?... proszę uniżenie!
Panie Pachołowiecki! wy jeszcze nie wiecie,
Że herbów mego rodu już niema na świecie:
Zabrał je z mego domu lichwiarz ryżo-brody
I haniebnie umieścił za godło gospody!...

STANISŁAW.

Panie! twemu rodowi już wiem, co zagraża...
Pozwól — ja ten łup święty wyrwę od lichwiarza.
Jam dziś bogaty z łaski króla jegomości,
On pasował rycerzem, on mi nadał włości.
Przysługa — jeśli wolno oddać waszej strzesie —
Wcale mię nie zuboży... a szczęście przyniesie.

WĄTORSKI (z radością).

Wy? herb mój? co ja słyszę! w głowie mi się kręci...
Macie dosyć możności? macie dosyć chęci?
Wy mi obiecujecie, jako rycerz prawy,
Tarczę pradziadów moich wybawić z niesławy?
Tak... to wielka usługa! dziękuję młodzieńczę!...
(Zamyśla się).
Ale czemże wypłacę? czem ci się odwdzięczę?
Wątorscy żadnych przysług darmo brać nie mogą...

(Dumnie):

A swojem poniżeniem — to płacić za drogo...
Bo w płonnem zamniemaniu, wy — szlacheckie dziecię,
Może nazbyt wysokiej nagrody zechcecie,
A czyniąc dla nas łaskę, zapomnieć gotowi,
Żeśmy równi Tęczyńskim, lub Radziwiłłowi...
Przysługa swoją drogą, a krew swoją drogą:
Wątorscy z herbem Równia łączyć się nie mogą.
Szacuję cię, młodzieńcze! lecz tego za mało.
Dałeś twoim nadziejom przestrzeń wybujałą:
Córka moja, do której podnosiłeś oczy,
Nowym kiedyś promieniem dom przodków otoczy...
Wierz mi, niech każdy żyje we własnym zakresie.
Kto z nami chce się równać, niech się do nas wzniesie.

STANISŁAW.

Jakże się wznieść aż do was? jak te przebyć tamy?

WĄTORSKI.

Drogą zasług posiadać, co my posiadamy,
Mieć przodków piękny poczet, świetną herbu postać,
Albo, co lepsza jeszcze, protoplastą zostać.
Bom przed chwilą inaczej, dziś wierzę inaczej:
Że ród świetny bez zasług jeszcze mało znaczy,
Najświetniejsze rodziny gdy karleją w tłumie;
Kto posiada zaszczyty, niech bronić ich umie.
Bo czy posiada zamki, czy wiejskie zacisze...

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i BALTAZAR.

BALTAZAR (podając list).

Oto list od kanclerza.

WĄTORSKI.

Do mnie kanclerz pisze?
Kanclerz wie, że ja żyję? skądże wie... w tej chwili?
(Patrzy na kopertę).

Hrabiemu na Wątorach — oko mię nie myli...
Głośny jest dom Wątorskich; ale skądże przecię
Kanclerzby się dowiedział, że żyję na świecie?
(Łamie pieczęć z pospiechem i czyta):
Mnie wielce miłościwy i Panie i Bracie...
(Do obecnych):
On mię bratem nazywa... czy to uważacie?...
Obaczymy, co dalej... niesłychane dziwy!
(Czyta):
Poleca Król Jegomość, Pan nasz litościwy,
Upraszać was o rękę jego zacnej córy...
(Z radością do Hanny):
A to co?... Ja mówiłem, że Tęczyński który,
Albo jaki Zborowski, Wiśniowiecki może,
Dostojnie postawiony na królewskim dworze,
Ktoś sławny z paranteli, wysoki w urzędzie,
O rękę twoją, Hanno, dopraszać się będzie!
(Czyta dalej):
Zacnej córy... dla wielce dzielnego młodziana,
Którego dziś zasługa w całym kraju znana.
Stanisław z Pachołowiec...
(Wykrzykuje i przeciera oczy).
Czy mi się nie marzy?...
(Czyta dalej):
Pa... cho... ło... wiecki, rotmistrz walecznych hu-
Którego szczyci łaska królewska i nasza, [sarzy,
O rękę Waszej córki pokornie uprasza.
Król Jegomość, co dobrze jego męstwo baczył,
Co dlań nowe zaszczyty herbowne przeznaczył,
Do Waszej Uprzejmości dziś wstawia się za nim,
I solennie uręcza obecnem pisaniem,
Że jeśli te na względzie będziecie mieć słowa,
W łasce swojej królewskiej wdzięcznie Was zachowa.
(Żywo do Stanisława):
Więc to wy? więc to o was? więc to przez was, panie,
Kanclerza i hetmana dostałem pisanie?

Więc król wie, żem pra-pra-wnuk mego pra-pra-dziada,
I przez swego kanclerza łaski zapowiada?
O rękę mojej córki doprasza się wreszcie,
I to dla was, rycerzu? a któż wy jesteście?

STANISŁAW.

Szlachcic Pachołowiecki, dobrze wam znajomy,
Niespokrewnion zaiste z najpierwszemi domy,
Nie szły na mnie zaszczyty spadkowe i cudze,
Czem jestem, to winienem pracy i zasłudze:
Trochę krwi, trochę potu — to moje zaszczyty!

WĄTORSKI.

Ależ łaski królewskiej znak niepospolity!
Nadał ci nowe herby — to nie rzecz znikoma...
Czy wolno je zobaczyć?

STANISŁAW (dobywając pergamin).

Oto jest dyploma.

WĄTORSKI (rozwijając go).

Piękny herb!... patrzcie tylko... na tarczy trzy [włócznie...
To ci z własnego herbu dał kanclerz widocznie...
Orzeł... w hełmie dwie baszty... suty ogon pawi...
Dwie chorągwie... cóż na nich? jesteśmy ciekawi...
Co widzę!... wilcze zęby — herb królewskiej mości...
Ot! takiego nabytku każdy pozazdrości!
Kto w ten sposób odświeżać herbu nie zaniecha,
Wart być wnukiem Jafeta, a pokrewnym Lecha...
Wszakże o takich rzeczach kronika napisze...
Któż się za wami wstawiał?

STANISŁAW.

Dobrzy towarzysze.

WĄTORSKI.

Kiedy? gdzie? jak to było?

STANISŁAW.

W oblężeniu Pskowa,
Z mężnym nieprzyjacielem szła walka trzydniowa;

Jam wymierzył plan twierdzy i pochyłość ziemi,
A kiedy przyszło walczyć, biłem się z drugimi.
Kiedy mury obronne szturmowano szczerze,
Z Wybranowskim i Sernym, najpierwsi harcerze,
Skoczyliśmy na mury; bój kipiał zajadły,
Z obu stron kupy rannych i zabitych padły,
Ja zostałem nietknięty... nade mną wysoko
Czuwało oko Boże i królewskie oko.
Pochwalił moje męstwo, przypomniał mię sobie,
I przydał nowy klejnot ku mojej ozdobie.
A kiedy mi oddawał piękne dyplomata,
Wielki kanclerz koronny ściskał mię, jak brata...
Rzewno mi się zrobiło...

HANNA (z rozczuleniem).

Bo chwil takich mało.
Wam obu w tym uścisku pięknie być musiało...
Nie wątpiłam, że Niebo moje modły ziści...

WĄTORSKI.

Lecz pewnie towarzysze pękali z zawiści,
I nie wszystkich twarz była, jak twoja, wesoła?

BALTAZAR (z ukłonem).

Przepraszam, że się wtrącę: nie zgadliście zgoła.
Byłem w wojsku z za młodu, znam duch towarzyski;
Tam szczęśliwych spotkają braterskie uściski,
Rzewne powinszowania — potem kielich w ręce!

STANISŁAW.

Tak... nie znają zawiści szlachetni młodzieńce:
Bo tam, gdzie droga zasług dla wszystkich odkryta,
Nikt w kącie zapomniany zawiścią nie zgrzyta.
Więc towarzysze moi, chrobrzy a wspaniali,
Rzewniejszą od kanclerza pamiątkę mi dali:
To pismo o ich sercach świadczy jak najwierniej.

WĄTORSKI (czyta).

„My dowódcy piechotni, jezdni i pancerni,
Jednogłośnemi słowy to świadectwo piszem

Za naszym ukochanym, wiernym towarzyszem.
Rycerz Pachołowiecki przez całą wyprawę
Okazał serce mężne, a postępki prawe:
Wśród bitew, swemu zdrowiu nie folgując zgoła,
Ochoczo dawał życie, gdzie powinność woła;
Pierwszy stawał na murach, pierwszy nabił działo,
Wszędy okazał duszę wierną i wspaniałą.
A przeto my, rycerstwo, jego zasług pewni,
Rotmistrze, namiestnicy, wodze chorągiewni,
Wielce miłego brata, podczas wojny samej,
Łaskom Jego Królewskiej Mości polecamy.
Jakeśmy w jedno koło zebrani gromadnie,
Każdy się podpisuje i swą pieczęć kładnie.
Dan w obozie..."

HANNA.

Poczciwi! szlachetni koledzy!...

BALTAZAR.

Lecz komu takie pismo wydano bez wiedzy,
Musiał się ciągle sprawiać chlubnie, jak tu pisze;
Bo najlepsi sędziowie — właśni towarzysze.

WĄTORSKI (uroczyście).

Kto herb mojego rodu wykupić jest w stanie,
Za kim się wstawia do mnie kanclerskie pisanie,
Kto podniósł własną świetność tak pięknymi czyny,
Ten godzien zostać członkiem Wątorskich rodziny.
Jeżeli się kochacie, Hanno! Stanisławie!
Niech was Bóg błogosławi! i ja błogosławię!

(Łączy ręce Stanisława i Hanny).

(Po chwili):

Cieszy mię wasza radość — i dobrze mi wróży,
Że kto służył królowi, i nam się zasłuży.
Nie lekka tu, młodzieńcze, oczekuje praca,
Musisz dźwigać ten zamek, co się w gruz obraca,
Odbudować wieżyce, przyjąć liczne straże,
Jak dostojność dwóch rodów znakomitych każe;

A herby, połączone i twoje, i nasze,
Każesz wyryć nad bramą na śpiżowej blasze...

STANISŁAW.

Dla jej szczęścia, przed żadną nie cofnę się pracą;
Spełnię wszystko, co każesz...

HANNA.

A na cóż to? na co?
Żyć będziem w cichym dworku, szczęśliwi a zdrowi.

WĄTORSKI.

Zapominasz, coś winna twojemu rodowi.
(Do Stanisława):
Pamiętaj, wchodząc w nasze rodzinne ogniwa,
Że na tobie spojrzenie mych przodków spoczywa;
Że ku tobie się marszczy, albo się uśmiecha,
Oblicze Romulusa, Cyrusa i Lecha,
I że każde spojrzenie mojego naddziada
Nowe na twoje barki powinności wkłada.
Masz na to dosyć siły? czy masz dosyć chęci?...
(Do Baltazara, patrząc niecierpliwie na Hannę i Stanisława):
Oni nie uważają! tak sobą zajęci!
Jego bardziej raduje uśmiech na jej twarzy
Niż to, że się z rodziną Wątorskich kojarzy!...
No! idźmy na pokoje, bo chłodnieć zaczyna...
Mości marszałku dworu! każesz przynieść wina;
A jeśli mur wytrzyma, osłabiony z laty,
Postaraj się na wiwat dać ognia z armaty.
(Odchodzi z Hanną i Stanisławem).

SCENA DZIESIĄTA.

BALTAZAR (sam).

Wspomnienie obok czynu... starzec obok młodzi...
Jeszcze pycha rodowa po głowie mu chodzi,
Jeszcze mu w głowie zamki, herby i filary;
A o tem nie pamięta zagorzalec stary,

Że się zamek obali, że się herb połamie,
Jeśli ich nie podeprze nowych zasług ramie...
Co do mnie — gdyby dano do wyboru postać —
Chciałbym Pachołowieckim, nie Wątorskim zostać.

15 stycznia 1856. Borejkowszczyzna.

FRANCISZEK Z ASSISU.

KANTATA.

INTRODUKCYA.

Nr. 1.

CHÓR.

Aniołów i ludzi
I ptasząt śpiewanie
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszechświata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawiśnie,
I w górę poleci,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manną.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nucie
Potężna pieśń chwały:
Hosanna Królowi, hosanna!
On w piersiach aniołów, i ludzi, i ptaków,
Dał świętą potrzebę śpiewania;
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On Niebo przed nimi odsłania.
Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hosanna Królowi, hosanna!

Nr. 2.

RECITATIVO.

Niegdyś we Włoszech był piękny młodzieniec,
Zwany Franciszkiem, z Bernardonów rodu,
Podwójny pieśni i muzyki wieniec
Skroń jego chwałą opasał za młodu.
Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
Namiętnym taktem jego pulsa biły;
Lecz Niebu więcej poświęcił kochania,
Z całego serca, ze wszystkiej swej siły.
Jak pierwszych wieków pustelnik sędziwy,
Pracą, modlitwą i postem się krzepi;
Lubił pustynię i natury dziwy,
Tam mu się modlić bywało najlepiej.
Tam, gdy go ogień rozpromienia Boży,
Ukląkłszy w cieniu gałęzistym drzewa,
Tak się zaduma, że piosnkę ułoży,
I pocznie śpiewać, nie wiedząc, że śpiewa.
Nieraz gdy gorzał w tej świętej zabawie,
W duszy nadziemska zjawiała się siła,
A przed oczyma miewał sny na jawie,
Kraina cudów przed nim się odkryła.
Jednego razu, w noc ciemną majową,
Na rozmyślaniach klęczał wedle drzewa;
Wtem na gałązce, ponad samą głową,
Słowik czarodziej piosenkę zaśpiewa.
Taka go rwała do śpiewu ochota,
Że tworzył cuda gardziołkiem śpiewaczem:
Tryska trelami, pieści się, szczebiota,
I jakby rzewnym rozlega się płaczem.
Franciszek słuchał — i łzy lejąc z powiek,
Głośno zawołał: O Boże mój, Boże!
Ja, krwią najświętszą odkupiony człowiek,
Czemuż tak cudnych hymnów Ci nie złożę?
Bracie słowiku, nie uciekaj z drzewa!
Serce mi rwie się do pieśni ptaszęcej:
Śpiewać będziemy: kto kogo prześpiewa,

Ten swego Stwórcę miłuje goręcej!
I tak wydali walkę w cześć Jehowy:
Święty wyznawca i śpiewak gajowy.

Nr. 3.

SŁOWIK.

Nie wam, nie wam,
Dolecieć tam,
Gdzie nasza pieśń dostrzeli:
Nad piętra chmur,
Gdzie pieją chór
Ptaszkowie i anieli!

FRANCISZEK.

On sam nauczył pieśni
I ptaszka, i cheruba!
Nie wam, śpiewacy leśni,
Nie wam, niebiescy, chluba!
Panu samemu cześć,
Panu samemu sława!
On pieśniom daje treść,
On dźwiękiem je napawa!

SŁOWIK.

Znam pieśń człowieczą, znam:
To twardych słów igraszka!
Ludzie, nie wam, nie wam
Pieśnią prześcignąć ptaszka!

FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku drzew!
Człek się nie upokorzy:
Silniejszy jego śpiew
Nutą miłości Bożej!

SŁOWIK.

Ptaszkowa modlitwa strzelista, głęboka!
On Pana ogląda w widniejszym zakresie,

On cuda natury ogląda z wysoka,
Modlitwę na skrzydłach do Niebios doniesie,
Bez egoizmu plam,
A wyśpiewaną prościej!...
Ludzie, nie wam, nie wam
Prześcignąć nas w miłości!

FRANCISZEK.

Bracie, śpiewaku kniej!
By godnie kochać Pana,
Wy macie środków mniej,
Bo ptaszkom łza nie dana!
My czujem tylko sami
Urok miłości Bożej:
Gdy człowiek, zlany łzami,
W ziemskim się prochu korzy,
Myślą przebiega góry,
Nurtuje otchłań wody,
Przebija czarne chmury,
Leci na księżyc młody,
Do gwiazd, do mlecznych dróg,
I widzi ze wszech stron,
Że wszędzie Bóg!
Że wszędzie On!
On w chwale majestatu
Założył wszędzie tron;
W słońcach i pyłkach kwiatu,
Wszędzie On!
Zawsze On!

A chcecie ujrzeć Mocarza,
Co słowem światy utwarza?
Patrzcie na jej góry szczyty!
Stroma, straszna ze wszech stron!
Tam człowiek na krzyż przybity:
To On!

Z pod cierniowej korony krew z czoła mu tryska;
Ciżba widzi w nim lichy cel urągowiska.

Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa;
A z rozdartej swej piersi zdroje krwi wylewa,
Zdroje łaski dla ludzi — i w skonaniu chwili
Modli się za oprawców, co go umęczyli!
Kiedy patrzą nań ciekawi,
Gdy się znęca zgraja sług,
Okiem światu błogosławi:
To On... to Bóg!

To miłość Boża, to Duch wcielony!...
O gdzież te słowa? o gdzież te tony?
Gdzie jest piosenka, co w rym posplata
Tę wielką miłość Boga do świata?...
Kocham Cię, Boże, całą istotą!
Tłumne uczucia piersi mi gniotą,
Tysiące hymnów szumi w mej głowie;
Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wysłowię!
Najwyższa pieśnia, gdy w proch się korzę,
Jęcząc ze łzami: Kocham Cię, Boże!

Nr. 4.

RECITATIVO.

Ukląkł Franciszek w niebieskim zachwycie,
Oczy wytężył ku Niebios oddali.
Zda się, że z piersi uleciało życie;
Ono się tylko w głębi serca pali.
Twarz mu się mieni gorącem, to zimnem,
Snadź kipi w myślach to radość, to trwoga,
Pierś uroczystym kołysze się hymnem,
Którego żaden nie słyszy prócz Boga.
A słowik, siedząc na gałęzi drzewa,
Wysiłek człeka uważa z oddali,
Jedną piosenkę szczebiotliwie śpiewa,
Jedną modlitwą Pana Boga chwali.

SŁOWIK.

Ja znam, ja znam
Moich piosenek skalę:

Nie nam, nie nam
Śpiewać o Bożej chwale!
Czuł ziemski pył,
Że mu na ziemi ciasno:
W górę się wzbił,
Upadł pod pieśnią własną.
Ptaszkowie my
Mędrsi od ziemskich dzieci!
Jak dusza śni,
Tak się piosenka kleci.
Bez żadnych zmian
Ciągniemy hymn zaczęty:
Tyś Bóg, Tyś Pan,
Ty Święty, Święty, Święty!

RECITATIVO.

I na promieniach porannego słońca
Płyną słowika czarodziejskie tony.
Cała natura powtarza bez końca:
„O Święty, Święty! o nieogarniony!“
I cichy wietrzyk, i jeziora fala,
I stare dęby, i chmurki w lazurze,
Stworzenie chórem Jehowę wychwala,
Słowik rej wiedzie w przyrodzenia chórze.
Wtem z poza gaju, z nad wodnej wilgoci,
Echem przepływa pieśń ziemskiego świata.
Z blizkiego zamku, gdzie się wieża złoci,
Odgłos piosenek biesiadnych dolata.
Zbliża się, zbliża — to z hucznej biesiady
Wraca rycerstwo i orężem dzwoni;
Za nimi spieszą minstrelów gromady
Z piosenką w ustach, z harfami we dłoni.
Z wesołym śmiechem postępuje rzesza,
Słychać jej łoskot od wąwozów góry;
Echo jej pieśni swawolnie się miesza
Z uroczystymi hymnami natury.

Nr. 5.

PIEŚŃ.

JEDEN Z RYCERZY.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!
Gdy walczy w turnieju, gdy goni na ostrze,
Gdy piersi uzbroi, gdy ciosy wymierza,
Gdy sztandar swej ziemi nad wojskiem rozpostrze,
A wrogów toporem nasiekłszy do syta,
Do zamku swych przodków zajeżdża gromadą;
Tam każdy rycerza wesoło powita,
Dziewica uśmiechem, trubadur balladą,
I rusza do kniei polować na zwierza!
Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

CHÓR.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

JEDEN Z RYCERZY.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!
Niedźwiedzia lub dzika gdy wbije na ostrze,
I z łowów na powrót gdy w trąbkę uderza;
Gdy sztandar gościnny nad zamkiem rozpostrze;
A potem z drużyną, przy pełnym puharze,
Braterstwo ucztuje dni całe,
Przywoła minstrelów, opiewać im każe
Kochanie, zwycięstwo i chwałę,
I nowe wyprawy na wrogów zamierza!
Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

CHÓR.

Hej! niemasz na świecie, jak życie rycerza!

JEDEN Z MINSTRELÓW.

Hej! niemasz na świecie nad życie minstrela!
On śpiewa na dworach mocarzy,
On sercom zbolałym radości udziela,
On mężnych do boju rozżarzy.
Powiernik miłości i bicia serc świadom,
Sercami, jak zechce, tak włada;

Gdzie przybył — sąsiedzi donoszą sąsiadom,
I zaraz zakipi biesiada:
Bo przybył z pieśniami posłannik wesela!
Hej! niemasz na świecie nad życie minstrela!

CHÓR RYCERZY.

Niech żyje pogromca i wrogów, i zwierza!

CHÓR MINSTRELÓW.

Niech żyje z pieśniami posłannik wesela!

RYCERZE.

Hej! niemasz na świecie nad życie rycerza!

MINSTRELE.

Hej! niemasz nad życie minstrela!

Nr. 6.

RECITATIVO.

Z brzękiem zbroicy, tętnieniem podkowy,
Z chórami pieśni, wedle uczty prawa,
Przeciągał orszak biesiady światowej,
Kędy Franciszek Bogiem się napawa.
Ocknął się, głośną obudzony wrzawą,
Uchylił głowę i uważnie słucha.
Takty piosenki bijące tak żwawo,
Nie były obce dla młodego ucha.
Cenił rycerzy, jak wszyscy spółcześni,
Jako obrońców kraju i Kościoła;
Kochał minstrelów, bo znając cel pieśni,
Wiedział, co nuta smutna i wesoła.
Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
Namiętnym taktem jego piersi biły.
Bóg, co kraj ducha przed piewcą odsłania,
Rymotwórczemi obdarzył go siły.
Poczuł natchnienie ku świeckiej piosence,
Opiewać boje, łowy i puhary,
I mimo woli zadrżały mu ręce,
Jakby szukając dźwięcznych strun cytary.
Ale cytary pod ręką nie było,

Zatęsknion po niej, jak po cacku dziecię;
A tu natchnienie z nieprzepartą siłą
Wiodło myśl jego po tym pięknym świecie,
W krainę bojów, zwycięstwa, kochania,
Gdzie leży niwa dla pieśni bogata...
Dawno Franciszek sam sobie zabrania
Tych marnych uczuć znikomego świata;
A jednak serce rwało się ku ziemi,
Chciał swoje ziemskie wypowiedzieć żale:
Wybrał najświętszą pomiędzy ziemskiemi.
Pieśń o swym kraju i o jego chwale.
Więc chociaż z sobą nie miał swej cytary.
Głos wydać z piersi odważył się śmielej.
Dobrawszy słowa do muzycznej miary,
Taką pieśń posłał za echem minstreli:

Nr. 7.

PIEŚŃ FRANCISZKA.

Niema na świecie, niema,
Jak ta ziemia bogata!
Między morzami trzema
Króluje berłem świata.
Niemasz bogatszej strony,
Jako kraj mój rodzony.

Świat zdumiewa mocarka,
Wszystko zbiega się ku niej.
Rzym, Neapol, gród Marka,
To trzy kwiaty jej skroni.
Niemasz sławniejszej strony,
Jako kraj mój rodzony!

Tu, choć ziemia bez pracy,
Urodzajna i święta;
Tu najlepsi śpiewacy,
Najpiękniejsze dziewczęta.
Niemasz weselszej strony,
Jako kraj mój rodzony!

Łaski świeże a świeże
Płyną na nią jak rosa:
Tu najprawsi rycerze,
Tu najczystsze Niebiosa.
Niemasz szczęśliwszej strony,
Jako kraj mój rodzony!

O! jak chlubnie, jak miło
Wyznać przed światem Bożym,
Że się tutaj zrodziło,
Że tu głowę położym!
Bo niemasz milszej strony
Jako kraj mój rodzony!

Nr. 8.

RECITATIVO.

Kiedy tak mówił, uderzył blask słońca,
Jęknął dzwon ranny w poblizkim kościele,
Poważne echo o pagórki trąca,
Nad dolinami jako mgła się ściele.
Umilkło ptastwo, ścichnął wiatr w dąbrowie,
Ogarnął echo dzwon rozkołysany,
Jęcząc i mrucząc w uroczystem słowie:
„Módlcie się Panu nad pany!“
Ten jęk Franciszka duszę opamięta;
On przetarł oczy, badając, czy nie śni:
Witaj mi, dzwonów harmonio święta,
Co od światowej odrywasz mię pieśni!
Piękny jest wprawdzie mój kraj rodowity,
Nie dziw, że z piersi piosenkę wymami;
Ale piękniejsze są Niebios błękity,
Świętsza ojczyzna ponad błękitami.
Tam, tam daleko — tam dla pieśni droga!
Leć, duszo moja, do Boga, do Boga!

Nr. 9.

MODLITWA FRANCISZKA.

Panie, Panie, Boże mój!
Przebaczenie święte daj,

Żem na ziemski nucił strój,
Żem zanadto kochał kraj!
Żem na chwałę lubych stron
Śmiał oderwać pieśni ton!

Źródłem pieśni Tyś jest sam,
Tobie służy Hymnów treść;
Jam się ważył, choć to znam,
W inną stronę myśli wznieść!
Oto błaga ziemski syn
Przebaczenia swoich win!

Przebaczenie, Boże, daj
Za myśl ziemską w serca dnie,
Że gdy wspomnę ojców kraj,
Coś do pieśni duszę rwie!
A gdym Boga pieśnią czcił,
To zabrakło marnych sił!

Ziemska pieśni! dość już, dość
Być narzędziem ziemskich chwał!
Ty byś mogła w serce wrość, —
Bóg nie na to serce dał!
Och! już nigdy w cieniu drzew
Mnie nie skusi ziemski śpiew!

Nr. 10.

RECITATIVO.

Bóg przyjął świętą Ofiarę człowieka,
Ofiarę barda, co swe struny zrywa.
I oto słychać z wysoka, z daleka,
Muzyka jakaś dźwięczna, pieszczotliwa
Płynie z błękitu nad góry, nad gaje,
Drga w rdzeni drzewa, po gałązkach lata, —
Głos się dla ucha znajomym być zdaje,
Przecież to dźwięki nie ziemskiego świata:
Są tu i hymny, i ptasząt piosenka,
A wszystko zlane w tak cudnym doborze,
Że się, słuchając, mimowolnie klęka

I ucha od niej oderwać nie może.
Och! lecz nie każde śmiertelnika ucho
Godne słyszeć te święte rozgwary!
Trzeba być godnym miłością i skruchą,
Unieść się duchem przez potęgę wiary.
Bliżej... wyraźniej... nad gęstwiną drzewa
Tryskają tony dźwięczne i bogate:
To chór Aniołów nad Franciszkiem śpiewa,
By ziemskiej pieśni nagrodzić mu stratę.

Nr. 11.

CHÓR ANIOŁÓW.

Wesel się, synu człowieczy!
Pan kontent z ofiary twojej:
W zamianę znikomych rzeczy,
Muzyką Niebios cię poi.
Ona twe serce rozżarzy,
Od ziemskiej pieśni uleczy!
W chórze niebieskich pieśniarzy
Wesel się, synu człowieczy!

CHÓR SŁOWIKÓW.

Ej, drobniż my ptaszkowie,
Pieśnią wzruszamy las!
Modlimy się Jehowie,
Jako nauczył nas!
Ej, weźcie nas, Anieli,
Weźcie w niebieski chór!
Niech wasza pieśń wystrzeli
Aż pod obłoki chmur,
I tam, i tam,
U Niebios bram,
Odbije wtór!

FRANCISZEK.

Wobec ptaszka i Anioła,
Pieśń człowieka taka błaha!
Wtenczas tylko wzrosnąć zdoła,
Kiedy zaprzeć się nie waha,

Kiedy ziemskie minie cele,
Gdy miłością Bożą płonie,
Gdy się śpiewak krzyżem ściele,
Gdy wyciąga w Niebo dłonie!
Ja mizerny w mej pokorze,
Jednym hymnem wciąż zadzwonię:
Chwała Tobie, wielki Boże!
Chwała Tobie na Syonie!

Nr. 12.

CHÓR OGÓLNY.

Aniołów, i ludzi,
I ptasząt śpiewanie,
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszechświata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawiśnie,
I w górę poleci,
Na ziemię wytryśnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nucie
Potężna pieśń chwały:
Hosanna Królowi, hosanna!

On w piersiach Aniołów, i ludzi, i ptaków
Dał świętą potrzebę śpiewania.
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On Niebo przed nimi odsłania.
Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hosanna Królowi, hosanna!

1857. Wilno.

KASPER KARLIŃSKI.

DRAMAT HISTORYCZNY.

W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

KASPER KARLIŃSKI, dowódca zamku.
DOROTA, jego żona.
ZYGMUNT, ich syn.
PIENIĄŻEK, namiestnik Karlińskiego w Olsztynie.
LICHTENSTERN, dowódca niemieckich wojsk Maksymiliana.
STANISŁAW ZE ŻMIGRODU STADNICKI, starosta zygwalski.
ADAM CZACHOROWSKI, namiestnik Stadnickiego.
ZBOROWSKI, GÓRKA, } stronnicy Maksymiliana.
BIENIASZ, giermek Karlińskiego.
MARTA.
SZLACHTA, stronnicy Maksymiliana.
Dwaj Chorążowie w zamku olsztyńskim.
Dwaj Puszkarze tamże.

Rzecz dzieje się w roku 1587, w pierwszym akcie w wiejskim dworze Karlińskich, w drugim w obozie Maksymiliana pod Olsztynem, w trzecim w murach Olsztyna.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

(Rzecz dzieje się w wiejskim dworze Karlińskich. — Wieczór. — Izba ubrana w rynsztunek rycerski. — Pani Karlińska kończy czytanie Żywotów Świętych. — Zygmunt, wsparty na stole, jej słucha. — Opodal Marta z robotą).

KARLIŃSKA (czyta).

Czwarty i piąty syn poszedł na męki;
Szóstemu matka szeptała te słowa:
Synu, patrz w Niebo, patrz na świt jutrzenki, —
Wszystko to stworzył z nicości Jehowa.

On cię umocni, — nie lękaj się kata,
Przyjmij, jak bracia, śmierć z wesołą twarzą!
Pójdziesz po mękach do lepszego świata,
Kędy praw Pańskich łamać ci nie każą, —
Syn jej wysłuchał i do zbirów rzecze:
Mnie Antyocha nie złamie obawa;
Wiedźcie mię raczej pod topór i miecze,
Niżbym miał złamać Mojżeszowe prawa.

(Przestaje czytać).

ZYGMUNT.

Lubię, gdy matka Pismo święte czyta,
Lub Męczenników za wiarę żywoty,
Gdzie święty człowiek o nic się nie pyta,
Oddając życie dla Boga i cnoty.
Jego naprzykład na tortury wleką,
Szarpią mu ciało, pochwyciwszy w kleszcze;
Lecz on, Chrystusa widząc niedaleko,
Wpośród męczarni uśmiecha się jeszcze.
Gdy tego słucham, coś na sercu milej!
Ot, myślę sobie — czy uwierzysz, mamo?
Dziś gdyby ludzi za prawdę męczyli,
Jabym się zgodził umęczyć tak samo!

KARLIŃSKA.

Każdy powinien ofiarować życie,
Gdy Bóg na niego krzyż męczeństwa zsyła.

ZYGMUNT.

Gdyby mnie, matko, wlekli na zabicie,
Tybyś zapewne pobłogosławiła.

KARLIŃSKA.

Skąd ci to przyszło?... och! ja nie wiem sama!
Lecz dzisiaj jestem spokojna w tym względzie:
Pan Bóg ofiarą krwawą Abrahama
Słabej niewiasty doświadczać nie będzie.
Rycerskich matek wiekuista chwała
Dobrze mi znana z powieści i z dziejów;

Ale, Zygmuncie, jabym nie umiała
Być matką Grakchów, albo Machabejów.
Biedna pierś moja z boleściby pękła
Pod doświadczenia okrutnego próbą...
Jednej ofiary, cobym się nie zlękła:
Opłakać ciebie — i umierać z tobą.

ZYGMUNT.

Ty płaczesz, matko!... nie lękaj się zgoła:
Dziś Męczenników nie mamy na świecie.
A gdy mię Pan Bóg na wojnę powoła,
To przy mym boku będzie szabla przecię.
A raz poszedłszy pod zaciąg orężny,
Z życiem czy śmiercią — to nic się nie traci.
Zostanę mężnym, jak mój ojciec mężny,
Albo polegnę, jak siedmiu mych braci.
Patrz, jak to będzie!

(Zdejmuje ze ściany hełm i pałasz ojcowski).

Kiedy ja podrosnę,
A ojciec siwy, zgarbiony i stary, —
Przyjdzie wiadomość, jak zwykle na wiosnę,
Że naszły Polskę Turki lub Tatary.
Wtedy ja sobie ot tę czapkę włożę,

(Wkłada hełm).

Ze strusią kitą, z blaszaną przyłbicą,
Przywdzieję pancerz — czyż w takim ubiorze
Twoje się, matko, oczy nie zachwycą?
Przyjdę do ciebie, przeżegnasz mi czoło,
Dasz mi święcony obrazek na blasze;
Przyjdę do ojca, a ojciec wesoło
Ot tę mi szablę do boku przypasze.

(Przypasuje szablę).

Zbrojny rodziców modłą i opieką,
Wsiądę na konia, co Bieniasz poda,
I w bój polecę, daleko, daleko!
Krew płynąć będzie, jak w rzeczułce woda!
Machnę szablicą — spada łeb tatarski;

Krzyknę — a Turczyn wnet ucieknie z bojów;
A hetman powie: Dziarskiś, chłopcze, dziarski!
Krew nieodrodna Karlińskich Ostojów!
Patrz, jaka postać dzielna i junacka!
Brzęk, brzęk szablicą! ja poglądam dumnie...
Tymczasem Tatar podjeżdża znienacka
I w samo serce łuk naciąga ku mnie.
Strzała stęknęła — leci ku mnie, leci,
Przeszywa pancerz, i piersi, i serce;
Ja się posłaniam raz, drugi i trzeci,
(Kładzie się na krześle).
Padam — i życie skończyłem w żołnierce.
A dusza moja, gdzie spieszniej niż ptaszę!
Leci do Nieba, do nóg Jezusowi!
I tam się modli o zwycięstwo nasze,
A Jezus naszą wygraną stanowi...
Ty, matko, płaczesz — czyż cię serce boli?
Czyż ci niemiło, żem umarł tak pięknie?
(Podbiega ku niej i bierze za rękę).
Przebacz mi, matko, ten wyskok swawoli!

KARLIŃSKA.

Przestań, Zygmuncie, bo mi serce pęknie!

MARTA.

Niedobre dziecię! Bóg gniewa się w Niebie,
Jeśli kto matkę aż do łez rozżali.
Rzuć te zabawki, jeszcze nie dla ciebie
Ten twardy szyszak i ten miecz ze stali.
(Odpina mu pałasz i zrzuca hełm).
Idź, zmów pacierze! przeproś Pana Boga,
Żeś dzisiaj matkę niewinnie zasmucił;
Zmów drugi pacierz, by minęła trwoga,
By ojciec z wojny szczęśliwie powrócił.
Może, gdy pięknie pomodlisz się o to,
Zdołasz uprosić zlitowanie Boże.

ZYGMUNT.

Dobranoc, matko!

KARLIŃSKA (całując go).

Dobranoc, pieszczoto!

MARTA.

Ja zaraz przyjdę, do snu cię ułożę.

(Zygmunt zawstydzony odchodzi).

SCENA DRUGA.

KARLIŃSKA, MARTA.

KARLIŃSKA.

Co to jest, Marto, że zawsze w nim świeci
Jakieś przeczucie krwawe i grobowe?

MARTA.

Nic, dobra pani: nasze polskie dzieci
Zawsze podobnie rozmarzają głowę.
Patrzy na oręż, wciąż o wojnach słucha,
Hasa na koniu przez pola i jary,
Czytaniem kronik rozegrzewa ducha,
Z Żywotów Świętych uczy się ofiary.
Nic to nie szkodzi, niech przywyka wcześnie;
A czy on Niemiec, by się bawił w lalki?

KARLIŃSKA.

Zawsze mi straszno, zawsze mi boleśnie,
Gdy on wyprawia po komnacie walki.
W jego zabawkach — uważałaś, Marto —
Zawsze na końcu dostrzegam śmierć ciemną...
Och! gdyby jeszcze jego mi wydarto!
Boże mój, Boże! zlituj się nade mną!
Wszak teraz wojna — to niepróżna trwoga,
Obszerne pole dla niedobrych ludzi.
Ja mam w rycerstwie śmiertelnego wroga, —
Bóg wie, do czego zemsta go pobudzi!

MARTA.

Ty, pani, wroga miałabyś na ziemi!
Anioł dobroci!... nie wierzę ni trocha.

KARLIŃSKA.

Nie wszystkie wrogi wrogami naszemi,
Czasem wróg sroższy — ten, który nas kocha!
Wiesz o szalonej Stadnickich rodzinie,
Która po kraju najbezkarniej broi.
Jeden, Stanisław, co najgłośniej słynie,
Przed laty ręki dopraszał się mojej.
Jam pogardziła — brakło na odwadze
Z dzikim szaleńcem stanąć na kobiercu;
Anim sądziła, że tyle sprowadzę
Klęski na siebie i na drogich sercu.
Kochałam, Marto, dzielnego młodziana.
Co się przed żadną potęgą nie cofa:
Ale Stadnickich zemsta spodziewana
Dosięgła celu — zabili Krzysztofa.
Dom mego ojca, kędy się broniono,
Poszedł w perzynę; jam ledwie uciekła.
Chciałam pod grubą klasztorną zasłoną
Skryć się od oczu posłanników piekła;
Lecz gdzie są mury, gdzie warowne kraty,
Coby przed możnym słabych osłoniły?
Tam prześladowca silny i bogaty
Znalazł nieszczęsną — groził swemi siły.
Nie chciałam przeto narażać na strzały
Dziewic Chrystusa, żyjących spokojnie.
Kasper Karliński, rycerz osiwiały,
Co pięciu synów utracił na wojnie,
Przyszedł do furty i rzekł ze szczerotą:
Dajcie mi rękę, uspokójcie trwogę.
Wiem, co ci grozi; lecz, krasna Doroto,
Ja od Stadnickich obronić was mogę.
Mam własne ramię, dwóch synów rycerzy,
Mam miłość szlachty, opiekę na tronie, —
I biada temu, który się zamierzy
Na bezpieczeństwo głowy, której bronię.
Straciłem żonę — wy bądźcie mi żoną;
Mówcie, Doroto: zgoda, czy nie zgoda?

Ścisnęłam rękę od szabli zmarszczoną;
Błysła mu ogniem szlachetna jagoda...

MARTA.

Patrzę, jak w obraz naszego paniska,
Gdy mu rumieńcem skraśnieją jagody.
Na taki zapał, co mu z oczu błyska,
Nie każdy rycerz zdobędzie się młody.

KARLIŃSKA.

Nie pamiętając na włos jego siwy,
Dałam się chętnie zaprzęgnąć do jarzem...
Byłam szczęśliwa, i on był szczęśliwy,
Gdyśmy przysięgli wiarę przed ołtarzem.
Mego spokoju odtąd nic nie wzruszy;
Kocham go, Marto, a on mię osłania.
Cnota, zasługa i szlachetność duszy
Więcej niż młodość budzi przywiązania!
Gdy codzień widzę jego piękną duszę,
Gdy codzień słyszę jego piękne czyny,
Jak nie mam kochać, kiedy czcić go muszę?
On mój na ziemi obrońca jedyny.
A to pieszczone bohaterskie dziecię,
Które Bóg przysłał na pociechę naszą,
Kocham nad wszystko, nad wszystko na świecie...
Tylko mię jakieś sny bolesne straszą.
Te jego ciągłe przeczucia męczeństwa,
Jego zabawki, co ciągle śmierć wróżą...
Och! wiele, wiele potrzeba mi męstwa!
Boże, daj siłę, bo cierpieć mam dużo!

SCENA TRZECIA.

TEŻ i ZYGMUNT (wpada z listem w ręku).

ZYGMUNT.

Listy od ojca! nasz Bieniasz stary
Przybył z Olsztyna...

KARLIŃSKA.

O! dzięki ci, Boże!

(Łamie pieczątkę i czyta):

Miła Doroto! nastał czas ofiary...

ZYGMUNT.

Bieniasz pyta, czy widzieć się może?

KARLIŃSKA.

Proś, niech tu wejdzie.

SCENA CZWARTA.

CIŻ i BIENIASZ (w zbroi, hełmie i burce).

KARLIŃSKA.

A jakże się macie?

BIENIASZ (z ukłonem).

Notandum tedy, jakoś Pan Bóg chowa,
A resztę w pańskich liściech wyczytacie,
Pani czy zdrowa? i Marta czy zdrowa?
Panicz, jak ptaszek, trzpiota się i wierci, —

(Wita się ze wszystkimi).

Notandum tedy, że swawolnik wielki.
A my zaledwie umknęliśmy śmierci,
Dzięki opiece Boga Rodzicielki!
Sejm elekcyjny wielce był gorący:
Ci chcieli Szweda, a ci Austryaka;
Notandum tedy, chcący, czy niechcący,
Tłukła się w szable partya wszelaka.
Zamojski, hetman i kanclerz korony,
Składał swe wota na szwedzkiego pana;
Zborowscy zasię i szlachta z ich strony
Trzymali sprawę Maksymiliana.
Więc ku zgadnieniu nietrudna przyczyna:
Snuł się tłum szlachty po Warszawie całej,
Miody i piwa, i węgierskie wina,
Notandum tedy, srodze podrożały!

KARLIŃSKA.

Czytajmy listy.

(Czyta):

„Nastał czas ofiary...
Już Zygmuntowi korona oddana,
Ale Zborowskich przeciwne zamiary
Chcą mieć na tronie Maksymiliana.
Długoby przyszło opowiadać pono
Te zobopólne waśni i swawole.
Szopę wyborczą po nocy spalono,
A krwią spłonęło elekcyjne pole.
Pomimo Niemców fakcyi zdradzieckiej,
Gdy prymas królem Zygmunta ogłasza,
Biskup kijowski, Jakób Woroniecki,
Okrzyknął Niemca. A choć szlachta nasza
I kraj miłuje, i prawa stanowi,
I swoich swobód nie opuszcza marnie,
Chcąc się zasłużyć Zborowskich domowi,
Pod sztandar Niemca ochoczo się garnie.
Mamy dwóch królów — na czem to się skończy?...
Niechaj kto zechce przekonania zmienia.
Kasper Karliński nigdy się nie złączy
Ze stroną Niemców na przekór sumienia.
Pomimo całej Zborowskich czeredy,
Zygmunt mym królem... wybrałem... przysiągłem.
Będę go bronił."

BIENIASZ.

Więc notandum tedy,
Że przyjdzie truchleć w niepokoju ciągłym.
Gdzie pan, tam sługa — już obyczaj taki,
Choć żaden za to i grosza mi nie da,
Czy to napadną niemieckie żołdaki,
Czy przyjdzie nędzę ucierpieć od Szweda.
Uciecze mądry, nadstawi się głupi;
A czy wygrana nasza, czy nie nasza,
Cała się mocarstw polityka skupi
Na starym, biednym karku Bieniasza.

Notandum jednak, choć nałożyć głową,
Karlińskich domu nigdy nie opuszczę.

KARLIŃSKA (czyta).

„Zborowscy szlachtę pod swój sztandar zową,
Zbierają k'sobie niepoczciwą tłuszczę;
Ale pod wodzą Zamojskiego Jana,
Chorągwie wiernych krajowi Polaków
Idą naprzeciw wojsk Maksymiliana,
Który chce szturmem uderzyć na Kraków.
Więc wszystkich fortec na granicznej stronie
Pod wodzą starców pilnuje kwiat młodzi:
Murów Olsztyna ja od Niemców bronię.
Mężny Hołubek w Rabsztynie dowodzi.
A chociaż Niemcy nacierają biegle,
Obronim twierdzę zapomocą Bożą,
Dopóki cegła zostanie na cegle,
Dopóki trupów na trupach nie złożą."

BIENIASZ (do siebie).

Ja chciałbym wrócić na wioskową ciszę;
Lecz, jak uważam, żadnej rady niema.
Notandum tedy, kiedy pan tak pisze,
To pewnie słowa swojego dotrzyma.

KARLIŃSKA (czyta).

„Jeden niepokój, co mem sercem miota,
Jedna mię dręczy troska pokryjoma:
Czy moja dobra i krasna Dorota,
Czy moje dziecię bezpieczne jest doma?
Bracia Stadniccy z Zygmuntem trzymają
I szlachtę dla nas gromadzą na Rusi;
Tylko Stanisław z zaprzedaną zgrają
Gdzieś w waszych stronach obracać się musi.
Jam tutaj sprawą ojczystą zajęty,
Nie mogę ruszyć ku domowej stronie;
Lecz moje syny, Marcin i Walenty,
Wkrótce pospieszą ku waszej obronie.
Dziś Bieniasza do was posyłamy:

Niech lud wioskowy zgromadzi we dworze,
Rozda mu strzelby, pozamyka bramy,
Okopie rowy..."

SCENA PIĄTA.

CIŻ i STADNICKI (który stał we drzwiach przez chwilę i słuchał).

STADNICKI.

Za późno już może!
Dwór otoczony, a wioska w pożarze.
(Do Bieniasza):
Nie trudź się starcze, ktoś za ciebie czyni.
W Karlińskich dworze tu my gospodarze.
(Do Karlińskiej):
Jak się miewacie, miła gospodyni?

KARLIŃSKA.

To on! o Boże!

BIENIASZ (dobywając oręża).

Ja ciosu nie chybię!
Czy chcesz mieć czoło na dwoje rozdarte?
Wynoś się zaraz!

STADNICKI (wytrącając mu oręż).

Precz mi, stary grzybie!
Hola, pachołcy! weźcie go pod wartę!
(Wchodzą zbrojni ludzie i uprowadzają Bieniasza).

KARLIŃSKA (przerażona).

On przyszedł tutaj... ze złemi zamiary!
Ratunku! ludzie!... mój mężu! mój mężu!

STADNICKI (z szyderstwem).

Ucisz się pani! daleko twój stary!
W zbyt zardzewiałym ufałaś orężu.
Wzgardziłaś sercem — teraz twój kochanek
Z pogardą patrzy na twoje męczarnie.
Stadnicki szatan, nie cichy baranek,
Jego nie można znieważać bezkarnie.

Tyś w moich rękach — Olsztyn za górami,
Do męża twoja nie doleci skarga.
Kochanko moja! my jesteśmy sami,
Przemoc twe śluby z Karlińskim potarga!

MARTA (padając na kolana).

Panie! zlituj się!

STADNICKI.

Milcz, stworzenie głupie!
A uznaj we mnie zwycięzcę i władcę.

ZYGMUNT (z mieczem ojcowskim podbiegając ku niemu).

Widzisz ten oręż? chyba po mym trupie
Zdołasz ku mojej przybliżyć się matce!

STADNICKI (porywając go za ręce).

A tuś mi zuchu, nie wiedziałem zgoła,
Że waszmość żyjesz na tym pięknym świecie.
Pani Dorota, powiłaś anioła;
Stary Karliński snadź kocha to dziecię.
Takiego starca pod życia ostatki
Kupido jeszcze rozpromieniać może!
Bardzo podobny do ojca, do matki;
Wielce winszuję!

KARLIŃSKA.

Puszczaj go, potworze!

STADNICKI (stawia Zygmunta na ziemi i silnie trzyma go za ramior

Pani Doroto! czy on kocha syna?

KARLIŃSKA.

Wydrze za niego twoje nędzne życie!

STADNICKI (chłodno).

Dobrze! niech odda fortecę Olsztyna,
Wtedy pieszczotkę waszą zobaczycie.
Teraz małego uprowadzam zucha:
Zakład miłości ma być zakład wojny.
Jeśli Karliński mych słów nie usłucha,
Wtenczas, chłopaku, możesz być spokojny.
Twą piękną główkę tą samą szablicą

I własną ręką rozpłatam na dwoje.
Hola, pachołcy!

(Wchodzi kilku zbrojnych ludzi).

Niechaj go pochwycą,
Niechaj na siodło przywiążą go moje,
I w tejże chwili niech dziesięć husarzy
Pędem piorunu pod Olsztyn dopada,
Zdać go do ścisłej Czachrowskiego straży
I zapowiedzieć, że to ptak nielada.

(Pisze kartkę i oddaje żołnierzowi).

ZYGMUNT.

Puść, bo ta szabla głowę ci rozwali!

MARTA (klękając).

Panie, miej litość!

KARLIŃSKA.

On litość mieć może!

(Patrząc na syna):

Na co mu ręce tak mocno związali?
To takie słabe i wątłe niebożę!
Zamrze wam w drodze!... Tygrysie! tyranie!
Krwi tobie trzeba?... wysączę ją rada!
Pij!... żłopaj!... ciesz się!...

(Klęka).

Ulituj się, panie!
Przebacz, co matka nieprzytomna gada!
Oddaj mi syna!... Już jego powlekli!...

ZYGMUNT (szamocąc się z żołnierstwem).

Ja was zabiję! puśćcie mię do matki!

KARLIŃSKA.

Czekajcie chwilę!... o siepacze wściekli!...
Ja wydobędę sił moich ostatki!
Spieszycie konno!... ja pieszo polecę,
Ja was dopędzę, — pozwólcie mi gonić!

(Żołnierze wyprowadzają Zygmunta).

Idź, drogi synu! idź w Bożej opiece!
Ja krew przeleję, ja łzy będę ronić, —
Trafię do króla... dla mnie wszystko jedno,
Czy Maksymilian, czy Zygmunt się zowie...
A król nad matką zlituje się biedną.
Was na tortury osądzi, panowie!
Poczekaj, synu! pokrzep się nadzieją!
Ja w ślad za tobą polecę, jak strzała!...
Ratujcie, ludzie!... nogi mi się chwieją...
Synu mój, synu! ...

(Upada zemdlona).

STADNICKI.

Wszak ona zemdlała.
Wpiłem w jej serce pazury tygrysie.
Ratunku! wody, pachołcy przynoście!...
Panie Karliński! ani waści śni się,
Jacy w twym domu gospodarzą goście.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

(Namiot żołnierski, w środku długi stół, przy nim kilku szlachty pi puharach, jeden szlachcic przy świetle czyta list. — Milczenie).

PIERWSZY SZLACHCIC (do tego, który czyta).

Co słychać w Litwie? Co słychać w Koronie?
Wy macie listy, to wy wszystko wiecie.
Prędkoż Szwedzika osadzą na tronie,
Maksymiliana wymiótłszy jak śmiecie?

(Śmieje się).

SZLACHCIC (kładąc list).

To list po prostu od żony i dzieci,
Niech sobie w Polsce kto chce berłem włada,
Czy Maksymilian, czy to Zygmunt Trzeci, —
U mnie zarazą obora wypada.
Rzucajcie sobie rodzicielskie wioski,

Wolą każdemu z miłościwych braci;
A mnie Zamojski, ani pan Zborowski
Za moje straty grosza nie zapłaci.
Wracam do domu!

DRUGI SZLACHCIC.

Ho! ho! jaki szparki!
Szkoda, że za to więzienie i kula!

TRZECI SZLACHCIC.

Jemu tak pilno do swej gospodarki,
Gdy do stolicy wprowadzamy króla.

PIERWSZY SZLACHCIC.

Jakiego króla?

TRZECI SZLACHCIC.

Wszak byłeś na sejmie,
Na którym obran Maksymilian Pierwszy?

PIERWSZY SZLACHCIC.

Kłaniam się waściom, kłaniam się uprzejmie!
Ja od was wszystkich będę trochę szczerszy.
(Staje wsparty oburącz na szabli).
Czy wam, panowie, doprawdy się zdawa,
Żeście obrali Maksymiliana?
Czy wedle ustaw powszechnego prawa
Stanowi naród garstka zbuntowana?
(Szlachta się oburza).
Nie kręćcie wąsów, a powiedźcie szczerze:
Mybyśmy wszyscy stali przy Zygmuncie,
Lecz jeden jurgielt od Stadnickich bierze,
A drugi mieszka na Zborowskich gruncie;
Tego Czarnkowski przynęcił nadzieją,
Temu kniaź Pruński przyrzekł swą pokrewną.
Myślimy, bracia, o wszystkiem koleją,
Ale o Niemcu, że najmniej, to pewno!
I nikt zaiste nie wierzy w swej duszy,
By się utrzymał nasz elekt na tronie.

DRUGI SZLACHCIC.

Co waść rozprawiasz? ściany mają uszy!

TRZECI.

Ja ci rozumu do głowy nagonię!
Co to? ja matacz! lub jaki przechera!

PIERWSZY.

Kręcisz się waszmość, kędy wiatr powieje.

TRZECI (dobywając pałasza).

Co! bij się ze mną, jeśli prawda szczera.

PIERWSZY (także dobywając pałasza, do obecnych).

Bądźcie świadkami, mości dobrodzieje!

(Krzyżują pałasze).

(Jeden ze szlachty raniony w rękę).

CZWARTY (wpadając pomiędzy nich).

Zgoda, panowie! czyście zapomnieli,
Że tu żyjemy pod niemieckiem prawem?
Że kto w obozie rąbać się ośmieli,
Zwierzchność nań patrzy okiem niełaskawem?
Oto przychodzi pan Adam Czachrowski,
Nasz wódz, gdy niema pana Stadnickiego...

TRZECI.

Poeta jakiś!... niech obcina zgłoski.

CZWARTY.

Obetnie uszy i tobie, kolego!
Z nim nie żartować...

SCENA DRUGA.

CIŻ i CZACHROWSKI (z siwą brodą i długiemi włosami)

CZACHROWSKI (groźnie).

Do pochew oręże!
Waszmościom w głowie bitwy i kielichy,
Gdy ja się w myślach gubię i mitrężę,
Jakby ten zamek opanować lichy.

Mury niekrzepkie, nieliczna załoga,
Czas, by się w nasze władanie dostała...
Ale przez skały niedostępna droga
I u dowódcy serce, gdyby skała.
Pisałem z groźbą, on nie dba o życie...
Posłałem mówić o jakim okupie:
— Nie dam — rzekł — zamku, chyba położycie
Cegłę na cegle, a trupa na trupie!
On z armat ciągle naszych ludzi traci,
Gdy nasze działa sięgnąć tam nie mogą;
Lecz wezmę zamek!... A krew moich braci,
Kasprze Karliński, przypłacisz mi drogo!
A tu czas nagli... a wojna niezmierna...
Dziesięć lat nie stać, jak pod jaką Troją!
Nie wziąwszy fortec, wojska Lichtensterna
W głębinę kraju zapuścić się boją.
Ja dałem panu Stadnickiemu słowo
We trzy dni zburzyć, albo wziąć te mury...
Szturmem pójdziemy.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Iść na śmierć gotową,
Gdy, jak w cel, palą z armatami z góry?!
To rozkaż waszmość, niechaj Niemcy idą.

CZACHROWSKI.

Właśnie trafiłeś — żarłoki i tchórze!
Nam trzeba działać, lub odejść z ohydą...
Służę waszmościom!...

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ale ja nie służę!
Prowadź nas waszmość gdzieś na równe pole:
Przy brzęku trąby, przy naszym sztandarze,
Z bardyszem w ręku, z szyszakiem na czole,
Zobaczysz waszmość, co szlachta dokaże.
Lecz tu... gdzie murów nie dostać pałaszem,
Gdzie po namiotach zgnuśnieliśmy prawie...

Panie rotmistrzu! z przeproszeniem waszem,
Ja łba na pewny pocisk nie nadstawię.

DRUGI.

Łeb nam potrzebny nie na jedną chwilę.

TRZECI.

I mój łeb także ja coś sobie ważę.

CZWARTY.

I ja z namiotu głowy nie wychylę.

(Słychać trąbkę).

CZACHROWSKI.

Hańba wam! hańba! sarmaccy husarze!
Ojcowie wasi na oślep walczyli,
Jak o tem dziejów zapisała karta...

JEDEN ZE SZLACHTY.

To może było w przyjaźniejszej chwili?

DRUGI (z cicha z przekąsem).

Lub może sprawa była więcej warta.

ŻOŁNIERZ (wchodzi).

Listy od wodza i jakieś pachołę,
Pojmane jeńcem, czeka tam na dworze.

CZACHROWSKI.

Skąd jemu przyszło brać dzieci w niewolę?

SZLACHTA (otaczając Czachrowskiego).

Z tego pisania dowiemy się może.

CZACHROWSKI (czyta).

„Mnie wielce miły Mospanie Czachrowski!
Uprzejmie waszmość pozdrawiam z podróży.
Plondrując naszych nieprzyjaciół wioski,
Złapałem ptaszka, co-ć dobrze usłuży.
Dawny rachunek miałem z tą rodziną,
Dziś dobry połów usłużył mej dłoni;
Jest to zuch mały, z bohaterską miną,
Syn Karlińskiego, co Olsztyna broni.

Napisz do starca, niech pomyśleć raczy,
By jutro zamek był w dzierżeniu naszem;
Bo swego synka więcej nie zobaczy, —
Ja sam mu głowę rozpłatam pałaszem...
To moja wola — to stanowcze słowo,
Które niech waszmość Karlińskiemu poda.
Jestem z attencyą zawżdy jednakową,
Sługa Waszmościn, Stadnicki z Żmigroda."

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI i ŻOŁNIERZE.

(Wnoszą śpiącego Zygmunta).

ŻOŁNIERZ.

W drodze na zimnie usnęło niebożę.

CZACHROWSKI.

Nie budzić dziecka, nie stąpać tak z góry,
Wojłok i siano podesłać na łoże,
Odjąć mu z lekka krępujące sznury!
Niech trochę spocznie...

(Do szlachty):

A który tam z waści
Chciałby pojechać do zamku Olsztyna?
Jużci Karliński nie zdziała napaści,
Gdy mu przywieziesz wiadomość od syna.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Piękna wiadomość! ja takiego posła
Kazałbym zrąbać, lub przybić do pala.

DRUGI.

Panie Marcinie! tyś żołdak z rzemiosła,
Nie wiesz, że prawo tego nie pozwala...
Prawo narodów — przeczytaj, sąsiedzie.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Nie czas do książki, kiedy stryczkiem grożą.

CZACHROWSKI.

Mości panowie! kto do zamku jedzie?

JEDEN Z GRONA.

Ja moje losy zdam na wolę Bożą...
Jadę, rotmistrzu!

CZACHROWSKI.

Papieru i pióra!
Napiszę listy... tu idzie o życie.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ciekawy jestem, co nasz poseł wskóra?

CZACHROWSKI.

Papieru! pióra! czy waszmość słyszycie?

SZLACHTA (zakłopotana).

Papieru! pióra niełatwa zagadka
Znaleźć te rzeczy między husarzami.

(Patrzą na siebie).

JEDEN ZE SZLACHTY (oddzierając kawał listu, który czytał).

Mam tutaj papier, udzielę wam szmatka.

DRUGI (odrywając orle pióro od husarskich skrzydeł swojej zbroi).

Mam tutaj pióro... zaostrzcie je sami.

(Czachrowski z pospiechem temperuje pióro).

ZYGMUNT (przez sen).

Nie płaczcie, matko! nie płacz i ty, Marto...
Ja będę w Niebie — ja będę zbawiony...
Czyż męczennikiem być za to nie warto?
Czyż zazdrościcie palmy i korony?

CZACHROWSKI (skończywszy temperować pióro).

Dajcie inkaustu!

SZLACHTA (znowu zafrasowana).

O to trudniej pono...
My czarnej cieczy nie nosim w podróży.

CZACHROWSKI.

Wszystko mi jedno: czarno, czy czerwono.

JEDEN ZE SZLACHTY (ten, który był raniony).

Ja mam krew moją, niech waszmości służy.

(Podaje mu rękę z poważnym ukłonem).

CZACHROWSKI.

Lubię cię! znaczno, żeś rycerskie dziecko,
Co do niczego swojej krwi nie przeczy...
Dziękuję waści.

(Macza we krwi pióro i pisze).

GŁOS Z TŁUMU.

Ale krwią szlachecką
Tylko szlachetne trzeba pisać rzeczy!

(Czachrowski pisze).

JEDEN ZE SZLACHTY (patrząc na śpiącego Zygmunta).

A szkoda dziecka!... jego los na szali.

DRUGI (także patrząc na Zygmunta).

Karliński twardy!

TRZECI (ze spółczuciem).

O! zmiękczcie go, Nieba!

ZYGMUNT (przez sen).

Krwią odpowiemy, gdy krwią zapytali!
Matko! krwi własnej zaprzeć się potrzeba.

CZACHROWSKI (szukając w tornistrze).

Mam tu i pieczęć, mam i kawał wosku.

(Pieczętuje list).

(Do szlachcica, który ma iść z poselstwem):

No! ruszaj waszmość, nie zwlekając chwili;
Jeśli Karliński czuje po ojcowsku.
Do mojej rady pewnie się przychyli.
Niech się na łaskę zwycięzcy poddadzą,
I on, i szlachta, i wszyscy żołdacy;
Dziś jeszcze zamek niech trzyma pod władzą,
A jutro klucze złoży mi na tacy!
Waszmość obejrzysz prochownie, zbrojownie,
I weźmiesz wszystko pod pieczęcie nasze.

SZLACHCIC.

A gdyby miano postąpić gwałtownie
I mnie posłańca chwycić na pałasze?...

CZACHROWSKI.

Śmieszne pytanie! — to umrzesz, kolego,
A my za głowę pomścimy się waści.
Lecz znam ja serce Kaspra Karlińskiego:
On nie popełni bezecnej napaści...
To człek rycerski — sami zobaczycie...
Nie bój się waszmość, tam nie czeka zdrada.
Zresztą przypomnij, że za twoje życie
Syn jego własny życiem odpowiada.
Idź, jak powinien poseł uroczysty,
Wracaj z responsem pomyślnie a rychło.

(Szlachcic odchodzi).

JEDEN ZE SZLACHTY.

A gdyby jednak, mimo wasze listy,
Jutro strzelanie z armat nie ucichło?
Co waszmość poczniesz z tem nieszczęsnem dzieckiem?
Toż syn szlachecki, bezbronny i młody.
Czyż ma polegnąć pod ciosem zbójeckim,
Pod ciosem naszym?...

DRUGI.

Czy to my Herody?

CZACHROWSKI.

At! pleciesz waszmość! i któż tego nie wie,
Że krew niewinna o pomszczenie woła?
Mało co pisze pan Stadnicki w gniewie!
Ale się zbrodni dopuścić nie zdoła.
A zresztą pytam: czyż Karliński może
Pogardzić naszem przełożeniem szczerem?
Wydać krew własną na śmiertelne noże...
Trzeba być zwierzem...

SZLACHCIC (z tłumu).

Albo bohaterem.

ZYGMUNT (przeciera oczy z grymasem zaspanego dziecka).

Gdzie to ja jestem? gdzie matka? gdzie Marta?
Czy ojciec wrócił? gdzie nasza czeladka?
Dlaczego na mnie sukienka podarta?
Jeszcze doprawdy zagniewa się matka!
Matko! w śnie moim, gdybyś ty widziała,
Jakie mi Jezus darował ubranie!
Sukienka śnieżna i przepaska biała,
Gdzieniegdzie złota i purpury tkanie...
Och! gdyby zasnąć i przyśnić ją jeszcze!
Włożę ją, włożę... och! tak, nie inaczej!...

SZLACHCIC (do drugiego).

Wiesz, panie bracie? Mnie przechodzą dreszcze.

DRUGI.

Zwyczajnie dziecko, coś przez sen majaczy.

ZYGMUNT (przychodząc do siebie).

Czy to nasz dworzec? gdzie moja komnatka?
Ach! przypominam o tej strasznej chwili...
Już mię na zawsze pożegnała matka;
Zbójca mię zabrał... i na koń wsadzili —
Związali ręce — puścili się kłusem...
Jam długo krzyczał — usnąłem nareszcie,
I byłem w Niebie, gadałem z Jezusem,
Dał mi sukienkę.
(Do Czachrowskiego):
A wy kto jesteście?
Czy słudzy tego strasznego rycerza,
Co na nasz dworek wpadł wczora, jak zbójca?
Macie mię zabić?

CZACHROWSKI.

Tyś zakład przymierza,
Chcemy mieć zgodę z wojskiem twego ojca.

ZYGMUNT.

Chcecie z nim zgody?

CZACHROWSKI.

O! my niedalecy!

ZYGMUNT.

A o cóż kłótnia? niech winny przeprasza...

CZACHROWSKI.

Twój ojciec nie chce oddać nam fortecy.

ZYGMUNT.

Bo ta forteca zapewne nie wasza.
O, ja znam ojca! — daremne gadanie —
On cudzej rzeczy nigdy nie przywłaszczy!
Ale co swoje, to obronić w stanie,
Nawet wilkowi odebrałby z paszczy!
On wielki rycerz, wy tego nie wiecie,
Odbył sto bitew w chwale i odwadze.
Łatwo wam w nocy uprowadzać dziecię,
Ale się z ojcem porywać nie radzę.
A starsi bracia!... Ho, także są zuchy!
Nie zaczepiajcie Ostojów z Karlina!

SZLACHCIC (do drugiego).

To dziecię pełne najlepszej otuchy.

DRUGI.

Jak on mojego chłopca przypomina!

TRZECI.

W oczach odwaga, a zuchwałość w mowie...
To polskie dziecko, jak mi Pan Bóg miły!

(Słychać trąby).

CZACHROWSKI.

Grają pobudkę! słyszycie, panowie!
Snadź pierwsze kury już się obudziły.
Wszyscy do swoich chorągwi niech spieszą,
Ranną modlitwę niech wojsko odśpiewa.
Nabijać działa! a chorągiew pieszą
Od wschodniej strony ukryć między drzewa.
Ruszajcie waszmość — ja tu się pomodlę,
Odśpiewam hymny za koronną dolę.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Jednak, rotmistrzu, zbyt byłoby podle,
Abyśmy mieli zabić to pacholę.

(Szlachta się rozchodzi — tylko zostaje kilku ze służby obozowej).
(Muzyka poczyna przegrywkę).

SCENA CZWARTA.

CZACHROWSKI — obok ZYGMUNT — w głębi namiotu kilku żołdaków. — (Wszyscy zdejmują hełmy).

CZACHROWSKI (śpiewa).
(Wolne recitativo).

Najwyższy Panie,
Mocny Hetmanie,
Dobądź oręża swego!
Pomóż wygranej,
Ulecz nam rany,
W sławie Imienia Twego!

CHÓR.

W sławie Imienia Twego!

CZACHROWSKI.

Ani gromada,
Ni ludzka rada,
Wygrywa plac w potrzebie;
Szabla tępieje,
Serce truchleje,
Gdy, Boże, niemasz Ciebie.

CHÓR.

Gdy, Boże, niemasz Ciebie.

(Słychać zewsząd trąby wojenne).

JEDEN ZE STRAŻY (wchodzi).

Jakaś niewiasta chce tutaj przebojem
Porwać to dziecko.

CZACHROWSKI.

A mniejsza mi o to;
Niechaj się stawi przed obliczem mojem!

GŁOS MARTY (za sceną).

Gdzie ty, Zygmuncie? ty moja pieszczoto!

SCENA PIĄTA.

MARTA (wpada w potarganym ubiorze i rzuca się na szyję Zygmunta).

Zygmuncie!

ZYGMUNT.

Marto!

MARTA.

Znalazłam cię przecię!

ŻOŁNIERZ (do Marty).

Zbliż się do wodza...

MARTA.

Precz mi, dzika hydro!

(Do Zygmunta):

O mój ty skarbie! o moje ty dziecię!
Mogą mię zabić, lecz ciebie nie wydrą!

CZACHROWSKI.

Kto waszmość jesteś?

MARTA.

Wszak jam to niebożę
Piersią karmiła, na rękach dźwigała...

CZACHROWSKI.

Nic mu tu złego trafić się nie może.
Dziecina będzie wesoła i cała:
Wnet go do ojca odeślemy zdrowo,
Jeśli, jak sądzę, fortecę nam wyda.

ZYGMUNT.

A gdzie jest matka?

MARTA.

Bóg czuwał nad głową,
Gdy miała spotkać sromotna ohyda,

Zaledwie wrogi ciebie pochwycili,
Wojsko ojcowskie przybiegło w drużynie,
Wzięto twą matkę, i pewno w tej chwili
Już jest bezpieczna przy ojcu w Olsztynie...
Stadnicki umknął — z nim jego husarze.
Chciano mnie zabrać k'zamkowej załodze,
Lecz ja pobiegłam, gdzie mi serce każe,
Odszukać ciebie... och! przecię znachodzę!

(Ściska Zygmunta).

(Słychać znowu trąbę).

CZACHROWSKI (do wchodzącego żołnierza ze straży).

Czego tam trąbią?

ŻOŁNIERZ.

Bo Pan Bóg dał gości:
Przybywa sukurs tysięcy ze cztery,
Wojsko Królewskiej Austryackiej Mości
I wszyscy wodze od głównej kwatery.

SCENA SZÓSTA.

LICHTENSTERN, ZBOROWSKI, GÓRKA i KILKU WODZÓW.

(Szlachta kłania się Zborowskiemu i Górce).

LICHTENSTERN.

Czy to wasz Olsztyn? To i czasu szkoda!
Zburzyć mi zaraz gniazdo rozbójnicze!
Kto tutaj wodzem?

CZACHROWSKI.

Stadnicki z Żmigroda,
A ja w chorągwi jego namiestniczę:
Adam Czachrowski...

LICHTENSTERN.

Słyszałem o waści —
Dlaczego zamku nie wziąłeś przemocą?

CZACHROWSKI.

Bo trudno znaleźć miejsce do napaści,
Skały wysokie — a tam z armat grzmocą.

LICHTENSTERN.

Podwoić siły!

CZACHROWSKI.

Straciłem ich dużo,
Ale mi żadne nie wiodły się plany;
Stracili serce ci, co ze mną służą,
Szlachta iść nie chce...

LICHTENSTERN.

To szlachtę w kajdany!

ZBOROWSKI.

Niech na to Wasza Ekscelencya zważa,
Że prawo nasze więzić nas zabrania.

GÓRKA.

A taka mowa to szlachtę obraża,
Gdy nam w jej sercach trzeba przywiązania.

LICHTENSTERN.

Radźcież, co począć?

(Panowie polscy otaczają Lichtensterna, toczy się cicha narada. — Czachrowski przechodzi na przód sceny).

(Wchodzi szlachcic, który był posłany do Olsztyna).

CZACHROWSKI.

Z czem powracasz wasze?
Z różdżką oliwy, czy z kością niezgody?

SZLACHCIC.

Stary Karliński groźb się nie przestrasza,
W swoim zapale trwa jeszcze, jak młody.
— Zamku nie wydam! — rzekł do mnie z zapałem —
A z synem czyńcie, jako wam się zdawa...
Pierwej niż ojcem Polakiem zostałem —
Starsze ojczyzny niż ojcostwa prawa.

CZACHROWSKI.

Przeklęty upór!

SZLACHCIC.

A z armat wystrzeli,
Jak tylko słońce poranne zaświeci.

LICHTENSTERN (postrzegając Zygmunta i Martę).

Niewielkie dziwy, żeście zniewieścieli,
Włócząc z obozem niewiasty i dzieci.

CZACHROWSKI.

To nasi jeńcy, wódz przysłał ich wczora...
Syn Karlińskiego, co w zamku starostą,
A to piastunka.

LICHTENSTERN.

A więc dobra pora,
Wziąć mury zamku bez walki i prosto.
Czy wie Karliński, że syn tu w niewoli?

CZACHROWSKI.

Właśnie do niego pisałem w tej chwili.

LICHTENSTERN.

Jakaż odpowiedź?

CZACHROWSKI.

Że go serce boli,
Lecz się przed żadną ofiarą nie schyli,
Że prędzej syna niż zamek utraci,
Że puści na nas wystrzały i groty.

LICHTENSTERN (z ironią).

Dziwnyście naród, panowie Sarmaci,
Lubicie rzymskie naśladować cnoty!
Lecz zmiękniesz... zmiękniesz, mój ty hardy ptaku,
Zniżysz twój polot aż do samej ziemi!
Panie Zborowski! zagrać do ataku!
I szturm przypuścić siłami wszystkiemi!
Niechaj się mężnie krzątają żołnierze,
Król Maksymilian dobrą da nagrodę.
Gdzie najwarowniej tam ja sam uderzę...
Ha! to i piskle przed sobą powiodę.
Niechaj na rękach trzymają go straże,
A tę niewiastę niech obok prowadzą!
Zobaczym wtedy, czy ognia dać każe,
Czy serce ojca ocknie się z swą władzą??

GÓRKA.

Lecz to niegodnie — to za ciężka próba
Dla serca ojca, gdy je nosi w łonie.

LICHTENSTERN.

Pozwolił czynić, co się nam podoba,
I ja mu czynić, co zechce, nie bronię;
Wolno mu zabić lub ocalić dziecię.
Hej! tuż przede mną ponieść go pod wartą!
Zagrać do szturmu!

MARTA.

Panie! czy zechcecie
Gubić pachołę?...

ZYGMUNT.

Nie zniżaj się Marto!
Jak ojciec zechce, jak rozrządzą Nieba,
Tak w Imię Boże niechaj się i stanie!
Jeśli krwi mojej na ofiarę trzeba,
Z chlubą wypełnię moje powołanie.

(Słychać sygnały. — Żołnierze biorą Zygmunta pod ręce — drudzy Martę. — Za nimi wychodzi Lichtenstern, dobywając pałasza, za nim inni wodzowie).

WSZYSCY ŻOŁNIERZE (wołają).

Dalej, do szturmu!!

CZACHROWSKI (wychodząc na ostatku).

To rycerz nie dziecko!
Czego mam życzyć, sam nie wiem już zgoła...
Płakać mi chce się! — Precz ze łzą zdradziecką!
Dalej do szturmu, gdzie powinność woła!

(Zasłona spada).

AKT TRZECI.

(Wnętrze bastyonu. — W strzelnicach działa, których tylko zapały dają się widzieć. — Ściana przystrojona w chorągwie).

SCENA PIERWSZA.

KARLIŃSKA i KARLIŃSKI.

KARLIŃSKA (z rozpaczą).

Cóż teraz czynić!?

KARLIŃSKI.

Póki nie wyświta,
Trudno coś począć... Odwaga! odwaga!
Muszę tak czynić, jak Rzeczpospolita
Po swoich wiernych obrońcach wymaga.
Trzeba jej służyć najwierniej, najprościej,
I siłą ducha, i ramienia siłą;
Na świętej drodze naszych powinności
Nie można czynić jako sercu miło!
Aby tych zbójców prześcignąć na drodze,
Posłałem odsiecz we dwadzieścia koni:
Lecz z Czechrowskiego pisania dochodzę,
Że pospieszyli umknąć od pogoni.
Zygmunt w obozie, w nieprzyjaciół mocy,
Ale tymczasem nie zginie w niewoli.
Rankiem wypadnę jak kamieniem z procy,
Odbiorę dziecko, jeśli Bóg dozwoli.
Ale nie oddam i nie przefrymarczę
Murów tej twierdzy za krew mego syna:
Znam mą powinność...

SCENA DRUGA.

CIŻ i BIENIASZ.

KARLIŃSKI (do Bieniasza).

Co mi powiesz, starcze?

BIENIASZ.

Notandum tedy, niedobra nowina:
Wracam z pogoni bez żadnego skutku;
Panicz w obozie...

KARLIŃSKI.

Wiem o tem, — cóż dalej?

BIENIASZ.

Więc myślę sobie: trzeba po cichutku
Napaść na obóz...

KARLIŃSKI.

Czy wy zwaryowali!
W dwadzieścia koni na kilka tysięcy!
Stary szaleńcze, natarłbym ci uszy!

BIENIASZ.

O! byli z nami dobrzy sprzymierzeńcy:
Najprzód noc ciemna, potem rozpacz w duszy,
Potem stróż Anioł, co stoi na straży
Przy pańskiem dziecku — zaginąć nam nie da.
Notandum tedy, to coś więcej waży
Niż śpiąca kilku tysięcy czereda.

KARLIŃSKA.

Poczciwy! dobry! zacny Bieniaszu!
Jaka myśl święta przyszła ci do serca!
Miałeś nadzieję w Bogu i pałaszu,
Zdobyłbyś obóz, zginąłby wydzierca,
Zygmuntby wrócił!!... Idź, wszak jeszcze ciemno,
Wszak jeszcze pora: oni snom oddani!
Idź, Bieniaszu, zlituj się nade mną,
Uderz na obóz...

(Klęka przed nim).

BIENIASZ.

Niepodobna, pani!

KARLIŃSKI.

Przed świtem czynić wycieczki nie wolno!
Może gdzie matnia zdarzyć się ukryta...
Rankiem uderzym na kupę swawolną.

KARLIŃSKA (zwracając się ku mężowi, zawsze na kolanach).

Ależ mój mężu! czy widzisz? już świta!
Każ zebrać wojsko — to dzielna drużyna;
Ci dobrzy ludzie jak w ogień polecą;
Wrócą ci syna... czy ty słyszsz? syna!

BIENIASZ.

Nieszczęsna pani! pohamuj się nieco...
Notandum tedy, jak się wyżej rzekło,
Sam chciałem szczęścia sprobować w tej mierze.

KARLIŃSKA.

Anioł cię natchnął...

BIENIASZ.

Przeszkodziło piekło!
Notandum tedy, szykuję żołnierze,
Powiadm do nich: Hej, mości panowie!
Uderzmy w obóz naszych nieprzyjaciół,
Ratujmy dziecko! — Zgoda! — każdy powie,
Każdy broń podniósł i rumaka zaciął.
Jużeśmy mieli, jak wichry szalone,
Wpaść do obozu nieprzyjacielskiego...
Notandum tedy, patrzę w drugą stronę,
Aż tu niemieckie dwie chorągwie biegą.
Przy szarym świcie poznałem ich znaki,
Lecieli hurmem, dobywszy pałasze,
Pieśń obozową śpiewały żołdaki;
Lecz w pieśniach słowa i tony nie nasze.
Źle! myślę sobie... Stajem u pagórka,
I poglądamy, co tam dalej będzie?
Walą chorągwie — potem konna czwórka
Wiezie karocę w całych sił rozpędzie;
Płoną latarnie; dalej znów bagaże,
I polskie wojsko z chorągwią powiewną,
I herb Jastrzębiec szyty na sztandarze, —
Notandum tedy, to Zborowski pewno.
Wojsko, jak woda, i płynie, i płynie;
Nas nie postrzegli, bo byli dalecy,

A my, ukryci w zarośli gęstwinie,
Postawszy trochę, nazad do fortecy.

KARLIŃSKI (zrywa się).

Co! więc posiłki!... więc w tej samej chwili
Uderzy na nas ich potęga cała!
(Do Bieniasza):
Każ, aby zaraz w bębny uderzyli!
Wojsko do broni! ponabijać działa!
(Bieniasz wychodzi).

SCENA TRZECIA.

KARLIŃSKI i KARLIŃSKA.

KARLIŃSKI (przechadzając się w zamyśleniu).

Żywności jeszcze wystarczy na długo;
Bronić się będziem — nie brak nam odwagi.
Poczciwe skały! za waszą usługą
Mój Olsztyn białej nie wywiesi flagi.
(Do Karlińskiej):
Nie płacz, niewiasto! teraz na nas patrzy
Król, karta dziejów i wszyscy rodacy;
Niech nie powiedzą, że duchem upadłszy,
Zdaliśmy zamek, jakby zdrajcy jacy.
Królu Zygmuncie! ja nie znam cię w oczy,
Lecz cię obrały niezmuszone wota;
Ostatnia kropla krwi, co się wytoczy,
Ostatnie tchnienie naszego żywota
Tobie należą... Cześć twojej korony,
Całość twej głowy zdałeś w ręce nasze:
Póki przeciwnik nie będzie zwalczony,
Hełmu nie zdejmę, miecza nie odpaszę.

KARLIŃSKA.

Jakże ci pięknie, gdy twe oko pała
W tym bohaterskim szlachetnym zachwycie!
Nie sądź, mój mężu, abym zapomniała,
Żem córka kraju, który dał mi życie.

Nie zapomniałam, żem winna do zgonu
Mieć dla ojczyzny miłość niezachwianą, —
Miłość dla kraju i wierność dla tronu
Śmiercią zaświadczyć, jeśliby kazano.
Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy,
Pójdę ochoczo na stos i na miecze...
Lecz syna oddać na pastwę siepaczy —
Ofiara wyższa nad siły człowiecze!
Bóg i ojczyzna nie mogą zbyt srodze
Chcieć takich ofiar od duszy niewieściej...

KARLIŃSKI (wzruszony).

Patrz na Maryę na krzyżowej drodze,
Kiedy Ją przeszył miecz siedmiu boleści,
Gdy Syn Jej konał wśród urągowiska,
Z przebitem sercem, z cierniami na głowie,
Przeżyła jednak...

KARLIŃSKA.

Cóż kraj na tem zyska,
Jeśli Zygmunta zamęczą wrogowie?
Ratuj go, mężu! Do siepaczów napisz,
Oddaj im mury olsztyńskiego grodu.
Król ci przebaczy — daremnie się trapisz,
Wszak król jest ojcem swojego narodu!
On twe ojcowskie uczucia oceni,
Przebaczy sercu, które się rozczula...

KARLIŃSKI.

Bluźnisz, niewiasto? Czyż ludzie spodleni
Mogą mieć prawo do litości króla?
Me obowiązki zdradziwszy na wojnie,
Czyżbym już zdołał wznieść oczy do góry?
Czyż ja noc jedną zasnąłbym spokojnie,
Wolny od srogiej sumienia tortury?
Małżonko moja! matko nieszczęśliwa!
Czuję boleści, co twe serce gniotą;
Lecz czyż powinna moja głowa siwa
Nad samym grobem okryć się sromotą?
Byłem rycerzem...

KARLIŃSKA.

Toć zostań rycerzem;
Przebacz, żem śmiała kusić cię potrosze.
Więc po rycersku nasze wojsko zbierzem,
Uderzym zaraz — lecz to zaraz, proszę!
Pozwól, ja sama przy tobie pojadę,
Na własne ręce odbiorę pacholę...

KARLIŃSKI.

Teraz już nie czas... trudno dać im radę;
Patrz, jakie wojsko zalega ich pole!
My teraz na nich napadać nie możem;
Musim się bronić, bo oni napadną.

KARLIŃSKA.

Każdem mię słowem przeszywasz, jak nożem,
Nie dajesz prośbą zwyciężyć się żadną...
Więc ja mam czekać, aż nadejdą wieści,
Że już Zygmunta ścięły ich pałasze?...
Och! Bóg dał siłę słabości niewieściej;
Naszym orężem — bolesne łzy nasze.
Pójdę do wrogów i czołem uderzę,
Łzami ich serca do litości wzruszę:
I oni zbrojni, i oni rycerze,
Ale od ciebie czulszą mają duszę!
Starcze, wojenną wypieszczony chwałą!
Lękasz się we śnie wyrzutów za zdradę, —
Cóż gdy przed tobą będzie widmo stało
Twojego syna, skrwawione i blade?
Gdy w dzień i w nocy głos twojego serca
Będzie wyrzucał, żeś postąpił dumnie?
Czyż sen spokojny będzie miał morderca,
I tu na ziemi, i w grobowej trumnie?

KARLIŃSKI.

Doroto moja! takaż mię zniewaga
Miała z ust twoich dotknąć na ostatek?
Wódz rozkazuje — małżonek cię błaga,
Bądź godną mężnych chrześcijańskich matek!

Trudna ofiara, gdy Pan przynieść każe,
Co najdroższego mieliśmy na świecie...
Odejdź, Doroto... pomyślę, rozważę...
Łza mi się kręci — ja kocham to dziecię!...

KARLIŃSKA (z radością).

Łza!... kochasz dziecię!... O dzięki Ci, Boże,
Żeś zmiękczył serce niezłomne, jak skała!
Pozwól mi, mężu, ja okno otworzę,
Ot tu na ścianie jest chorągiew biała!
Wywieś ją z okna — to jest znak poddania...
Wszakbyś nie zdołał obronić zamczyska!
Ich taka siła coraz się odsłania...
Boże! za chwilę Zygmunt nas uściska!
Prędzejże, prędzej!...

KARLIŃSKI.

Wstrzymaj się, niewiasto!
Bądź dobrej myśli... a odejdź na chwilę.

(Karlińska uradowana odchodzi).

SCENA CZWARTA.

KARLIŃSKI, potem BIENIASZ.

KARLIŃSKI.

Mam poddać zamek?... ja mam poddać miasto?...
Wróg w samej rzeczy wzmaga się na sile.
Długo nie wytrwać... szturmem nas przemogą...
Król mi przebaczy... i syna ocalę...
Lecz oddać zamek z tak liczną załogą,
Kiedy zapasów nie braknie nam wcale,
Żołnierz na duchu jeszcze nie upada...
Och! ja drżę wszystek — kręci mi się w głowie...
Hej!

(Do Bieniasza):

Niech się zbierze wojenna narada,
I pan Pieniążek, i dwaj chorążowie;
Czekam ich tutaj.

BIENIASZ.

Od nieprzyjaciela
Przybył posłaniec i czeka przy moście.
Dał znak, że ważnej nowiny udziela.

KARLIŃSKI.

To most sprowadzić i tutaj go proście;
Zawiązać oczy, wiodąc przez fortecę, —
Kędy tu przejście, niechaj nie postrzeże.

(Bieniasz odchodzi).

SCENA PIĄTA.

KARLIŃSKI (sam, pada na kolana).

Boże Zastępów! miej w Twojej opiece
I serce moje, i tej twierdzy wieże!
Wesprzyj ramiona słabego człowieka,
By chytry szatan nie ujął mię w pęta!
Od mego serca niech będzie daleka
I podła słabość, i dzikość zawzięta!
Pozwól, bym ojców chrobrym obyczajem
Nie dał się ugiąć pod ciosem Twej plagi,
Abym nie zgrzeszył przed Tobą i krajem
Brakiem odwagi, lub zbytkiem odwagi!....

SCENA SZÓSTA.

KARLIŃSKI, PIENIĄŻEK, DWAJ CHORĄŻOWIE.

WODZOWIE.

Czołem ci, wodzu!

KARLIŃSKI.

Czołem wam, panowie.
Czas mamy krótki, a wieści złowieszcze.
Z ręką na sercu niech mi każdy powie:
Czy poddać zamek? czy bronić się jeszcze?
Czy trzeba umrzeć? czy z naszego zgonu
Będzie krajowi pożytek, czy szkoda?
Zwróciwszy myśli do Pana Syonu,

Mówcie, co Pan Bóg do serca wam poda.
Panie Pieniążek, na waszmości kolej:
Radzisz się poddać?

PIENIĄŻEK (po namyśle).

Niełatwe zadanie.
Jeszcze czas jakiś trzymajmy się wolej:
Kul, prochu, chleba na tydzień nam stanie.

KARLIŃSKI.

A potem...

PIENIĄŻEK.

Umrzeć. Kiedy szturm przypuszczą,
Zdobędą w zamku kamienie i skały.

JEDEN Z CHORĄŻYCH.

A moja rada: dzisiajby z tą tłuszczą
Dobre warunki ułożyć się dały.
Może pozwolą oddalić się z bronią,
Zabrać zapasy prochowe i chlebne.
A życie nasze, co pakta osłonią,
Nie na raz jeden krajowi potrzebne.
Jest pole bitwy i dalsze są twierdze;
Tam trzeba naszej ręki i bardysza.

KARLIŃSKI (do drugiego z Chorążych).

Cóż waszmość radzisz?

DRUGI Z CHORĄŻYCH.

Ja zdanie potwierdzę
Wielce miłego mego towarzysza:
Poddać się trzeba, poddać się w tej chwili,
Bo jutro, wodzu, za późno już będzie...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i BIENIASZ, potem PUSZKARZE.

BIENIASZ (przerażony).

Panie! dokoła zamek otoczyli,
Wojsko niezmierne rozlewa się wszędzie,

Niosą drabiny, podchodzą pod wały,
Huf najmocniejszy tu prosto przy rowie.

KARLIŃSKI.

Niełatwo Niemcy ugryzą te skały!
Dać ognia z armat! Hej, mości panowie,
Nie czas do rady! już Boskie zamiary
Wskazały naszej powinności drogę.
Spieszcie na wały! a tej baszty starej
Ja z jednem działem sam obronić mogę.
Z tej wysokości, między dwa parowy
Kula puszczona cały hufiec zwali.
Hola, puszkarze!

(Dwaj Chorążowie odchodzą).

(Wchodzi dwóch puszkarzy).

Czy nabój gotowy?

PUSZKARZ.

Działo nabite, a lont już się pali.
Toż się, mój Boże, całą noc nie spało.
Oczyścić, nabić... to praca niezmierna.

(Słychać podwojony zgrzyt trąby).

KARLIŃSKI.

Atak się wzmaga... a więc...

(Głośno):

rychtuj działo!

(Chwila pauzy).

Pal!

SCENA ÓSMA.

CIŻ i CZACHROWSKI.

CZACHROWSKI (wbiega, odtrąca puszkarza, który lont zapalony przykładał do armaty i popycha Karlińskiego ku oknu).

Patrz, Karliński! to huf Lichtensterna!

KARLIŃSKI (odwraca się z pospiechem).

Kto? czego chcecie?

CZACHROWSKI (biorąc go za rękę).

To ja, druh twój stary,
Choć dziś w obozie twoich wrogów służę.
Bóg losy krajów zapisał już w górze.
Czy Maksymilian, czy Zygmunt król będzie,
My tego grzeszni rozwiązać niegodni.
Ja, starą przyjaźń mający na względzie,
Przybiegłem tutaj wstrzymać cię od zbrodni.
Patrzaj, Karliński! tam chorągiew wieje,
A przed chorągwią widzisz punkt ten biały?
To Lichtensterna wojenne nadzieje.
To syna twego niosą na wystrzały!
Strzelaj, gdy możesz!...

KARLIŃSKI.

Jakto? mego syna!

CZACHROWSKI.

Widzisz punkt biały, ot tu, przy opoce?
Kula, nim nasze hufce poprzerzyna,
Twojemu dziecku piersi pogruchoce!
Wódz rakuszański chciał go mieć za tarczę
Swojego życia, przy szturmie wśród kuli...
Wpadłem cię ostrzedz — teraz strzelaj, starcze!...

PUSZKARZ (rzucając lont).

Panie! twe serce niechaj się rozczuli!

PIENIĄŻEK.

Wodzu! kraj takiej próby nie wymaga!

CZACHROWSKI.

Bracie mój dawny, miej litość nad sobą!

PIENIĄŻEK.

Oddaj im zamek!

(Słychać trąby).

KARLIŃSKI.

Odwaga! odwaga!...
Panie! zbyt ciężką dotknąłeś mię próbą!
Łzy płyną z oczu... drży serce — drży ręka...

Mróz lodowaty przebiega me kości...
W obliczu wrogów Karliński się lęka,
Lęka spełnienia swojej powinności!...
Tam król... tam hetman... krew dziecka, płacz żony...
Tego zanadto!... o!... poddać się raczej!...
(Bierze do ręki białą chorągiew).
Kasprze Karliński! shańbiony! shańbiony!
Chciałeś się podle poniżyć w rozpaczy!
Krew mego syna upadnie na wroga:
Nie ja zabójca, ale on zabójca...
Ziemio rodzinna, matko moja droga!
Przebacz, że chwilę miałem serce ojca!
Synu mój drogi! starą moją głowę
Któż tu przytuli? kto do trumny złoży?
Ty miałeś wskrzesić wspomnienie ojcowe,
W tobie rycerstwa był widny duch Boży...
Lecz musisz umrzeć!...
(Z załamanemi rękoma pogląda na białą chorągiew, potem ją rzuca na ziemię).
Przebaczcie mi, Nieba,
Żem się zawahał w tak stanowczej sprawie!...
Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!
Na drogę śmierci ja cię błogosławię!
Żegnaj mi, synu! cześć młodej twej głowie,
(Wyrywa lont od puszkarza, który stoi osłupiały).
Że krew przelałeś w krajowej potrzebie!
Kocham cię więcej niśli własne zdrowie,
Ale powinność droższa mi od ciebie.
Ziemio mych ojców! bierz dar prawowierny
Z krwi pacholęcia i z ojca katuszy!
Boże najwyższy! Ojcze miłosierny!
Bądź tam miłościw jego czystej duszy!
(Przykłada lont do zapału armaty — słychać wystrzał).

WSZYSCY OBECNI (z przerażeniem).

Ach! coś uczynił?

CZACHROWSKI.

Szlachetny szaleńcze!

KARLIŃSKI.

Dzięki Ci Boże! nie zadrżała ręka.
Musiałem trafić — o! musiałem, ręczę:
Cios tu się odbił!...

(Wskazuje ku sercu).

Tak mi serce pęka!...
A ja sądziłem, że to łatwiej pono
Sprawić się z serca uczuciem rodzimem...
Panie Pieniążek, czy dobrze trafiono?

PIENIĄŻEK (patrząc w strzelnicę).

Ja nic nie widzę za armatnim dymem.

(Słychać z daleka głuche wystrzały. Wszyscy cisną się do okna).

KARLIŃSKI.

Drżą ręce — nogi trzęsą się pode mną...
Serce tak bije — rozpada się z bolu —
Głowa się kręci — a w źrenicach ciemno...

(Usiada).

Panie Pieniążek, co tam widzisz w polu?

PIENIĄŻEK (zawsze w oknie głosem uroczystym).

Już się spełniło...

(Chwila milczenia).

JEDEN Z PUSZKARZÓW.

Już Niemca odparto.
Pierzchają zewsząd... szeregi popsuli...
Trupy, jak pomost... a nasz panicz z Martą
Padli zabici odłamkami kuli!...

KARLIŃSKI.

Śpij, drogie dziecię!... niedługo, niedługo...
Przyjdę przebłagać twą męczeńską duszę...
Ale kraj jeszcze czeka mię z posługą:
Ja powinienem... ja żyć jeszcze muszę.

BIENIASZ (wchodząc).

Niemcy uciekli; wódz ich ciężko ranny,
Nasz panicz poległ, jak podcięty kosą.

KARLIŃSKI.

Niech dają z wałów ogień nieustanny!
Trup mego dziecka niech tutaj przyniosą.

(Bieniasz odchodzi).

PIENIĄŻEK (patrząc w okno).

Zwijają obóz... a ich przednie straże
Kierują pochód na krakowskie strony.
Rannego wodza niosą przy sztandarze.
Górą król Zygmunt!

KARLIŃSKI (powstawszy uroczyście, wznosi ręce).

Olsztyn ocalony!
Pańskie to, Pańskie podparło mię ramię;
Syn mój to sprawił... Czyż mam płakać po nim?
Wracaj do swoich, Czachrowski Adamie.

PIENIĄŻEK.

A powiedz swoim, że gdzie dobra sprawa,
Tam duch ofiary mężnieje w potrzebie.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i KARLIŃSKA (wpada z rozpaczą).

KARLIŃSKA.

Bitwa skończona... strzelanie ustawa...
Gdzie Zygmunt? mężu! gdzie Zygmunt??...

KARLIŃSKI.

Już w Niebie.

(Widać w głębi, jak wnoszą zwłoki Zygmunta. Obecni uchylają głowy. Zasłona spada).

1857. Wilno.

WIEJSCY POLITYCY.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH WIERSZEM.

OSOBY:

SĘDZIA NOWINA.
SĘDZINA, jego żona.
STEFAN, ich syn.
PODKOMORZY LESZCZYC.
ANNA, jego córka.
SZLOMA, arendarz sędziego.
GOSPODARZ w oberży.
WÓJT, GROMADA WIEJSKA, } ze wsi sędziego.

Rzecz dzieje się w pierwszym i drugim akcie w domu wiejskim sędziego; w trzecim w oberży w miasteczku.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Wieczór. Pan SĘDZIA przy jednym stoliku czyta gazetę; STEFAN przy drugim z roztargnieniem czyta książkę; SĘDZINA z robotą przy tymże stoliku.

(Stefan składa książkę i wzdycha).

SĘDZINA (z czułością).

Co tobie jest, Stefanie? wzdychasz, moje dziecię!
Tęskno tobie po twoim uniwersytecie,
Po twoich towarzyszach, po miastowej wrzawie;
Na wsi nudno.

STEFAN.

Nie, mamo! ja się dobrze bawię.
Straciłem moich dobrych towarzyszów grono,
Żal mi ludzi, z którymi spotkać się sądzono,
Z którymi się człek smucił, z którymi weselił,
Z którymi myśl, naukę i dążenia dzielił;
Lecz za to jestem w kraju. O! jakże to błogo,
Gdy domowem powietrzem tchnąć już piersi mogą,

Po długiem niewidzeniu gdy powitać dano
Rodziców, dom rodzinny, Litwę ukochaną,
I nasz strumyk w olszniaku, ulicę z topoli,
I mową się rodzinną nagadać dowoli,
Powitać nasz lud wiejski, uściskać go szczerze.

SĘDZIA (do obecnych).

Dostali niezłą cięgę Francuzi w Algerze,
Gotują się w Maroku wypadki nielada:
Bo już Kuryer Wileński nieznacznie powiada,
Przebąkiwa, mosanie, że jeszcze w tym roku
Wszystkie porty handlowe zamkną się Maroku.
A skądże marokańską tabakę świat kupi?
Czy Anglia pozwoli?... Palmerston nie głupi!
Na wiosnę straszna wojna buchnie niespodzianie!

(Czyta znowu).

SĘDZINA (do Stefana).

Aleś ty zamyślony i blady, Stefanie;
Możeś chory, broń Boże?...

STEFAN.

Och! ja cierpię srogo
Na marzenia, co jeszcze ziścić się nie mogą,
Na zuchwałe żądanie z nieziemskiego świata,
Co mi serce rozrywa i w głowie kołata.

SĘDZINA.

O, biednaż ja kobieta! Stefanie, Stefanie!
Może octu do głowy... to boleć przestanie.
Na ból serca... ból serca... o mocny mój Boże!
Anodinum na cukrze...

STEFAN.

Och! nic nie pomoże,
Bo to ból niezwyczajny — pali jak żarzewiem.

SĘDZINA.

Cóż ci jest, lube dziecię?

STEFAN.

Ja nie wiem, ja nie wiem...
Com wyczytał, wysłuchał, w co przywykłem wierzyć,
Chciałbym na mojej Litwie od razu rozszerzyć;
Ona mi się stawiła szczególnym obrazem:
Och, jak tu na niej dobrze! och, jak tu źle razem!
Jakie tu śliczne pola, jakie cudne gaje!
Ale grunt zaniedbany już chleba nie daje,
Lasy pustoszy wieśniak, pustoszą do dworu,
Piękne łąki nie dają i połowy zbioru,
Jakiby przy uprawie należytej dały.

SĘDZIA (zawsze czytając).

To zuch Ibrahim basza... pokopał kanały,
Egipskie grzęzawice osuszył w połowie...
Tylko czy Turek za to wojny nie wypowie?
To, panie, mądra sztuka, ten Ibrahim basza!

STEFAN (zawsze z zapałem do matki).

Jakież ma piękne wioski droga Litwa nasza!
Wpośród zielonych pastwisk, przy rzeczce, przy młynie,
Owdzie prześliczny strumyk wśród olszniaku płynie,
Owdzie na ładnych wzgórkach wznosi się chałupa...
Rozkosz dla pejzażysty takich chatek grupa!
Ale, kochana matko, jakże boli srodze,
Kiedy po grząskich groblach, po nierównej drodze,
Wjedziesz do której wioski bez cienia, bez płotów!
Ktośby ją za schronienie nędzarzy wziąć gotów.
Chaty nizkie, jak żebrak oparte na szczudła;
A każda twarz wieśniaka wybladła, wychudła,
Ubiór jego podarty, na twarzy głupota;
A toż Litwin! to serce poczciwe ze złota!
Przecież w brudnym nałogu, jak w błocie, się tarza,
W nałogu, zaprzedanym za pieniądz karczmarza,
Z zamroczonym umysłem Paryas wyklęty,
Jak on będzie pracował?

SĘDZINA.

O mój Boże święty!
Mój Boże! co on gada? to z bolenia głowy...
O! ja mam plastr cudowny...

STEFAN.

Nasz Litwin surowy
Swoją podartą chatę ukochał najszczerzej,
Nie jak Niemiec, co w żadną ojczyznę nie wierzy;
Przechował obyczaje i domowe cnoty,
Nie jak dziecko Paryża, kędy stek sromoty;
Nie został, jak Włoch, zbójcą, jak Greczyn, obłudnym,
Jak Anglik egoizmem nie przejął się brudnym;
Wiarą tylko swój kielich żółci z octem słodzi.

SĘDZINA.

Uspokój się, Stefanie, bo to ci zaszkodzi.
Prawda, że u nas wieśniak i głodny, i chłodny;
Lecz tak było od wieków za grzech pierworodny,
Czy podobno od Sema, Chama i Jafeta.

STEFAN.

Nie, mamo.

SĘDZIA (zrywa się).

Posłuchajcie, co pisze gazeta!

(Czyta):

Paryż ósmego września. Król jegomość
Przyjmował uroczyste poselstwo sułtana; [z rana
Potem telegraficzna wiadomość doniosła,
Że prosił na śniadanie hiszpańskiego posła;
Dalej... okręt angielski przybył z Malabaru;
Dalej... pierwszy minister, z powodu kataru,
Dziś nie był w parlamencie, — a dalej: na scenie
Nowe i nader świetne było przedstawienie,
Dano „Włoszkę w Algerze!“ Tak, „Włoszkę w Algerze!“
Głęboka allegorya! Włoch już Alger bierze,
Król francuski z sułtanem przyjaźni się skoro,
I uważasz... Hiszpanów na cuhunder biorą.
Okręt od Malabaru... minister w katarze...

Tak pisać to głęboka polityka każe.
Ale znamy się na tem... ho! znamy się trocha!
Francuz, Hiszpan i Turek pójdą przeciw Włocha;
Wtedy Ibrahim basza, co przytulił uszy,
Na Hiszpana, Francuza i Turka wyruszy.
Toż to będzie, mospanie, wojna w Europie!
Wtedy i nam wypadnie chować się w konopie;
Bo nasze wojska pójdą bronić pruskich granic,
A od Persa, mospanie, nie zaręczę za nic:
Ich przymierze na włosku, czysto za kontraktem.
Wszak mi Żydek powiadał, że onegdaj traktem
Jechało dwóch ichmościów... wąsaci, brodaci,
I mieli czapki perskie... niech go porwą kaci!
On zgadł, że będzie wojna — to już niedaremnie,
A podkomorzy Leszczyc śmiał się wtedy ze mnie.

STEFAN (przerywając).

Leszczyc?... jakiż tu Leszczyc mieszka w okolicy?

SĘDZIA.

Jan Leszczyc, podkomorzy, dziedzic na Bruśnicy;
Z traktu majątek jego widać o trzy kroki.

STEFAN.

Czy on ma młodą córkę?

SĘDZIA.

Polityk głęboki!
Ciągle czyta gazetę, a ciemny jak w rogu,
Nie wierzy w żadną wojnę. Dzisiaj, dzięki Bogu,
Otoż go wyśmiejemy, otoż go wychłoszczem,
Kiedy z rana w Niedzielę zejdę się z proboszczem!
Podkomorzy, polityk mądry w każdym względzie...
(Do wchodzącego arendarza):
Jak się masz, panie Szloma?... Czy wiesz? Wojna [będzie!

(Sędzina odchodzi).

SCENA DRUGA.

(CIŻ i SZLOMA (wchodzi z ukłonem).

SZLOMA.

Wojna? kogo i za co?

SĘDZIA (uroczyście).

Ba! zgadnijże za co!
Włosi zdobyli Alger, Ibrahim ladaco
Idzie wojować Turki, Francuzy, Hiszpany;
Lecz w gazecie, uważasz, inszy obrot dany:
Niby tak, niby owak... przypuszczenia, wnioski...
Jak wiesz, pod allegoryą pisze Marcinowski;
Lecz kto ma zdrowe oczy, jasno prawdę widzi.

SZLOMA.

Pan to lepiej rozumie niż my, biedni Żydzi.
My sobie handlujemy — wojna rzecz nie nasza.
Póki Ibrahim pasza wystrzeli z pałasza,
Ja chciałbym choć trzy grosze zyskać na arendzie;
A tu gwałty! rozbójstwa! co i z tego będzie?!

SĘDZIA.

Cóż się stało?

SZLOMA.

No! Janek!!

SĘDZIA.

Nudzić mię poczynasz!
Czego chcesz? jaki Janek?

SZLOMA.

Jaki Janek? — młynarz!
Sam nie chodzi do karczmy, powiada, że pości,
I jeszcze całą wioskę naucza trzeźwości,
Buntuje całą wioskę, buntuje i kwita!
Czy wierzy pan dobrodziej?
(Tajemniczo do ucha sędziego):
Nawet książki czyta!
Kiedy jeździł z transportem do pszenicy mojej,
Przywiózł książki i z Wilna — aj gwałt, co tam stoi!

No! że Żyd wkrótce chłopa do szczętu wysuszy,
No! że pijak w Niedzielę ciężki grzech dla duszy,
No! kiedy dzień powszedni, to trzeba do pracy,
No! że pijąc na kredyt, to będą żebracy!
I mało czego jeszcze! buntuje widocznie!
Bolą uszy słuchając, kiedy czytać pocznie.
Na co jemu czytanie? i z tego czytania
On jeszcze wszystkich ludzi z karczmy porozgania.
Co to jest!!

SĘDZIA (chodząc niespokojny).

Prawdę mówisz! masz słuszność, mój Szlomo!
Gdy chłop porozumnieje, wtedy już wiadomo:
Nie pójdzie na pańszczyznę.

SZLOMA.

Nie pójdzie do szynku.

SĘDZIA.

Czytanie!... jak sto batów weźmie w upominku,
To się czytać oduczy, a z nim cała wioska.
Chce być mędrszym ode mnie! a to kara Boska!
To już skończenie świata!!

STEFAN.

Nie, to jutrznia świata.
Duch Boży sam do chatek wieśniaczych kołata,
Wykluwa się ze skorup gołąbek skrzydlaty
I siedmiu promieniami niebieskiej oświaty,
Jak ojcowskiem objęciem, otuli, opasze
Pogardzonych nędzarzy chróściane szałasze.
Dzięki Ci, dobry Boże! ta chwila już blizko,
Twój palec nam wskazuje nasze stanowisko;
Bądźmy wierni wezwaniu!

(Sędzia i Szloma patrzą na niego z podziwieniem).

SZLOMA.

Gwałt! co panicz gada!

SĘDZIA.

Co pasan takie rzeczy?... słuchać nie wypada...
Łatwo w kłopot, a kłopot sakiewkę wycieńczy...

STEFAN (chłodniej).

Przepraszam cię, mój ojcze, za wyskok szaleńczy!
Wszak wiesz, jak żywo pragnę... ale tego dosyć.
Chciałem tylko za Jankiem młynarzem cię prosić:
Nie odbieraj mu książki, gdy się pragnie uczyć,
Nie karz go za czytanie, nie daj mu dokuczyć.

(Groźnie patrząc na Szlomę):

A ty, jeśli się ważysz, żmijo jadowita,
Jeżeli słówko piśniesz...

SZLOMA (cofając się).

No! niech sobie czyta,
Niechaj z karczmy rozpędza, niech zaleca pracę,
A ja na święty Jerzy raty nie zapłacę!

SĘDZIA.

Zaraz nie płacić raty — wyśmienita rada!
Nie uważaj, mój Szlomo, co pan Stefan gada:
Taka dziś cała młodzież — dowodzi jak może,
Że pan, i kmieć, i szlachcic wszystko dzieci Boże,
Że trzeba naszym wioskom nadać inną postać,
Że ekonom przy pracy nie powinien chłostać,
Że trzeba zmniejszyć karczmy, zaprowadzać szkółki
I z rolnikiem na roli pracować do spółki.

SZLOMA.

Cóż dalej z tego będzie?

SĘDZIA.

Dalej nic nie będzie.
Jam o mego Stefana spokojny w tym względzie.
Nadąsa się, jak inni, zmiany naprzyrzeka,
I pójdzie starym torem, jak chodzili z wieka;
Zmęczy go postępowa nad chłopstwem mozoła,
Pocznie chłostać, jak drudzy, i Żyda przywoła;
Pocznie do wiejskich dziewcząt zalecać się dzielnie,
I, zamiast szkoły wiejskiej, zbuduje gorzelnię.

SZLOMA.

O! tak, to co inszego!

STEFAN.

Ojcze, jak to boli!

SĘDZIA (ze śmiechem).

Wyszumi młode piwko, wyszumi powoli.
Teraz pójdziem do rzeczy, mój Szlomo kochany!
Mam pewne interesa, mam tu pewne plany;
Chciałbym z tobą pomówić — tak, na cztery oczy;
Chodź do mego pokoju.

SZLOMA (do siebie).

Już wiem, z czem wyskoczy;
Ale bądźmy ostrożni... odmówić najprościej.

SĘDZIA.

Służę ci, panie Szlomo.

SZLOMA.

Służę jegomości.

(Odchodzą we drzwi boczne).

SCENA TRZECIA.

SĘDZINA, STEFAN.

SĘDZINA.

Źle robisz, mój Stefanie, choć mówisz, jak księga,
Choć każde twoje słowo do serca mi sięga...
Bronisz uciśnionego, kochasz lud ubogi,
To znaczy dobroć serca, to pięknie, mój drogi;
Lecz mówisz za gorąco i w ciągłym ferworze.
Wszak ojciec przekonań odmienić nie może;
Więc zamiast go rozdrażniać, zamilczałbyś wolej.
Zresztą, synu, my starzy: przyjdzie wasza kolej,
Wtedy tworzyć będziecie postępowe cuda,
Może wam stare błędy poprawić się uda.
Wszak słyszałeś od ojca, że na święty Jerzy
Już całe gospodarstwo w twe ręce powierzy.
Będziesz swobodnym panem i woli, i środków,
Będziesz mógł po swojemu uszczęśliwiać kmiotków;
Lecz póki się ku tobie szala nie przychyli,

Poszanuj jego zdanie do ostatniej chwili.
Przepraszam, że to mówię.

STEFAN.

O! dzięki sto razy!
Będę ściślej obliczał wszystkie me wyrazy,
Schowam do głębi serca moją świętą Wiarę,
Poszanuję ojcowskie przekonania stare.
Lecz gdy naszą fortunę odda mi pod straże,
Przebacz, matko! postąpię, jak mi serce każe,
I niejedno odmienię, niejedno przerobię:
Dam kmiotkom prawa ludzi...

SĘDZINA.

Jak sam zechcesz sobie.
Tutaj jedyna rada, jaką dać ci mogę:
Abyś obrał powolną do postępów drogę,
Bo co nagle rozpoczniesz, nic ci się nie sklei.
Po kolei, mój synu, wszystko po kolei,
A śmiało w Imię Boże.

STEFAN.

Nic się nie przestraszę, —
Zbrojny w błogosławieństwo i Boskie, i wasze,
Czuję, że mi co chwila nowy popęd nada
Dobre serce matczyne i ojca porada.

SĘDZINA.

I sercem, i modlitwą, poczciwy Stefanie,
Będę ci pomagała, ile sił mi stanie;
Niekiedy rada matki przydać ci się może.

STEFAN (całując jej rękę).

Radź, matko, i rozkazuj — przyjmuję w pokorze.
Dawaj mi od tej chwili twe dobre przestrogi,
Wskaż mi najpierwsze kroki mojej trudnej drogi.
Powiedz mi: w gospodarstwie nim się coś uczyni,
Od czego trzeba począć?

SĘDZINA (z uśmiechem).

Szukać gospodyni,
Wynaleźć dobrą żonę, co cię kochać będzie,

Co twojemi oczyma rozpatrując wszędzie,
Gdzie ty zarzucisz wątek, ona da osnowę,
Wzmocni niewieściem sercem twoją męską głowę.
Do niej przyjdą odważniej ubodzy i chorzy,
Przed nią niejeden wieśniak swe serce otworzy,
Ona się porozumie roztropniej daleko
I z niewiastą, i z dzieckiem, i z biednym kaleką.
Ona się wtajemniczy i trafniej, i prędzej
W najdrobniejsze odcienie cierpienia i nędzy,
A dopóki trwać będziesz w zbawiennym zamiarze,
Gotową drogę czynu ona ci ukaże.

STEFAN.

Prawda po tysiąc razy.

SĘDZINA.

Ona cię nauczy,
Że konia, jak to mówią, pańskie oko tuczy.
Będziesz pilnował domu — a tu co godzina
Nowy się obowiązek sercu przypomina,
Nowy dobry uczynek codzień się dokona.
Skarbem jest, mój Stefanie, skarbem taka żona;
Ale z tysiąca kobiet wyszukać jej rzadko!
Szukaj dobrze!

STEFAN.

Znalazłem, znalazłem ją, matko!
Muszę ci wyznać słowo, co pod sercem gniotę:
Ja kocham już od roku niebiańską istotę,
Ona, choć nieobecna, wspomnieniem mię krzepi,
Ona mojego serca świadoma najlepiej,
Ona olbrzymią siłą wzmocni me ramiona;
Zna lud wiejski i kocha, jakby w nim zrodzona.
W dalekiem, w obcem mieście marzyliśmy razem,
Żyliśmy naszych dworków, naszych wsi obrazem;
Długie, długie wieczory, często zalzawieni,
Błądziliśmy oczyma po Niebios przestrzeni;
Promieniami księżyca z oddali, z oddali,
Pozdrowienie kochanej Litwie przesyłali.
Ona tam przy swej ciotce w gościnie bawiła.

Jam ją pokochał wiecznie, ile starczy siła;
Przysięgła mi najświęcej — wiernie — najgoręcej,
Być moją — tylko moją — i niczyją więcej.
Niech ją ojciec przeklina, niech jak chce się sroży...

SĘDZINA.

Któż to taki jej ojciec?

STEFAN.

Leszczyc podkomorzy.

SĘDZINA.

Pan Leszczyc podkomorzy — a toż sąsiad przecię!
Córkę jego znam dobrze: to poczciwe dziecię,
Urodziwej postaci, kształtna, pięknooka,
Bawiła rok u ciotki, czy półtora roka,
Lecz teraz powróciła, zesmutniała trocha...
Ty ją kochasz, Stefanie — ona ciebie kocha —
To dobrze, wszystko dobrze... lecz miej się na wodzy:
Oni ludzie bogaci, my — szlachta ubodzy.
Pan Leszczyc nie jest dumnym z majątku i z rodu,
I pysznić się przed nami nie miałby powodu;
Obok pana Leszczyca my niżej nie staniem
Ni dobrem urodzeniem, nie urzędowaniem.
Lecz pan Leszczyc spekulant, obrotowa sztuka,
Spekulanta na męża dla swej córki szuka,
Człowieka z kapitałem i przemyślną głową,
Coby szybko podwoił sumę posagową.
Tybyś w takim zawodzie nie dotrzymał pola,
Bo jakież twe zasoby?

STEFAN.

Zdrowa myśl i wola,
Dwoje rąk, kierowanych poczciwym zapałem,
Do pomocy lud wierny, który ukochałem.
Wierzcie mi, że tu rolnik daleko zajść może
Z temi kilku środkami.

SĘDZINA.

Daj Boże, daj Boże!
Zresztą, patrzaj Stefanie, jak się dobrze składa:

Wkrótce mamy u siebie powitać sąsiada,
Bo dzisiaj do nas pisał stary podkomorzy,
Że jutro razem z córką swą atencyę złoży.
Zobaczym, co się święci, zdajmy się na Boga.

STEFAN (z radością).

A więc jutro mię czeka niespodzianka błoga!
Jutro Annę zobaczę!...

SCENA CZWARTA.

CIŻ, SZLOMA, a za nim SĘDZIA.

(Szloma kłania się i chce wychodzić).

SĘDZIA (doganiając go).

Co za powód zmiany?

SZLOMA (do siebie).

Widoczna ze wszystkiego, że zbankrutowany.
Chce mnie częstować miodkiem i paniczem straszy,
Chce pieniędzy na konto Ibrahima baszy...
Na co mi to potrzebne?

SĘDZIA.

A z Jankiem młynarzem
Już się sami rozmówim, sami go ukarzem;
Przestanie czytać książki, zalecimy srogo.

SZLOMA (do siebie).

Cztery tysiące złotych... to trochę za drogo.

(Głośno):

Upadam do nóg pańskich!

SĘDZIA.

Zabronię i kwita.

SZLOMA.

Kiedy taki uczony, niech sobie już czyta.
Upadam do nóg pańskich!

STEFAN (do siebie).

Jakąś czuję trwogę.
Memu własnemu szczęściu uwierzyć nie mogę.
Jutro Annę zobaczę...

(Odchodzi drugiemi drzwiami).

SCENA PIĄTA.

SĘDZIA, SĘDZINA.

SĘDZIA (nie widząc żony).

Choć zastawić duszę,
Cztery tysiące złotych koniecznie mieć muszę.
Podatki niepłacone — nie żartować z władzą:
Pustopole opiszą i z młotka przedadzą.
Stefan, co o ludzkości i postępie gada,
Nie wybrnie z tarapaty... Jakoś nie wypada
Wkładać na jego głowę ciężar takiej miary.
Masz tobie!... syn za młody, a ojciec za stary,
Podatek niepłacony, a procent narasta...
Co począć?...

(Chodzi zamyślony).

Trzeba skończyć gazety i basta.
Redaktor wbił mi klina... rwą się do pałasza
Anglik, Francuz i Turek, i Ibrahim basza;
Będzie na wiosnę wojna — pieniądz na widoku.
Czy to ja nie pamiętam, we dwunastym roku
Jaka była drożyzna? to aż wspomnieć ładnie!
Pociągnę pasyansa, czy wojna wypadnie.

(Siada przy stoliku i wyrzuca karty).

As, dwójka, trójka, czwórka... jest czwórka — no, proszę!

SĘDZINA (przerywając mu).

Ciekawą ci, mój mężu, wiadomość przynoszę;
Tylko cicho... nikomu nie mów ani słowa.

SĘDZIA (zawsze zajęty).

Piątka, szóstka, siódemka, ósemka dzwonkowa,
Walet winny... No, słucham, co tam za wiadomość?

SĘDZINA (tajemniczo).

Nasz Stefan zakochany...

SĘDZIA.

Widzisz go, jegomość!
Lud... idee ludzkości... postępy narodu...
A myśli o dziewczętach, tak jak ja za młodu.
Trzeba wiedzieć, że byłem zalotny i zmienny.

(Kładzie znowu karty).

Walet, dama dzwonkowa... ot i król czerwienny,
To znaczy król francuski.

SĘDZINA.

Tu ważniejsze rzeczy:
Mówię, Stefan się kocha.

SĘDZIA.

A któż mu tam przeczy!
Miłostki dla młodego bardziej odpowiednie
Niż te wszystkie idee, postępowe brednie,
Z któremi z takim dzisiaj wyrwał się zapałem,
Że mi Szlomę przestraszył — a interes miałem.
Uciekł Szloma, jak zmyty, wcale się nie dziwię,
I jeżeli kabała nie wyjdzie poczciwie,
Jeśli wojny mocarstwo nie wypowie które,
To zboże ani myśleć aby poszło w górę.
A u mnie w Pustopolu jedyna rachuba:
Albo wielka drożyzna, lub zupełna zguba.
Podatek niepłacony, włościanie bez chleba,
Trzeba zboża na zasiew, zapomogi trzeba;
A u mnie jedno z drugiem dwie pustki w kieszeni.
Jedyna tylko rada...

(Zrywa się gwałtownie).

Niech się Stefan żeni!
Niech weźmie dobry posag, niech długi pospłaca,

A może mu szczęśliwiej powiedzie się praca;
Niech się zagospodarzy, grosz oszczędza w miarę, —
Młodsza głowa i ręce już nie to, co stare.
Kogoż tam przecię kocha? gdzie ofiary pali?

SĘDZINA.

Z córką podkomorzego dawniej się poznali,
I ona mu wzajemna.

SĘDZIA.

Gadaj jejmość zdrowa!

SĘDZINA.

Młoda, piękna, szlachetna.

SĘDZIA.

O tem ani słowa;
A jednak...

SĘDZINA.

Co za jednak? nie bój się o zmianę.

SĘDZIA (uroczyście).

To są gruszki na wierzbie i bańki mydlane.
Czy ja nie znam Leszczyca? Ho, ho! bita sztuka!
Stary lichwiarz bankiera na zięcia wyszuka.
Jemu widzę od dawna przewróciły głowę
Procenta, kapitały, machiny parowe.
Powiedz mu: będzie wojna, to on śmiechem parska,
Mówi, że już minęła epoka tatarska,
Że teraz Europa długich walk już syta,
Że bogactwo krajowe w pokoju rozkwita,
Że największa spokojność panuje na świecie...
(Tryumfalnie wskazuje gazetę):
A zobacz, kiedy łaska, co pisze w gazecie!
Dzielny Ibrahim basza, jak wyruszy w pędzie,
Na złość podkomorzemu, Gibraltar zdobędzie.

SĘDZINA.

Lecz myślmy o Stefanie.

SĘDZIA.

I cóż o Stefanie?
On tutaj, ani wątpić, odkosza dostanie.
A zresztą dobry zamiar — nie zawadzi proba:
Może stary spekulant chłopca upodoba.
A nawet podkomorzy, jak w czubek naleje,
Lubi czasem rozwodzić postępu ideje.
Kto to wie? jeśli dola posłuży szczęśliwa,
Może się zrozumieją, plotąc troje-dziwa.
Jutro zobaczym skutek; ja coś mało wierzę.
Lepiej skończyć gazetę i pójść na wieczerzę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

STEFAN, WIEŚNIAK.

(Wieśniak stoi u progu, kręcąc swój kapelusz. Stefan chodzi po pokoju zamyślony).

STEFAN (do siebie).

Witajcie, moje piękne powietrzne pałace!
Dziś ojciec zdaje na mnie gospodarcze prace.
Niech najszczęśliwszy z ludzi teraz mi zazdrości:
Jestem opiekun włości — ojciec mojej włości...
Czyż potrafię wypełnić zadanie olbrzymie,
Nosić godnie to imię, najchlubniejsze imię?
Już okiem przemierzyłem pole mego trudu,
Wiem, com czynić powinien dla dobrego ludu;
Lecz jak się wziąć do dzieła, do szczęścia gromady?
Gdzie udzielić pomocy, gdzie i jakiej rady?
Czego najgwałtowniejsza z początku potrzeba:
Czy duchowego chleba, czy ziemskiego chleba?
Czyli pierwej nauki? czy pierwej swobody?
Rozwiązać to zadanie mój umysł za młody.
Długo się rozmyślało, wiele się czytało,
Mam serce, ale serca tu jeszcze za mało.

Trzeba się wtajemniczyć w ich mowę, w ich życie;
A ja ludu wiejskiego nie znam całkowicie,
W niedoświadczone ręce biorę rządów wodze.
Wspieraj mię, Duchu Boży, na mej trudnej drodze!

(Wieśniak zniecierpliwiony tupie i kaszle).

STEFAN (zwracając się ku niemu).

Siadaj, poczciwy człeku; weź krzesło przy ścianie.
Czy jesteś wójtem z wioski?

WIEŚNIAK (z pokłonem).

Wójt, wielmożny panie.

STEFAN (chodzi zakłopotany, nie wiedząc, co mówić dalej).

A masz żonę i dzieci?

WIEŚNIAK.

Mam dziatek aż troje.

STEFAN.

Siadajże, weź krzesełko.

WÓJT (z pokłonem).

Ja sobie postoję.

STEFAN (do siebie).

Pokora niewolnicza, to wielka ich wada!
Lecz ze starym przesądem walczyć nie wypada:
Trzeba ich przyprowadzić stopniowo, z daleka,
Aby w sobie uznali dostojność człowieka.

(Do wieśniaka):

A jakże się nazywasz?

WIEŚNIAK.

Pasieka Bazyli.

STEFAN.

Umiesz czytać i pisać?

WIEŚNIAK.

Z rodu nie uczyli.

STEFAN.

A jakże, będąc wójtem, bez pisma być może?
Jak rachujesz podatki, robociznę, zboże?
Jak możesz zapamiętać, co czynić wypada?
Jak ci może zaufać i dwór, i gromada?
Skąd pewność przed gromadą, przed sądową władzą,
Że się wiernie wyliczysz z tego, co ci dadzą?

WIEŚNIAK.

Co te pisma, paniczu! pamięć to rzecz święta!
Człowiek chce zapamiętać, to i zapamięta.
Wierzą mi, bo się zdradą nie splamiłem żadną.
Czy to, proszę panicza, piśmienni nie kradną?
A zresztą, czego dobrze spamiętać nie możem,
To się na prostym kiju zakarbuje nożem:
Oto mój kij, paniczu, — przypatrzyć się proszę:
To kopy, a to stopy, to złote, to grosze;
Jakoś to się wyliczam, rachunki nieduże,
Dziesięć lat, jak dworowi i sąsiadom służę.

STEFAN.

A jednak umieć czytać czyżby ci nie miło?

WIEŚNIAK.

No! toby się w kościele z książki pomodliło.
A u nas jaki pacierz? Ojcze nasz i Wierzę,
Dziesięcioro przykazań — to całe pacierze;
A jednak, gdy niedola, gdy się serce kruszy,
Człowiek zmówi co umie, to i lżej na duszy.

STEFAN.

Więc tu dziatwa nic a nic z książki nie korzysta?

WIEŚNIAK.

Jest, z przeproszeniem pańskiem, pijak organista.
Ten, gdy czasem ochota na niego napadła,
W karczmie zimową porą uczył abecadła;
Ale to nic niewarte.

STEFAN.

Ciekawym, dlaczego?

WIEŚNIAK.

Bo dziatwa wyuczona nie słucha starszego,
Myśli, że wszyscy głupi, że wszyscy prostacy,
Czytać się nie nauczy, a odwyknie pracy.
Zresztą, dobrze zważywszy, głupstwo to czytanie:
Chłop, choćby umiał czytać, księdzem nie zostanie,
Urzędnikiem nie będzie, dziedzictwa nie kupi;
A czy jeden piśmienny, z przeproszeniem, głupi?
Rolnik niech umie orać.

STEFAN (do siebie).

Serce się rozrywa!
Jaka satyra ostra! jaka sprawiedliwa!
I sprostuj tu u ludu wypaczone drogi,
Rzuć kamień na ciemnotę lub na złe nałogi!
Straszna rzecz!

(Do wieśniaka):

No, a teraz, mój kochany wójcie,
Mówcie jak na spowiedzi — o nic się nie bójcie:
Czy dobre wasze życie? czy raczej mieć insze?
Czy lepsza dla wieśniaka pańszczyzna lub czynsze?

WIEŚNIAK.

Widzi wielmożny panicz... trzeba ruszyć głową.
Dobre i to i owo, złe i to i owo...
Czynsz, byle sprawiedliwy, to każdy go woli;
Lecz jaka sprawiedliwość na nierównej roli?
Jeden ma same piaski, drugi same gleje,
Jednemu grunt wysuszy, drugiemu zaleje,
A czynsze jednakowe. Gdyby pan poznawał
Każdy szmatek łąk naszych, każdy gruntu kawał,
Byłaby sprawiedliwość, pracują czy płacą.
Są bogaci, ubodzy, dobrzy i ladaco;
A bez dozoru wójta, pańskiej zapomogi,
Byłby jeszcze uboższym, kto dzisiaj ubogi;
Albo wieśniak leniwy, niepoczciwej duszy,
Spustoszy kawał gruntu i sam w świat wyruszy.

STEFAN.

A jakaż na to rada?

WIEŚNIAK.

Na to trudna rada.
Lepiej poznać i ludzi, i grunta wypada.
Lat dziesięć będąc wójtem, wiem, że w naszej włości
Nie trzeba pobłażania, lecz sprawiedliwości:
Wymagać od nas pracy, dać nam dosyć chleba,
A gdzie warto pokarać, to i karać trzeba;
A zresztą, przebacz panie, że wieśniak pobredzi:
Częściej panom i chłopom chodzić do spowiedzi.

STEFAN.

Dzięki ci, dobry wójcie! teraz to już mogę
Zrozumieć mego celu pożyteczną drogę.
Rozpatrzę i zrozumiem z blizka i z daleka
Każdy morg naszej ziemi, każde serce człeka;
Gdzie przyjdzie świadczyć łaskę, wyświadczę ją szcze-
Gdzie idzie sprawiedliwość, ściśle ją wymierzę; [rze,
Przyłożę bratniej ręki — a wtedy, mój bracie,
Korzyści oświecenia i swobód poznacie,
I odrodzi się w Bogu gromada wioskowa.

WIEŚNIAK (do siebie rozrzewniony).

Jakie to złote serce!

STEFAN (do siebie).

Jaka mądra głowa!

(Głośno).

Chcę za twoją poradą iść dalej a dalej.

(Ściska go).

WIEŚNIAK (cofa się z pokorą).

Jam nie godzien tej łaski.

SŁUŻĄCY (wchodząc).

Goście przyjechali.

SCENA DRUGA.

PODKOMORZY, ANNA wchodzą — potem SĘDZINA, SĘDZIA, STEFAN. (Wieśniak cofa się cichaczem).

SĘDZINA (wychodząc naprzeciw gości).

Jak łaskaw podkomorzy, że o nas pamięta!

PODKOMORZY (z gracyą całując jej rękę).

A mości dobrodziejko! to powinność święta,
Obowiązek... powinność... prawdziwe rozkosze...

(Przedstawia Annę):

A to jest moja córka — przypomnieć ją proszę.

SĘDZINA (ściskając Annę).

O! pamiętam, pamiętam, chociaż jeszcze małą.
A jakże to urosło! jakże wyładniało!
Ci rosną, ci starzeją, to już kolej taka.

(Przedstawia Stefana):

Mój syn Stefan.

PODKOMORZY.

Pamiętam, pamiętam chłopaka.
Jak wyrósł! jak wypiękniał w naukowej pracy!

(Podczas następnego powitania Stefan i Anna podają sobie ręce i rozmawiają z cicha w głębi sceny).

SĘDZIA (wbiegając ściska podkomorzego).

Kopę lat, panie Janie!

PODKOMORZY.

Och! panie Serwacy,
Kopę lat z procentami, a może i dłużej!

SĘDZIA.

Jakże zdrowie?

PODKOMORZY.

Jak zdrowie?

SĘDZIA.

Pomalutku służy.

PODKOMORZY.

A ze mną źle, mój sędzio. Gdy cierpieć się zdarzy
Ty wiesz, że się nie pieszczę, nie dbam o lekarzy;

Ale tu gorzej jeszcze: bo moja obora,
Czy uważasz, mój sędzio? na księgosusz chora.
Krowy nie dają mleka: pomału, pomału,
Na nich ginie mój prawny procent z kapitału.
Dziesięć od sta na miesiąc, czyż nie słuszna skala?
Tymczasem jedno bydlę z nóg mi się obala,
Drugie nie daje mleka, a innym na leki
Muszę jeszcze kupować lekarstwa z apteki,
Tak, że cała obora, co niemało warta,
Daje cztery procenta, lub czasem półczwarta.

SĘDZIA.

Tak... księgosusz... księgosusz... zaraza ze Wschodu.
Lękać się gorszych rzeczy mam wiele powodu:
Bo na wiosnę, gdy wojsko poruszać się zacznie,
To nam dżumy, cholery naniesie nieznacznie.
Pamiętasz, we trzydziestym...

PODKOMORZY.

A któż nie pamięta?
Lecz na cóż ten ruch wojska?

SĘDZIA.

Wojna rozpoczęta!
Nic nie wiesz... Hiszpan, Francuz i sułtan już w lidze,
Politykę angielską, jak na doni, widzę;
Włosi zburzyli Alger, — a Ibrahim basza
Niby to nie uważa, niby nie przestrasza,
Ale ma dobre oczy, krzywd nie zapomina;
A Gibraltar, mospanie, to dobra zwierzyna,
O! dobra! jej nie sposób skryć w torbę borsuczą.

(Z cicha):

A u nas incognito Persowie się włóczą;
Spytaj Żydków.

(Podaje mu gazetę).

Przeczytaj, pokombinuj zdrowo.

PODKOMORZY (niedbale przerzucając gazetę).

Och, stary zapaleńcze z przewróconą głową!
Wojna... kto dzisiaj wojnę wypowiadać pocznie?

Świat praktyczny: narody poznały widocznie,
Że wojna to zabytek dawniejszego szału,
Procentu nie wypłaci, bierze z kapitału,
Bierze ręce od pracy, bierze grosz z skarbony, —
Wygrał, przegrał, a strata dla obojej strony.

SĘDZIA.

A równowaga świata?

PODKOMORZY.

Właśnie równowaga:
Każdy, myśląc o sobie, drugim dopomaga;
A handel, a rolnictwo, a przemysł, a praca,
Każdy kraj swój kapitał najszparciej obraca,
A gdy obraca szybko, od sta bierze trzysta, —
To już i kraj ościenny koniecznie skorzysta.
Braterstwo, które głoszą rozmarzone głowy,
To jest prosty, mój sędzio, interes handlowy.
Polityka w tej mierze proste ma pochopy,
By procentować wspólne siły Europy.

SĘDZIA.

Gadasz, jak znasz, sąsiedzie... handel, wielkie święto!
(Tryumfalnie):
A w Marokku już porty handlowe zamknięto,
Anglik już się pokłócił z tamtym wielkorządcą,
Włosi Alger zdobyli...

PODKOMORZY.

Ach! jak tu gorąco!
Wyjdziem sobie na ganek... bo to czasu strata.
Trzeba dobrze używać choć krótkiego lata.
Tam chłodniej pod drzewami... brzydzę się upałem;
I twojej gospodarki dawno nie widziałem,
A ty wiesz, ja to lubię... to moje zadanie.
Idźmy, panie Serwacy.

SĘDZIA.

Idźmy, panie Janie!

(Kłaniają się ceremonialnie we drzwiach i odchodzą).

PODKOMORZY.

Padam do nóg sąsiadki!

SĘDZINA.

Idźcie państwo sobie,
A ja skromny tymczasem podwieczorek zrobię.

(Odchodzi innemi drzwiami).

SCENA TRZECIA.

STEFAN i ANNA.

STEFAN.

Anno!

ANNA.

Panie Stefanie!

STEFAN.

Ja jak we śnie roję,
Sam nie mogę uwierzyć w własne szczęście moje!
Gdym sądził, że na długo z sobą się rozstaniem,
Gdy mi dom rodzicielski stawał się wygnaniem,
Kiedym nie śmiał do ciebie pisać bez twej woli,
Gdym z tęsknoty po tobie usychał powoli, —
Wczora najniespodzianiej powiada mi matka,
Żeś ty tutaj przybyła, żeś nasza sąsiadka,
A dzisiaj ciebie widzę, dziś z ust twoich słyszę,
Że miłe twemu sercu wioskowe zacisze.
Gdy znikła twej zmienności dręcząca obawa,
Kiedy przestałem wątpić...

ANNA.

Bo nie miałeś prawa.
Za cóż krzywdzisz niewiarą?... Stefanie, Stefanie!
Od czasu, kiedyś postrzegł moje przywiązanie,
Od czasu, kiedyś wyznał, że kochasz wzajemnie,
Czyż miałeś kiedy powód niekontent być ze mnie?
Czyż widziałeś, ażeby ktokolwiek z młodzieży
Choć chwilkę zajął serce, co tobie należy?
Powiedz...

STEFAN.

Tak... lecz odległość, ale czas niemały
Ostudza w sercu kobiet najtliwsze zapały.
Tyś piękna — mogłaś znaleźć wielbicieli krocie;
Tyś kobieta — więc mogłaś zmienić się w istocie.
Opuszczała mię wiara i męska odwaga.

ANNA.

Czas i przestrzeń prawdziwe przywiązanie wzmaga.
Gdyśmy razem, to czasem i fraszka oziębi,
Nie czujemy wzajemnie całej uczuć głębi,
I w kochanej istocie, choć się szczerze kocha,
Nawet i wady jakiej znajdujemy trocha.
Lecz straciwszy... straciwszy... to zaraz w rozpaczy
Cały ogrom tej straty smutno się zobaczy;
A świat, niegdyś tak piękny, najmilsza zabawa,
Czemś się takiem bezbarwnem, takiem nudnem stawa,
Że chciałoby się uciec i odwrócić oczy.
A tutaj tyle wspomnień dawniejszych otoczy,
Głowę takie bolesne porównania gniotą!
Żyło się dwojgiem życia — dziś jestem sierotą!

STEFAN.

Zawsze jedna... ta sama, szlachetna i wzniosła,
Zawsze sercem do dawnych pamiątek przyrosła...
Tęskniłaś...

ANNA.

Wy mężczyźni macie insze życie:
Wy pracą próżnię życia zająć potraficie,
To umysł zatrudniony, to ruch krzepi ciało;
A kobieta w tęsknocie zawsze jest schorzałą.
Powolna ręczna praca umysłu nie trudzi;
Chcę się książką rozmarzyć, i tam spotkam ludzi,
Jednych nudnych, jak żywi egoiści drobni,
Drudzy zda się, że do nas z zapału podobni,
Ale oni szczęśliwi, oni byli razem, —
I znowu własnych wspomnień łudzim się obrazem.
Książka nam targa serce, ale nie nasyca.

Szczęśliwsza wasza praca myśl urozmaica.
Pracowałeś, Stefanie?

STEFAN.

O, tu pracy wiele!
Tu mam możność rozwinąć moje wyższe cele.
Ojciec oddał mi rządy, rządy starej daty:
Wieśniak ubogi duchem, choć dosyć bogaty;
Domy ich opuszczone, stodoły bez dachu,
Przywykł nędzarz do dawnej groźby i postrachu;
Odurzony, nie czuje, gdy ma kawał chleba,
Że może wyjść z niedoli, że wyjść z niej potrzeba.

ANNA.

Tak u nas prawie wszędzie... biedny stan nędzarza.

STEFAN.

A co mię bardziej jeszcze smuci, upokarza,
Że muszę tylko zwolna ład wyniszczać stary.
Tu potrzeba zachęty, potrzeba ofiary,
Groszem, dobrym przykładem trzymać ich na wodzy;
A my nie mamy grosza, my bardzo ubodzy,
Interesa zwikłane dźwigać się nie mogą,
Serce każe iść inną, prawo inną drogą;
A ja tak mało umiem, bo tylko z idei,
I potrzeb mego ludu i prawych kolei.

ANNA.

Biedny, biedny Stefanie, jak ci tu mozolnie!
Przyjeżdżaj często, często! radzić będziem wspólnie:
Dwie głowy i dwa serca, gdy się w radę złożą,
Może coś obmyślimy za pomocą Bożą;
A przynajmniej na sercu będzie nam weselej,
Kiedy się każda przykrość na dwoje rozdzieli.

STEFAN (biorąc jej rękę).

O! tegom się spodziewał po twej pięknej duszy.
Czuję dziś, że dłoń moja i skały pokruszy.
Wezmę z twego natchnienia czyny niezachwiane,

I ojcu, i ludowi pomocnym się stanę.
Natchnienia mi potrzeba — tyś natchnieniem mojem.

GŁOS PODKOMORZEGO (za sceną).

Mówisz sędzio za wojną, a ja za pokojem.

GŁOS SĘDZIEGO.

Wojna, koniecznie wojna wybuchnie na lato.

GŁOS PODKOMORZEGO.

Procent od sta tysięcy wyliczyłbym za to;
Ale wojny nie będzie: godzą się narody,
Światu potrzeba handlu, a handlowi zgody,
A koleje żelazne...

GŁOS SĘDZIEGO.

A w Algerze klęski.

GŁOS PODKOMORZEGO.

A okręty parowe...

GŁOS SĘDZIEGO.

A traktat wiedeński!

(Wchodzą zaperzeni).

SCENA CZWARTA.

CIŻ, oraz PODKOMORZY i SĘDZIA.

PODKOMORZY.

A przymierze handlowe!

SĘDZIA.

Cóż Kuryer ogłasza?

PODKOMORZY.

Anglicy cła już znieśli!

SĘDZIA.

A Ibrahim basza?

PODKOMORZY.

A na giełdzie paryskiej procent się podnosi
Wskutek wieści z Algeru...

SĘDZIA (z gniewem).

Bo w Algerze Włosi!

PODKOMORZY (z gniewem).

Bałamuctwo!

SĘDZIA.

Nieprawda, nieprawda, albowiem...

PODKOMORZY.

Ja za niegrzeczne słowa z procentem odpowiem.
Nieprawda!... kłamstw żydowskich nie noszę w zapasie.

SĘDZIA.

Lecz nie znasz się na rzeczy.

PODKOMORZY.

A jegomość zna się!

SĘDZIA (ukazując podkomorzego).

Głęboki mi polityk!

PODKOMORZY (ukazując sędziego).

Uczeń Metternicha!

SCENA PIĄTA.

CIŻ i SĘDZINA (za nią wnoszą podwieczorek).

SĘDZINA.

Panowie! zamiast wojny lepsza zgoda cicha.
A czy się ludzie kochać, czy bić będą srodze,
Nie zawadzi malutka przekąska po drodze.

PODKOMORZY (opamiętywa się).

Sąsiadko dobrodziejko, o! to tylko żarty;
Ależ mężulek pani, jak kozieł uparty,
Chce koniecznie wojować.

SĘDZIA (opamiętywa się).

Chcę prawdy i kwita.

PODKOMORZY.

Prawdę znajdziem w kielichu... przednia okowita!
Nalej waszmość i przepij... to gawęda pusta.

SĘDZIA (nalewa i przepija z uśmiechem).

W nieomylne rączęta!

PODKOMORZY (z ukłonem).

W niezawodne usta!

(Pije).

(Do Stefana, zajadając):

Bardzo, bardzo winszuję, panie kawalerze!
Wybornie procentuje, kto tak rzeczy bierze.
Niedawno gospodarzysz na ojcowskim dworze,
A już się znacznych odmian nie widzieć nie może.
Dachy ponaprawiane, które dawniej cieką,
Uprawa waszych gruntów dziś lepsza daleko.
Pracuj na swoim gruncie, pracuj na swej strzesie,
A ziemia niezawodny procent ci przyniesie.
Prawda, że nie tak prędko kwiat wyda nasiona:
Fortuna wcale dobra, ale opuszczona,
Bo mój szanowny sąsiad, niech mi rzec pozwoli,
Dobry do bitwy z Turkiem, ale zły do roli.
Lecz dopomagać ojcu obowiązkiem świętym —
Młodość jest kapitałem, a czyn jest procentem...
Wasz Stefan z moją Anną znajomi od dawna.
Wczoraj mi powiedziała.

SĘDZINA.

Wczoraj nam powiedział.

PODKOMORZY.

Jak to zbiegną się ludzie, mimo miejsca przedział!...
Ale wiecie co, dzieci? tracić czasu szkoda:
Na dworze taka jasna i piękna pogoda,
Wy pewno coś powiedzieć sobie mieć musicie
O dawniejszych znajomych, o wspólnym pobycie, —
Przejdźcie się po ogrodzie — a my tutaj starzy;
U nas o innych rzeczach zwyczajnie się gwarzy,
Mam ja tu z panem sędzią interesa duże.

ANNA.

Dobrze, ojcze, pójdziemy.

STEFAN.

Chętnie pani służę.

(Odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

SĘDZINA, SĘDZIA i PODKOMORZY.

PODKOMORZY (wstaje i zamyka drzwi tajemniczo).

Sąsiedzi dobrodzieje! zdziwicie się może,
Gdy wam niespodziewanie myśl moją otworzę;
U mnie tak: co się myśli, mówi się i czyni.
Bo myśl niedokonana, to martwy grosz w skrzyni,
Kapitał bez procentu, dobra bez intraty,
Co chwila narażone na zupełne straty.
Więc prosto i do rzeczy... Wszak prawda, sąsiedzie,
Że ci się w Pustopolu nieszczególnie wiedzie?

SĘDZIA.

Ej, prawda!... lecz cóż dalej?

PODKOMORZY.

Grunt i dobry może,
Lecz strasznie zapuszczony, nie rodziło zboże.

SĘDZIA.

Tak, nie rodziło zboże — to mi każdy przyzna;
Lecz wiosną będzie wojna, a w wojnie drożyzna.

PODKOMORZY.

Co tam wojna czy pokój! myśl, jak się podoba,
Ale starość nie radość — czujemy to oba.

SĘDZIA.

Smutna prawda... lecz starość idzie swoją drogą.

PODKOMORZY.

A jużci na fortunie i dłużki być mogą?

SĘDZIA (obrażony).

Proszę się nie frasować.

PODKOMORZY.

Nie udawaj zucha!
A Żyd ciebie okrada, chłop ciebie nie słucha;
Źle, bracie.. krucha sprawa... zaginiecie w nędzy.

SĘDZIA.

Mam syna, niech pracuje...

PODKOMORZY.

Potrzeba pieniędzy.
Potrzeba doświadczenia, w działaniu swobody,
A bez tego wszystkiego zmarnuje się młody.
Zostawisz mu fortunę — nie gniewaj się, proszę —
Co będzie jedno z drugiem niewarta trzy grosze.
Szkoda czasu, młodości... Widziałem, widziałem:
Onby sobie dał radę z jakim kapitałem,
Włość go poczęła kochać, a to wiele znaczy,
Inszy wiek, dziś i z chłopem trzeba być inaczej.
Ja sam do filantropów wielkich nie należę,
A jednak pielęgnuję te idee świeże.
Mój poddany mię kocha — mądrość niedaleka:
Daj krówce więcej siana, będzie więcej mleka.
Nasz chłop, to jest kapitał, procent — jego praca;
Niechże mi się największym procentem wypłaca.
Tu wszystkie środki dobre — niech świat co chce głosi:
Chłop chce wódki — daj wódki, to za trzech ci skosi:
Żyd nie w tem zły, że chłopa rozpaja, jak zwierzę,
Ale że nasze zyski sam do siebie bierze.
Na co ma naszą własność ujarzmiać pomału?
Ja nie mam Żyda w karczmie, bo nie chcę podziału.

SĘDZIA.

Tak... trochę masz słuszności; lecz dokąd to wiedzie?
Prawda, żem zubożony...

PODKOMORZY.

Czekaj, mój sąsiedzie!
Nie trzeba załamywać rąk bardzo żałośnie.
Twój kapitał niszczeje, ale procent rośnie:
Masz syna, co pracować i chciałby, i może,
Masz wioskę, kawał lasu i niezgorsze zboże,
Masz więc przyszłość przed sobą — to już znaczy wiele;
Tylko nie masz pieniędzy... ja ci ich udzielę.

SĘDZIA (zrywa się radośnie).

Ty dałbyś nam pieniędzy?... panie podkomorzy!

PODKOMORZY.

Nie daję bez procentu — procent się ułoży.
Zyskać na każdej rzeczy to moje systema;
Zysk moralny, pieniężny — tu różnicy niema.
A gdybym własnych zysków nie miał na uwadze,
Pewniebym nie poradził, co teraz wam radzę,
Jestem stary — a syna nie dały mi Nieba;
Mam jeszcze bystre oko, lecz mi ręki trzeba.
Gospodarstwo upada, co rok procent znika...
Och! trzeba mi koniecznie, trzeba pomocnika.
Wasz syn Stefan, to chłopak z rozumem, z zapałem;
Takiego właśnie dostać pomocnika chciałem,
Co to ręce młodzieńcze, dusza nieskażona,
Co ja głową pomyślę, on czynem wykona.
Lecz cóż? kiedy mu powiem: Mój panie Stefanie,
Dam ci stół i usługę, światło i mieszkanie,
Dam ci rocznej zapłaty na tyle i tyle, —
To pewno, że w rachubach moich się pomylę.
On powie: Mnie to na co? i wzgardzi ofiarą;
Ja mam starego ojca, ja mam matkę starą...

(Kłania się sędzinie).

Przepraszam cię, sąsiadko... Lecz niechaj pamięta,
Że w kapitale życia wzrastają procenta.
Kobiety zawsze młode i zawsze są hoże;
Lecz Stefan mnie na przekor powiedzieć tak może.
A zresztą miałby słuszność: poco drugim służyć?
Lepiej w domu swej pracy i zapału użyć,
Lepiej na własnej miedzy choćby tracić siły,
Niźli jeść chleb służebny, nikomu niemiły.
A zresztą, gdyby moje i podzielił zdania,
To... możeby...

(Zakłopotany).

korzystał z mego zaufania.

SĘDZIA.

Co! onby cię okradał?!

PODKOMORZY.

Ale mówmy szczerze:
Wszyscy jesteśmy ludzie — sam sobie nie wierzę.
Zresztą, drodzy sąsiedzi, po długiej rozwadze,
Widzę, że ze Stefanem już nic nie poradzę...
Wtem, patrzcie co za radość! jak mi było słodko!
Wraca Anna, co w mieście bawiła się z ciotką,
Mówi o swych znajomych, i jakoś niechcąca
Imię syna waszego przypadkiem natrąca.
Panienka pokraśniała — na razie-m ją schwytał.
Nie wiem, czy to jest procent, czy to jest kapitał,
Ale coś jest... z gawędy dośledziłem trocha,
Że już się nasza dziatwa nie na żarty kocha.
Kapitał! myślę sobie... chwytajmy co prędzej!
Mnie trzeba pomocnika, sędziemu pieniędzy,
Skombinujem te rzeczy; więc tutaj dziś jadę.
Widzę, chłopak, jak może, daje sobie radę,
Dwór naprawił, grunt usiał, dał rów aż do lasu,
Coś za wojną turecką dojrzeć nie miał czasu;
Włość do siebie przywiązał — to chwalę, to chwalę;
A cóż gdyby na większą gospodarzył skalę?
Rzucił myśli postępu, co w głowie się roją?
Gdyby moją fortunkę uważał za swoją?
To i zdoła pomnożyć mój dochód ubogi,
I fortunkę ojcowską postawi na nogi.
Trzeba tylko dać czasu rok, drugi, czy trzeci...
Wiesz co, panie Serwacy? — żeńmy nasze dzieci.

SĘDZIA I SĘDZINA.

Co mówisz, podkomorzy?

PODKOMORZY.

Sprocentują skoro;
A tam po naszej śmierci niech wszystko zabiorą.
Lecz dopókiśmy żywi, dopókiśmy zdrowi,
Z rąk niech patrzą, bo wszystko przehulać gotowi.
(Do sędziego):
Cóż? zgoda?... Nie poglądaj taką długą twarzą.

SĘDZIA (zakłopotany).

A jak wojna na wiosnę — do wojska pójść każą.

PODKOMORZY.

Znów wojna! wszak mówiłem: dziś być niepowinna.

SĘDZINA.

A jeżeli ich miłość, to tylko dziecinna?

PODKOMORZY.

Ech! co tam psuć interes chwilową gawędą!
Jak my rodzice każem, to kochać się będą.
Tu zobopólna korzyść, tu spółka handlowa:
Jego młodość i ręce, a mój grosz i głowa.
Pókim żyw, nic mu nie dam — ma sam kawał chleba,
Lubię grosz, i mnie grosza na obrót potrzeba,
Tylko mu coś pożyczę, choćby z serca bolem, —
Naturalnie, zaręczysz twojem Pustopolem;
Procent wypłaci z góry, — jak zajmie się szczerze,
Sam z wioski ulepszonej procenta wybierze.
A po śmierci, gdy wszystko odziedziczy w spadku,
Będzie miał dwa majątki i żonę w dodatku.
Cóż, mój sędzio, czy zgoda? Dobijmy rzecz naszą,
A potem sobie wojuj z Ibrahimem baszą.

SĘDZINA (z czułością).

Szanowny podkomorzy, patrz, to łzy pociechy.
Przyjeżdżasz świadczyć łaskę do ubogiej strzechy,
Oddajesz Stefanowi ukochane dziecię,
Rozszerzasz jego pole działania na świecie.
Lecz serca się nie ważą na handlowej szali, —
Kto wie, czy się doprawdy oni pokochali?
Może to urojenie, może nam się zdaje:
Trzeba przeznać ich serca, skłonności, zwyczaje.
Jeśli oni, szanując nasze lata stare,
Zechcą spełnić życzenia tylko przez ofiarę
I dla naszych urojeń zatruć przyszłą dolę, —
Czyńcie sobie, co chcecie, a ja nie pozwolę,
I pomimo warunki sąsiada korzystne,
Raczej prostą wieśniaczkę, jak córkę, uścisnę.

PODKOMORZY.

Sąsiadko dobrodziejko! więc jakaż tu rada?

SĘDZINA.

Nic nie mówić, a śledzić ich serca wypada.
Wszakże to niedaleko, kochany sąsiedzie:
To wy tu przyjedziecie, to on tam przyjedzie;
Przypatrzy się, oceni jedna strona drugą,
Trzeba nieco poczekać.

PODKOMORZY.

Byleby niedługo;
Szkoda czasu na zwłoki — bo czas, to rzecz święta:
Praca, młodość i miłość niech dają procenta.

(Do sędziego):

No Sędzio, cóż powiadasz o naszym zamiarze?

SĘDZIA.

To rzecz dyplomatyczna — ściślej ją rozważę.
Po najlepszych traktatach zwykła bywać sprzeczka;
Ot naprzykład...

(Słychać pukanie do drzwi).

A kto tam?

(Otwiera).

SCENA SIÓDMA.

CIŻ, STEFAN z listem i ANNA.

SĘDZIA.

Posłaniec z miasteczka?
Są gazety?

STEFAN.

Nie przywiózł.

SĘDZIA.

To skaranie Boże!
Anglicy dotąd weszli na Czerwone morze,
Włoskie działa już pewno grzmocą na Saharze,
A redaktor gazety miesiąc czekać każe.
Dowiedzieć się aż w miesiąc — piękna mi nowina!

STEFAN.

Ale pan Kałamarski prosi i zaklina,
Abyś, ojcze, przyjeżdżał w jak najprędszym czasie.

SĘDZIA (zmieszany, do siebie).

Zła sprawa!... dług bankowy... jakoś zrobić da się.

(Do Stefana):

Odpisz mu, że przyjadę...

(Do siebie):

Hm!... sprawa niemiła...

(Do Stefana):

A zapytaj, dlaczego gazet nie przysyła?

PODKOMORZY.

Kiedyż jedziesz?

SĘDZIA.

Pojutrze.

PODKOMORZY.

A i ja tam będę.
Pamiętaj, odnowimy dzisiejszą gawędę.
Teraz żegnam, sąsiadów! niedługie rozstanie.
Bądź zdrów, panie Serwacy!

SĘDZIA.

Bądź zdrów, panie Janie.

AKT TRZECI.

Wnętrze oberży w miasteczku; drzwi na prawo i na lewo oznaczone numerami. W głębi gospodarz woła w okno za kulisę.

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ, potem PODKOMORZY, ANNA i SŁUŻĄCY.

GOSPODARZ.

Proszę jasnego pana, niech pan tu zajedzie:
Jest piwo, owies, siano, obwarzanki, śledzie,
Cukier, kawa, herbata, jest mleko, są sery,

W całem mieście pan takiej nie znajdziesz kwatery,
Proszę jasnego pana!

(Wybiega i wprowadza podkomorzego i Annę, za nimi wnoszą paki podróżne).

PODKOMORZY.

Pewnie wszystko drogo.

(Idzie do drzwi na prawo).

GOSPODARZ.

Nie, ten numer zajęty. Tu niemasz nikogo.

(Wskazuje na lewo):

Tu stanął z Pustopola pan sędzia Nowina.
Daj Boże jemu zdrowie — nas nie zapomina.
Bo zawsze tu zajeżdża każdy pan wielmożny,
Pan marszałek, pan prezes, pan deputat drożny,
Pan Kociuba, podsędek z Wysokiego Sioła...

PODKOMORZY.

A jestże w domu sędzia?

GOSPODARZ.

Wyszedł do kościoła;
Jest tylko syn sędziego, co się Stefan zowie, —
Jaki to dobry panicz! daj mu Boże zdrowie!

(Do służącego):

Ot tutaj, mój kochany, ot tu paki wnoście.
Trochę nie zamieciono — wyjechali goście —
Ale to nic... ot tutaj.

PODKOMORZY (patrzy na zegarek).

Godzina dwunasta.
Rozgość się, moja Anno, ja idę do miasta.
Pilnuję pana Szmula — zguba na człowieka!
Kapitału nie płaci i procenta zwleka.

(Wychodzi przez głąb sceny. Anna, za nią służący idą do drzwi na prawo).

GOSPODARZ (do siebie).

Dwóch ludzi, cztery konie... o! to nie hołota!
Lubię, gdy takie państwo zajeżdża przed wrota:

Można coś utargować, liczyć na intratę,
Za owies, siano, mleko, cukier i herbatę.
Tylko, że ten pan Leszczyc skąpy nadzwyczajnie:
Ma rozum... Pójdę teraz pokazać im stajnie.

(Odchodzi).

SCENA DRUGA.

STEFAN, ANNA (wbiegają każde z przeciwnych drzwi).

STEFAN (z radością).

Czy wiesz?

ANNA.

Czy wiesz Stefanie? niespodzianka miła:
Powiadał mi mój ojciec...

STEFAN.

Mnie matka mówiła.

ANNA.

Lecz cicho...

STEFAN.

Pod sekretem.

ANNA.

Niby to nie wiemy...

STEFAN.

Oni chcą nas połączyć... dla jakiejś systemy,
Dla jakichś tam widoków...

ANNA.

Klękam przed rozkazem.
To najlepsze systema, że będziemy razem.
Cieszysz się?

STEFAN.

A ty, Anno?

ANNA.

Czyż pytać potrzeba?
Nie śmiałem nawet o to modlić się do Nieba,
Nie śmiałem się spodziewać, by rodzice starzy,

Aby ojciec, co ciągle o majątku marzy,
Zechciał zmienić o tobie swe zdanie surowe...
A widzisz, co to znaczy mieć serce i głowę,
Takie, jak ty posiadasz — to każdego wzruszy.

STEFAN.

Dlatego, żem twej pięknej podobał się duszy,
To myślisz, że mój widok wszystkich już pokona?
Mam serce, sam to czuję — lecz głowa szalona,
Przed chwilą mi krążyła od licznych kłopotów,
Teraz od zbytku szczęścia umieraćbym gotów.
Chwieje się słaba głowa przy każdej odmianie,
Krew mi do niej uderza...

ANNA.

To źle, mój Stefanie!
Na nowem stanowisku trzeba krew mieć chłodną,
Serce wolne od wzruszeń, a głowę swobodną,
Nie wpadać w uniesienia, te zawsze dziwaczne...
Suchaj!.. jak będę twoją, to zrzędzić ci zacznę.
Siadaj! zagraj przede mną twoich reform rolę.
Dziś twój ojciec na ciebie spuścił Pustopole,
A wkrótce... wraz po ślubie... naszych Zajezierzy
Mój ojciec pełnomocny zarząd ci powierzy.
Będziesz u nas najpierwszą parafialną głową,
Stefana jasnym panem w miasteczku nazową;
To mnie cieszy, to w uchu jakoś brzęczy ładnie, —
A tytuł jasnej pani wszak i na mnie spadnie.
Więc od czego poczynasz twoją jasną władzę?

STEFAN.

Najprzód po wszystkich wioskach szkółki zaprowadzę;
Bo młodzież, która nowych czasów się doczeka,
Co ze stanu niewoli ma przejść na człowieka,
Więcej powinna umieć.

ANNA.

To dobrze, a potem?

STEFAN.

Poczną szczerzej pracować nad ich sercem złotem,
Wytępiać złe nałogi, nie przez groźbę kary,
Ale drogą miłości, ufności i wiary;
Tak — wiary, droga Anno, bo lud u nas wierzy.

ANNA.

A mnie pozwól, bym dziatwę uczyła pacierzy.
Sprowadzę im obrazki, zbiorę me słuchacze,
I każdego obrazka treść im wytłomaczę;
Czytać im będę książki, dla ludu pisane,
Naszemu organiście pomocną się stanę...
Cóż potem?

STEFAN.

O! szerokie, szerokie me plany.
Twój ojciec, przemysłowym zabiegom oddany,
Kapitały i procent dopatrując wszędzie,
Ma kmiotka nie za człeka, ale za narzędzie.
I mój ojciec tak samo, choć ceni człowieka,
Na oświatę ludową straszliwie narzeka.
Słuchaj, aż ci bolesno! mówią jak bluźnierce;
Lecz myślisz, droga Anno, że to przez złe serce?
Nie... lecz drobiazgowemi zajęci rachuby,
Moralnej i pieniężnej lękają się zguby;
Nie widzą, że chłop większe przyniesie im plony,
Gdy będzie z niewolnika sąsiad oświecony.

(Podczas tej rozmowy wchodzą sędzia i podkomorzy. Podkomorzy wskazuje ze śmiechem zadowolenia młodą parę, daje znak sędziemu, i obaj się rozchodzą, każdy do swej izby).

ANNA.

A jakże ich przekonasz? jak walczyć z narowem?

STEFAN.

Powoli a nieznacznie, przykładem i słowem.
Tylko przez wolną pracę w całej Europie
Stanęło dziś rolnictwo na olbrzymiej stopie;
Tylko z użyciem machin i tylko z oświatą
Można dziś niwę naszą uczynić bogatą:

Ulżywszy rękom ludzkim przez nowe narzędzie,
Do innych prac ziemiańskich więcej rąk przybędzie;
Gdy osuszą się bagna, ulepszą pastwiska,
To na skarbie wioskowym — na trzodzie się zyska.
Wół, towarzysz rolnika, koń, jego ozdoba,
Co dziś zniedołężniały, pokarlały oba,
Przy większej troskliwości, przy obfitszej paszy,
Trzykroć większe ciężary dźwignąć się nie straszy.
Lecz niewolnik w pustyni, w pocie swego czoła,
Potrzeby tej odmiany i uczuć nie zdoła.
Pan jego, a on trzody swojej nie oszczędza, —
Tak idzie w pokolenia ciemnota i nędza.

ANNA.

Jakże temu zaradzisz?

STEFAN.

Chcąc życie dać insze,
Opiszę kilku włościan w przyzwoite czynsze,
Nie dam im zapomogi, lecz tylko swobodę,
I młodszych moich braci za rękę powiodę.
Wszczepię w serca moralność, czytać ich wyuczę,
Prawdziwego postępu do ręki dam klucze.
Gdy będą oświeceni, gdy będą bogaci,
Gdy pan to na nich zyska, co na innych traci,
Ukażę porównanie — niech sam ojciec przyzna:
Czy lepsza wolna praca, czy lepsza pańszczyzna?

ANNA.

O! jakże się ja wtedy szczęśliwą nazowę,
Gdy złożysz na me ramię spracowaną głowę,
Będziesz mi opowiadał każdy zamiar skryty,
Każdą myśl, co ci przyjdzie, każdy trud przebyty...

STEFAN (kładzie głowę na jej ramieniu i mówi dalej).

Każdą troskę, co spotkam, pełniąc me zadanie,
A która wtedy dla mnie troską być przestanie,
I znów opromienieją moje wielkie cele.

SCENA TRZECIA.

CIŻ, SĘDZIA (wybiega ze swej izby z gazetą w ręku), potem PODKOMORZY.

SĘDZIA.

Ratuj mię, panie Janie, bo w łeb sobie strzelę!

(Stefan i Anna cofają się przerażeni).

ANNA.

Co panu?

STEFAN.

Co ci ojcze?

SĘDZIA.

Panie podkomorzy!

PODKOMORZY (wybiega od siebie).

Co tam?

SĘDZIA.

Na, weź, przeczytaj, to cios na mnie Boży,
Nagły, niespodziewany... Czytam Kuryera,
Wszystko dobrze... widocznie na wojnę się zbiera:
Don Karlos w tarapatach — tylko mnie kłopota,
Że król Filip ministrem mianował Guizot'a;
Pamiętam w przeszłym roku krok jego zuchwalczy,
Lecz to fałsz, myślę sobie — Anglia go zwalczy.
Dalej... dwa włoskie statki skołatała burza,
Jeden już miał się nurzać, drugi się zanurza,
I wszystkoby zginęło na podwodnej skale,
Gdyby Turczyn pomocy nie dał im wspaniale.
Ho, ho, ho! myślę sobie — to już każdy widzi,
Że się Turcy z Włochami trzymają, jak Żydzi.
Znamy te allegorye, — my nie małe dziatki!
Więc skończyłem gazetę, a czytam dodatki.
Nic ważnego... podrady, sprzedaże, ukazy...
Aż tu na końcu czytam... czytam po dwa razy,
Przecieram sobie oczy — wzrok mię nie omyla,

(Czyta):

Ogłoszenie rządowe. Czwartego Apryla,
Na mocy polecenia z tej a z tej tam daty,

Będzie się wyprzedawał wskutek niewypłaty,
Za dług banku, podatek, za peny, za winy,
Majątek Pustopole sędziego Nowiny.
Masz... czytaj, gdy nie wierzysz... O święty Serwacy!
Gdyby Indye Wschodnie wzięli Austryacy,
Takbym się nie zadziwił!... intrygi widoczne...
I co ja teraz poczne?... co ja teraz poczne?!

PODKOMORZY (zimno).

Cóż to do mnie należy?... Dług to jest rzecz święta.
Skarb musi mieć kapitał i swoje procenta.
A czemuż nie płaciłeś?...

SĘDZIA.

Ha! bo trudne czasy!
Licząc, że będzie wojna, chowałem zapasy,
Te później kupił Szloma... kupił za część czwartą.

PODKOMORZY.

Bankrut... bankrut widoczny... mówić z nim niewarto.
Zadłużyć się skarbowi! nie zapłacić raty!
A jakież masz sposoby wybrnąć z tarapaty?

SĘDZIA.

Liczę na twoją pomoc...

PODKOMORZY.

Wyliczenie głupie!
Ja lepiej Pustopole sam dla siebie kupię,
Zalicytuję z młotka, nawet taniej może,
Kiedy dziesięć procentów na forsę wyłożę.
Choć to wprawdzie lichota — cała w bagnach leży.
Ale będzie przyległa do mych Zajezierzy.
Zakończy się przynajmniej spór, co nie ustawał,
O ten tam kawał łąki, o ten gruntu kawał.
Biegnę, lecę do miasta...

(Chce odchodzić).

SĘDZIA (zatrzymując go).

Sam wskazałeś drogę.

(Ukazuje nieznacznie Stefana i Annę).

Miałeś swoje projekta.

PODKOMORZY.

Nie mogę... nie mogę...
Dać córkę, dać majątek! proszę uniżenie!
Ja nigdy na niepewne pewnego nie zmienię.
Pustopole nie wasze! — w interesach zmiana;
A zresztą — moja córka nie kocha Stefana.

ANNA (podchodzi ku niemu).

Kocham go, drogi ojcze! Cios, co na nich spada,
Ja całem mojem życiem odwrócićbym rada.
Dopomóż... oni spłacą, wdzięczni ci bez granic.
Ale i moje szczęście czyż uważasz za nic?
Czyż mię wtrącisz do grobu, gdy mi szczęście świta?
Ratuj ich!...

PODKOMORZY.

Lecz nie mogę, nie mogę i kwita!
Twoje szczęście... jak każę, to zapomnisz o niem.
Jeszcze ludzie powiedzą, że to my ich gonim.
Nie lękaj się — przeszkodą nie bądź w interesie,
Kapitał twego serca procenta przyniesie.
Jest marszałkowicz Trębosz, jest syn Paliwody,
Jest podsędek Kociuba, choć nie bardzo młody,
Jest Alfred, co w Paryżu leczy się tyzanną, —
Nie bój się, moja córko, nie zostaniesz panną.
Wszakże wiesz, ja nie byłem za stadłem bogatem,
Stefan z głową czynniejszy, intratniejszy zatem,
Ja mu nic nie zaprzeczam — lecz dziś zmienne role:
Ja dziś mogę za bezcen kupić Pustopole.
Dług ich pewno nie wielki, ale go nie spłacą,
Wszak sami powiadają, że nie mają za co.
Sędzio! waszego długu, a wieleż tam, wiele?

SĘDZIA.

Cztery tysiące... złotych.

PODKOMORZY.

To są bagatele,
Tyle spłacę do skarbu, a przez forsy drogę,
Pustopole za bezcen zlicytować mogę.

ANNA.

Cztery tysiące złotych... więc w tak małej cenie
Leży cały ratunek, całe ocalenie!
A ty, ojcze, się wahasz dźwignąć ich z rozpaczy?
Wszak to fraszka dla ciebie, prawie nic nie znaczy,
Dla nich jest ocaleniem... zostanie ci dłużny.
Ja cię błagam!...

(Klęka).

STEFAN.

Nie, Anno, nie chcemy jałmużny.
Mogliśmy się odwołać do uczuć sąsiada,
Odmówił nam, jałmużny żebrać nie wypada.
Nie poniży nas nędza, jak nie olśnią blaski,
Nie prosimy o łaskę i nie przyjmiem łaski.

SCENA CZWARTA.

CIŻ i SĘDZINA (wchodzi nagle).

Wiem wszystko... dziś my biedni, niepodobna rada.
Lecz dzięki ci, mój synu, twój duch nie upada;
Z mocą ducha, wszystkiemu zaradzimy snadnie.
Po sprzedaży majątku reszta nam wypadnie,
Z tą resztą damy radę, weźmiemy dzierżawę,
Pójdziem na cudzym gruncie znosić prace krwawe,
Nie zginiemy, choć w dalsze przeniesiem się strony.

SĘDZIA (z rozrzewnieniem).

Opuszczę wiejski kościół, gdzie byłem ochrzcony,
Porzucę wiejski cmentarz, ach! cmentarz nieświeży,
Gdzie mój pradziad, gdzie dziad mój, gdzie mój ojciec leży,
Gdzie ja sam miałem leżeć; rzucę dach mej chaty,
Który sam zbudowałem przed trzydziestu laty,

Grusze, które szczepiłem, i stare jabłonie...
Lecz, panie podkomorzy, tobie się nie skłonię,
Nie poproszę o pieniądz, bez ciebie przeżyjem.
Bierz sobie Pustopole, a ja pójdę z kijem.

PODKOMORZY.

Sąsiadko dobrodziejko! kochany sąsiedzie!
Żal mi was całem sercem, że jesteście w biedzie;
Lecz ponieważ stałego nic niema na świecie,
I wy przy waszej wiosce zostać nie możecie.
Czyż wasze dobre serca gniewać się powinny,
Że ja kupię Pustopól raczej, niż kto inny?
Wszak ja wam nie wchodziłem i nie wchodzę w drogę,
Ale służyć pieniędzmi — dalipan nie mogę,
Nie mam; — miałem grosz jakiś, wyznaję wam święcie,
Ale to z każdym rokiem ginie na procencie,
Żaden mi nic oddaje, który się zadłuża.
Cztery tysiące złotych — ho! to suma duża.
Pożycz gdzie — zalicytuj, wszakże, według prawa,
Ty, sędzio, masz pierwszeństwo.

SĘDZIA.

Sąsiad się naigrawa . .
Któż mi dzisiaj pożyczy, gdy gruchnęło wszędzie,
Że fortunę mych przodków sprzedają w urzędzie,
Żem nie spełnił, co święty obowiązek wkłada,
Żem nie oddał synowi, com wziął od pradziada?

STEFAN.

Pracy mi nie zabraknie na społecznej niwie,
I sędziwych rodziców mym trudem przeżywię.
Tak... weźmiemy dzierżawę, pójdziem w obce strony,
Jest Bóg w Niebie...

SCENA PIĄTA.

CIŻ, oraz WÓJT i kilku WIEŚNIAKÓW z Pustopola.

WÓJT.

Niech będzie Jezus pochwalony!

SĘDZIA.

Na wieki wieków Amen... A czego wy chcecie?

WÓJT (zakłopotany).

Tak widzi pan wielmożny... różnie bywa w świecie...
Szczęścia... jak mówią ludzie... nie związać powrozem:
Dzisiaj człowiek na wozie, a jutro pod wozem.
Nikt na świecie nie zgadnie, jakie sądy Boże,
A nieszczęście każdemu przytrafić się może.

SĘDZIA.

Do czegoż ta przedmowa?

WÓJT.

Widzi pan wielmożny,
Chciałbym się o coś spytać... ale jestem trwożny,
Może pan się zagniewa, że się pytam o to...
Może ludzkie języki nie wiedzieć co plotą.

SĘDZIA.

Cóż przecię?...

WÓJT.

Otoż mówią, z przeproszeniem pana,
Że nasza podatkowa rata nie oddana,
Cośmy ją panu wnieśli z wiosny na początku,
Że jakiś dług bankowy ciąży na majątku,
Że... niech się pan nie gniewa...
(Do drugiego):
No, kończże, sąsiedzie!

DRUGI WIEŚNIAK.

Że majątek sprzedadzą... a pan stąd odejdzie.

SĘDZIA (z boleścią do obecnych).

Już i im moja smutna niedola wiadoma!
(Do wieśniaków):
Któż wam o tem powiadał?

WIEŚNIACY.

Powiadał nam Szloma;
On to nas zawiadomił, powróciwszy z miasta,
I wiele tego długu, i za co narasta.

SĘDZIA (z boleścią).

Tak, prawda, moje dzieci! Te lata, złe lata,
Ciążyła mi na głowie niejedna wypłata,
Więc wziąłem wasz podatek, karmię się nadzieją,
Że wiosną będzie wojna, zboża podrożeją,
A zboża było mało, nie rodziło pole,
Sami wiecie, że pustka...

WIEŚNIACY.

Ej, pustka w stodole!

SĘDZIA.

Przeszedł termin podatków, rośnie sztraf po sztrafie,
Widzę dobrze, że z biedy wybrnąć nie potrafię;
Chciałem gdzieś grosz pożyczyć, odmówiono wszędzie;
Może wy się lękacie, że wam co ubędzie,
Że wam znów przyjdzie płacić? Nie, was nic nie spotka.
Majątek mój sprzedadzą z publicznego młotka,
Pójdę z torbą i kijem, — ma stać, niech się stanie.

WÓJT.

Czyż do tego już przyszło? — Oj, panie nasz, panie,
Wszakże to w naszym dworze wy z wieków ci sami,
Dziady nasze mieszkały pod twymi dziadami,
Ojce pod twoim ojcem — niech mu Niebo świeci!
My pod tobą pracujem, a dla naszych dzieci
Miał panicz być pociechą... O, to zacna dusza!
Szkółkę dla nich zakłada, łąki nam osusza,
Chaty począł budować, zna i lubi człeka.
Zdawało się, że wioska dobra się doczeka,
Że jak poczniem czynsz płacić, jak się słusznie płaci,
Człek, mając więcej czasu, łatwiej się zbogaci,
Lepiej się urządzimy i z polem, i zbożem,
I panu służyć będziem, i siebie wspomożem.

A teraz wszystko marnie... kto da więcej groszy,
Zły jaki pan nas kupi i wioskę spustoszy.
Ej panie! ej paniczu! tego być nie może!
Nie rzucajcie nas biednych, siedźcie w swoim dworze.

SĘDZIA (rozczulony).

Dziękuję wam, dziękuję.

PODKOMORZY (do siebie).

Patrzę, jak na dziwy.

ANNA.

A co? widzisz, Stefanie, jaki lud poczciwy.

STARY WIEŚNIAK (z gromady).

A ja starego pana dzieckiem jeszcze małem
Na kolanach pieściłem, cacka mu strugałem,
Znałem jego swawole, znałem każdy narów,
Do szkoły go woziłem do księży Pijarów...

DRUGI WIEŚNIAK (do sędziny).

A czy pamiętasz pani? wszak to lat trzydzieści,
Jakeś tu w naszym dworze mieszkała przy teści,
Jak po waszem weselu my ludzie prostacy
Chleb i sól wam przynieśli na lipowej tacy,
Jak ja miałem przemowę...

TRZECI WIEŚNIAK (do Stefana).

A ty, młody panie,
Pomnisz, jakem cię dzieckiem brał na polowanie?
Teraz wydam z sekretu, aż pusty śmiech bierze,
Jakeś to swojskie kaczki strzelał na jezierze.

STARZEC.

Wszystko to w naszych oczach powstało na nogi,
A teraz chcą porzucać swój naród ubogi;
A czy wy macie serce?...

SĘDZIA.

Serce mi się kraje...
Lecz ja nie z dobrej woli majątek sprzedaję:
Biorą go za podatek, za bankową ratę;

A ja nie mam i grosza na długów wypłatę,
I muszę was porzucić przed początkiem zimy.

STARY WIEŚNIAK.

Otoż pan nie wyjedziesz, bo my nie puścimy...
Nie zechcesz od nas gwałtem wyrywać się, sądzę.

SĘDZIA.

Lecz trzeba mi pieniędzy.

WÓJT (nieśmiało).

My mamy pieniądze,
Cztery tysiące złotych, tak wiemy od Szlomy.
Przyjmij to, spłać należność, interes wiadomy,
I wieki nam panujcie z dziatkami, z wnukami!

(Kładzie na stół pieniądze z nieśmiałością).

SĘDZIA.

Czy mi się przywidziało? czy to sen mię mami?
Wy płacicie pieniądze... wracacie mi życie...
Skąd u was tyle grosza? — sami się krzywdzicie,
Ja nie przyjmę...

PODKOMORZY.

Bierz sędzio, wybrniesz z tarapaty.

WÓJT.

Skąd my mamy pieniądze?... Człowiek niebogaty,
Lecz gdy się złożą wszyscy, za pomocą Nieba,
Gromada wielki człowiek, gdy tego potrzeba.

STARZEC (z gromady).

Skąd my mamy pieniądze?... Powiem, jak to było.
Zeszliśmy się w Niedzielę, — trochę się podpiło,
Aż wtem powiada Szloma, jak rzecz cała ma się,
Że jegomość dobrodziej w wielkim ambarasie,
Że majątek sprzedają... zginienie otwarte;
Więc postawiłem kwartę, wójt postawił kwartę,
I dalej rada w radę...

WÓJT.

Tu niedługa rada:
Ratować nas i panów w ten moment wypada.

Spojrzeli się po sobie co bogatsi kmiecie,
Jeden z nich kilka groszy przysporzył w kalecie,
Drugi miał niepotrzebną dobrą sochę wołów,
Młynarzowi na rybie poszczęścił się połów,
Franciszek Szwed, co zda się na oko biedota,
Miał jeszcze po Francuzach małą skrzynkę złota,
Każdy złożył po trosze, czy wielki, czy mały,
Kobiety niepotrzebnych kilka kur sprzedały,
Tak się grosz i zgromadził, zebrany wśród braci.
Bierzcie go z dobrem sercem, a dług niech się spłaci.

SĘDZIA (spogląda na Stefana).

STEFAN.

Grzech nie przyjąć dobrodziejstw z tak czystego źródła;
Odmowa ich serdeczność przykroby ubodła.

SĘDZIA (po namyśle).

Przyjmuję!...

(Ściska starca i wójta, kłania się gromadzie).

Lecz to spłacić... wkrótce spłacić muszę.

STARZEC.

Zwrócić! O! przeciw temu odezwać się muszę.
Wszak panowie kupują nasze chłopskie dusze,
Dla czegobyśmy dzisiaj, choć rzecz niesłychana,
Nie mogli za pieniądze kupić sobie — pana?

(Sędzina ściska ręce gromady).

STEFAN (po cichej naradzie z ojcem).

Kupiliście już pana i z sercem, i z duszą,
A te wasze pieniądze świętemi być muszą.
Nim je wam całkiem zwrócić lepszy los pozwoli,
Odtąd siedzieć będziecie na czynszowej roli,
Przy zamożniejszym bycie i w szczęśliwej chwili
Odbierzcie choć cząstkami, coście tu złożyli.

WIEŚNIACY (po naradzie z sobą).

Trudno i nam nie przyjąć tej waszej ofiary;
Lecz byle żył pan młody, byle żył pan stary,
Zakwitnie w naszej wiosce poczciwy lud Boży,

A reszta, jak wrócicie, w domu się ułoży.
Śpieszcie się do urzędu pospłacać swe raty,
I powracajcie zdrowo, a nam czas do chaty.
Niech będzie pochwalony!

OBECNI.

Na wieki! na wieki!

(Wieśniacy odchodzą).

SCENA SZÓSTA.

CIŻ, oprócz WIEŚNIAKÓW.

PODKOMORZY.

Widzę, panie Stefanie, twój zawód daleki:
Czyja włość tak poczciwa, a taka zamożna,
Tam wysokich procentów doczekać się można.
Z tym czynszem trochęś szybko wyrwał się, młodzieńcze,
Ale na tem nie stracisz, ja ci za to ręczę:
Bo włość przygotowana, moralnie bogata,
A jest i z moralności pieniężna intrata.

(Do Sędziny i Anny, które z sobą rozmawiają w głębi):

Pani Sędzino, Anno! ten płacz, a to na co?
Łzy, stracony kapitał, procentu nie płacą.
No, sąsiedzie! tyś wesół, jak z bitwy wygranej;
Ale czas już odnowić nasze stare plany.
Co myślisz?...

(Szepce mu do ucha, ukazując Annę i Stefana).

SĘDZIA.

Ja nic nie wiem; a cóż na to matka?

SĘDZINA.

Ja nie wiem — chcesz sąsiedzie, idźmy do ostatka.
Na pieniężnej rachubie nie snujemy planów.
Stefanie! sam nad szczęściem swojem się zastanów.

STEFAN (biorąc rękę Anny).

W tych ręku moje szczęście.

ANNA.

Przy nim moje szczęście.

PODKOMORZY.

No, już teraz sąsiedzi, głowami nie trzęście,
Pobłogosławmy dzieci..

(Otaczają młodą parę).

Niech Bóg błogosławi!

SĘDZIA (do Podkomorzego).

Czy się traktat utrzyma, jesteśmy ciekawi.

PODKOMORZY.

Dziedzicu Pustopola, teraz bądź spokojny.
Już nigdy między nami nie przyjdzie do wojny.
W dobre i młode ręce zwierzamy fortunę;
Z czasem ty się usuniesz i ja się usunę,
Odpoczniemy na starość...

SĘDZIA.

Tylko mię przestrasza,
Jak z wojskiem przyjdzie Turek lub Ibrahim basza!

1858. Wilno.

WYROK JANA KAZIMIERZA.

DRAMAT HISTORYCZNY W IV AKTACH.

OSOBY:

JAN KAZIMIERZ, król.
MARYA LUDWIKA, królowa.
STEFAN CZARNIECKI.
KONIECPOLSKI, wojewoda sandomierski.
KANCLERZ KORONNY.
MARSZAŁEK KORONNY.
GNOIŃSKI.
HELENA, jego córka.
PIELGRZYM.
LACKI.
STRZEMIEŃ.
PIERWSZY PAŹ.
DRUGI PAŹ.
PIERWSZY SZLACHCIC.
DRUGI SZLACHCIC.
GOSPODARZ.
GOSPODYNI.
PIERWSZY HALABARDNIK.
DRUGI HALABARDNIK.
SZLACHTA. PANNY DWORSKIE. ŻOŁNIERZE.

(Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w obozie; w drugim w gospodzie na pograniczu śląskiem; w trzecim w Głogowie na Śląsku; w czwartym w Gdańsku).

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Las. — Ciemność. — Na uboczu pień nizko ucięty. — Z prawej strony w hełmie i zbroi wchodzi STRZEMIEŃ.

STRZEMIEŃ (do siebie).

Droga nieznana, nie widać księżyca,
Nawet, jak widzę, na deszcz się zanosi.

Szkaradna puszcza, ciemna jak piwnica,
Albo jak oczy mojej lubej Zosi!
Zosia... piwnica... wino i dziewczyna,
To specyały, jak mówili starzy...
Ej, tam do licha! deszcz kropić poczyna,
Muszę tu przetrwać całą noc na straży;
Bo tędy szwedzcy mają iść szpiegowie,
Nam rozkazano pochwycić ich żwawo.
Mają mieć listy, z których wódz się dowie,
Czy ma uderzyć na lewo, czy prawo.
Niewielka sztuka wziąć za gardło Szweda
I grzecznie spytać: gdzie idzie? co niesie?
Jakoś się zrobi, — ale gorsza bieda,
Że mój towarzysz gdzieś zbłąkał się w lesie.
On puszczy nie zna, może gdzie i blizko
Błąka się tutaj przez ciemne zarośle.
Uderzę w trąbkę, zapalę ognisko,
To mu w ten sposób znak o sobie poślę.

(Dobywa krzesiwa i hubki).

No!... jeśli ognia od razu wykrzeszę,
To znaczyć będzie, że Zosia jest stałą.

(Krzesze ogień).

Ha! coś nie pali... bo się nazbyt śpieszę.
Raz, drugi, trzeci, ot niby zatlało,
Iskry się sypią, tylko wiatr zawiewa:
Tu stałość Zosi nie winna nic wcale.
Ot pójdę lepiej pod konary drzewa
I tam w zaciszy ognisko rozpalę.

(Wychodzi na chwilę i wraca z rozpaloną drzazgą i w pniu roznieca ogień).

A co? mówiłem... ot jak jasno bucha!
Bo Zosia wierność dochowa najściślej.
Och! to dodaje rycerskiego ducha,
Jeśli człek wierzy, że ktoś o nim myśli.

(Uderza w trąbkę).

Powinien słyszeć, echo się rozlega,
Blask od ogniska szerzyć się poczyna.
Dobre to chłopię Krzysztof, mój kolega.
Tylko że milczy i nie pije wina.
Mnie niepojęta takowa odraza.
Ale tam w krzakach słyszę coś szeleści:
Kto idzie? hasło?

GŁOS ZA SCENĄ.

Jan Kazimierz Waza.

STRZEMIEŃ.

Wiwat! niech żyje w radości i cześci!

SCENA DRUGA.

STRZEMIEŃ i LACKI.

STRZEMIEŃ.

Czołem waszmości, panie Floryanie!
Coś mi przepadłeś i z duszą, i z ciałem.

LACKI.

Pan wojewoda nim skończył pisanie,
Czekać przed jego namiotem musiałem.

STRZEMIEŃ.

Cóż tam w obozie?

LACKI.

Opłakane wieści!
Coraz to sroższe ciosy na Polaków!
Słowa mi w uściech drętwieją z boleści:
Szwed pod Krakowem.

STRZEMIEŃ.

Co! zdobył już Kraków?

LACKI.

Zdobył już może: tam słaba załoga,
Wojsko co chwila swoją wierność zmienia;
Król, zdawszy Polskę na Opatrzność Boga,
Kędyś na Śląsku szuka ocalenia.
Wszystko w popłochu, w rozterkach, w bezładzie,
Co czynić?

STRZEMIEŃ.

Zdać się i złożyć oręże.

LACKI (z zapałem).

Hańba, kto dzisiaj miecz do pochew kładzie,
Kto się prawego pana wyprzęsięże!
Stójmy z Czarnieckim przy gromadzie bratniej,
Idźmy za wodzem, gdzie jeno wyruszy.
Lejąc krew naszą do kropli ostatniej,
Przynajmniej umrzem spokojni na duszy.

STRZEMIEŃ.

Umrzeć nie sztuka — ja życia nie ważę,
Byle krew moja na co się przydała.
Lecz trzeba czynić, co roztropność każe:
Ich taka chmara, a nas garstka mała.

LACKI.

Krew waszmościna nie wiele się przyda:
Wojna ze Szwedem długie potrwa lata,
Może się staniem kamykiem Dawida,
Co kiedyś strzaska głowę Goliata!
Czarniecki zdoła wycelować procę.

STRZEMIEŃ.

Daj Bóg i Amen. Przekonałeś wasze;
Pójdę z Czarnieckim, Goliatów zgrzmocę!

LACKI.

Na Rakoczego dziś ostrzym pałasze,

STRZEMIEŃ.

Przeklęty Węgier! licho go tu wnosi.
Popsuł mi plany, biednaż moja głowa!
Chciałem się wymknąć do mej pięknej Zosi,
Aby zobaczyć, czy mi wierność chowa.
Bo to u niewiast, jak z oczu, tak z myśli:
Trudne kochanie o sto mil z oddala!
Niechaj w miłości pilnuje się ściślej,
Kto się wystrychnąć nie chce na rogala.

LACKI.

Nie czas miłostki roić w męskiej głowie,
Kiedy o wojnie trzeba myśleć samej,
Kiedy kraj ginie, gdy wierni synowie
Nad konającą już matką czuwamy.
Grzech teraz kwilić żalami pieszczocha,
Kiedy się sprawie takiej świętej służy.
Och! i ja kocham, och! i mnie też kocha
Dziewica piękna, jak wonny kwiat róży.
Z duszą szlachetną, w młodości zaraniu,
Tęskniłem do niej, jak dusza do Nieba;
Lecz dziś kazałem zamilknąć kochaniu,
Na inną miłość serca mi potrzeba.

STRZEMIEŃ.

A ja, to jakoś jedno z drugiem godzę:
I Zosia droga, i ojczyzna droga!
Służę królowi, tęsknię ku niebodze,
I dziewczę ścisnę, i pobiję wroga.
Czytałeś waszmość, jak to się kochali
Dawni rycerze świętej krucyaty?
Lecz mnie się zdaje, że mimo oddali
Dziewczęta były wierniejsze przed laty;
Bo ja o moją jestem niespokojny,
Chociaż to niby i słodka, i czuła.

LACKI.

Sroższy niepokój nie wiedzieć wśród wojny,
Czy ona żyje i kędy się tuła.
Rodzice mojej serdecznej niebogi
Żyją w pobliżu puszczy Białowieża;
Ojciec jej, szlachcic stary i ubogi,
Wiernym jest sługą Jana Kazimierza.
Dał swym sąsiadom powód do niechęci;
Czekali dobrej do odwetu chwili.
Więc kiedy przyszli szwedzcy adherenci,
Dwór zrabowali i wieś mu spalili.
Dokąd się udał? — Bóg to wiedzieć raczy!
Czy gdzie się schronił? czy może w niewoli?
Dziś pełno w Polsce takowych tułaczy.
Łacno odgadniesz, że mię serce boli...
Pomyślę, westchnę, czasem łza nabieży,
Ale się wstydzę tej łezki niewieściej;
Bo serce nasze dzisiaj przynależy
Świętszej miłości i świętszej boleści.
Dziś tylko jeden... jeden cel przed nami:
Tam skupiać ducha i ramienia siły.
Nie wolno piersi rozmiękczać żalami,
Aby swojego hartu nie straciły.

STRZEMIEŃ.

Mądrze mówicie! ale z tamtej strony
Sunie się stary pielgrzym z siwą brodą.

SCENA TRZECIA.

CIŻ i PIELGRZYM.

PIELGRZYM.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

STRZEMIEŃ.

Na wieki wieków!... Gdzie to bogi wiodą?

PIELGRZYM.

Do miejsc cudownych, waleczni rycerze,
Do Częstochowy, aż do Jasnej Góry!
Zmówię tam chętnie i za was pacierze,
Jeśli jałmużną obdarzy mię który.

(Kłania się).

STRZEMIEŃ (do Lackiego cicho).

U tego starca twarz jakaś zdradziecka:
Trzeba go badać, jak ordynans każe.

PIELGRZYM (do siebie).

Muszę rozumieć, czy to strona szwedzka,
Czy Czarnieckiego, broń Boże, husarze?

STRZEMIEŃ.

Kto waszmość jesteś?

PIELGRZYM.

Zowię się Mikoszą.

STRZEMIEŃ.

A herb waszmościn?

PIELGRZYM (zakłopotany).

A mój herb... Kościesza.

LACKI (do Strzemienia).

Nie... Mikoszowie topór w herbie noszą,
Ja znam ich pieczęć...

STRZEMIEŃ (do Lackiego).

Coś starzec się miesza.

(Do Pielgrzyma):

Z kim waszmość trzymasz?

PIELGRZYM.

Jakto?... nie dosłyszę.

STRZEMIEŃ.

Kogo waść wolisz: czy króla, czy Szweda?

PIELGRZYM.

Ja trzymam z Bogiem, dobrzy towarzysze,
Partya ziemska zbawienia mi nie da.

STRZEMIEŃ.

Waszmość, jak widzę, i uszy przytula,
I odpowiedzi otwartej unika!
Tu trzeba wyznać, czy waść wolisz króla,
Czy trzymasz stronę Szweda najezdnika?

PIELGRZYM (do siebie).

To Czarniecczyki.

(Do Strzemienia):

A, moi panowie!
Takie pytanie, to czysta obraza:
Ja wciąż się modlę za królewskie zdrowie,
Zatem: niech żyje Jan Kazimierz Waza!

STRZEMIEŃ I LACKI.

Niech żyje król nasz!

(Żołnierze zdejmują hełmy, a starzec kapelusz).

STRZEMIEŃ (wpatrując się bacznie, do Lackiego).

Głowa za ryża, a broda za siwa.
Czoło bez zmarszczków, a wzrok jakiś kosy.

LACKI.

Badajmy dalej; wszak zwyczajnie bywa,
Że broda wcześniej siwieje niż włosy.

STRZEMIEŃ (do Lackiego).

Coś jak na starca za prostą ma szyję.

(Wpatrując się mocniej):

Broda przyprawna! trzymaj, bo uciecze!

(Lacki chwyta za ramiona pielgrzyma, Strzemień odrywa mu białą przyprawną brodę, z pod której wypada list).

STRZEMIEŃ.

A tuś mi, ptaszku!

PIELGRZYM (szybko dobywając z pod płaszcza sztylet).

Puść mię, bo przebiję!

STRZEMIEŃ (wyrywając zręcznie sztylet).

O, nie tak łatwo, poczciwy człowiecze!

(Podejmuje list z ziemi).

Oho, to pismo!... a co? kole w oczy?
Zaraz historya wykryje się cała.
Zobaczmy pieczęć. To pisze Rakoczy
Do Wittenberga, Szwedów generała!
Pismo do wodza, szpieg do nas należy:
Szpiega na gałąź!

(Odpina swój rzemienny pas i ciągnie Pielgrzyma).

Chodź, duszo pobożna!

PIELGRZYM (wyrywając się).

Puśćcie mię! puśćcie!...

LACKI (do Strzemienia).

Wstydź się, panie Jerzy!
Czyż się bez wodza rozporządzać można?

PIELGRZYM (klęka).

Zabierzcie listy, mnie puśćcie łaskawie!
Ja się wykupię, zapłacę z ochotą!

LACKI.

My żołd bierzemy, lecz powszechnej sprawie
Bardzo się przyda Rakoczego złoto.

(Strzemień uderza w trąbkę; na to hasło wychodzi z za krzaków kilku żołnierzy).

STRZEMIEŃ (wiążąc pasem ręce Pielgrzyma).

Hej towarzysze! weźcie go pod straż,
Do wojewody prowadźcie Judasza;

A czy go puścić, czy powiesić każe,
W tem jego wola, a nie głowa nasza.
Weźcie te listy, co znaleźli przy nim,
Weźcie do wodza to złoto, co w kiesie;
A my tu naszą powinność uczynim,
Na dalszej warcie zostaniemy w lesie.

PIELGRZYM.

Puśćcie mię, ludzie! puśćcie, jam niewinny!
Mnie Rakoczego obietnice zwiodły.

STRZEMIEŃ.

Gdybym miał prawo, za mój kraj rodzinny
Sambym ci, ptaszku, roztrzaskał łeb podły!
Lecz naszą zemstę na hetmana zdajem,
Niechaj postąpi, jak mu każe władza.

LACKI.

Boże zastępów! nie mścij się nad krajem,
Który tak czarne potwory wyradza.

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma).

SCENA CZWARTA.

Zmiana — wnętrze namiotu Czarnieckiego. — W środku prosty stół, na nim papier i pióro, księga i karta geograficzna. Na ścianie pancerz, hełm i pałasz. CZARNIECKI w żupanie, rysiej delii i kołpaku wchodzi do namiotu.

CZARNIECKI (do żołnierza, który wszedł za nim).

O świcie pochód niech trąba obwoła!

(Żołnierz odchodzi).

Już dziś nie legnę, bo mię sen nie bierze.
Nim się Rakoczy opamiętać zdoła,
Wpadnę mu na kark z mojemi harcerze!
Jeszcze wróg jeden — miłosierny Boże!

Gdyby nie wiara, jak tęcza przymierza,
Jużbym się zachwiał, albo złamał może:
Tyle tu wichrów ze wszech stron uderza!
Tam Szwed, tam Północ, tam Siedmiogrodziany,
Tam Kozaczyzna... tam drżeć od Tatara.
Upadł na duchu król, troską znękany,
Kraj spustoszony, a w sercach niewiara.
O ciemna! ciemna tej krainy dola!

(Podchodzi do okna).

Ha! i noc ciemna... lecz w Panu nadzieja!
Przyśle jutrzenkę, rozwidni te pola,
Da nam sturęczną siłę Bryareja,
Sto rąk urośnie. Cudowne są Nieba!
Ale mieć siłę, to jeszcze nie dosyć:
By władać siłą, chyba nam potrzeba
Sto serc szlachetnych w jednej piersi nosić,
Bo to dzień próby, dzień pokus, dzień chłosty!
Dębem i miedzią trzeba okuć serce!...
W rękach hart został, staroświecki, prosty:
Dusze zmalały w krajowej rozterce!
Rozbudź je, Boże!

(Wznosi ręce do nieba).

SCENA PIĄTA.

CZARNIECKI, STRZEMIEŃ, LACKI.

(Za nimi żołnierze wprowadzają drżącego Pielgrzyma).

STRZEMIEŃ.

Panie wojewodo!
Wedle rozkazu, czatując dziś w lesie,
Wzięliśmy człeka z przyprawioną brodą,
Który do Szwedów to pisanie niesie.

(Oddaje list).

Chciał nas przekupić... oto jego złoto.

(Składa trzos na stole).

CZARNIECKI (skwapliwie biorąc list).

Wittenbergowi...

(Odrywa pieczęć i czyta).

Swoje plany skore
Skreśla w tym liście Rakoczy niecnota.
Wyborne wieści! przyszły w samą porę!
Przyjmcie me dzięki, towarzysze młodzi!
Wódz wam dziękuje i Rzeczpospolita,
A król jegomość wdzięcznie wynagrodzi,
Skoro do progów domowych zawita.

STRZEMIEŃ (z ukłonem).

Cóż teraz czynić wasza miłość każe
Z tym oto jeńcem w świętobliwej masce?

CZARNIECKI (do Pielgrzyma).

Polak?

PIELGRZYM.

Och Polak!... w niewinnym zamiarze
Te listy... Panie! polecam się łasce!

CZARNIECKI.

Na gałąź szpiega.

PIELGRZYM.

Ulituj się, panie!

CZARNIECKI.

To prawa wojny. (Do siebie): Lecz to syn tej ziemi,
Pomiędzy szlachtą może być szemranie,
Żeśmy okrutni... (Głośno): Pogardzam podłemi,
Puścić go wolno!

STRZEMIEŃ.

Ej, to ptak nielada!
Szkoda go puszczać.

CZARNIECKI.

Słyszysz, co wódz mówi!

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma i odchodzą).

CZARNIECKI (wychodząc na przód sceny).

Naród na sercu widocznie upada.
Donieść to wszystko potrzeba królowi,
Niech rychlej wraca; obecność monarsza
Biednym poddanym nada zapał świeży.
Porzuci Szweda nasza bracia starsza,
A drobna szlachta w jej ślady pobieży,
Wspólnemi takty uderzą pałasze.
Tak... niech król wraca... niech koniecznie wraca.

(Klaszcze w dłonie).

Mospanie Lacki! zatrzymaj się wasze,
Czeka waszmości niepoślednia praca.

(Lacki wchodzi).

SCENA SZÓSTA.

CZARNIECKI, LACKI.

CZARNIECKI.

Koń wasz i zbroja niech będzie gotowa,
A ja tymczasem przygotuję listy.
Mimo Warszawy, pomimo Krakowa,
Pojedziesz waszmość aż na Ślązk górzysty!
Przez szwedzkie czaty przemykaj się w ciemnie,
Wyszukaj króla, co gdzieś w Śląsku gości;
Oddaj me listy, i złóż mu ode mnie
Hołdy poddańczej mojej powinności.
Padnij na klęczki, proś, niech się nie mami,
Niech się nie lęka podstępów i zdrady;
Niech wraca zapał wskrzeszać między nami,
Bo tu bez ojca nie damy już rady.
Spraw mi się pilno, zaufać ci mogę,
Masz serce prawe, a rozum bogaty;

Powracaj rychło — a oto na drogę
Masz Rakoczego węgierskie dukaty.

(Z uśmiechem potrząsa trzosem).

Grosz przeniewierstwa, srebrniki Judasza,
Będą wydane w naszej dobrej sprawie.

LACKI.

Ważne mi rzeczy zleca miłość wasza,
Aby je spełnić i gardła nadstawię!

CZARNIECKI.

Nie... teraz drogie gardło waszmościne,
Ciężko mi Szwedzi odpowiedzą za nie.
Gotuj się w drogę i przyjdź za godzinę,
Znajdziesz gotowe już moje pisanie.

LACKI.

Przetrwam, da Pan Bóg, trudności choć mnogie,
I wiernie oddam, co mi dadzą w ręce:
I śmierć, i życie zarówno mi drogie,
Kiedy je sprawie królewskiej poświęcę.

(Kłania się i odchodzi).

SCENA SIÓDMA.

CZARNIECKI (sam, patrząc za odchodzącym):

Kraje, jak ludzie, mają straszne chwile;
Lecz duch ofiary kiedy kwitnie w młodzi,
Jeszcze żywotniej można ufać sile,
Jeszcze o śmierci marzyć się nie godzi.
Póki jednego znajdziesz bohatera,
Póki społeczność Bożych natchnień słucha,
Kraj nie umiera, jak człek nie umiera,
Gdy jeszcze czuje choćby iskrę ducha.
Serce omdlewa, głowa się posłania,
Lecz to są tylko Opatrzności próby;

To nie skonanie — to pozór skonania,
To przesilenie wśród ciężkiej choroby.

(Zasiada do pisania).

(Zasłona spada).

AKT DRUGI.

Wnętrze obszernej gospody na pograniczu śląskiem; drzwi w głąb na prawo i na lewo, z obu stron stoły otoczone ławami.

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ i GOSPODYNI.

GOSPODYNI.

Oj czasy, czasy! ot widzisz, przed nocą
Gospoda pusta, nikt drzwi nie uchyli.

GOSPODARZ.

Bo prawdę mówiąc, nie byłoby poco:
Szwedzi nam wszystko zjedli i wypili.
Raczejby Bogu dziękować, niewiasto,
Że nam domostwo zachowali cało.
Niejedna wioska i niejedno miasto
Krwią opłynęło, z dymem poleciało!...
Gdyby nie kufel, nie gospoda nasza,
Gdyby nie starość, ale młodość w wiośnie,
To takbym jeszcze przypasał pałasza
I pędził Szwedów tam, gdzie pieprz nie rośnie!

GOSPODYNI.

Ot młodzieniaszek! jego stare graty
Cóżby tam komuś pomogły na wojnie?
A patrzeć kufla, a pilnować chaty,
A miodek gościom rozlewać spokojnie!
A liczyć, kręcić i kredką, i główką,

Wdzięcznie przyjmować, kogo Pan Bóg zdarza!
To twoja sprawa.

GOSPODARZ (śmiejąc się).

A, zaraz z wymówką!
W pustej gospodzie nie trza gospodarza.

GOSPODYNI (z szyderstwem).

W pustej gospodzie?... Ani wie, co w domu,
A chce wojować! Patrzcie, jaki śmiałek!
Toż ja przed Szwedy schowałam kryjomu
Dwie beczki miodu i wina antałek,
A on tu jeszcze o pustkach mi gada!
Miałabym głowę nie wiedzieć już na co.
Zapas niewielki, lecz na to jest rada:
Za każdą szklankę podwójnie zapłacą;
Teraz drożyzna!... Tylko pijcie zdrowi
I płaćcie dobrze, a ja wam dostarczę...

SCENA DRUGA.

CIŻ i PIELGRZYM, jak w pierwszym akcie.

PIELGRZYM.

Pokój niech będzie waszemu domowi!

GOSPODYNI.

Pokój waszmości, bogobojny starcze!

GOSPODARZ.

Skąd Bóg prowadzi?...

PIELGRZYM.

Z daleka, z daleka!
Och! bolą nogi... niech trochę wypocznę.
(Usiada).

Opieka Pańska! (Zdejmuje sakwy). Tak, Pańska opieka
Miała nade mną staranie widoczne.
Powracam z Rzymu, przez Wiedeń, przez Kraków,
Bo święte miejsca odwiedzać człek musi.
Bywałem w ręku i szwedzkich żołdaków,
Bywałem w ręku i polskich rabusi.
Wszędzie dręczony, badany, pytany,
Chcieli zrabować, rozsiekać na ćwierci.
Nic nie znaleźli. Bodaj to łachmany!
Zawsze człowieka wykręcą od śmierci.
A świat ten marny, toć do złota wzdycha,
Szatańskiem jabłkiem skusiła go Ewa.
Cóż z tego poszło? — grzech, kłamstwo i pycha,
Potem obżarstwo... Jeść mi się zachciewa:
Szedłem dzień cały, a w moim już wieku
Idę niesporo... Ot, nic siły niema!
Zamieram w drodze... Miłosierny człeku!
Daj tam puharek miodu dla pielgrzyma.

GOSPODARZ.

Z całego serca... i sam się napiję.

GOSPODYNI.

Może co zjecie?

PIELGRZYM.

Daj Boże wam zdrowie!

(Gospodyni odchodzi).

Za waszą łaską choć trochę odżyję.

(Bierze podany puhar i kosztuje).

Miodek rzeźwiący!

GOSPODARZ.

Więc byłeś w Krakowie?

PIELGRZYM.

Trzy dni tej łaski człek grzeszny doznawał;
Wszystkie kościoły obszedłem ze świecą.

GOSPODYNI (wracając).

A może łaska na kapłona kawał?

PIELGRZYM.

Zęby mam słabe... pokosztuję nieco.
(Zajada i pije).

GOSPODARZ.

A więc nasz Kraków zawsze w ręku Szweda?

PIELGRZYM.

Zawsze, łaskawco, ustąpił przed siłą,
Król szwedzki nigdy zwyciężyć się nie da.
Czarniecki zemknął, bo rady nie było.

GOSPODARZ.

Myśmy słyszeli, lecz wcale inaczej;
Wszak do zmykania Czarniecki nieskory:
Wyszedł, jak rycerz, z honorami raczej
I z bronią w ręku.

PIELGRZYM.

Liche tam honory!
Wyszli-ć tam wprawdzie z chorągwią, z armatą,
Przy biciu bębnów, we trzy regimenty;
Lecz w kilka czasów pod Siewierzem za to
Wszystkich Polaków rozbito na szczęty!
Jedna uciekła, a druga połowa
Przysięgła wierność szwedzkiemu królowi.
Czarniecki uciekł, Bóg wie gdzie się chowa.
Król szwedzki szuka i pewnie go złowi,
Wtrąci w więzienie i wszystkich pozyska.
I królem naszym już zawsze zostanie.
A Szwedy jego, to dobre ludziska,
Dajże im Boże długie panowanie!
Ot teraz, słyszę biorą Częstochowę,
W czem jak najlepiej pomagaj im Boże!

Ja pielgrzym starą kłopotałem głowę,
Że tam na odpust człowiek pójść nie może.
Kościół w fortecy, — zamknięto fortecę,
Księża się bronią: im słuchać spowiedzi,
Nie zaś do wojny brać się tak dalece,
Bo co to Szwedzi!

GOSPODARZ (z niechęcią).

Smakują wam Szwedzi!

PIELGRZYM.

Pod kim mi lepiej, to ja tego wolę.
Ja stary pielgrzym, dla mnie wszędzie ścieżka.
Ojczyzna moja nie na tym padole,
A Król Najwyższy nie na ziemi mieszka!

(Dopija reszty miodu).

GOSPODYNI.

Pobożny człowiek...

PIELGRZYM.

Ale ja tu gwarzę,
A wieczór ściemniał, i w drogę mi pora.
Bywajcie zdrowi, zacni gospodarze!

GOSPODYNI.

Chciejcie odpocząć, oto jest komora.

(Ukazuje na lewo).

PIELGRZYM.

Ha, jak się wzmocnię, zawędruję dalej,
Trochę się zdrzemać może i należy.
Ale nad rankiem... wy będziecie spali,
Gdy stary pielgrzym z milę już ubieży.
Jam ranny ptaszek: póki nie wyświta,
To czas chłodnawy, najlepszy do drogi!
Bywajcie zdrowi!...

(Odchodzi do komory na lewo, którą mu wskazuje gospodyni, za chwilę wraca).

A jak kto zapyta,
Czy nie przechodził tędy dziad ubogi,
To nic nie mówcie. Teraz takie czasy,
Że muszą truchleć nawet włóczykije.
Dopytywania, badania, hałasy,
To mię z pobożnych rozmyślań wybije.
Najlepiej milczkiem i chyłkiem na świecie,
W pokorze ducha bądź ślepy i niemy.
Więc, dobrzy ludzie, wy nic nie powiecie,
Że ja tu byłem?

GOSPODARZ.

O, nic nie powiemy.

PIELGRZYM.

Dobrej wam nocy! niech Pańska opieka,
Niechaj was strzegą niebiescy Anieli!

SCENA TRZECIA.

CIŻ, prócz GOŚCIA.

GOSPODARZ (do siebie).

Ja nie pojmuję nic tego człowieka:
Czyżby już Szwedzi zagarnąć nas mieli?...

GOSPODYNI (do męża).

A ja mówiłam, że daremna praca
Chcieć wskrzeszać dawną potęgę koronną!
Dziś inne czasy... Ale ktoś kołace.

GOSPODARZ (patrząc w okno).

Dwie jakieś bryki i trzech szlachty konno.
(Zawsze patrząc w okno, do siebie):
Chmurno, i ciemno, i deszczyk na dworze,
A tam z daleka jutrznia promienieje.

GŁOS ZA SCENĄ.

Prosim otworzyć...

GOSPODARZ.

W ten moment otworzę.

(Do siebie):

Szwedzi, — to ciemność, jutrznia — to nadzieja!

(Wychodzi naprzeciw gości).

SCENA CZWARTA.

GNOIŃSKI — HELENA, córka Gnoińskiego — KILKU SZLACHTY, — GOSPODARZ i GOSPODYNI.

GNOIŃSKI (do Gospodarza).

Zacny człowieku! dacież nam komorę,
Kędy odpocząć?

GOSPODARZ.

O wielmożny panie!
Gospoda pusta, w tę nieszczęsną porę
Każdemu z gości znajdzie się posłanie.

GNOIŃSKI (z uśmiechem).

Dla nas posłanie!... zdrzymiem się przy stole,
Nawet pałaszów nie zrzucim od boku;
Byleby miejsce dla wozów w stodole,
Byleby koniom siana i obroku,
Bo się zmęczyły...

(Do jednego ze szlachty):

Panie Kalasanty!
Waść do tych rzeczy bierzesz się najtęższej!
Wozy w stodołę niech wtoczą drabanty,
Konie do żłobów; nie zrzucać uprzęży.

(Do szlachty):

A jak łaskawie daliście mi władzę
Być gospodarzem w podróżnym taborze.
To rozsiodływać koni wam nie radzę:
W nocy przygoda przytrafić się może.

Kolejno wartę trzymać przed gospodą,
A wypocząwszy, wyruszyć o świcie.

(Szlachta odchodzi).

GOSPODYNI (do Gnoińskiego).

Dlaczego, panie, tę dziewicę młodą
W ten czas wojenny ze sobą wozicie?

GNOIŃSKI.

Ha! moja pani, konieczność przywiodła,
Musim choć na czas rzucić kraj rodzimy.
Dom mi spaliła zgraja Szwedów podła,
Z ostatkiem mienia na Śląsk uchodzimy.
Kilku mi szlachty towarzyszy w drodze,
By bronić głowy niewiasty i starca!
Spokojny uchron znalazłszy niebodze,
Do wojennego powracamy harca.
Wszystko mi jedno... jesteśmy gotowi
Choć w obóz wroga wrąbać się do środka,
Bom tak ślubował memu Patronowi:
Wszędzie bić Szweda, kędy się napotka.
Pobłogosławi Pan Bóg naszą czynność,
Czy nakieruje losy ku odmianie,
Wtem Jego wola, — a nasza powinność:
Służyć królowi, póki sił nam stanie.

GOSPODARZ (do siebie).

Padłbym na klęczki! to jakiś zuch stary,
Co po Bożemu trzyma stronę Wazy.

GOSPODYNI (do siebie).

Czysty szaleniec! — jeszcze ma zamiary
Oprzeć się sile większej o sto razy!

(Do Gnoińskiego):

A może Wasza Dostojność pozwoli
Wypić za zdrowie Jana Kazimierza?
Jest stary węgrzyn, głowa nie zaboli,

Potem podróżna znajdzie się wieczerza.
Wprawdzie drożyzna... wielka tu drożyzna:
W trzy razy płacą mięso, wino, zboże;
Lecz pan wielmożny i sam pewnie przyzna,
Że być po Szwedach inaczej nie może.
Jedli tu, pili bez końca, bez miary,
I zostawili długi niepłacone.
Biorę za kurczę po cztery talary,
Lecz za to kurczę! i bażant na stronę.

GOSPODARZ (wpół głośno do żony).

Lecz ten pan trzyma z Janem Kazimierzem,
Warto ustąpić.

GOSPODYNI (cicho do męża).

Poszedłbyś do czarta!

(Głośno do Gnoińskiego):

To co inszego!... My od takich bierzem
Po swojej cenie: za kurczę pół-czwarta.

GNOIŃSKI.

Dziękuję waściom! jeść i pić nie będę,
Bom się straszliwie umęczył w podróży.
Szlachcie, by miała czem skrzepiać gawędę,
Chciejcie postawić miodu gąsior duży.

GOSPODARZ.

Wedle rozkazu wnet wszystko się stanie.

(Odchodzi).

GOSPODYNI.

Ugościm szlachtę, czem chata bogata!

(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

GNOIŃSKI, HELENA.

HELENA.

Coś mi tu straszno... Niewypowiedzianie
Smutnem przeczuciem serce me kołata.
Jedźmy stąd prędko, bo za chwilę może
Będzie już późno.

GNOIŃSKI.

Trwożliwe ty dziecię!
Konie zmęczone, ulewa na dworze;
Mamy tu z sobą garstkę szlachty przecię;
Nie ufać męstwu, albo ich przyjaźni,
Byłoby grzechem, tak wiernie nam służą.
Porzuć te widma chorej wyobraźni,
Spocznij, boś nocną znużona podróżą.
Wszak my nad tobą niedarmo czuwamy,
I włosa z głowy nikt ci tu nie zdejmie.

GOSPODARZ (wchodząc z puharami miodu).

Oto ktoś znowu kołata do bramy.

GŁOS ZA SCENĄ.

Otwórzcie waszmość!

GOSPODARZ (otwierając drzwi).

Prosimy uprzejmie.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ (wchodzi LACKI w burce i zbroi).

LACKI (z pośpiechem do gospodarza).

Konia do żłobu, nie zrzucać mu tręzli,
Niech się wysapie, i znów dalej lecę!
Byli tu Szwedzi?

GOSPODARZ.

Gdzieś pono ugrzęźli,
Na Jasnej Górze chcą zdobyć fortecę.

Taka przynajmniej pogłoska się szerzy,
A tu już, panie, cztery dni nie byli.

LACKI (zrzuca burkę — postrzega Gnoińskiego i rzuca się w jego objęcia).

O zacny panie!

GNOIŃSKI.

O kochany Jerzy!
Gdzież to spotkanie i w jakowej chwili!

(Ściskają się).

GNOIŃSKI (do Lackiego).

Czyś zdrów? co słychać? gdzie lecisz, jak strzała?!

(Do córki).

A co! czy widzisz, głowo chorowita!
Czy ci w przeczuciu dusza powiedziała,
Że narzeczony wkrótce cię powita?

HELENA (podbiega z radością do Jerzego).

Ach, to pan Jerzy!

LACKI.

To ja, to ja, pani!
Takiego szczęścia nie wróżyłem za nic!

GNOIŃSKI.

A my spaleni, my z domu wygnani,
Musim do obcych przemykać się granic!
Siadajże Jerzy!... pot płynie ci z czoła,
Musiałeś lecieć... spadłeś nam, jak z Nieba.

LACKI.

O! chciałbym jeszcze mieć skrzydła sokoła,
By prędzej stanąć tam, gdzie mi potrzeba.

GNOIŃSKI.

Skąd Bóg prowadzi? w jaką lecisz stronę?

LACKI.

Od Czarnieckiego w naglącej potrzebie
Lecę do króla.

GNOIŃSKI.

Czy wszystko stracone!

LACKI.

Jeszcze nie wszystko: jest Pan Bóg na Niebie,
Jest wódz Czarniecki, jest w piersiach otucha;
Ale zaprawdę chwila rozpaczliwa!
Wódz, pragnąc wskrzesić upadłego ducha,
Króla co prędzej do kraju przyzywa.

GNOIŃSKI.

Was, jak słyszałem, zbito pod Siewierzem?

LACKI.

Nie tak pobili, jak podeszli zdradą.
Ubezpieczeni krakowskiem przymierzem,
Staliśmy w polu bezbronną gromadą.
Wódz nasz dotrzymał, Szwed złamał swe słowo,
Uderzył w nocy w obozowe pole.
Szlachta do bitwy nie była gotową.
Jednych rozproszył, drugich wziął w niewolę.
Wódz zdołał umknąć, ja z drugim kolegą,
Z panem Strzemieniem — co na to mówicie? —
My osłonili piersią Czarnieckiego!

(Z zapałem):

Ja ocaliłem Czarnieckiego życie!
Teraz się hufce zbierają powoli,
I obrót rzeczy już biorą szczęśliwszy.

GNOIŃSKI (ściskając go z rozrzewnieniem).

Zazdroszczę, chłopcze! zazdroszczę twej doli:
Kraj ocaliłeś, jego ocaliwszy!
Chlubię się tobą, że będziesz mym zięciem,
Lecz do tej chluby mieszam łzę rozpaczy.
Syn mój rodzony umknął mi dziecięciem,
Na Ukrainie kędyś hajdamaczy.
Pohańbił ród mój i zakrwawił serce,
Wpuścił tam węża, co się zabić nie da.
Już go widziano pomiędzy morderce,
A teraz słyszę, miał przystać do Szweda,
I jako Judasz, za garść szwedzkich groszy,
Na głowę matki naprowadza katy.

Dwory i wioski współziomków pustoszy,
Z łupów zbójeckich chce zostać bogaty!
O! nie uwierzysz, jak serce się ściska,
Jakim ja wstydem między ludźmi płonę!
Chcę strzaskać herb mój, wyprzeć się nazwiska!
Bo te skalane, bo te już spodlone.

LACKI (biorąc go za jedną rękę).

Czcigodny panie! nie wątpij o cudzie:
Wróci do trzody owieczka zbłąkana.

HELENA (biorąc go za drugą rękę).

Hamuj się, ojcze! idą obcy ludzie,
O nawrócenie módlmy się do Pana!

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i SZLACHTA (powraca).

GNOIŃSKI (do szlachty).

Mości panowie! bracia miłościwi,
Mego przyszłego zięcia wam przedstawię:
Pan Jerzy Lacki!

SZLACHTA (z ukłonem).

Jesteśmy szczęśliwi.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Znane to imię w teraźniejszej sprawie.

DRUGI ZE SZLACHTY (występując naprzód z uroczystą przesadą).

I dobrze znane!... bo mądra Pallada,
Którą Minerwą przezwali Rzymianie,
Wieniec laurowy na skroń jego wkłada.
Już przewiduję, czem później zostanie.
Choć z wieku dziecko, z umysłu był stary,
Smakował w księgach, jak inszy w zabawce,
Kiedy w Krakowie u świętej Barbary
U Jezuitów siedział w pierwszej ławce.
Skoligacony z najpierwszymi domy,
Na górę Parnas wdzierał się tem śmielej!

Bo czuł spadkowej mądrości ogromy,
Jedne po mieczu, drugie po kądzieli.
Matka z zacnego rodu Śrzeniawitów...

GNOIŃSKI (uderzając go przyjaźnie po ramieniu).

Mój Kalasanty! coś za długi wątek.
Daj temu pokój...

SZLACHCIC.

Ale tych zaszczytów
Jeszcze nie koniec, to tylko początek.
O święta wiaro w zacne antenaty!
Na młodem sercu czegoż ty nie zdziałasz?
Jako Rzymianin, biorąc męskie szaty,
Gdy szkolne pióro zamienił na pałasz,
Rzekłbyś spojrzawszy: to Mars, nie literat,
To młody Herkul w dzielności potędze;
Et robur et aes circa pectus erat,
Jak o tem pisze Horacy w swej księdze.
Herkul! bo hydrę już schwycił za szyję,
I śmiercionośną maczugą już kręci;
Herkul nemejskie, on szwedzkie lwy bije,
(Bo państwo szwedzkie nosi lwa w pieczęci).
Zwalczysz, młodzieńcze! zwalczysz te giganty!
Łupem lwiej skóry okryjesz swe łono,
A teraz przejdźmy...

(Uroczyście wznosi rękę).

GNOIŃSKI (biorąc go za rękę).

Panie Kalasanty!
Przejdźmy do stołu, gdzie miód zastawiono.

SZLACHCIC (z ukłonem do Lackiego).

Głosiłbym dalej, ale nie mam czasu
Brnąć w miodopłynnej wymowy powodzi;
Wody hyblejskiej, z Kastalu, z Parnasu,
Sarmackim miodkiem zapić nie zaszkodzi.

(Bierze puhar miodu, kosztuje i mówi):

Wyborny napój!... O, nam się nie godzi
Hyblejskich pszczółek zazdrościć wam, Greki.
U nas miód warzył Piast, król i kołodziej,
I pić go kazał na potomne wieki!

(Szlachta się śmieje).

SZLACHCIC PIERWSZY (z puharem).

Czytajcie waszmość o piwie i winie,
Niech nasz Klonowicz, niech Acernus powie:
Wino rzecz ludzka, wino z ziemi płynie,
Miodek z powietrza stworzyli bogowie.

DRUGI ZE SZLACHTY (ze szklanicą piwa).

Ja wolę piwo...

SZLACHCIC PIERWSZY.

Polak zasiał pole,
Polskim jęczmieniem zarodziła niwa,
Polak go pożął, zwiózł, zmłócił w stodole;
Wtem przyszedł Niemiec i nawarzył piwa!

(Śmiech ogólny).

SZLACHCIC DRUGI.

Oj warzy Niemiec... ale krotochwile
Pan Kalasanty jeszcze lepiej warzy.

GNOIŃSKI.

Panowie bracia! poucztujcie chwilę,
A ja postoję przy koniach na straży;
Potem mię z warty zluzuje kto łaska.

SZLACHCIC PIERWSZY.

O! już na dzisiaj nie doznawaj biedy!
I nasze konie, i wasza kolaska,
Jakby za murem u Semiramidy.
O murach Troi pisze Iliada,
Stajnia tu krzepka, jak trojańskie wały.

GNOIŃSKI.

A przecież fortel i przewrotna zdrada
I w mury Troi dostać się zdołały.

(Odchodzi).

SCENA ÓSMA.

Szlachta na stronie w milczeniu zapija. Na przodzie sceny

LACKI i HELENA.

HELENA (podając rękę Lackiemu).

Jak senna marzę i sobie nie wierzę,
Czyś, panie Jerzy, żywy, czy umarły?

LACKI.

Cztery miesiące!... wyznajcie mi szczerze,
Czy mię z waszego serca nie wydarły?

HELENA.

Krzywdzisz mię waszmość: czyż polska dziewica
Raz przyrzeczonej wiary nie dochowa?
A moje dla was kochanie podsyca
O waszych czynach wiadomość wciąż nowa.
Ja was jednego wybrałam na świecie,
Bo tutaj bez was któż mię uszczęśliwi?
Wy... powątpiewać dziś jeszcze możecie?
Nie, panie Jerzy, wy niesprawiedliwi...

LACKI.

Miałbym nie wierzyć twej szlachetnej duszy!
Och! gdyby wojna skończyła się skoro...

(Cicha rozmowa).

SZLACHCIC PIERWSZY (do innych).

Kiedy król szwedzki za morze wyruszy,
Ja przepowiadam, oni się pobiorą.
Ja wiem co mówię: przy pomocy Boskiej
Jestem astrolog i prorok nielada!

SZLACHCIC DRUGI.

Co z kalendarza, stanąwszy wśród wioski,
Zaćmienie słońca chłopom przepowiada.

SZLACHCIC PIERWSZY.

Córkę Tarpeja strącono w przepaści,
Z tego wynika...

SZLACHCIC DRUGI.

Rzuć twych słów brylanty!
Nikt nie zarzuci, że erudyt z waści.
W ręce waszmości, panie Kalasanty!

(Piją).

SZLACHCIC DRUGI.

Lecz idzie o to, czy pić wodę czystą,
Kiedy zawita wielki dzień wesela?

SZLACHCIC PIERWSZY.

Ja trzymam z królem, z prorokiem, psalmistą,
Że wino serce ludzkie rozwesela!
Miodek rzecz dobra! i ja miodek lubię;
W piwku Bożego nie pogardzam daru;
Wszystko uchodzi — no! ale przy ślubie
Szlachetniejszego chcę zażyć nektaru.

(Piją).

LACKI (do Heleny).

Ja, przy Czarnieckim odbywszy walk tyle,
Lepiej niż inny kraj widziałem w grobie.
Czy wierzysz, luba! iż bywały chwile,
Żem nawet zdołał zapomnieć o tobie?
Nieraz, jak innym, przyszła myśl wątpliwa,
Lecz na me serce nie upadła skaza;
Bo sprawa święta, chociaż rozpaczliwa,
A wódz nasz wielki, wykowan z żelaza!

HELENA.

Jerzy mój! Jerzy! nie gniewam się zgoła,
Żeś mię pochował w swojem sercu na dnie;
Lecz czy ty wierzysz, gdy cię trąba woła,
Że walczysz w sprawie, która nie upadnie?

LACKI.

O nie, Heleno! ni Szwed, ni Rakoczy,
Kędy stanęli, nie mogą pójść dalej!
Barwianem szkiełkiem zaświecili w oczy,
A im się zdaje, że wszystko zdziałali.

Że przyjął złoto jakiś przeniewierca,
Że dał się skusić prostak bezrozumny;
Już oni sądzą, że z naszego serca
Fałszywym bogom postawią kolumny!
O jacy mali!... jacy oni mali,
Że śpią spokojnie pod tak lichą strażą!...
Są jeszcze prawa, które podeptali,
Jest jeszcze kościół, który lekceważą.
Im się wydaje w chwilowym obłędzie,
Gdy rzesza do nich tłoczy się ciekawa,
Że szlachta nasza obojętna będzie
O święty kościół i o święte prawa.
Ha! ale u nas silne jest uczucie,
Ślepi, przejrzawszy, postawią się śmiele:
Nie dadzą słówka wyrzucić w statucie,
Ani cegiełki wyrzucić w kościele.
Na tych podstawach stojąc niezachwianie,
Czyżbyśmy dbali na zbójeckie noże?
Bóg kształty krajów zakreślił na planie,
Bóg tylko jeden przekształcić je może!

HELENA.

Dzięki ci, Jerzy! wlewasz wiarę nową,
Że znów odetchniem z Janem Kazimierzem.
Boże! nad mężnych bojującą głową
Modlitwa moja niech będzie puklerzem!

LACKI.

Kto idzie walczyć spodziewać się może,
Że nie przyniesie głowy z bojowiska;
Lecz czuję w sercu jakieś tętno Boże,
Jakiś mi promień przed oczyma błyska.
Od Baltyckiego do Czarnego morza
Pogodny błękit spostrzegam nad krajem;
I widzę ołtarz, u jego podnoża
Słyszę, jak wiarę i miłość wyznajem;
I pod lipami mojej cichej wioski

Oglądam ciebie w uroczej postaci;
Widzę przed sobą najwyższy dar Boski:
Szczęście domowe wśród szczęścia współbraci.

HELENA.

Żołnierz... a jednak przed twemi oczyma
Snuje się obraz spokojności samej.

LACKI.

Przebacz, żołnierzy w naszem wojsku niema,
Tylko obrońcy tego, co kochamy.
Niejeden naród męstwa nam zazdrości!
Cóż nasze męstwo? — to wiara z nadzieją!
Cóż nasze piersi? — u źródła miłości
Niezwyciężonym hartem kamienieją.
Gdyśmy w pancerzu, gdy z bardyszem w dłoni,
Wśród ryku armat, wśród morderczej chwili,
Marzym, jak na wsi dzwon kościelny dzwoni,
Na naszej strzesze jak jaskółka kwili,
Jak buja żyto, jak się łąka kwieci,
Jak tam zbierają kwiaty niemowlęta.
Wspomnisz ten kościół, tę strzechę, te dzieci,
To za nich walczysz, i ofiara święta
Bardziej a bardziej odwagę podsyca,
Lwem czyni człeka w stanowczej godzinie.
Oto naszego męstwa tajemnica!
Ona zaginie — i męstwo zaginie.

HELENA.

O! ja pojmuję tę miłość rycerzy,
Co cuda męstwa rozpala w ich łonie;
Lecz wiele wody, łez i krwi ubieży,
Nim nasza ślubna gromnica zapłonie.
Niejedną wojną wre Rzeczpospolita,
Na długo twoją opuścisz niebogę...
Jerzy! Bóg z nami!

(Podaje mu rękę).

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ, PIELGRZYM (wychodzi z lewej strony, przecierając oczy). (Po chwili Gnoiński ukazuje się we drzwiach).

PIELGRZYM.

Co widzę! już świta,
Zaspałem nieco, wielki czas do drogi.
Gdzieś moje sakwy zostały na ławie.

(Idzie ku stronie pijącej szlachty, za nim Lacki).

(Do szlachty):

Tu moje sakwy, tu mój kij sękaty.

(Do Lackiego):

Czego tak waszmość poglądasz ciekawie?

LACKI.

Znamy cię, ptaszku, nie z dzisiejszej daty!

(Chwyta go za ramiona).

(Do szlachty):

Mości panowie! kto z Czarnieckim trzyma,
Niech tego starca ująć mi pomoże.
To jest szpieg szwedzki...

SZLACHTA.

Chwytajcie pielgrzyma!

PIELGRZYM.

To chyba na was zaślepienie Boże!
Kto mi dowiedzie?

LACKI.

Ja sam ci dowiodę,
Ja sam odkryję twe bezecne plany,
Niezręczny szpiegu! Przyprawiłeś brodę,
Z którą niedawno byłeś przydybany.
Czy mię pamiętasz?

PIELGRZYM (krzyczy).

Brońcie, gospodarze!
Tu gwałt się dzieje na me stare lata!

(Jeden ze szlachty odrywa mu brodę).

SZLACHTA (wydobywa szable).

To szpieg!!

HELENA (wpatrując się w pielgrzyma, z rozpaczą).

To brat mój!...

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Powinność nam każe
Dziś nie oszczędzać ni swata, ni brata...

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ i GNOIŃSKI.

GNOIŃSKI (wpada z dobytym sztyletem).

A nawet syna... Bo kto przeniewierca,
Temu sam nawet Pan Bóg nie przebacza!
Tyś serca nie miał, nie mam dla cię serca:
Z ojca własnego zrobiłeś siepacza!

(Przebija pielgrzyma. Pielgrzym pada).

GNOIŃSKI.

Giń, zdrajco!...

(Po chwili bolesnego wahania się uklęka).

Synu!... przebacz mi i wskrześnij!
Cóżem uczynił w uniesienia chwili?

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Rzymianinowi wszak było boleśniej,
Gdy przebił córkę, by jej nie shańbili;
A on się shańbił...

GNOIŃSKI (nieprzytomny).

Widzisz, panie Jerzy!
Hańba!... szpieg... syn mój... upada nieżywy;
Ojciec go zabił!...

HELENA.

Ach! kto w Boga wierzy,
Ratujcie ojca!...

LACKI.

O ja nieszczęśliwy!
Królu! Czarniecki!... toż moja zapłata,
Za waszą sprawę żem nadstawiał szyję!
Patrzcie, com zdziałał!

HELENA (z rozpaczliwym wyrzutem).

Tyś zabójcą brata!
(Klęka przy trupie).

GNOIŃSKI (w obłąkaniu).

Patrz, panie Jerzy, czy mu puls nie bije?
(Usiada obłąkany).

GOSPODARZ (wchodząc, do Jerzego).

Wasz koń już gotów!... Co! trup tu się tarza?

LACKI.

Głos obowiązku!... O, lecę już, lecę!
(Rzuca gospodarzowi kieskę ze złotem).

Trupa ze szlachtą nieście do cmentarza,
A tych nieszczęsnych miejcie w swej opiece.
Muszę biedz... listy doręczyć królowi,
A potem... potem... pożegnać świat marny...
Przyjdę zobaczyć, czy żywi, czy zdrowi,
(Z rozpaczą):
I strzaskać głowę o kamień cmentarny.
(Wybiega. Szlachta krząta się około pielgrzyma, Gnoińskiego i Heleny).
(Zasłona spada).

AKT TRZECI.

Mieszkanie królowej w Głogowie na Śląsku; komnata królowej — stół zawalony papierami. Jeden Paź krząta się i ustawia sprzęty, drugi Paź wchodzi i mówi.

SCENA PIERWSZA.

PIERWSZY PAŹ.

Królowa jejmość pewnie nieubrana,
Albo spoczywa po wczorajszej pracy.

DRUGI PAŹ.

O, gdzie tam! pisze od samego rana,
Spocząć jej nigdy nie dadzą Polacy.
Dziwnaż to Polska! rady sobie nie da,
Choć ma rycerstwo, i konie, i bronie.
Gdyby tak na mnie, przepędziłbym Szweda
Jednym zamachem.

PIERWSZY PAŹ.

Milczałbyś, Gaskonie!
Być Lubomirskim, lub dzielnym Czarnieckim,
Być Koniecpolskim, nie tak łatwa sztuka!
Im trudno idzie z najezdnikiem szwedzkim;
Mędrsza ich głowa niż twoja peruka.
Czyś kiedy słyszał, by sama królowa
Bez uwielbienia wspomniała tych ludzi?
Lub rzekła jakie pogardliwe słowa
O naszej Polsce?

DRUGI PAŹ.

Ta Polska mię nudzi!
U nas w Paryżu, na królewskim dworze,
Jest blask przynajmniej, jest monarsza świta,
Człowiek z płcią piękną zabawić się może,
Może potańczyć, naśmiać się do syta.
A tutaj pusto, grobowo, bezładnie,
Rój starych zrzędów królową otoczy,
Jedno a jedno do uszu jej kładnie:
A Szwed, a Tatar, a jakiś Rakoczy!
Jak się im takie gadanie nie sprzykrzy?
Choćby dla zmiany pośmieli się trochę.
Dziki to naród.

PIERWSZY PAŹ.

Ty sam jeszcze dzikszy,
Żeć teraz w głowie pustowanie płoche,
Gdy senatorów, bohaterów głowy
Pełnią przy pani obowiązek święty,

Tobie się przykrzą ich ważne rozmowy:
To idź, Francuzie, chichotać z dziewczęty!

DRUGI PAŹ.

Dziewczęta wasze, jak odlane z lodu;
Ja, com w Paryżu dokazywał cuda,
Tu, żal się Boże marnego zachodu,
Nawet rozśmieszyć żadnej się nie uda.
Królowa jejmość te nudne szlachcianki
Kocha i pieści więcej niźli warto.

PIERWSZY PAŹ.

Bo to rycerzów córki i kochanki,
Lub tych, co z domu własnego wyparto.
A że królowej matczyna opieka
Dała przytułek nieszczęsnej dziecinie,
Za to ją wdzięczność od narodu czeka,
Błogosławieństwa niejedna łza spłynie.

DRUGI PAŹ.

Łzy a łzy wieczne... jakże one szpecą!
Tu pięknych dziewcząt jest orszak niemały,
Możnaby oczki rozweselić nieco,
A te od płaczu aż ponabrzmiewały.
Ot tej na przykład Gnoińskiej Helenie,
Co ją niedawno przywieźli do dworu,
Niczego nie brak — postać i spojrzenie,
Mógłby ją malarz rysować dla wzoru;
Ale cóż z tego?... ustawnie łzy leje,
Ustawnie wzdycha, niewiadomo poco.

PIERWSZY PAŹ.

A czy słyszałeś bolesne jej dzieje?
A czy wiesz dobrze jej dolę sierocą?
Pieszczone dziecię bogatego człeka
Żyło jak ptaszę w rodzicielskim domu;
Wtem brat jej starszy do Szwedów ucieka,
Bo z Radziejowskim związał się kryjomu.
Ojciec go przeklął. Już biedna dziewczyna

Poczęła boleć boleścią rodzinną;
Biedne jej serce już cierpieć poczyna,
Co cienia troski znaćby nie powinno.
Lecz Bóg zna serce, ile cierpień zmieści,
I od rozpaczy nieszczęsną ochrania:
Gorzkie uczucia domowej boleści
Osłodził miłem uczuciem kochania.
Pan Jerzy Lacki, rycerz zawołany,
Zdobył jej serce... Kochała dziewczyna,
Ojciec, chcąc zgoić swego serca rany,
Chciał nim zastąpić straconego syna.
Po zaręczynach dzień ślubu wybrano.
Wtem weszli Szwedzi na zgubę tej ziemi;
Wszystko rycerstwo na koń powołano:
Lacki na boje poleciał z drugiemi.
Próżno nieboga i tęskni, i kwili...
Ale te czasy nieszczęśliwe znacie:
Któraż niewiasta nie płacze w tej chwili
Po ojcu, mężu, kochanku lub bracie?
Lecz sroższym ciosem Niebo ją nawiedzi,
Jakby skazawszy na ciągłe ofiary.
Dom jej rodzinny zrabowali Szwedzi,
Wioskę spalili, tak, że ojciec stary
Musiał uciekać tutaj w śląskie kraje.
Jechała z ojcem. Już kresu dobiega,
Wtem gdzieś w gospodzie Gnoiński poznaje
Zbiegłego syna, wiarołomcę, szpiega;
Więc oburzenia gniewem się zapala:
Zabija syna, jak Brutus surowy!
Dziś obłąkany wzięty do szpitala,
Ona oddana opiece królowej.
Bez ojca, brata, bez rodzinnej strzechy,
Niepoślubiona, gdy ołtarz był gotów, —
Czy chciałbyś jeszcze, by stroiła śmiechy,
Lub twoich pustych słuchała zalotów?

DRUGI PAŹ.

Prawda, sierota, bardzo nieszczęśliwa!
Lecz poco płakać? to na oczy szkodzi.

(Słychać za sceną dzwonek).

Ale królowa na służbę mię wzywa,
A waszmość zostań, bo ktoś tu nadchodzi.

SCENA DRUGA.

PAŹ, otwiera drzwi boczne; wchodzi ALEKSANDER KONIECPOLSKI, wojewoda sandomierski.

WOJEWODA (do Pazia).

Jak zdrowie naszej najjaśniejszej pani?
I czy już wstała?

PAŹ.

O, wstała już dawno!
Dworscy Francuzi już wszyscy zebrani.
Ona jest teraz listami zabawną;
Lecz jak się dowie, że pan wojewoda
Chce posłuchania, to pewno przybędzie.

(Paź odchodzi).

WOJEWODA (do siebie).

Cóż ja jej powiem? Codzień nowa szkoda,
Pożoga wojny rozlała się wszędzie.
Wszędzie przegrana, zagrodzono drogę,
A my tu żywot prowadzim bezczynny...
Musimy patrzeć zaparci zagrodą,
Jak niszczą nasze krainy bogate.

(Uchylają się podwoje w głębi).

SCENA TRZECIA.

Wchodzi KRÓLOWA, za nią kilka dworskich PANIEN, w ich liczbie HELENA GNOIŃSKA.

KRÓLOWA (wesoło).

Niedobry jesteś, panie wojewodo,
Że tak nieczęsto odwiedzasz mą chatę;

I książę prymas nie lepszy od waści.
Chociaż król waszej powierzył mię straży,
Żaden nie przyjdzie bronić od napaści,
Chociażby Głogów oblegli Tatarzy.
Lecz gdy mię polski opuścił obrońca,
Z hanem tatarskim zawarłam przymierze,
I mój przyjaciel, stryjeczny brat słońca,
Pisuje do mnie serdecznie a szczerze.
Czytaj, com dzisiaj otrzymała z rana...

(Oddaje mu list).

Miłosny bilet od Achmet-Gireja.

(Usiada).

WOJEWODA (przeczytawszy list).

O dobry Boże! pomoc niespodziana.

KRÓLOWA.

Cóż wojewodo! jeszcze jest nadzieja?

WOJEWODA.

Pisze, że przyjdzie w dwadzieścia tysięcy
I Rakoczego od Krymu otoczy.
O! muzułmani dobrzy sprzymierzeńcy!
Wzięty w dwa ognie, podda się Rakoczy.
Kiedyśmy niemal do szczętu złamani,
Bóg miłosierny jeszcze nas ochrania.
Ty zbawiasz kraj nasz, najjaśniejsza pani!
Ja ci zazdroszczę twego panowania.

KRÓLOWA (smutno).

Nie, wojewodo, nie zazdrość mej doli,
Nie zazdrość mojej korony i krzyża.
Gdy na samotność człowiek się wyzwoli,
Dusza się jego do Aniołów zbliża.
Wszystko mię teraz dręczy, niepokoi,
Wśród ciągłej walki obumiera siła.
O! proście Boga, przyjaciele moi,
Aby mi prędzej samotność wróciła!

Tak jest... samotność, spoczynek choć w grobie,
Byleby skończyć tę drogę mozolną.

(Powstaje z zapałem).

Nie, wojewodo, ani mnie, ni tobie,
Teraz nikomu umierać nie wolno!
Idzie o króla, idzie mi o męża,
Idzie nam wszystkim o całość tej ziemi.
Użyjmy pióra, użyjmy oręża,
Brońmy ich, brońmy siłami wszystkiemi!
Użyjmy zdrady — choćby nawet zdrady,
Byle ocalić ich życie i zdrowie.

(Chłodniej).

Wiesz, wojewodo! w tej chwili układy
Mój szpieg ze Szwedem rozpoczął w Krakowie.

(Ciszej).

Niektórzy Szwedzi zdradzą swego króla,
Poddadzą Kraków, wątpliwości niema.
Pisz Czarnieckiemu, niech wpadnie jak kula,
Jak tylko hasło ode mnie otrzyma.
Lecz z głębi kraju dotąd nie mam wieści,
Coś niepokoi, coś mię serce boli.

WOJEWODA.

Och, dobra pani! boleść po boleści
Musimy przenieść, nim nas Bóg wyzwoli,
Piszą mi z Rusi — pogłoska tam lata,
Przebacz mi, jeśli tą wieścią zatrwożę:
Pan Jan Zamoyski ze Szwedem się brata,
Podda mu Zamość, lub poddał już może.

KRÓLOWA (śmiejąc się wesoło).

O! co już temu, to śmiało nie wierzcie,
Dajcie mu pokój, panie wojewodo!
Na Zamoyskiego mam sidła niewieście:
Patrz tylko na tę swawolnicę młodą.
Kaźmira d'Arquin figlarne ma oczy,
Lecz dobrej sprawie służą te figlarze;

Pan Jan Zamoyski i do morza wskoczy,
W ogień poleci, jeśli ona każe.
On moją wolę spełnia co do joty,
Na nim się nigdym jeszcze nie zawiodła.
Och wy, mężczyźni! gdyby wasze cnoty
Z ich prawdziwego upatrywać źródła!...
Jeden krajowi zda się wylan cały,
Bo bogatego starostwa chce w darze;
Drugi, jak rycerz, idzie w pole chwały,
Bo mu tam piękna dziewczyna iść każe.
Zajrzeć do serca waszego tajnika:
Namiętność, chciwość lub próżność dziecinna...
Zręczna kobieta zawsze to przenika,
I ze wszystkiego korzystać powinna.
Widzisz, żem szczera.

WOJEWODA.

Pani miłościwa!
Widzę, że umiesz trzymać nas pod władzą.

(Słychać trąbkę).

KRÓLOWA.

Spójrz, wojewodo, czy goniec przybywa?
Jeśli są listy, niech je tu podadzą.

WOJEWODA (patrząc w okno).

Goniec z listami.

KRÓLOWA.

O, są listy przecię!
Drżę cała... serce jakby ścisnął głazem.
Prędzej mi listy!

(Do Panien dworskich):

Wy odejść możecie.

(Do wojewody):

A wy zostańce, — przeczytamy razem.

SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA, WOJEWODA, potem LACKI.

KRÓLOWA (wznosząc oczy do Nieba z modlitwą).

Panie Zastępów, łaski Twojej, łaski!

(Niecierpliwie do wchodzącego Lackiego).

Jakież mi niesiesz waszmość wiadomości?

LACKI (z pokłonem).

Pan Opaliński, wojwoda podlaski,
Śle swoje służby Jej Królewskiej Mości.

(Oddaje list).

KRÓLOWA (odbiera go drżącą od wzruszenia ręką i łamie pieczęć).

Głoski się chwieją przed oczyma memi!

(Oddaje wojewodzie list).

Chciejcie przeczytać, co tu napisano.

WOJEWODA (przebiegłszy list).

Na czele szlachty wielkopolskiej ziemi
Zbił Opaliński Szwedów pod Kościaną.
Dwa ich tysiące wyprowadził w pole,
Udał ucieczkę, sparł w głęboki parów;
Samego wodza zabrawszy w niewolę,
Posłał do króla z dziewięcią sztandarów.
A insza szlachta pomniejsze zamczyska
Poodbierała Szwedom niespodzianie,
I ma nadzieję, że resztę odzyska.

KRÓLOWA (z zapałem).

O! dzielny naród ci Wielkopolanie!
Jeżeli w Polsce zapał taki samy
Zdoła u szlachty ożywić się wszędzie,
To jeszcze Szwedom oprzeć się zdołamy,
Za dwa miesiące już ich tu nie będzie.
Wytchną nakoniec królewscy poddani!
No! cóż tam dalej pisze wojewoda?

WOJEWODA.

Poleca łaskom najjaśniejszej pani
Tego młodzieńca, co to pismo poda:

)n ze śmiałością walcząc niepojętą,
)obrze zasłużon przed Rzeczpospolitą;
'rzez niego wodza szwedzkiego ujęto,
'rzez niego wszystkie sztandary zdobyto.

KRÓLOWA (patrząc na młodzieńca).

)! to pan Lacki! On od Czarnieckiego
Vieść króla w Polskę jawił się z usługą.
eszcze powracać nie było do czego,
Vięc się rzecz zwlekła...

(Z westchnieniem):

Bóg wie, jak na długo.
'asza z waszmością znajomość nieświeża,
o po raz drugi tu się go spotyka.
Viernych poddanych Jana Kazimierza
ie zapomina Marya Ludwika.
'ad narzeczoną prosiłeś opieki;
pełniłam prośbę — ona już przy dworze.
ochasz i walczysz, jako w dawne wieki,
ecz musisz wyznać, żeś trafny w wyborze.
ubię, gdy widzę rycerza kochanka,
o to szlachetną duszę zapowiada.
ospanie Lacki, królowa wygnanka
'aszeby męstwo wynagrodzić rada;
le w tej chwili mam środków za mało
'agrodzić ciebie i twe towarzysze.
asługi wasze król uwieńczy chwałą,
raj w karcie dziejów, Bóg w Niebie zapisze.
ziś, kiedy idziesz laur zdobywać nowy,
'idokom pańskim służyć za narzędzie,
rzyjmij ten pierścień, pamiątkę królowej.

(Oddaje mu pierścień i mówi z dobrocią półgłosem):

'krótce, jak mniemam, przydatny wam będzie.

LACKI.

a waszą dobroć wynagrodzą Nieba.

KRÓLOWA (do Wojewody).

Chodź, wojewodo, do mojej komnaty,
Opalińskiemu dać odpowiedź trzeba.
(Do Lackiego):
Wy zaczekajcie.
(Odchodzi, za nią wojewoda).

SCENA PIĄTA.

LACKI (podczas jego monologu słychać trąbkę).

LACKI (do siebie).

Ona tu na dworze!
Cóż jeśli spotka, jeśli mię zobaczy?
Natchnij mię radą, miłosierny Boże!
Czy mam ją widzieć, czy umrzeć z rozpaczy?
Tak jest, ucieknę, ucieknę w kraj świata,
Na pole bitwy, kędy śmierć mię woła.
Zabiłem ojca, zabiłem jej brata,
Ona mi nigdy przebaczyć nie zdoła!
Samby mój widok rozjątrzył na nowo
W biednem jej sercu smutne przypomnienie.
Ale spełniłem powinność krajową,
Serce mię boli, lecz się nie rumienię.

SCENA SZÓSTA.

LACKI, potem STRZEMIEŃ w podróżnym ubiorze, jak Lacki

STRZEMIEŃ (zakłopotany).

Gdzie też królową znajdę na ostatek?
Pilno to pismo oddać jej należy.
(Postrzegając Lackiego):
A! góra z górą!... o! trzy kopy latek!...
A cóż porabiasz tutaj, panie Jerzy?
A jak ci zdrowie, kochany kolego?

LACKI.

Witam cię, witam, panie Floryanie?

(Ściskają się).

STRZEMIEŃ.

A pocoś waszmość z pułku Czarnieckiego
Zniknął tak nagle i niespodziewanie?

LACKI.

Sam wódz mię wysłał, bym Wielkopolany
Wezwał do sprawy króla i narodu,
I uniwersał przez niego wydany
Obwiózł po szlachcie od grodu do grodu.
Szlachta przyjęła takowe wezwanie:
Na wielkie rzeczy tam się dziś zanosi.
Cóż u was słychać, panie Floryanie?

STRZEMIEŃ.

O czem? o wojnie, czy o mojej Zosi?
Oj Zosia! Zosia! to rozumny ptaszek!
A ja liczyłem na jej lata młode.
Ledwiem wyjechał, jakiś młodzieniaszek
Już w sercu panny zapisał gospodę.
A ja wierzyłem — lecz co dnia i co dnia
Jakiś niepokój udręczał mą duszę.
Więc proszę wodza: choć na pół tygodnia
W strony domowe oddalić się muszę.
Wódz się nie zgodził raz, drugi i trzeci,
Wreszcie go znudził mój jęk nieustanny:
Pozwolił. Jadę — słyszę, co się świeci:
A toś mi taki, mój kwiatku różany!
Więc ja z wymówką, Zosia w płacz, w wykręty,
Lecz ja się srożę, jak Bolesław Chrobry!
Wreszcie wyznała, że tu Pan Jacenty
Czasem tak sobie... przyszedł na dzień dobry.
— „Czy tak! krzyknąłem, ja go tu wytropię,
„Obetnę uszy i niech mię pozywa."
Lecz pan Jacenty schował się w konopie,

A ona wkońcu płacze nieszczęśliwa,
Że ja nie wierzę, że tylko ją czernię,
Że mnie miłuje swojem sercem całem.
Takie mię słowa wzruszyły niezmiernie,
Lecz do obozu powracać musiałem.

LACKI.

A cóż tam Szwedzi?

STRZEMIEŃ.

Pal ich szatan, Szwedzi!
Żołnierzom polskim niestraszna ich tłuszcza.
To mi Szwed gorszy, co w konopiach siedzi
I do mej Zosi konkury przypuszcza.
A chciałem, chciałem na samem odjezdnem
Dobrze się zemścić nad takim wisielcem.

LACKI.

Lecz gdzież Czarniecki?

STRZEMIEŃ.

Miał bitwę pod Gnieznem,
Potem pod małem miasteczkiem Kościelcem.

LACKI.

Czyjaż wygrana?

STRZEMIEŃ.

A Bóg wie to święty!
Była kurzawa i dym od armaty.
Mnie w każdym Szwedzie zdawał się Jacenty,
A więc każdego rąbałem na szmaty;
Jak wszyscy podli, jako wszyscy tchórze,
Pierzchnął niegodny przez zarośle ciemną.

LACKI.

Szwed pierzchnął od nas! O, dzięki Ci, Boże!

STRZEMIEŃ.

Nie, to Jacenty tak pierzchnął przede mną.
Ale nie ujdzie, ja dotrzymam słowa,
I jakem szlachcic, obetnę mu uszy!

LACKI.

Panie Floryanie! czyż sprawa domowa
Niźli publiczna bardziej ci na duszy?

STRZEMIEŃ (z urazą).

A czyż nie niosę za Rzeczpospolitą
Głowy na kule, miecze i bardysze?
A czy tam Szwedów, czy naszych pobito,
To wódz w tych listach do królowej pisze.
A czy ja hetman? czy do mnie należy
Liczyć zabitych i ranionych głowy?
Ja z listem jadę; powiedz, panie Jerzy,
Jak tu otrzymać przystęp do królowej?

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i PAŹ, potem HELENA.

PAŹ.

Od Czarnieckiego jest posłaniec świeży,
Królowa jejmość przyjąćby go rada.

(Strzemień kłania się: — Paź do Strzemienia):

Proszę iść za mną.

STRZEMIEŃ (do Lackiego).

Ależ, panie Jerzy,
W tej burce stanąć przed nią nie wypada.

(Zrzuca burkę).

Jam przecię niby poseł uroczysty,
Ja muszę stanąć w rycerskiem żelezie.

HELENA (wchodząc zakłopotana z paczką listów).

Do wojewody podlaskiego listy,
Które pan Lacki w Poznańskie powiezie.

(Paź, za nim Strzemień odchodzą).

SCENA ÓSMA.

LACKI, HELENA. (Helena drżącą ręką oddaje listy Lackiemu).

LACKI.

Wszystko oznacza duszę przebolałą,
Ta zmiana w głosie, te rąk waszych dreszcze.
Czynicie sobie ofiarę niemałą,
Żeście raczyli obaczyć mię jeszcze.

HELENA.

Rozkaz królowej, nie zaś własna wola
Tu mię przywiodła oddać to pisanie.
A cóż dziwnego, że ciężka niedola
Tak mię zmieniła w waszych oczach, panie!
I w rzeczy samej, łzy ciągle mi płyną,
Śmiertelna rozpacz w moich piersiach pała!

LACKI.

To ja, Heleno, waszych łez przyczyną!

HELENA.

Ty, ojciec, brat mój, wszyscy, com kochała!
Lecz ja nikogo... nikogo nie winię:
Taki był wyrok, tu skargi na stronę.
Boleć i płakać chciałabym jedynie,
Rozpamiętywać me szczęście minione
Na łonie ojca, z marzeniem o tobie,
Wśród cichej wioski, gdzie się wszystko śmieje.
Dziś moje wszystko pochowano w grobie:
Ojca i brata, wioskę i nadzieje.
Ty jeszcze żyjesz, tyś chluba rycerzy!
Kiedy świat twoje podziwia przymioty,
Ja mniej cię kocham; tak jest, panie Jerzy,
Lękam się twojej Katonowskiej cnoty.
Tyś nic nie winien, że brat był zbrodniczy,
Że ojciec syna zbryzgał się posoką;
Jednak ku tobie żal pełny goryczy,
Żal córki, siostry, pozostał głęboko.

LACKI.

Och! czuję, czuję, co ciebie odkłania,
Widzę z rozpaczą mą dolę złowrogą!
Ależ twój ojciec wyjdzie z obłąkania
Piękną twą wioskę odbudować mogą.
A ja z uczuciem synowskiem a świętem
Jegobym stare pielęgnował lata!

HELENA.

Zawszebym jednak patrzała ze wstrętem,
Jak na mordercę jedynego brata.
O! zapomnijmy tę przeszłość minioną!
Nie dla mnie szczęście w miłości człowieczej.
Pójdę na Boże przytulić się łono,
Klasztorna cela może mię uleczy...
Czemu łza w oczach, źrenica tak pała?
Czemu z twych piersi ten jęk się wyrywa?

(Biorąc go za rękę z rozrzewnieniem).

O! nie chciej Jerzy, bym ciebie kochała,
Bo będę bardziej... bardziej nieszczęśliwa!
Czy chciałbyś twojej nieszczęścia niebodze?
Jedź, jedź stąd prędzej... spełnij chlubne dzieło,
Szczęście i sławę znajdź na twojej drodze...

(Po chwili, wzruszona):

I zapomnienie tego, co minęło.

(Ściska mu rękę i śpiesznie odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

LACKI (sam).

(Osłupiały).

Sen to... czy prawda?... Ależ prawda przecię:
Głosu jej słyszę ostatnie odbicie...
I ja sam jeden zostaję na świecie...
Życie bez jutra, bez nadziei życie.
Więc mi nie wolno marzyć nawet we śnie...
Więc bez powrotu moje szczęście znika!

Nigdy, mój Boże... nigdy mi nie wskrześnie,
Nikt go nie wróci!...

SCENA DZIESIĄTA.

Wchodzą KRÓLOWA, WOJEWODA, STRZEMIEŃ i PAZIOWIE.

KRÓLOWA (do Lackiego).

Marya Ludwika
Zna twoją boleść, mości panie Lacki.
Wiem, ile cierpi to biedne niebożę;
Lecz Bóg dał władzę królowej sarmackiej,
Że łzy poddanych jeszcze otrzeć może.
Swemu królowi kto tak wierność chowa,
Kto jej dowodzi i krwią, i zasługą,
Spraw jego serca strzedz będzie królowa,
I nie pozwoli, aby cierpiał długo.
Bądź dobrej myśli, — my ręczymy sami,
Bógdajby nasza zdała się opieka!
A teraz na koń, — pośpieszaj z listami,
Bo pan Sieniawski niecierpliwie czeka.

(Podaje mu rękę do ucałowania, Lacki ją z uszanowaniem całuje).

(Zasłona spada).

AKT CZWARTY.

(Rzecz w Gdańsku).

Mała izba straży przed królewską salą obrad; dwaj halabardnicy stoją u drzwi na lewo. Zegar bije dziesiątą: za ostatniem uderzeniem kurtyna się podnosi.

SCENA PIERWSZA.

Dwaj HALABARDNICY, potem GNOIŃSKI wchodzi z tejże strony.

GNOIŃSKI (do siebie).

Zobaczę króla o dziesiątej rano...
Spowiedź mej zbrodni on wysłucha bacznie.

(Wchodzi do izby; Halabardnicy krzyżują przed nim halabardy).

PIERWSZY HALABARDNIK.

Teraz nikogo wpuszczać nie kazano.

DRUGI.

Za pół godziny obrada się zacznie.

PIERWSZY.

Potem sąd będzie, co wymierza kary,
Sąd, który żadnej zbrodni nie przebacza.

GNOIŃSKI.

Powiedz królowi, że przyszedł dziad stary
Oddać swą głowę pod topór siepacza,
Co zabił syna... rozumiesz, kolego?...
Wnet król jegomość przywołać mię każe.

PIERWSZY Z HALABARDNIKÓW.

Żeś zabił syna, a co nam do tego?
My tu w przedsionku odprawujem straże.
Wejść tu nie wolno!...

GNOIŃSKI (nieprzytomnie).

Idę wedle prawa!
Mój syn... uważasz... jął się szwedzkiej strony
I został szpiegiem Karola Gustawa.

(Cicho do Halabardnika):

Ja go zabiłem...

HALABARDNIK.

Jakiś dziad szalony!

GNOIŃSKI.

Sprawie królewskiej usłużyłem szczerze,
Ale zgrzeszyłem... pokuty mi trzeba.
Niech prawny wyrok życie mi odbierze,
Mocą statutu chcę trafić do Nieba.
Idę grzech wyznać przed sądową kratą.

HALABARDNIK.

Nie wolno!...

SCENA DRUGA.

CIŻ i LACKI.

LACKI (do Halabardników).

Wpuścić!... niech stanie przy kracie.
Ja sam królowi odpowiadam za to.

(Halabardnicy wpuszczają starca).

LACKI (do Gnoińskiego, wchodząc do izby).

Ojcze mój drogi! czegoż tu żądacie?

GNOIŃSKI.

Ha!... to pan Jerzy... Pamiętasz tę żmiję,
Jak w samo serce przebodłem pacholę!

(Z zapałem):

Głowę położę i syna zabiję,
Lecz sprawy króla zdradzać nie pozwolę!
Powiem królowi, w czem jest moja zbrodnia,
Niech wedle prawa ukarać mię raczy.
Wszak my śmiertelni umieramy co dnia,
Dzisiaj z podagry, a jutro z rozpaczy.
Lecz córka moja!... zamężcia tak blizka!
Miałeś być mężem... nikt cię nie nalega...
Bo ona biedna aż dwa ma nazwiska:
Córka zabójcy, albo siostra szpiega.

LACKI.

O jak bolesno słyszeć w ustach ojca
Tak obelżywe dla córki nazwanie!

(Głośno z przyciskiem):

Tyś nie zabójca!

GNOIŃSKI.

Jakto nie zabójca?
Zabiłem syna...

LACKI.

Twój syn żyje, panie!

GNOIŃSKI.

Żyje!... czy prawda?... Gość niespodziewany
Skąd wraca: z ziemi, czy z piekielnej strony?
Gdzie jest?

LACKI.

W więzieniu... Wyleczył się z rany
I tu do Gdańska przed króla stawiony.

GNOIŃSKI.

Sądzić go będą...

LACKI.

Dziś wedle rozkazu
Sąd tu się zbierze, zwołany umyślnie.

GNOIŃSKI.

O! czemu raczej nie umarł od razu!
Gnoińskich imię kat hańbą wyciśnie
Na zaszczyt ojcu, na pociechę siostrze,
Na pamięć wiekom. O! nie doczekacie!
Gdzie jest mój sztylet? Lepiej go wyostrzę,
Uprzedzę ciebie, niedołężny kacie!...
Gdzie jest więzienie? O! będzie mi słodziej
Zabiwszy syna, co swe imię plami!
Idę...

LACKI (do Halabardników).

Nie puszczać, niech stąd nie wychodzi.

(Klęka przed Gnoińskim).

Ojcze! zlituj się nad sobą, nad nami!
Wyrok królewski los jego osłodzi!

(Słychać za sceną dzwonek. Sadza starca na krześle za kolumną).

Słuchaj go, ojcze, ze spokojną twarzą.

(Znowu dzwonek).

Podwójny sygnał, oto król nadchodzi.

(Do siebie):

W tej chwili losy ojczyzny się ważą...

SCENA TRZECIA.

Podnosi się środkowa zasłona, widać stół długi, ostawiony krzesłami jak do obrady. Wchodzą senatorowie.

KANCLERZ KORONNY, MARSZAŁEK KORONNY, za nim CZARNIECKI.

MARSZAŁEK KORONNY.

Więc powiadacie, panie kasztelanie,
Że powodzenia Szwedów już ostatki?

CZARNIECKI.

Na ziemi naszej niech tylko król stanie!
Naród bez króla, jak dzieci bez matki.
Czyż z Gdańska, mimo swe chęci gorące,
Zdoła prowadzić układ wojny całej?
Czy zdoła wzbudzić stronników tysiące,
Które na jedno słowo by powstały?

SCENA CZWARTA.

CIŻ i KRÓL.

KRÓL (wchodząc, ściska Czarnieckiego).

Panie Czarniecki! witajcie nam zdrowo!
Znowu Szwed doznał twojej dzielnej ręki.
Zniosłeś Steinboka siłę wyborową.
Ileż ojczyzna winna ci podzięki!
Łzami wdzięczności król u swego proga
Wita was tutaj, okrytego sławą.
Do wielkich nagród otwarta ci droga,
Boś się zasłużył mozolnie i krwawo.

CZARNIECKI.

Królu i panie! siłami wszystkiemi
Będę ci służył, gdzie się zręczność poda.
Od nieprzyjaciół zbawienie tej ziemi
To będzie moja najmilsza nagroda.
Ale to szczęście nie prędko się stanie:

Przy mej czujności, przy wojska odwadze,
Za wielka praca, najjaśniejszy panie!
Żebrzę pomocy, bo sam nie poradzę.
Po całym kraju rozleli się Szwedzi,
Hufiec po hufcu potrzeba ich znosić;
Moja troskliwość wszędzie ich uprzedzi,
Ale w narodzie niemasz ducha dosyć.
Lud całej ziemi, jak stado pisklęce,
Gdy ptak drapieżny matkę mu odbierze;
Najwaleczniejsi załamali ręce
I najwierniejsi zachwieli się w wierze!
Wyjazd monarszy przejął kraj rozpaczą,
Ku wygnańcowi wzdychają żałośnie.
Wracaj nam, królu! Gdy ojca zobaczą,
To sercu dzieci odwagi przyrośnie.

KRÓL.

Panie Czarniecki! już po kilka razy
Waszmość mię o to prosi i zaklina.
Boleje serce Kazimierza Wazy,
Lecz jeszcze wracać nie przyszła godzina.

KANCLERZ KORONNY.

Głowa królewska zanadto nam droga!
Wśród niebezpieczeństw, pośród mrozów zimy,
Nie sposób wracać. Wszak pełen kraj wroga:
Czyż głowę pańską na szwank wystawimy?
Dokąd powracać? Kraków i Warszawa,
Obie stolice zajęte przebojem,
Rozpierzchły senat, podeptane prawa;
Cóż ma król polski czynić w państwie swojem?
Tu wojna obca, tu wojna domowa,
Wróg goni z tyłu, wróg czeka na przedzie;
Czy sejm zwoływać, gdy szlachty połowa
Trzyma z kim innym i na sejm nie zjedzie?

CZARNIECKI (zbliżając się do króla uroczyście).

W hełmie spędziłem dziecinne me lata,
W hełmie starości doczekałem siwej:

Żołnierz za ojca, za waszego brata,
Dziś tobie służę, królu miłościwy!
Przychodzę pełen serdecznej boleści
Donieść o klęskach, co cierpim w tej chwili:
Jakżebym słodko weselsze niósł wieści,
Żeśmy spokoju miłego dożyli!
Lecz promień jutrzni na Niebios lazurze
Jeszcze nie zwalczył ciemności ponurej;
Jeszcze północne nie przegrzmiały burze,
A już od Karpat gromadzą się chmury!
Chrześcijańskiego imienia zakała,
Znalazł Rakoczy do Polski swą drogę,
Choć mu się żadna przyczyna nie dała;
Wszędy rozpuścił mordy i pożogę,
Prymas koronny, senatu zebranie,
Małżonka twoja, trwogą przerażona,
Tu mię przysłali, najjaśniejszy panie!
Śpiesz na ratunek ojczyzny, co kona!
Jeśli cię naród wśród siebie zobaczy,
Zdoła pokrzepić swą duszę zbolałą,
Nowego męstwa nabierze w rozpaczy,
Pokona wroga, albo umrze z chwałą.
Serca nam trzeba! daj nam serce, panie!
A żadna klęska już nas nie przestrasza.
Przebacz twe ciernie, przebacz twe wygnanie,
To wina losów, nie zaś wina nasza!
W imieniu rady twojego senatu,
W imieniu ludu, co dzisiaj bez chleba,
W imię królowej, co wzór daje światu,
Jak kochać naród i męża potrzeba.
W imieniu starców, i niewiast, i dzieci,
W imieniu dziejów, co-ć gotują kartę,
W imieniu świątyń, które rok już trzeci
Stoją w pustkowiu zbójecko odarte, —

(Klęka).

Błagam cię! wracaj, królu nasz dostojny!

I spraw krajowi piękny dzień wesela,
I daj nam hasło, — a my pożar wojny
Niech ugasimy krwią nieprzyjaciela!...

KRÓL.

Powstań, Czarniecki! Bohater nie klęka,
Chyba w modlitwie kiedy się rozczula.

(Podaje mu rękę i podnosi z ziemi).

Twoja, zwycięstwem namaszczona ręka,
Niech podtrzymuje rękę twego króla!
Tyś mię przekonał: jadę do was, jadę,
Niech sercem waszem mą boleść osłodzę.

(Do kanclerza):

Na wieczór zbierzcie senatorów radę;
Jutro przed świtem będziemy już w drodze.

(Do Czarnieckiego):

Panie Czarniecki! na żołnierskiem siodle,
Wszak wiesz sam o tem, trudna równowaga;
Jednak nie spadnie, nie zbłoci się podle,
Kto miłosierdzie u Niebios wybłaga.
Trzeba jutrzenki, by rozpędzić chmury:
Swoją jutrzenkę wszak mają niebianie!
Królowa Niebios, Panna z Jasnej Góry,
Królową naszą niech odtąd zostanie.

WSZYSCY OBECNI (uroczyście wznoszą ręce).

Na wieki, Amen!

KRÓL.

Kiedy plan się zmienia,
Kiedy tu zostać nie mamy już dłużej,
Czy są jakowe sprawy do sądzenia,
Byśmy je mogli skończyć do podróży?

KANCLERZ.

Jest jedna sprawa, co twe serce zrani,
Bo tu potrzeba użyć miecza kary!
Chciałbyś, monarcho, by twoi poddani

Żyli szczęśliwi, wierni cnocie starej;
Lecz sprawiedliwość, co sądzi i karze,
Tamę królewskiej łaskawości kładzie.
Każdego czasu bywają zbrodniarze,
A cóż dopiero w krajowym bezładzie?
Gdy jedni idą bronić praw korony,
Życia i zdrowia nie mając na względzie,
Drudzy przechodzą do przeciwnej strony,
Widokom wroga służyć za narzędzie.

KRÓL.

Szalony obłąd rozszerzył się razem,
Miecz buntowniczy w krwi bratniej się pławi;
Na polu bitwy gromim ich żelazem,
Lecz dla pojmanych musim być łaskawi.

KANCLERZ.

Na polu bitwy umniejsza się wina,
Jeżeli zdradę co umniejszyć może.
Ale kto listy Siedmiogrodzianina
Nosi do Szweda w przybranym ubiorze,
Raz uwolniony wyrokiem łaskawym
Na tejże zbrodni schwytany na nowo,
Czyż nie powinien ugiąć się przed prawem
I ciężką zbrodnię okupić swą głową?

GNOIŃSKI (który aż dotąd siedział osłupiały, zrywając się).

To o nim mowa! Puść mię, panie Jerzy!...
Prawda... wszak jeszcze żyje ta potwora!

LACKI.

Obrad sądowych mieszać nie należy,
Wkrótce stosowna nadarzy się pora.

KRÓL.

Tam, gdzie nagradzać trzeba towarzysze,
Zawsze i chętnie król polski nagradza;
Ale wyroków śmierci on nie pisze:
Na to są nagrody, jest hetmańska władza.
Choć mię oburza wszelki czyn zdradziecki,

Lecz może zdoła zmiejszyć się ohyda.
Wódz nasz najwyższy, pan Stefan Czarniecki,
Niech to roztrząśnie i wyrok swój wyda.

CZARNIECKI (przejrzawszy podane sobie przez kanclerza papiery).

Ja znam tę sprawę, najjaśniejszy panie!
Jam go raz pierwszy uwolnił od kary.
Dziś niepodobne twoje zlitowanie,
Bo winowajca przewinił bez miary.

KRÓL.

Któż jest ów zbrodzień?

CZARNIECKI.

Z Gnoińskich rodziny,
Imieniem Krzysztof — ród znany u świata.

KRÓL.

Jakaż jest kara za podobne winy?

CZARNIECKI.

Wieczna niesława i śmierć z ręki kata.

GNOIŃSKI (do Lackiego).

Moje nazwisko... i kat w jednej parze...
Pójdę go zabić, by mej czci nie mazał.

KRÓL (do kanclerza).

Lecz prawo nasze zbyt surowo karze.

KANCLERZ.

Sam własny ojciec już na śmierć go skazał:
Gdy się dowiedział o jego niesławie,
Sam przebił piersi wyrodnego syna.
Nieszczęsny młodzian już legł trupem prawie,
Ale w szpitalu gdy zdrowieć poczyna,
Wzięty w więzienie, czeka swych wyroków.

GNOIŃSKI (do Lackiego).

Puszczaj mię, Jerzy!... ocalę nędznika...

SCENA PIĄTA.

CIŻ i GNOIŃSKI, za nim LACKI wychodzą z ukrycia.

GNOIŃSKI (klękając przed królem).

Królu i panie! wyzwólcie go z oków,
Niechaj kat głowy jego nie dotyka.
Ja jestem ojciec... och! boli mię serce!
Wszak imię moje ma w kraju zasługi...
Czuję, że trzeba zabić przeniewiercę!
Ja sam go, królu, zabiję raz drugi,
Ugodzę lepiej... i sam się zabiję!
Nie chcę przebaczeń, prawo nie przebacza;
Tylko od hańby zachowaj mu szyję,
Zachowaj imię od ręki siepacza!

KRÓL.

Co widzę!... to wy... to wy w samej rzeczy,
Stary Gnoiński!... Pamiętasz, pod Żwańcem
Tyś nam sto koni przysłał ku odsieczy,
Gdyśmy już stali nad przepaści krańcem.
Dobrze nam tamta pamiętna wyprawa!
Przyrzekłem wtedy, że ci się odsłużę.
Lecz dzisiaj... przebacz... muszę słuchać prawa,
Prawo jest z głazu... a to praw są stróże!

(Ukazuje Czarnieckiego i kanclerza).

GNOIŃSKI.

Krzywdzisz mię, królu! Czyż ja przypomniałem,
Żem dał pod Żwańcem twój obrót zwycięski?
Wszak powinienem i duszą, i ciałem
Monarchę mego obraniać od klęski.
Swej powinności nikt nie przypomina;
Lecz w imię prawa znieś wyrok sądowy.
Niech własną ręką zamorduję syna,
Byle kat jego nie dotknął się głowy.

KANCLERZ (do Czarnieckiego).

To Brutus rzymski!...

GNOIŃSKI.

Nie... Brutus bez drżenia
Skazał swe syny pod topór najprościej;
Lecz chrześcijanin inaczej ocenia
W rodzinnym domu swoje powinności.
Nie dla oklasku, który gmin omami,
Lecz dla ofiary wypełniając cnotę,
Winien, jak Chrystus, ze krwią i ze łzami
Krzyż swojej męki zanieść na Golgotę.

KRÓL.

Wybijcie myśli rozpaczliwe z głowy;
Z senatorami pomówię w tej sprawie.

SCENA SZÓSTA.

CIŻ i PAŹ.

PAŹ.

Przybywa tutaj część dworu królowej,
Która ze Śląska ciągnie ku Warszawie.
Wiedząc, że teraz król jegomość pono
Wracać do Polski powziął zamiar stały,
Chce, by pod jego rycerstwa zasłoną
Słabe niewiasty bezpieczniej jechały.

KRÓL.

Kędyż są listy?

PAŹ.

Jedna z dziewic dworu
Wnet je przyniesie.

CZARNIECKI (z niechęcią).

Tak!... tak, nie inaczej...
Królowa jejmość za wiele honoru
Biednym żołdakom okazywać raczy,
Gdy nam potrzeba lecieć dniem i nocą,
Być w Częstochowie za trzy dni najdalej...

KRÓL (z uśmiechem).

Panie Czarniecki, nie każdy z rycerzy
Równie niechętny na orszak dziewiczy.
Toż córki polskie, nam strzedz ich należy.
Zresztą, cóż począć? Tak niewiasta życzy,
Nam trzeba słuchać...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i HELENA (zakłopotana wchodzi z listem w ręku).

HELENA.

Najjaśniejszy panie!
Przebacz... że tutaj... że wchodzę tak śmiała.
Ale królowej przynoszę pisanie;
We własne ręce oddać je kazała.

(Oddaje list, który król otwiera i bacznie czyta).

HELENA (postrzegając ojca).

Ojcze, tyś tutaj... Jakżeś niespodziany!
O, co za szczęście!...

(Ściska go).

Ty patrzysz tak smutnie!...

GNOIŃSKI.

Wiesz... brat twój żyje... wyleczył się z rany.
Teraz jest więźniem... kat głowę mu utnie!
Tak każe prawo... tak chce król i wodze:
Trzeba oczyścić z gadów ród człowieczy!
Zhańbił nam imię, podeptał nas srodze
W obliczu całej Pospolitej Rzeczy...

HELENA.

Ale on żyje!... czy pewno, że żyje?
Czy to jest prawda?...

(Do Lackiego):

Prawdaż, panie Jerzy?

GNOIŃSKI.

Jeszcze zbrodniczej nie ścięto mu szyje,
Ależ już ona do kata należy.
O córko moja! niedawno, dziś rano,
Gryzłem sumienie o jego zabicie.
Chciałem wybłagać, aby mię skarano,
Przyszedłem oddać moje własne życie.
Ale on żyje... w łańcuchy gdzieś dzwoni,
A na mym domu niezmazana skaza.
O! bądź przeklęta, niedołężna dłoni,
Żeś głębiej w serce nie wbiła żelaza!

(Król, odczytawszy list, pokazuje go Czarnieckiemu i kanclerzowi, i naradza się z nimi).

HELENA.

Ojcze! daremnie swą ranę jątrzycie,
Jest jeszcze pora... zaradzić się zdoła.
Tu król przed nami... wybłagamy życie...

GNOIŃSKI.

Ale mu hańby nie zetrzemy z czoła!
Nie, moja córko! z sakwami i z kijem
Pójdziem stąd zaraz w jakiś kraj daleki;
Sponiewierane nazwisko ukryjem,
Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.
Wychódź stąd prędzej, córko nieszczęśliwa,
Dopóki hańby nie masz na twem czole!

(Helena chce uklęknąć przed królem, Gnoiński ciągnie ją ku drzwiom).

KANCLERZ (głośno).

Panie Gnoiński, król jegomość wzywa,
Chce ci objawić swoją pańską wolę.

(Gnoiński staje osłupiały).

KRÓL (podchodząc ku niemu łaskawie).

Najmilszą gorzkich dni moich osłodą
Jest łzy ocierać, łagodzić niesnaski.
Dziś za obecnych senatorów zgodą...

(Ukazuje Czarnieckiego i kanclerza).

Mam prawo użyć królewskiej mej łaski.
Dzisiaj nie wolno, by ktoś łzę miał w oku,
Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyna.
(Do kanclerza):
Panie kanclerzu! powiedz treść wyroku,
Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

KANCLERZ.

Syn wasz w tej chwili swobodnym zostanie,
Król piętno hańby z jego czoła ściera.
Niech w obce kraje idzie na wygnanie,
I tam niech obce nazwisko przybiera.
A gdy się dowie, że te nasze kraje
Przestało miotać wojenne igrzysko,
Śmiało przed króla majestat niech staje,
A król mu wróci łaskę i nazwisko.

GNOIŃSKI (z niedowierzaniem).

Więc hańba zdjęta?...

KANCLERZ.

Całkowicie zdjęta.

GNOIŃSKI.

I syn mój żyje?

KANCLERZ.

Wnet wolność mu damy.

GNOIŃSKI.

Dzięki Ci!... dzięki, Opatrzności święta!
Więc ja nie zbójca, a mój dom bez plamy?...
Więc moje imię jeszcze jaśnieć może
Po całej Litwie i całej Koronie?
O! pozwól królu, niechaj pancerz włożę,
Niech całe życie twojej sprawy bronię!
Jak młody harcerz, dosiędę rumaka,
Najwaleczniejszych prześcignę husarzy!

HELENA.

Dzięki ci, królu! Dawno radość taka
Na jego smutnej nie jaśniała twarzy!

KRÓL (do Gnoińskiego).

Służba waszmości wdzięczną mi zostanie,
Trzeba nam mężnych w tę nieszczęsną porę!
Ale, skazując syna na wygnanie,
Twojej starości musim dać podporę.
Pisze królowa, że ta młoda para
Dawno się kocha i jest narzeczoną:
Niech się pan Lacki troskliwie postara
Być siwej głowy rycerską ochroną.
Stawił się mężnie, kędy wódz go użył,
Wierność dla tronu chował najszlachetniej;
Dobrze się Lacki krajowi zasłużył,
Król mu dziękuje, los jego uświetni...
Dacież mu córkę?...

GNOIŃSKI (ściskając Lackiego).

Miał ją mieć niebawem,
Kiedy nieszczęście spadło nam na głowy

KRÓL (do Heleny).

A cóż wy na to?

HELENA.

Dla mnie świętem prawem
Wola mojego króla i królowej.

(Król łączy ręce Lackiego i Heleny).

LACKI.

Królu! czym godzien twej łaski tak wiele!

GNOIŃSKI (upojony radością).

Gdzie jest mój pałasz... mój pancerz z żelaza!

(Do Lackiego):

Na koń, mój Jerzy, po wojnie wesele!
Teraz...

(Wznosi czapkę do góry).

WSZYSCY (uroczyście).

Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

CZARNIECKI (uderzając po ramieniu Lackiego).

Nie szczyptą soli, ani glebą roli
Szlachcic się polski chlubi i bogaci.
Przetrwaj, co ciało i co serce boli,
Znajdziesz nagrodę w duszy twoich braci!
Takie polskiego wojownika cele;
Przy nich nie padnie na twe serce skaza.
Na koń, mój Jerzy... po wojnie wesele!
Teraz...

(Podnosi w górę czapkę).

WSZYSCY.

Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

(Otaczają króla, zasłona spada).

1859. Wilno.

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU.

OSOBY:

ROŚCISŁAW —, długoletni aktor.

GŁOS DIECKA (za sceną).

Rzecz dzieje się w lesie.

Las — w głębi widać strzelecką chatę — z poza gałęzi drzew przegląda z daleka miasto.

ROŚCISŁAW (ze strzelbą wbiega prędko i ukazując ręką ku miastu).

Ha! już mię nie zobaczysz, miasto ukochane!
Tutaj, w lesie, z naturą i Bogiem zostanę.
Dość być służalcem chwały i złotego cielca...
Ot tę małą lepiankę najmuję od strzelca
I poczną insze życie... O, dawno już pora!
Nie czekać, aż się słońce schyli do wieczora.
Czas jeszcze wskrzesić w piersiach siłę obumarłą,
Z której mię gwarne miasto niewdzięcznie odarło;

Czas, niechaj spracowane odetchną ramiona.
Precz ode mnie, ohydna masko histryona!

(Czyni gest, jakby zdzierał i rzucał maskę).

(Usiada na pniu drzewa, zamyśla się i po pauzie mówi):

Och! pamiętam, pamiętam ten zapał młodzieńczy,
Kiedym wierzył, że sława me skronie uwieńczy,
Garrick, Talma gdy byli moim ideałem;
Gdy na błękicie Niebios ich imię widziałem,
Wypisane gwiazdami — kiedym nieoględny
Chciał podlecieć aż do nich, jak meteor błędny,
Czcząc jak bóstwo Szekspira albo Moliera;
Gdy czułem, jak ich ogień me piersi pożera.
Jaki wtedy marzący, jaki byłem czysty!
Och! nie znacie młodzieńczych urojeń artysty!
Śmiało — mówiłem — śmiało pójdę po ich drodze!
Imię unieśmiertelnię i sercu dogodzę.

(Zamyśla się, potem się śmieje ironicznie):

Cha, cha, cha! i płacz, i śmiech, gdy się w tem rozpatrzę...
Doścignłem wreszcie szczęścia, zostałem w teatrze;
Na głowę, rozognioną wspaniałym obrazem,
Jakby z trumny otwartej, chłód zawionął razem.
Tu tłum drobnych zawiści, tłum poziomych celi,
Nikt młodzieńca nie garnie, nikt go nie ośmieli;
Zamiast przyprawić skrzydła, by latały chyżo,
Ściągną cię z Nieba marzeń i ku ziemi zniżą.
Wreszcie, gdy dostatecznie duch był wyziębiony,
Ubrali w szmat purpury, w fałszywe galony,
I wywiedli na deski napełnionej sali,
I króla, czy tam zbójcę, udawać kazali.

(Po pauzie):

Cha, cha, cha! chciałem każdą przejąć się osobą,
Bo tu już moich sędziów widziałem przed sobą.
Publiczność!! wielkie słowo! — śmiały będę, śmiały,
Chociaż głos trząsł się w piersiach, a kolana drżały.
Grałem... grałem bandytę... i byłem bandytą,

Oklasku mi nie dano... wieńca nie uwito,
Odszedłem, zapłakawszy... gdzież tu moja chwała?
Chciałem śmieszyć publiczność — lecz się nie rozśmiała.
Więc osądzili starsi, że ją głos poruszy,
Kazano dla niej śpiewać — zatykano uszy.
Do mej zimnej izdebki wróciwszy po scenie,
Gryzłem ziemię w rozpaczy, ryczałem szalenie;
Lecz gdym zbolałą głowę złożył na pościeli,
Znowu mistrzowie sztuki przede mną stanęli.
I nieraz Talma we śnie prawicę mi poda:
„Trudno... trudno, młodzieńcze, lecz wielka nagroda!"

(Usiada na pniu drzewa).

Ha! nakoniec doszedłem nagrody i łaski:
Publiczność raz i drugi dała mi oklaski;
Byłem rad, gdy me imię wołano z zapałem,
Alem się opamiętał i znów zapłakałem.
Miałem wiele oklasków! Przejdźmy je koleją:
Płaczą nad Rinaldinim, z Hamleta się śmieją;
Cyt ich nudzi, że długi, Molier nie bawi,
Fredry, naszego Fredry, widzieć nie ciekawi!
Nieraz rzekłem do siebie, gdym otoczon blaskiem:
Wszak oklask jest szyderstwem, szyderstwo oklaskiem!
Kto widzi dzisiaj w sztuce powołanie Boże?
Czy dziś Garrick lub Talma urodzić się może?
Minęły wieki święte, hołdujące sztuce...

(Zrywa się).

Nie chcę was! nie chcę miasta! na zawsze je rzucę!

(Ogląda się wkoło siebie).

Co inszego natura! och, to nie kulisa!
Jak ta wierzba płacząca do potoku zwisa!
Jak się wdzięczy ta brzozka pięknie, choć po prostu!
Czuć od niej tchnienie wiosny, nie farbę pokostu.
Ten strumień, ten wiatr cichy, co szumi po niwie,
To nie nasza orkiestra, grająca fałszywie;
A to rannego słońca między liśćmi drżenie,
To nie lampy olejne, co czadzą na scenie!

A ten kwiat! — tu mi wszystko uspokaja duszę.
Nie chcę sceny i na krok już stąd nie wyruszę.
Czas odpocząć po trudach — tu i chatka blizko,
W chacie biednego strzelca najmę przytulisko;
Pójdę z nim się rozmówić...

(Idzie do chaty i puka w okno).

Czy gospodarz w chacie?

GŁOS DZIECINNY ZA SCENĄ.

Ojciec prędko powróci, może poczekacie,
Lecz do chaty nie wolno wpuszczać mi nikogo,
Bo nasze złe brytany pokąsać was mogą.
W lesie bez psów nie można — to stróże jedyne,
A ojciec pewnie wróci na siódmą godzinę.

ROŚCISŁAW (patrząc na zegarek).

Teraz jest w pół do szóstej... to poczekam sobie.

(Wychodzi na przód sceny).

A co tam teraz nasi?... Teraz są na probie.
Dzisiejsze przedstawienie dość ich namozoli;
Dam gardło, że Otello nie umie swej roli,
Bo dramat szekspirowski, to nie bagatela.
Wróćcie, wróćcie te czasy, gdym ja grał Otella!
Czarna maska na twarzy, zazdrość w każdym geście...
Młodociane dni moje, gdzie wy dziś jesteście?
Pamiętam, żem się kochał... że pałało łono
Moją miłością pierwszą, miłością szaloną.
Zazdrosny jak Otello i mściwy w potrzebie,
Gdym przebił Desdemonę, przeszedłem sam siebie.
Teatr drżał od oklasków! A teraz co oni?
Pan bohater sztyletu nie utrzyma w dłoni;
Słaby, czy się ubieli, czy poczerni sadzą...
Idę do nich... bo rady beze mnie nie dadzą.

(Słychać głos trąbki pasterskiej).

Wstrzymaj się, zapaleńcze! Oto wiejska niwa
Głosem trąbki pasterskiej nazad cię przyzywa.

A tyś poco do miasta?... a czyż ci nie pora
Przestać żyć trupiem życiem z rana do wieczora,
Od nudy śmiać się głośno, a ziewać po cichu,
Lub wypijać bez smaku kielich po kielichu!
Słuchać miejskiego gwaru, co ci mózg przewraca,
Albo włożyć na nowo sukmanę pajaca!
Nie! zostań tu pod cieniem słomianej zagrody,
Żyj czarnym kęsem chleba i konewką wody,
Zaprowadź pszczoły w ulach, gołębnik na strzesie...

(Słychać z bardzo daleka szczekanie psów i trąbkę myśliwską).

Lub weź strzelbę na plecy i zapoluj w lesie,
Lub idź z pługiem na rolę — praca cię ożywi;
Spraw zieloną sukmanę, jak noszą myśliwi!

(Po chwili).

Tak! zielona sukmana pamiętną zostanie:
Grałem niegdyś F r e i s c h ü t z a w zielonej sukmanie,
Grałem w H u z a r a c h Fredry, to wszystko nie fraszka;
W D o k t o r z e M e d y c y n y grywałem wujaszka.
Te zielone sukmany — przypominam sobie,
Widzę je rozwieszone rzędem w garderobie.
Grzmiały liczne oklaski i w krzesłach, i w loży.
O, zielone sukmany! któż je po mnie włoży?
Raczej wioski i lasu wyrzeknąć się wolę,
Pójdę grać w tych sukmanach — bo to dobre role...

(Opamiętywa się).

Wabi cię histryońska zielona sukmana, —
Ha! wszakże i ta puszcza zielono ubrana!
Ostre zielone kolce na jodle lub sośnie,
Ale ten najostrzejszy, co do serca wrośnie.
Chcesz westchnąć, by wyrazić dolę, czy niedolę,
To cię w serce ukąsi jakby żądło pszczole.
Ha! i z tym ostrym kolcem, co mi pierś miał przeszyć,
Trzeba było na scenę iść i ludzi śmieszyć,
I nieraz igrać w piersiach ze śmiertelną raną,
I wykrzywiać do żartów twarz łzami zalaną...

Z czasem się wyuczyłem tej sztuki kuglarzy:
Nigdy łzy nie popsuły bielidła na twarzy,
A kiedy się uśmiecham, gdy wesołość kłamię,
Nie obmyły rumieńca kupionego w kramie.
W temże całe zadanie, w tem tryumf artysty:
Poświęcić dobru sztuki swój ból osobisty.
Tak się idzie do chwały nieśmiertelnych celi, —
A czyż wielcy mistrzowie, jak my, nie boleli?
Wielkość ludzka zależy na dźwiganiu krzyża;
Jednego boleść wznosi, drugiego poniża.

(Po pauzie):

I ja krzyż mój dźwigałem — niech mnie teraz wzniesie,
Nie tam pomiędzy ludźmi, ale tutaj, w lesie,
Gdzie się jakaś zbawienna tajemnica chowa,
Gdzie z Bogiem i naturą łatwiejsza rozmowa,
Gdzie, jak Szekspir powiada...

(Zamyślony usiada znowu na kłodzie).

Tak, Szekspir powiada...
To był wielki filozof, poeta nielada!
Ale wcielić się sobą w jaką jego postać,
Kolosalnym Otellem lub Hamletem zostać,
Przeznać geniusz mistrza, by z potęgą całą
Oddać jego utwory, to i życia mało!
A ja chciałbym w pół życia rzucić sztukę wzniosłą!
Więc cała moja przeszłość, to było rzemiosło?
Więc gdybym się innego pochwycił za młodu,
Dziś miałbym więcej szczęścia — i więcej dochodu?
O, nie! — dajcie mi pieniądz — ja go wam odrzucę;
Nie chcę szczęścia, jeżeli nie znajdę go w sztuce!
Jednej pragnę nagrody za mój zawód cały:
Skonać na deskach sceny, wśród oklasków chwały.

(Wstaje).

Sława!... co to jest sława?... dym... bańka mydlana,
Dzisiaj głośna u świata, jutro zapomniana,
Błahe cacko dla dzieci... a jednak rozżarza
Bohatera do cnoty, do zbrodni zbrodniarza,

Dla niej, ażeby sławne zostały imiona,
Herostrat kościół pali, Milcyades kona,
Napoleon upada wśród śnieżnych zamieci,
A nędzny wierszokleta epopeję kleci;
Nawet skoczek na linie po wawrzyny sięga...
W sławie jest ludzka śmieszność i ludzka potęga.
Lecz, jak mówi poeta, jest poczciwa sława,
Co nam skrzydła umacnia, piersiom głos nadawa,
Co nas po to ognistym promieniem ogarnie,
Byśmy w drogach ludzkości stali za latarnie,
Nasz wiek, naszą społeczność mieli pod swą wodzą...
Lecz tacy sławni ludzie wiekami się rodzą,
Z promieni nad ich głowy nam choć po iskierce
Godzi się dla nas żądać; tylko podłe serce,
Tylko dusza, w poziomych uczuciach skarlała,
Takiej dla siebie sławy nigdy nie zachciała.
Ale czuję, że we mnie Bóg inną wlał duszę:
Ja chcę poczciwej sławy! — i sławnym być muszę!

(Uderza się ręką w czoło).

Za późno!... marzycielu, zbyt zarozumiały!
Idź raczej teraz płakać na grób twojej chwały,
Na grób tego, coś kochał; a chcesz odżyć dzielniej,
To chyba w ciemnym lesie — to chyba w pustelni..
Lecz czy nie wrócił strzelec? — zapukam do chaty.

(Puka w okno).

GŁOS DZIECKA (za sceną).

Nie pukajcie daremnie, jeszcze niema taty,
Powróci aż pod wieczór.

ROŚCISŁAW.

Moje dobre dziecię,
Powiedz mi: na tej puszczy z czego wy żyjecie?
I czy wam tu wesoło?...

GŁOS DZIECKA.

Ojciec lasu strzeże,
Albo w rzece na rybę zastawia więcierze;

Więc mamy trochę grosza, mamy kawał chleba,
Jest mleko z naszych krówek — czegoż więcej trzeba?

ROŚCISŁAW.

Poetyczna prostota! to dziecię nie kłamie.
Chciałbym widzieć tę chatkę w jakiej wiejskiej dramie.

(Odchodzi na przód sceny i rozpatruje się dokoła).

W środku byłaby chata z tą drewnianą ławą,
A tenbym dąb umieścił w kulisie na prawo,
A ten ul ze pszczółkami! efekt od parady!
Jużby nasz dekorator dał sobie z nim rady.
Rzuciłby tony zimne, a potem gorętsze,
Możnaby z tego okno dać na pierwszem piętrze.
W drugim akcie pasieka — wyborny ul pszczoli.
Raz pamiętam... w tej sztuce nie umiałem roli.
Człowiek ciągle się miesza, ciągle bąki strzela,
A sufler, jakby na złość, upił się, jak bela.
Nadstawiam pilnie ucha, mrugam nań ukosem,
A on ni w pięć, ni w dziewięć, coś mruczy pod nosem!
Położenie fatalne, jak nie często bywa!
Kiedy mi niespodzianie przyszła myśl szczęśliwa, —
A w roli byłem hrabią, co niby w podróży, —
Więc udaję znużenie, siła mi nie służy...
A zresztą, kołysany myślami sprzecznemi,
Zamiast usiąść na stołku, kładę się na ziemi,
I sekstern z rąk suflera wyrwawszy otwarty,
Calutką moją rolę odczytałem z karty.
Gestykuluję silnie, deklamuję żwawo:
Publiczność nie spostrzegła i dała mi brawo!
I czy jedna przeszkoda! — ja miałem ich tyle!
Miło czasem przypomnieć te pocieszne chwile.

(Uroczyście):

O! to życie na scenie, to jak wieczne gody,
Życie czynne, braterskie, a pełne swobody,
Życie ciągłej nauki, niewieńczone chwałą,
Co nie da zdrzemać sercu, by rozleniwiało.

Czyż ja dla spokojności to życie poświęcę?
Mam gnuśnieć w dzikim lesie, opuściwszy ręce?
To byłaby niewdzięczność — niewdzięczność obrzydła
Względem sztuki, co wzięła pod swoje mię skrzydła;
Względem braci, z którymi zjadłem beczkę soli
I przeżyłem lat tyle doli i niedoli;
Względem mistrzów, com niegdyś przedstawiał ich dzieła,
I względem publiczności, co mi przyklasnęła!
Nie! nigdy! Skonam raczej.

(Chce śpiesznie odchodzić).

(Waha się).

Dobrze się zastanów!
A więc idziesz, szaleńcze, w ten tabór Cyganów,
Co się nazwał świątynią, u której ołtarzy
Już święty ogień sztuki dawno się nie żarzy?
Idziesz do towarzyszów, co zimni, nieczuli,
Nieraz cię intrygami i waśnią zatruli?
Idziesz do publiczności na jej niewolnika,
Co cię dzisiaj przywoła, a jutro wysyka,
Co, staremi przesądy napojona z wieka,
Przyklaśnie aktorowi, lecz wzgardzi w nim człeka?...
Nie! nigdy! skonam raczej w tym odludnym borze.

GŁOS DZIECINNY Z CHATY.

Ojciec z miasta powrócił!

(Słychać z daleka bicie zegara).

ROŚCISŁAW (zrywa się).

Siódma! czy być może!
I w teatrze już grają — nieznośni partacze!
Otella w pierwszym akcie już dziś nie zobaczę.
Pośpieszmy!... prędzej... prędzej, może się dogoni.

(Zwraca się do chatki):

Bądź zdrowa! tyś nie dla mnie, lesista ustroni!
Na moje stanowisko jak żołnierz powrócę,
By służyć publiczności i hołdować sztuce.

1859. Wilno.

SPIS RZECZY.

UTWORY DRAMATYCZNE.

Str.

Rok w pieśni 7
Chatka w lesie.
Część pierwsza 22
Część druga 59
Hrabia na Wątorach 105
Franciszek z Assisu 148
Kasper Karliński 161
Wiejscy politycy 205
Wyrok Jana Kazimierza 259
Natura wilka wyciąga z lasu 326

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.

LP
K8266

Kondratowicz, Ludwik
Poezye Ludwika Kondratowicza.
Vol.3-4.

486186

DATE.

NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library
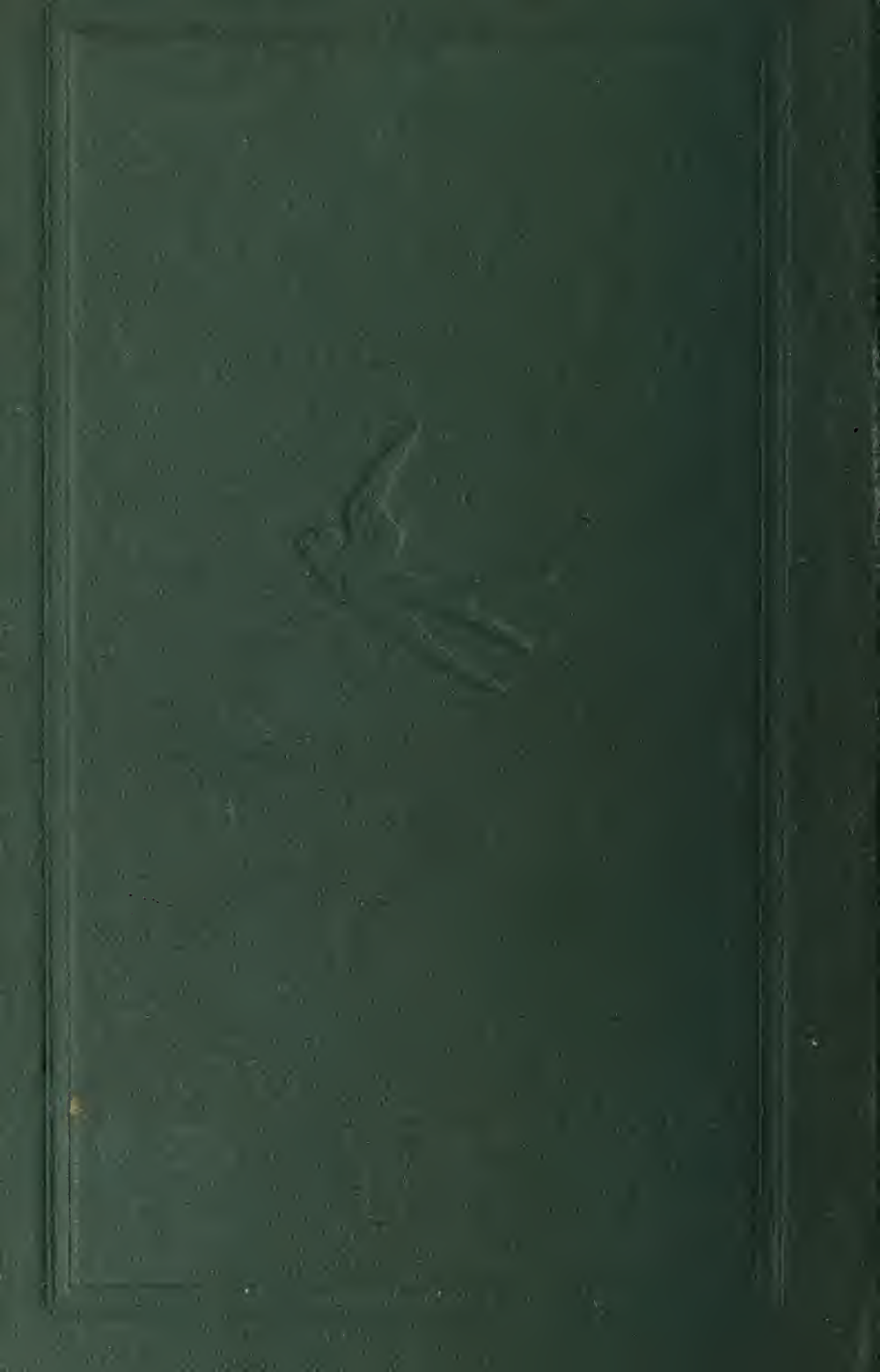
DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET